

Krantz Judith - Kochankowie

1

W Los Angeles nie ma kierowcy, który nie traktowałby z należytą ostrożnością nieobliczalnego gangu właścicieli m.ilyrh volkswagenów. Są oni znani jako rasa agresywnych, nil ustraszonych wolnych duchów, mających sobie za punkt honoru przemykać się zawadiacko przed każdym rollsem czy mercedesem, jaki kiedykolwiek zszedł z taśmy montażowej, automatycznie i bezczelnie wymuszających pierwszeństwo na skrzyżowaniach i bezpardonowo zajmujących miejsca do parkowania wyraźnie namierzone przez dostojniejsze i mniej zwrotne pojazdy. Kiedy Gigi Orsini postanowiła przyjąć posadę autorki tekstów reklamowych w agencji Frost, Rourke, Bernheim, która starała się o nią od kilku miesięcy, kupiła sobie płomienistoczerwonego volkswagena ze składanym dachem.

Przez kilka lat posłusznie jeździła solidnym, lecz nudnym volvo, które dostała od swojej macochy Billy Ikehorn, ale teraz, podczas trzydniowego weekendu, na jaki pozwoliła sobie między zakończeniem jednej pracy a rozpoczęciem następnej, Gigi włożyła odpowiednią sumę powoli odkładanych pieniędzy w samochód, jaki jej odpowiadał. Złożyła dach i pogłaskała swego volkswagena po lśniących bokach. Ta szalona, rozbrykana i wesoła maszyna doskonale pasowała do jej nowej dojrzałości, nowej kariery i statusu. Był to zwinny, lekki samochodzik odzwierciedlający optymizm Gigi roku 1983, roku, w którym Barbra Streisand kazała środowisku filmowców ocenić swoją Yentl, pierwszy film, w którym odważyła się zagrać, będąc jednocześnie jego reżyserem

1

i producentem; roku, w którym Los Angeles przygotowywało się do zorganizowania letniej Olimpiady; roku, w którym królowa Elżbieta dziarsko wyglądająca w chustce na głowie odwiedziła górskie rancho prezydenta Reagana w środku gwałtownej burzy; roku, w którym znajdujący się u szczytu formy Karlem Abdul-Jabbar podpisał niebywały kontraS na półtora miliona dolarów za sezon; roku, w którym nieodwołalność zakończenia serialu M*A*S*H położyła się cieniem na szczęśliwym życiu milionów Amerykanów

Tego optymistycznie obiecującego poranka późną jesienią owego optymistycznego roku na początku optymistycznych lat osiemdziesiątych Gigi Orsini krążyła powoli po parkingu staromodnego, nieco hiszpańskiego w stylu budynku stojącego przy Bulwarze Zachodzącego Słońca za la Cienega, w którym miała siedzibę agencja Frost, Rourke, Bernheim. Gigi była zdenerwowana, zgrzytała z napięcia i niepokoju zębami i wcale nie odczuwała aroganckiej bez troski przysługującej właścicielce VW. Był to pierwszy dzień w nowej pracy i Gigi nie czuła takiego skrępowania od czasu rozpoczęcia nauki w szkole średniej, kiedy to była tak onieśmielona, jak jeszcze nigdy w swym zwykle wolnym od zażenowania życiu

Gdyby tylko nie miała wbudowanej potrzeby burzenia porządku swego życia, gdyby tylko potrafiła zostać na bez piecznym, oszałamiająco rozkwitłym łonie Scruples II, katalogu mody, który zaczęła traktować jak rodzinny interes to nie musiałaby teraz bezgranicznie spanikowana szukać miejsca do parkowania i stawiać pierwszych kroków w reklamie. Archie Rourke, autor tekstów reklamowych, i Byron Berenson Bernheim III, dyrektor artystyczny, byli dwoma z trojga wjolkow w agencji, która przed pół roku rozpoczęła dziać się w Los Angeles, przeniósłszy się tu z Nowego Jorku. Zatrzymując się ostrożnie obok lśniącego porsche Gigi przypomniała sobie słowa, którymi Archie próbował namówi ją do przejścia do agencji.

- Reklama to jedna z ważniejszych form sztuki drugiej połowy dwudziestego wieku - powiedział wtedy. - Kiedy za trzysta lat jakiś kustosz będzie robił wystawę, żeby znów dać życie naszej epoce, to będzie wykorzystywał materiał głównie z reklam telewizyjnych i prasowych.

2

Nie podjęła decyzji opierając się na jego słowach, ale zauważyła całkowite przekonanie, z jakim je wypowiadał, jak gdyby światy sztuki teatralnej, literatury, muzyki i fotografii istniały jedynie po to, by mogły być włączone do wielkiej reklamy. Słowa te obudziły w Gigi ducha przygody oraz ciekawość, która w końcu doprowadziła do tej paraliżującej chwili.

Gigi z roztargnieniem wstukała kod alarmu i lekko drżącymi rękoma wygładziła spódnice.

Przynajmniej jest odpowiednio ubrana. Za każdym razem, kiedy jadła lunch z Byronem i Archie, prezentowali oni kalifornijską odmianę wyrafinowanej godności Wschodniego Wybrzeża, przywdziewając garnitury od Armaniego, cienkie, eleganckie koszule w paski oraz nieskazitelne krawaty. Ze słów Archiego i swobody, jaką demonstrował razem z Byronem zrozumiała, że reklama traktuje siebie samą poważnie. Obaj wyglądali na agentów, a agenci byli najbardziej nienagannie ubranymi ludźmi w Kalifornii.

Z całą pewnością Archie miał siłę przekonywania agenta reklamowego. Potrafiła go sobie opisać ze skrywanym uśmiechem tylko jako przystojnego brutala, jakby jego zawiadki, bez troski, a jednocześnie chmurny wygląd w niezrównanym połączeniu z falującymi, po irlandzku czarnymi włosami i błękitnymi jak u policjanta oczyma, został stworzony dla bohatera romansu z czasów Regencji.

Rudowłosy, wysoki i elegancki Byron był przeciwieństwem Archiego. Sprawiał wrażenie człowieka łagodnego i nieco zażenowanego, chociaż w jego zachowaniu czaiła się chwilami intrygująca kpina. Idąc między rzędami samochodów Gigi pomyślała, że jego świat wydaje się być pełen prywatnych dowcipów, a kiedy szkicował na obrusach swe uderzające pomysły

graficzne, w jego szarych oczach często błyskał humor. Bawił ją ten zespół. Stanowili go tak długo, że czasami sprawiali wrażenie dwóch stron tej samej, niezwykle atrakcyjnej osoby. Idąc powoli po parkingu w kierunku Bulwaru Zachodzącego Słońca i wejścia do budynku, Gigi zdała sobie sprawę, że bardzo niepokoi ją ten cholerny artykuł, który przeczytała zeszłego wieczora. Jakież zły przypadek postawił na jej drodze ten życzliwy artykuł w kobiecym czasopiśmie, który

powiedział jej wszystko, co powinna wiedzieć o pierwszym dniu w nowej pracy?

Miała nadzieję, że nie zostanie zmuszona do dobrowolnego, corocznego w tej firmie oddania krwi, co było jednym z polecanych sposobów poznania się ze współpracownikami. Może uda jej się niepostrzeżenie wychwycić miejscową atmosferę, zanim wykona ruch w czymś, co autorka nazywała „polityką miejsca pracy”. Artykuł surowo przestrzegał przed zawieraniem znajomości z pierwszymi napotkanymi przyjaznymi ludźmi, bo na pewno będą to „biurowi przegrani”, nakazywał bycie radosną, lecz nie nadmiernie wesołą, co mogłoby być potraktowane jako coś wymuszonego, zalecał uśmiechanie się w sposób sugerujący ciepło, ale nie karierowiczostwo, oraz sporządzenie planu rozmieszczenia biurek współpracowników, aby zapamiętać ich nazwiska, co pozwoli jej spokojnie sprawdzić się podczas miesiąca cierpliwego czekania bez cienia zgubnej nadgorliwości na zdobycie pozycji w „zbiorowej podświadomości” firmy, które to pojęcie według autorki artykułu jest sprawą podstawową, choć nie zawsze uświadamianą.

- Będę dobra - Gigi wymruczała stanowczym tonem nieśmiertelne słowa królowej Wiktorii, które ta wypowiedziała dowiedziawszy się, że ma wstąpić na tron.

- Oj! - Gigi zatrzymała się gwałtownie obok ciężarówki dostawczej. Trzęsła się z nerwów, miała gęsią skórę, cierpiała na nadmiar informacji i nagle poczuła, że musi dokonać ostatecznej inspekcji. Miała na sobie swoją jedyną, skrojoną z klasyczną doskonałością garsonkę z szarej flaneli. Dostała ją niedawno w prezencie od Prince'a, wielkiego nowojorskiego projektanta mody. Spódnica kończyła się bardzo skromnie w połowie kolana, a pod żakiet Gigi włożyła nieskazitelnie białą, bawełnianą bluzkę. Miała 160 cm wzrostu, ale w prostych, czarnych, lakierowanych szpilkach i nieprzezroczystych czarnych rajstopach wyglądała na wyższą. Jej jedyną biżuterię stanowiły skromne perełki w uszach i „łazienkowy” zegarek od Cartiera z paskiem z krokodylej skóry, który dała jej Billy podczas pożegnania przyjęcia w Scruples II. Był tyleż kosztowny, co dyskretny.

i

12

Gigi zastanawiała się, czy można być odpowiedniej ubraną, czy ktokolwiek może zrobić lepsze pierwsze wrażenie? Tylko że odpowiedniość była sprzeczna z jej naturą. Zawsze miała skłonność do bycia niekonwencjonalną, do robienia szalonych niespodzianek i chociaż ten skok w reklamę wymagał nowej garderoby, dawny impuls kazał jej włożyć ulubiony kapelusz. Wymykały się spod niego jej osobiście ufarbowane na rudawo-pomarańczowo-żółtawo-złoto włosy przypominające kolorem bukiet pstrych nagietków.

Kapelusz miał wysoką główkę, pochodził z końca okresu edwardiańskiego i był zrobiony z pięknie wypłowiałego, kwiecistego lnu. Podwójnej szerokości wstążka była z ciężkiej, szkarłatnej tafty, przyozdobionej z przodu dwiema czerwonymi wisienkami, dużą czerwoną różą z aksamitu i kilkoma aksamitnymi listkami. Szerokie rondo było podniesione z przodu i przymocowane do wstążki różą.

Gigi wyobrażała sobie, że ten kapelusz miała na sobie dziewczyna żegnająca narzeczonego, który szedł na wojnę. Był to odważny, frywolny kapelusz rozjaśniający jej twarz. Wiedziała, że narzeczonego wrócił z wojny, bo inaczej po cóż właścicielka miałaby go tak starannie wypchać, owinąć bibułką i przechowywać w pudle z nazwiskiem londyńskiej modystki, które Gigi odkryła szukając dawnej bielizny. Trzymała go dotąd na stojaku jako ozdobę sypialni, ale teraz dzięki swemu nieodpartemu urokowi kapelusz łągodził surowość jej kostiumu. Starannie go poprawiła. Osiemdziesięcioletni kapelusz pasował do niej tak doskonale, jak wszystko inne, co miała na sobie, było jej obce i kępujące.

Gigi wyprostowała się, uniosła podbródek i wyszła z cienia ciężarówki. Idąc coraz szybszym i bardziej sprężystym krokiem obeszła róg, weszła do budynku i odzyskując swój zwykły, zawadiacki i taneczny rytm ruchów dziecka epoki jazzu, szybko weszła po schodach prowadzących do biur agencji reklamowej Frost, Rourke, Bernheim.

*

- Pan Rourke prosił powiedzieć, że strasznie mu przykro, ale razem z panem Bernheimem musiał pójść na niespodziewane

5

spotkanie z klientem - oznajmiła recepcjonistka, kiedy Gigi się jej przedstawiła. - Nie potrafi określić, kiedy wróci.

- Ach, tak - Gigi spojrzała na nią z zakłopotaniem

- Mam na imię Polly. Poprosił, żeby poczekała pani w nie używanym pokoju. - Recepcjonistka przyglądała się Gigi szeroko otwartymi oczyma, wyglądając tak niepewnie, jak niepewnie czuła się Gigi. Poproszono ją, by przyszła po rozpoczęciu dnia, o 10.30, żeby Archie i Byron mogli oprowadzić ją po biurze, przedstawić współpracownikom i pomóc jej się zdomowić.^J

- Oczywiście - odparła Gigi naciągając kapelusz jeszcze bardziej na czoło, tak że przykrył jej grzywkę i spiczaste brwi. Bardzo była ciekawa, jak wygląda biuro, w którym pracują Archie i Byron. Poszła za Polly labiryntem korytarzy na które wychodziły duże i wysokie pokoje, gdzie pilnie pracowali nieliczni ludzie, sprawiający wrażenie dziwnie rozrzuconych w swoich skąpoumeblowanych pracowniach. Gigi zauważyła że w porównaniu z FRB biura Scruples II były zdecydowanie bardziej ciasne. Kiedy szła korytarzem, kilkoro pracowników uniosło bez zaciekawienia głowy, po czym wróciło do swoich maszyn do pisania, komputerów czy desek, natychmiast poznając po jej eleganckiej postaci, że nie ma nic wspólnego z ich zadaniami. Zerkając na prawo i lewo spod runda kapelusza i nie napotykając ani jednego zaciekawionego spojrzenia Gigi pomyślała, że czuje się jak gość na planie filmu. Była natychmiast rozpoznawana jako osoba nie należąca ani do obsady, ani do ekipy i bez najmniejszych uprzedzeń odrzucana jako niewarta zainteresowania. Pomyślała, że reklama może i jest dziedziną sztuki drugiej połowy dwudziestego wieku lecz ci nieliczni jej przedstawiciele, jakich widziała, wydawali się zdecydowanie niechlujni, a niestarannością stroju przypominali tancerzy baletu w najstarszych, najbardziej zaniedbanych strojach do prób. Kilkoro z nich faworyzowało jaskrawe kolory i dziwaczne kształty ubiorów. Gigi zdała sobie sprawę że stanowi to zbyt wielki kontrast, żeby nie miało znaczenia' ale nie wiedziała, jakie to może być znaczenie.

- To tutaj - powiedziała recepcjonistka, wchodząc do pokoiku nieprzyjemnie oświetlonego zwieszającymi się z wy-

14

sokiego sufitu świetlówkami. - Pokój jest za mały dla dwóch osób, więc nikt go nie używa. Czy nikt nie ma własnego pokoju? - zapytała Gigi.

Nie ma mowy. Nie lubią być sami, robią się od tego nerwowi. Tylko panna Frost ma własny gabinet. Zespoły lwórcze są jak papużki-nierozłączki... sama zobaczysz. Przynieść ci kawę?

- Nie, dziękuję - odparła Gigi. - Poradzę sobie, Polly.

Obdarzyła wycofującą się recepcjonistkę wymuszonym uśmiechem, który, miała nadzieję, był ciepły i nie sugerował karierowiczostwa, nadgorliwości ani braku profesjonalizmu. W pokoiku znajdowało się jedynie niepozorne biurko przywalone stertami czasopism. Były to różnojęzyczne wydania „Vogue'a" i „Bazaara", całe roczniki „Elle", „Town and Country" oraz kilku francuskich i włoskich czasopism poświęconych supermodzie, które ledwie rozpoznawała. Obeszła biurko, starannie zamknęła drzwi i opadła na zdumiewająco wygodny, poobijany stary fotel, który znalazła ukryty za biurkiem.

Na razie poznała Polly i wie, gdzie ona siedzi. To już początek. Oczywiście mogłaby zacząć przeglądać czasopisma, które zapewne wylądowały tu dla jej edukacji, lecz pomysł ten wcale nie był kuszący, szczególnie po tym wstrząsającym braku powitania. Na biurku stał telefon, ale przychodził jej do głowy jedynie numer zegarynki.

Głęboko oddychając, by przezwyciężyć skutki hiperwen-tylacji, Gigi pomyślała, że musiała chyba popełnić poważny błąd co do zbiorowej podświadomości firmy. Nie może pozwolić, żeby została przedstawiona tym ludziom tak wystrojona. Dlaczego Archie albo Byron jej nie ostrzegli? Dlaczego-

go zwabili ją w pułapkę własnego stroju? Kiedy zaczynała chodzić do szkoły średniej, przynajmniej dokładnie wiedziała, jak będą ubrani wszyscy inni, i ta wiedza pozwoliła jej bezpiecznie przeżyć pierwszy straszny dzień, zanim nawiązała jakieś ludzkie kontakty. Oczywiście, gdyby była do głębi pewna siebie, nie miałyby to znaczenia - posiadałaby wewnętrzną siłę pozwalającą jej wystąpić w każdym stroju i bez zastanowienia zaatakować normy firmy. Byłaby Anną Mag-nani, Lauren Hutton, Martha Graham. Nie, Bellą Abzug. Albo

jeszcze lepiej, Barbarą Jordan. Jak to możliwe, że ma lodowate dłonie i stopy, skoro na czole czuje kropelki potu? Jak to możliwe, że ona, Graziella Giovanna Orsini, zachowuje się jak mięczak tylko dlatego, że nie zna obowiązującego tu stylu ubierania się? Z drugiej strony, nawet Ralph Waldo Emerson przyznał się do podziwu dla pewnej damy, która powiedziała mu, że poczucie bycia właściwie ubraną daje wrażenie wewnętrznego spokoju, jakiego nie może wywołać nawet religia.

Właśnie kiedy doszła do tego wniosku, drzwi otworzyły się bez stukania i ktoś wetknął do pokoju głowę.

- Gdzie jesteś? - zapytał nie znany jej męski głos.

- Pracuję - mruknęła Gigi garbiąc się jeszcze bardziej. Kiedy schowała twarz za rozłożonym czasopiśmem, widać było tylko czubek jej kapelusza. Emerson gdzieś zniknął.

- Jezu, tak od razu? Myślałem, że moglibyśmy zniszczyć kilka obwarzanków i opowiedzieć sobie historie naszego życia

- powiedział mężczyzna wchodząc do pokoju.

- Może później - rzekła kwaśno Gigi nie podnosząc oczu

- o wiele później. Zagłębiam się w temat.

- Jestem David - powiedział. Miała wrażenie, że ktoś na nią patrzy z wielkiej wysokości.

- Gigi - przyznała, przysuwając fotel do największej sterty czasopiśm i przyciskając się do boku biurka. Czasopismo, którym się zasłaniała niczym tarczą, prawie dotykało jej nosa.

- Polly powiedziała mi, że tu jesteś. Na pewno nie chcesz obwarzanka? Mam świeżutkie. Zostało też z wczoraj fantastyczne chińskie żarcie. Siedzieliśmy całą noc i mnóstwo zostało. Mógłbym wstawić do mikrofalówki. Mam w pokoju ekspres do kawy. Chodź, zrobię ci *cappuccino*. - Jego głos był pełen entuzjazmu i ciekawości. Właśnie miał zamiar obejść biurko, wyraźnie chcąc spojrzeć na Gigi.

- Nie! Nie ma mowy! Niczego nie chcę! - Gigi skurczyła się do najmniejszych możliwych rozmiarów, podciągając kolana pod brodę i stawiając stopy na krawędzi fotela. Kiedy tak groziła mu głosem, widać było tylko jej buty, kapelusz, dłonie, nogi i maleńkie skrawki szarej flaneli z obu stron bioder i ramion.

- Niczego? - powtórzył z niedowierzaniem.

16

- W ogóle nie myślę teraz o jedzeniu - powiedziała Gigi z zimną stanowczością, kuląc się w fotelu.

- Powiedziałam, że icstem zajęta. Zamknij drzwi, kiedy będziesz wychodził.

- Jasne - powiedział z nutą rozczarowania w głosie. - Złapię cię później. Może zjemy razem lunch? Świetny kapelusz.

Po niecałej minucie zmaterializował się ponownie jako duża dłoń z jabłkiem.

- Już wiem! Jesz tylko zdrową żywność. To najlepsze, gwarantowane jabłko pani Gooch. Spod jakiego jesteś znaku? Ja jestem Lwem. Nie mam przekonania do astrologii, ale nie można wykluczyć jej wpływu. Opowiedz mi, jak to było, kiedy po raz pierwszy poszłaś z mężczyzną do łóżka. Jak bardzo się rozczarowałaś? Dużo ściągałaś w szkole? Jaki masz zwykle dług na karcie kredytowej? Jesteś mężatką, panną, rozwódką czy...

- Precz! - wrzasnęła Gigi strącając jabłko na podłogę. Mój pierwszy biurowy przegrany, pomyślała słysząc, jak

zamykają się drzwi. Był gorszy niż ci, przed którymi ostrzegał artykuł. Autorka twierdziła, że przegrani będą podejrzanie przyjaźni, bo nie mają z kim rozmawiać. Nic nie wspomniała o maniackich pytaniach osobistych. Podkreślała konieczność uważania na biurowych wyrzutków oblegających każdego nowego pracownika. Związanie się z nimi przynosiło fatalne skutki. Opinia

człowieka zależy od towarzystwa, w jakim przestaje, i lepiej jest zjeść lunch samotnie niż z niewłaściwymi ludźmi. Jej znak, rzeczywiście!

Pozbycie się tej pijawki dodało Gigi pewności siebie. Zdała sobie sprawę, że jej umysł znów funkcjonuje. Zerwała się z fotela i przytrzymując najpierw jednym, a potem drugim ramieniem drzwi, aby nikt nie mógł wejść, pośpiesznie zrzuciła spódnicę i żakiet. Następnie poprawiła białą koszulę, która sięgała jej do pól uda. Podwinęła rękawy powyżej łokci, rozpięła guziki do miejsca tuż nad małymi, sterczącymi piersiami nie skrepowanymi żadnym stanikiem, i postawiła kołnierzyk, który teraz prawie dotykał jej uszu. Mogła zostawić delikatny biały materiał zwisający luźno niczym fartuch, ale Gigi nie gustowała w fartuchach. Z wyrzutami sumienia, lecz bez wahania zdjęła kapelusz i zaatakowała wstążkę. Kiedy oddzieliła ją od kapelusza, okazało się, że

9

może owinać ją wokół talii dwa razy, co dało obcisły, szeroki pas. Stwierdziła, że nieprzezroczyście rajstopy śmiało mogą udawać obcisłe spodnie. Dotknęła kolczyków. Perełki nie pasują. Włożyła je do torebki, na jednym prawie spiczastym uchu powiesiła dwie złączone wisienki, a za pas zatknęła czerwoną, aksamitną różę z kapelusza. Cholera, żałowała że nie ma lusterka, z uśmiechem roztrzepując swoje jedwabiste włosy układające się w kształt dzwonu. Starannie złożyła spódnicę i żakiet i razem z resztką kapelusza schowała je do jednej z pustych szuflad biurka.

Będąc przygotowana na wszystko, zaczęła gwałtownie kartkować egzemplarz włoskiego wydania „Vogue'a”. Agencja FRB została poproszona o przedstawienie oferty kampanii reklamowej dla Indigo Seas z San Francisco, uznanego producenta kostiumów kąpielowych dla kobiet otyłych, i miała to być pierwsza kampania Gigi. Przewracając kartki, na których widniały modele o wiele bardziej awangardowe od tego co pokazywał amerykański „Vogue”, znajdowała jedynie miniaturowe dwuczęściowe kostiumy prezentowane przez dziewczyny o ciałach, jakich żadna dojrzała kobieta nie chciałaby zobaczyć w najgorszym koszmarze. Cholera, pomyślała Gigi wcale nie muszę oglądać czasopism nie mających nic wspólnego z rzeczywistością, powinnam znaleźć się w pokoju tylko z maszyną do pisania i wyobraźnią albo w wielkim domu towarowym, gdzie mogłabym porozmawiać z żywymi ludźmi - znękanymi kobietami przechodzącymi zimową katorgę kupowania kostiumów kąpielowych na lato. Co więcej, umierała z głodu. Chińskie żarcie... makaron, kotleciki, mocno przyprawione pierożki, słodko-kwaśne młode gołębie, gdyby tylko zaproponował jej to ktoś inny, a nie ten biurowy wyrzutek, pomyślała tęsknie. To zabawne, że podgrzane jedzenie na wynos smakuje o wiele lepiej niż zaraz po przyniesieniu a była zbyt zdenerwowana, żeby zjeść śniadanie. Dlaczego zaczęła marzyć o chińskim jedzeniu, kiedy tylko ten natrętny wariat o nim wspomniał?

Z trzaskiem odłożyła czasopismo i zaczęła chodzić niecierpliwie po pokoju. Nie tylko przypominało to zostanie w szkole po lekcjach, ale było też niewiarygodnie niegrzeczne. Archie i Byron nie dawali jej spokoju kusząc ją lunchami, telefonami

18

wizjonerskimi słowami i obietnicami bajecznej przyszłości w reklamie. Zanim w końcu się zgodziła, wiele razy im odmawiała, a teraz została uwiedziona i porzucona w biurze, którego nigdy przedtem nie widziała na oczy, uwieczona w ecli ozdobionej jedynie małymi, brudnymi oknami wy-i Rodzącymi na parking, nie mając pojęcia jak uciec ani kiedy wrócą szefowie. A jeśli to spotkanie będzie trwało cały dzień? Wyjrzała na zniechęcająco długi, pusty korytarz i zdała sobie sprawę, że nawet, jeśli znalazłaby kogoś, kto skieruje ją z powrotem do biurka Polly, to nie ma na to ochoty.

Wróciła do fotela, zapadła się w wytarte poduszki, położyła nogi na biurku i zatopiła się w ponurej kontemplacji swoich nowych szpilek. Musiała z całą skromnością przyznać, że ma naprawdę wspaniałe nogi. Rozluźniła i opuściła śliczne, gładkie muszelki powiek, co sprawiło, że długie rzęsy, na które nałożyła potrójną warstwę czarnego tuszu, stworzyły gęstą zaporę przed źrenicami jej oczu przypominających barwą zielone jabłuszko. Idealnie boskie nogi... czarodziejskie nogi... nogi mogące spowodować upadek imperium... nogi... nogi...

W godzinę później, kiedy Archie i Byron wpadli do biura wygłaszając przeprosiny do pustego pokoju, Gigi mocno spała.

- Cholera! Poszła sobie! - zawołał Byron.

- Uspokój się - powiedział Archie. - Dokąd mogłaby pójść?

- Z powrotem do Scruples EL. Czeka, widzisz te szpilki?

- Raczej zobacz te nogi! - mruknął Archie obchodząc biurko.

Przyglądali się Gigi, zachwyceni, że wreszcie zwabili w sieć motyla, za którym uganiali się od wielu miesięcy. Była rzadkim okazem i chlubą kolekcji, a Bóg jeden wie, jak rozpaczliwie była im potrzebna. Władcy Indigo Seas byli oczarowani tekstami Gigi dla Scruples II. Dziewczyna mogła stanowić klucz do zdobycia dużego zamówienia. Poza tym obaj specjalizowali się w reklamie żywności, a że nie udało im się jeszcze znaleźć prawdziwie utalentowanego autora tekstów z dziedziny mody, zdobycie Gigi otworzyłoby im drzwi do nowej grupy potencjalnych klientów.

- Będziesz tak stał i ją podziwiał? - zapytał Byron.

Wyrwany z kontemplacji Archie zamruczał udając najlepiej jak mógł, Papę Misia:

- A któż to śpi w moim fotelu?

- Przestraszysz ją, kretynie - wysyczał Byron

- No to sam spróbuj.

- Gigi? Gigi... śpisz? - wyszeptał głośno Archie. - No obudź się.

Gigi spała dalej.

- Może nie powinniśmy jej budzić - powiedział Byron - Może jest zmęczona.

- Od dzisiaj znajduje się na liście płac - odparł stanowczym tonem Archie. - A w tym interesie wszyscy zawsze są zmęczeni Jes i tak nie jest, to znaczy, że nie przykładają się do pracy. - Szybkim ruchem zdjął Gigi szpilki i zabębnił nimi po blacie biurka.

Gigi gwałtownie otworzyła oczy.

- Co się dzieje?... Oddawaj!

~ Widzisz - powiedział Archie z zadowoleniem - to zawsze skutkuje. Kobiety mają głęboko zakorzenione poczucie własności swych ozdób. Mężczyzna mógłby się nie obudzić, ale Czesć, Gigi, przepraszamy za spóźnienie - przerwał mu Byron szturchając go w ramię.

- Gdzie moje dobre wychowanie? - Archie skierował to pytanie do niebios. - Gigi! Firma Frost, Rourke i Bernheim wita cię z dreszczem zachwytu na swoim zbiorowym łonie W imieniu moich partnerów i swoim własnym chciałbym złożyć najszczerze przeprosiny za naszą poranną nieobecność i brak powitania, lecz, niestety...

- Moje szpilki - zażądała Gigi zdejmując zamaszystym ruchem nogi z biurka.

Podał je z ukłonem. Gigi włożyła szpilki i podskoczyła czując wraz z powrotem do pionu przypływ energii

- W każdej chwili spodziewałam się mojego klawisza z chlebem i wodą - powiedziała surowo. - Tutaj jest zupełnie jak na bezludnej wyspie, tylko bez widoku na ocean

- Czy nikt nie zaproponował ci kawy albo obwarzanka? - zapytał Archie.

- Przyszłam tu dwie i pół godziny temu - odparła zapominając o swym dziwnym gościu i spoglądając na zegarek.

12

Teraz jest już chyba pora obiadowa, i o ile pamiętam, mieliście mnie dzisiaj zaprosić na lunch. To miało być małe przyjęcie powitalne.

Cholera! Przepraszam, Gigi, niespodziewana zmiana planu - rzekł Archie.

Musimy odłożyć ten lunch - wyjaśnił zmieszany Byron.

W tej chwili musimy skończyć projekt całkowicie nowej kampanii dla makaronów Bugattiniego. Ich człowiek zajmują-I y się reklamą wrócił wczoraj wieczorem z Włoch i zmienił /danie co do materiału, który przyjął przed wyjazdem.

Byron pomyślał ponuro, że taka nagła zmiana nie jest W reklamie niczym niezwykłym, ale nastąpiła ona w jak najgorszej chwili. Żądania klienta zawsze mają pierwszeństwo, tym bardziej, że Bugattini był największym z ich nielicznych klientów. Będą musieli zostawić ją na kilka godzin z tymi czasopismami, a sami rzucą się do nowych planów.

- Chwileczkę, Byron - powiedziała z oburzeniem Gigi.

Zapomnijmy o lunchu. Sama potrafię znaleźć sobie jakąś kanapkę z tuńczykiem. Ale razem z Archiem obiecaliście oprowadzić mnie po biurze i wszystkim przedstawić, a po południu pomóc mi się zdomowić. Nie spędzę ani jednej minuty dłużej w tym pokoju! Czuję się, jakbym została ogłuszona i wsadzona na statek płynący do Macao. To nie zaczyna się dobrze, a ryba psuje się od głowy. Jak dotąd były same lunchy i obietnice, a żadnych konkretów. To wy uganiaлиście się za

mną, pamiętacie? Dopóki mnie nie namówiliście do pracy w reklamie, nawet mi się o niej nie śniło. W mojej dawnej pracy czekają na mnie z otwartymi rękami i tam właśnie wracam. Mierzyła ich pełnym słusznego oburzenia wzrokiem wzięwszy się pod boki. Jej prawie zadarty nosk wyglądał równie oskarżająco, co rumieńce gniewu, jakie nagle pojawiły się na jej policzkach. Rozzłoszczona Gigi Orsini stanowiła wspaniałą mieszankę swych zionących ogniem przodków: czystych Irlandczyków ze strony matki i florenckich Włochów ze strony ojca. Potrząsnęła mocno głową na znak całkowitej dezaprobaty dla obu mężczyzn, odsłaniając przy tym ukryte dotąd pod długą grzywką spiczaste brwi. Każda gniewna krzywizna jej idealnie uformowanej, owalnej głowy wyrażała

poczucie zniewagi, jakiego doświadczała od chwili przybycia do firmy.

- Ależ, Gigi...

- Gigi, nie mieliśmy wyboru...

- To my jesteśmy zespołem twórczym dla Bugattiniego, właśnie my dwaj, to nasze największe nowe zamówienie...

- Bądź rozsądna...

- Pieprzyć rozsądek. Wychodzę - rzekła Gigi z godnością i wzięła do ręki torebkę.

- A więc tak wyglądasz - odezwał się od drzwi znajomy głos.

- David, gdzie się, do diabła, podziewałeś? - krzyknął Byron.

- To wszystko twoja wina, David - powiedział oskarżyciel-sko Archie. - Gigi chce od nas odejść, bo nie zająłeś się nią tak, jak ci mówiliśmy.

- To mi nadal brzydko pachnie - rzekła z pogardą Gigi i ruszyła stanowczym krokiem do drzwi.

Przechodząc bez jednego spojrzenia obok chudego mężczyzny opierającego się

o framugę, pomyślała posępnie, że nie dość, że ją zlekceważyli, to jeszcze chcieli na nią napuścić biurowego przegranego. Mężczyzna wyciągnął długą rękę, objął Gigi w pasie

i zawrócił ją do pokoju.

- Puszczaj!

- Nic z tego.

- Puszczaj!!

- Nie ma mowy. Dość już mam twoich kapryśków. Właściwie zraniłaś moje uczucia. - Wyglądał na rozbawionego; gorzej, jej słowa i energiczne wysiłki wyrwania mu się nie robiły na nim żadnego wrażenia.

- David, ręce przy sobie - rozkazał Archie usiłując wydobyć Gigi z objęć Davida.

- Przestańcie! - Do szamotaniny przyłączył się Byron i chwyciwszy Gigi za ramiona, zaczął ciągnąć ją do siebie.

Gigi pomyślała, że nie jest to znów takie nieprzyjemne. W Scruples II, którego personel stanowiły głównie kobiety, nikt nigdy w taki sposób nie schlebiał jej ciału. Niemniej jednak ci niewychowani, niegodni zaufania szaleńcy prawdopodobnie zostawiali na jej skórze sińce.

- Pali się! - wrzasnęła na całe gardło, za co została nagrodzona wolnością, ponieważ wszyscy trzej puścili, ją

22

i wypadli na korytarz. Kiedy miotali się w poszukiwaniu .Kidów dymu, Gigi otrzepała piórka.

Zdała sobie sprawę, że te swirusy spodziewają się po niej rozsądku. Traktowali go jako rzecz oczywistą, chociaż w rozmowach na temat warunków jej nowej pracy słowo „rozsądek” nie padło ani razu. Była jednak rozsądna przez większość swego życia i nie po to zerwała z przeszłością, żeby nadal taką być. Jeśli choć raz pozwoli im

o sobie pomyśleć jako o rozsądnej dziewczynie, tak już zostanie, a oni dodadzą jeszcze „solidna” i „niewymagająca”, co razem da niedopuszczalne słowo „przewidywalna”. Postanowiła zawierzyć instynktowi: albo lunch, albo do widzenia. Jeśli sprawy makaronów Bugattiniego mogą przesłonić jej przybycie, to znalazła się w niewłaściwym miejscu.

Kiedy mężczyźni wrócili do pokoju, Gigi siedziała na biurku ze skrzyżowanymi rękoma, z nogą założoną na nogę i z płomienistą głową pochyloną pod nie wróżącym nic dobrego kątem.

- Skoro nabraliście już apetytu, to dokąd pójdziemy? - zapytała Archiego.

- Do „Dome”? - westchnął poddając się. Kolejny drogi lunch. Tylko żeby była tego warta.

- Czemu nie? - Gigi uśmiechnęła się z aprobatą.

- David, idź po marynarkę i krawat - odezwał się Byron.

- On też idzie? - spytała Gigi, z niedowierzaniem pociągając nosem. David nie zwracał na nią uwagi, bo był zajęty poszukiwaniem swoich dużych okularów w rogowej oprawie, które zgubił podczas szamotaniny. Próbował jednocześnie bez większego powodzenia przyglądać swoje przydługie, brązowawe włosy, które w połączeniu z zakrzywionym nosem nadawały mu wygląd nieporządnego, niezwykle sympatycznego młodego orla.

- Naturalnie - odparł Archie.

- On mnie złapał. Ja nie pozwalam na coś takiego.

- Musiałem - powiedział leniwie David, z ulgą umieszczając okulary na nosie. - Tworzymy zespół. Nie mogłem dopuścić, żebyś popełniła wielki błąd. Między innymi po to ma się kumpli z zespołu.

- Z zespołu? - wykrzyknęła zeskakując z wściekłością z biurka. Teraz się doegrali.

- Tworzysz z Davidem nowy zespół twórczy dla Indio Seas - powiedział Archie. - Mam rozumieć, że nic ci nie powiedział?
- To nasz najlepszy dyrektor artystyczny - dodał Byron
- po mnie.
- Nie pisał ani słówka - rzekła Gigi z oburzeniem
- Czasami młody David Melyille ma kłopoty z brakiem bezpośredniości.
- Pytał mnie o rzeczy, jakich nie śniłoby mi się mówić komuś obcemu. - Gigi o mało nie zatkało ze złości

Tak, najlepiej od razu pozbyć się całego bagażu osobistego. Zachęcamy do tego wszystkie nasze zespoły twórcze

- powiedział Byron. - Zapobiega to krępującym niespodziankom i niezręcznym sytuacjom.
- Zanim Gigi się ubierze, pójde po marynarkę - rzekł z wdziękiem David. - Mimo całej prowokacyjności takiego stroju nie możemy zabrać jej do „Dome” w prześwitującej koszuli nocnej i rajstopach. Nie uchodzi.

*

- A cóż my tu mamy? - zapytała chłodnym, wyraźnym głosem wchodząca do biura recepcjonistki kobieta Gigi Archie, Byron i David tworzący odświętnie ubraną, roześmianą grupkę, właśnie wychodzili na lunch

- Victoria! Spodziewaliśmy się ciebie dopiero jutro - rzekł Archie. - Gigi, oto Frost w FRB. Victoria Frost, Gigi Orsini

- Co to za masowy exodus? - zapytała Victoria Archiego me witając się z Gigi.

- Na lunch w „Dome” - odparł wylewnie Archie. - Chodź z nami, obchodzimy pewną uroczystość Uśmiech znikł z twarzy Gigi. Tam, skąd przyszła, ludzie mówili dzień dobry, przy prezentacji podawali sobie ręce i patrzyli na siebie. Nawet się uśmiechali. Właściwie zawsze się uśmiechali, bo było prawie niemożliwe z kimś się przywitać, nawet na pogrzebie, choćby najlżej nie unosząc kącików ust. Nie licząc ciemnych brwi wyrażających zaskoczenie, zimno piękna twarz Victorii Frost była bez wyrazu

- Doprawdy? A cóż to takiego obchodzicie? - zapytała

24

obojętnie, spoglądając w końcu taksującym wzrokiem na Gigi miejsca ją dyskwalifikując.

Moj pierwszy dzień w nowej pracy - powiedziała stanowczym tonem Giggi. Nie po to spędziła połowę kształtujących i i usobowość lat w domu Billy Ikehorn, która nie miała sobie równych w świecie dobrze ubranych kobiet, żeby dać się zastraszyć spojrzeniu jakiegokolwiek kobiety, chociaż dostrzegła, że dzięki nieskazitelnej kawowej wełnie Victoria Frost osiągnęła wygląd idealnej prostoty w takim stopniu, w jakim jest to tylko możliwe u gimnastyczki otrzymującej na olimpiadzie dziesiątki u wszystkich sędziów. Co takiego? - spytała Victoria zimno. Victorio - wtrącił się Byron - chyba zapomnieliśmy ci powiedzieć, tyle się tu działo podczas twojej nieobecności, ale na pewno pamiętasz, że próbowaliśmy odciągnąć Gigi od Scruples II.

Kiedy ostatnio o tym słyszałam, nie interesowało jej to odparła Victoria. - Czemu zmieniła zdanie, Byron?

Wątpię, żeby Byron znał powody - odpowiedziała za mego Gigi. - Natomiast ja tak.

I jestem pewna, że są ważne. Jednak, o ile się nie mylę, ta oleiła została złożona jakiś czas temu. I kilkakrotnie odrzucona. Kiedy dokładnie Gigi postanowiła zaszczycić nas swoją obecnością? Gigi nie wytrzymała.

Och, chyba... niech pomyślę, dokładnie, w gruncie rzeczy, punktualnie o 9.45 w zeszły czwartek wieczorem, po zbyt dużej ilości wina na pusty żołądek. Z drugiej strony równie dobrze mogło to

być pięć minut później. Lub wcześniej. Nie patrzyłam na zegarek. Dlaczego pytasz, Victorio? Czy oferta jest już nieważna? Czy nie jestem tu mile widziana?

- Victoria! - powiedział ostrzegawczo Archie.

- Gigi! - odezwał się w tej samej chwili błagalnie Byron. Gigi nie zwróciła na nich uwagi, zwracając się bezpośrednio

do wysokiej, szczupłej młodej kobiety o mocno przygładzonych brązowych włosach i surowych, piwnych oczach.

- Bo jeśli nie jestem tu przez kogokolwiek mile widziana, to na moim biurku w Scruples II ciągle czeka na mnie kanapka z tuńczykiem.

- Nie chciałabym się wydać nieuprzejma...

- Zupełnie ci się to nie udało - przerwała jej Gigi.

- Jednak umówiliśmy się ze współnikami, że o przyjęciach i zwolnieniach będziemy decydować wspólnie - ciągnęła Victona, jakby Gigi w ogóle się nie odzywała. - Nie znam twoich prac. O ile rozumiem, nie masz żadnego doświadczenia w reklamie i zastanawiam się, czy to odpowiednia chwila na..

- Victorio, zamknij się, do cholery - powiedział Archie chwytając ją za łokieć i idąc z nią szybko korytarzem do innego pokoju.

- No, no, no - odezwała się przeciągle Gigi. - Rozumiem, dlaczego me poznałam panny Frost wcześniej. To była ta wasza straszliwa tajemnica. Żegnaj, Byron. Do widzenia David, i pożegnajcie ode mnie Archiego. - Wetknęła sobie torebkę pod pachę i ruszyła do drzwi.

- Zaczekaj! Gigi, wracaj! - Byron zastąpił jej drogę. - Victona nie ma nic wspólnego z powstawaniem reklam, zajmuje się wyłącznie zdobywaniem zamówień i dopieszczeniem klientów. Nigdy w życiu nie będziesz musiała z nią pracować, obiecuję, Gigi! Po prostu jest zaskoczona, że stało się to pod jej nieobecność.

- Jeżeli tak reaguje na niespodzianki, to co się dzieje, kiedy ktoś ją sprowokuje? - zapytała Gigi bezskutecznie próbując ominąć Byrona.

- Nigdy nie widziałem, żeby dała się sprowokować - odparł Byron zręcznie blokując wyjście. - Nigdy też nie widziałem jej w takim stanie. Pewnie musiała mieć okropną podróż. Proszę cię, Gigi, nie odchodź. Wiesz, że bardzo cię potrzebujemy, wielbimy twoje teksty i Bóg jeden wie że wszyscy się w tobie zakochaliśmy. Śpisz jak aniołek, a budzisz się niczym kwiat.

- Wszystko to bardzo pięknie - rzekła Gigi usiłując nie zmięknąć na takie słowa - ale śliczna panna Vicky...

- Nigdy nie nazywaj jej Vicky - rzekł David bezskutecznie powstrzymując się od śmiechu.

- Śliczna, serdeczna, uprzejma panna Vicky nie jest w moim typie. Byron, nie możesz zmusić mnie do pracy u siebie więc bardzo cię proszę zjeżdż mi z drogi albo będę zmuszona wbić ci kolano w krocze.

i

26

Zrób to mnie - powiedział David zasłaniając sobą Byrona szeroko rozłożonymi rękami, jakby pokazywał, że nie będzie się bronił. - Istnieje tu pewna hierarchia i płatnym chłopcem do bicia jestem ja.

O, Boże. - Gigi aż się skręciła ze śmiechu. - Nigdy i w życiu nie miałam do czynienia w ciągu jednego ranka z tyloma dużymi, niemądrymi mężczyznami. Czy mamy jeszcze o czym z sobą rozmawiać?

Jeszcze tu jesteś? - Dobra robota, Byron, brawo, David rzekł Archie wbiegając do biura recepcjonistki. - Victoria przeprasza, ale nie może iść z nami na lunch, i prosi cię, Gigi, żebyś przyjęła szczerze przeprosiny za jej niewybaczalne zachowanie. Ma straszliwą migrenę, okres i potwornie się przeziębiła. Dostała też alergii na pyłki albo coś innego w powietrzu, ale jest zachwycona, że przyjęłaś tę pracę.

Jaka szkoda, że nie może iść z nami - rzekła beztrąsko Gigi wiedząc, że właśnie spotkała wroga. - Być może objawy panny Vicky ustąpiłyby, gdyby pozbyła się much z nosa.

2

W środowy poranek w listopadzie 1983 roku, niespełna tydzień przed przeniesieniem się do firmy Frost, Rourke, Hernheim, Gigi przyszła do Scruples II z mocnym postanowieniem zwolnienia swojej sekretarki, Sally Lou Evans, która nigdy nie kończyła roboty zadanej jej przez Gigi, miała

jednak lak nie kończący się i urozmaicony repertuar usprawiedliwień, że zawsze udawało jej się wykręcić. Ładna Sally Lou była bardzo lubiana przez inne sekretarki: zawsze była gotowa podzielić się domowymi ciasteczkami z orzechami, radą na lemat połamanych paznokci czy komplementem z powodu nowej fryzury. Stanowiła wymówkę do zbierania się na pogaduszki, będąc biurowym odpowiednikiem budki z lodami w rodzinnym miasteczku czy najlepszej restauracji dla kierowców ciężarówek przy długiej autostradzie. Gigi nigdy w życiu nikogo nie wyrzuciła z pracy, ale kiedy kierowniczką biura,

Josie Speilberg, której się poskarżyła na Sally Lou, zaproponowała, że zrobi to za nią, Gigi postanowiła sama stawić czoło temu zadaniu.

- Daj spokój, Gigi, zwalnianie ludzi jest nieprzyjemne. Po to jestem ja - rzekła Josie, wczuwając się w narzuconą samej sobie rolę najbardziej niezastąpionej osoby w całej firmie i z góry ciesząc się na zadanie, które wciągnie na listę spraw do załatwienia Wiceprezesa do spraw Zdrowia Psychicznego. Ten oficjalny tytuł otrzymała w zamian za odrzucenie oferty firmy L. L. Bean, która chciała ją zwerbować do siebie.

- Ja ją przyjąłem, ja ją powinnam zwolnić - uparła się Gigi.

- To coś w rodzaju inicjacji.

- Zawsze zwalniałam pracowników w imieniu pani Ikehorn

- to znaczy pani Elliott - powiedziała Josie, bo po wielu latach pracy dla Billy jako ogromnie zamożnej wdowy po Ellisie Ikehornie nie przyzwyczała się jeszcze do jej nowego nazwiska. W trakcie drugiego małżeństwa Billy, z ojcem Gigi Vito Orsinim, Josie nazywała ją panią O., bo na więcej nie chciała się wówczas zgodzić. Jak się okazało, miała dobre przeczucie, bo małżeństwo to utrzymało się zaledwie przez rok, zostawiając po sobie Gigi jako jedyne i trwałe dziedzictwo. Teraz Josie zaakceptowała nazwisko Elliott i używała go zawsze, kiedy o nim pamiętała, bo sobie przypisywała zasługę poparcia trzeciego, szczęśliwego małżeństwa Billy.

- Nie, dzięki, Josie, ale pomówię z Sally Lou otwarcie. Ona nie wywiązuje się ze swoich obowiązków.

- Mogę ci coś doradzić? Istnieje doskonały sposób na zwalnianie ludzi, który ułatwia sprawę wszystkim zainteresowanym. Musisz zacząć od współczującego stwierdzenia: „Sally Lou, widzę, że nie jesteś tu szczęśliwa”. Potem, bez względu na to, co ci odpowie, musisz ciągle powtarzać: „Nie, Sally Lou, wiem, że podoba ci się w tym biurze, ale uwierz mi, ty nie jesteś tutaj szczęśliwa. Wiem, że potrzebujesz tej pracy, ale nie jesteś tu szczęśliwa. Gdzie indziej byłoby ci znacznie lepiej”.

- Josie, jej się tu strasznie podoba. Jest ulubienicą wszystkich, królową babinca. To zabrzmi, jakbym zwariowała.

- Nieważne. Zwolnij ją, tylko w przyjazny sposób. Troszczysz się o nią i o to chodzi.

20

- Idę - rzekła stanowczym tonem Gigi. - Dzięki, Josie. Jak jednak będę mogła kiedykolwiek ci uwierzyć, skoro już wiem, jak rozumujesz?

*

- No i jak poszło? - zapytała Josie, kiedy zauważyła Gigi w biurowej kawiarence w porze lunchu.

- Usiądź, to ci opowiem - zaprosiła ją Gigi. Sprawiała wrażenie oszołomionej.

- Ciężka sprawa, co? Bywa trudno, ale następnym razem będzie ci o wiele łatwiej - rzekła współczująco Josie. - To próba ogniowa. Zwalnianie jest chyba związane z płcią. Mężczyźni nie mają z tym takich problemów.

- Sally Lou podziękowała mi.

- No, no, musiałaś być wspaniała - zdumiała się Josie.

- Podziękowała mi, że zauważyłam, że nie jest tu szczęśliwa. Powiedziała, że za bardzo mnie lubi, żeby coś powiedzieć, ale praca w Scruples II nie daje jej żadnego zadowolenia. Starła się robić dobrą minę do złej gry.

- Cóż za niewdzięczność! Co za tupet, po tym wszystkim, co musiałaś znosić.

- Josie, ona mówiła szczerze. Ulżyło jej, że nie musi sama odejść... straszliwie boi się składania wymowień.

- Nie rozumiem.

- Sally Lou powiedziała, cytuję oszczędzając ci tonu głosu zirytowanej Bette Davis: „To nudne biuro. Nudy na pudy. Nie ma ani jednego faceta do poflirtowania, same kobiety, sympatyczne kobiety, ale kobiety”. Co więcej, kiedy tu przychodziła, z powodu renomy sklepu Scruples spodziewała się czegoś wspaniałego, ale praca przy katalogu jest monotonna. Uważa, że moje teksty są bardzo dobre, ale nie tak zajmujące jak „Kochana Abby”, a u Twórczych Artystów jest wakat dla sekretarki. Zdaje się, że jest tam pełno mężczyzn, a kto wie, do czego może to doprowadzić? Sally Lou mówi, że nie jest tu wykorzystywana jej „umiejętność współżycia”. Ucałowała mnie więc ze wzruszeniem, odebrała pensję i odeszła. Teraz muszę zdobyć nową sekretarkę.

- Dlaczego nie kazałaś jej zostać, dopóki nie znajdziesz kogoś na jej miejsce? - zapytała Josie.

- Nie miałam serca dłużej jej tu więzić. Chciała od razu odejść.
- Wiedziałam, że powinnaś zostawić to mnie - rzekła Josie z oburzeniem w głosie.
- Mogłabyś mi znaleźć kogoś na jej miejsce, Josie, najlepiej faceta? Może będzie mu odpowiadało tutejsze życie towarzyskie.

*

Tego wieczoru Gigi siedziała samotnie przed kolacją nad kieliszkiem wina. Od ponad trzech tygodni mieszkała sama. Zach Nevsky wyjechał na plan do Montany przygotowując się do kręcenia filmu, skąd miał wrócić po kolejnych trzech tygodniach. Od roku wynajmowali stary dom w Hollywood Hills przy Laurel Lane, jednej z licznych, tajemniczych, mało znanych, krętych uliczek wznoszących się wysoko za Chateau Marmont. Była to absolutnie czarująca półruina mniej więcej hiszpańsko-włosko-prowansalskiego domu, zbudowanego w 1927 roku. Był dwupiętrowy i stał na stromym wzgórzu, co ze wszystkich południowo-zachodnich okien dawało widok na Los Angeles.

Dom miał podstawowe wyposażenie, a w ciągu zeszłego roku Gigi zmieniła jego wystrój romantycznymi i cudacznymi znaleźkami pochodzącymi z pchlich targów i z wymiany. Te szalenie różnorodne przedmioty pasowały do siebie dzięki setkom metrów przeróżnych lekko zblakłych, kwiecistych materiałów przymocowanych do wszystkich ścian, zawieszeniu we wszystkich oknach bogato udrapowanych muslinowych firanek i pomalowaniu wszystkich podłóg jasnozieloną, wodoodporną farbą, co sprawiało, że w pokojach panowała wesoła i swobodna atmosfera letniego domku. Przy drzwiach balkonowych Gigi ustawiła sobie okrągły stół. Balkon był duży, a żeliwną barierkę o zawiłym wzorze spowijał właśnie zaczynający kwitnąć biały jaśmin, którego woń przesycała powietrze głęboką nostalgią. Daleko poniżej, po drugiej stronie Bulwaru Zachodzącego Słońca, światła Los Angeles stanowiły tradycyjnie magiczne widowisko przepełnione wszelkimi obietnicami, a co więcej, agent handlu nieruchomościami miał rację. Przy dobrej pogodzie było widać Catalinę. I co z tego?

30

Olgi zdała sobie sprawę, że jest w ponurym nastroju. Ma ciężkie serce. Właściwie jest kompletnie przygnębiona. Nieobecność Zacha zaczęła dawać jej się we znaki i z każdym dniem było gorzej. Kiedy ostatnim razem wrócił z jakiegoś odległego planu - a nie było to tak dawno temu - obiecał, że spróbuje przyjmować tylko propozycje pracy w Los Angeles, bo jako reżyser jest tak popularny, że może wybierać z wielu ofert, Jednak wkrótce tak bardzo zafascynowała go propozycja wyreżyserowania filmu opartego na wyróżnionej nagrodą Pulitzera powieści o życiu w Kalispell w Montanie przed stu laty, że Gigi nie miała serca poprosić Zacha, żeby jej nie przyjmował. Jak mogła odmawiać ślubu z Zachem, a jedno-ciesnie spodziewać się, że będzie odrzucał filmy zaspokajające jego ambicje i pasujące do jego wizji? Gdyby była gotowa porzucić pracę, zostać żoną i jeździć za nim z jednego planu na drugi, to mogliby być razem przez cały czas, ale jakie właściwie byłoby to życie?

Przyznała w duchu, że zna już na to odpowiedź. Nawet kiedy oboje byli w domu, rzadko znajdowali się sami. Stuprocentowa samotność we dwoje nie istniała dłużej niż godzinę czy dwie. Z Zachem Nevskym było to niemożliwe, chyba że spał.

Gigi pamiętała czasy, kiedy razem ze swoją najlepszą przyjaciółką, Saszą Nevsky, wynajmowała wspólnie mieszkanie, kiedy pracowały w Nowym Jorku. Właśnie wtedy poznała brata Saszy, który był reżyserem w teatrach off-Broadway, i była na tyle naiwna, że oczarowało ją jego życie przypominające nie kończące się przyjęcie. Zach miał w teatrze setki znajomych i prędzej czy później wszyscy do niego wpadali bez zaproszenia, żeby spędzić wieczór w ciepłym, ożywym blasku przekonania Zacha o znaczeniu aktorów w świecie. Zbierali się u niego, by pozbyć się

niepewności słuchając jego niepohamowanego, grzmiącego śmiechu, by nabrać odwagi do walki przez sam kontakt z nim i z jego potęgą, z jego fizycznością dokera przeczącą jego bystrości, inteligencji i sprawności, z jaką rozprawiał się z problemami, z którymi do niego przychodzili. W przyływie nagłego gniewu Gigi stwierdziła, że Zach jest jak jakaś cholerna teatralna instytucja. Pieprzona instytucja, wielka sauna, która powinna być betonowym budynkiem, a nie

człowiekiem z ciała i krwi. Wtedy wszyscy potrzebujący, którzy chcieliby mieć jego cząstkę, mogliby wejść do środka i znaleźć schronienie w jego ścianach, a jej zaoszczędzone byłoby złudzenie, że można go kochać jak zwyczajnego mężczyznę. Dziewczyna, która była na tyle głupia, że zakochała się w Instytucji Chodzącej Jak Człowiek, może mieć pretensje tylko do siebie.

Gigi wstała, żeby pójść do kuchni i zrobić sobie kolację, ale zdała sobie sprawę, że nie tylko nie jest głodna, ale jest zbyt wściekła, żeby cokolwiek przełknąć. W takim stanie ducha bała się włożyć cokolwiek do ust nie mając w pobliżu nikogo, kto udzieliłby pierwszej pomocy ofiarze udławienia. Wino było bezpieczne, łatwo się je przelykało. Gigi miała też nadzieję, że ją uspokoi, naląła więc sobie jeszcze jeden kieliszek i wróciła do widoku, który zwykle ubarwiał noc, lecz tego wieczora był tak nudny, jak Scruples II dla Sally Lou. Przynajmniej jednak światła poniżej Gigi świeciły teraz, w przeciwieństwie do gwiazd, których niepokojąco odległe światło biegło całe wieki, nim dosięgło jej oczu. Sącząc powoli wino Gigi pomyślała, że strasznie głupio jest wiedzieć, że patrzy się na blask dawno umarłej gwiazdy.

Wzmocniwszy się odrobiną medytacji nad niedociągnięciami Drogi Mlecznej i ulotnością ludzkiego życia, Gigi spróbowała zastąpić gniew na Zacha irytacją z powodu Sally Lou, ale stwierdziła, iż żywi dla swej byłej sekretarki jedynie współczucie. Oczywiście, że dziewczyna jest znudzona. Wystarczająco nudna zaczynała się stawać własna praca Gigi, a co dopiero musiała czuć Sally Lou, która stykała się z nią z drugiej ręki. Czy zdała sobie z tego sprawę dopiero dzisiaj? Czy tak bardzo starała się unikać coraz bardziej narastającego, nierozwiązywalnego problemu z Zachem, że nie zauważała swego rosnącego rozczarowania pracą?

Gigi pomyślała, że jest to wieczór nieprzyjemnych prawd. Otworzyła drzwi balkonowe i wyszła na powietrze, usiłując uciec przed nasuwającymi się wnioskami. Przy odrobinie szczęścia będzie mogła wyjaśnić swoje myśli paskudnym wiatrem z Santa Ana lub pełnią księżyca. Przyjrzała się niebu i odkryła niewinny srebrzysty sierp oraz bezchmurną, bezwietrzną noc. Żałowała, że nie pali papierosów. Zobaczyła

32

samą siebie, jak wychyla się z balkonu niczym z pokładu odpływającego transatlantyka i ze światową, odważną i stanowczą miną wydmuchuje dym, odwracając się plecami do przeszłości i ruszając na spotkanie ekscytującej, śmiałej, romantycznej przyszłości. Kiedy była w szkole średniej i razem z Mazie Goldsmith oglądała w salce projekcyjnej jej ojca klasyczne filmy, hollywoodzkie gwiazdy grały w nich z papierosami. Może dlatego coś jest nie tak z dzisiejszymi filmami. Żadnych papierosów i, co gorsza, żadnych wymownych cygarniczek.

Zadrżawszy nagle w chłodzie jesienno-powietrza, Gigi musiała wrócić do pokoju, gdzie zwinęła się na kanapie i pomyślała o rozpaleniu ognia i nastawieniu jakiejś muzyki. Tylko, na litość boską, chyba nie Nat King Cole'a, bo napłyną jej do oczu łzy. Albo Patsy Cline, bo zacznie szlochać. Ani nikogo innego, kto śpiewa o odległym kochanku i rozumie, jak Gigi jest smutno i źle.

No dobrze, a co ze Scruples II? Gigi pozbyła się bezowocnych myśli o szczęściu i skupiła się na problemie, z którym potrafiła sobie poradzić. Prawie trzy lata temu, kiedy przyszedł jej do głowy pomysł katalogu nazwanego od słynnego na cały świat, stworzonego przez Billy domu mody Scruples, katalogu dla kobiet pracujących, dla żon i matek nie mających ani zbyt dużo czasu, ani pieniędzy, poprosiła Billy, żeby pozwoliła go jej nazwać Scruples U. Musiała uczciwie przyznać, że to w końcu Spider Elliott namówił Billy, żeby się zgodziła i zainwestowała pieniądze oraz energię w wypuszczenie katalogu, ale teksty wyjaśniające nową koncepcję oraz towarzyszące wszystkim zdjęciom napisała Gigi. Czuła, że jest odpowiedzialna za sukces katalogu w równym stopniu, co Prince, projektant mody pracujący na zlecenie Billy, oraz Spider, który także

zainwestował w katalog swoje pieniądze i zaprojektował jego wygląd, dobierając wszystkie modelki oraz krój czcionek.

Prince stale miał pracę, która dzięki rozwojowi katalogu i zmianom pór roku stwarzała mu coraz to nowe problemy. Spider prowadził całą firmę, bo Billy zostawała w domu /. bliźniakami, i codziennie stawiał czoło nowym wyzwaniom. Oprócz decyzji handlowych, jakie podejmował z braćmi Jones, czuwał nad tym, by grafika każdego numeru katalogu

25

była świeża i kusząca, szczególnie że na dużym rynku, jaki stworzył od podstaw Scruples II, pojawiły się inne, bardzo konkurencyjne firmy. Katalog odniósł ogromny sukces, a dzięki wprawnemu zarządzaniu oraz błyskotliwym pomysłom personelu z każdym miesiącem rozszerzał ofertę. Stanowił część amerykańskiego świata mody - wykorzystywał i oceniał jego modele nawet „Vogue”, doceniając fakt, że wiele z jego zamożnych czytelniczek także kupuje stroje w domu sprzedaży wysyłkowej.

Tak, Gigi jasno zdała sobie sprawę, że wszyscy oprócz niej mają coś nowego do roboty. Sasza, teraz pani Joshowa Hillmanowa, matka malutkiej Nellie, też wróciła z urlopu macierzyńskiego do pracy polegającej na pilnym wyszukiwaniu nowych rzeczy do sprzedaży obok zasadniczego asortymentu kolekcji Prince'a. Gigi zostało tylko pisanie obowiązkowych tekstów, co potrafiła robić śpiąc. Skoro wypracowała odpowiedni styl, można by zatrudnić na jej miejsce jakiegokolwiek dobrego tekściarza, bo ona nie jest już potrzebna. Nie, do cholery, Scruples II przestał być już zabawny, a ona tego nie zauważyła, dopóki nie zwróciła na to jej uwagi Sally Lou.

- Gigi, widzę, że nie jesteś tu szczęśliwa - wypowiedziała te słowa na głos wiedząc, że są prawdziwe. Prawdziwe i nieodwołalne.

Lecz w przeciwieństwie do wściekłości na Zacha było to coś, czemu mogę zaradzić, pomyślała Gigi wstając i chodząc po pokoju. Nigdy nie dała Archiemu Rourke i Byronowi Bernheimowi takiej odmowy, która oznaczałaby całkowite „nie”, do widzenia i powodzenia, nie dzwońcie do mnie, a ja nie będę dzwonić do was. Pozwoliła im starać się namówić ją na przejście do ich agencji, bawiąc się ich pochlebstwami, lecz nie zamierzając skorzystać z ich oferty. Właściwie prawie wcale poważnie o niej nie myślała. Skoro uważa swoje zajęcie za tak wygodne i przyjemne, to dlaczego miałyby wzdychać do pracy w dziedzinie zupełnie sobie nie znanej, wysoce problematycznej, nieprzewidywalnej i stawiającej przed nią nowe wyzwania?

- Bo jestem znudzona - cholernie, kurewsko znudzona! - oznajmiła Gigi w ciszy pokoju, po czym wyszła do kuchni, żeby zjeść coś naprawdę tuczącego.

34

Następnego ranka Gigi obudziła się po kilku godzinach niespokojnego snu, by przekonać się, że przemyślenia poprzedniego wieczoru skrytykowały się w wyraźne postanowienie zmiany pracy. W ciągu jednej nocy Scruples II stało się częścią przeszłości, ukochanym, lecz jeśli chodzi o pracę, zamkniętym rozdziałem. Ponętna, niezapisana przyszłość jawiła się jej teraz w postaci agencji Frost, Rourke, Bernheim. Połykając pośpiesznie śniadanie i błyskawicznie się ubierając Gigi pomyślała, że nie będzie lepszego dnia na dokonanie zmiany i zamknięcie sprawy. Skończyła całą pracę związaną z najnowszym numerem katalogu, a kiedy w zeszłym tygodniu rozmawiała z Archiem Rourke, jego chęć zwabienia jej do świata reklamy jeszcze nie osłabła.

Tak, wiedziała, że słusznie robi odchodząc ze Scruples II, ale pozostaje jeszcze problem oznajmienia tej decyzji Billy, Spiderowi i Saszy. Stanowili dla niej członków rodziny i bała się rozmowy z nimi.

Dlaczego Josie powiedziała, że trudno jest zwalniać ludzi? O wiele gorzej jest składać wymówienie, pomyślała Gigi zatrzymując się przed gabinetem Spidera i wspominając wieczór, w którym napisała wstęp do pierwszego katalogu Scruples II. Do tamtej chwili jedynymi tekstami, jakie pisała, były kartki dołączane do prezentów z jej kolekcji dawnej bielizny, kartki, w których mogła do woli improwizować, na wszystko sobie pozwalać i sprawiać sobie przyjemność nie martwiąc się o czytelniczki. Przed przeczytaniem Spiderowi tego wstępu była tak zdenerwowana, że kiedy mu się spodobał - nie, kiedy go zachwycił - poczuła się dumna, jak nigdy przedtem. Nigdy nie zapomni uniesienia tamtej chwili. Zaczerpnęła głęboko powietrza, otworzyła drzwi gabinetu Spidera i weszła do środka.

Spider był sam i przeglądał stronę całą zapisaną liczbami. Jego wysokie, muskularne ciało było z wdziękiem poskręcane, bo nie wynaleziono jeszcze fotela biurowego, z którego Spider byłby zadowolony. Jak zwykle przypominał Gigi wielkiego, jasnowłosego poganina, który zmienił się w człowieka interesu nie tracąc nic ze swego swobodnego, roześmianego, zmysłowego

czaru. Gigi ucieszyła się, że jest sam. Nie potrafiłaby rozmówić się z nim w czyjejś obecności, a nie chciała się z nim specjalnie umawiać, bo zabrzmiałoby to niepotrzebnie złowieszczo.

- Cześć, masz chwilkę, Spider? - spytała Gigi żywo pamiętając dzień, w którym go poznała. Miała wtedy szesnaście lat i przyjechała do Kalifornii poprzedniego dnia, szukając po śmierci matki schronienia u ojca. Następnego popołudnia, całkowicie zmieniona i oszołomiona przyjaźnią Billy, nową fryzurą oraz ubraniami, weszła do biura w Scruples, gdzie ku ogromnemu zaskoczeniu Billy Spider i Valentine siedzieli całując się na kanapie. Pierwszym słowem, jakie wypowiedziała do niego Gigi, było „gratuluję”, bo chwilę przedtem wyjaśnił, że właśnie się z Valentine pobrali, a pierwszą rzeczą, jaką powiedział do Gigi Spider, było, że jest bardziej wyrafinowana od Billy. Był taki opiekuńczy, tak się nią interesował od samego początku, ten Viking, który stał się jej bohaterem od chwili, gdy padł na niego jej oszołomiony wzrok, ten wspaniały facet, na którego nie mogła być obojętna żadna kobieta bez względu na to, jak bardzo kochałaby innego.

- Ach, Spider, niech to diabli, naprawdę będzie mi ciebie brakować - wybuchnęła Gigi głosem, w którym pobrzmiwał żal.

- Co ci jest! - Spider odskoczył od biurka z niepokojem w oczach. - Jesteś chora?

- Nie, oczywiście, że nie.

- Wychodzisz za Zacha i wyjeżdżasz z miasta?

- O tym nie ma mowy.

- To dlaczego, do cholery, tak mnie przestraszyłaś? Powiedziałaś to tak, jak Ali MacGraw w „Love Story”.

- Przepraszam... ja... och... - Gigi zabrakło słów. Jedyne zdanie, jakie przychodziło jej do głowy, brzmiało: Spider, nie jesteś tu szczęśliwy.

- Gigi - powiedział łagodnie Spider ujmując jej zimne dłonie - mówisz bez sensu. Usiądź i wszystko mi opowiedz. Cokolwiek to jest, jestem pewien, że słyszałem już bardziej tragiczne opowieści.

- Odchodzę ze Scruples II do agencji reklamowej. - Gigi wypowiedziała te słowa najszybciej, jak potrafiła.

28

- Akurat! - Spider poszukał wzrokiem jej oczu. Jak zwykle sięgnął w głąb jej myśli i błyskawicznie je zrozumiał, jak Żaden inny mężczyzna. - Rzeczywiście. Tak, naprawdę odchodzisz, a ja nie mogę nic na to poradzić. Zawsze uważałem, że jesteś ostrożna do przesady, Gigi. To mnie nauczy, żebym nigdy nie traktował żadnej kobiety jako coś oczywistego. Zmieniałaś się bez ostrzeżenia. A może tracę swój instynkt.

- Sama siebie do wczoraj nie znałam, Spider. Najpierw zwolniłam Sally Lou, a potem samą siebie...

- Mogłabyś zdradzić mi więcej szczegółów? - Kiedy Spider śmiał się do niej w ten sposób, prawie zamykając swe przestrzelone słońcem, błękitne oczy, co jeszcze bardziej pogłębiało zmarszczki w ich kącikach, Gigi zawsze wydawało się, że słyszy kłaśnięcie wielkich dłoni. Z ulgą opowiedziała mu o wszystkim, co przyszło jej zeszłego wieczoru do głowy.

A ta agencja, ta Frost i jej faceci, jesteś pewna, że będziesz z nich zadowolona? Przecież jest w Los Angeles mnóstwo innych agencji.

Archie i Byron to fantastyczny zespół. Są bystrzy. Widziałam ich prace, a oni sami też mi się podobają. Moim zdaniem mogą tylko się rozwijać. Po ledwie pół roku działalności w Los Angeles mają zamówienia na około trzydziestu milionów rocznie, a przy tak rozszałej gospodarce reklama to dobry interes. Poprosiłam, żeby kierownik reklamy Prince'a spytał o nich na Madison Avenue, a on się nimi zachwyił. To i alkiem rozsądne, że chcą mnie do reklamy

kostiumów kąpielowych, ja jestem w tym dobra, a poza tym - powiedziała, czując się nagle onieśmielona własnymi ambicjami - uważam, że mogą się zacząć dziać ciekawe rzeczy. Spider wstał i zaczął krążyć po pokoju, spoglądając na Gigi, przypominając sobie tę drżącą, dziwaczną, tajemniczą postać, która tak gwałtownie wkroczyła w ich życie jako nieznana córka / przeszłości Vito, którą kaprys Billy zmienił w swą prawną podopieczną i nieoficjalną pasierbicę. Gigi, bez której żadne / nich nie byłoby dzisiaj razem, Gigi, na której talencie nauczyli się polegać, Gigi, która ich przerosła. Niech to jasna cholera, pomyślał, to jemu będzie jej najbardziej brakować, bardziej, niż powinien jej powiedzieć, więcej, niż Gigi wie lub powinna

wiedzieć. Aby sama mogła pokierować swoim życiem, powinna być wolna. Nie wiadomo, jak daleko może zajść ta kobieta, która tamtej szczególnej nocy, gdy nie poszła z nim do łóżka, nie zdawała sobie sprawy, że Spider nieomal po raz pierwszy w swym bujnym życiu dostał kosza.

- Kiedy chcesz odejść? - spytał w końcu z ciężkim sercem.

- Powinam chyba... odejść natychmiast - odparła stanowczym tonem Gigi - bez dwutygodniowego okresu wymówienia. Na dostarczenie do drukarni następnego numeru katalogu macie ponad siedem tygodni, co na pewno wystarczy na znalezienie i wyszkolenie kogoś do pisania tekstów, a Archie jak najszybciej musi stworzyć ofertę dla Indigo Seas.

Spider zauważył ze smutkiem, że Gigi nie mówi przeproszającym tonem, a jej słowa są nieodwołalne. Już najważniejsze dla niej są potrzeby kogoś innego. Archie! Rzeczywiście, Archie! Co to w ogóle za imię? Czy on ma kamerdynera o nazwisku Jeeves?

- Myślałam o tym jedząc śniadanie - ciągnęła szybko Gigi - i skoro już odchodzę, to powinnam dać im znać dzisiaj, odejść stąd... jutro... żeby mogła do nich przejść w najbliższy poniedziałek.

- Jezu, ty chyba nie masz serca. A co z wielkim przyjęciem pożegnalnym, co ze złotym zegarkiem za dwa i pół roku wiernej służby, a może wolisz srebrny serwis do herbaty?

- Właśnie czegoś takiego miałam nadzieję uniknąć. Proszę cię, Spider, żadnego zamieszania. Josie obarczy mnie takim poczuciem winy, że pęknie mi serce.

- Gdybym chciał, to też mógłbym to zrobić. Nigdy już byś się z tego nie otrząsnęła.

- Ale wiem, że tego nie zrobisz. Dlatego najpierw powiedziałam tobie. Czy mam twoje błogosławieństwo? - zuchwałe usta Gigi, naturalnie układające się do uśmiechu, po prostu się do niego śmiały, podobnie jak jej duże, pięknie wykrojone zielone oczy, tak bardzo przypominające mu oczy Valentine.

- Masz moje szczere błogosławieństwo połączone ze szczerym pragnieniem, żebyś została. Ale słusznie robisz, że chcesz czegoś innego, mądrze wybrałaś odpowiedni czas, a chociaż tak naprawdę nikt nie będzie cię mógł zastąpić, to będziemy musieli dzielnie kontynuować dzieło bez ciebie - wiem, że nie można zrobić prawdziwej kariery wydając katalog, ale agencja P kłamowa to zupełnie co innego, Gigi.

Och, Spider, dziękuję!

Chcesz, żeby powiedział Billy?

Nie, zaraz pojedę do niej do domu. Obawiam się, że nie będzie tak wyrozumiała, jak ty, ale nie czułabym się dobrze, gdybym nie powiedziała jej o tym osobiście.

Dzielna, mała Gigi. Ale nic nigdy nie wiadomo. Billy też, /asami podejmowała ryzyko, chwytając życie obiema rękami i kilka razy zmieniała jego bieg. Może zrozumie mimo tego, że liczy na ciebie.

Może - odparła z powątpiewaniem Gigi. Nawet pod łagodzącym wpływem małżeństwa ze Spiderem Billy była najbardziej wymagającą kobietą, z jaką Gigi miała kiedykolwiek do czynienia, a jednocześnie mogła słusznie uważać się r. \ samodzielnią odkrywczynią Gigi. Odejście ze Scruples II byłoby o wiele łatwiejsze, gdyby nie oznaczało jednocześnie sprawienia zawodu Billy.

Spider pochylił się nad Gigi, chwycił ją za ramiona i przez Chwilę mocno nią potrząsał, niczym przyjaźnie nastawiony lew przekazujący małemu kotkowi jakieś nie dające się wypowiedzieć i skomplikowane myśli. Następnie czule ujął dłońmi jej twarz.

- Pamiętasz, co powiedziałaś, kiedy dawno temu się poznaliśmy?

- Oczywiście. „Gratuluję”.

- Ja też ci gratuluję - rzekł całując ją w policzek. - I powodzenia, kochana Gigi.

- Pani Elliott jest w swoim saloniku, powiedziała, żebyś przyszła do niej na górę - powiedział Burgo O'Sullivan. - Hej, mała, masz minę jak wtedy, kiedy powiedziałem ci, że dziewczynka nie może grać ze mną w pokera.

- No, tak, miałam wtedy szesnaście lat i zaczynałam liceum, więc nawet twoja cotygodniowa partyjka na drobne pieniądze wydawała się lepsza od poznania nowych koleżanek.

- Jak zwykle pełna tupetu. I co, rozbiłaś samochód?

31

Uwiodłaś kolejnego mistrza patelni tuż pod moim bokiem, tak jak było z tym biednym Anglikiem?
- Burgo, kiedy zaczniesz traktować mnie jak dorosłą osobę? - Gigi uśmiechnęła się do Burgo nieprzekonująco. Ten mądry człowiek zajmował się w wielkim domu przy Holmby Hills licznymi nie określonymi, lecz koniecznymi sprawami.

- Zastanowię się nad tym i dam ci znać - odparł Burgo. - Napijesz się może herbaty? Może ukoi twoje rozedrgane nerwy. Wyglądasz tak jak wtedy, kiedy uczyłem cię skręcać w lewo w dużym ruchu.

- Burgo, masz bujną wyobraźnię. Muszę porozmawiać z Billy.

- A więc to nagły wypadek. Nigdy nie przepuszczasz okazji odwiedzin w kuchni.

- Tak jakby. Wpadnę później i wszystko ci powiem.

- Czy to prezent dla mnie? - spytał Burgo spoglądając z zaciekawieniem na białe pudełko z błękitną atłasową wstążką, które Gigi trzymała w ręku.

- Nie, dla Billy z okazji urodzenia bliźniąt. To nie w porządku, że daje się prezenty noworodkom, które nie potrafią tego docenić, a nie matce, która odwaliała całą robotę.

- Rozumiem, łapówka.

- Burgo, jesteś obrzydliwie podejrzliwy, powinieneś się wstydzić. Na razie. - Gigi zastanawiała się, dlaczego Burgo zawsze widzi ją na wylot. Dzięki prezentowi pochodzącemu z jej cennej kolekcji dawnej bielizny reakcja Billy być może okaże się mniej gwałtowna. Ale łapówka? Nigdy!... Chociaż... może jednak?

Mimo udawanego przed Burgo pośpiechu, Gigi szła przez obszerne pokoje powoli. Wibrowały one nieomal barwami i świeżością, a wszędzie pełno było zapraszających do obejrzenia intrygujących, fascynujących wręcz drobiazgów, antyków i kwiatów sprawiających wrażenie, że znalazły się tam szczęśliwym zrzędzeniem losu, a nie dlatego, że Billy nieustannie przestawiała swe skarby.

Znajdujące się na końcu długiego korytarza na piętrze drzwi do saloniku Billy były otwarte.

- Jestem tutaj - zawołała Billy niewyraźnie. Gigi zastała ją pólśiedzącą na kanapie w postawie całkowitego wyczerpania.

32

Krótkie, gęste, ciemne kędziory rozsypały się w nieładzie wokół jej twarzy, powieki ciężko opadały na oczy, a twarz miała bladą i nie umalowaną. Włożyła starą koszulę Spidera i workowate dzinsy i w tej chwili trudno było uwierzyć, że ta wykończona osoba jest wspaniałą Billy Ikehorn, wcieleniem idealnie zadbanej, doskonale ubranej i obsypanej klejnotami kobiety, jakich na świecie istnieje może kilkaset, a z których może tylko dwie lub trzy są tak sławne jak ona.

Spider nic nie mówił, że źle się czujesz - powiedziała / niepokojem w głosie Gigi. - Gdybym wiedziała, że będę ci przeszkadzać, tobym nie przychodziła.

O czym ty mówisz? Nic mi nie jest - odparła Billy zbyt słabym głosem, by dało się w nim wyczuć oburzenie. - Po prosi u właśnie skończyłam kłaść chłopców do łóżka. To najlepsza chwila na odwiedzinę. Usiądź tu obok kanapy.

Czy niania Elizabeth odeszła? - spytała z troską Gigi, kładąc pudełko na stoliku. Od czasu narodzin bliźniaków, Maxa i Hala, odwiedziła Billy w domu tylko cztery czy pięć razy, i to tylko podczas weekendów, kiedy oboje rodzice popisywali się dziećmi. Spider wzorowo wykonywał wlewy ojcowskie obowiązki, a nad wszystkim czuwała doświadczona niania.

Ależ skądże, musi gdzieś tu być, pewnie robi pranie.

Nie rozumiem. Myślałam, że przyjmując na stałe wspaniałą niańkę nie będziesz musiała robić całej czarnej roboty, .i tylko popatrz na siebie... Jeśli jedna niańka nie daje sobie rady, to przyjmij drugą.

Ależ ona świetnie sobie radzi, Gigi. Elizabeth jest najlepszą niańką na zachodzie Stanów Zjednoczonych i obawiam się, że być może nie pozwalając jej nic robić, doprowadzam ją do szaleństwa. Ale jeśli nie będę chłopców karmiła, kąpała, przewijała, kładła i ubierała, to będą myśleli, że ona jest ich matką, a nie ja. To najważniejszy, kluczowy okres ich życia, Gigi, i jeżeli go przegapię, to nigdy go nie odzyskam. Czy wiesz, że gdyby ludzie rośli w takim samym tempie, jak dzieci w ciągu pierwszego roku życia, to mielibyśmy po sześćdziesiąt metrów wzrostu? Więc sama widzisz... - na myśl o wielkości i wadze swego zadania Billy urwała.

- Ależ, Billy, czy nie powinno się mieć pomocy przy bliźniętach?
- Teoretycznie tak, ale ci, którzy tak twierdzą, nie pomyśleli, że w ten sposób jednemu z bliźniąt matka mogłaby poświęcać mniej uwagi. Nie mogę zaryzykować czegoś takiego. Mają cztery miesiące, to bardzo wrażliwy wiek.
- Ja osobiście nie pamiętam niczego z czasów, kiedy miałam cztery miesiące - rzekła Gigi, przezornie tłumiąc śmiech.
- Tak myślisz, ale wszystko, co się wtedy działo, miało swoje znaczenie. Wszystko, uwierz mi.
- Na pewno, ale teraz już za późno. Posłuchaj, Billy, chciałabym ci coś powiedzieć...
- Gigi, teraz powinnaś raczej posłuchać. Jest coś, co naprawdę powinnaś zrozumieć, zanim sama będziesz miała dzieci.
- Możesz być pewna, że na razie nie planuję nic takiego. - Gigi pozwoliła sobie na chichot z dziwnego toku myśli Billy, ponieważ dotyczyły one jej.
- Nigdy nic nie wiadomo, a jeśli w tej chwili nie uświadomię ci prawdy, to istnieje możliwość, że potem zapomnę, bo pierwsze miesiące życia swoich dzieci zapomina się tak samo, jak ich urodzenie... już teraz poród jest dla mnie niewyraźną plamą. - Billy mówiła tonem, jakiego mogłaby jej pozazdrościć każda prorokini. - Posłuchaj uważnie. Noworodki są o wiele sprytniejsze, niż sobie zdajemy z tego sprawę.
- No, dobrze, oczywiście, szczególnie Hal i Max, ale przyszłam tu po to...
- Gigi, w jaki według ciebie sposób niemowlęta panują nad człowiekiem?
- Co?
- Jak panują? Nie potrafią mówić ani chodzić, ale nad nami panują. Mogę się założyć, że nie masz bladego pojęcia, jak one to robią.
- Nie możesz ich zostawić samym sobie, a nie chcesz, żeby opiekowała się nimi niania, więc myślisz, że mają nad tobą kontrolę - odparła Gigi usiłując zawrócić rozmowę na tory rozsądku.
- Błąd! - Billy wyprostowała się. - Tak właśnie wszyscy mówią, bo o niczym nie mają pojęcia! - W jej głosie

42

zabrzmiało takie napięcie, że Gigi ze zdumieniem pochyliła się do przodu. - Panują nad człowiekiem za pomocą oczu, tak, tylko oczu!
- Jasne, Billy - zgodziła się pośpiesznie Gigi. Oczywiście, podobnie jak fioletowi kosmici z innej planety, mieszkańcy statku kosmicznego przylatujący w środku nocy. Hal i Max kontrolują pełną brawury, impulsywną miliarderkę Billy Ike-liorn za pomocą swych błędzących, niemowlęcych oczu. Gigi zapytała samą siebie, czy nie powinna na chwilę wyjść z pokoju i zadzwonić do Spidera. Czy on nie zdaje sobie sprawy, w jaką obsesję wpadła Billy - tylko w obsesję, czy może w prawdziwe szaleństwo? A może to jej dziwactwo wydawało mu się naturalne, ponieważ bliźniaki są też i dla niego pierwszymi dziećmi?
- Widzę, że mi nie wierzysz - powiedziała Billy odgarniając włosy z czoła gestem zbyt znużonym, aby był niecierpliwy. - Podaj mi tę otwartą, niebieską książkę z mojego biurka. Gigi pośpiesznie wykonała polecenie.
- Dzięki - rzekła Billy szukając strony w książce zatytułowanej „Międzyludzki świat niemowlęcia”. - Posłuchaj. To o tym, co się dzieje w pierwszym okresie życia niemowlęcia, irwającym od trzech do pięciu miesięcy, a tyle właśnie mają chłopcy. Słuchasz mnie?
- Tak, Billy.
Billy spojrzała ostro na Gigi, aby się o tym upewnić.

- Dobrze... o, jest. „Niemowlę przejmuje kontrolę nad zapoczątkowywaniem i kończeniem bezpośredniego kontaktu wzrokowego w interakcji społecznej...” A nie mówiłam? fest jeszcze więcej, cytuję: „System wzrokowo-ruchowy jest... zasadniczo dojrzały...” Słyszałaś, Gigi, dojrzały, a potem autor mówi, że „obserwując matkę i niemowlę w tym okresie jego życia widzimy dwoje ludzi - ludzi, Gigi - o prawie iównych umiejętnościach kontrolowania tego samego zachowania społecznego”. Proszę! Nie mówiłam? Równe umiejętności! Oni mają po cztery miesiące, ja czterdzieści lat

1 jesteśmy sobie równi! Potem jest jeszcze gorzej - powiedziała Billy żalonym tonem i czytała dalej. - „Mogą odwrócić wzrok, zamknąć oczy, patrzeć gdzieś obok, zrobić maślane oczy. Dzięki stanowczemu wykorzystywaniu takich technik

patrzenia" - stanowczemu wykorzystywaniu, Gigi! - „potrafią odrzucić matkę, zdystansować się od niej lub przed nią bronić”. Czy to nie potworne! Boże - zawołała Billy i głęboko westchnęła - oni mogą mnie odrzucić. - Zaczepnęła głęboko powietrza i ze smutkiem potrząsnęła głową.

- Ale tego nie robią! - Gigi niemal krzyknęła.

- To zależy od nich, Gigi. Posłuchaj - Billy znów zaczęła czytać. - „Potrafią także, jeśli zechcą, ponownie nawiązać kontakt za pomocą spojrzenia, uśmiechu i wydawania dźwięków”. Przy życiu trzyma mnie tylko ten fragment o ponownym nawiązywaniu kontaktu. - Billy z powrotem opadła na poduszki.

- Kto to napisał? - zapytała podejrzliwie Gigi, podnosząc książkę.

- Sławny psychiatra niemowlęcy, Daniel Stern. To moja biblia. Chciałabym wszystko z niej zrozumieć, ale jest to bardzo skomplikowane. Ale sama widzisz, że mam rację. Hal i Max mają nade mną kontrolę, nic nie mogę na to poradzić.

Gigi pochyliła się nad stronicą, z której cytowała Billy.

- Chwileczkę, Billy, tu jest napisane, że „matki przekazują niemowlęciu kontrolę” - pominęłaś to. Wcale nie musisz przekazywać im kontroli.

- Owszem, muszę. Zobaczysz. Spróbuj zmusić dziecko, żeby na ciebie spojrzało, kiedy tego nie chce. Nie można tego dokonać absolutnie żadną miarą. Albo spróbuj zmusić je do odwrócenia wzroku, kiedy patrzą na ciebie takim łzawym, rozszoszczonym, bezdennie żalonym spojrzeniem, bo czują się nieszczęśliwe. Och, uwielbiam ich, Gigi, ale to takie szatany, takie skończone szatany...

Gigi wstała, wyjęła Billy książkę z ręki i odniosła ją na biurko. Odezwała się głosem pielęgniarki ze szpitala psychiatrycznego mówiącej do kogoś krnąbrnego i zdezorientowanego, potrzebującego jednak raczej słów zachęty niż współczucia.

- Billy, jestem pewna, że wyrosną na przemyśłych chłopców, a nie szatanów. To, jak to się mówi, jest okres przejściowy. Tymczasem, zupełnie z innej beczki, odchodzę ze Scruples II do agencji reklamowej, gdzie będę pisała teksty. Jutro przyjdę ostatni raz do pracy.

- Powtórz. - Billy uniosła się na łokciu.

36

Daj spokój, przecież słyszałaś.

Och, Gigi, tak się cieszę! To cudowne! Niech cię ucałuję! Nie jesteś... nie gniewasz się? Oczywiście, że nie! Masz mnie za aż taką egoistkę? Zastanawiałam się, kiedy rozwiniesz skrzydła, zerwiesz się z **tej** gałęzi i odlecieś. O Boże, Gigi, w twoim wieku spędziłam **sama** rok w Paryżu, zamieszkałam w Nowym Jorku i dostałam ciekawą pracę, miałam mnóstwo kochanków, potem wyszłam za Ellisa, chodziłam w sukniach od Diorana uroczyste kolacje **do** Białego Domu, Ellis kupił mi szmaragdy cesarzowej fózefiny, ranczo w Brazylii i posiadłość na Barbados, byłam na liście najlepiej ubranych kobiet - Boże, czego ja nie robiłam będąc dużo młodsza od ciebie! Późno rozkwitłaś, a Zach to **twój** pierwszy prawdziwy romans. Oczywiście jest cudowny, **ale** lak naprawdę... no, jak by to powiedzieć, nie masz zbyt dużo doświadczenia.

Daruj sobie moje niedostatki - zaprotestowała żywo Gigi. Pomówmy o twoich kochankach - nigdy przedtem nie wspominałaś o tym drobiazgu. Mogłabyś dorzucić trochę **■./t /cgółów?**

To już historia - roześmiała się Billy. - Usłyszałaś to raz, **ale** odtąd wszystkiemu będę zaprzeczać - dodała ze swą zwykłą energią. - Martwiłam się o ciebie. Zacha tak często nie **ma**, a w tej pracy nie wykorzystujesz swoich talentów, lecz wydawałaś się zadowolona z takiego stanu rzeczy... Nie chciałam robić bałaganu w twoim miłosnym gniazdku. To wspaniała, niesłychana wiadomość! Co to za agencja? Może ta **nowa**, która próbowała cię skaptować jeszcze przed urodzeniem chłopców? Frost coś tam?

- Tak, Archie Rourke, Byron Berenson Bernheim III i Vic-**tor**ia Frost.

Ach, tak, pamiętam, córka Millicent Caldwell - powiedziała Billy tonem, jakiego podświadomie używała mówiąc o nieli-i znych kobietach, które uważała za równe sobie. - Jaka ona jest?

Jeszcze jej nie poznałam. Ale chłopaki są fantastyczne.

Żonaci? - zapytała ostro Billy.

- Nie. Boże, ależ ty jesteś konwencjonalna.

Też taka będziesz, jak przejdziesz przez trzy małżeństwa. I Iwóżaj na nich. Żadnych biurowych romansów.

45

- A czy ty nie byłaś sekretarką Ellisa?

- To był wyjątek. - Billy wzruszyła ramionami i lekko się zarumieniła. - Nadal tego nie polecam. Czy Spider już wie?

- Tak, mam jego błogosławieństwo. Wszystko zrozumiał, nawet to, dlaczego muszę odejść tak szybko.

- Ależ, kochanie, nie możemy cię wypuścić bez pożegnania przyjęcia. Josie może je załatwić w godzinę.

Gigi zaczęła jęczeć i narzekać, ale Billy już dopadła telefonu, żeby zadzwonić do Josie, i nie zwracała na Gigi żadnej uwagi. Słyszając w głosie Billy wydającej długi ciąg szczegółowych instrukcji znajomy ton, Gigi zdała sobie sprawę, że nadeszła dobra chwila na ucieczkę przed kolejnymi wywodami na temat potęgi straszliwych bliźniąt. Ucałowała Billy w czubek głowy, pomachała jej ręką na pożegnanie i wyszła na korytarz zamykając za sobą drzwi. Schodząc po schodach natknęła się na ową cudowną niańkę, panią Elizabeth, niosącą kosz świeżo wypranych niemowlęcych ubranek.

- Niani Elizabeth, czy mogę o coś zapytać? - zatrzymała ją Gigi. - Czy mam wyobraźnię, czy też pani Elliott poświęca... zbyt dużo czasu... opiece nad chłopcami?

- Wszystkie niedoświadczone matki zawsze są albo nadgorliwe, albo zaniedbują swoje obowiązki, Gigi. W ciągu dwudziestu lat nie pracowałam u ani jednej normalnej - odparła bez zdziwienia uśmiechnięta, słusznej postury kobieta ze środkowego Zachodu. - Pani Elliott zdecydowanie przesadza - to chyba przez tę książkę - ale nie ma się o co martwić, jest silna jak koń i myślę, że za jakieś dwa miesiące wróci do normy. Martwię się wtedy, kiedy matki nie zajmują się dziećmi. Nie chodzi mi o dodatkową pracę, ale same matki tyle tracą.

- Czy sądzi pani, że niemowlęta kontrolują dorosłych wzrokiem?

- Ależ oczywiście, każdy o tym wie, Gigi. A gdyby nie robiły tego oczyma, to znalazłyby inny sposób, można na te diablęta zawsze liczyć.

38

Po wyjściu Gigi Billy zauważyła pudełko obwiązane błękitną atlasową wstążką. Otworzyła je z rosnącą ciekawością, zdając sobie sprawę, że Gigi zbyt się zajęła rozmową o bliźniakach, żeby jej wręczyć prezent. Pod kilkoma warstwami bibułki znalazła peniuar z lśniącego atlasu o szczególnie zmysłowym odcieniu różu. Był kunsztownie przybrany przy szyi dużymi wstawkami z francuskiej kremowej koronki klockowej. Podobne wstawki, szerokie na dziesięć centymet-**10W**, biegly pionowo aż do samego dołu, gdzie koronka tworzyła szeroką falbanę ciągnącą się po ziemi. Koronka zdobiła też rękawy od łokci do nadgarstków.

Oczarowana Billy zaniósła peniuar do łazienki, gdzie włożyła go przed ukazującą całą jej postać lustrem. Złączyła brzegi peniuaru, całkowicie chowając dzinsy i koszulę. Z lustra patrzyła na nią inna kobieta, kobieta posiadająca wiele uwodzicielskich sekretów, kobieta, o której istnieniu Billy zupełnie zapomniała. Patrzyła na siebie ze zdumieniem i uczuciem, w którym ku swemu zaskoczeniu rozpoznała podniecenie seksualne. Dobry Boże, co się tu dzieje, zapytała samą siebie Billy zaglądając do kartki, którą Gigi dołączyła do prezentu.

Gabrielle, tak, ta boska Gabrielle, która wynalazła „Le Coucher de Gabrielle”, zawsze mówiła, że ten peniuar przynosi jej szczęście, bo miała go na sobie podczas debiutu w Folies-Bergere. Było to pewnego wiosennego wieczoru, oczywiście w Paryżu, w czasie kiedy wszystkie kobiety, bez względu na swoją pozycję społeczną, nosiły pięć warstw bielizny trzymających się na sobie dzięki piekielnemu systemowi pasków, haftek i guzików, które zostały wynalezione po to, żeby ich zdjęcie zajmowało bardzo wiele czasu. Kobiety, a szczególnie nasza Gabrielle, nie chciały sprawiać wrażenia, jakby mógł je z łatwością zdobyć każdy mężczyzna. Każda kobieta wiedziała, że

mężczyźni chcą od niej tylko jednego, a tego właśnie były zdecydowane nie oddać, bowiem ich mamans opowiedziały im o niebezpieczeństwach pobłażania mężczyznom, a mamans dobrze znały zakusy brzydkiego świata. Gabrielle, która za kilka sou mieszkała na małym poddaszu z widokiem na czubki drzew w Parc Montsouris, miała marzycielską naturę, i patrząc na

pączki na drzewach nabrzmiewające w fioletowym zmierzchu myślała o wszystkich nieżonatych mężczyznach z całego Paryża, którzy w tej właśnie chwili wracali do swych pustych, kawalerskich mieszkań. O, Gabrielle o miękkim sercu! Pomyślała, że ci mężczyźni, chociaż niebezpieczni i zepsuci, muszą czuć się samotnie w pustych pokojach. Zrobiło się jej ich żal, a żal ten pogłębiał się w miarę, jak księżyc na nowiu wstępował na niebo. Po chwili przemówiła do niej gwiazda wieczorna. Gabrielle zastanawiała się, czy Życzliwe dziewczę może w jakiś sposób ich uszczęśliwić, nie poświęcając oczywiście tej jednej bezcennej rzeczy? Noc w noc Gabrielle rozmyślała, aż wreszcie wpadła na pomysł, jaki nie przyszedł do głowy nikomu w całej historii cywilizacji, a przynajmniej we Francji, co wychodzi na to samo. A gdyby tak jakaś kobieta, tak skromna, czysta i śliczna jak sama Gabrielle, pozwoliła tym biednym kawalerom patrzeć, jak rozbiera się do snu? A gdyby tak miała pojawić się na scenie, oczywiście starannie okryta różowym peniurem z kremową koronką, na który przez trzy lata odkładała każdego dodatkowego sou? A gdyby tak peniur osunął się na podłogę, a ona sama nie zdając sobie sprawy z wpatrzonych w nią oczu słuchałaby delikatnej melodii granej przez pianistę? A gdyby tak powoli, bardzo powoli, w rytm muzyki, miała powoli rozpiąć wszystkie haftki i guziki i zdjąć pierwszą z pięciu warstw wykwintej bielizny, jaką nosiła każda kobieta? A potem trzy następne? Oczywiście nigdy nie zdjęłaby ostatniej warstwy, koszulki i majtek, bo to nie tylko wzbudziłoby u mężczyzn nieprzyzwoite myśli, ale i sprowadziłoby gendarmerie, która zamknęłaby teatr. Gabrielle zdała sobie sprawę, że na scenie powinien być parawan, za którym mogłaby zdjąć całą bieliznę i włożyć koszulę nocną, białą, wykrochmaloną, lnianą koszulę nocną z wysokim kołnierzykiem, w której śmiało mogłaby się pokazać każda kobieta. Na scenie stałoby też łóżko, proste, białe łóżko, do którego mogłaby się wśliznąć po zrobieniu dwóch szybkich kroków zza parawanu. Umawiając się z dyrektorem Folies-Bergere Gabrielle pomyślała, że być może znajdzie się widownia dla tego przyzwoitego odtworzenia wydarzenia z codziennego życia.

40

Ach, Gabrielle, ulubienico Paryża, Gabrielle, która wynalazłaś le strip-tease powodowana współczuciem dla swych braci, dlaczego nigdy nie pozwoliłaś żadnemu z mężczyzn chcących cię poślubić i dzielić z tobą twoje białe łóżeczko odprowadzić się do domu? Mogłaś wyjść za dwóch królów, dwudziestu pięciu arystokratów i dwustu maklerów, z których żadnemu nie brakowało urody. Czy powodem było to, że co wieczór po przedstawieniu „Le Coucher de Gabrielle” wkładałaś perłowszary aksamitny płaszcz i kapelusz z szarymi strusimi piórami, i kazałaś woźnicy pędzić powozem zaprzężonym w cztery siwe konie do swego dużego domu, którego okna wychodziły teraz na drzewa w Parc Monceau? Czy powodem było to, że z największą chęcią wracałaś pośpiesznie do domu bez króla czy nawet maklera i czuwałaś nad snem maleńkich bliźniaków? Czy powodem było to, o, Gabrielle o miękkim sercu, że zbyt dobrze wiedziałaś, co przytrafiało się kobietom, które słuchały mężczyzn i oddawały im to bezcenne coś, co należało do nich tylko wtedy, gdy nie należało do nikogo innego, bowiem taki jest los? Nie mówiąc już o biologii?

Z serdecznymi ucałowaniem od Gigi

Billy przeczytała kartkę, trochę się pośmiała, trochę popłakała i postanowiła włożyć peniur wieczorem, bo ona też posłuchała mężczyzny i, podobnie jak Gabrielle, niczego nie żałowała.

*

Gdy tylko Gigi wróciła do Scruples II, umówiła się na lunch /, Saszą, która akurat tego dnia była wolna. Ponieważ Zacha nie obchodziło, gdzie pracuje Gigi, o ile tylko była z pracy zadowolona, Sasza Nevsky była ostatnią ważną osobą, której musiała oznajmić nowinę.

I oczywiście jej ojciec. Vito Orsini był w tej chwili w Europie, ale gdy tylko wróci, Gigi zje z nim kolację i omówi całą sprawę. W ciągu minionych lat ich stosunki nabrały ciepła i bliskości. Kiedy Gigi była sama, Vito często zapraszał ją do restauracji, za każdym razem innej, kazał zamawiać najdroższe

dania i rozmawiał z nią na najróżniejsze tematy ze szczerością, jaka według niej nie byłaby możliwa, gdyby normalnie dorastała u ojca w domu.

- Wyglądasz na strasznie z siebie zadowoloną - czy ktoś ci właśnie dał zapas idealnych rajstop wystarczający na całe życie? - spytała Sasza swą najbliższą przyjaciółkę, z którą dzieliła mieszkania w Nowym Jorku i Hollywood, dopóki ponad rok temu nie poznała Josha Hillmana, prawnika Billy, i na pierwszej randce nie zgodziła się za niego wyjść.

- Czuję takie podniecenie i ulgę, że nie wiem, co robić - przyznała się radośnie Gigi. - Bałam się powiedzieć Spi-derowi i Billy, że odchodzę, ale oni oboje uważają, że to świetny pomysł.

- Odchodzisz? Skąd? - Sasza wyglądała na oszołomioną.

- Ze Scruples II

- Co? - krzyknęła Sasza. - Co takiego?

- Nie drzyj się tak, na litość boską, to ci niczego nie utrudni. Dostałam pracę w tej agencji reklamowej, o której ci mówiłam, czy to nie fantastyczne?

- To najgorsza wiadomość, jaką otrzymałam w życiu! Jak możesz mi robić coś takiego, Gigi? O Boże, nie mogę, nie chcę w to uwierzyć, mówisz mi to tak, jakby nie miało to żadnego znaczenia? Dlaczego jesteś taka okrutna?

Z oczu Saszy kapnęły dwie duże łzy i potoczyły się po policzkach, podkreślając jedynie jej edwardiańską urodę, klasyczny profil, głęboki blask czarnych włosów, czarnych oczu i białej skóry, co w połączeniu ze wspaniałym ciałem i ponętym chodem uczyniło z Saszy najlepszą modelkę bielizny na Siódmej Alei, zanim doszłusowała do Gigi w Scruples II.

Gigi spojrzała na nią ze zdumieniem. Sasza, słynna, pozbawiona serca ciemńczyni płci męskiej; Sasza, która w ciągu jednego wieczoru ośwładnęła Joshem Hillmanem, będącym najlepszą partią w Beverly Hills; Sasha, strzeliście wysoka i władcza posiadaczka odpowiedzi na wszystkie pytania - płacze? Nigdy przedtem Gigi nie widziała w tych oczach łez.

- Ależ, Sasza - zaprotestowała Gigi widząc kolejne ogromne krople - to ci nie powinno sprawić żadnej różnicy. Nie zmieni to niczego między nami, zawsze wychodzisz z biura ze

42

swoimi asystentkami, dlaczego płaczesz, na Boga Ojca? Przesłań albo wyjmij przynajmniej chusteczkę, czuję się skrępowana... ludzie na ciebie patrzą.

- Niech sobie patrzą - Sasza przełknęła, a z jej podbródka ściekła na obrus strużka łez. - Ja się nie wstydzę szczerych uczuć.

- Gdybyś mogła mi wyjaśnić... Właściwie jakich uczuć? Nic może ci chodzić o to, że będzie ci mnie brakować w Scruples II, bo w pracy już się właściwie nie widzimy, na pewno nie zazdrościsz mi nowej pracy, bo sama robisz coś lantastycznego... O co ci chodzi? - zapytała surowym tonem < ligi podając Saszy serwetkę. Nie po to spędziła poranek na i u/mowach ze Spiderem i Billy, żeby dzięki Saszy miała się poczuć jak zdrajczyni.

- Jeśli odejdziesz, to... to Scruples II nie będzie tym, czym było - rzekła wreszcie Sasza opanowując głos, chociaż nie przestała płakać.

Bądź rozsądna! To wielka firma, która z każdym dniem robi się coraz większa. Nie jestem niezastąpiona.

- Jasne, każdy potrafi naśladować twój styl, ale ty i ja, **och**, Gigi, to my stanowiłyśmy Scruples II zanim jeszcze powstał katalog... byłyśmy tylko my dwie, moja kolekcja Starych, postrzępionych katalogów gwiazdkowych i twój pomysł na coś lepszego... Jeśli odejdziesz, to zniknie duch, cała **atmosfera**.

Sasza - powiedziała łagodnie Gigi - ten duch zniknął dawno temu, kiedy tylko Scruples II odniósł zdecydowany sukces, przyszli ludzie od reklamy i zaczęli podejmować ważne decyzje. Ty

pamiętasz początki, kiedy Spider, Billy i my dwie coś razem tworzyliśmy wierząc, że mamy rację. Zupełnie jakby aktorzy występujący w sztuce odnoszącej sukces na Broadwayu trzeci rok z rzędu żalowali, że nie grają na próbach przed premierą.

Och, Gigi, taką miałyśmy świetną zabawę! - rzekła Sasza C.losem pełnym smutku, który według Gigi był dziwnie nieuzasadniony, skoro jej przyjaciółka prowadziła życie mogące być uznane przez każdą kobietę za idealne: miała uwielbianego męża, cudowną córeczkę, pracę, z której znakomicie się wywiązywała, i ogromne pieniądze.

- A czy nadal świetnie się nie bawimy? - zapytała Gigi ze zdumieniem.
- Nie! Jesteśmy już dorosłe. Dorosli nie bawią się tak, jak my przedtem, a jeśli jeszcze tego nie wiesz, to wkrótce się dowiesz, poczekaj. - Sasza sprawiała wrażenie przepełnionej żalem.
- Dobry Boże, masz dwadzieścia sześć lat, jesteś mężatką i matką, jeśli nie byłabyś choć trochę dorosła, to miałabyś poważne kłopoty - rzekła Gigi usiłując nie zwracać uwagi na niewyjaśniony smutek przyjaciółki i starając się sprowadzić rozmowę na płaszczyznę rzeczywistości.
- Myślisz, że nie wiem tego wszystkiego? - wybuchnęła Sasza.
- No więc?
- Och, tobie to dobrze. Bawisz się w dom z moim stukniętym, genialnym bratem, możesz flirtować, ile wlezie, próbować tego i owego, w ogóle nie jesteś dorosła i nie musisz stosownie się zachowywać.
- Rozmawiamy o moim odejściu czy o stanie małżeńskim? - zapytała cierpko Gigi.
- Och, nie wiem - odparła Sasza niepewnie - jak wolisz. Powiedz, Gigi - powiedziała błagalnie.
- Nie, ty powiedz.
- Och, Gigi - wybuchnęła Sasza. - Josh jest taki dorosły. Jest solidny, poważny i niezmienny. Przez pierwsze kilka miesięcy nie przeszkadzało mi, że ma pięćdziesiąt lat, ale... chyba nie spodziewałam się, że będzie tak głęboko pochłonięty sprawami, które tak naprawdę nic mnie nie obchodzą... Myślałam, że będziemy jak każde inne młode małżeństwo, razem wszystko zaczynające od nowa, ale teraz... niech to diabli!
- Posłuchaj, Sasza, bądź rozsądna - powiedziała stanowczym tonem Gigi. - Kiedy poznałaś Josha, był współnikiem jednej z najważniejszych firm prawniczych Los Angeles, był filarem społeczeństwa, przecież o tym wiedziałaś, prawda? Czy spodziewałaś się, że jako żona najważniejszego prawnika w firmie Strassberger, Lipkin i Hillman będziesz mieszkała w domku przy wodospadzie?
- A może chciałabyś się nagle znaleźć w roli żony jednego z najaktywniejszych działaczy charytatywnych dla Centrum Muzyki, Szpitala Cedars-Sinai, Okręgowego Muzeum Sztuki

44

i przynajmniej pół tuzina innych szacownych instytucji? Może chciałabyś poznać wszystkie najważniejsze żony w mieście zajmujące się dobroczynnością, utrzymywać z nimi doskonałe siosunki i jadać lunchy. One mają córki w moim wieku, a poza tym wszystkie znają i uwielbiają jego pierwszą żonę? Co powiedziałabyś na uroczyste przyjęcia dobroczynne z niekończącymi się przemówieniami trzy razy w tygodniu, z których nic można się wymknąć wcześniej, bo twój stolik stoi za **bardo** na widoku albo Josh właśnie przemawia? Co powiedziałabyś na to, że on potajemnie uważa, że zamiast chodzić do pracy powinnam zajmować się w domu Nellie, bo tak się robi w jego świecie, ale on to rozumie, bardzo wyraźnie rozumie, bo wie, że musi iść na kompromis, ponieważ ja poszłam na kompromis w tak wielu sprawach?

- To brzmi gorzej niż okropnie!

- Tak. - Sasza pociągnęła nosem w buntowniczej rezygnacji. Czy Josh nie mógłby przestać robić niektórych z tych rzeczy?

Zrezygnował już z połowy poprzednich zajęć - ja wymieniałam tylko te, do których jest najbardziej przywiązany. Nie mogę się spodziewać, że zagłuszy swoje sumienie społeczne... Kocham go między innymi dlatego, że jest takim dobrym człowiekiem, tak rzeczywiście dobrym, kochanym człowiekiem... cholera! Wolałabym, żeby był inny. Albo raczej wolałabym, żeby był taki, jaki jest, ale żeby nie brał w tym wszystkim udziału... czy to brzmi rozsądnie?

Nie bardzo.

Dlaczego żonom nie podoba się to, co mężczyźni robią najlepiej i co sprawia im tyle przyjemności?

Zapytaj swego „stukniętego, genialnego brata” - odparła ponuro Gigi.

Nie, ty też?

Ja też.

No, przynajmniej ostrzegałam cię, nie możesz powiedzieć, że nie - przypomniawszy lojalnie Sasza. - Mówiłam ci, żebyś się z nim nie zadawała.

- Pamiętam bardzo dobrze. Przyznałaś, że jesteś zazdrosna. Powiedziałaś, że Zach jest „twój”. I nazwałaś mnie dziwką.

- Widzisz? Mówiłam, że świetnie się bawiłyśmy!

53

3

Teraz, zaledwie w cztery dni po lunchu z Sashą, Gigi znalazła się w biurze z Davidem Melvillem po powrocie z najbardziej pośpiesznego lunchu, jaki kiedykolwiek podano w „Dome”. Dzięki staromodnym wymiarom budynku ich biuro było raczej prawdziwym pokojem niż normalną komórką zespołu twórczego. Oboje zdjęli buty i położyli nogi na swoich biurkach.

- Posłuchajmy, co masz do powiedzenia na temat kostiumów kąpielowych - odezwał się zachęcającym tonem David.

- To wprost piekielne zagadnienie dla wszystkich kobiet mających ponad jedenaście lat - odparła Gigi stanowczym tonem. - Natomiast ja chcę się dowiedzieć czegoś więcej o Victorii Frost. Podczas lunchu nikt o niej nawet nie wspomniał. Twoi chłopcy kapitalnie bajerowali wojennymi opowieściami o utraconych zamówieniach, świetnymi dowcipami, które można opowiadać kobiecie nie sprawiając wrażenia seksisty, prawie poczułam, jak mi od tego rośnie poziom testosteronu, ale mimo wszystko duch wyraźnie nieobecnej panny Vicky siedział przy stole obok nas. Opowiedz mi o niej.

- Jestem tu dopiero od pół roku, a jej nigdy nie ma w biurze dłużej niż tydzień - odparł niepewnie David.

- Musisz przecież coś wiedzieć, Davy, mój chłopcze - no, mów!

- Nie mam żadnych informacji na temat jej życia osobistego. Naprawdę. Ale pod względem zawodowym jest twarda, doświadczona i wszystkim tu kieruje. Jest naszą oficjalną zaklinaczką deszczu, stale poluje na nowe zamówienia, a kiedy przedstawiamy nasze pomysły ewentualnemu klientowi, zawsze jest kluczowym członkiem zespołu. Victoria szczególnie dobrze rozumie punkt widzenia klienta - „kulturę” klienta, jak ją dziwnie nazywamy, jakby to był jakiś obcy kraj.

- A jeśli kultura klienta odrzuci nasze pomysły?

- Wtedy wracamy do domu, do naszej kultury, i walimy głowami w ścianę, dopóki nie wpadniemy na nowe pomysły albo **nie** umrzemy, zależy, co stanie się prędzej.

M

- Nie próbuje przekonać klienta, że nasze pomysły są dobre?

- To robota twórców. Ona przypomina nam, co mamy robić, żeby utrzymać zamówienie. Victoria to kompromis. A także podlizywanie się klientowi, inaczej znane jako tworzenie więzi osobistej ku jego zadowoleniu.

To kto naprawdę kieruje agencją?

Co? - David wyglądał na zaskoczonego.

- Victoria, czy Archie i Byron?

Wszyscy troje. Oni są właścicielami agencji i dzielą się zyskami, ale nie wiem jak. Arch i By są dyrektorami twórczymi, a Victoria jest dyrektorem zarządzającym i główną specjalistką od zamówień.

A co się dzieje, kiedy się ze sobą nie zgadzają? Ostatnio •dowo mają dyrektorzy twórczy czy panna Vicky?

O tych sprawach nie mam zielonego pojęcia - zaprotestował David. - Ja na te zebrania nie chodzę. Czy masz jakąś teorię, dlaczego tak się na mnie od razu wściekła?

Ostatnio jest ciągle w napięciu, a szczególnie nieprzewidywalna jest po powrocie z Nowego Jorku. Ale moim zdaniem ty po prostu nie wyglądasz jak nowo zatrudniona pracownica, w tym kostiumie sprawiasz wrażenie kogoś na kierowniczym stanowisku, a ten obszar Victoria zarezerwowała wyłącznie dla siebie. Zarządzanie jest zdecydowanie domeną pani Frost.

- Ale w agencji muszą być przecież inni kierownicy - zaprotestowała Gigi - inni szefowie od zamówień, tak jak oprócz Archiego i Byrona są trzy inne zespoły twórcze.

To są wszystko mężczyźni, a ona jest ich całkowitym *capo*. Zatrudniła każdego z nich osobiście. Ogólnie rzecz biorąc reklama to męski interes, szczególnie w FRB. Victoria jest tu jedyną kobietą z siłą przebiccia i zdecydowanie jedyną ubierającą się jak ktoś z zarządu. Wszystkie inne artystki ubierają się bardzo swobodnie z wyjątkiem Ziggy i Joan, które są dyrektorami artystycznymi i noszą się wręcz dziwacznie. Arch i By czasami ubierają się po nowojorsku, szczególnie kiedy składają oferty, tak jak na przykład tobie. Ja się dzisiaj odstawiłem z powodu lunchu. No dobrze, przynajmniej wiem, że to nie było nic osobistego. - Gigi pociągnęła nosem, nie przekonana. W żaden

sposób nie uwierzy, że naruszenie przez nowego pracownika konwencji stroju mogło wywołać taką wrogą reakcję. - Wróćmy więc do ciebie, Davy, mój chłopcze. Jesteś żonaty, samotny czy rozwiedziony? Ciągle jeszcze nie opowiedzieliśmy sobie

o tych intymnych sprawach.

- Nie mamy na to teraz czasu - zbył jej przyjazne pytanie. - W tej chwili mamy zająć się kostiumami kąpielowymi.

- W idealnym świecie żadna kobieta nie powinna musieć obnażać swego ciała w dobrze oświetlonym miejscu publicznym- z wyjątkiem dwudziestu pięciu kobiet urodzonych, nie, genetycznie przeznaczonych do prezentowania kostiumów kąpielowych przez krótki okres ich życia - orzekła trzeźwo Gigi. - Może między siedemnastym a dziewiętnastym rokiem życia, plus ewentualnie jeszcze kilka lat.

- Zamierzasz czy nie pomóc mi sprzedawać kostiumy kąpielowe? - spytał David patrząc groźnie na Gigi. Obiecał sobie, że absolutnie się w niej nie zakocha. O Boże, niech ktoś mu powie, że nie stało się to w chwili, kiedy tylko zdołał się jej dobrze przyjrzeć. Nie ma czasu na miłość, reklama to nie praca, lecz zajmujące szesnaście godzin dziennie powołanie,

1 David przysiągł sobie odłożyć życie osobiste na bok na co najmniej dziesięć lat.

- Gdzie jest to *cappuccino*, które tak bardzo chciałeś mi zrobić dzisiaj rano? - zapytała tęsknym głosem Gigi i dodała smutne westchnienie, od którego Davidowi podniosły się włoski na karku.

- Rynek kostiumów kąpielowych jest ogromny, Gigi - nie ustępował, czując ku swemu przerażeniu, że samo wymawianie jej imienia sprawia mu niewiarygodną, ukrytą przyjemność. - Oznacza to mnóstwo reklam w czasopiśmie, artykułów, wiadomości ze sklepów. Przecież podczas pływania kobiety muszą coś na siebie wkładać, a nie mogą ciągle nosić tego samego kostiumu.

- Szkoda. I szkoda, że nie zjadłam tego obwarzanka, na który, jak pamiętam, namawiałeś mnie wcześniej. Ciągle lesiem głodna.

Badania wykazują - ciągnął stanowczym tonem David, **nie zwracając** uwagi na pałacę pragnienie przyniesienia jej na **kolan*** li i **alego jedzenia**, jakie znajdowało się w biurze - że 56

kobiety najczęściej skarżą się na szerokie biodra, otyłość w talii, sterczący brzuch, trzęsące się pośladki i na inne, normalne po okresie pokwitania zmiany spowodowane grawitacją. Mistrzowie projektowania w Indigo Seas wymyślili wiele sposobów na zmniejszenie tych problemów. Już mnie nie słuchasz, Gigi? Gigi! Być może nie wiesz, ale dwa inne zespoły twórcze, Kerry i Joan i John i Lew też mają przedstawić ofertę dla Indigo Seas. W firmie istnieje bardzo duże współzawodnictwo. Właśnie teraz siedzą w swoich klitkach próbując wymyślić coś tak dobrego, że niedobrze nam się zrobi. Czy zechciałabyś się skupić, na litość boską?

Przepraszam, Davy, myślami byłam gdzie indziej - rzekła Gigi bez cienia skruchy w głosie. -

Właśnie próbowałam Stwierdzić, czy jestem gotowa opowiedzieć ci ze szczegółami, pik straciłam dziewictwo, i okazuje się, że tak.

Nie zareagował, choć serce mu waliło. Czy naprawdę był na tyle naiwny, by mieć nadzieję, że jest jeszcze dziewicą?

- Indigo Seas specjalizuje się w kostiumach, w których tęga kobieta ma szansę nieźle wyglądać.

Mamy ściśle określoną klientelę - ostatnie badania statystyczne wykazują, że otyłych jest pięćdziesiąt osiem procent Amerykanów...

Podobno. - Gigi wzruszyła obojętnie ramionami. - A tak nawiasem mówiąc, jestem spod Barana.

Bardzo chciałbym wiedzieć, po diabła cię zatrudnili? I David zdjął okulary, położył je z trzaskiem na biurku i spojrzał wściekłym wzrokiem na Gigi. Baran, jego feralny znak w miłości. W ciągu

dwudziestu ósmiu lat swego życia był zakochany dwukrotnie, za każdym razem w Baranie. Nawet I osi nos jest przeciwko niemu.

A cóż to ma znaczyć? Nie cierpisz mnie, bo odmówiłam zjedzenia twojego straszliwego jabłka? Rany, nie bierz wszystkiego tak bardzo do siebie! Victoria spędziła kilka tygodni starając się o zaproszenie do przed-i.iwienia tej oferty, a ty jak dotąd masz do przyszłego klienta Stosunek w stu procentach negatywny. Zostałaś jednak zatrudniona, by wytworzyć żądę, Gigi, musisz sprawić, by kobieta l hciała kupić kostium Indigo Seas.

- Żadna będąca przy zdrowych zmysłach kobieta nie chce kupić żadnego kostiumu kąpielowego, ani produkcji Cole'a,

ani Gottexu, ani Sandcastle, a kobieta tęga ma na to jeszcze mniejszą chęć od innych - rzekła z uporem w głosie Gigi.

Naprawdę nie jestem jeszcze gotowa zabrać się do pracy, pomyślała buntowniczo. Archie i Byron ciągle nie znaleźli czasu, żeby przedstawić ją współpracownikom, nigdzie nie było żadnego kostiumu Indigo Seas, na podstawie którego mogłaby się zorientować, jak wyglądają wyroby tej firmy, a nie była przyzwyczajona do wymyślania tekstów reklamowych w pustce - zawsze inspirował ją dany towar, a przynajmniej jego zdjęcia.

- Musimy zmusić je do odczuwania żądy - nie rezygnował David.

- To nielogiczne. Nie można wymusić żądy, mój chłopcze. Żądza jest mimowolna, sprawdź sobie w słowniku.

- Ale nie w FRB, Gigi. Tutaj tkwi zasadnicza różnica między myśleniem według kryteriów katalogowych i reklamowych. U nas stwarzamy żądę. Lepiej weź się do roboty, Gigi. Wykaż się odrobiną entuzjazmu, do cholery!

Gigi się zdenerwowała, wstała i dziarsko zasalutowała.

- Ależ ja tryskam entuzjazmem, sir! Proszę jeszcze raz pokazać mi cel, jestem gotowa do startu o świcie. Bomby poszły, sir! - Chciał entuzjazmu, to go będzie miał.

- Przestań się wygłupiać.

- Tak jest, sir. - Zasalutowała jeszcze raz.

- Mówię poważnie. Mamy pracę do zrobienia.

- Oczywiście, sir.

- Jeśli jeszcze raz zasalutujesz, to wyrwę ci rękę.

- Tak jest, sir.

- Siadaj, do cholery!

- Tak jest, sir!

- Jeżeli jeszcze raz powiesz „sir”, to ci urwę głowę.

- Jak chcesz, Davy, mój śliczny chłopcze - powiedziała Gigi siadając i czując się nieco bardziej sobą. Odrobina buntu, nawet czysto symbolicznego, jak zawsze ją odświeżyła.

- To takie podniecające pracować z kimś innym... Nigdy przedtem tego nie robiłam... może dałam się oszołomić twoim starszeństwem. - Gigi zatrzepotała rękami i dla zabawy

50

obdarzyła go bezwstydnym kokieteryjnym, nieodparcie zniewalającym uśmiechem. Czy David zdaje sobie sprawę, że kiedy zdejmuje okulary, jego interesujące jasnobrazowe, pokryte plamkami oczy okazują się zdumiewająco duże? Krótkowidzowie po zdjęciu okularów zawsze nabierali szczególnej atrakcyjności.

- Dlaczego się do mnie tak uśmiechasz? - zapytał David zastanawiając się, jak może odłożyć na bok życie osobiste, skoro jedyne życie osobiste, jakiego pragnie, siedzi tu z nim w pokoju.

Bo chcę pana doprowadzić do szaleństwa... sir.

- Kostiumy kąpielowe tak naprawdę guzik cię obchodzą, co?

Brak zespołowego ducha zawsze był moim problemem, sir.

To zamówienie jest warte siedem milionów dolarów. Dla niektórych to niewiele, ale dla agencji jak nasza to bardzo dłuży. A Indigo Seas to poważna firma o wielkich możliwościach rozwoju.

Aj aj aj!

Masz słownictwo ośmiolatki.

- Siedem milionów, ależ to prawie wystarczyłoby do /robienia naprawdę taniego filmu - zadrwiła Gigi. Ten biedny ciemniak jest za poważny. Musi zmusić go do uśmiechu.

Gigi, nadal tracimy czas.

Przeciwnie, poznajemy się, pozbywamy się osobistego bagażu, jak podsunął Archie. A może to był Byron?

Nie chcę usłyszeć, jak straciłaś dziewictwo, Gigi, zmieniłem zdanie. Nigdy nie chcę się o tym dowiedzieć.

Ależ to rani moje uczucia. Jeśli nie chcesz słuchać teraz, będziemy musieli przez to przejść później. To nie jest temat, który możemy opuścić, jak trzecią klasę w szkole. Ale dobrze. (hwyciła żółty notatnik i ołówek.

Davy, nazywasz klientki naszego klienta tęgimi. Oboje wiemy, że tak naprawdę chcesz powiedzieć grube. Prawdopodobnie zgadzamy się, że gruba nie jest słowem, dzięki któremu ten produkt dobrze się sprzedaje. Nawet pulchna nie brzmi dobrze. Nie moglibyśmy więc pomyśleć o naszych

klientkach jako o osobach obfitych kształtów? Obfitość to wspaniałe pojęcie, mnóstwo pyszności do jedzenia i picia, starczy dla wszystkich, radość i wygoda.

- Jasne. Ja tu tylko jestem dyrektorem artystycznym. Jeśli o mnie chodzi, to nigdy tęgie, zawsze obfite.

- W Scruples II sukienki dla kobiet o obfitych kształtach sprzedajemy na tony. Nazywamy je „Dolly Moonki”.

- Jak, do diabła, udało wam się wykorzystać nazwisko Dolly Moon? Jej ostatni film z Dustinem Hoffmanem był najlepszy! - David wyprostował się w fotelu.

- Dolly jak zwykle próbowała zrzucić wagę, więc stwierdziła, że do zachowania diety będzie ją motywowała niechęć do noszenia Dolly Moonki i pozwoliła nam używać jej nazwiska. Dużo też pomogło to, że jest najlepszą przyjaciółką Billy.

- Oczywiście nie możemy jej zdobyć dla Indigo Seas.

- Nie. Ale chodzi mi o to, że nie fotografowaliśmy Dolly Moonki na szczupłych modelkach, tylko na kobietach o naprawdę obfitych kształtach. Takie kobiety doskonale wiedzą, że są tęgie. Są słusznie podejrzliwe i wściekają się, kiedy pokazuje się im szczupłe modelki ubrane w stroje przeznaczone dla nich. Nie ma nic złego w obfitych kształtach, u niektórych kobiet jest to wrodzone, u innych nie. W żadnym innym stuleciu - nawet na początku naszego - ten problem nie istniał. Wielu mężczyzn, a jest ich zdumiewająco duża grupa, nie ma nic przeciwko obfitym kobietom. Nigdy nie wolno nie docenić uroku otyłych kobiet. Kiedy jednak kupują kostiumy kąpielowe, zgrzytają zębami i nie cierpią tego robić, więc odkładają zakupy na jak najpóźniej. Żeby chociaż zwabić je do sklepów, musimy zrobić z kostiumów obiekt chętnie kupowany - ale żądza nie wchodzi w rachubę.

- Zamieniam się w słuch.

- Agencja Niny Blanchard ma całą listę modelek, które nabrały zbyt obfitych kształtów, żeby pracować. Tam znajdowaliśmy je dla Scruples II. Może pokażemy towar na najbardziej wyzywająco otyłej i najładniejszej modelce, jaką uda nam się znaleźć? Zrobimy z niej naszą dziewczynę z plakatu Indigo Seas?

- Nno... tak... może - powiedział powoli David. - Nigdy czegoś takiego nie było, co nie znaczy, że nie może być.

60

Może dodać jej jakiegoś faceta? - zastanawiała się Gigi.

Nie, widzę ją samą w basenie, bujną Wenus w turkusowej Wodzie... nie pływa... wystrzeliwuje z wody, prosto z dna basenu, wokół niej błyszczą w powietrzu rozprysnięte krople wody, bujne ramiona, gęste włosy odgarnięte z twarzy i szeroki Uśmiech, wspaniałe zęby - a z towaru widać tylko tyle, że rewelacyjnie podtrzymuje bujną parę obfitych piersi - żadna I kobiet nie uskarża się na duży biust.

I hasło reklamowe brzmi: „Czy jesteś wystarczająco kobieca dla Indigo Seas?”

Tylko tyle?

Nie potrzeba więcej.

„Wystarczająco kobieca”... nie chcesz tego jakoś wzmocnić? Podkreślić? Dać czegoś o projektantach, którzy wiedzą, co mają zmniejszać?

Nie - odparła stanowczo Gigi. - Kiedy na tyle zaciekawimy kobiety naszym hasłem, że pójdą do działu kostiumów kąpielowych, same się o tym przekonają. Najtrudniejszą rzeczą jest w ogóle je tam zwabić.

Dobra. Tak to będzie wyglądać. - David narysował . o s flamastrem na kawałku specjalnej kalki i pokazał Bkic Gigi.

Jesteś naprawdę dobry - powiedziała.

- Tak. Dlatego pozwolili mi pracować z tobą. To nagroda **lamiast** podwyżki.

- Ilu jeszcze pomysłów potrzebujemy? A ile masz?

Jeszcze nie wiem. Dopiero zaczynam. „Wystarczająco **kobieca**” - to mogłoby być „Dla kobiety, która jest cała kobieca - Indigo Seas.” A może użyć przymiotnika „**obfity**” po włosku - *abbondanza* - i mamy pytanie „Czy **jesteś** *abbondanza*”, a potem pójdzie lista rzeczy jak... och, uczysz się tańczyć tango, gotujesz z przepisów w czterech ic/ykach, pełno u ciebie dzieciaków z sąsiedztwa, gwizdziesz na robotników budowlanych, wygrywałaś nagrody za pieczone, masz pięć fantastycznych czerwonych sukienek, ■.piewasz jak Dolly Paeton, świetnie obciążasz fiuta - a potem mówimy: „Indigo Seas, kostiumy kąpielowe dla kobiet / *abbondanza* - i załatwiamy jako modelkę Sophie Loren.

53

Reklamuje okulary, ma wspaniałą rowek między piersiami, jest wcieleniem *abbondanzy*, dlaczego nie mielibyśmy spróbować jej załatwić?

- „Obciążasz fiuta”! Nie możesz umieścić takiego tekstu!

- Davy, na litość boską... chyba cię zaszokowałam. Zaczzerwieniłeś się! - Gigi przewróciła oczyma z przewrotnej radości. - Chciałam się tylko upewnić, czy mnie słuchasz.

- I to uważnie. - David pomyślał, że chyba miał rozmyty wzrok, bo wyobrażał sobie Gigi zdejmującą malutki, skurczony kostium kąpielowy zrobiony przez Indigo Seas.

- Próbuję stworzyć beztroski, niezbyt poważny nastrój, pasujący do zagadnienia kostiumów kąpielowych. Kobiety uwielbiają testy polegające na odfajkowywaniu pytań, sama to robię, gdy tylko mam okazję. Cholera! Właśnie zdałam sobie sprawę, że nie mam *abbondanzyl* Nigdy nie gwizdzą na robotników budowlanych.

- Nie zmieniaj tematu, skoro tak dobrze ci idzie - poprosił błagalnym tonem David. - Potrzebujemy przynajmniej czterech pomysłów, które naszym zdaniem naprawdę chwycą, i kilka innych nie tak dobrych, żeby Arch i By mieli co odrzucić. Poza tym kiedy dojdziemy do spotkania ofertowego, będziemy musieli pokazać, że próbowaliśmy wielu podejść i badaliśmy różne możliwości. Ale nie za dużo, nie wolno oszołomić klienta.

- Rozumiem, co miałeś na myśli mówiąc o waleniu głową w ścianę. Gdybym nie była kobietą, nie znała Dolly Moon i nie wiedziała, jak traktuje swoje ciało, to mogłabym się zastanawiać, jakiej następnej szukać pracy - rzekła z namysłem Gigi. Nagle wstała z determinacją we wzroku.

- Musimy przyjrzeć się prawdziwym, żywym kostiumom kąpielowym, Davy. Chodźmy do działu sportowego Nord-stroma i przeprowadźmy głębokie badania terenowe. A potem wpadniemy do Wydziału Ruchu i pogadamy z paniami czekającymi na badania wzroku. Mój stary zawsze powtarza, że to najlepsza grupa opiniodawcza. Nie trzeba im płacić, a one uwielbiają mówić.

- Posłuchaj, Gigi, przepraszam, że powiedziałem, że nie jesteś poważna, że kostiumy kąpielowe guzik cię obchodzą.

- Znasz motto firmy Chiat Day: „Nie traktuj swojej pracy poważnie, ale z pasją”? To właśnie krok po kroku staram się

62

osiągnąć. Hej, Davy, przestań! Ani mi się waży szukać kluczyków. Jedziemy moim nowym, czerwonym autkiem.

*

Wiedziałeś, że mam kuzyna, który zarobił prawie miliard RB pasażach handlowych? - spytała Spidera Billy. Siedzieli przy kominku popijając aperitify przed kolacją, bo bliźniaki zostały w końcu zapakowane do łóżeczek.

Nie. Jak się nazywa?

Winthrop, Ben Winthrop. Właściwie Benjamin Warren Saltonstall Winthrop, niczego nie opuściłam. Mówi ci to coś?

Bardzo dużo. Według „Forbesa” to jeden z najbardziej **agresywnych** ludzi interesu lat osiemdziesiątych, chociaż terminologia tam użyta jest łagodniejsza. Nie wiedziałem, że jesteście kicwnymi. Ma siedzibę w Nowym Jorku, a nie w Bostonie.

Może i tak, ale należy także do strasznego plemienia /tych kuzynów, którzy mnie prześladowali, kiedy dorastałam w Bostonie. Były ich dziesiątki, a wszyscy byli okropni. Nie pamiętam nikogo o imieniu Ben, ale zadzwonił dziś po południu i przekonał mnie co do swej tożsamości. Warrenowie to ta część rodziny, która przypląnęła na „Mayflower”.

Wygląda na to, że mimo tej całej genealogii jego krew nie jest tak bardzo rozrzedzona.

Powiedział, że przyjechał w interesach i chciałby mnie odwiedzić. Nie byłam w Bostonie od ślubu z Ellisem, a od pogrzebu ciotki Cornellii, kiedy miałam dwadzieścia cztery lata, nie widziałam żadnego z kuzynów. Zupełnie sobie nie przypominałam z tamtych czasów żadnego Bena Winthropa.

Zaprosiłaś go?

Oczywiście, kochanie. Czy mogłabym przepuścić okazję popisania się tobą przed kimś z tej snobistycznej, hermetycznej -p zadowolonej z siebie bandy, która tak strasznie mi dokuczała, kiedy byłam biedną, małą dziewczynką? Czy mogłabym pominąć okazję popisania się bliźniakami? Chyba odwróciłaś porządek przedmiotów twojej dumy powiedział Spider godząc się czasowo na drugie miejsce.

Nie bardzo. W każdym razie przyjdzie jutro na kolację. Zaprośmy Gigi, jest sama, a ja umieram z ciekawości, jaka jest i jej nowa praca.

55

- Minęły dopiero dwa dni.
 - To prawda, ale co powiesz o znaczeniu pierwszych wrażeń? Kiedy tylko mnie poznałeś, stwierdziłeś, że jestem zimną suką.
 - A nie byłaś?
 - Jasne, że tak. I jestem z tego dumna. Przynajmniej mam ten okres w życiu, bo teraz mam wyprany mózg, chodzę boso, nie wychodzę z kuchni i jestem w ciąży.
 - Znowu? - zapytał łagodnie Spider.
 - To taka przerośnia.
 - Co za ulga.
 - Nie chcesz więcej dzieci? - zapytała Billy żałośnie. - Nie chcesz małej dziewczynki?
 - Oczywiście, że chcę, ale nie w tej chwili, kochanie. Wolę zaczekać, aż Max i Hal przestaną cię kontrolować wzrokiem i nawiążą kontakt słowny, w którym będziesz mogła z nimi wygrać.
- *

Wychylając się przez okno samochodu, aby podać swoje nazwisko strażnikowi pilnującemu w solidnej stróżówce wjazdu do posiadłości Billy przy Holmby Hills, lekko zdumiony Ben Winthrop zadał sobie w duchu pytanie, czy jego kuzynka Billy Winthrop także zabiera wszędzie ze sobą dwóch goryli. Pomyślał, że tu jest zupełnie jak w Houston, w tym wielkim, błyskawicznie rozrastającym się mieście, gdzie jeden z jego najbogatszych znajomych wybudował na dachu swego domu wieżę strażniczą obsadzoną przez dwadzieścia cztery godziny na dobę ludźmi z bronią maszynową. Potwornie bogaci ludzie w Bostonie i w Nowym Jorku, łącznie z tymi, którzy mieli tyle pieniędzy - no, prawie tyle - co Billy Ikehorn, byli widziani na ulicach, w taksówkach, a nawet w metrze. To chyba jednak przesada? A może nie? Mimo wszystko mało jeszcze wie o złożonych rytuałach rządzących bogactwem w Los Angeles, chociaż zamierzał szybko zostać ekspertem w tej dziedzinie.

Los Angeles fascynowało Benjaminą Winthrop od lat. W jego planach umieszczenia swoich pasażów w pewnych uprzywilejowanych częściach świata było to ostatnie amerykańskie pogranicze przed Hawajami. Mając obecnie trzydzie

64

ści pięć lat, nastolatkiem był w latach sześćdziesiątych, który to fakt mógł sprowadzić chłopca o mniej sprecyzowanych ambicjach na manowce. Ben przeżył jednak te zwodnicze, pulsujące lata nie czując najmniejszej pokusy odlotu, włączenia się czy zostania dzieckiem-kwiatem. Tak jak miliony jego rówieśników postawiły na rock and rolla, on już we wczesnej młodości postawił na nieruchomości i będąc na pierwszym roku na Uniwersytecie Harvarda zaczął kupować tereny pod pasaż handlowe, pożyczając pieniądze na poczet majątku, którego objęcia spodziewał się po skończeniu dwudziestu jeden lat.

Jego ojciec uważał coś takiego za niezwykle niebostońskie. Nic podobała mu się działalność tak bardzo odbiegająca od tego, co uważał za właściwe wykorzystanie zdrowego zmysłu do interesów.

- Zamiast próbować pokrywać dobrą ziemię paskudnymi parkingami i wstrętnymi sklepami, powinieneś planować we-ście do firm rodzinnych, z których wiele i tak w końcu odziedziczysz - powiedział sucho siedząc w bibliotece swego wielkiego domu przy Mount Vernon Street. - Taki umysł jak twój powinien być wykorzystany do zachowania i pomnożenia H.dzinnego kapitału oraz ochrony instytucji publicznych, których istnienie zależy od naszego wsparcia, a z pewnością nie do czegoś tak zasadniczo prostackiego i estetycznie niemoralnego, jak te obrzydliwe pasaż. Dlatego postanowiłem nie inwestować w twoje interesy.

Ben stwierdził w duchu, że bez względu na to, jak wielu pewnych siebie, prostych *pistoleros* położyło podwaliny pod i od/inną fortunę, jego ojciec wyraźnie nie ma w sobie nic / kapitana klipra. Tym gorzej dla staruszka. Miał obowiązek dać własnemu ojcu możliwość wejścia frontowymi drzwiami, ale drugiej szansy nie będzie.

Ben Winthrop uznał odmowę ojca za koronny dowód na to, że jego plan założenia bazy dla przyszłych działań w Nowym lorku jest słuszny. Na bostoński klimat decyzji finansowych i / csto wpływały oceny moralne. Ben uważał, że ostrzegł go I ewis Carroll w Alicji w Krainie Czarów. „Nie, nie, moje ,l/iecko - odparła Księżna. - Każda rzecz ma swój morał, li/eba go tylko umieć znaleźć”.

Już dawno temu, w wieku, kiedy ciągle jeszcze dostawał książki dla dzieci, Ben stwierdził, że nie ma ani chwili do stracenia i że moralność go nie interesuje. Nikt jeszcze nie zbił majątku trzymając się moralności. W ciągu ostatnich piętnastu lat Ben Winthrop osiemset razy został milionerem, zarówno dzięki swym pasażom handlowym, jak i innym inwestycjom robionym niejako przy okazji, szczególnie w transporcie. Zawsze był gotów wykorzystać każdą szansę, a bogowie możliwości, traktowani z taką atencją, sownie go nagradzali.

Chociaż szybko odnoszone sukcesy mogłyby wskazywać na to, że Ben Winthrop jest człowiekiem niecierpliwym, taki osąd byłby niewłaściwy. Posiadał on wrodzoną zdolność oceny, kiedy cierpliwość, zawzięta i nieubłagana cierpliwość wynagrodzi mu daną inwestycję, a w sztuce czekania, obserwowania i pielęgnowania własnych planów do chwili, gdy osiągały idealną dojrzałość, był mistrzem. Wtedy rzucał się i chwycił w całości to, czego chciał. Cokolwiek posiadał, chciał posiadać w pełni. Pojęcie dzielenia się było mu obce i głęboko niesmaczne. Kobiety, których pożądał, traktował podobnie jak inną własność, zjednując je sobie z celowo usypiającą cierpliwością pielęgnowaną do ściśle określonej, odpowiedniej chwili. Znał siebie na tyle dobrze, by docenić zalety swego nieco akademickiego wyglądu, skrywającego jego drapieżną osobowość. Ukończył Uniwersytet Harvarda z wyróżnieniem, wykazując prawdziwe zainteresowanie literaturą, historią oraz umiłowanie piękna we wszystkich jego przejawach. Największą przyjemność sprawiało mu robienie pieniędzy, kochanie kobiet i oglądanie pięknych przedmiotów. Kiedy jakaś kobieta czy przedmiot uderzył go jako szczególnie wartościowy, zdobywał go za wszelką cenę.

Ben Winthrop nie miał pojęcia o wielkości swej dumy. Zdziwiłby się, gdyby ktoś nazwał go niemoralnym. Czasami mawiał do siebie, uśmiechając się w duchu, że jest amoralny, że jest człowiekiem, do którego nie można stosować błahych osądów moralnych, ponieważ wyszedł poza wąski świat moralności i własnym wysiłkiem wzniósł się do racjonalnej sfery braku moralności, w której egzystują ludzie rozsądni i bogaci, obserwowani z zadrością przez tych, co nie potrafili skoczyć tak wysoko.

58

Ben Winthrop zawsze bardzo interesował się drugą wybitną buntowniczką wielkiego klanu, Billy Ikehorn, której działania stopniowo przybrały formę rodzinnej legendy. Kiedy wyjechała z Bostonu, był dzieckiem, a kiedy poślubiła Ikehorna, miał zaledwie siedemnaście lat. Doskonale jednak pamiętał, jak kobiety rodu omawiały podczas niedzielnych obiadów przyciszonymi głosami temat córki Josiaha Winthropa, co było bostońskim odpowiednikiem pełnego oburzenia plotkowania. Czytał o jej budowaniu Scruples z aprobatą, jaką miał dla wszystkiego, co ujawniało ducha przedsiębiorczości, może z wyjątkiem nieudanego napadu na bank.

Oddając samochód w ręce Burgo, Ben Winthrop szybko otaksował wielki dom i otaczający go rozległy ogród, miękko oświetlony nocnymi światłami. Doskonale znając się na wszelkiego rodzaju nieruchomościach, nadal ekscytował się na widok ideału, nawet jeśli nie można tam było wybudować pasażu handlowego. Otworzyła mu pokójówka. Podeszedł do Billy swym charakterystycznym, szybkim i długim krokiem zawsze śpieszącego się człowieka.

- Witaj, kuzynie - rzekła Billy przyglądając się jego twarzy. - Nie mogę powiedzieć, żebym cię pamiętała.

- To zapewne dlatego, że nigdy się nie spotkaliśmy. Stanowiłem część następnej fali kuzynów. Dopóki nie podrośliśmy, twoja grupa nie bardzo zadawała się z nami.

- Moja grupa nigdy nie zadawała się ze mną - odparła obojętnym tonem, z jakim człowiek uczy się mówić o najgłębszych ranach dzieciństwa.

Przedstawiając Bena Winthropa Spiderowi Billy stwierdziła, że trudno go nie zauważyć w tłumie. Miał pociągłą twarz o twardych rysach, szczupłe, twarde ciało, silny uścisk szczupłej dłoni i powolny, całkowicie przekonujący uśmiech, który nawet przy powitaniu był pełen namysłu, jak gdyby nie był wywołany automatycznie, lecz dzięki jakiejś wewnętrznej decyzji.

Po schodach zeszła niania Elizabeth i pokazała gościowi Maxa i Hala. Billy obserwowała, jak jej nowy kuzyn uważnie się im przygląda, rozsądnie nie podając im palca pokrytego

obcymi bakteriami, których mogliby dotknąć, a potem, Boże broń, przenieść do ust. Zamiast tego pogłaskał ich po podeszwach stóp, i to z większym zainteresowaniem, jakiego Billy normalnie by się spodziewała po kawalerze.

- Nie mam dzieci, ale ich nieopisanie cudowny zapach bardzo na mnie działa - powiedział, gdy niania odniosła zaspany duet na górę. - Mnóstwo ich oglądam, bo moi znajomi rozmnażają się jak króliki, ale nigdy jeszcze nie zetknąłem się z tak znaczącym spojrzeniem, jak u twojej dwójki. Czuję się, jakby przeświecili mi mózg i orzekli, że ledwo się nadaje. Czy ja się mylę, czy są to szczególnie doskonałe okazy swego gatunku?

- Nie, to mieszańcy - rzekł Spider.

- W takim razie uznaję swój błąd.

Billy pomyślała, że sprytny chłopak, a raczej sprytny mężczyzna z tego Bena Winthropa. Spojrzała na niego z nowym zainteresowaniem. Miał wysokie i lekko pobrużdżone czoło nadające mu prawie intelektualny wygląd, mnóstwo niesfornych brązowych włosów, które mimo dobrego strzyżenia układały się w różnych kierunkach, spory, nierówny, charakterystyczny nos, doskonale nadający się do głaskania niczym nos inteligentnego psa, zdecydowanie wykrojone, długie i cienkie usta oraz niezły podbródek. Jego oczy miały nieokreślony, szarobłękitny odcień zmiennego zimowego morza, a sposób ich osadzenia nadawał mu godny zaufania i otwarty wygląd, chociaż Billy wątpiła, czy byłyby to cechy potentata handlowego. Był co najmniej o siedem centymetrów niższy od Spidera, może nawet nie miał stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu, i dobrze się poruszał, panując nad otaczającą go przestrzenią. Billy pomyślała, że Ben ma w sobie coś z profesora, z oksfordzkiego wykładowcy, co prawdopodobnie zawdzięczał wychowaniu się w Bostonie.

Zastanowiła się, jakby wyglądał jego fiut, kiedy się podniecił. Dobry Boże! Skąd jej to przyszło na myśl? Miała takiego bzika na punkcie Spidera, że inni mężczyźni dla niej nie istnieli. Skąd, u diabła, przyszła jej do głowy taka oburzająco nieodpowiednia myśl?

Spider rozmawiał z Benem, a Billy wstrząśnięta swoimi myślami spokojnie sączyła szampana. W końcu stwierdziła, że

6S

to pytanie tylko dowodzi, iż stare nawyki nie tak łatwo znikają, mimo że jest kryształową żoną i czcigodną matką. A może znaczy to, iż Ben Winthrop jest tak seksowny, że podobnymi myślami zabawia się każda kobieta, która go pozna? Wolała to drugie wyjaśnienie, chociaż czasy, kiedy w ten sposób myślała

O każdym atrakcyjnym mężczyźnie, jakiego zobaczyła, minęły nie tak dawno.

- Czy jest ktoś w domu? - W wesołym głosie Gigi brzmiała pewność serdecznego powitania.

Kiedy weszła do jasno oświetlonego domu, wniosła z sobą nieomal widoczną aurę istoty, która powinna spędzać życie tańcząc charlestona, istoty, której rozkołysana, prowokacyjna, rozrywkowa postawa względem rzeczywistości pochodziła z dawno minionych czasów.

- Wszyscy, kochanie - zawołała Billy. - Tutaj jesteśmy. Gigi weszła do pokoju. Miała na sobie wąskie spodnie

z brązowego aksamitu, na które naciągnęła swe ulubione buty z miękkiego, brązowego zamszu, sięgające szerokimi mankietami nad kolana. Jasnozieloną bluzę z dzianiny przewiązała grubym, złocistym sznurem, a przy szyi miała krezę z irlandzkiej koronki. Małe piersi Gigi podtrzymywała jedynie młodość

1 irlandzki temperament. Ze swoją grzywką i dzwonem poma-rańczowawych włosów wyglądała jak postać z arrasu, giermek, minstrel, młody książe lub dziewczyna przebrana za chłopca do przedstawienia teatralnego.

Ucałowawszy Billy i Spidera, Gigi zwróciła się ze swą zwykłą bezpośredniością do Bena Winthropa, podając mu rękę z oczyma szeroko otwartymi z ciekawości.

- Gigi, to mój kuzyn Ben Winthrop. Ben, przedstawiam ci Graziellę Giovannę Orsini, moją pasierbicę.

- Tak oficjalnie? Czy to dlatego, że Ben jest moim przyszywanym kuzynem? - spytała Gigi. - Przecież wytrzymałaś rok z moim ojcem, a mnie masz ponad siedem lat. Gdyby jedna z nas była mężczyzną, prawo zwyczajowe mogłoby nas uznać za małżeństwo. Dlaczego więc twój kuzyn nie miałby być moim kuzynem? Nie mam ani jednego własnego kuzyna i trwa to już zbyt długo. Żądam tego kuzyna dla siebie.

- Jest w tym pewna sprawiedliwość - odezwał się Spider, rozbawiony zaskoczoną miną Billy. - Jak się nad tym zastanowić, to Ben jest moim kuzynem przez małżeństwo. Może

61

będiesz go uważała za kuzyna w drugiej linii, cokolwiek by to miało znaczyć, co, Gigi?

- Czy mam prawo głosu? - spytał Ben Winthrop robiąc mimowolnie krok w kierunku Gigi, chcąc przyjrzeć się, jaki dokładnie odcień zieleni mają jej oczy kryjące się za najeżoną barierą czarnych rzęs.

- To nie jest demokracja - poinformowała go Gigi z uśmiechem na swoich z natury śmiejących się ustach.

O-o, jest w łobuzerskim nastroju, pomyślał Spider patrząc na nią badawczo. Sprawiała to albo nowa praca, albo zbyt długa nieobecność Zacha, ale posługuje się swoimi starannie wypracowanymi metodami łamania serc, a wszyscy wiemy, że to nieczysta gra, prawda?

- A co? - zapytał Ben. - Monarchia?

- Dobrotliwa dyktatura - odparła Gigi. - Zasady ustalają Hal i Max, a reszta z nas żyje po to, by je rozumieć i wypełniać, tak, Spider?

- Oj tak, mała. Jak twoja nowa praca?

- Fascynująca, zwariowana, dezorientująca, szarpiąca nerwy, intrygująca, kompletnie manipulacyjna, a jednocześnie dziwnie niewinna. Kiedy reklamujemy jakiś towar, to naprawdę, rzeczywiście jest on najlepszy. Wszystkie inne niegodne są nawet naszej pogardy - w reklamie nie ma miejsca na szare kapelusze. Jestem tak zwanym „narybkiem”, więc wszyscy traktują mnie podejrzliwie, poza tym jestem „twórczynią”, a twórcy są znani z kapryśności i dziecinnego pragnienia aprobaty, więc na razie nie potrafię zrobić niczego złego ani dobrego. Wszystko jest zupełnie inne niż w Scruples II, gdzie działaliśmy racjonalnie. Reklama jest jak skrzyżowanie domu wariatów z przedszkolem - uwielbiam to! Praca jest jakieś dziesięć tysięcy razy trudniejsza od pracy w naszym katalogu.

Billy pomyślała, że Gigi wygląda ekscytująco zuchowato, niczym bojowy kogucik żyjący w blasku chwały, gotów na wszelkie ryzyko. Jak zachwalanie kostiumów kąpielowych otyłym kobietom mogło dokonać tej szczególnej metamorfozy - a może poznała kogoś w pracy albo po prostu to skutek bycia zdaną na samą siebie? Gigi była w skomplikowany sposób cudownie, wyraźnie pełna siebie: podekscytowana, prawie oszołomiona, a jednak tryskająca energią.

62

- Dla kogo pracujesz? - zapytał Ben.

- To nowa firma, Frost, Rourke, Bernheim. Przedtem pracowali u Caldwella w Nowym Jorku. Pewnie o nich nie słyszałeś.

Gigi nie bardzo orientuje się w najnowszej historii reklamy, pomyślał z rozbawieniem Ben Winthrop. Przystąpiła więc do słynnych podbieraczy zamówień, których oceniła jako dziwnie niewinnych. Jego nowa kuzynka w drugiej linii z całą pewnością jest godna klipra.

*

Wieczór skończył się wcześnie, bo Billy musiała wstać

o świcie, żeby nakarmić bliźnięta. Ponieważ Gigi była w zbyt dobrym humorze, żeby wracać do domu, przyjęła zaproszenie Bena na kieliszek przed snem.

- Dokąd chciałybyś pojechać? - zapytał. - To bez sensu, że musimy wziąć oba samochody. Czuję się nierycersko.

- Tu w okolicy nie ma barów... żadnego narożnego pubu w promieniu kilku kilometrów. Najbliżej jest hotel Bel Air, ale sam do niego nie trafisz - rzekła tonem miejscowego eksperta w geografii. - Łatwo przegapić nieliczne i małe drogowskazy do hotelu. Jedź za mną. - Gigi uniosła majestatycznie rękę, wskazała przed siebie i z dumą wskoczyła do swego VW.

Wkrótce, po przejechaniu ciemnych, krętych ulic Bel Air, nie oświetlonych, wydawało się, naumyślnie, aby do celu mogli trafić tylko mieszkańcy, usiedli w najdalszym rogu mało uczęszczanego, lecz przestronnego baru tego najmniejszego

1 najbardziej eleganckiego z hoteli w Los Angeles. W barze tym ogień płonął w kominku nawet latem, boazeria była z ciemnego drewna, wyściełane ławy były obite tkaniną gobelinową, a zielone skórzane krzesła świeciły ćwiekami. Całość sprawiała wrażenie męskiego sanktuarium w angielskim zamku.

- Gdzie mieszkasz? - spytał Ben. Gigi zwinęła się w kącie ławy z podwiniętymi nogami. Pod plecy podłożyła sobie ozdobione licznymi chwastami poduszki, jakby znajdowała się we własnym salonie.

- W Hollywood Hills.

- Masz mieszkanie?

71

- Domek - odparła rozmyślnie lakonicznie. Nie miała zamiaru rozgłaszać szczegółów swego życia żadnemu mężczyźnie, szczególnie nowo poznanemu. - Przyjechałeś tu, żeby zniszczyć nasz śliczny stan? Pokryć go salonami manicure'u, punktami usług kserograficznych i piekarniami bułeczek, bo jeśli tak, to już to mamy.

- Nie zajmuję się małymi centrami handlowymi - roześmiał się. - Moja dziedzina to filie domów towarowych, luksusowe kina, sklepy spożywcze wielkich sieci, sklepy specjalistyczne dla zamożnej klienteli, restauracje...

- Gwałt i grabież.

- Właśnie.

- Zgodnie z teorią, że jeśli ty tego nie zrobisz, to zrobi to ktoś inny.

- Absolutnie. Tyle że ja zawsze jestem pierwszy.

- Jak to miło spotkać kogoś tak szczerego - powiedziała Gigi z udawanym podziwem.

- Uczciwość to moje trzecie imię, po Saltonstall. Nie chcesz się dowiedzieć o mnie czegoś więcej?

- Albo, jak powiedziałaby David, „pozbadźmy się bagażu osobistego”.

- Kto to jest David?

- Dyrektor artystyczny. Stanowimy razem zespół twórczy. Potrafisz sobie wyobrazić firmę, w której dwoje obcych ludzi jest skazanych na spędzanie całego dnia w jednym pokoju, żeby razem wymyślić skuteczną kampanię reklamową w ciągu tygodnia, jaki nam pozostał do przedstawienia oferty?

- A zrobicie to?

- Oni na to liczą. Mam wrażenie, że być może - prawdopodobnie - przypuszczalnie nam się uda. Dziwniejsze rzeczy już się zdarzały w tym interesie, czy też grze... przynajmniej wydaje mi się, że reklamę kiedyś nazywało się grą.

- Wygląda to na o wiele zabawniejsze zajęcie niż rozwiązywanie mojego najnowszego problemu. Ben Winthrop przyjrzał się badawczo Gigi. Podczas kolacji zbyt był zajęty ogólną rozmową, by zwrócić na nią większą uwagę, ale ani przez sekundę nie był pozbawiony poczucia jej obecności. Był mężczyzną słusznie uważającym

72

kobiety za jedną z dziedziny, w której był ekspertem. Dopóki mu się nie nudziły, miał wiele z najśliczniejszych dziewczyn w kraju. Gigi żadną miarą nie pasowała do żadnej znanej mu kategorii.

Według Bena Winthropa wszystkie kobiety prowadziły jakąś grę, a ona nie wyjawiała jeszcze natury swojej, chociaż na pewno jakąś rozgrywa. Wiedział, że jest cynikiem, ale mężczyzna, który nie traktuje kobiet z cynizmem, jest czymś gorszym - głupcem. Gigi nie wykorzystywała swego uroku, chociaż mogłaby to robić z łatwością, nie polegała na swoim wyglądzie bardziej niż inne kobiety cieszące się równie ponętą powierzchownością i wyglądało, że nie ma co do niego żadnych planów. To, oczywiście, mogło być planem samym w sobie, była jednak prawdopodobnie zbyt młoda i niedoświadczona na tak subtelne zagrania. .

- A co jest twoim najnowszym problemem? - spytała Gigi.

- Będę musiał wymówić moim pierwszym dzierżawcom, rodzinie Mullerów. Moja firma nie tylko buduje, ale i wynajmuje sklepy, i czasami rola gospodarza staje się nieprzyjemna. Raj Dzieciaka to sieć sklepów z zabawkami, która niedługo będzie musiała ustąpić miejsca innej sieci, Zabawki To Ty - nie potrafią dorównać ich rewelacyjnie niskim cenom, handlując zasadniczo takim samym towarem. Prawie we wszystkich moich pasażach jest Raj Dzieciaka i jestem zaprzyjaźniony z zarządem sieci, ale już od miesiący zalegają mi z czynszem.

- Ile jest tych sklepów?
- Sto dwa. Jestem właścicielem siedemdziesięciu trzech pasażów handlowych, ale oni mają też sklepy poza nimi.
- Siedemdziesiąt trzy! Władca pasażów handlowych!
- Pokryłem spory kawałek kraju. Staram się budować jak najbliżej zamożnych terenów, żeby moi dzierżawcy robili dobre interesy i płacili mi wysoki czynsz.
- Gdzie w Los Angeles budujesz? - spytała Gigi. Oczy Bena Winthrope wydawały się szczerze i bezbronne. Niemniej jednak pomyślała, że nie odsłaniają niczego, czego on chce zdradzić. Przypominał jej trenerów baseballa na zbliżeniach w telewizji podczas dogrywek. Kiedy przybierali

swoje „twarze meczowe”, kamera nie potrafiła wychwycić najmniejszych wskazówek co do tego, jak bardzo są zmartwieni lub zadowoleni z gry swoich drużyn, nawet po zakończeniu meczu. Aby zachować autentyzm, musieli zmienić się w szarlatanów.

- Teraz budujemy w Santa Monica, Culver City i Encino. Potem zajmę się już kupioną ziemią dalej na północ i na południe.

- Zupełnie jak jakaś inwazja - rzekła Gigi, gwizdnąwszy cicho. - Sprowadziliście ze sobą kapsuły? Jesteście nastawieni do nas, tubylców, przyjaźnie, czy też jesteśmy jedynie gatunkiem, który zamierzacie obserwować z daleka niczym zabawki bogów?

- Wszystko zależy od stanu waszych kart kredytowych.

- Jesteś z planety Visa?

- Dokładnie.

- Jakież to prymitywne!

- A ja myślałem, że zajmujesz się reklamą.

- Dopiero od dwóch dni - zaprotestowała. - Jeszcze się nie nauczyłam być bezlitosnym człowiekiem interesu jak ty. Dawać wymówienie ludziom z czegoś, co się nazywa Raj Dzieciaka, i jeszcze się do tego przyznawać!

- Mówiłem ci, że jestem uczciwy. W końcu interes to interes bez względu na to, jak bardzo się nie znosi pewnych rzeczy. Posłuchaj, powinnaś zobaczyć elewacje mojego pasażu w Santa Monica - są naprawdę piękne. Miasto dało mi zezwolenie na zakup ziemi i budowę z powodu zalet architektonicznych projektu. Pozwól sobie pokazać te elewacje, a przy okazji zyska w twoich oczach moja reputacja.

- Jutro nie miałabym czasu obejrzeć nawet zaginionej teczki z rysunkami Leonarda da Vinci - na cały dzień, a w razie konieczności i na całą noc, wracam do Indigo Seas i kobiet o obfitych kształtach.

- To zajmie tylko dziesięć minut, i to teraz, a nie jutro. Mam je w moim apartamencie... tutaj.

- No to dlaczego, do cholery, pozwoliłeś mi myśleć, że nie wiesz, jak trafić do hotelu? - zapytała Gigi z oburzeniem. - Chcesz poprawić sobie reputację, twierdzisz, że jesteś

66

uczciwym człowiekiem, i nie powiedziałeś mi, że zatrzymałeś się tutaj? Ha!

- Wyglądałaś, jakbyś dowodziła atakiem kawalerii - z przyjemnością na ciebie patrzyłem, podoba mi się twój styl, podziwiam kobiety z temperamentem, czy to zbrodnia?

- Tak, tak - mruknęła bez przekonania.

- Proszę cię.

- No, dobrze. Ale tylko dlatego, że uznałam cię za kuzyna w drugiej linii. Działałam zbyt impulsywnie, teraz to widzę wyraźnie, ale raz ci mogę zawierzyć.

*

- Naprawdę jestem pod wrażeniem - powiedziała Gigi uważnie przyjrzawszy się rysunkom architekta. - Pewnie lepszego pasażu nie ma. Ale domyślałam się, że nie będzie w nim sklepu z zabawkami.

- Na to wygląda, chyba że wprowadzi się Zabawki To Ty, ale przy naszych wysokich czynszach to mało prawdopodobne.

Gigi wstała z fotela ustawionego przy stoliku do kawy i zaczęła powoli chodzić po dużym salonie apartamentu Bena, pulsującego luksusem w dwudziestu pięciu odcieniach terakoty.

- Czy Raj Dzieciaka się reklamuje? - zapytała.

- Lokalnie i raczej mało.

- Hmm. Posłuchaj, Ben, przez ostatnie pół roku musiałam pięć razy kupować prezenty dla niemowląt - dla dzieci Billy, Saszy i trzech sióstr Spidera. Gośćmi na tych przyjęciach były wyłącznie kobiety z pieniędzmi, od mających wygodne życie do zamożnych, takie, jakie mieszkają w pobliżu twoich pasaży. Muszę ci powiedzieć, że nigdy w życiu nie widziałam takich prezentów!

Gigi chodziła coraz szybciej, potrząsając głową na wspomnienie obfitego deszczu podarków.

- Nie wiedziałam, że w ogóle istnieją takie wspaniałe ubranka dla niemowląt i równie specjalne stroje dla nieco starszych dzieci - a poza tym było mnóstwo naprawdę drogich zabawek i rzeczy bardziej sprawiających przyjemność matkom, niż nadających się dla dzieci, jak dawne narzuty na

dziecinne łóżeczka, dawne krzeselka dla dzieci, pozytywki, stare serwisy dla lalek.

Gigi zatrzymała się i odwróciła do Bena.

- Ben, posłuchaj, tu jest sedno sprawy. Po otwarciu prezentów goście zawsze zaczynają dzielić się spostrzeżeniami, jak to nie można znaleźć nic szczególnego na takie okazje i o ile trudniej kupić coś dziecku niż nowożeńcom. Takie sytuacje zdarzają się coraz częściej, bo teraz tyle kobiet rodzi dzieci, a dużo z nich rodzi je w późniejszym wieku.

- Dlaczego mam wrażenie, że prowadzisz mnie w pułapkę?

- Bo prowadzę. Posłuchaj. Podczas takich okazji, kiedy gość honorowy otwiera po kolei prezenty, wszyscy patrzą, kto kogo prześcignie. To obrzydliwe! Weź na przykład mnie. Kiedyś spędziłam kilka godzin szukając czegoś naprawdę wspaniałego dla Saszy. Byłam zrozpaczona. W końcu znalazłam w Valley księgarnię specjalizującą się w starych książkach dla dzieci... Wykupiłam cały ich zapas, każdą książkę o czarodzieju z Oz, każdą Beatrix Potter i Nancy Drew... Dałam Saszy pierwsze wydanie „Dobrej Glindy”, i jestem zaopatrzona na kilkanaście przyjęć. Trzymam swoje źródło w sekrecie, żeby nikt mnie nie zmałpował.

- Gigi, twój altruizm jest imponujący. Mogłabyś jednak wyjaśnić, w czym rzecz?

- Słuchasz uważnie? Dobrze. Owszem, zdaję sobie sprawę, że obracam się w środowisku, w którym wszystko jest nadnaturalnej wielkości, ale ta mania prezentów dla niemowląt rozszerzyła się chyba na wszystkie zamożne przedmieścia, niewątpliwie w mniej dramatyczny sposób, ale wiesz, że mody zaczynają się tutaj. Shaker Heights? Oak Forest? Brookline? La Jolla? The Main Line? Sam wiesz. Czy nie znaczy to, że istnieje potrzeba sklepu oferującego wyłącznie drogie rzeczy dla dzieci, głównie dziadkom? - Gigi zatrzymała się na środku pokoju z wymownie rozłożonymi rękoma.

- Dziadkom?

- Boże, ale z ciebie tępy kawaler, Ben! Dziadkowie dają najbardziej kretyńsko kosztowne prezenty na świecie, bo musieli uważać, żeby nie rozpuścić własnych dzieci, ale teraz wszystko im wolno. Poza tym oba zestawy dziadków zawsze ostro ze sobą konkurują.

■?6

I

- Nadal nie rozumiem - powiedział sceptycznie, prowokując Gigi. Może i jest kawalerem, ale co roku wydaje kilka tysięcy dolarów na odpowiednio imponujące prezenty dla noworodków, produkowanych ze stałą szybkością przez jego kuzynki i kuzynów, oraz dla licznych dzieci chrzestnych, narzuconych mu przez znajomych ze studiów na Uniwersytecie Harvarda. Prawie co tydzień były jakieś urodziny, a Boże Narodzenie było koszmarem. Do stałego czuwania nad tą sytuacją prezentową wyznaczył jedną ze swoich sekretarek, która i tak skarżyła się na trudności tego zadania.

- Chcę zmienić Raj Dzieciaka, zmienić go w Scruples z prezentami dla dzieci. Nazwałabym go... hmm... Zaczarowanym Strychem, tak, to jest to! Zaczarowany Strych. Zmieniałabym wystrój, żeby pasował do nazwy, całkowicie przeprofilowałabym politykę handlową, otworzyłabym osobny dział cudownych opakowań - opakowanie prezentu jest bardzo ważne, pudełko powinno być znakiem firmowym - zrobiłabym z tej sieci źródło najlepszych, najbardziej ekscytujących i oryginalnych prezentów, Tiffany'ego sklepów z zabawkami, oferujące też antyki dla dzieci i ubranka, których nie sprzedają domy towarowe. Zrobiłabym też wspaniałe działy specjalnie zaprojektowanych mniejszych prezentów, jak na przykład gryzaczki od Tiffany'ego, dla ludzi, którzy chcą wydać mniej, ale i tak zaznaczyć swoją pozycję i...

- No, nie wiem - odezwał się obojętnym tonem Ben. Wiedział jednak od chwili kiedy powiedziała „Scruples dla dzieci”, że ten pomysł to potencjalna żyła złota, inwestycja w jego stylu, ponieważ

jego pasażę były zlokalizowane dokładnie w tych społecznościach, w których takie sklepy mogłyby prosperować.

- A dlaczegożby nie? - Gigi wzięła się pod boki i spojrzała na niego wyzywająco. - Podaj mi chociaż jeden właściwy powód. Czy nie jesteś podobno wizjonerem?

- Mówisz szybko, moja pani, ale urzeczywistnienie twojego pomysłu wymagałoby sporego kapitału.

- Sądzę, że większym problemem od kapitału jest lokalizacja. Jeśli nie będziesz ruszał ludzi od Raju Dzieciaka, tych Mullerów, do czasu zmiany profilu, to się nie wyłożą i...

- A co ty z tego będziesz miała? - przerwał jej.

- Czy to nie jest oczywiste? Będą zmuszeni do reklamy. To byłaby zasadnicza część umowy. Zaczarowany Strych będzie musiał zostać klientem FRB i ja w ten sposób zdobyłabym nowe zamówienie.

- Tylko tyle chcesz? Jesteś pewna?

- Nie mam zamiaru wracać do sprzedaży detalicznej, serdeczne dzięki, ale mogę się założyć, że Billy - to jest coś akurat dla niej - być może...

Ben przerwał jej, zanim skończyła myśl.

- Ani słowa więcej, Gigi, nie pracuję ze współnikami.

- Słucham?

- Nie pracuję ze współnikami. Od czasu do czasu lubię zaryzykować, więc sam wyłożę potrzebny kapitał, nie dam wymówienia dzierżawcom, odroczę spłatę czynszu na tak długo, na ile to konieczne i zatrudnię dla personelu Raju Dzieciaka" specjalistę od handlu detalicznego.

- Ojejejej!

- Co się stało?

- Wzięłaś za szybkie tempo! Zaczekaj choć jedną zakicha-ną chwilę! Nie powiedziałaś ani słowa o kosztorysie reklamy. Nie ma reklamy, nie ma Zaczarowanego Strychu.

- A o jakich pieniądzach myślałaś? - Gdyby przez całe życie nie praktykował zachowywania kamiennej twarzy, to musiałby się uśmiechnąć na jej naiwność.

- No cóż... hmmm... za siedem milionów dolarów przygotowujemy ofertę reklamy jednego typu kostiumów kąpielowych przeznaczonych dla jednego rodzaju kobiet, z których nie wszystkie pływają... a tutaj mówimy o eksplozji dzieciaków... dzieciaków z zamożnych rodzin do jakichś dwunastu lat, z których wszystkie mają urodziny i Gwiazdkę... niech się zastanowię... żeby zaznaczyć obecność sieci stu dwóch sklepów... sądzę - rzekła Gigi dziko improwizując - że aby ustawić tożsamość klienta, na reklamę w czasopiśmie trzeba o wiele więcej. Przecież Indigo Seas ma już swoją tożsamość, a Zaczarowany Strych nie. Och, zdecydowanie więcej. Trzeba będzie dać reklamy w ogólnokrajowych czasopiśmie ilustrowanych i lokalnych czasopiśmie miejskich, nie można zaniedbać też czasopiśmie dla rodziców

78

i czasopiśmie kobiecych... Nawet nie myślę o telewizji... powiedzmy dwanaście milionów w pierwszym roku. - Wstrzymała oddech.

- Powiedziałbym... osiem. Póki przemiana nie dokona się całkowicie, reklamy nie będą na cały gwizdek.

- Ale, Ben, reklama się opłaca.

- Pod koniec roku przeprowadzę kalkulację.

- Nie wiem - powiedziała Gigi i przerwała.

- No, powiedz, co cię gryzie - zachęcił ją ze śmiechem.

- W końcu i tak mi powiesz.

- Nie wiem, jak to się mówi, czy mam się posikać, czy zwariować. Juhuuu! - Padła na kanapę obejmując się z zachwytem ramionami i wywijając w powietrzu nogami.

- Chwileczkę - powiedziała nagle poważniejąc. - Chyba nie zmienisz zdania, co? Umowa stoi, czy nie? Podajmy sobie ręce - zażądała.

- Umowa stoi, oto moja ręka. - Ben pomyślał, że nawet po uściśnięciu sobie dłoni może jeszcze poprosić o procent z zysku, ponieważ to jej pomysł, albo że mogą jej to doradzić Billy czy Spider, a on będzie musiał się zgodzić. Ale po co martwić się teraz? Przecież może się mylić i

Zaczarowany Strych nie wypali. W najgorszym wypadku będzie miał stratę, którą będzie mógł sobie odpisać od podatku.

- Napijmy się za to - zaproponował.

- Ach. Nie, naprawdę muszę wracać do domu. Nie miałam pojęcia, że jest tak późno.

- Odprowadzę cię do parkingu.

Apartament Bena znajdował się w pewnej odległości od wjazdu do hotelu. Szli słabo oświetlonymi ścieżkami obsadzonymi wspaniałymi kwiatami, z których sływał hotel, łączącymi pograżone w tajemniczym mroku placyki z fontannami. Kiedy weszli na ostatni plac, każde zatopione w swoich myślach, Ben zatrzymał się i przyciągnął Gigi do siebie. Podniosła na niego z zaskoczeniem oczy i zobaczyła, że się do niej uśmiecha.

- Słodka kuzynko w drugiej linii, jesteś objawieniem -rzekł, pochylił się i mocno, władczo ją pocałował. Jego szerokie usta przywarły do jej warg z wyraźną zapowiedzią namiętności. Całe ciało Gigi zeszywniało w natychmiastowym oporze. Ben od razu wypuścił ją z objęć, żeby nie

musiała się cofnąć. Błąd, pomyślał z wściekłością, wielki błąd. Co mu się stało, że tak bardzo się pomylił w ocenie sytuacji? Oczarowała go, ale to nie usprawiedliwia jego głupoty. Cholera, przecież nigdy nie wychodzi przed orkiestrę! Obiecał sobie z zimną wściekłością płynącą z podrażnionej dumy, że coś takiego nigdy już mu się nie zdarzy.

- Chciałbym obejrzeć sobie tę agencję - powiedział Ben bezosobowym tonem, jakby nic się nie stało. - Kiedy byłoby najwygodniej?

- Muszę ich najpierw uprzedzić. - Gigi dorównała mu chłodem. - Nie robiłam jeszcze tak dalekosiężnych planów.

- Zadzwoń do mnie jutro i dasz mi znać? Powinienem tu wrócić przed szóstą.

- Oczywiście - odparła idąc jak najszybciej ku światłom recepcji, gdzie zniknął mrok hotelowych ścieżek.

Kiedy Gigi odjechała, Ben wrócił powoli do swego apartamentu, ciągle rozmyślając o reakcji Gigi na jego pocałunek. Tak, to oczywiste, że wybrał nieodpowiedni moment, ale jej reakcja wydawała się przesadna. Może jest nieśmiała? A może zajęta? Jednego był pewien, a mianowicie że nie było w tym nic osobistego. Był przekonany, że go lubi, bo inaczej nawet by jej nie dotknął. Ta panna Gigi Orsini stanowi zagadkę i Ben obiecał sobie, że pewnego dnia ją rozwiąże. Zrobi to jednak z taką cierpliwością, z taką przebiegłością i niewidocznym planowaniem, że przyjdzie do niego z własnej woli. Był to sobie winien za jej opór, za jej zeszytnienie pod dotykiem jego ust. Nie zareagowała tak na niego jeszcze żadna kobieta.

Jadąc do domu Gigi pomyślała: Jeden pocałunek, jeden absolutnie naturalny pocałunek mężczyzny, który nic nie wie o Zachu, a ty zachowujesz się jak jakaś nastolatka. Dlaczego czuje się taka... roztrzęsiona... winna... nie, raczej tak, jakby właśnie uniknęła... niebezpieczeństwa? To zupełnie idiotyczne. Nie pozwoli sobie na irracjonalne postępowanie. Wbiegając po schodach do sypialni wymyśliła idealne antidotum na to poczucie zamętu. Zadzwoń do Davy'ego i przekaż mu tę niewiarygodną wiadomość. Nawet jeśli jest późno, nawet jeśli śpi, jest jej partnerem i powinien się dowiedzieć pierwszy.

80

4

- Och, Gigi, kochanie, tak nie można żyć. - W głosie Zacha Nevsky'ego brzmiała potęga perswazji, która pozwalała aktorom osiągać szczyty, o jakich nawet nie marzyli. Jego miłość do niej dodała porywającej wagi wielkiemu uczuciu, z jakim wypowiedział te słowa, a głos miał lekko schrypnięty z napięcia.

Leżąc w ramionach Zacha Gigi poczuła nieprzyjemne ukłucie podejrzliwości. Z nosem wtulonym w jego pierś wdychała złożoną woń, zachwycającą mieszankę męskości charakterystyczną dla Zacha po akcie miłosnym, pogrążona w takiej błogości, że miała wrażenie, jakby unosiła się w powietrzu pozbawiona ciężaru, komórka za komórką rozplywając się w aromatycznym niebie, aż tu słowa Zacha przerwały cały czar.

Coś podobnego słyszała już przedtem. Słyszała ten ton, kiedy ledwie potrafiąc jeździć na nartach dała się Zachowi zwabić na szczyt wysokiej góry. Potrafił namówić ją, żeby poszła za nim wszędzie. Została zwieziona z owej góry we łzach i w przerażeniu, z na szczęście złamaną tylko jedną nogą. Jeśli ktokolwiek na świecie był uodporniony na tę nieustępliwą wytrwałość, uparte przekonanie, wielkoduszną apodyktyczność Zacha Nevsky'ego, który był tak głęboko przekonany, że wie lepiej, co dla kogo jest najlepsze, to tym kimś była Gigi.

- Zach, kochanie - odpowiedziała usiłując przywołać rozsądek, chociaż leżała w jego ramionach odprężona, pełna wdzięczności, cudownie obolała, cała jego. - Dopiero zaczęłam pracę w FRB... minęły ledwo trzy dni. Jak mogłabym wziąć sobie wolne? Chyba że... mogłabym właściwie

wyjechać w piątek po pracy i wrócić w niedzielę wieczorem... wiesz, jeśli złapię dobry samolot, to jest to jakaś możliwość.

Zach wrócił niespodziewanie do Los Angeles nazajutrz po kolacji u Billy i Gigi spotkała się z nim przed domem, kiedy wracała z pracy. W fazie przygotowawczej epickiego dzieła rozgrywającego się w Kalispell pojawiły się poważne kłopoty budżetowe i Zach przyleciał z kilkoma współpracownikami,

73

żeby naradzić się z szefostwem wytwórni, zanim sprawy zaczną mu się wymykać z rąk. Jutro, po całym dniu spotkań, zamierzał wrócić do Montany z rozwiązanymi kłopotami i jukami pełnymi świeżych funduszy.

- Ja nie mówię o weekendzie, Gigi - nie potrafię żyć, kiedy jesteśmy z dala od siebie - powiedział Zach. - Kiedy weszłaś dzisiaj wieczorem, zobaczyłem twoją buzię i od razu wiedziałem, że po prostu musisz rzucić tę nową pracę, wyjść za mnie i mnie nie opuszczać, żebyśmy byli razem bez tego bzdurnego „poczekamy, zobaczymy”. To kwestia mojego przeżycia, Gigi. Popelniamy przestępstwo, kochanie, marnując czas, który powinniśmy spędzać razem, tracimy coś niezastąpionego.

Kiedy tak leżała nieruchomo na łóżku, pochylił się nad nią z przejęciem, z całą właściwą sobie męskością. Gigi podniosła na niego wzrok, spojrzała na dumnie osadzoną głowę, na arogancki, sterczący, złamany nos, do którego pasowały jego wymagające usta.

- Zach, już o tym mówiliśmy. Jakie okoliczności się zmieniły?

- Posłuchaj, kiedy wyjeżdżałem do Montany tak byłem przejęty tym nowym filmem i jego możliwościami, że kompletnie zapomniałem o ilości czasu, jaką mam mu poświęcić, zupełnie nie myślałem o trzech i pół miesiącach zdjęć, nie przyznawałem się przed samym sobą, że znów będziemy osobno przez kilka miesięcy, ale teraz... cholera, przebywanie z dala od ciebie psuje mi całą przyjemność robienia tego filmu.

- Powinieneś o tym pomyśleć, zanim podjąłeś tę decyzję. Termin zdjęć się nie zmienił, a Bóg świadkiem, że godzinami już o tym rozmawialiśmy. - Odsuwając się od Zacha i przykrywając sobie nogi prześcieradłem Gigi starała się ukryć irytację.

- Wiem, kochanie, to wszystko moja wina. Całkowicie, absolutnie moja wina. - Był tak skruszony, że Gigi jeszcze bardziej się rozżościła. Choćby nie wiadomo, ile popełnił błędów i się do nich przyznał, nie powinien domagać się spełnienia swoich zachcianek.

- Twoje ostatnie dwa filmy były kręcone w Nowym Jorku i Teksasie - powiedziała bezbarwnym tonem - i ja nie mogłam

74

tam pojechać. Spotykaliśmy się w weekendy w miarę możliwości, czyli prawie nigdy, bo w większości przypadków musiałeś pracować cały czas. Potem mogłeś wybrać spośród trzech filmów kręconych tu, w Hollywood, ale ty uparłeś się robić właśnie ten.

- To dlaczego, do diabła, nie zmusiłaś mnie, żebym go odrzucił?

- Niech cię szlag, Zach! Teraz masz do mnie pretensje, bo zrobiłeś to, do czego aż się paliłeś! - Gigi wyplątała się z jego objęć i podparła na łokciu.

- Słusznie się na mnie złościś. Sam jestem na siebie wściekły! Wściekły jak diabli, kochanie. Ale gdybyś tylko za mnie wyszła, to mielibyśmy wszystko, nie rozumiesz, czy to nie oczywiste?

- Rozumiem, że to ty miałabyś wszystko, Zach, a ja zmieniłabym się w rodzaj uprzywilejowanej markietanki. Ile razy znajdowałabyś w pracy chwilę czasu dla mnie, byłabym na miejscu.

- No, aniele, nie gadaj głupstw. Miałabyś wspaniałe życie

- to najpiękniejszy kraj na świecie, mogłabyś robić, co chcesz, zawierać znajomości, żona producenta to miła kobieta, ona będzie się tam kręcić, spotykałabyś się z ludźmi z miasteczka

- mogłabyś przychodzić na przeglądy dnia zdjęciowego, właściwie mimo tego, że nie jesteś w związku, może mógłbym ci załatwić pracę garderobianej, na pewno można obejść...

- Zamknij się, Zach, do cholery! - Usiadła tak szybko, że odskoczył, aby uniknąć uderzenia jej głowy w podbródek. - To są obraźliwe propozycje i sam powinieneś o tym wiedzieć! Kręcić się, jakbym była w szkole średniej. To zdumiewające, jak ty potrafisz nie dostrzegać faktu, że ja mam tutaj pracę.

- Jasne, reklama. Wielkie rzeczy! - Zach usiadł na brzegu łóżka i mówił z pogardą, której nawet nie starał się ukryć.

- Świetna posada. Wiesz równie dobrze jak ja, że reklama to zalegalizowana forma oszustwa. Mój Boże, przecież nikt nie potrzebuje większości reklamowanych towarów, równie dobrze można jeździć tym samym samochodem jeszcze przez pięć lat, pić byle jaką whisky zamiast Cutty Sark, używać papieru toaletowego z domu towarowego, jeść tańsze kolacje do

75

podgrzewania - wszystkie smakują jednakowo obrzydliwie

- i dajże spokój, czy jakieś baterie działają dłużej niż jakiegokolwiek inne?

- Mówisz jak bystry dwunastolatek, który właśnie odkrył marksizm - powiedziała stanowczym tonem Gigi. Nie chciała tej kłótni, nie ona ją zaczęła, ale nie pozwoli mu się zastraszyć.

- Trzy dni w reklamie i, na Boga, już się nawróciłaś, już jej bronisz - powiedział uśmiechając się na widok malującego się na jej twarzy upor. - Ten cały Archie był na tyle bezczelny, żeby ci powiedzieć, że to forma sztuki, a ty nie wysłałaś go na jakiś dobry film? - Zach szydził ze szczytu swego Olimpu, absolutnie przekonany, że jedynymi trwałymi formami sztuki dwudziestego wieku są film i teatr.

- Powinnaś mu zacytować Orwella: „Reklama to mieszanie kijem w wiadrze z pomyjami”.

- Posłuchaj, Zach, nie wdawajmy się teraz w dyskusję o formach sztuki - poprosiła Gigi hamując wybuch gniewu. Jeszcze nie zdążyła mu powiedzieć o Indigo Seas czy Zaczarowanym Strychu, bo w chwili, kiedy znaleźli się razem, padli na łóżko szarpani potężnym głodem. - Zobacz, która godzina. Za pięć minut pięć osób zastuka do drzwi, a żadne z nas nie może przecież otworzyć nago. Sztuka trwa długo, a życie krótko, więc wkładaj portki, kochanie.

- Właściwie brzmi to: „Życie trwa krótko, sztuka długo, okazje przemijają, doświadczenie jest zdradliwe, a ocena trudna, więc wkładaj portki, kochanie”. - Zach uśmiechnął się.

- Mogę się założyć, że nie wiesz, kto to powiedział.

- Wygrałeś - odparła Gigi myśląc, że jeśli się nie kocha Zacha, to jest rzeczą zupełnie możliwą nauczyć się go nie znosić. Mężczyzna o fenomenalnej pamięci zawsze znajdzie sposób na pokazanie, że ma rację.

- Hipokrates. W greckiej sztuce, którą reżyserowałem w liceum.

- „Ocena trudna”, co? Zapamiętam to sobie. W co mam się ubrać? Gdzie będziemy jeść?

- No... właściwie tutaj.

- Chyba ich tu nie zaprosiłeś - powiedziała nie wierząc własnym uszom.

84

- Kochanie... to tylko kilka osób, a musimy porozmawiać w spokoju... restauracja to nie jest najlepszy pomysł... jakiś zwykły makaron - sama wiesz, że przy twoim tempie przyrządzenie go nie zajmie ci nawet pięciu minut...

- Zach, przychodzisz niespodziewanie, wciągasz mnie na godzinę do łóżka, kochasz się ze mną dwa czy trzy razy, zaczynasz drobną dyskusję o naszej przyszłości, a teraz chcesz, żebym ugotowała makaron dla tłumu ludzi... Czy o czymś zapomniałam?

- Właściwie tylko dwa razy - powiedział pośpiesznie Zach - ale masz rację, pójdziemy do jakiejś restauracji. Przepraszam, kochanie, tylko że gotowanie przychodzi ci z taką łatwością... i... nieważne, to dokąd pójdziemy?

Gigi patrzyła na jego duże, wspaniale umięśnione, nagie ciało potrząsając głową. Siedząc tak zgarbiony na krawędzi łóżka, Zach naprawdę sprawiał wrażenie przygaszonego. A, niech to, właściwie dlaczego nie? Trochę makaronu, kieliszek wina... uwielbiała gotować dla innych i o wiele za długo przyrządzała jedzenie tylko dla siebie. Zach na pewno ma bardzo nabity plan na jutro. Zebrał swój zespół - producenta, agenta, głównego pomocnika, scenarzystę i montażystę. Dzisiaj musieli odbyć naradę wojenną przed jutrzejszą bitwą z wytwórnią, a wojsko niewątpliwie trzeba nakarmić.

- Coś wymyślę - powiedziała. - W porządku, mogę to zrobić, właściwie się cieszę.

Gigi wyliczyła, że na prysznic, wskoczenie w jakieś spodnie i bawełnianą koszulkę ma dziesięć minut. Wycierając się do sucha ręcznikiem z entuzjazmem planowała kolację na siedem osób z zapasów trzymany dla siebie. Kiedy ustawiała na stoliku do kawy w salonie wiaderko z lodem,

baterię butelek i kieliszki, wymyśliła cienki jak anielskie włosy makaron z sosem opartym na *vitello tonnato*, zrobionym z tuńczyka pure z puszki, rozmrożonego zielonego groszku, kaparów, sardeli, oliwy z oliwek, bulionu z kurczaka, posiekanej pietruszki i szczypiorku. W domu zawsze był kawałek sera romano, którym po starciu można było to wszystko posypać, w zamrażarce leżało kilka bochenków włoskiego chleba i pojemników z lodami, miała też mnóstwo warzyw na sałatkę. Nie jest to prawdopodobnie najlepszy moment, pomyślała wesoło Gigi,

z wprawą posługując się nożem i otwieraczem do konserw, który zawsze opierał się niezdarnym kuchennym wysiłkom Zacha, ale siedem żołądków będzie napełnionych.

- Kotku, możesz podać jeszcze makaronu?
- Kochanie, jest tam koło ciebie trochę sosu?
- Gdzie się podział ten drugi bochenek, złotko?
- Masz może trochę czosnku w kuchni, skarbie?
- Gdzie postawiłaś ser, mała?
- Mam uczulenie na sardele. Masz może puszkę soku pomidorowego?
- Mogłabyś przynieść jeszcze jedną butelkę tego czerwonego, mała?
- Czy ktoś widział sos czekoladowy?
- Mogę sprawdzić w lodówce, czy nie ma lodów truskawkowych?
- Makaron, kotku! Zabrakło nam tu makaronu!
- Zostało może jeszcze gdzieś trochę sałatki, złotko?
- Przydałby mi się czysty talerz, kiciu.
- Czy ktoś widział sos czekoladowy?
- Nie było lodów truskawkowych?
- Możesz wyjąć winiak, skarbie? I kilka kieliszków?

*

- Dziękujemy, Gigi, to była uroczą kolacja, nawet jeśli zapomniałaś czosnku, nawet jeśli nie było lodów truskawkowych. Byłaś cudowna, że przynosiłaś, podawałaś, nalewałaś i nakładałaś, kiedy my byliśmy pogrążeni w dorosłej rozmowie, która była dla ciebie zbyt skomplikowana. To urocze, że nie przeszkadzało ci traktowanie cię jak niezdarną kelnerkę i bezmyślną gospodynię. Urocze, że nie zauważyłaś, że nikt nie był pewien twojego imienia, kotku, złotko, kochanie. Byłaś uroczą nie przejmując się, że byliśmy zbyt zajęci naszymi ważnymi sprawami, by zawracać sobie głowę mówieniem „proszę” albo „dziękuję” - mruczała do siebie Gigi kursując między salonem a kuchnią i zaczynając przywracać porządek.

- Mówisz do mnie? - zapytał Zach chodząc po pokoju. Był zbyt naładowany wizją jutrzejszej bitwy, żeby tkwić w jednym miejscu.

78

- Nie, dotrzymuję sobie towarzystwa.
 - Boże, cóż to za wspaniali ludzie! Nie uważasz, że są wspaniali? - Jego twarz promieniowała entuzjazmem. Z ciemnych, płonących oczu, z pełnych ust, nawet z napiętej, opalonej skóry emanowała energia.
 - Wspaniali - zgodziła się.
 - Nie będzie tak cały czas, kochanie, nie będziemy musieli tracić czasu na martwienie się o pieniądze, chociaż nie można ich nigdy pomijać, ale ten wspaniały nastrój, ten duch zespołu współpracujących ze sobą ludzi, przepelnionych tą samą pasją... to ci się spodoba!
- Gigi zatrzymała się ze stertą brudnych talerzy w dłoniach i spojrzała na Zacha.
- A gdzie dokładnie to mi się spodoba?
 - Daj spokój, kochanie - odparł niecierpliwie - w Mon-tanie. Przecież wiesz, że wracasz ze mną, po co się wygłupiasz? Wiesz co, jak na taką spryciarę potrafisz czasami być trochę głupkowata.
 - Nie dałeś mi nawet okazji opowiedzenia, co się dzieje u mnie w pracy - powiedziała Gigi nadal trzymając talerze.
 - No dobrze, co takiego? - westchnął z rezygnacją.
 - Nieważne. Nie chcę, żebyś słuchał z lufą przystawioną do skroni.

- Nie chodzi o to, że mnie to nie interesuje - zaprotestował Zach. - Jestem przekonany, że cokolwiek robisz w - przepraszam za wyrażenie - reklamie, robisz to wspaniale, ale, Gigi, kochana Gigi, nie widzisz, że to nie może mieć tu znaczenia? Och, kochanie, to jasne jak słońce, że będziesz bardziej szczęśliwa ze mną, tak jak ja jestem szczęśliwszy z tobą - powiedział swym najprzebieglejszym i najbardziej przekonującym tonem. - Posłuchaj, kotku, czy dzisiejszy wieczór nie otworzył ci oczu? Mogłoby tak być przez cały czas, mogłabyś oglądać mnie przy pracy, codziennie mogłabyś być ze mną na planie, jeśliśbyś chciała, mogłabyś spędzać przy mnie każdą minutę, mogłabyś przysłuchiwać się wszystkim dyskusjom, tak jak dzisiaj, mogłabyś patrzeć, jak załatwiam różne rzeczy...

- A czy mogłabym... siedzieć u twych stóp? - Gigi spytała z nieomal przesadnym spokojem.

- Nno... właściwie... przez większość czasu musiałabyś trzymać się z boku, wokół reżysera i aktorów istnieje jakby strefa koncentracji, ale spróbuję dać ci tyle przystępu...

- Usiądź.

- Nie mogę, jestem zbyt podekscytowany - zaprotestował Zach chodząc po pokoju niczym jakiś wojownik, książe czy mecenas, tak przejęty poczuciem własnych możliwości, że nie zauważył niezwyklej bezbarwności jej głosu.

Gigi rozwarła ręce i upuściła stertę talerzy z trzaskiem na podłogę.

- Siadaj!

- Jezu, ale bałagan! Czeka, pomogę ci.

- Do ciężkiej cholery, usiądź, zostaw ten pieprzony makaron, zostaw pieprzony sos i talerze!

- Gigi, biedactwo, jesteś przemęczona - powiedział tyleż rozbawiony, co zaniepokojony. - Chodź, kochanie, położę cię do łóżka, tam, gdzie twoje miejsce. - Podniósł ją z łatwością i zaniósł do sypialni nie zwracając najmniejszej uwagi na jej krzyki i gwałtowne próby wyrwania się. Położył ją na łóżku, gdzie zaczęła się rzucać mimo obejmujących ją silnych ramion. Zach ucałował jej pełne protestów usta nie dając im wymówić ani jednego słowa, chociaż Gigi gwałtownie i bezskutecznie usiłowała odwrócić od niego głowę. Przegrywając na całej linii poczuła, jak Zach szybko i zręcznie zdiera z niej dżinsy i majtki, jakby go wcale nie kopała z rosnącą wściekłością. Jego pocałunki nadal dusiły jej niewyraźne słowa. Jedną ręką Zach przytrzymał ją mocno na łóżku, a drugą położył na piersi Gigi, pieszcząc ją rytmicznym uciskiem, jakby chciał uspokoić małe zwierzątko. Wyczuwając pod cienką koszulką kształt jej ciała, zaczął szybciej oddychać. Gigi rzucała się coraz bardziej, gorączkowo usiłując uwolnić pierś, lecz Zach rozpałał się coraz mocniej, wsunął palce pod materiał i chwycił pierś jeszcze pewniej. Gdy dotknął jedwabistego sutka, jego chwyt nabrał stanowczości. Jęknął przeszyty pożądaniem i uniósł się na tyle, że całym ciężarem ciała opadł na wyrwijającą się Gigi. Tarł nieustępliwie członkiem po jej udzie i po chwili oderwał rękę od sutka Gigi, żeby rozpiąć rozporek. Kiedy się w nią wdierał, spróbowała krzyknąć, ale język Zacha wypełniał jej usta.

Ugryzła go z całej siły.

- Cholera! To zabolalo! - zawołał, z zaskoczeniem i wściekłością unosząc się w górę, ale nadal przyciskał Gigi do łóżka. W kąci ust pojawiła mu się odrobina krwi.

- Złaż ze mnie! - wrzasnęła Gigi.

- Dlaczego mnie ugryzłaś? - krzyknął ze złością.

- Bo mnie gwałcis, ty podły draniu! - Dyszała z oburzenia.

- Gwałcę? Nie oszukuj się - sama tego chcesz! Marzysz o tym! Trzeba ci dobrego rżnięcia, żeby się pozbyć tego parszywego nastroju! Chcesz ściągnąć na siebie moją uwagę. Myślisz, że nie wiem, dlaczego przez cały wieczór byłaś podminowana? Musiałem odbyć to spotkanie, ale ty żalowałaś mi każdej jego sekundy. - Puścił ją i wstał mierząc ją gniewnym spojrzeniem.

- Mój Boże, ty zupełnie, ale to zupełnie mnie nie znasz powiedziała Gigi gwałtownie, widząc wynik długo odkładanego, nieświadomego dodawania, sumę, w której było mniej zaskoczenia niż żalu, bólu i wielkiego gniewu. - Widzisz tylko siebie, wielkiego jak słońce i dwa razy jaśniejszego. Wszystko jest funkcją Zacha Nevsky'ego, poczynając od tego, co mnie interesuje, a kończąc na tym, co czuję. To, czym mogę być, wszystko, czym jestem, stanowi odbicie twojej chwały.

- To nieprawda! Kochamy się i tylko to się liczy!

- To się liczyło - powiedziała Gigi prawie do siebie. W jej głosie pobrzmiwało echo burzy, a za na wpół zamkniętymi powiekami jej oczy lśniły błyskawicami. - Usiłowałam z tego zrobić najważniejszą sprawę mojego życia i przez chwilę mi się to udało... ale teraz... to już niemożliwe. Nie rozumiesz, że moje życie nie może się kręcić wyłącznie wokół ciebie? Nie pozwolę, żeby tak

się stało. Im dłużej jesteśmy ze sobą, tym gorzej zaczyna się dziać. W końcu zrozumiałam, jak całkowicie niemożliwe jest nasze wspólne życie. To, co właśnie próbowałeś zrobić, co powiedziałeś

- nie, Zach, wszystko zniszczyłeś.

- Na litość boską, Gigi, zachowujesz się melodramatycznie powiedział Zach, a na jego twarzy pojawił się strach.

- Bierzesz jeden drobiazg, jeden zły wieczór, i robisz z igły widły. Co mam zrobić? Powiedz... Przeszanę prosić, żebyś rzuciła swoją cholerną pracę... Potraktuję ją poważnie,

81

jak Boga kocham, nawet jeśli miałyby mnie to zabić... Będę zwracał uwagę na twoje potrzeby... Będę wrażliwy, troskliwy i świadomy, wszystkie te bzdury, przysięgam, Gigi. Zmienię się!

- Nie wierzę ci. Nie ufam ci. Nie wierzę nawet, że jesteś kłamcą czy hipokrytą, bo tylko tyle mi oferujesz. - Gigi wstała z łóżka i podeszła do szafy. - Masz stąd wyjść i nigdy tu nie wracać - powiedziała zduszonym i bezbarwnym, lecz stanowczym głosem, rzucając mu sweter i grubą marynarkę, którą wcześniej powiesił w szafie. - Nie musisz zabierać swoich kluczy, i tak wymienię zamki. - Wyszła z sypialni, przeszła przez salon i zatrzymała się u szczytu schodów, czekając, żeby wyszedł.

- Nie rób z siebie kompletnej idiotki, Gigi, jeszcze nie skończyliśmy rozmowy - krzyknął do niej Zach.

Odwróciła się i spojrzała na niego nieruchomym wzrokiem, który rozdzielił ich niczym metalowa sztaba. - Już tu nie mieszkasz - powiedziała mocnym głosem.

- Ty mała kretynko... jak możesz być tak głupia... - jęknął zawahawszy się przy schodach. - Tylko dlatego, że musiałaś podać jedną zakichaną kolację...

- Wyjdź. Wyjdź, zanim jeszcze pogorszysz sytuację.

- Gorsza już być nie może - powiedział błagalnie, popisując się spojrzeniem wyrażającym nieomal skrajną tęsknotę.

- Idź już. Idź! - Dopiero gdy wyszedł, nadszedł gwałtowny, rozdzierający szloch, ale ani przez chwilę nie żałowała decyzji, do której ją zmusił.

*

Josh Hillman rzadko jeździł w interesach do Nowego Jorku, więc ilekroć był na Manhattanie, zawsze umawiał się przynajmniej na jeden lunch z prawnikami, z którymi prowadził interesy na odległość, aby wzmocnić kontakty całymi miesiącami utrzymywane telefonicznie i listownie.

Tego dnia, kiedy Gigi i David pokazywali Archiemu, Byronowi i Victorii swoje pomysły kampanii reklamowej dla Indigo Seas, tego dnia, w którym Zach Nevsky usiłował wydusić więcej pieniędzy z opornych **szefów** wytwórni, i w dniu, kiedy Sasza Hillman wybierała się na przyjęcie do świeżo zaręczonej córki jednego ze współników Josha, której

90

«**izy**stkie zaproszone przyjaciółki przynosiły w prezencie coś bielizny, Josh Hillman siedział w prywatnej jadalni firmy **Westcott, Rosenthal, Kelly & King**. Na lunch zostało zaproszonych też kilku młodszych współników, ludzi, o których Obecność Josh poprosił Billa Westcotta, ponieważ być może u przyszłości będzie miał z nimi do czynienia.

Rozmowa celowo krążyła wokół neutralnych tematów, **Josh** delikatnie wypytywał młodszych prawników, nie **oce-ntając** jednak ich zdolności prawniczych - gdyby bowiem I ! młodzi ludzie nie mieli wyjątkowych umysłów, nigdy nie znaleźliby się w tym wspaniałym, wysokim, wyłożonym boazerią pokoju - lecz ich charaktery. W najbliższych latach będzie musiał z grubsza wiedzieć, jak przyzwoitym człowiekiem jest każdy z nich.

Rozmawiali o łowieniu ryb na muchy i o wyspach tropikalnych, o Ronaldzie Reaganie i powolnej budowie Trump Tower, o hodowli szczeniąt i wychowywaniu dzieci, o stanie giełdy i romansach najmłodszych prawników. Josh brał żywy udział w rozmowie nie wyjawiając nic bardziej osobistego od zamięłowania do dorosłych skye terierów. Był tu po to, by wybierać, słuchać, wchłaniać i dowiadywać się.

Kent Rosenthal i Bill Westcott pogratulowali jednemu z młodszych prawników, Tomowi Ungerowi, ich wyraźnemu ulubieńcowi, niedawnych zaręczyn.

- Byliśmy przekonani, że Tom nigdy się nie ożeni - powiedział do Josha Kent.

- Próbowałem go poznać z siostrzenicą mojej żony, ale nie był zainteresowany, powiedział, że ma złamane serce
- zauważył ze smutkiem Mike Kelly. - A potem znalazł sobie Helen.
- Było złamane, a przynajmniej poważnie uszkodzone
- zaprotestował Tom Uger. - Po zniknięciu Saszy z nikim się nie umawiałem prawie przez rok.
- I to nazywasz stałością? - zapytał Kent Rosenthal.
- Od drugiej licealnej to był najdłuższy okres, jaki przeżyłem bez randek.
- Tom jest naszym oficjalnym beznadziejnym kochankiem
- dodał z uśmiechem Bill Westcott. - Każda firma prawnicza potrzebuje kogoś takiego. Ale tylko jednego.

- Jaka Sasza? - zapytał Josh. Serce waliło mu jak młotem.
- Sasza Nevsky. - Unger potrząsnął ze smutkiem głową.
- Helen, moja narzeczona, jest fantastyczną dziewczyną i będzie cudowną żoną, ale pierwszy przyznam, że to nie Sasza. Sasza była jedyna w swoim rodzaju.
- Jak to? - zapytał obojętnie Josh.
- Nno... to nic ważnego, stare dzieje. Naprawdę.
- Daj spokój, Tom, wszyscy słyszeliśmy o niepowtarzalnej Saszy, dziewczynie jednej na milion. Możesz powiedzieć Joshowi - odezwał się Mike Kelly, śmiejąc się z wahania Toma. - On mieszka w Hollywood i nic go nie zaskoczy.
- No, dobrze. Teraz, kiedy poznałem Helen, wydaje się to niemożliwe, ale to wspaniałe stworzenie, Sasza, całkowicie mnie zauroczyła. Problem w tym, że w jej życiu zawsze było jednocześnie dwóch innych oprócz mnie, a ona nigdy tego nie ukrywała. Nawet nie próbowała. Nazywała siebie Wielką Ladaczną - oznajmiała to z dumą, nie żartując, po prostu śmiała się z wyrazu mojej twarzy i tylko czekała, żebym się sprzeciwił. Było w tym coś prawie... czystego... jakaś uczciwość.
- I nie przeszkadzało ci to? - zapytał Josh z dziwnym wyrazem twarzy.
- Oczywiście, że przeszkadzało, nie cierpiałem tego, ale się na to godziłem. Inni też. Sasza potrafiła zmusić mężczyzn do zapomnienia o swych prawach terytorialnych. A sposób, w jaki rościła sobie prawo do wolności - tak, jak robiły to mężczyźni - sprawiał, że nie można się było o to z nią spierać. Bóg jeden wie, że próbowałem, ale bez najmniejszego sukcesu. Mogę się chyba przyznać do chwilowej utraty zmysłów. Z drugiej strony zastanawiam się, czy może nie miała racji, może samotna kobieta powinna mieć całkowitą swobodę. Chłopcy tutaj są zbyt po męsku szowinistyczni, żeby o tym ze mną dyskutować.
- Tom jest naszym rzecznikiem swobód obywatelskich
- powiedział Mike Kelly, śmiejąc się serdecznie.
- Nie chciałeś się z nią ożenić? - zapytał Josh.
- Jej nie interesowało małżeństwo... co, jak się okazuje, wyszło mi na dobre, bo mam teraz Helen.
- I co się z nią stało?
- To jest w tym wszystkim najdziwniejsze. Pewnego dnia zniknęła i więcej już o niej nie słyszałem. Żadnego listu,

84

ładnego pożegnania. Mam nadzieję, że gdziekolwiek jest, jest izczęśliwa. Była... niezwykła. Mówiłem ci, że to beznadziejny romantyk - powiedział Mdl Westcott. - Chcesz winiaku, Josh? Nie, dziękuję. Właściwie, panowie, powinienem już wra-(ac, chociaż bardzo tu u was miło.

*

Gigi, wyglądasz, jakbyś nie spała trzy noce z rzędu. Jesteś pewna, że poradzisz sobie z prezentacją? - zmartwił się David McIville spojrzawszy na nią. Miała na sobie czarny golf wepchnięty byle jak w czarne sztruksowe spodnie i dorównujące im wiekiem poobijane, czarne wysokie buty ze skóry. Pomyślał, że gdyby nie współczesne ogromne ciemne okulary, to wyglądałaby jak osiemnastowieczna sierota terminująca u kominiarza. Zmęczoną twarz miała bladą, a włosy w nieładzie, jak gdyby rano nie zawracała sobie głowy ich szczotkowaniem. W rękę nie miała nawet swojego zwykłego obwarzanka z obwarzankowego centrum, samoobsługowej lady z jedzeniem znajdującej się w głównym korytarzu budynku, gdzie w ciągu całego dnia zbierali się pracownicy agencji i plotkując nad lepкими bułeczkami czy świeżymi owocami często wpadali na swoje najlepsze pomysły.

- Miałam kiepską noc, pewnie coś zjadłam. Jestem tylko /męczona.

- To nerwy, tylko że nie chcesz się do tego przyznać. Mieliśmy za dużo czasu, żeby czekać i się martwić. Gdybyśmy ty i ko mogli przedstawić naszą ofertę wczoraj, kiedy była jeszcze ciepła, ale nie, byli zbyt zajęci pracą z innymi zespołami. Cholera!

- Ja się nie martwię - powiedziała ponuro Gigi. - Nic mnie to nie obchodzi, jak im się spodoba, to dobrze, a jak nie, to drugie dobrze. Życie płynie dalej.

- Och, cudownie! A więc jesteś z tych, co to kiedy są zdenerwowani jak diabli, chronią się w obojętność. - W jego głosie brzmiała nuta oskarżenia. - To tyle, jeśli chodzi o Miss Prawdziwej Wytrwałości 1993.

- Jak chcesz.

- Czy pomogłoby ci valium?

93

- A co ono daje?
- Łagodzi niepokój, jak rany! - powiedział przeciągając palcami po i tak zmierzwionych ciemnych włosach.
- Ty je zażyj, Davy. Dobrze ci zrobi. - Mimochodem przyglądała mu włosy.
- Już wzięłem. Chodź, Gigi, za chwilę przyjdą do salki konferencyjnej - chyba nie będziesz w tych okularach podczas prezentacji, co?
- Mam jakąś dziwną infekcję oczu. Wyglądam okropnie.
- Ach, biedactwo, napięcie rzuca ci się na oczy, co? Ja dostaję pokrzywki - posłuchaj, nawet jeżeli nie spodoba im się nasza wizja Indigo Seas, co jest niemożliwe, będą skakać z radości, kiedy usłyszą o Zaczarowanym Strychu.
- Tak, tak - odparła posepnie.
- Wstać i naprzód marsz! - rozkazał po wojskowemu.
- Dobrze.
- Cholera, poczułbym się lepiej, gdybyś mi zasalutowała.
- Dobrze. - Zasalutowała niemrawo i mruknęła „sir”.
- Żałuję, że cię o to poprosiłem.

*

- Udało wam się, dzieciaki! - Archie zerwał się na nogi, w chwili kiedy Gigi i David skończyli przedstawiać pół tuzina pomysłów dla Indigo Seas, ilustrując je rysunkami Davida.
- Jeśli to nie zdobędzie nam tego zamówienia, to nic tego nie dokona - zgodził się Byron tryskając entuzjazmem. - Gratulacje!
- Nie chciałabym zakłócać waszego zachwytu - powiedziała zimno Victoria Frost - ale mamiać grube kobiety, że w otyłości jest coś wspaniałego, całkowicie udało wam się przeoczyć najmocniejsze atuty klienta, powody, dla których te kobiety kupują jego kostiumy: słynne elastyczne wstawki, opatentowany krój stanika, elastyczne tkaniny o przemysłowym naciągu i ogromną skalę rozmiarów - to coś takiego sprzedaje Indigo Seas, a nie tanią imitację Sophii Loren. Jakąż przereklamowaną, bezczelną sroką okazała się ta mała panna Orsini, pomyślała Victoria z kwaśną, mściwą pogardą. Archie i Byron uparli się zatrudnić kogoś, kto był całkowicie nieodpowiedni, o czym wiedziała, gdy tylko ją zobaczyła. Nie

94

miała nic przeciwko atrakcyjnym projektantkom reklam, lecz w Gigi było coś, co od razu instynktownie wyczuła i czego nie znosiła, coś w jej zarozumiałej postawie, w jej braku czci dla potęgi i pozycji Victorii, jej niczym nie zasłużoną pewnością siebie oparta jedynie na bezczelnej młodości - tej nie przygaszonej jeszcze młodości pełnej idiotycznych złudzeń, że leży przed nią cały świat. Jeszcze się nauczy, ale tymczasem trzeba się z nią rozprawić. Wcale Victorii nie ułatwiał zadania fakt, że Gigi była na tyle sprytna, żeby działać z pełną świadomością, iż wszyscy trzej durnie, Byron, Archie i David, są przynajmniej Irochę w niej zakochani.

- Wszystko to wiemy, Victorio - przerwał krótką ciszę zapadłą po słowach Victorii David. - Chcemy jednak zrobić coś innego, rozpalić pod kobietami ogień, żeby poszły do sklepów z otwartymi i zaciekawionymi umysłami, na tyle poruszonymi przez reklamy, żeby poszukać dużych metek Indigo Seas - wszystkie te techniczne informacje będzie zawierać sama metka. Nie chcieliśmy przeładowywać reklam mody tekstem.

- Mylisz się, Davidzie - rzekła Victoria. - Dałeś się ponieść okazji zrobienia ładnych obrazków, próbując sprzedać skwierczenie, a nie stek. Kostiumy Indigo Seas to nie moda, to raczej pasy do pływania. Tych prac nie możemy pokazać podczas spotkania ofertowego. Indigo Seas szuka nowego partnera marketingowego, a nie drugiego Francisa Forda Coppoli.

- Przepraszam - odezwała się Gigi - ale wszystkie wymienione przez ciebie punkty znajdują się w ich obecnych reklamach. Jeśli w Indigo Seas są z nich zadowoleni, to dlaczego szukają nowych partnerów?

- Kiedy jest się w tym interesie tak długo, jak ja, Gigi, to człowiek uczy się nigdy nie pytać klienta, dlaczego chce zmienić agencję reklamową. Powody często nie mają absolutnie nic wspólnego z bieżącą kampanią, są związane z wewnętrznymi sprawami firmy, prywatną polityką. Ale podczas składania oferty trzeba starać się posługiwać zdrowym rozsądkiem. Nic pomija się celowo mocnych punktów towaru.

- Victorio - powiedział Archie - te prace Davida i Gigi są takie świeże i smaczne, że aż chciałoby się je ugryźć, dajmy mi szansę, do diabła!

- To coś innego, Victorio, coś nowego, przyciągnie uwagę. Indigo Seas znajduje się na rynku od wielu lat, wszyscy mają dosyć elastycznych wstawek, już same te słowa odstraszą - powiedział z oburzeniem Byron. - To jest soczyste!

- Kostiumy kąpielowe dla grubych kobiet nie mogą być „soczyste”, Byron - poinformowała go Victoria z lekkim, pogardliwym skrzywieniem ust. - Podobnie jak grube kobiety nie mogą być „bujne”.

- A gdzie to jest napisane? - wybuchnęła Gigi zrywając się z wściekłością, bulgoczącą, wstrząsającą nią, mile widzianą wściekłością, która wreszcie oderwała jej myśli od znękaney duszy i faktu istnienia kogoś o nazwisku Zach Nevsky. - Gdzie to jest, do cholery, napisane?

- Doprawdy, Gigi. - Victoria upomniała ją z lodowatą pogardą - to jest prezentacja, a nie uliczna bójka.

- Tylko nie „doprawdy, Gigi”! Mówisz o grubych kobietach tam, gdzie my używamy słowa obfity, jesteś tak cholernie protekcyjna, że wiem, iż w głębi duszy uważasz, że w ogóle nie powinno im się pozwalać pływać, a jeśli tego byłoby za mało, to chcesz rozegrać to bez ryzyka i dać klientowi to, czego według ciebie chce - jeśli to jest reklama, to znalazłam się w nieodpowiednim interesie!

- Śmiem twierdzić, że tak - wycedziła Victoria. - Może powinniśmy wrócić do poprzednich projektów i jeszcze raz przejrzeć prace Kerry'ego i Joan, Johna i Lewa. Dużo z nich było zupełnie niezłych. Moim zdaniem odrzuciliśmy je pochopnie. Albo, jeśli Gigi i David nie rozumieją, jak mają poprawić swoje prace, może potrzebna będzie w FRB orgia.

- Victorio! - Byron spojrział na nią z niedowierzaniem. - Zatrudniłszy Gigi po to, żeby robiła dokładnie to, co zaprezentowała tu z Davidem - co z tobą?

- Może będziemy kontynuować tę rozmowę na osobności, co, Byron? Myślę, że możemy poprosić, żeby Gigi i David wyszli. - Victoria spokojnie siedziała i szukała czegoś w torebce, nie zwracając już uwagi na Gigi i Davida.

- Jeszcze nie skończyłam - powiedziała Gigi stojąc na rozstawionych nogach. - I nie jestem dzieckiem, które można odesłać od stołu.

- Gigi... - zaczął Archie.

96

- Nie wyjdę, Archie. Wprowadzimy z Davym konieczne zmiany w reklamach dla Indigo Seas.

- Naprawdę? - zapytał Archie zdumiony tak szybkim poddaniem się.

- To nic wielkiego - odparła Gigi wzruszając ramionami. Niektóre bitwy mogą poczekać, a czymkolwiek była orgia

w FRB, nie podobało jej się brzmienie tego wyrazu. - Jest jeszcze jedna rzecz. Dwa dni temu uzyskałam nowe zamówienie od Bena Winthrop'a, budowniczego pasażerów handlowych. (O)biecał mi osiem milionów dolarów za kampanię reklamową sieci eleganckich sklepów z zabawkami o nazwie Zaczarowany Strych.

- Uzyskałaś nowe zamówienie? - wysyczała Victoria blednąc i z niedowierzaniem wciągając powietrze. - Czy mogę zapytać, kto dał ci do tego prawo?

- Sama je sobie dałam, miss Vicky.

Davida zatkało ze zdumienia. Archie i Byron zamarli na bezczelny, agresywny ton Gigi.

- I, miss Vicky, jeśli widzisz w tym jakiś problem - ciągnęła Gigi - to włożę do kieszeni zamówienie Zaczarowanego Strychu na osiem milionów dolarów i znajdę agencję, która je zechce i doceni moją pracę. To moje zamówienie, ja je uzyskałam, i zabiorę je ze sobą.

- Rzeczywiście. Cóż za przedsiębiorczość. Zastanawiam się, dlaczego jak dotąd nic nie słyszałam o tej sieci sklepów?

zapytała Victoria w nagłej, pełnej zdumienia ciszy. - Czyżbyś wymyśliła to na poczekaniu?

- Właściwie tak - rzekła Gigi opierając dłonie na biodrach. Jezu, pomyślał David, jakim cudem w ułamku sekundy

zmieniła się z kominiarczyka w pirata?

- Nigdy o niej nie słyszałaś - ciągnęła Gigi - bo jeszcze nie istnieje. Na razie są to sto dwadzieścia dwa bankrutujące sklepy nazywające się Raj Dzieciaka, z których większość znajduje się w pasażach Bena Winthropa. Zamierza on w nie zainwestować, zostawić na dawnych miejscach, całkowicie przestawić marketing, zmienić wystrój i rozreklamować jako odpowiednik Scruples skrzyżowany z Tiffanym dla dzieci - będzie tam można znaleźć najlepsze zabawki i ubrania dla dzieci od niemowląt do dziesięciolatków.

89

- A więc tak naprawdę Zaczarowany Strych nie istnieje, co? - zaatakowała Victoria. - Nie mówiąc już o ośmio-milionowym zamówieniu. Wszystko to jest gdybanie, tak? Zanim będą mieli jakikolwiek powód do reklamy, będą musieli się całkowicie zreorganizować, przebudować, zmienić asortyment, zainwestować majątek, a ty nie masz gwarancji, że tak się stanie, prawda? A nawet jeśli tak będzie, to minie wiele miesięcy, rok, a może więcej. To nie jest coś, co ktokolwiek mający doświadczenie nazwałby nowym zamówieniem.

- Mam zgodę Bena Winthropa. - Gigi sprawiała wrażenie jeszcze pewniejszej siebie.

- A ile dokładnie może być ona warta? Czy możemy ją umieścić w banku?

- Jeśli tobie to nie wystarczy, to powiedz - wybuchnęła Gigi. - Mnie to zadowala.

- Ben Winthrop - wycedziła Victoria. - To krewny twojej macochy, tak? Zawdzięczasz tę okazję, jeśli taką się okaże, w co jakoś wątpię, czystemu nepotyzmowi.

- Jestem pewna, że o nepotyzmie wiesz nieskończenie więcej ode mnie - odparła Gigi - a przynajmniej tak powiedział Ben, kiedy opowiedział mi o twojej przeszłości, pani Frost. - Gigi czuła się tak odświeżona, jakby wspaniale przespała całą noc.

- Nie chciałbym wam przerywać tej pogawędki, drogie panie, ale nie uważacie, że mogłybyście z tym trochę poczekać? Czyż wszyscy nie mamy roboty? - zapytał z rozpaczą Archie.

- Na razie skończyłam - rzekła Gigi nie zwracając uwagi na konsternację pozostałych. - Chodź, Davy, postawię ci lunch.

*

- Ile będziemy mieli czasu? - zapytała Gigi Davida w kilka dni później, zostawiając jego samochód pod opieką parkingowego hotelu Beverly Wilshire. Firma Indigo Seas wynajęła w nim na tę okazję dwa pokoje konferencyjne, jeden do prezentacji ofert, a drugi dla swego kierownictwa, żeby mogło spokojnie się naradzać. Tuż za Gigi i Davidem zatrzymał się samochód z szefami zespołu ofertowego - Victorią, Archiem i Byronem.

98

Indigo Seas powiedziało, że najwyżej półtorej godziny. Ale idziemy zaraz po lunchu. To znaczy, że rano wysłuchali dwóch ofert, zjedli lunch i nie mieli czasu się zmęczyć. Idealne ustawienie.

- Więc w sumie wysłuchają czterech ofert, bo po nas będzie jeszcze ktoś inny?

- Nie wiem. Mogli poprosić cztery inne agencje o przedstawienie ofert jutro. Albo wczoraj. Albo mogli zaprosić na dzisiejsze popołudnie trzy agencje... tego nigdy się nie mówi.

- Czy to coś w rodzaju naboru do korporacji studentów? Usiłując stłumić tremę, Gigi pochłaniała szczegóły tego

nowego doświadczenia niepodobnego do niczego, co dotychczas przeżyła.

- Czy wyglądam jak ktoś, kto chce wstąpić do korporacji?

- Nie. A ja? - Gigi ubrała się w strój, który miał wyrażać jej talenty twórcze oraz odpowiednią świadomość wagi klienta

właściwie wagi całego przemysłu strojów kąpielowych. Zestawiła kilka sztuk odzieży Prince'a z różnych katalogów Scruples II: wąską zieloną spódnicę z wełny rozszerzaną na dole, bluzkę w cienkie białe i zielone prążki z szerokimi rękawami, srebrnymi guzikami i lekko tyrolskim kołnierzykiem oraz nonszalancko rozpiętą czerwoną aksamitną kamizelkę, spod której wзираł stary, nabijany srebrem pas z Santa Fe. W ostatniej chwili, rano, dorzuciła do stroju efektowne kowbojskie buty z czerwonej jaszczurki, w których wyglądała na wyższą.

- Wyglądasz jak ktoś z „Sound of Music” skrzyżowany z jakąś postacią z „Shane'a”.

- O, Boże, wcale mi to nie przyszło do głowy - rzekła Gigi z przerażeniem.

- Nie, nie, dobrze jest. Wspaniale! „Sound of Music” wszystkim się podobało. To nieskończenie pokrzepiający film. Podświadome zwycięstwo. Nawet Victoria nie miała na próbie zastrzeżeń. Sądziś, że mój jedyny garnitur jest dobry?

- Wyglądasz jak Gregory Peck w „Rzymskich wakacjach”. Jesteś przepiękny.

- Ty też, kochana Gigi, jesteś przepiękna. - Dobry Boże, pomyślał David, przedstawiałbym oferty nawet siedem dni w tygodniu, gdyby tylko usprawiedliwiała to mówienie jej, że

jest piękna i nazywanie jej „kochaną” bez wywoływania pełnego zaskoczenia ruchu jej diabolicznych, spiczastych brwi.

- Kiedy dadzą nam znać? - zapytała Gigi po raz dziesiąty w tym tygodniu.
 - Tego też nie możemy przewidzieć, kochana Gigi - odpowiedział tak samo, jak dziewięć razy przedtem, wiedząc, że jest zbyt przejęta, aby zauważyć powtórne użycie słowa „kochana”. - Ogłoszą, kto dostanie zamówienie, w swoim czasie. Dzisiaj, jutro albo za dwa tygodnie. Ktokolwiek by je dostał, wiadomość rozejdzie się z prędkością światła.
 - Jest w tym coś strasznie groźnego - powiedziała.
 - Nikt nie walczy o siedmiomilionowe zamówienie bez cierpień, taka jest cena przystąpienia do gry. To sadystyczne, ale mogę się założyć, że każdy przemysł ma takie okrutne rytuały.
 - W Scruples II tak nie było.
 - Ale to była rodzina.
 - Uważasz, że powinniśmy się pomodlić?
 - Jestem kongregacjonalistą, my się nie modlimy o sukces w interesach. A przynajmniej tak mi się wydaje.
 - Kto to jest kongregacjonalistą?
 - Łagodny, liberalny rodzaj powszechnego protestanta, my kochamy wszystkich, Gigi, a szczególnie ciebie - powiedział żarliwie David.
 - Ta winda nie chodzi, czy co? - zapytała niecierpliwie Gigi, w chwili kiedy Archie, Byron i Victoria dołączali do nich w holu. Chłopcy byli wymuskani w pełnej gali od Armaniego, a Victoria jeszcze bardziej niż zwykle wyglądała na nieskazitelną kobietę interesu. Włożyła skromny granatowy kostium, który mógłby własnoręcznie skroić Balenciaga, gdyby znajdując się u szczytu sławy nie postanowił przestać szyc ubrań, ponieważ zabrakło nielicznych kobiet, które uznawał za godne swego talentu.
- Zespół ofertowy znalazł pokój konferencyjny na trzecim piętrze nawet nie markując rozmowy. Victoria została powitana w drzwiach przez dystyngowaną kobietę w średnim wieku, która przedstawiła się jako Jane Fairbrother, sekretarka prezesa Indigo Seas, George'a Collinsa.
- Proszę się rozgościć - powiedziała Jane Fairbrother z przyjemnym i całkowicie bezosobowym uśmiechem. - Sze

100

fowie trochę się spóźnią. Czy mogę państwu zaproponować kftwę albo herbatę? Nie? Przy państwa stole są dzbanki z wodą, **proszę** mi dać znać, kiedy się skończy.

Gigi obejrzała pokój. W jednym jego końcu stało kilka l i /cseł dla słuchaczy, a w drugim prosty stół z ustawionymi za ni ni pięcioma krzesłami i sztalugami po obu jego stronach.

Tylko zwilżaj usta wodą - syknął jej do ucha Archie. - Na IUchość w ustach i tak nic nie pomoże, a nie należy w połowie prezentacji wychodzić do toalety.

Victoria usiadła na środkowym krześle, Archie i Byron po **obu** jej stronach, a Gigi i David, niosący duże skórzane teki pi lne starannie ułożonych makiet reklam, usiedli na skrajnych **krzesłach**.

Po krótkim oczekiwaniu z sąsiedniego pokoju weszła grupa ludzi. Victoria wstała, by przedstawić współpracowników.

Najpierw weszli trzej bracia Collinsowie, właściciele Indigo **Seas**: Henry, John i George, który był najstarszy i najwyraźniej najważniejszy z całej trójki. Następnie wszedł dyrektor handlowy z asystentem i dyrektor od reklamy również z asystentem. Kiedy trzej bracia usadowili się w drugim rzędzie, w ostatnim **rzędzie** usiadły trzy spokojnie ubrane, przysadziste, starsze kobiety. To pewnie sekretarki braci, ponieważ każda z nich lizy mała notatnik i ołówek. Victoria skinęła im

uprzejmie głową, lecz najwyraźniej ich nie znała, a żaden z braci Collinsów nie przedstawił ich zespołowi FRB.

Gigi pomyślała, że albo bracia zatrudnili swoje sekretarki ze względu na ich profesjonalizm, albo zatrudniły je ich żony dla swego bezpieczeństwa. O ile potrafiła ocenić, wszyscy bracia niedawno przekroczyli trzydziestkę i każdy z nich, mimo silnego mdzinnego podobieństwa, stanowił inną odmianę ciemnego przystojniaka. Zachowywali też obojętność. Nigdy jeszcze nie widziała takiego braku wszelkiego wyrazu na ludzkiej twarzy. Bracia Collins nie byli nastawieni ani przyjaźnie, ani wrogo, nie byli ani znudzeni, ani zaciekawieni, a jedynie ich ciemne oczy pod ciemnymi brwiami pełne były spokojnej uwagi.

Zachowali kamienne twarze przez cały czas wystąpienia Victorii. Wyjaśniła, dlaczego Frost, Rourke, Bernheim dzięki znakomitym badaniom rynku i najlepszym specjalistom od kontaktów z mediami jest firmą wyjątkowo nadającą się do

stworzenia i odpowiedniego umiejscowienia reklam Indigo Seas, opisała, jak blisko FRB mogłoby współpracować z firmą mającą siedzibę w San Francisco, jak każde z nich było gotowe na każde zawołanie wsiąść do samolotu, by uzgodnić nawet najmniejszy szczegół, i jak doskonałym partnerem dla Indigo Seas jest FRB.

Gigi pomyślała, że Victoria sprawia znakomite wrażenie, mówi na temat i jest bardzo przekonująca. Nigdy jeszcze nie widziała tego oblicza Victorii Frost i kiedy ta usiadła, chciała jej bić brawo. George Collins podziękował jej w bardzo krótkich słowach.

Potem mówili Archie i Byron, prezentując inne aspekty współpracy z FRB, wspominając o własnych kilkuletnich doświadczeniach w Nowym Jorku, o młodości i sile agencji, o nowatorskiej realizacji zamówień otrzymanych w zeszłym roku oraz oferując braciom Collins własne talenty twórcze. Powiedzieli o pracy Gigi przy tworzeniu katalogu *Scruples II* i zdobytych przez Davida trzech nagrodach Belding Bowl za grafikę. Każdy z nich był równie przekonujący, co Victoria, a ich odmienne osobowości stopiły się w tak pociągającą całość, że Gigi zdziwiła się, że nie przyszła do agencji po pierwszym spotkaniu z nimi. Najwyraźniej walczyli o nią z mniejszym zaangażowaniem niż o klientów.

Słyszając, że Byron kończy, Gigi pociągnęła długi łyk wody, żałując, że nie ma kostki lodu do ssania. Wargi miała sklezione, a w ustach sucho. Gdyby tylko siedzieli z Davym obok siebie, mógłby pod stołem trzymać ją za spoconą rękę.

Gigi spróbowała skupić uwagę na klientach, szukając u braci jakiegoś znaku, czegokolwiek, co wskazywałoby, że znajdują się choć odrobinę pod wrażeniem, a nie są tylko wyjątkowo grzecznie milczącymi, obojętnymi mimami, lecz znalazła jedynie godność, powagę, niewzruszoną uwagę oraz poziom wymuskania zostawiający Archiego i Byrona daleko w tyle. Ich garnitury, koszule, krawaty, buty, fryzury, a nawet paznokcie przekraczały granice doskonałości, jeśli w ogóle coś takiego istniało - przekraczały, pomyślała Gigi, nawet dystyngowanie i elegancję kultywowane przez jej własnego ojca, Vito Orsiniego.

Bella figura. Kiedy tylko w jej myślach pojawiły się te słowa, od razu wiedziała, że bracia Collins są z pochodzenia

94

Wiochami. Żaden amerykański człowiek interesu, w którego tyłach nie płynęła włoska krew, nie poświęciłby tyle czasu, pieniędzy i uwagi niezbędnych do stworzenia takiego wyglądu.

Prezentowanie świata *bella figura* bez względu na to, co działo się w środku, było włoską tradycją pielęgnowaną od arystokracji po chłopów. Widziała, jak jej ojciec zachowywał *bella figura*, kiedy był pośmiewiskiem całego Hollywood, kiedy Wszystkim był winien pieniądze i ledwo sobie radził na kredyt.,

Archie trącił ją łokciem w zebra i Gigi zdała sobie sprawę, że Byron właśnie powiedział:

A teraz Gigi Orsini i David MeWille, nasz zespół twórczy, pokażą przygotowane przez nas reklamy.

Gigi wstała czując się lekko niczym strzała wypuszczona / luku. David miał podnosić ciężkie kartony, a ona miała je komentować, ponieważ on zajmował się grafiką, a ona tekstem. Najpierw jednak, pomyślała z dreszczykiem emocji, irochę dumy narodowej. Ci bracia byli trzema młodymi Vito (Orsinimi) i ani trochę jej nie przerazali. Ani trochę. *Niente*.

Powiedziała powoli i z dumą, patrząc George'owi Collinsowi prosto w oczy:

- Nazywam się Graziella Giovanna Orsini.

George Collins zamrugął. John Collins zamrugął. Henry Collins zamrugął. Gigi spostrzegła, że nawet sekretarki wymieniły szybkie spojrzenia. David spojrzął na nią z zaskoczeniem, ale cóż kongregacjonalista może wiedzieć o wadze włoskiego pochodzenia?

W ciągu następnych piętnastu minut pokazała im z dziesięć reklam zawierających wszystkie punkty, których zażądała Victoria, opisane specyficznym, intymnym stylem Gigi i okraszone szkicami kobiety, która, choć nie była chuda jak patyk, mogła ważyć nie więcej niż pięć kilogramów powyżej idealnej wagi modelki, kobiety delikatnie zaokrąglonej, atrakcyjnej, bardzo wyidealizowanej, i do przyjęcia przez Victorię Frost.

*

Były to reklamy dobre, ale nie wspaniałe. Gigi to wiedziała i David też. Były o wiele lepsze od dotychczasowych reklam Indigo Seas, ale nie były rewelacyjne. Kiedy skończyła,

103

spojrzała na braci Collins i zauważyła, że George prawie niedostrzegalnie wzrusza ramionami. Zupełnie jakby słyszała jego lekceważące „E!” Gigi doskonale rozumiała wymowę włoskich gestów, z których poznała, że dla George'a reklamy te nie były niczym wyjątkowym. Były niezłe, tyle że nieciekawe.

Gigi spojrzała na Davida i mrugnięciem dała mu umówiony znak. Odwrócił się i otworzył jeszcze jedną tekę. Po kolei Gigi pokazała widzom reklamy, które stworzyli z Davidem na początku, nie odwracając się do tyłu, gdzie przy stole siedziała reszta zespołu ofertowego.

Każda z reklam została sfotografowana z udziałem pięknej byłej modelki, która nabrała więcej *abbondanza*, niż którekolwiek z nich sobie początkowo wyobrażało. Była... niewątpliwie otyła... nawet bardzo otyła, ale w jakiś sposób te kilogramy dodawały jej uroku - były mocne, kształtne i o dziwo na miejscu. Obfite. Ostatnie dwie reklamy były nowe. Jedna z nich pokazywała dużą, szczęśliwą, obfitą w kształtach modelkę na wpół wynurzona z basenu, chwytającą za rękę przystojnego, całkowicie ubranego i najwyraźniej zafascynowanego kowboja. Tekst brzmiał: „Zapraszam - obfitość wody!” Na ostatniej reklamie obejmujący się modelka i kowboj byli zanurzeni w wodzie do ramion i śmiali się sobie prosto w oczy, a tekst brzmiał: „Cieszysz się, że mnie widzisz - a może to tylko moja *abbondanza*!”

Kiedy Gigi skończyła, w pokoju zapadła cisza. George Collins podziękował jej.

- Wybaczą nam państwo na chwilę? - zwrócił się do Gigi.

- *Pręgo* - rzekła Gigi. „*Pręgo*”, jedno z nielicznych włoskich słów, jakich nauczył ją ojciec, najprzydatniejsze słowo, którego z żadnym wypadkiem nie można użyć niewłaściwie, słowo, które znaczy i „proszę bardzo”, i „oczywiście”, i „przepraszam”, i „czy pozwolisz, że wejdem pierwsza”, a także „jak najbardziej”.

Czuła raczej niż widziała, że Victoria posyła jej promienie śmierci.

- Porozmawiamy o tym gdzie indziej - powiedział Archie zduszonym głosem. Archie, Byron i Victoria siedzieli w całkowitym milczeniu. Gigi i David zrobili niepotrzebnie długie

96

MiiiMitiaIHt^MiiiiHiwMti-mmmmm

przedstawienie ze starannego wkładania kartonów do tek, nie wając się na siebie spojrzeć ze strachu, że wybuchną szalonym śmiechem, ponieważ nie mieli nic do stracenia.

Drzwi łączące oba pokoje otworzyły się i do środka weszli przedstawiciele Indigo Seas. Wszyscy usiedli na swoich miejscach z wyjątkiem jednej z sekretarek, która usadowiła się obok George'a Collinsa.

George Collins wykonał z szerokim uśmiechem gest w jej kierunku.

- Chciałbym przedstawić moją matkę, signorę Eleonorę Colonnę - oznajmił. - Wszyscy pracujemy dla niej. Mama?

- Podoba mi się wasza praca - odezwała się signora Colonna z pełną powagą aprobatą, wstając i ogarniając spojrzeniem zespół FRB. Kiedy tylko otworzyła usta, można było dostrzec jej wielką siłę. - Moim dwóm młodszym siostrom podoba się wasza praca - przy tych słowach odwróciła się, by wskazać dwie kobiety nadal siedzące z tyłu.

Moim synom podoba się wasza praca. To ja wymyśliłam i opatentowałam miseczkę stanika i elastyczne wstawki, a wy jesteście jedyną agencją, która rozumie, że żadna szczupła kobieta nie nosiłaby niczego takiego. Nie ma potrzeby czekać z oznajmieniem wam, że otrzymaliście zamówienie. Witamy w Indigo Seas.

- *Grazia mille* - odezwała się Gigi, ponieważ innym odebrało mowę. Były to dwa kolejne słowa, jakie znała po włosku.

- *Pręgo*, Graziella Giovanna - rzekła starsza pani, obdarzając ją bardzo osobistym uśmiechem. - Wiedziałaś, że jesteśmy Włochami? Czy to może wasz słynny dział badań rynku?
- Odkryłam to dopiero wtedy, kiedy rozpoznałam *bella figura* pani synów - odparła Gigi.
- To dlaczego ubrałaś się w kolory włoskiej flagi, Graziello Giovanni?
- Jestem... przesądna - powiedziała Gigi gorączkowo improwizując. - Mój ojciec, Vito Orsini, zawsze mówił, że to szczęśliwe kolory.
- A twoja matka? Też jest Włoszką?
- Nie, Irlandką. Też flaga zielono-biała, ale z pomarańczowym.

- Ach - to więc wyjaśnia twoje włosy.

- Nie, signora Colonna. Woda utleniona.

- Przyjedziesz do San Francisco. W biurze jest za wielu mężczyzn. Mam dobrych chłopców - Giorgio, Enrico i Gian-niego - wszyscy oni są cudowni, ale powinnam mieć córkę. Moje siostry i ja pokazemy ci nasze nowe projekty i wyżyłujemy cię z pomysłów. Masz styl. Ani trochę *abbondanzy*, ale mnóstwo stylu.

- *Grazia*, signora Colonna. Z przyjemnością, signora Colonna.

- *Prego*, Graziella Giovanna. - Ujęła Gigi za rękę. - Będę oczekiwała na twój przyjazd. Zadzwoń jutro, żeby ustalić datę. Może zostaniesz na noc i poznasz moje wnuki. To też sami chłopcy - ach, cóż można na to poradzić?

Przedstawiciele Indigo Seas ściskali ręce Archiemu, Byronowi, Victorii i Davy'emu, śmiejąc się i rozmawiając po przeżytym napięciu, lecz wokół signory Colonna i Gigi był krąg szacunku, którym wszyscy automatycznie obdarzali głowę rodu i osobę, którą najwyraźniej wybrała z całej grupy Frost, Rourke, Bernheim.

5

Pierwszego dnia pobytu Gigi w FRB Victoria Frost siedziała w swoim biurze nie usiłując nawet zjeść sałatki owocowej, którą przyniosła jej Polly, nadal rozwścieczona myślą o Archiem, Byronie, Gigi i kosztownym lunchu, który niewątpliwie właśnie konsumują. Jak śmieli zatrudnić nową tekściarkę, której Victoria nie przystawiła swojej aprobującej pieczęci? Jak śmieli wyjść z nią na lunch, jakby reklama była jednym wielkim przyjęciem i nie było żadnej pilnej roboty? Kiedy ich dwa zespoły twórcze nieomal się wyprztykały z pomysłów w związku z ofertą dla Indigo Seas, powiedziała Archiemu, że powinien z wszystkiego zrezygnować, szczególnie ze swojego wyczerpującego życia towarzyskiego, zacisnąć zęby i samemu wziąć się do roboty - nikt nie zarządził, że

98

teksty reklamowe kostiumów kąpielowych musi pisać kobieta. Wykręcał się jednak od zadania, do wykonania którego nie czuł się na siłach na tyle długo, żeby pojawiła się Gigi. Nie była nawet kobietą, tylko kretynką, zapatrzonym w siebie dzieckiem, które uważało, że skoro miało trochę szczęścia w katalogu, to bez żadnej wiedzy czy wykształcenia może przerzucić się na reklamę. Jej współnicy wyraźnie stracili zdrowy rozsądek.

Dziewczyna miała ten rodzaj powabu, którego Victoria osobiście najbardziej nie lubiła, a który dla mężczyzn, tych przewidywalnych głupców, był kuszący. Czyż nie widzieli, że składają się na niego wyraźnie farbowane włosy, specjalnie grubo nałożony tusz do rzęs, seksowne ciało i zwierzęcy temperament? Jediną rzeczą, jaka jej się podobała w Gigi Orsini, był jej kostium. Zawsze można rozpoznać rękę Prince'a i jakoś jego materiału, lecz takie rzeczy marnowały się na tej krzykliwej istocie, która niewątpliwie znacznie lepiej czułaby się w sztucznych brylantach. To prawie niewiarygodne, że mniej więcej wychowała ją Billy Ikehorn, której jeśli czegoś brakowało, to na pewno nie gustu. Victoria przypominała sobie, że kiedy jeszcze mieszkała w Nowym Jorku i otworzono tam filię *Scruples*, potrafiła tam znaleźć ubrania idealne dla siebie, podobnie jak jej matka, która bardzo różniła się od niej stylem, lecz była równie wymagająca.

Tak, ona i jej matka, Millicent Frost Caldwell, były całkowicie odmienne, lecz nikt nie mógł powiedzieć, że łatwo je było zadowolić.

Chociaż ostatnią rzeczą na świecie, jakiej pragnęła dwudziestojednoletnia Millicent Frost, było dziecko, jako rasowa autorka tekstów reklamowych musiała nadać swojej córce imię budzące pożądane królewskie i historyczne skojarzenia, czego nie wzięła pod uwagę jej własna matka

dając jej imię po ukochanej ciotce. Millicent nazwała niemowlę Victorią za pełną obojętności zgodą męża, Dana Frosta, dla którego dziecko było taką samą zawadą jak dla niej. Frostowie pobrali się o wiele za szybko, co w konserwatywnej atmosferze roku 1951 nie było niczym niezwykłym.

Victoria urodziła się denerwująco szybko, zaledwie w rok później, zmuszając swoją zirytowaną matkę do wzięcia dziesięciu dni urlopu w sporej agencji Jack Abbott & Partners, gdzie już uważano ją za najbardziej interesujący i oryginalny młody umysł. Była niewątpliwie złotą dziewczyną i bez najmniejszego wysiłku demonstrowała charyzmę składającą się z czystej energii kinetycznej i wrodzonego uroku, starannie skrywającego to, o czym sprytna Millicent wiedziała, że jest nieprzyzwoicie wielkimi ambicjami. Była małą, pełną życia blondynką o delikatnej urodzie, posiadającą bezcenny dar sprawiania wrażenia zarówno na mężczyznach, jak i na kobietach, że jest niegroźna. Millicent zachowała charyzmę do chwili urodzenia dziecka, promieniując nią nawet w złości, że musi tracić czas na rozmowy z potencjalnymi niańkami, i wydzielając jej podwójne ilości, kiedy tryumfująco powróciła do pracy, zostawiwszy Victorię pod opieką stanowczej, godnej zaufania młodej kobiety z Zurichu o nazwisku Lori Schaefer.

Lori wychowała Victorię na schludne, posłuszne, zdrowe dziecko przynoszące jej zaszczyt, kiedy rodzice zaglądali do dziewczynki na kilka minut wieczorem przed wyjściem na koktajl czy kolację. Dan Frost był młodszym kierownikiem zamówień w dużej agencji i do jego obowiązków służbowych należało bogate życie towarzyskie.

Victoria nie ukończyła jeszcze dwóch lat, kiedy jej rodzice rozwiedli się. Dan wyjechał do Chicago, a potem do Milwaukee. Czeka na dziecko przychodziły od niego coraz rzadziej, w końcu zupełnie się urwały i Millicent znalazła się w sytuacji finansowej odpowiedzialności za córkę. Na szczęście dzięki szybkiemu awansowi u Abbotta, gdzie w wieku dwudziestu czterech lat była teraz wiceprezesem do spraw tekstów reklamowych, mogła sobie w dalszym ciągu pozwolić na opłacanie Lori, a także dochodzącej sprzątaczką, prywatnego żłobka dla Victorii i cotygodniowych wizyt u Saksa, gdzie układała sobie włosy.

Millicent Frost odnosiła z każdym miesiącem coraz większe sukcesy. Pewnego dnia, kiedy miała trzydzieści jeden lat, Lori podjęła z banku swój kapitał i wróciła do Szwajcarii, by poszukać sobie męża, na jakiego sobie z całą pewnością zapracowała. Zdumiała tym swoją chlebobawczyńnię tak samo jak siebie samą.

108

- Na pewno szkoła z internatem bardzo ci się spodoba, kochanie - zapewniła Millicent Victorię, która nie potrafiła jeszcze uwierzyć, że Lori naprawdę ją opuściła.

- Dlaczego nie mogę zostać tutaj? - zapytała błagalnym tonem. - Uwielbiam swoją szkołę. - Jak na dziesięcioletkę była wysoka, prawie doganiając wzrostem swoją starannie ubraną matkę, chuda, miała regularne rysy i długie, ciemne włosy. Millicent wiedziała, że jej córka nie jest ładna, ale z pewnością i nie pospolita. Ani śliczna, ani interesująca, tylko zwykła, grzeczna dziesięcioletka - chociaż może ma pewną niezwykłą godność - ze zwykłymi możliwościami, jakie stoją przed dziesięcioletkami. Obowiązkiem Millicent było te możliwości jak najbardziej powiększyć.

- Victorio, tutaj nie zawrzesz właściwych znajomości, nie nauczysz się jeździć konno ani dobrze mówić po francusku. Central Park od lat nie jest właściwym miejscem do zabawy, twoje weekendy nie są zorganizowane w sposób, jak to miało miejsce przy Lori, nie ma się komu tobą zająć - och, na litość boską, Victorio - jeśli nie pójdziesz do pierwszorzędnej szkoły, nie oddasz sobie sprawiedliwości.

- Sprawiedliwości?

- Kochanie, będziesz się świetnie bawiła. Chciałabym mieć takie możliwości jak ty - powiedziała nieustępliwie Millicent Frost.

Niezależnie od tego, czy Victoria zrozumie, dlaczego musi tak być, czy nie, pójdzie do kosztownej szkoły z internatem w Nowej Anglii, do której Millicent zapisała ją z takim trudem. Dziewczynka była zdecydowanie za duża, żeby opiekowała się nią następną guwernantką, bo podczas tych

wszystkich lat Lori tym właśnie się stała, i jeszcze za mała, by powierzyć ją opiece gosposi na stałe, nawet jeśli przy panującej posusze na młode Europejki dałoby się kogoś takiego znaleźć. Millicent spędzała bardzo dużo czasu w pracy. Kiedy Victoria miała sześć lat, przeniosła się od Abbotta do agencji Doyle, Dane, Bernbach, jednej z najbardziej rozchwytywanych w interesie, gdzie została jednym z wielu wiceprezesów. Jej nieustające życie towarzyskie w dużym stopniu związane z klientami na jej stanowisku było absolutnie konieczne. Miała po prostu za mało czasu, żeby pomagać dziecku w odrabianiu

lekcji, umawiać się z innymi matkami na przenocowywanie dzieci czy martwić się o czyste ubranie dla córki do szkoły. Dla Millicent taka możliwość stała się całkowicie groteskowa. Victoria Frost została wysłana do szkoły z internatem pod Bostonem i na najlepszy obóz letni w Maine. Podczas ferii i w czasie tygodni między końcem roku szkolnego i początkiem obozu, jeśli Victoria nie została zaproszona do jakiejś koleżanki, Millicent znajdowała przyjemne studentki, które dostarczały jej córce zajęcia i rozrywki.

Millicent Frost zawsze przyjeżdżała na rodzicielskie weekendy do szkoły i na obóz, nigdy nie zapominała poinstruować sekretarki, żeby na urodziny Victorii wysłała jej do szkoły cudowne prezenty, i zasłynęła z przyjęć, jakie za pomocą firm restauracyjnych organizowała na Święto Dziękczynienia i Boże Narodzenie, na które zapraszała wszystkich samotnych znajomych z biura i podczas których pokazywała swoją miłą i cichą córkę. Inne kobiety u Doyle'a i Dane'a zazdrościły Millicent Frost wyraźnej sprawności, z jaką łączyła macierzyństwo i karierę zawodową. Sprawność tę przyjmowały za pewnik, widząc opanowanie wysokiej Victorii, która tak dobrze nauczyła się ukrywać nienawiść do matki, że wiedziała o niej tylko ona sama.

Dopóki Lori nie wyjechała do Szwajcarii, Victorii na tyle odpowiadała bliskość z guwernantką, że bez zbytnich oporów przyjęła kult swej „cudownej matki” wyznawany entuzjastycznie przez Lori, która widziała, jak ciężko pracuje śliczna, samotna mała pani Frost. Potem przez pewien czas Victoria była zbyt zajęta przystosowywaniem się do dobrze zorganizowanego życia swojej nowej szkoły, żeby myśleć o matce, lecz wkrótce zaczęła sobie zdawać sprawę z ilości uwagi, jaką jej nowym koleżankom poświęcały ich matki, z pełnych miłości listów i długich rozmów telefonicznych.

Czasami ona też otrzymywała krótki, suchy list dyktowany przez matkę sekretarce, stanowiący odpowiedź na listy, jakie zgodnie z wymaganiami szkoły wszystkie dzieci musiały pisać do domu dwa razy w tygodniu. Kiedy jednak odwiedzała koleżanki i obserwowała głodnym wzrokiem ich życie rodzinne, zdawała sobie z bólem sprawę, że chociaż żadna inna znana jej dziewczynka nie miała tak starannej opieki, ona sama była

110

prawie całkowicie zaniedbywana przez jedyną osobę, której nie można było zapłacić za spędzanie z nią czasu.

Victoria z nikim nie podzieliła się tym spostrzeżeniem. Wchłaniała je w siebie powoli przechodząc okres pokwitania i stając się nastolatką. Jej matka była źródłem wszystkiego, co miała, każdej drogiej sukni i szkolnego mundurka, każdego biletu na balet czy do teatru, każdej lekcji żeglowania i każdej godziny spędzonej w siodle, każdej poduszki z falbankami w różowo-zieloną kratkę w niedawno odnowionej sypialni. Każdy kosztowny szczegół jej uprzywilejowanego wychowania miała dzięki wspaniałym osiągnięciom matki.

Oczywiście wiedziała, że to nie wystarczy. Nie mogło wystarczyć bez dowodów macierzyńskiej miłości, bez pragnienia jej matki spędzania z nią czasu. Było to niewybaczalne, absolutnie niewybaczalne, teraz i zawsze.

Jesienią roku 1968, wkrótce po szesnastych urodzinach Victorii, kiedy była w drugiej klasie liceum, Millicent Frost, która w wieku trzydziestu siedmiu lat nie wyglądała starzej niż przed dziesięciu laty, zadziwiła siebie samą i wszystkich dookoła zakochując się wielką miłością w mężczyźnie o dziewięć lat od siebie młodszym, Angusie Caldwell, wschodzącej gwiazdzie w BBD&O. Mając dwadzieścia osiem lat Angus był znany jako najbardziej uwodzicielski dyrektor zamówień w interesie, w którym żaden mężczyzna, a już na pewno mężczyzna mający kontakty z klientami, bez zdolności uwodzicielskich nie mógłby się utrzymać. Angus Caldwell posiadał wielki, niezaprzeczalny urok. Był wysoki i poruszał się z gracją - był synem licznych pokoleń

hodujących owce Szkotów, którzy z łatwością przemierzali swoje posiadłości. Miał dość szorstką, piegowatą skórę i jasnoblond, opadające na czoło, jedwabiste włosy. Chyba sobie nie zdawał sprawy z wrażenia, jakie wywierały jego ciemnoszare oczy, lecz jego główny urok tkwił częściowo w pełnym wahania uśmiechu, który był i nieśmiały, i nieco melancholijny, a częściowo w jego wyglądzie przerośli iętego ucznia. Mimo wszystko Angus Caldwell był równie ambitny, co Millicent Frost, a jego dziedzictwem był tylko porządny umysł, miłość do książek i zdolność wywoływania w każdym poznanym człowieku zaufania do siebie. Odwzajemnił miłość Millicent, różnica wieku nie miała znaczenia,

a chociaż znali się dopiero od kilku miesięcy, planowali wziąć ślub jak najszybciej. Millicent wołałaby nie sprowadzać Victorii ze szkoły na ślub. Dziewczyna wyrosła na dość ładną osobę, a w dawniejszych czasach mogłaby nawet zasłużyć na miano przystojnej, bo była wysoka, trzymała się prosto, miała nieskazitelną, jasną cerę, lśniące, gęste, ciemne włosy i dobrze osadzone, przejrzyste piwne oczy o zdumiewająco długich, ciemnych rzęsach. Millicent pogratulowała sobie, że widać pieniądze, jakie wydała na Victorię. Wyhodowała arystokratkę. Była jednak niepokojąco dojrzałą szesnastolatką i godność czarująca u dziecka w wieku lat dziesięciu była zbyt dojrzała jak dla Millicent Frost znajdującej się w tym szczególnie romantycznym momencie życia. Victoria już od dawna nie wyglądała na małą dziewczynkę, przeskoczywszy niezręczny wiek jednym skokiem, nie potrzebując aparatu ortodontycznego, nie garbiąc się i nie demonstrując żadnej zwykłej uroczej niezręczności, jakiej można się spodziewać u nastolatki. Nie była też w oczach swej krytycznie nastawionej matki szczególnie miła. Wykształciła sobie chłodną i pełną rezerwy osobowość, opanowanie całkowicie pozbawione słodkiej młodzieńczości, jakiej Millicent słusznie spodziewała się po tak starannie hodowanym kwiecie. Może Victoria i jest arystokratką, ale zupełnie nie ma wdzięku, powiedziała sobie w duchu Millicent i z westchnieniem pełnym rozczarowania zauważyła, że choćby najlepsza cera i włosy nie dorównują wartością choć odrobinie czaru. Victoria nie korzystała nawet z daru swych zdumiewających rzęs, woląc patrzeć na ludzi jak najmniej mrugając oczyma. W każdym razie trzeba było sprowadzić Victorię ze szkoły nawet w trakcie śródsemestralnych egzaminów, bo inaczej ludzie będą się zastanawiali, dlaczego podczas kościelnej uroczystości nie ma jej u boku matki. Ślub został pośpiesznie, lecz starannie zaplanowany, tak żeby mogli na niego przyjść wszyscy, którzy liczyli się na Madison Ave-nue. Na szczęście wśród sukienek Victorii kupionych na zabawy szkolne jedna była zupełnie odpowiednia: zielona aksamitna sukienka mini z krótkim, rozszerzonym żakietkiem do kompletu.

112

Victoria zdała w sobotę rano egzamin i miała po nim akurat tyle czasu, żeby się przebrać, zdażyć na samolot do Bostonu i przylecieć do Nowego Jorku przed samym ślubem. Millicent przysłała po nią na lotnisko kierowcę, który miał ją zawieźć do Sw. Bartłomieja na Park Avenue, żeby Victoria mogła poznać Angusa przed ślubem.

Samolot spóźnił się pół godziny. Zdenerwowana i pełna skruchy Victoria zdażyła tylko przejść przed matką przez nawę kościoła, bo uroczystość nie mogła już być dłużej odkładana. Angus Caldwell czekał na nie spokojnie. Swe przydługie blond włosy dobrze wyszczotkował, a w ciemnoszarych oczach miał wyraz łagodności, lecz i wyczekiwania. Zwrócił się do Vic-lorii, pochylił ku niej i ujął jej drżące ze zdenerwowania palce w swe duże, ciepłe dłonie. Uścisnął je mocno, zaglądając w pełne zaskoczenia oczy dziewczyny z uprzejmym skupieniem, uniósł z uznaniem jedną brew, nieśmiało się uśmiechnął i leciutko do niej mrugnął. Następnie odwrócił się do swej narzeczonej. Podczas uroczystości Victoria nie potrafiła ani na chwilę oderwać wzroku od twarzy Angusa Caldwell. Natychmiast i bezbrzeżnie się w nim zakochała swą pierwszą i jedyną miłością, miłością, która, co czuła całą swą samotną duszą, będzie trwała do końca jej życia. Zaraz po powrocie z krótkiego miodowego miesiąca Angus i Millicent Frost Caldwell odeszli ze swoich agencji i założyli własną, Caldwell & Caldwell. Następnego dnia po ogłoszeniu utworzenia spółki do Angusa zadzwonił jego stary przyjaciel, Joe Devane, właściciel Oak Hill Foods, średniej wielkości firmy żywnościowej, którą założył przed dziesięciu laty. Dotychczas Ogilvy & Mather uważali Oak Hill za swego stałego klienta, ale skoro Angus sam założył agencję, Devane zamierzał dać mu zamówienie w zamian za obietnicę, że Angus zawsze będzie się nim osobiście zajmował bez względu na to, jak bardzo Caldwell & Caldwell się rozrośnie.

Od pierwszego dnia działalności Millicent i Angus kroczyli, wydawałoby się, że bez wysiłku, od sukcesu do sukcesu. Zdumiewająco wielu twórców ze wszystkich największych agencji zasypało ich teczkami ze swymi najlepszymi pracami

105

w wyścigu do zostania pierwszymi współpracownikami Caldwellów. Duże zamówienia trafiały do nich bez żadnych z ich strony starań, zalewając nową agencję problemami, do których rozwiązywania ich połączone ambicje i talenty idealnie się nadawały. Była to lawina, której dorównywał jedynie sukces firmy Wells, Rich, Green sprzed kilku lat.

Kiedy w półtora roku później Victoria ukończyła swoją szkołę z internatem, firma Caldwellów miała zamówienia na siedemdziesiąt milionów dolarów rocznie i zatrudniała ponad sto osób. Victoria złożyła podania do trzech szacownych uniwersytetów, z których dwa ją przyjęły. Jako prezent maturalny Millicent Caldwell chciała jej zafundować letnią podróż do Włoch, ale Victoria nie chciała wyjeżdżać z Nowego Jorku.

- Chcę tylko letniej posady w agencji.

- Ale to nie jest prezent, Victorio. Dzieciaki, którym dajemy tę pracę, są gotowe pracować jak diabli przez całe lato - nawet w weekendy, jeśli będzie trzeba.

- Ja też. Proszę, pozwól mi spróbować, mam. Nigdy niczego tak bardzo nie chciałam.

- Nie ma mowy. Nie byłoby to uczciwe względem kogoś, kto naprawdę potrzebuje pracy.

- A za rok? - zapytała błagalnym tonem Victoria.

- Posłuchaj, kochanie, chwali ci się, że chcesz pracować, ale miałas wypełniony nauką rok i nadszedł czas, żebyś odpoczęła. Kiedy ja byłam w twoim wieku, wszystko bym oddała za lato, jakie cię czeka. Dziewczeta jak ty powinny spędzać lato wzbogacając swe życie towarzyskie i kulturalne. Poza tym, gdybym ci dała pracę, oskarżono by mnie o faworyzowanie cię, a na to nie mogę się zgodzić.

Nie mogę też pozwolić, pomyślała Millicent Caldwell, żeby osiemnastoletnia córka koczowała przez trzy miesiące w mieszkaniu, w którym mieszkam z Angusem! Dobry Boże, przecież praktycznie są nowożeńcami! Czy Victoria nie ma na tyle wrażliwości, żeby dopuścić możliwość, iż jej matka mogłaby chcieć przebywać z mężem sam na sam, bez psucia atmosfery przez niezdarną nastolatkę? Nie, oczywiście że nie, dzieci, bez względu na wiek, nigdy nie pozwalały sobie nawet na cień takiej myśli o rodzicach.

114

Następnego lata Victoria została wysłana do jeździeckiej rodziny na angielską wieś, a w rok później pojechała do (irecji. Potem Millicent wysłała ją do Francji na pierwszy rok do Sorbony i zadbała, żeby córka spędziła kolejne lato jeżdżąc po Włoszech. Victoria nigdy nie spędziła pod matczynym dachem więcej niż dwie czy trzy noce z rzędu. Na Święta Dziękczynienia i Bożego Narodzenia przyjeżdżała do domu do Nowego Jorku, ale inne przerwy uniwersyteckie spędzała w domach koleżanek, gdzie przywitanie było cieplejsze niż u matki.

Kiedy Victoria skończyła studia, udało się jej dostać letnią praktykę w Hill Associates, niewielkiej agencji reklamowej, gdzie jej powiązania z Caldwell & Caldwell były uznawane za wielki plus. W Hill Associates Victoria biegała na posyłki, robiła kawę i roznosiła pocztę. Obserwowała, słuchała, wchłaniała i zapamiętywała każdy szczegół dotyczący prowadzenia interesu. Kiedy tylko nadarzała się okazja, rozmawiała z ludźmi, którzy mieli czas na rozmowę z nią. Nie było dziwne, jak wiele było lakich osób i jak długo i wyczerpująco chcieli gawędzić, ponieważ zwykle w jak najbardziej oględny sposób dawała im do zrozumienia, czyją jest córką. Pod koniec tego lata znów poprosiła matkę o pracę.

Victorio, nie opowiadaj głupstw - rzekła Millicent Frost (aldwell. - Nie masz szczególnych talentów artystycznych i nigdy nie wykazywałaś żyłki pisarskiej. Byłaś dobrą studentką, ale reklama... to wymaga specjalnego podejścia, szczególnego wyczucia, czegoś wyjątkowego. Gdybyś miała to coś, to nawet u Hilla jakoś byś wypłynęła i została zauważona. Zaproponowaliby ci stałą pracę z końcem lata.

Nie są na tyle dużą agencją, żeby mnie potrzebować. Posłuchaj, mam, wiem, że nigdy nie będę pisała tekstów reklamowych i nie zostanę dyrektorem artystycznym. Zdaję sobie sprawę ze swoich braków.

Co za ulga. Co zatem chcesz tu robić?

Wiem, że z czasem mogę zostać kierownikiem zamówień.

Doprawdy?

Mam potrzebne umiejętności - powiedziała Victoria / I a k wielką pewnością siebie, że nie wymagała podkreślania

107

głosem, żadnego zabarwienia emocjonalnego. - Nie mam zdolności artystycznych, ale potrafię postępować z artystami. Doceniam ich pracę i szanuję ją.

- Ależ, Victorio...

- Nie, nie przerywaj mi, mam, wysłuchaj mnie do końca. Każdy, kto rozumie twórców, może nauczyć się obsługi zamówień. Trzeba do tego osoby potrafiącej wysłuchać życzeń klienta, inteligentnie je przeanalizować i jasno przekazać twórcom. Jednocześnie taka osoba nie może pozwolić, aby twórcy denerwowali się, kiedy klienci odrzucają ich ulubione pomysły. Jej matka uniosła z zaskoczeniem głowę spowitą w blond loki. Victoria miała absolutną rację co do kierowników zamówień.

- Sprowadza się to do tego - ciągnęła Victoria - żeby być odpowiedzialnym, zorganizowanym, zwracającym uwagę na szczegóły pośrednikiem, z którym wszystkim dobrze się współpracuje. Potrzeba mi szkolenia i doświadczenia, ale wiem, że to właśnie chcę robić, a to już połowa sukcesu. Jestem młoda, ale nie wyglądam szczególnie młodzieńczo i w końcu - już wkrótce - będę gotowa do objęcia jakiegoś małego zamówienia jako jego kierownik. Zawsze mówisz, że reklama to interes dla młodych - w moim wieku pisałaś teksty reklamowe i urodziłaś dziecko. W gruncie rzeczy, ponieważ mam dwadzieścia dwa lata, już mnie utrzymywałaś ze swojej pracy! Przez całe życie robiłam to, czego ty chciałaś, mam, więc teraz po prostu musisz mi dać szansę. Chcę sama zarabiać na życie, mieć własne mieszkanie, żyć własnym życiem.

- Jakim cudem praca kierownika zamówień może zaspokoić twoje aspiracje, Victorio? - Upór córki napełnił Millicent rozczarowaniem i niechęcią. - Mój Boże! Zobacz tylko, jakie ci zapewniłam wykształcenie, przypomnij sobie, w jakich wspaniałych byłaś miejscach, swoje podróże, swoje cudowne wakacje! Przypomnij sobie idee, z jakimi się zetknęłaś, ludzi, których poznałaś - dlaczego, Victorio, dlaczego?

- Och, to twój przykład, mam, jak mogłoby być inaczej? - odparła Victoria obdarzając Millicent niezwykle szerokim uśmiechem, który sprawił, że przez chwilę była zadziwiająco piękna.

Wiedziała, że wygrała, że musi wygrać po tych

116

Wizytach lat przykładowej nauki i podróży, podczas **których** ani razu nie zachwiała się w swej doskonale ukrytej, bezustannie rosnącej miłości do Angusa Caldwell.

Victoria Frost nigdy nie interesowała się żadnym z młodych ludzi, jakich poznała, spośród których wielu przyciągała jej niezwykła powaga, solidna uroda i spokojny blask, jakiego **nadawali** jej zdrowie i żywotność. Victoria Frost była tak i ałkowicie nie do zdobycia, że wielu urażonych i zafascynowanych młodzieńców zalecało się do niej nie potrafiąc uwierzyć, że ich zalety, bogactwo, pochodzenie i niewątpliwe kwalifikacje **na** dobrego męża mogły być odrzucane przez dziewczynę, która, jeśli się dobrze przyjrzeć, wcale nie była oszałamiająco piękna. I wszem, miała dobre ciało, wspaniałe ciało, ale nie miała w sobie ani cienia sex appealu, który był bardziej kuszący od „uiego ciała, którego tyle było wokoło. Jednak Victoria była d/iwnie...

arystokratyczna, tak, to słowo do niej pasowało. Miała na tyle pewności siebie, żeby być dokładnie tym, kim była, zaznaczając swoją obecność bez uciekania się do żadnych kobiecych sztuczek, i w budzący wściekłość sposób należała do samej siebie, jakby była lepsza od innych. Victoria wywoływała i hć sprawienia na niej wrażenia, pragnienie, żeby zauważyła i o/mówcę, żeby zmieniła u siebie coś, aby sprawić mu przyjemność, ale nawet te drobne nadzieje były daremne. Oczywiście słyszano o niej, że dała się pocałować, ale o ile było wiadomo, za tę granicę się nie posunęła - i to w latach siedemdziesiątych, kiedy granice podobno nie istniały, a dziewczęta z najlepszych rodzin wszędzie eksperymentowały ze wszystkim.

W roku 1978 Victoria miała dwadzieścia sześć lat. Będąc zaledwie cztery lata po studiach została niedawno dyrektorem do spraw zamówień u Caldwell & Caldwell, gdzie odpowiadała za kierowników zamówień pracujących z różnymi działami (jak Hill). Od czasu, kiedy przed dziesięciu laty firma ta została pierwszym klientem Angusa Caldwell, potężnie się rozrosła i teraz składała zamówienia na sto milionów dolarów rocznie, co stanowiło sporą część niemal miliarda zarabianego rocznie przez agencję na całym świecie.

- Nie jestem zadowolona z Victorii - oznajmiła jej matka mężowi.

109

- Dlaczego? Robi świetną robotę. Joe Devane wyraża się o niej z wielkim szacunkiem.
- Jak bardzo możesz być tępy, Angusie? W życiu są jeszcze inne rzeczy oprócz pracy. Victoria z nikim szczególnie się nie umawia, jej koleżanki ze szkoły ciągle poznają ją z kimś innym, każda z nich jest już mężatką, a niektóre nawet się rozwiodły i wyszły za mąż drugi raz, podczas gdy moja córka, o ile wiem, żyje... w celibacie, na litość boską! Jeśli to nie jest wystarczającym powodem do zmartwienia, to co ma nim być?

- Przede wszystkim nie masz żadnego dowodu, tylko swoje przeczucia - powiedział Angus unosząc brew na swą zachmurzoną żonę. - Poza tym, gdyby Victoria miała romans, to wcale nie musiałaby ci o nim mówić. Spodziewałbym się raczej czegoś wręcz przeciwnego. Przecież wy się prawie nie widujecie, nie mówiąc już o intymnych rozmowach. Rzadko pamiętam, że jesteście matką i córką. Po drugie ja wcale nie mam takiego wrażenia, jeśli mówiąc „celibat” masz na myśli „aseksualność”. Moim zdaniem Victoria jest po prostu wyjątkowo dyskretna - zawsze stanowiła... pewną niewiadomą, prawda? Wyczuwam w niej jednak głębokie, płonące ciepło, nie wyrażone emocje, coś bardzo osobistego, bardzo pozytywnego. Jestem pewien, że to kwestia znalezienia odpowiedniego mężczyzny. Ona jest nieomal staromodna, Millicent, a częściowo zawdzięcza to twojemu wychowaniu.

- Dałam jej wszystko to, czego sama pragnęłam, ale nigdy nie miałam - powiedziała zadziornie Millicent Caldwell.

- Nie robię z tego zarzutu. Victoria ma zasady, ma poczucie własnej wartości, jest skoncentrowana jak żadna inna dziewczyna w jej wieku, a przynajmniej ja takiej nie spotkałem. Jest o wiele bardziej dojrzała, niż wskazywałby jej wiek.

Angus Caldwell spojrzął ze znużeniem na żonę, przeżywającą kolejny z ostatnio częstych i niemądrych okresów rozdrażnienia. Millicent miała już prawie czterdzieści osiem lat i od kiedy przed sześciu laty wkroczyła we wczesną menopauzę, robiła się coraz bardziej drażliwa, kłótniwa, kapryśna i trudna we współżyciu, chociaż nie wpływało to na jakość jej pracy. Matka i ciotka Millicent zmarły na raka piersi i ku jej wielkiemu rozczarowaniu lekarze nie chcieli przepisać jej terapii estrogenowej.

118

Millicent przeszła operację plastyczną twarzy w wieku I Sterdziesiątu pięciu lat, ale to nie zmieniło faktu, że kobieta, **i tóra** poślubił mając zaledwie dwadzieścia osiem lat, kiedy ona **miała** ich trzydzieści siedem, zmieniła się bardziej, niż potrafił uwierzyć. Jak to się mówiło, zbliżała się do pięćdziesiątki, a on **nadal** nie miał czterdziestki i był u szczytu swych możliwości. I

i/iewięcioletnia różnica w ich wieku, niegdyś tak nieważna, **teraz** często zaprzętała mu myśli.

Millicent, Bóg świadkiem, nadal była ładną blondynką

wiedział co do minuty, przez co codziennie przechodziła, j»by taką pozostać - i była pełna życia jak nigdy dotąd. Jednak w swych cudownie kobiecych strojach i potwornie kosztownej biżuterii, którą zawsze nosiła, czyniąc ze swojej kolekcji kamieni szlachetnych znak rozpoznawczy swego stylu i symbol swego sukcesu, zmieniła się jakby w jaskrawo ubarwionego ptaszka fruującego tu i tam z wymuszoną energią, podzwaniając, błyszcząc i z każdą chwilą stając się coraz bardziej sztuczna i sucha w usiłowaniach podtrzymania owej kuszącej, złocistej aury, którą niegdyś wytwarzała z taką **liiwością**. Koliber, pomyślał ponuro, pozornie nie mogący przestać fruwać i gdziekolwiek przysiąść, koliber znajdujący się cały czas w ruchu, maleńki, wystrojony, lecz dziwnie nieprzekonujący koliber.

Angus powiedział sobie posępnie w duchu, że sprowadza się to prawie wyłącznie do kwestii skóry. Millicent utraciła niezbędne soki czyniące jej delikatną skórę tak powabną. Jej oczy otaczała siateczka delikatnych zmarszczek, skóra poniżej podbródka była lekko obwisła, tak że

pod jej powierzchnią wyraźnie było widać ściegna, a między oczyma miała zbyt wiele bruzd od marszczenia brwi. Nawet najlepszy chirurg nie potrafił zlikwidować wszystkich oznak starzenia. Chociaż za pomocą codziennych godzinnych ćwiczeń Millicent kurczowo irzymała się szczupłej sylwetki, chociaż nadal nosiła rozmiar sześć, to kiedy jej dotykał - chciało mu się to robić coraz rzadziej - brakowało jej jędrności, świeżości.

W miarę rozrastania się agencji z roku na rok prasa była nią coraz bardziej zafascynowana. Millicent Frost Caldwell była teraz wielką gwiazdą establishmentu, uznanym autorytetem reklamowej społeczności. Angus również należał

do establishmentu, ale jako kobieta Millicent przyciągała więcej uwagi niż on, szczególnie że systematycznie przedstawiała siebie jako produkt, dla którego tworzy rynek. Nigdy nie nużyła jej praca związana z wyborem i noszeniem najbardziej skomplikowanych przykładów amerykańskiej *haute couture*. To ona była odpowiedzialna za zakup i wystrój trzech przebogatych, utrzymywanych przez ogromny personel posiadłości w Southampton, na Jamajce i w Cap Ferrat, oraz często fotografowanego dwupoziomowego mieszkania przy Piątej Alei.

Oboje Caldwellowie dużo podróżowali, odwiedzając swoje biura w Kanadzie, Londynie, Japonii i Niemczech. Często podróżowali oddzielnie, nie chcąc zostawiać agencji bez któregoś z nich u steru. Od początku ich współpracy jedno zamówienie, Oak Hill, wyraźnie „należało” do Angusa, a pewna reklama kosmetyków podobnie znalazła się wyłącznie w gestii Millicent, lecz poza tym w dużej mierze swój ogromny sukces zawdzięczali temu, że ich największym klientom podobało się, iż przy agencji Caldwellów mogą liczyć na współpracę najlepszego mężczyzny z najlepszą kobietą w branży. Wiele dużych firm w końcu przyjęło do wiadomości fakt, że w rodzinach większość decyzji dotyczących zakupów podejmują kobiety, ale firmami tymi prawie zawsze kierowali mężczyźni, którzy czuli się pewnie w rękach Angusa.

W ciągu minionych dziesięciu lat Caldwellowie całkowicie wtopili się w życie elity finansowej i kulturalnej wschodniego wybrzeża. Sprytnie postanowili zmienić klientów w przyjaciół i prawie każdy wieczór poświęcali życiu towarzyskiemu. Angus zapisał się do klubów w Chicago, Detroit i w Nowym Jorku, do których należeli jego klienci, żeglował razem z nimi w Jachtklubie Nowojorskim, grał z nimi w golfa i tenisa oraz zapisał się do klubu Cavendish, gdzie królowała brydż. Razem z Millicent zapraszał klientów wraz z rodzinami do swych licznych domów na wsi, gdzie Millicent wspaniale tworzyła program swobodnych, lecz zarazem światowych wizyt, mieszając klientów ze znajomymi z międzynarodowego towarzystwa. Żony ich największych klientów uwielbiały hojną, gościnną Millicent, Millicent, która była w ich życiu potężnym magnesem. Caldwellowie tworzyli cudowną parę, której życie

120

osobiste, towarzyskie i sukces zawodowy ściśle się ze sobą splatały.

W ciągu ostatnich pięciu lat Angus Caldwell czasami zdradzał Millicent, był jednak zbyt sprytny, by związać się / jakkolwiek kobietą, która mogłaby rościć sobie do niego prawo. Jego romanse były anonimowe, zawsze rozgrywały się poza Nowym Jorkiem i od początku miały charakter spotkań, które nie mogły mieć dalszego ciągu. Przyznawał przed **samym** sobą, że w tej ukradkowości kryło się pewne podłe erotyczne podniecenie, lecz poza fizycznym wyładowaniem **nie** sprawiała mu ona satysfakcji. Partnerstwo w interesach / zoną zatrzymywało pieniądze w rodzinie, ale także zobowiązywało go do zachowywania się niczym męski odpowiednik nieszczęsnej żony Cezara, która musi stać poza wszelkim podejrzeniem o niewierność, bowiem wraz ze starzeniem się Millicent i wzrostem jej królewskiego statusu rosło też jej niezadowolenie, jej nieustająca czujność oraz zazdrość o młodsze kobiety w firmie.

Żadnych romansów, powiedział sobie stanowczo Angus, i coraz częściej czuł, że na zawsze wyrzekł się doświadczenia, którym się cieszył raz w życiu z kobietą, która już go nie pociągała, doświadczenia, które chętnie by odnowił, gdyby z całą pewnością nie oznaczało to zniszczenia wszystkiego, co zbudował w ciągu całej swej kariery.

*

Kiedy tylko Victoria otrzymała pierwsze zadanie jako kierownik zamówienia, co stało się po niecałym roku od zatrudnienia się u Caldwellów, spędziła wiele godzin na poszukiwaniach pustego mieszkania, do którego mogłaby się przeprowadzić z wynajmowanego umeblowanego pokoju. Dokładnie wiedziała, czego potrzebuje, i znalazła to przy bocznej ulicy między Trzecią i

Drugą, w pobliżu Wschodniej Osiemdziesiątej Piątej ulicy. Budynek był stary, holowi daleko było do elegancji, windy zostały tanim kosztem unowocześnione, by nie trzeba było zatrudniać windziarza, a zarząd budynku oferował mieszkanie „w stanie zastanym” bez obniżki ceny za zniszczenia.

Jednak budynek był solidny, na czym zależało jej najbardziej, obiecywał też prywatność, leżąc w okolicy zbyt

wysuniętej na wschód i za daleko od centrum, żeby pojawiali się w niej znajomi. Victoria przekupiła administratora trzema tysiącami dolarów w gotówce, żeby wpisał jej nazwisko na akcie dzierżawy. Choć trzy pokoje i kuchnia nie były ruszane od dwudziestu pięciu lat, widziała, że ściany są grube, sufity wysokie, a spore pokoje mają przyjemne proporcje.

Od chwili, w której Victoria stanęła sama wśród obłazących ścian i brudnych okien, wyobraziła sobie, jak tu będzie, jak stworzy mieszkanie kierując się namiętnością i instynktem, aż stanie się ono dokładnie takim miejscem, w jakim Angusowi Caldwellowi będzie najlepiej. Od razu wiedziała, że będzie wolał o wiele prostszy wystrój niż ten, jaki panował w obiektach uznawanych za godne zamieszkania przez jej matkę.

Czuwając nad przekształcaniem mieszkania, każdą decyzję podejmowała mając na względzie Angusa, każdą zmianę wprowadzała z myślą o wysokim, aktywnym mężczyźnie, stwarzając celowo niewidzialną atmosferę wygody, o jaką nieliczne kobiety zadbałyby dla samych siebie. Salon był obstawiony od podłogi do sufitu regałami z książkami, elementy drewniane w całym mieszkaniu zostały pomalowane w ciepłym odcieniu terakoty, w której było więcej brązu niż różu, a przy wszystkich oknach wisiały suto udrapowane, długie do podłogi lniane zasłony w nieco głębszym odcieniu. Podłogi były gołe i pomalowane na kolor ciemnego miodu, głębokie fotele i kanapy były duże, proste i obite miękką brązową skórą oraz mocnymi materiałami w odcieniach głębokiej czerwieni i rdzy z przebłyskami zieleni i miękkiej żółci. Sprawiało to wrażenie, jakby w całym mieszkaniu właśnie nastąpiła wczesna jesień. Wybrane przez Victorię drewniane stoły były wiejskimi antykami o gładkiej, błyszczącej powierzchni, lampy stołowe były proste i starannie rozmieszczone, a na lśniących podłogach leżało kilka wyblakłych, lecz pięknych dywanów.

W soboty Victoria powoli zapełniała regały przebiegle wybranymi książkami, o których wiedziała, że ma je Angus, znajdowanymi w antykwariatach w całym mieście. Na honorowym miejscu w salonie stała stara mahoniowa biblioteczna drabinka. Victoria nic nie wydawała na sztukę i niewiele na drobne przedmioty, żeby pokoje były proste i nie zagracone. Tu i ówdzie ustawiła miski z kremowej ceramiki wypełnione

114

jabłkami i orzechami, a przy oknach zawsze stało kilka zadbanych, silnych, zielonych roślin doniczkowych. Ponura kuchnia została odnowiona w lśniącej bieli, otrzymała podłogę z meksykańskich kafelków i nowe blaty. Każde naczynie stołowe było ze starej błękitnobiałej porcelany albo fajansu. Razem tworzyły pozornie niedbałą mieszaninę wzorów. Victoria znalazła nadające się jeszcze do użytku, chociaż poobijane miedziane garnki i patelnie i zafundowała sobie pierwszorzędne wyposażenie kuchenne, bowiem mimo swego wykształcenia nauczyła się wspaniale gotować proste potrawy. Na szmacianym, tkanym chodniku ustawiła duży, wysłużony, dobrze wyszorowany, pomalowany stół kuchenny, obstawiła go niedopasowanymi wiejskimi krzesłami, a nad nim zawiesiła rzucający przytulne światło malowany cynowy żyrandol.

Było to tak swojskie mieszkanie, o jakim mógł zamarzyć każdy mężczyzna.

Zanim minął rok, Victoria zaczęła pracować wyłącznie nad wieloaspektowym zamówieniem Oak Hill. Studiowała zagadnienia związane z przemysłem spożywczym od drugiego roku na uniwersytecie i teraz знаła już wszystkie wybitne kampanie reklamowe żywności w historii reklamy, a także od lat czytała wszystkie czasopisma branżowe, o czym nikomu nie wspominała. Kiedy Millicent wyjeżdżała w interesach z miasta, a Angus akurat był w Nowym Jorku, Victoria od czasu do czasu zaczęła go zapraszać na kolację. Powiedziała mu, że z zasady gotuje sama dla siebie i że jedzenia zawsze wystarczy dla dwojga. Cóż prostszego, wydawało się, od postawienia na kuchennym stole jeszcze jednego talerza, otworzenia butelki wina i spędzenia swobodnego

wieczoru na rozmowie o pracy, książkach, polityce, sztuce i na każdy inny temat, jaki przyszedłby do głowy dwojgu inteligentnym, pracującym ze sobą ludziom?

Podczas tych wieczorów Victoria nie pozwalała sobie na wyjawienie choćby cienia uczucia poza bezosobową przyjaźnią. Pół kieliszka wina zawsze wystarczało jej na cały wieczór, tak że cały czas w pełni nad sobą panowała. Nigdy nie dała się złapać na zbyt długim na niego spojrzeniu albo nawet na podświadomym posługiwaniu się którąś z uznanych kobiecych technik flirtu. Była kobietą, ale nie pre

123

zentowała się Angusowi ani jako kobieta, ani jako ktoś w jakikolwiek sposób związany z jego żoną. Millicent Frost Caldwell przestawała istnieć, a jej córka rzucała skomplikowany, stary jak świat czar, w którym stała się prawie całkowicie uważną słuchaczką i interesującą rozmówczynią, kimś, dla kogo życie umysłowe miało wielką wagę.

Podczas tych długich wieczorów Victoria zawsze siadała w pewnej odległości od Angusa, co zachęcało do rozmowy, a jednak nie pozwalało nawiązać bliższych związków. Kiedy musiał wychodzić, udawało jej się zająć czymś w salonie, na co właśnie zwróciła uwagę i dzięki czemu mogła mu bezosobowo pomachać na pożegnanie ręką. Nawet kiedy siedział przy kuchennym stole przy kolacji, zachowywała między nimi nieprzekraczalną przestrzeń, pedantycznie podając mu miskę, talerz czy dzbanek przez stół i nigdy nie nachylając się, by nałożyć mu coś na talerz lub napelnić kieliszek. Wbrew zwyczajom nowojorczyków chwalcących się swymi mieszkaniami nigdy nie pokazała mu sypialni, a Angus stopniowo zdał sobie sprawę, że nigdy tego nie zrobi. Victoria zawsze przebierała się przed kolacją z Angusem. Zdejmowała ciemne, surowe, nieomal zbyt dla niej poważne ubranie, jakie przyjęła za strój biurowy od samego początku swojej pracy, i wkładała coś swobodnego - stare, sprane, trochę za duże dzinsy i równie znoszone bawełniane koszulki czy swetry. Wybierała je w kolorach moreli czy starej róży. Takie pastele nie były wyszukane, a odzwierciedlały ciepło jej skóry. Zawsze nosiła stanik, tak że jej pełne, sterczące piersi tkwiły mocno na swoim miejscu, ale nigdy nie wkładała majtek, bo ważne dla niej było uczucie intymnego tarcia szorstkiego materiału o jej ciało, co stale przypominało jej o roli, jaką ma do odegrania. Dobrze szczotkowała i rozpuszczała włosy, które opadały jej aż do połowy pleców, a na doskonałą cerę nie nakładała żadnego makijażu ani nie malowała oczu. Wyglądała niewiarygodnie młodo, lekkomyślnie i niewinnie.

Była, owszem, młoda, a także nieskończenie ostrożna i absolutnie nie niewinna poza aspektem czysto fizycznym. Victoria Frost bardzo dobrze wiedziała, że wraz z upływem czasu powoli doprowadza Angusa Caldwell'a do szaleństwa z pożądania, lecz nie robiła żadnego ruchu, nie dawała mu żadnego

124

znaku, nic nie mówiła. Ciągle przyrzekała sobie, że wszystko musi wyjść od niego. Nie robi nic, by go zachęcić, nic, dzięki czemu mógłby pomyśleć, że pożąda go każdym centymetrem skóry, każdą komórką mózgu. Jej zwycięstwo musi być całkowite.

Stopniowo, nawet wtedy, kiedy Angus Caldwell miał okazję posiąść kobietę w sposób, który nie zostawiłby żadnego śladu, stracił chęć zanurzenia się w nieznanie ciało podłączone do nieznanego umysłu. Kiedy myślał o Victorii, to, co dotychczas traktował jako konieczne rozładowanie się, krótką przygodę, zaczęło się wydawać czymś niegodziwym. Widział ją przecież lak wyraźnie w zaczarowanej ciszy jej mieszkania podobnego przez swe kojące kolory do leśnej polany, widział jej szczególnie, ciepły spokój, jej śliczny lecz bezosobowy uśmiech, jej zrozumienie jego pomysłów, przypominał sobie jej uważne ucho, interesujące opinie.

Zaczynając coraz niecierpliwiej wyglądać kolacji z Victorią Angus myślał, że jest w tym wszystkim tylko jedna dziwna rzecz. Żadne z nich nigdy nie wspomniało Millicent, że podczas jej nieobecności się spotykają. Nigdy nie rozmawiali na ten temat. Od jego pierwszej wizyty w jej mieszkaniu bez słowa zgodzili się, że Millicent nigdy nie pogodzi się z tymi kilkoma godzinami, jakie tak nieszkodliwie ze sobą spędzali. Czy to kolejny przykład taktu Victorii, taktu, którym tak skutecznie posługiwała się w stosunkach z klientami, czy też stało się tak, ponieważ był jednak jej szefem, a może była to jakaś reakcja na nerwowe skrępowanie, jakie zawsze wyczuwał podczas nieczęstych spotkań matki z córką? Było już o wiele za późno, by zapytać o to Victorię, a w

każdym razie błogosławił to milczenie, bo czujna, rosnąca zazdrość Millicent obejmowała dziesiątki kobiet, z którymi pracował, mimo faktu, że Victoria nie dała jej ani jednego powodu. Ani jednego powodu. Victoria nie dała mu żadnego powodu, żeby myślał o niej z niepokojącym, wzrastającym pożądaniem, a jednak pożerało go właśnie pożądanie. Dniem i nocą płał z żądzy do dziewczyny, która właśnie skończyła dwadzieścia siedem lat, dziewczyny, która nie chciała od niego niczego poza spokojnym wieczorem, dziewczyny, która nawet nie zwracała sobie głowy malowaniem się dla niego, która

nigdy się do niego nie zbliżała, nigdy nie wspominała o swoim życiu osobistym, co mogłoby rozpalic jego wyobraźnię, dziewczyny, która przyjęła go do swego życia jako przyjaciela, tylko jako przyjaciela.

Kiedy Angus widywał Victorię w biurze podczas spotkań, ubraną w prawie klasztorną czerń, którą tak lubiła, z mocno ściągniętymi do tyłu włosami, tak chłodną, kompetentną i opanowaną, że mogłaby uchodzić za kobietę trzydziestopięcioletnią, potrafił tylko myśleć o tym, jak wyglądała, kiedy jadł z nią kolację. A potem, kiedy wreszcie dzięki zbiegowi terminów znów znajdował się z nią w jej mieszkaniu, potrafił myśleć tylko o tym, jak by wyglądała naga, rozciągnięta na łóżku, rozebrana z tych cholernych džinsów i workowatych swetrów, naga, z rozrzuconymi nogami, z zamkniętymi oczyma, naga, czekająca na niego, gotowa na niego, wołająca o niego... Jezu! Muszę przestać, myślał Angus Caldwell ubierając się na kolejne uroczyste przyjęcie dobroczynne w Instytucie Strojów Metropolitalnego Muzeum Sztuki.

A co myśli o nim Victoria, zastanawiał się Angus pochylając się w przód i oglądając się w lustrze w swej garderobie. Czy w ogóle o nim myśli? A może marzy o jednym z dwóch młodych ludzi, których niedawno zwabiła z Grey Agency i z którymi spędza teraz tyle czasu w biurze? Archie Rourke i Byron Bernheim, bardzo ceniony zespół twórczy, został zatrudniony do pracy nad trzema niskokalorycznymi produktami, które zamierzał wprowadzić na rynek Oak Hill. Obaj byli w wieku Victorii i przed Greyem spędzili trzy lata w BBD&O, wyrabiając sobie znakomitą markę. Angus pomyślał ponuro, że Rourke jest typem mężczyzny niepokojąco atrakcyjnym dla każdej młodej kobiety. Był przystojny jak każdy czarnowłosy Irlandczyk, tak przewidywalnie rozwiązyli i piekielnie przystojny, że było to prawie śmieszne, o irlandzkiej jasnej cerze, irlandzkich błękitnych oczach i gęstych, czarnych włosach opadających lokami zbyt daleko na kark, no i miał to irlandzkie podejście do kobiet. Gdyby ten zdolny łajdak nie był w reklamie, to mógłby stanąć do wyborów na każde stanowisko, o jakim zamarzył, i prawdopodobnie wygrać dzięki samym głosom kobiet, pomyślał z gniewem Angus. Tak, twardy Archie Rourke, którego matka

126

uczyła angielskiego w publicznym liceum pod Chicago, a ojciec trenował drużynę piłkarską, pewny siebie i otwarty Archie Rourke, którego umiejętność obchodzenia się ze słowami dorównywała ambicjom, był mężczyzną, nad którym nie zastanawiałaby się żadna dziewczyna. Natomiast Byron Berenson Bernheim III, artystyczna część duetu, był bardziej w typie Victorii, pomyślał Angus, coraz bardziej gorączkowo zastanawiając się nad całą sprawą. Bernheim był produktem rodziny mieszkającej w San Francisco, bardzo kulturalnego klanu. Jego matka była intelektualistką wspierającą wszystkie instytucje kulturalne w mieście, a ojciec był bankierem, którego kolekcja sztuki była dobrze znana nawet w Nowym Jorku. Byron był wyższy i szczuplejszy od Archiego, miał rudawe włosy i odznaczał się elegancką sylwetką. Nie widać na nim było ciała widocznego pod marynarkami Archiego, miał żywą, interesującą twarz i wyglądał na takiego, który dobrze sobie poradzi w każdej boje. " Niech ich obu trafi szlag! I niech szlag trafi wszystkich innych mężczyzn, z którymi pracuje Victoria, nieznajomych, z którymi musi się umawiać w restauracjach, chociaż nigdy nie wymieniła żadnego nazwiska, i niech szlag trafi odległe zaledwie o trzy przecznice od ich domu muzeum, do którego mogliby razem z Millicent z łatwością pójść piechotą, gdyby nie miała na sobie granatowej sukni od Scassiego, która przykrywała jej nagie ramiona zmyślnie ułożoną podwójną warstwą szyfonu skrywającą zwiędłe ciało wiszące na chudym szkielecie, bo żadna ilość ćwiczeń nie mogła przezwyciężyć skutków grawitacji. Suknia została też specjalnie zaprojektowana jako tło dla diamentów wartych trzy miliony dolarów. Millicent, tak czarująco uczesana, umalowana przez specjalistę, który przybył do nich przed dwiema godzinami, dosłownie nie ważyła się przejść piechotą dalej niż z holu ich

domu do czekającej przed nim limuzyny. Bała się, że mogłaby zostać obrabowana, nawet na Piątej Alei.

119

6

Kilka tygodni później Millicent Frost Caldwell wybrała się nagle na kilka dni do Londynu, zabierając na pokład concorde^ szkatułkę z klejnotami, trzy walizki i pokojówkę. Wykryła właśnie, że Saatchi & Saatchi czyni starania, by pozbawić ich kontraktu na reklamę brytyjskich linii lotniczych, i postanowiła temu zapobiec. Angus zaprosił się do Victorii na kolację.

- Dziś wieczorem, czy jutro? - zapytała.

- Lepiej dziś - odpowiedział obojętnym tonem. - Nie sprawię ci kłopotu?

- Czy odgrzanie resztek duszonej wołowiny to kłopot?

- uśmiechnęła się Victoria i szybkim krokiem poszła do swojego biura, by zlecić sekretarce przełożenie wieczornego spotkania na inny dzień.

- Przyniosłem ci tę kasetę z Vivaldim, której jeszcze nie masz - powiedział, kiedy otworzyła mu drzwi.

- Vivaldi i duszona wołowina... Czy pasują do siebie?

- zapytała roześmiana.

- Muzyką uruczmy się po kolacji - zaproponował Angus. Często przynosił jej nowe kasety, bo słuchała muzyki z uwagą, zamykając przy tym oczy, a wtedy mógł przyglądać się jej rozkosznie długo, cierpiąc przy tym straszliwe męki, a ona nie wiedziała nawet, że na nią patrzy.

Wieczorem, kiedy skończyli jeść i włączyli muzykę, Angus usiadł wygodnie w skórzanym fotelu, wyciągając nogi. Kiedy Victoria ułożyła się na kanapie krytej surowym lnem, przymknął oczy.

Dziewczyna miała na sobie białe dżinsy, tak znoszone, że trzymały się w talii bez paska, a jej długie włosy spływały miękkimi pasmami na sweter w kolorze dojrzałej brzoskwini, mocno przetarty na łokciach. Była beztroska i swobodna niczym dziewczyna na żaglówce. Promieniowała taką beztroską, bujną młodością, że serce biło mu jak szalone. Z bólem myślał, jakie to uczucie gładzić palcami jej młecz-nobiały policzek, całować gładką długą szyję. Wydawało mu się, że powietrze w pokoju jest gęste i duszne od jego

128

gorączkowego pragnienia, by jej dotknąć, ale w skupieniu słuchała muzyki i nie była chyba świadoma jego pożądania.

Kiedy pokój wypełniały dźwięki Vivaldiego, Victoria ukradkiem przyglądała się Angusowi zza oszłamiająco długich rzęs. Ćwiczyła tę sztuczkę przed lustrem i wiedziała, że może patrzeć, udając, że zamyka oczy. Z twarzy Angusa nie da się niczego wyczytać - pomyślała w przyływie ostrego bólu, wywołanego pragnieniem, by dotknąć wargami jego szorstkiej skóry i złotawych jedwabistych włosów. Poruszyła się niespokojnie na kanapie. Zmieniła pozycję i po kilku sekundach dostrzegła nagle, jak Angus niemal ze złością zakłada nogę na nogę, w sposób całkowicie przeciwny swoim zwyczajom. Odetchnęła głęboko, odczekała minutę i poruszyła się znowu, prostując ramiona nad głową, jakby zabolęły ją plecy. Spoglądając na niego spod rzęs zauważyła, że przygryza dolną wargę i mocniej zaplata nogi. Och, tak - pomyślała. Tak, to musi stać się właśnie icraz. Musi nadejść ta chwila, o której marzyła, której pragnęła od lat. Już czas. Już czas najwyższy, to może nie zdarzyć się już nigdy, jeśli nie stanie się teraz, dziś wieczorem, kiedy zauważyła wreszcie jego podniecenie i stwierdziła, że Angus potrafi nad sobą panować. Być może już nigdy nie przyjdzie na kolację. Ale Vivaldi jeszcze nie ucichł, a Angus nadal siedział w fotelu. Wydawało się jej, że dzielący ich nieprzebyty dystans, który sama ustanowiła, jest stały i niepokonany. Victoria uświadomiła sobie, że oboje są skrępowani zwyczajami, które ukradkiem tak starannie pielęgnowała od lat. On nigdy nie zrobi pierwszego kroku. Nagle poczuła, że nie zniesie chłodnej elegancji tej muzyki ani chwili dłużej.

Ogarnęło ją uczucie rozpaczliwego zniecierpliwienia. Poczła przyływ nadludzkiej determinacji. Kiedy podniosła się z kanapy, mrużąc coś o innej kasecie i wspięła się na trzeci szczebel drabiny bibliotecznej, stojącej przy półce z książkami, postanowiła zapomnieć o panowaniu nad sobą. Szperała na półce, odwrócona plecami do Angusa, a jej oczy były pełne łez gniewu i żalu. Usłyszała jego kroki. Nagle otoczył rękami jej talię. Zamarła w bezruchu, czując, że rozpina zamek jej dżinsów. Nie poruszyła się i milczała pod dotykiem jego ciepłych, drżących palców, sunących po obnażonym brzuchu ku puchowi włosów między nogami.

Otoczyła tylko ramionami szczeble drabiny, żeby nie spaść. Niech robi, co chce, pomyślała, och, proszę, niech robi, co zechce. Kiedy odwrócił ją ku sobie i zanurzył spragnione usta w ciemnej gęstwinie, tak cudownie obnażonej i oddanej jego gorącym wargom, jej milczenie powiedziało mu wszystko.

Stali tak przez długie minuty, zanadto podnieceni, żeby wydać choć jedno westchnienie, a on przyciskał głowę do jej brzucha i pieścił ją spragnionymi szorstkimi wargami i ostrym językiem. Jej milczące przyzwolenie znaczyło więcej niż słowa. Trwał przy niej nieustrudzenie, nawet kiedy schwyciła go za włosy i wczepiła się w niego, aż zaczął się lękać, że odpłynie w rozkosz, której nie będzie mógł z nią dzielić. Porwał ją na ręce i zaniósł do sypialni, w której nie był jeszcze nigdy. Ułożył ją na łóżku, które tak często sobie wyobrażał, i okrywał jej twarz i usta szalonymi, dzikimi, gorączkowymi pocałunkami, zdzierając z siebie ubranie i ściągając z niej sweter. Uwolnił jej piersi ze stanika tak szybko i pożądliwie, jak przestępca. Traktował ją szorstko i bezwzględnie, zapominając o wszelkiej czułości, a ona odpowiadała mu nagą żądzą, która sprawiła, że dorównała mu w brutalności. W ostatniej świadomej chwili pomyślał, że później przyjdzie czas na pieszczoty, rozmowy i pocałunki. Ujął swój członek i wbił go w nią z gwałtownością, o którą się nie podejrzewał. Atakował bez ustanku, z zaciśniętymi zębami, niezdarnie, niecierpliwie, bezwzględnie, rzucając się na nią niczym wygłodniałe zwierzę na ochłap mięsa, aż poczuł, że otoczyło go ciasno jej ciepło.

- Tak! - Było to pierwsze słowo, które wypowiedziała, i ono wystarczyło, by gwałtownie wybuchnął najwspanialszym orgazmem swojego życia. Kiedy ucichła rozkosz, opadł na posłanie z bijącym sercem, niemal nieprzytomny z ulgi. Gdy po dłuższej chwili wróciła mu świadomość, zauważył, że Victoria leży bez ruchu u jego boku, nadal dysząc gwałtowną, nieukojoną namietnością.

- Ty nie...

- Nie - wyszeptala i Angus odwrócił się, rozchylając wargi, by pocałunkami przywieść ją do szczytu, który niemal osiągnęła w salonie. Kiedy rozchylił jej nogi, teraz już delikatnie, dostrzegł plamy krwi na prześcieradle. - Zraniłem cię! - wy

130

kizyknał, uświadamiając sobie nagle swoją brutalność i samolubną nieustępliwość.

- Chciałam tego. - Mówiła słabym głosem, w którym znać było ból, cudowne ożywienie i pełnię cielesności.

Krwawisz. Tak.

Ty... to pierwszy raz. - Nie mógł w to uwierzyć. Oczywiście.

- Victorio, to niemożliwe! Jak mogłaś czekać tak długo?

- Pieściłam się... i myślałam o tobie.

Zaśmiała się gardłowym, na wskroś kobiecym śmiechem, i on dał się porwać fali uczuć.

Doznawał niewysłowionej wdzięczności, targała nim gwałtowna próżność, zdziwiona miłość i niezaspokojona ciekawość - uczucia pierwotne i głębokie, niemal tak nieznośne, że chciał gryźć ją aż do krwi, bić, żeby krzyczała, całować, aż porani jej wargi, przywiązać ją do lozka, rznąć się z nią nieprzytomnie, aż zostaną z nich tylko plewy. Pieściłam się i myślałam o tobie. Poczuł, że jego członek znowu sztywnieje i teraz włożył go z rozkoszną, ostrożną powolnością w jej spragnione, czekające, otwarte ciało, wyczuwając palcami, nagle subtelnymi i wrażliwymi, fałdy i zagłębienia jej mniejszych płatków, nabrzmiałych w przyływie gotowości już w minionej godzinie. Wbił w nią mocny, sztywny członek, twardej tą drugą twardością, która Irwa znacznie dłużej niż pierwsza i nie poruszając się, trzymał go tam, wypełniwszy ją szczelnie, pieszcząc przy tym pulchną, rozpaloną, drżącą rozetkę ciała, w której kryła się tajemnica jej rozkoszy. Kiedy wyczuwał, że jest

bliska szczytu, cofał palce, a potem dotykał jej znowu, kiedy zmuszała się, by leżeć spokojnie, wbita na jego członek, z ustami otwartymi w niemym błaganiu. Teraz musi czekać, aż zechce przywieść ją do pełni rozkoszy. Nigdy nie znał kobiety, która rozumiałaby jego pragnienia bez słów, nigdy jeszcze nie miał nad nikim takiej władzy, nigdy nie chciał zabić w chwili rozkoszy - zabić w cielesnej ekstazie całkowitego posiadania. Wreszcie znów w niej wytrysnął, ale dopiero po tym, jak niemal z ociąganiem pozwolił jej skosztować wspaniałego owocu rozkoszy, strasznej triumfującej, rozkoszy, na którą tak długo czekała.

*

Przez cztery dni, kiedy Millicent bawiła w Londynie w interesach, spotykali się w mieszkaniu Victorii co wieczór, najwcześniej, jak tylko mogli. Wychodzili osobno z biura, jechali osobnymi taksówkami, a po przyjeździe natychmiast szli do sypialni Victorii i opadali na siebie niczym burza w przyływie gwałtownej, nigdy nie gasnącej namiętności, która nie pozwalała im oderwać się od siebie, ani myśleć, ani trzeźwo ocenić sytuacji. Byli w zbyt wielkiej euforii, by myśleć lub planować, zbyt oszołomieni stopniowym odkrywaniem swoich ciał, by tracić czas na rozmowę. Wreszcie Angus musiał powlec się do domu, żeby przespać się kilka godzin, ogolić, wziąć prysznic i zjeść śniadanie, jakby nic się nie zmieniło w rozkładzie zajęć. Jak zwykle brali udział w zebraniach i prezentacjach, w otoczeniu niczego nie podejrzewających współpracowników, ale dni upływały im w gorączkowym śnie. Ciało Victorii skrywały nieprzeniknione szykowne stroje, a jeśli ktoś przyjrzałby się uważnie jej zarumienionej twarzy, mógłby co najwyżej dojść do wniosku, że dobrze się wyspała albo trochę opaliła. Angus stwierdził, że przez kilka dni może zarządzać firmą, polegając tylko na swoim instynkcie. Kiedy oboje uczestniczyli w tym samym zebraniu, nigdy nie patrzyli sobie prosto w oczy. Kiedy jedli lunch w towarzystwie dyrektorów Oak Hill, z trudem mogli coś przełknąć, choć żaden z mężczyzn zgromadzonych przy stole nie zauważył, by Angus Caldwell i Yictoria Frost byli inni niż zwykle, to znaczy rzeczowi, roztropni i obdarzeni poczuciem humoru.

- Co teraz będzie? - Victoria zmusiła się, by zapytać go o to wieczorem przed powrotem matki.

- Mogę myśleć tylko o tym, co zrobić, żebyśmy byli razem. Nie będziemy... siedzieć i czekać, dopóki znów nie wyjedzie. To nie ulega wątpliwości.

- Ale oboje niemal co wieczór musicie udzielać się towarzysko, więc nie uda ci się wyłgać.

- Po prostu nie wiem, co robić. - Usiadł na łóżku i ukrył twarz w dłoniach.

124

Victoria pomyślała, że zgodnie z jej przewidywaniami i obawami, Angus nie jest jeszcze gotów, by dokonać przewrotu w swoim życiu. Nie jest w stanie przyznać się sam przed sobą, że wszystko musi leć w gruzach, zanim zaczną wspólnie budować nowe życie. Jest jeszcze za wcześnie, by pogodził się z faktem, że musi rzucić wszystko, co do tej pory było dla niego tak oczywiste, za wcześnie, by zrozumiał, że to ona musi zastąpić własną matkę - nieczułą, oschłą, chłodną matkę, której kara i tak odwlekła się zbyt długo. Ale Angus ma dopiero trzydzieści dziewięć lat i tyle czasu, ile im trzeba, a ona przecież poczeka. Będzie czekać do końca świata. Teraz, kiedy jest już pewna jego uczuć, wszystko będzie znacznie prostsze. Czyż nie czekała na niego od szesnastego roku życia, dzielnie panując nad sobą przez długie, jałowe lata, kiedy żyła tylko dzięki sile woli i miłości do Angusa? Teraz, kiedy osiągnęła zwycięstwo, którego zawsze była pewna, nie może pozwolić sobie na fałszywy krok. Zawsze wiedziała, że musi w końcu odebrać Angusa matce. Należał do niej od chwili, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy.

- Możemy wynająć mieszkanie w pobliżu biura - powiedziała udając niepewność, mimo iż od dawna o tym myślała.

- Spotykalibyśmy się tam od czasu do czasu... w porze lunchu albo po pracy, po południu, przed twoim powrotem do domu. Przecież możesz powiedzieć, że idziesz na drinka z klientem albo grasz w brydża. Od czasu do czasu znajdziemy godzinę dla siebie.

- O, Boże! Kochanie! - Ukrył twarz na jej ramieniu.

- Godzinę! Godzina to nic!

- Czy jest inne wyjście? - zapytała.

- Nie ma - jęknął. - Nie ma.

Wystarczyło kilka dni, by Angus wynajął umeblowany pokój z kuchnią i łazienką, o pięć minut drogi taksówką od biur firmy Caldwell & Caldwell, i zatrudnił pokojówkę. Spotykali się tam w każdej wolnej chwili. Czasem dokładnie planowali spotkanie, unikając oficjalnych lunchów, czasem widywali się o piątej po południu. Ale ich plany dnia, wypełnione zajęciami, które polegały na zaspokajaniu żądań tak wielu ludzi, sprawiły, że spędzali razem chwile krótkie, rzadkie i nie dające się przewidzieć. Trudne do zniesienia

były przede wszystkim weekendy, które od wiosny do jesieni Caldwellowie spędzali w Southamplon. Jedyne chwile prawdziwej swobody zawdzięczali służbowym podróżom Millicent Frost Caldwell.

Minął prawie rok, a ich żarliwe pożądanie rosło z każdym nieoczekiwanie odwołanym spotkaniem, z każdą chwilą, kiedy upływała godzina spędzona w rozgrzanym łóżku i trzeba było przybrać oficjalny wyraz twarzy. Kiedy nie byli razem, ogarniała ich nieukojona żądza, wzmagana krótkimi okresami zaspokojenia, dręczące podskórne uczucie ciągłego głodu, prawdziwy nałóg, którego pragnęli w jego wszystkich przejawach.

- Nie mogę tknąć Millicent - wyznał Angus pewnego dnia tego samego roku. - Nie dotknąłem jej od naszego pierwszego razu.

- Czy mówiła coś na ten temat? - zapytała Victoria, krzycząc w myślach, by - na Boga! - wyznał wreszcie prawdę jej matce.

- Nie. Udaje, że nic się nie stało. Na pewno uznała, że lepiej niczego nie dostrzegać. Wyraźnie nie chce wiedzieć - odparł Angus, a Victorię ogarnął zimny strach, kiedy wyczuła w jego głosie wyraźny ton ulgi.

Wkrótce potem, na początku zimy 1981, kiedy Victoria objęła stanowisko dyrektora do spraw wszystkich kontraktów na reklamy produktów Oak Hill, musiała przyznać się sama przed sobą, że Angus jest w komfortowej sytuacji. Ma kochankę, która razem z nim pracuje i zrobi wszystko, żeby z nim być, kiedy znajdzie dla niej chwilę czasu, a do tego żonę, która postanowiła nie zadawać pytań. Może powinna postarać się o to, by sprawa wyszła na jaw?

- Mamo, w tym roku chciałabym spędzić Boże Narodzenie na Jamajce... jeżeli znajdziesz dla mnie miejsce.

- Oczywiście - odparła Millicent, skrywając zaskoczenie. - Pewnie chciałabyś przyjechać z narzeczonym?

- Nie przyszło mi to do głowy, ale... tak. Rzeczywiście tak zrobię. To nie jest narzeczony, jeszcze nie, więc nie rób sobie nadziei, ale przyda się w towarzystwie. Dziękuję, mamo.

Nie do wiary, że sama na to wpadłam - pomyślała Victoria, chwytając za telefon. Millicent Frost sprzedalaby każdy towar, nawet kota w worku.

134

Victoria nie zaniechała spotkań z kilkoma odpowiednimi mężczyznami, chcąc wypełnić sobie liczne samotne wieczory. Ciągłe zabiegali o jej względy, ale w końcu dawali za wygraną, rozczarowani, że bez powodzenia starają się wzbudzić zainteresowanie tej nieco tajemniczej młodej kobiety, która w żaden sposób nie dawała po sobie poznać, że potrzebuje mężczyzny, choć takie pragnienie bez trudu wyczuwali u wielu znanych im niezamężnych kobiet na stanowisku. Victoria Frost miała mnóstwo pracy, z każdym rokiem nabierała tajemniczego uroku, ale nigdy nie traktowała poważnie żadnego mężczyzny... Dlaczego, mając dwadzieścia dziewięć lat, nie chce poszukać sobie odpowiedniego męża, by zająć należną pozycję w społeczeństwie? Dlaczego urządziła się tak przytulnie w tajemniczym wygodnym mieszkanku przy ulicy, która nie mogła nawet uchodzić za elegancką? Życie w samotności na pewno nie było Victorii przeznaczone, mimo iż sprawiała wrażenie zadowolonej z takiego stanu rzeczy. To nie jest życie dla takiej dziewczyny - niesamowicie bystrej, niesamowicie bogatej i, doprawdy, pięknej, bo przecież Victoria Frost bardzo wypiękniała przez ostatni rok. Wszyscy zgodnie twierdzili, że jej uroda osiągnęła wreszcie swój szczyt.

*

Victoria wybrała najbardziej atrakcyjnego spośród licznych adoratorów, Amory'ego Hopkinsa, trzydziestopięcioletniego rozwiedzionego maklera giełdowego, zamożnego, nie obarczonego

dziećmi, wysokiego, przystojnego, dobrze ułożonego i obdarzonego przyjemnym, dyskretnym poczuciem humoru. Jest wysportowany, doskonale tańczy, doskonale się ubiera i, rzecz jasna, wygląda tak, jakby pieprzył się więcej niż doskonale - pomyślała Victoria, kiedy Amory z ochotą przyjął jej zaproszenie. Matka będzie ukradkiem oblizywać się na jego widok. Angus... Im większy ból sprawi Angusowi, tym lepiej.

W ciągu tygodnia spędzonego w posiadłości nad Zatoką Montego Victoria użyła wszelkiej dostępnej broni. Zwykły flirt nie wchodził w grę. Nigdy nie posługiwała się tą sztuką.

Wystarczyło, że słuchała uważnie Amory'ego Hopkinsa i sama zachęcała go do długich rozmów, siadając z nim w pewnym oddaleniu od całego towarzystwa i zadając Angusowi okrutne

rany, jakich nie zadałaby mu żadna kokieteria. Kiedy rozbrzmiewał jej niski, przyzwalający śmiech, kiedy ożywała się i pochylała ku Amory'emu, by zwrócić mu na coś uwagę i przeczesywała palcami rozpuszczone splecione włosy, Angus trząsł się z zazdrości. Victoria zaniechała swoich zwykłych strojów. Zakładała cienkie bawełniane suknie plażowe na gołe ciało, nie krępując niczym pełnych, rozkołysanych piersi. Nosила kostium bikini, który odsłaniał jędrną krągłość jej ud i mocną, zdecydowaną linię talii. Ubierała się w krótkie suknie wieczorowe, w których jej wspaniałe długie nogi zamieniały się w nożyce, wbijane prosto w serce Angusa. W stosunku do matki Victoria była miła i czarująca. Była też miła i czarująca w stosunku do innych gości. Natomiast wyjątkowo miła i czarująca była dla Angusa, tak czarująca, jak przystoi wobec podstarzałego ojczyma, z którym łączy ją lata życzliwego zrozumienia. Ilekroć znalazła się sama w swoim pokoju, gratulowała sobie biurowego treningu, który sprawił, że miłe i czarujące zachowanie stało się nieodłącznym elementem jej sposobu bycia, niczym druga natura. Żaden niemiły i pozbawiony uroku urzędnik nie mógłby utrzymać się w pracy, ani na niższym, ani na wyższym stanowisku w agencji.

Amory Hopkins uważał, że Victoria byłaby jeszcze bardziej czarująca, gdyby mu się oddała, ale nie uległa mu, mimo jego błagań. Pozwoliła mu się całować, pozwoliła dotykać swojej szyi i rąk, a raz, kiedy całe towarzystwo było na basenie, pozwoliła, by wysmarował ją olejkami wszędzie tam, gdzie mógł sięgnąć. Jednak twierdziła uparcie, że w domu swojej matki musi sypiać sama, bo to kwestia przyzwoitości.

Raz, tylko jeden raz, zgodziła się na spotkanie z Angusem w domku przy basenie, późnym popołudniem. Kiedy weszła, czekał na nią, czując, że członek sztywnieje mu na myśl, jak będzie ją całował, aż zadrży, jak poprowadzi ją do jednej z przebieralni, zamknie drzwi, zadrze jej plażową sukienkę i weźmie ją, nie dbając o jej rozkosz. Zasłużyła na to, zadając mu taki ból. Wiedział, że będzie tak wilgotna na samą myśl o spotkaniu, że wtargnie w nią bez żadnych czułych wstępów. Przysiągł sobie, że wykorzysta ją szybko, samolubnie i bezlitośnie, nie dając jej czasu na osiągnięcie orgazmu, wyjmie członek i odejdzie, pozostawiając ją, leżącą na łóżku i oszalałą

128

z upokarzającego pożądania. Niech cierpi, powtarzał sobie, niech czuje to samo dręczące podniecenie, które on czuł przez cały tydzień, nie mogąc go zaspokoić. Niech pieści się sama i myśli o nim, tak jak przedtem - myślał, zaciskając zęby w porywie niecierpliwego oczekiwania. Victoria weszła do domku i rzuciła się w jego ramiona. Zdażył pocałować ją tylko jeden raz, bo natychmiast włożyła obie ręce w rozporek jego kąpielówek, schwyciła twardy członek i zaczęła poruszać palcami tak, jak najbardziej lubił. Ujęła jądra w stuloną dłoń i ścisnęła je lekko, zaś drugą pieściła członek, stanowczymi ruchami, w górę i w dół, zdecydowanie zwiększając ucisk i tempo. Angus zamarł w bezruchu. Oddychał głęboko, przeczuwając nadchodzącą rozkosz, niezdolny do wykonania swojego planu. Nagle Victoria podskoczyła zaniepokojona, jakby usłyszała, że ktoś otwiera drzwi domku. Szybko wyjęła ręce z jego kąpielówek, odwróciła się na pięcie i wybiegła tak samo szybko, jak tu wcześniej przybiegła.

Och, wiem, że Angus bardzo cierpi - myślała, idąc lekkim krokiem do domu, bo cierpiała równie mocno jak on. Oddałaby wszystko, co ma, by poczuć go w sobie. Wszystko, prócz zwycięstwa, które odniosła przed chwilą.

- Sądzisz, że nie wiem, że zrobiłaś to celowo? - Angus szalał ze złości, kiedy spotkali się znów w jej nowojorskim mieszkaniu w pobliżu biura, na początku nowego roku 1982. - Byłaś wstrętna!

- Ty masz własne życie, a ja nie - odparła cicho Victoria, przyjmując obojętnie jego gniew.

- Mamy wspólne życie!

- To za mało. To mi nie wystarcza. - Mówiła tak, jakby to była zwykła rozmowa.

- Dobry Jezu, mamy tyle, ile możemy mieć. Musisz to zrozumieć.

- Nie - zaprzeczyła stanowczo, kręcąc głową. Siedziała na krawędzi krzesła, z rękawiczkami w dłoniach, niczym dama czekająca na filiżankę herbaty. Spodziewał się, że pragnie go tak samo, jak on jej, ale wydawała się daleka od wszelkiej myśli o seksie. Uznał, że nadal prowadzi z nim grę.

Podszedł

137

do niej, pochylił się i przyciągnął ją do siebie, całując jej usta. Wyciągnął szpilki, które przytrzymywały jej włosy, rozpiął guziki żakietu i bluzki, i nachylił się, by mocno, mocno ssać jej sutki w taki sposób, który najbardziej ją podniecał. Pozwoliła mu na wszystko. Pozwoliła, by pchnął ją na kanapę, rozebrał i sprawił ruchami języka, że stała się tak wilgotna, jak tego chciał. Pozwoliła, by rozłożył jej nogi i wszedł w nią, ale nie odwzajemniła jego podniecenia. Wziął ją z taką rozkoszą, jakiej jeszcze nie zaznał. Szalał tym bardziej, im bardziej nad sobą panowała. Kiedy już było po wszystkim, zapytała tylko, czy to mu wystarcza.

- Nie, do cholery! A tobie wystarcza?

- To wszystko, co mogę ci dać - odparła nieprzejednana. - Wychodzę. Dziś wieczorem jest Bal Latarni Morskiej. Muszę iść do domu i przygotować się.

Angus nie był w stanie zdobyć się na żaden ruch ani jasno myśleć. Patrzył, jak Victoria zbiera rozrzucone ubrania i szybko je wkłada. Było dopiero wpół do szóstej po południu, nie musiała się spieszyć, mieli jeszcze godzinę, nawet półtorej godziny. Jak ta podniecona i niezaspokojona dziewczyna, która przecież żyła tylko po to, żeby się z nim pieprzyć, mogła go tak zostawić, skoro od wielu tygodni nie przeżyła orgazmu? Przynajmniej tak sądził. Kiedy drżąc z zazdrości pytał, z kim idzie na bal, gardził sam sobą.

- Nie z Amorym. Z kimś, kogo nie znasz. - Poszła sobie, pozostawiając go w skrajnej rozpacz. Długo siedział na kanapie, nie ubrany, bo nie był w stanie się ubrać, owinięty tylko w płaszcz, i drżał w ciepłym pokoju, usiłując zrozumieć, co się stało. Miotła nim zazdrość o jakiegoś faceta, który dziś wieczorem będzie z nią tańczył, patrzył jej w oczy i oglądał jej uśmiech, i ponowne, gwałtowne pragnienie jej ciała, tak wielkie, że poczuł ból. Tak wielkie, że teraz, właśnie w tej minucie, oddałby wszystko, by osiąść ją raz jeszcze.

- Masz własne życie - powiedziała mu. W istocie tak było. Miał własne życie wypełnione od świtu do nocy, życie, w którym odpowiadał za losy wielkiej firmy i musiał wykorzystać każdą minutę, by zaspokoić żądania klientów, domagaj ą

130

cych się indywidualnego traktowania, niezależnie od tego, jak dobry był dyrektor do spraw reklamy, któremu powierzał ich sprawy. Miał życie, w którym dyrektorzy, kierownicy do spraw reklamy i członkowie zespołów przygotowujących projekty czekali, by wraz z Millicent ostatecznie zaaprobował pomysł każdej kampanii, którą zamierzali zaproponować klientom. Miał życie, które polegało na intensywnym uprawianiu sportów, bo mężczyźni tacy jak on uważali, że to umacnia ich związki w interesach. Życie, które wymagało, by dostarczał innym rozrywki i sam pozwalał się zabawiać w coraz bardziej wymyślny sposób, by podróżował, podtrzymując kontakty z filiami zagranicznymi i klientami w innych miastach... Życie wypełnione po brzegi obowiązkami, wynikającymi z jego stanowiska i pozycji jednego z najważniejszych specjalistów w dziedzinie reklamy.

Angus pojął, że z krótkich chwil, które w dużych odstępach czasu kradł dla Victorii, nie złożyłoby się nawet kilku godzin. Co więcej mógł jej dać?

Wyobraź sobie, mówił w myślach, wyobraź sobie rozwód z Millicent. Wyobraź sobie, że w agencji zacznie się zamęt, a zamiast gładkiej pracy na jakiś czas rozpęta się piekło. Wyobraź sobie straszliwe zamieszanie, najgorsze, jakie może być. Mimo wszystko, grupa klientów i twórców reklam prawdopodobnie zostałaby z nim i mógłby zacząć wszystko od nowa, na mniejszą skalę, we własnej, nowej agencji. Pewnie byłby zadowolony z takiego obrotu sprawy i z rozwoju nowej firmy, który nastąpiłby z czasem. Tak, ten scenariusz jest całkiem prawdopodobny. Wiele agencji, należących do dwóch lub więcej osób przetrwało, mimo iż partnerzy postanowili się rozstać i założyć własne agencje.

Niewątpliwie miał prawo rozwieść się z żoną, błyskotliwą, sławną Millicent, i ożenić się z inną kobietą, nawet dwudziestolatką, ryzykując tylko utratę części majątku i wielu przyjaciół. Prawdopodobnie uchodziłby za człowieka bez serca, zważywszy wiek Millicent i rolę, jaką odegrała w jego karierze, ale ludzie zawsze zakładają, że nikt nie zna całej prawdy o cudzym pożyciu małżeńskim i dlatego bywają tolerancyjni. Nie znoszą zajmować stanowiska w takich sprawach.

Wyobraź sobie teraz, że po rozwodzie z Millicent żenisz się z Victorią. Ze straszliwą jasnością Angus zdał sobie wreszcie sprawę, że Victoria dążyła do małżeństwa. Jakże mógł być tak głupi, by sądzić, że zadowoli ją sytuacja, w której się znaleźli?

Tak, wyobraź sobie, że poślubiasz jedyną córkę swojej byłej żony, młodą kobietę, którą bliscy znajomi uważają za twoją pasierbicę od trzynastu lat - odkąd zobaczyli zarumienioną, wysoką, urodziwą nastolatkę w szmaragdowej sukience mini, idącą z nerwową godnością między ławkami kościoła na twoim ślubie, w orszaku weselnym twojej żony.

Nie! Nigdy! On, Angus Caldwell, wie, że to nie kazirodztwo. Nie łączą go z Victorią więzy krwi. Nigdy jej nie zaadoptował. Nie miał nawet takiego zamiaru. Wie, że zobaczył ją pierwszy raz, kiedy była już dojrzałą szesnastolatką. Wie, że w okresie, kiedy dorastała, nie spędzili pod jednym dachem ani jednej nocy, nie licząc rzadkich chwil, kiedy zatrzymywała się u nich, zanim wsiadła w poranny pociąg lub samolot. Wie, że nie jest silnie związana z matką. Przez sześć lat, dopóki nie ukończyła college'u, widywał ją rzadko. Wie, że dotknął ją pierwszy raz, kiedy miała dwadzieścia siedem lat. Wie, że przez jedenaście lat nigdy nie uważał jej za swoją pasierbicę. Podczas niewinnych kolacji w jej mieszkaniu, kiedy nie dotknął jej nawet palcem, ani razu nie pomyślał o jej matce. A później... nie, nigdy. Zwłaszcza później.

Och, był tego wszystkiego świadom, ale to się nie liczy. Ani jeden fakt. Żadnego z nich nie potrafiłby wyjaśnić tak, jak teraz przekonująco wytłumaczył to sam sobie. Nie liczyły się fakty. Żaden z nich - żaden - nie będzie się liczył, kiedy skandal wyjdzie na jaw, kiedy dowiedzą się ludzie i rozpęta się piekło domysłów, które nie ustaną nawet po jego śmierci. Wszyscy znajomi, wszyscy mężczyźni we wszystkich klubach, wszyscy klienci, którzy mu ufali, setki ludzi, którzy dla niego pracowali będą uważać go za człowieka, który popełnił przestępstwo wbrew naturze. Facet, który pieprzył się ze swoją pasierbicą. Bóg jeden wie, od jak dawna ją pieprzył. Facet, który zdradził żonę w najpodlejszy sposób. Facet, którego należy wykluczyć ze społeczeństwa. Facet, którym powinien gardzić każdy uczciwy człowiek.

132

W przyptywie zdrowego rozsądku Angus uświadomił sobie, że musi zrezygnować z Victorii. Musi uniknąć straszliwego niebezpieczeństwa, którego do dziś nie dostrzegał, otumaniony i zaślepiony seksem. Popęłnił największy błąd swojego życia. Ale musi wydostać się z pułapki ostrożnie, z niebywałą czujnością, tak żeby nikt, dosłownie nikt się nie dowiedział. Victoria może zrujnować mu życie, obrócić wniwecz wszystko, co jest dla niego ważne. Może stać się jego zgubą.

Przez następne miesiące, ilekroć się spotkali, Angus Caldwell zmuszał się, by zadać sobie pytanie o ich wspólną przyszłość. Powiedział Victorii, że rozumie, jak trudno jej to znieść, jakim był egoistą. On także nie może tak żyć. To wbrew wszystkim naturalnym ludzkim uczuciom, że nie mogą otwarcie być razem, że nie mogą się pobrać, skoro tak bardzo się kochają. Ale, mój Boże, powinni wytrzymać jeszcze trochę. Musi zrozumieć, że trzeba znaleźć sposób, by żyć razem, robiąc przy tym jak najmniej zamieszania. Przecież jego inteligentne kochanie na pewno to zrozumie, prawda? Ależ nie, przecież wie, że Victoria musi spotykać się z innymi mężczyznami. Dziwnie by to wyglądało, gdyby się z nikim nie spotykała, ale on nie może opanować zazdrości, mimo iż wie, że Victoria z nimi nie sypia. Musi mu wybaczyć tę zazdrość, musi mu obiecać, że żaden z nich nigdy nie tknie jego ukochanej.

Tak, oczywiście, ufa jej, wie, jak długo czekała na niego, prosi tylko, by nie robiła mu trudności, dopóki nie znajdzie najlepszego sposobu, by odzyskać wolność. Prosi tylko, by nigdy nie odmawiała mu swojej miłości, swoich pocałunków, swojej własnej rozkoszy... Więcej tego nie znieś. Wie oczywiście, że to trwa całe wieki, ale nie może przecież położyć fundamentów pod

ich wspólną przyszłość w ciągu kilku tygodni, a nawet kilku miesięcy. Tak, wie, że Victoria skończy niedługo dwadzieścia dziewięć lat, ale obiecuje, że wtedy już na pewno będzie miał gotowy plan, prawdziwy plan. Nie, niech nie wstaje i nie wychodzi, nie w tej chwili, kiedy znów jej pragnie, nie, musi mu pozwolić, by wziął ją raz jeszcze. Nie prosi o nic więcej. Obmyślając wyjście z sytuacji, Angus zyskał cały rok.

*

- Los Angeles! Nie mówisz tego poważnie! Dlaczego chcesz, żebym tam pojechała? - wykrzyknęła Victoria.
- Chcę, żebyśmy pojechali razem...
- Ale...
- Kochanie, siedź cicho i posłuchaj. Los Angeles to rozwiązanie problemu. Nie wiem, dlaczego wcześniej na to nie wpadłem. To szansa, by zacząć wszystko od nowa, rozpocząć nowe życie, być razem, mieć pracę i...
- Ale dlaczego muszę jechać pierwsza, sama, bez ciebie?
- Ponieważ tak wielką sprawę należy załatwiać krok po kroku. Posłuchaj mnie uważnie, Victorio. Dopóki pracujesz w Caldwell & Caldwell, jesteś więźniem firmy. Jeżeli jednak otworzysz własną firmę, jeżeli ogłosisz, że jesteś niezależna, dołączę do ciebie zaraz po rozwodzie.
- Naprawdę sądzisz, że tak chętnie poprowadzę małą agencję, w której zatrudnię tylko samą siebie, w mieście, które ledwie znam, trzy tysiące mil od centrum wydarzeń? Angus, nie ma mowy!
- A co powiesz na agencję z kapitałem wyjściowym w postaci kontraktów wartych dwadzieścia milionów dolarów? Czy taki wspaniały start nie sprawi, że najlepsi, najbardziej twórczy ludzie pójdą za tobą? We własnej firmie będziesz najważniejszą osobą. A co powiesz na to, że dołączając do ciebie, wniosem wiele milionów dolarów udziału? Że staniemy się potentatami? Czy to nie lepsze niż mieszkać w tym samym mieście, co Millicent?
- Dwadzieścia milionów? Skąd weźmiesz dwadzieścia milionów?
- Tę sprawę musisz zostawić mnie. Wiem, jak to załatwić. Bez pieniędzy nigdzie nie pojedziesz, kochanie, a ja zacznę wprowadzać w życie Plan B.

*

Następnego dnia Angus Caldwell umówił się na lunch ze swoim starym oddanym przyjacielem i pierwszym klientem, Joe Devanem, który miał wobec niego dług wdzięczności za sukces Oak Hill Foods.

- Joe, mam do ciebie wielką prośbę.
- 134
- Załatwione.
 - Nie, dobrze się namyśl. Zrozumiem, jeśli mi odmówisz, ale Victoria i jej matka mają poważne kłopoty.
 - To źle, Angus. Bardzo mi przykro.
 - Nigdy nie były sobie bliskie, Joe. Robiłem, co w mojej mocy, by poprawić ich stosunki, ale było już pewnie za późno, by cokolwiek zmienić, kiedy żeniłem się z Millicent.
 - To niedobrze, Angus. Kiepska sprawa. Nie przyszło mi to do głowy.
 - Mieliliśmy nadzieję, że załatwimy to między sobą, w rodzinie, ale teraz... cóż... Dowiesz się jako pierwszy, że Victoria postanowiła odejść z agencji.
 - Cholera! To ci dopiero paskudna historia! Wiesz, jak liczę na tę dziewczynę. Uważam, że jest najlepsza! To straszne, że odchodzi. Naprawdę straszne! Jak mogę temu zaradzić? Chcesz, żebym z nią porozmawiał? Niech to szlag, Angus! Jeżeli ciebie nie posłucha, tym bardziej nie posłucha mnie!
 - O tym właśnie chcę z tobą pogadać, Joe. Kiedy Victoria odejdzie z firmy, wyjedzie do Los Angeles. Wiem, że zamierza zabrać kilku najbardziej utalentowanych pracowników i otworzyć własną agencję. Nic jej nie powstrzyma.

- Zaszary interes! Co za kłopot! Nie zazdroszczę ci, ale przykro mi jak cholera. Naprawdę. Potrzebuję tej dziewczyny. Zdobyliśmy kilka prestiżowych nagród za reklamy, które nadzorowała, i sprzedaliśmy mnóstwo żarcia.

- Przecież wiesz, że jestem tego świadom. Oto moja prośba. Dasz jej kilka zleceń? Myślałem o tych trzech reklamach produktów niskokalorycznych.

- Zabrać zlecenia twojej firmie i dać Victorii? Prosisz mnie, żebym wyjął ci z kieszeni kontrakty na dwadzieścia milionów dolarów i dał je nowej agencji? Oszalałeś, Angus?

- Wręcz przeciwnie. Kiedy Victoria odejdzie, i tak przejmie twoje zamówienia. To tylko kwestia czasu. Wszystkie zamówienia. To logiczne, że tak postąpi. Odkąd osiem lat temu zaczęła pracę w agencji, zajmowała się wyłącznie zleceniami twojej firmy. Zna się na tym doskonale, a twoi specjaliści od marketingu i reklamy świetnie z nią współpracują.

- Taak. Tym bardziej jest mi przykro.

- Joe, możliwe, że sam chciałbyś uczynić taki krok, ale powstrzymywałaby cię lojalność w stosunku do mnie.
- Jasne, że chciałbym. Nasze kontrakty z waszą firmą, Angus, opiewają na sto milionów.
- Mniej więcej, Joe. Mniej więcej. Ale coś mi mówi, że gdy Victoria wyjdzie na czysto, przejmując kilka zleceń, na które niewątpliwie ciężko zapracowała, angażując w nie wszystkie swoje siły, tak jak w reklamę produktów niskokalorycznych, uzna, że to wynagradza jej wszystkie lata ciężkiej pracy. Mam nadzieję, że wówczas nie będzie rozgoryczona i przestanie w końcu wojować z Millicent.
- Co ty opowiadasz! To ciekawe, Angus! Interesująca myśl. Coś w rodzaju uprzedzenia ciosu?
- Właśnie tak.
- Czy Millicent też tak sądzi?
- Gdyby Millicent wiedziała, że to mój pomysł... Daj spokój, Joe. Wtedy koniec ze mną. Atmosfera w domu jest naprawdę nieznośna. Właściwie moja żona i Victoria przestały ze sobą rozmawiać. To ja staram się załagodzić sytuację. Spodziewam się, Joe, że niezależnie od twojej decyzji, utrzymasz to w tajemnicy.
- Do diabła! Przecież mnie znasz. Słuchaj, Angus, zastanowię się nad tym dzień lub dwa. Jest o czym myśleć, ale, do diabła, wygląda na to, że powinno się udać. Zatrzymamy Victorię i nadal mamy waszą firmę. Ale pozwól mi to przemyśleć. Jesteś całkowicie pewny, że nie zmienisz zdania? Dwadzieścia milionów to niezły kasek, nawet dla wielkiej agencji.
- Od miesiący o niczym innym nie myślę.
- Zatem jest aż tak źle, co?
- Gorzej niż źle, Joe. Gorzej.

*

- Archie, co my właściwie wiemy o Victorii Frost, prócz tego, że jest energiczną dyrektorką do spraw kontraktów reklamowych i, bez wątpienia, dziedziczką firmy Caldwell & Caldwell? - zapytał Byron.

- Co jeszcze chcesz wiedzieć?
- Hm, jestem ciekaw, dlaczego jest tak cholernie zamknięta

136
w sobie - odparł Byron. - Nie ma jeszcze trzydziestki, tak jak my, ale im dłużej znam tę kobietę, tym bardziej przypomina mi fortecę. To nienaturalne. Lalunie nie zachowują się w taki sposób.

- To nie jest żadna lalunia, Byron. To przeciwieństwo laluni.
- Dlaczego nie ma żadnych romansów? Pełno tu plotkarzy, więc gdyby miała jakiś romans, na pewno byłoby o tym głośno. To mnie niepokoi, choć jesteś pierwszą osobą, której o tym mówię.
- Może to lesbijka. Prawda, że mężczyźni zawsze tak sądzą, kiedy kobieta nie okazuje im zainteresowania? Jednego jestem pewny - nikt nie jest aseksualny, jeśli dobrze się przyjrzeć. - Archie ciągnął wątek. - Aseksualność to brak seksu. Coś w rodzaju rośliny, która rozmnaża się, nie kwitnąc... Victoria na pewno nie jest aseksualna.
- Może to zasłona dymna. Może prowadzi podwójne życie prostytutki w burdelu, jak Catherine Deneuve w „Piękności dnia”? - w głosie Byrona zabrzmiała nadzieja.
- Byron, mówiłem ci, żebyś przestał oglądać francuskie filmy.
- Podobno po czterech filmach Bunuela ma się sprośne myśli.
- Po czterech! - wykrzyknął Archie. - Oczywiście nie zwróciłeś uwagi na ważną przestrożę: „Im większy filozof, tym większy maniak seksualny”.
- Kto to powiedział?

- Jean Cocteau - odparł szybko Archie, licząc, że Byron nie zechce tego sprawdzić. - Ale spójrz na to inaczej. Nasza szefowa Victoria Frost, której nigdy, przenigdy nikt nie nazywa Vicky, ma do czynienia z wieloma bardzo ważnymi facetami, zwłaszcza w Oak Hill. Może to rodzaj ochronnej maski? Zasłona dymna, pozory? Może to jedna ze sztuczek, które stosują kobiety, by radzić sobie z mężczyznami w interesach?

- Nic podobnego. To coś więcej, Arch - powiedział Byron. Pracował z Victorią już kilka lat i nadal głęboko raził go jej sposób bycia, tak wystudiowany, nieskazitelny i profesjonalny, jak zachowanie słynnego wytrawnego dyplomaty, dobiegającego emerytury na ostatniej placówce, która zgodnie z tradycją jest najbardziej prestiżowa.

145

Przez ostatnie kilka lat Victoria nie tylko zachowywała się bez zarzutu, z wręcz irytującą oglądą, ale doprowadziła też do perfekcji okazywane już wcześniej upodobanie do surowych, awangardowych, doskonałych, kosztownych ubrań wyróżniających się niezwykle, niemal zakonną prostotą stylu. Jeżeli rezygnowała czasem ze swoich czerni i brązów, zakładając strój w kolorze złamanej szarości lub bieli, wywoływały one efekt tak piorunujący, jak wściekły róż i pomarańcz na innych kobietach. Żaden drobiazg nie łagodził surowości francuskiego szyku Victorii. Nawet jej makijaż ograniczał się do jasnoczerwonej szminki kontrastującej z mlecznobiałą cerą. Była klasycznie elegancka i tajemnicza, ale przed wnikliwym męskim spojrzeniem nie mogła ukryć faktu, że celowo zataja coś bardzo ważnego. Dzięki temu wydawała się bardziej fascynująca niż niejedna prawdziwa piękność i stała się przedmiotem ciągłych domysłów swoich współpracowników.

Archie i Byron od dawna wyczuwali, że to namiętność, ale namiętność skrywana za murem, który nie pozwalał im nawet domyślać się, o co tu chodzi.

*

Pewnego dnia pod koniec lata 1982, tuż przed swoimi trzydziestymi urodzinami, Victoria Frost zaprosiła ich obu do siebie na kolację. Po raz pierwszy spotkał ich taki zaszczyt, choć ona sama od dwóch lat chętnie przyjmowała ich zaproszenia na przyjęcia w większym, nieformalnym gronie, które czasami urządzali wspólnymi siłami. Przychodziła i wychodziła sama, wcale się tego nie wstydząc.

Zaskoczyło ich jej mieszkanie i niekrepująca atmosfera, panująca w jej pokoju. Wiedzieli jednak, że wrażenia swobody nie można stworzyć tanim kosztem, ale nie spodziewali się, że Victoria mieszka w tak nieciekawej okolicy.

Byron i Archie wymienili zdziwione spojrzenia, kiedy powitała ich, ubrana w wygodne spodnie z czerwonego zamszu i wielką, różową, jedwabną koszulę o męskim kroju. Uszy Victorii zdobiły kolczyki z misternie rzeźbionego jadeitu. Rozpuściła włosy i odsłoniła czoło. Nie tylko wyglądała o dziesięć lat młodziej, ale stała się zupełnie inną osobą niż

146

kobieta, z którą pracowali. Była swobodna i przystępna. Takiego wrażenia nigdy nie udawało jej się stworzyć w biurze, mimo jej wytrawnego profesjonalizmu.

Kiedy pokojówka podawała napoje i dania w małej, oświetlonej świecami jadalni, której nastrój harmonizował z atmosferą panującą w pokoju, wszyscy troje wymieniali błahe ploteczki o interesach. Wrócili do salonu na kawę i brandy. Kiedy sączyli brandy, Victoria oznajmiła im cichym głosem, że postanowiła opuścić agencję Caldwellów i otworzyć własną firmę.

- Nie pytajcie mnie, dlaczego to robię - powiedziała wyraźnie i czysto, lecz porywczym tonem, a na jej ładnej twarzy widać było skupienie. - Oczywiście obaj powinniście wiedzieć, że powodem decyzji są głębokie, skomplikowane problemy z matką, ale nie mogę wyjaśnić wam tego szczegółowo. Nie teraz, a może nawet nigdy. Odchodząc, przejmę trzy kontrakty z Oak Hill. Wy dwaj jesteście autorami ich kampanii reklamowych. Wiecie, że uważam was za najbardziej utalentowany zespół w agencji i chciałabym, żebyście odeszli wraz ze mną.

Przerwała na chwilę, żeby spojrzeć na ich twarze, zastygłe w niemym zdziwieniu. Podjęła przerwany wątek nieco łagodniejszym tonem.

- Posłuchajcie, chłopcy, jeżeli mi odmówicie, będę bardzo rozczarowana, ponieważ Joe Devane bardzo ceni was obu. Ale zgodził się już, by kto inny zajął się reklamą jego firmy, jeżeli wy dwaj odmówicie. Innymi słowy, moja decyzja nie zależy od was, mimo iż bardzo chciałabym, żebyście do mnie dołączyli. I tak do tego dojdzie, z wami czy bez was. Mogę zatrudnić kogo zechcę, każdy zespół specjalistów z każdej agencji w mieście, jeżeli tylko zaryzykują i postanowią pracować ze

mną. Celowo przypominam, że te trzy kontrakty opiewają na dwadzieścia milionów dolarów. Jeżeli się zgodzicie, w nowej agencji będziemy mieć równe udziały.

- Chwileczkę, Victorio - powiedział Byron, zaskoczony jej propozycją i rysującymi się możliwościami. - Odejdźcie z agencji i założenie nowej firmy to jedno. Przejęcie kontraktów Caldwellów to inna sprawa. Przecież jesteście rodziną. Jezu!

139

- Mimo to, takie rzeczy czasami się zdarzają. Bądźcie tego świadomi. Wiem oczywiście, że takiego postępowania nie uważa się za zbyt eleganckie, ale niektóre wielkie agencje reklamowe zaczynały właśnie tak. Pomyślcie o tym. To fakt historyczny.

- To prawda. Tak bywało - powiedział rozwlekle Archie. - Ale wiesz przecież, dlaczego to robisz, a my nie. Czy mogłabyś przynajmniej wyjaśnić nam nieco bliżej, dlaczego Joe Devane zgodził się na twoją propozycję? Caldwellowie prowadzą jego kampanie od niepamiętnych czasów. Gdyby nie oni, byłby jednym z tysięcy producentów żywności.

- Nie, Archie. Nie mogę tego wyjaśnić. Nawet jeśli odejdziecie wraz ze mną. Ale mogę wam powiedzieć, że nie nakłaniałabym was do porzucenia pracy, gdybym nie była absolutnie pewna, że wszystko się uda. Odchodzę z firmy, rezygnuję z przyszłości... Czy mogą być lepsze gwarancje?

- Czy powiesz nam, w jaki sposób to zrobisz? O nic więcej nie pytam - powiedział Byron. Razem z Archiem od dawna marzyli o własnej agencji, ale taki bandycki scenariusz nigdy nie przyszedłby im do głowy.

- Bardzo prosto i szybko - odparła Victoria. - Nasza trójka wymówi pracę i założy nową agencję. Frost, Rourke i Bernheim, albo Frost, Bernheim i Rourke. Sprawę szyku pozostawiam wam, byle tylko moje nazwisko figurowało jako pierwsze... Przecież to mój pomysł. Kiedy upłynie tydzień od naszego wymówienia, Oak Hill przekaże nam ofertę prowadzenia całej kampanii reklamowej trzech produktów: nisko-kalorycznych zup, pieczywa i deserów. Y&R, Ogilvy & Mat-her i, oczywiście, prowadzący ich interesy Caldwellowie także staną do konkursu. Po jego rozstrzygnięciu otrzymamy wszystkie trzy kontrakty. To tylko gra pozorów, na którą nikt się nie nabierze, ale jest zgodna z prawem.

- Victorio, Byron i ja musimy o tym porozmawiać - powiedział Archie.

- Oczywiście - odparła wstając. - Ale muszę znać waszą odpowiedź w ciągu dwudziestu czterech godzin. Niezależnie od waszej decyzji, uważam was za najlepszych specjalistów.

Pojadą ze mną, myślała Victoria rozbiegając się. Nie będą mogli się oprzeć. Niech się najpierw zgodzą. Później powie

140

tym kawalerom bez zobowiązań o przeprowadzce na wybrzeże. Frost, Rourke i Bernheim - Frost, Bernheim i Rourke? To żadna różnica, bo przecież zanim minie rok, ludzie i tak będą nazywać nową firmę agencją „Caldwell Frost”.

*

- Może więcej stracić, niż zyskać - powiedział Byron.

- Mhm. Ale i tak odejdzie od Caldwellów.

- Prawie ich nie znamy. Nie rozpoznałiby nas nawet w policyjnej kartotece - zauważył Byron. - Nie widziałem ich od zesłorocznego przyjęcia na Boże Narodzenie.

- A jednak to kwestia lojalności.

- Victoria ma większe prawo do naszej lojalności niż Caldwellowie. Przecież to dla niej pracujemy, odpowiadamy przed nią.

- Byron, przesadzasz.

- Powiedziała, że inaczej nie rozwiąże swoich problemów.

- Ale my nie mamy problemów z Caldwellami - sprzeciwił się Archie.

- Nie jesteśmy też ich wspólnikami. To nasza życiowa szansa.

- Cholera, to racja - wycedził Archie przez zaciśnięte zęby. - Ile trzeba zapłacić, żeby mieć czyste ręce?

- Za dużo. Chcesz tak siedzieć i patrzeć, jak inne zespoły sprzątają nam sprzed nosa kontrakty zdobyte dzięki nam? Poświęciliśmy tym kampaniom trzy lata naszego życia i wiele najlepszych pomysłów.

- Więc chcesz tego? - zapytał Archie.

- Pytasz mnie, czy mówisz za mnie?

- Tworzymy zespół - powiedział z naciskiem Archie.

- Pytasz mnie i mówisz za mnie. Aż się do tego palisz!

- Ty też - odparł szybko Archie.

- Ale to się stanie i tak, z nami czy bez nas. Nie możemy temu zaradzić, więc dlaczego nie skorzystać z oferty?

- Nie widzę żadnych przeszkód, prócz wątpliwości natury etycznej.

- Jeżeli zaczniemy rozszczepiać na czworo etyczny włos, popadniemy w dewocję, zamiast zająć się reklamą - stwierdził Archie podejmując decyzję.

Wszystko odbyło się tak, jak powiedziała Victoria, ale Archie i Byron nie spodziewali się, że periodyki - „Adweek”, „Advertising Age” i „The Wall Street Journal” oraz działy gospodarcze pism w całym kraju poświęcą im tyle uwagi. W zwykłej sytuacji przeniesienie trzech kontraktów na reklamę żywności z jednej agencji do drugiej skwitowano by zaledwie drobną notatką, gdyby nie kwestia matka-córka. Dziesiątki dziennikarzy głowiły się nad upadkiem dynastii rodzinnej. Rozłam między matką i córką, którego szczegóły, ku ogólnemu rozczarowaniu, nie przedostały się do prasy, stał się przedmiotem niezliczonych komentarzy.

- Nie mam nic przeciwko spekulacjom w interesach - zauważył Archie w rozmowie z Byronem - ale spodziewałem się, że po tej kolacji u niej w domu Victoria przestanie choć trochę pozować na Chodzącą Doskonałość we Francuskim Stylu.

- Czy sądzisz, że wtedy specjalnie ubrała się inaczej, żeby nas zwabić? Że to jednorazowy wyskok, który nigdy się nie powtórzy?

- Może i tak. Te czerwone spodnie i tak dalej... Ale nie chodzi o stroje, lecz o zachowanie. Znowu jest taka nieprzystępna jak zawsze. Jesteśmy współnikami, ale nadal zachowuje się tak, jakby była naszą bezpośrednią przełożoną. To mnie wkurza.

- Zdaje się, że czujesz do niej miętę.

- „Miętę”, Byron? Nic dziwnego, że nie umiesz pisać... Nic dziwnego, że jesteś tylko dyrektorem artystycznym.

- Rwiesz się, palisz się, trzęsiesz się, żeby jej wsadzić...

- Słuchaj, Archie, przyznaję, że nie miałbym nic przeciwko temu, żeby wsadzić go tej damie. Ty też nie. Ale jestem bystry, więc martwię się, że już nigdy nie odzyskałbym mego fiuta, gdyby go dostała.

- Prawdę mówiąc, ona nie jest w moim typie. Ale chciałbym, żeby traktowała mnie jak równego sobie. Zgodnie z umową.

- Zgodziłeś się na przeniesienie agencji do Los Angeles - przypomniał mu Byron.

- To ma sens. A ty zgodziłeś się, żeby nazwać firmę Frost, Rourke, Bernheim, czyli FRB. Czy to znaczy, że Victoria prowadzi cię na pasku?

142

- Nie. To dobrze brzmi i łatwiej się wymawia. Ludzie i tak będą mówić - FRB, bo tak jest wygodniej. A przeprowadzkę do Los Angeles uważam za korzystną. Nic mnie tu nie trzyma, a w San Francisco mam rodzinę... Nowe początki na nowym wybrzeżu.

Wkrótce po przeprowadzce do Kalifornii agencja FRB zdobyła kilka niewielkich nowych zamówień od wspaniałej wytwórni win z Napa Valley, od producentów Wybornego Makaronu Bugattini, Stowarzyszenia Kalifornijskich Plantatorów Karczochów, od firmy produkującej herbaty ziołowe w rejonie Zatoki Kalifornijskiej, od importera wysmienitych octów i oliwy z oliwek, i kilka innych zleceń - niestety także związanych z przemysłem spożywczym. Zaczęli od żywności i wszystko wskazywało na to, że będą zajmować się jej reklamą, jeżeli nie uda im się przerwać tej monotonii. Nowe kontrakty opiewały na ogólną sumę dziesięciu milionów dolarów, co wystarczyło, by uznać, że agencja się rozwija. Nie był to jednak oszałamiający rozwój, do którego przywykli w potężnej agencji, pracując nad wielkimi zamówieniami.

Przez kilka miesięcy agencja FRB gnieździła się w wynajętych pokojach. Wkrótce, czekając na postęp w interesach i zwiększenie kadr, Victoria wynajęła pomieszczenia biurowe

O rozmiarach znacznie przekraczających ich obecne potrzeby

I wynajęła dekoratora, chcąc odnowić je i wyposażyc tak, by robiły wrażenie na przyszłych klientach. Mimo iż Victoria nadal nadzorowała kontrakty z Oak Hill, spędzała większość czasu w podróży, zdobywając nowe zlecenia dla agencji. Z niezłomną determinacją przejęła wszystkie

nietwórcze obowiązki „koordynatora interesów”, pozwalając Byronowi i Archiemu skupić się na tym, co robili najlepiej.

Mimo częstych podróży, nie widywała Angusa tak często, jakby tego chciała. Tłumaczył jej, że Millicent robi mu znacznie większe trudności niż się tego spodziewał, a jeśli zacznie ją ponaglać, uprze się i zniweczy ich plany. Osiągnęli już tyle, że potrzebują jeszcze trochę cierpliwości, trochę więcej czasu...

Więcej czasu, myślała Victoria ponuro, odsuwając talerz z sałatką, który Polly postawiła na jej biurku. Więcej

151

cierpliwości. Jakby nie okazała Angusowi więcej cierpliwości, i jeszcze więcej cierpliwości, dopóki nie uznała, że ten krwotok dobrej woli przyprawi ją o śmierć! Nie mieli dla siebie ani minuty, kiedy przyjechała do Nowego Jorku. Nie spotkali się ani razu. Nie mógł się z nią zobaczyć. Czowała, że jej serce i ciało rozrywa na strzępy, miażdży i niszczy nienawiść do matki i niechęć do Angusa za to, że nie był w stanie uwolnić się od niezliczonych obowiązków. Co zastała po powrocie? Archie i Byron, jedyni ludzie, na których mogła liczyć, jedyni, którzy wiedzieli, co sobą reprezentuje, którzy znali ją przed jej samotnym zesłaniem do Kalifornii, wyszli, żeby zabawić się i poszaleć z Gigi Orsini, która była stanowczo za dobrze ubrana i nie miała oczywiście zielonego pojęcia o reklamie. Z dziewczyną, która z niewiadomych powodów przypominała jej własną matkę z okresu młodości.

7

- Spotkałem w Nowym Jorku pewnego pana o nazwisku Tom Unger - zwrócił się nagle Josh do Saszy po cichej i pełnej napięcia kolacji, kiedy Sasza cały czas usiłowała przekonać samą siebie, że Josh rozmyśla nad jakimś trudnym przypadkiem prawnym. Zrezygnował ze wspólnej pielgrzymki do pokoju Nellie, by - jak zwykle po kolacji - zobaczyć córeczkę śpiącą w kołysce, i poprowadził Saszę do biblioteki.

- Och, dzięki ci, Boże! - wykrzyknęła Sasza z ulgą i złością. - Więc w tym rzecz! Nigdy więcej tego nie rób, panie Joshu Hillmanie. Myślałam, że stwierdziłeś u siebie śmiertelną chorobę i zastanawiasz się, jak mi o tym powiedzieć. Nie masz pojęcia, jak wyglądasz, od wczorajszego powrotu z Nowego Jorku. Jak potępieniec! Szalałam z niepokoju... ale nie odważyłam się o nic pytać, bo obawiałam się odpowiedzi.

- Tom... był twoim kochankiem. - Josh wymawiał słowa z wysiłkiem i ciężkimi westchnieniami, nad którymi nie potrafił zapanować.

144

- Tak, owszem - odparła bez namysłu, targając w złości długie czarne włosy. - Czy to cię tak martwi? To obrzydliwe, że Tom powiedział ci o tym, wiedząc, że jesteś moim mężem. Okazał się takim prostakiem! A ty robisz mi piekło, bo jesteś głupio zazdrosny o stare sprawy. Mężczyźni! Przyprawiacie mnie o mdłości!

Wstała z krzesła i miotła się wściekle po pokoju, przyglądając się badawczo Joshowi, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu. Jego inteligentne usta, wysokie słowiańskie kości policzkowe, kształtna głowa i krótkie siwe włosy, jego sylwetka i sardoniczny, lecz przyjazny wyraz twarzy pokrytej zmarszczkami nagle wydały się jej obce, bo obcy był wyraz cierpienia w jego oczach.

- Czy zamierzasz tak tkwić w miejscu i mówić mi, że zawiodłeś się, żeniąc się ze mną, bo nie byłam dziewicą? - wybuchła wreszcie Sasza, bo Josh nie powiedział już ani słowa. - Czy sądziłeś, że dwudziestoczteroletnia kobieta spędziła całe życie w pasie cnoty, czekając aż się zjawisz?

- Nie. Wydawało mi się, że miałaś takie romanse, jak ja... miłości, związki, czy jak tam sobie chcesz. Tak sądziłem i wcale o tym nie myślałem.

- Więc dlaczego wypominasz mi teraz Toma Ungera? Czy powinnam cię przeprosić? Co mu powiedziałeś, kiedy uraczył cię tą czarującą drobną ploteczką? Czy z godnością odwróciłeś się na pięcie, czy dałeś mu w pysk?

- Nie wiedział, że jesteśmy małżeństwem.

- Co? Chcesz powiedzieć, że Tom Unger chodzi sobie po świecie i opowiada, ot, tak sobie, że byłam jedną z ofiar jego miłosnych podbojów? „Och, przy okazji powiem ci, że miałem romans z Saszą Nevsky”? Zadzwoń do tej podłej, oślizgłej kreatury i zrobię mu taką awanturę, że zapomni

nie tylko, jak sam się nazywa, ale jak mi na imię. Ohydny, prymitywny typ! A pomyśleć, że kiedyś naprawdę go lubiłam.

- To nie było tak.

- Lepiej powiedz mi, jak to było, Josh. I to natychmiast, co do słowa! Nie zamierzam gładko przełknąć takiego świństwa. Nie pozwolę, żebyś siedział i każdą cząstką swojego ciała oskarżał mnie o Bóg wie co. Romans z Tomem Ungerem to nie zbrodnia - nawet jeśli facet okazał się tak nikczemny.

153

Z wielkim bólem Josh opowiedział jej wszystko, co się wydarzyło podczas lunchu w Nowym Jorku, celowo nie szczędząc jej żadnego szczegółu i żadnego słowa potępienia, które przyszło mu do głowy, odkąd wyszedł z biura Westcotta, Rosenthala, Kelly'ego i Kinga.

Kiedy skończył, Sasza siedziała niemal bez ruchu, wbijając wzrok w dywan i gniotąc w palcach koniec paska. Zapadła długa cisza. Wreszcie podniosła głowę i spojrzała na niego ze współczuciem.

- Przepraszam, kochanie. Wiem, że się zmartwiłeś. Nie potrafię nawet powiedzieć, jak bardzo mi przykro, że nigdy sama ci o tym nie opowiedziałam. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że dowiesz się tego w miejscu publicznym, w taki okropny sposób... Och, powinnam była to przewidzieć, powiedzieć ci...

- Jest ci przykro, że dowiedziałem się w taki sposób, że miewałaś trzech kochanków jednocześnie? Uważasz, że ważny jest sposób, w jaki się o tym dowiedziałem? Okoliczności, w których doznałem olśnienia?

- Doprawdy? - Podniosła się i przemierzała pokój, mierząc go wzrokiem od stóp do głów, jakby był wynędzniałym natrętem, który zapukał do jej drzwi i zapytał, czy może skorzystać z telefonu.

- Doprawdy? - powtórzyła głosem, w którym zabrzmiał ostry ton.

- Nie, na Boga, nie!

- Zatem, o co chodzi? Co jest ważniejsze, Josh?

- Ty, mój Boże, ty! Robiłaś takie... rzeczy! Nawet się z tym nie kryłaś. Unger powiedział, że każdy z tych facetów wiedział o istnieniu innych. Uważałaś, że masz do tego prawo. Nadal tak sądzisz! - wykrzyknął targany lękiem.

- O, nie! Nie sądzę. - Sasza przystanąła i spojrzała na niego z głęboką powagą. Złożyła dłonie, po czym rozłożyła je niczym rozkwitający kwiat. Na jej gładkim czole pogodnie rysowały się szerokie brwi.

- Zawsze wiedziałam - powiedziała cicho - od dnia, w którym pierwszy raz spałam z mężczyzną, że kiedy wyjdę za mąż, zamknę ten rozdział mojego życia. Skończę z tym. Jestem zakłamana w takich sprawach jak seks. A ty? A inni mężczyźni? Czy wszyscy ludzie nie są za

146
kłamani, gdy w grę wchodzi sprawy poważne? Nie tylko seks? Uważam, że to, co wolno dziewczynie niezamężnej, nie przystoi szczęśliwej małżonce. To może zniszczyć małżeństwo.

- O, Boże! Dlaczego nic nie rozumiesz? Trzech mężczyzn... trzech kochanków... trzech mężczyzn ma prawo... robić... to z tobą, a ty zachowujesz się jak zongler zonglujący trzema pomarańczami? I nic więcej? Pewnego dnia, może jutro... Och, Jezu... - ukrył twarz w dłoniach.

- Tak było, Josh. Nie zamierzam za to przepraszać. Miałam prawo dysponować sobą tak, jak chciałam. Jeżeli spodziewasz się, że będzie mi wstyd, nie doczekasz się. - Sasza nie zachowywała się prowokacyjnie. Była po prostu przekonana, że robiła to, co uważała za stosowne i miała prawo dochować wiary swoim przekonaniom.

- Naprawdę nic nie rozumiesz - popadł w skrajną rozpacz. Po prostu nie chcesz rozumieć.

- Wiem, że byłam Wielką Dziwką, jak sama się nazwałam, i co z tego? Nie zrobiłam nikomu nic złego. Nie żałuję, że korzystałam z wolności, kiedy mogłam z niej korzystać. Nigdy nie spałam z nikim, kogo nie darzyłam sympatią. Zawsze sypiałam z mężczyznami tylko dla przyjemności. Nigdy ich nie oszukiwałam. Unikałam wiązania się tylko z jednym. Robiłabym to nadal, gdybym nie spotkała ciebie i nie zakochała się w tobie.

Przerwała czekając, by na nią spojrzał. Chciała zobaczyć wyraz jego twarzy, ale on siedział sztywno na krześle, ściskając głowę w dłoniach.

- Podaj mi choć jeden powód, Josh, dla którego miałabym wówczas żyć inaczej? - nalegała Sasza, chcąc przemówić mu do rozsądku. - Czy odebrałam ci coś w ten sposób? Czy to umniejsza moją miłość do ciebie? Jestem tą samą kobietą, w której się zakochałeś. Tą samą istotą ludzką, którą poślubiłeś. Dni, kiedy byłam Wielką Dziwką, minęły bezpowrotnie i nie powtórzą się nigdy, ale to także jestem ja - Sasza. Powiedz mi, dlaczego uzurpujesz sobie prawo do oskarżania mnie właśnie teraz?

- Ilu... ilu... ich było? - Mówił tak, jakby słowa więzły mu w krtani i trzeba je było stamtąd wyciągać siłą.

155

- Nie wiem - zabrzmiał oburzony głos Saszy. - Nie liczyłam ich. Teraz starasz się mnie poniżyć, ale poniżasz tylko sam siebie. Takie pytanie powinno budzić w tobie obrzydzenie. To niegodne ciebie.

- Ale przechodzenie z rąk do rąk nie było poniżej twojej godności?! - wykrzyknął.

- Nie było. Byłam wierna sobie samej. Prostolinijność Saszy zapała mu dech w piersi. Potrząsnął głową, kuląc się jeszcze bardziej. Usiłował jasno myśleć, zrozumieć coś... cokolwiek. Chciał spojrzeć na wszystko z jej punktu widzenia, ale miał takie uczucie, jakby żyli po przeciwnych stronach wielkiej przepaści i znad krawędzi starali się prawić sobie subtelności i uprzejmości przy ryku wielkiej wichury.

- Josh, na miłość boską, przestań siedzieć jak Hiob. Przestań obejmować głowę dłońmi. To nie ma nic wspólnego z naszym obecnym życiem. To śmieszne.

Podniósł głowę i zobaczyła jego wykrzywioną twarz, jego spojrzenie, którym umykał przed jej wzrokiem. Serce Saszy zabiło mocno ze strachu, bo pojęła, że nie ma w tym nic śmiesznego. Zrozumiała, że intymność między dwojgiem ludzi, choćby nie wiem jak wielką, mogą całkowicie zniszczyć fakty, które mają znaczenie tylko dla jednej osoby.

- Josh! - wykrzyknęła. - Josh! - Jej świat nie może lec w gruzach, myślała, podbiegając do Josha i tuląc jego głowę w ramionach. Trzeba tylko czasu. Mężczyzna, który jest sprawiedliwy musi to zrozumieć, a Josh jest przecież sprawiedliwy.

- Och, Davy! Udało się! Naprawdę się udało! - wykrzykiwała Gigi w salonie swojego mieszkania, dokąd uprowadziła Dave'a, by wypić z nim drinka i uczcić zwycięstwo jeszcze przed kolacją. Szalała z radości, upajając się zwycięstwem, cudownym zwycięstwem, wielkim zwycięstwem, wielkim -nie! - gigantycznym - zwycięstwem. Zdobyła zlecenie na prowadzenie kampanii firmy Barnum & Bailey i nareszcie przestała wątpić w to, że jej przeznaczeniem jest praca w reklamie.

148

Kiedy załatwili sprawę zlecenia, uznali, że powrót do biura zakłóciłby ten radosny nastrój, tym bardziej że szefowa firmy wcale nie miałyby ochoty, by pętali się jej pod nogami i triumfowali.

- Udało ci się - uśmiechnął się David, patrząc jak Gigi nie może usiedzieć spokojnie i z radości miota się na kanapie.

Udało nam się! Przestań znowu przypisywać mi wszystkie zasługi, bo dam ci w łeb, Davy MeWille. Na zdrowie! - Podniosła kieliszek, wznosząc toast. - Precz z wyzyskiem! Nóżki w górę, Matko Przełożona! Zdróweczko i co tam leszcze. Czy słyszałeś, jak Victoria mówiła: „Szczegóły przedyskutujemy w poniedziałek”? Wyglądała tak, jakby dławiała się własnymi słowami.

- Myślałem, że zemdleje, zamiast się udławić.

David z trudem poddawał się szampańskiemu nastrojowi Gigi. Podzielał jej radość z powodu zlecenia, ale w dziedzinie reklamy, jak w każdej innej, pierwszy sukces jest najbardziej podniecający. David nadal pamiętał ten dzień sprzed pięciu lat, w którym zdobył pierwsze liczące się zamówienie wartości pół miliona dolarów. Przez trzy dni i trzy noce był w siódmym niebie.

Jednak tego zimowego popołudnia nie mógł w pełni poddać się uczuciu triumfu. Wiedział, że było to prawdziwe osiągnięcie Gigi, ale zespół wygrywał i przegrywał wspólnie, więc i on także miał swój udział w sukcesie, który odnieśli nie tylko dzięki hasłom reklamowym, lecz i świetnym zdjęciom jego autorstwa. David stwierdził jednak, że nie może dać upustu radości, bo czuje się skrepowany silniejszym uczuciem. Widząc jak Gigi zrzuca buty, zdiera z siebie kamizelkę, rozpina guziki bluzki pod szyją i mości się wśród poduszek, wierząc się na szerokiej krytej perkalem kanapie, czuł coraz większy niepokój wywołany jej bliskością.

Po raz pierwszy David znalazł się z Gigi zupełnie sam na sam. Nie przeczuwał nawet, że w swoim własnym mieszkaniu (ligi wyda mu się tak odmieniona, tak ufna, tak nieskrepowana, tak

bezlitośnie swobodna i przystępna. Gdyby zaplanowała wcześniej swój każdy ruch, chcąc, by wyobraził ją sobie nagą, nie odniosłaby takiego skutku, jaki wywołała nieświadomą swobodą. Kiedy schyliła się, by napęlić kieliszki, wydawało

mu się, że widzi jej piersi, poruszające się pod bluzką. Kiedy podała mu kieliszek, mógłby przysiąc, że słyszał, jak jej uda ocierają się o siebie pod spódnicą. Kiedy radośnie uniosła kieliszek, wyobraził sobie jasno, jak ramionami oplata mu szyję i przyciąga go do siebie. Zdawało mu się, że zaraz zwariuje.

- Jak zdobyłaś takie wielkie mieszkanie? - zapytał David. Odkąd Gigi wpadła do pokoju i zapaliła dwie lampy przy kanapie, pokój wydał mu się ogromny w szybko zapadającym zimowym zmierzchu.

- Miałam szczęście. Wynajmuję je... Och, Davy, Eleonora Colonna jest boska, prawda?

- Boska. Mieszkasz tu sama?

- To dziwne, ale można przywyknąć do większej przestrzeni niż trzeba. Giorgio... Gianni... Enrico... Kocham ich! To prawdziwi światowcy!

- Pierwsza klasa. Słuchaj, Gigi, spotykasz się z kimś? To znaczy, czy ktoś wejdzie tu i powie: „Co to za dziwny facet siedzi na mojej kanapie i pije alkohol z moją damą?”

- Nie spotykam się z nikim, jak to oryginalnie ująłeś. - Gigi ziewnęła czując zmęczenie spowodowane odpływem adrenaliny. - Nie jestem niczyją „damą”. Dziękuję bardzo. Należę do siebie, Davy, mój chłopcze. I nigdy więcej nie nazywaj mnie „damą”. Nienawidzę tego słowa. Kobieta, pani, dziewczyna, babka, nawet lałunia, ale nie - dama.

- Nie nazwałem cię tak. Wyobrażałem sobie tylko, że tak mówi ktoś inny.

- Nikt nie śmie - powiedziała, zdając sobie jednocześnie sprawę, że jej wolność jest prawdziwa, tak prawdziwa jak pusty dom, w którym mieszka, tak prawdziwa jak puste łóżko, w którym śpi, tak prawdziwa jak samotne kolacje, tak prawdziwa jak brak mężczyzny, który dotykałby jej ciała. Tylko podniecenie i tempo przygotowań do kampanii reklamowej Indigo Seas pozwoliło jej zapomnieć o Zachu, tylko mordercza praca sprawiła, że przestała czekać na to, by z powrotem zajął miejsce w jej myślach.

Gigi przeciągnęła się mocno, zakładając ręce nad głowę, chwytając prawą dłonią lewy nadgarstek i ciągnąc, ile sił. Potem powtórzyła ten ruch, zmieniając położenie rąk. Próbo

150

wała uwolnić się od napięcia spowodowanego trudnym dniem. Jęknęła z ulgą. Pomyślała leniwie, że teraz przydałby się jej masaż pleców. - Davy - powiedziała rozkazującym tonem. - Podejdz tu. Siedzisz za daleko. Teraz zdejmij okulary.

- Jeżeli zdejmę okulary, będę ślepy jak kret.

- Nic mnie to nie obchodzi. Chcę ci spojrzeć w oczy upierała się Gigi, chcąc postawić na swoim. Kiedy uspokoiła

się i poczuła odpływ energii, którą włożyła w kontrakt Indigo Seas, przychylnym okiem spojrzała na Davida Melville'a, który towarzyszył jej we wszystkich zmaganiach podczas pracy nad projektem. W jego obecności ogarniało ją tajemnicze i przyjemne uczucie odprężenia. Miłe, przyjazne, ciepłe.

Czy to naprawdę ma związek z Davidem? - zastanawiała się w przyływie nagłej ciekawości.

Nagle pojęła, że tylko jej się zdawało, że go zna, lecz w istocie nie знаła go wcale. Przecież kolegów z pracy powinno łączyć coś więcej niż taka niepełna i powierzchowna znajomość. Gigi doszła do wniosku, że j;dyby znała go lepiej, mogłaby go poprosić, żeby wy masował jej plecy. W pokoju zrobiło się ciemno, więc musiała nachylić się ku niemu, żeby dobrze mu się przyjrzeć. - Hmmm, tak jak myślałam. Tęczówki twoich oczu są brązowe i cętkowane, tak jak przepiórcze jaja, które tak trudno kupić. Twoje włosy mają głęboki ciemnobrązowy odcień, zupełnie jak czekoladki Godi-va. Nie ma w nich ani jednego jaśniejszego pasma. Twoja skóra ma kolor dobrze

ubitej śmietanki. Cóż, Dave - zaśmiała się, wpatrując się w niego szeroko otwartymi rozradowanymi oczyma z leciutką kpina. - Mogłabym zrobić z ciebie czekoladowy suflet!

- A ja mógłbym przyrządzić z ciebie cały obiad - odpowiedział, przyciągając ją do siebie, podniecony do szaleństwa. - Zjem cię, Gigi Orsini, i nie zostanie po tobie nic, prócz kępki rudych włosów i pustej tubki po tuszu do rzęs!

- Davy!

- To twoja wina, do cholery! - jęknął i pocałował ją z rosnącą namiętnością i uczuciem, które tłumił w sobie od pierwszego dnia, kiedy się poznali.

- Davy, co robisz, u diabła? - zapytała Gigi, starając się, by w jej głosie brzmiało zdziwienie.

Resztką uczciwości

nakazy wała jej zastanowić się, czy naprawdę zależało jej tylko na masażu pleców. Och, miał wspaniałe silne usta. Wcale nie przypominały sufletu.

- Siedź cicho i uważaj. - Nie przestawał jej całować, a Gigi poczuła, że omdlewa. Davy był taki kochany, ale któż mógł podejrzewać, że tak dobrze się całuje? Kto by przypuszczał, że tak dobrze wie, jak lubi być przytulana? Kto by pomyślał, że leżąc przy niej - jak to się stało? - ten szczupły David wyda się jej kojąco silny i cudowny jak skała nagrzana w słońcu? Kto uwierzyłby, że można pracować z mężczyzną w jednym pokoju i nie zauważyć, że jego usta o pięknym kształcie potrafią całować tak, że trzeba koniecznie odwzajemnić jego pocałunek z równą siłą? Kto spodziewałby się, że to tak niesamowicie podniecające, kiedy ów mężczyzna odgarnia ci włosy z karku i całuje cię powoli i z rozmysłem, sunąc wargami z góry na dół i z dołu do góry, delikatnie przy tym gryząc?

Kiedy te pytania przepływały przez myśl Gigi niczym świeży powiew wiatru, wiedziała, że straszliwie okłamuje siebie samą. Przecież wcale nie była zaskoczona. Wcale nie.

- Och, Davy - poruszyła się w jego ramionach, tuląc się mocniej do tego boskiego, wrażliwego mężczyzny.

- Proszę cię, Gigi, kochanie, proszę, daj mi szansę. Tak cię kocham, że zaraz zwariuję...

- *Pręgo...* - wyszeptwała.

- To znaczy... - Dave nie był wcale pewny, co znaczy *pręgo* i nie chciał zrobić fałszywego ruchu właśnie teraz, kiedy wreszcie trzymał swój skarb w ramionach i wyznał swoją miłość.

- *Pręgo* znaczy... zrób to... koniecznie... co chcesz...

- Czy to także? - zapytał, próbując rozpiąć jej bluzkę zręcznymi palcami artysty, które drżały tak mocno, że stały się nieporadne.

- Co zechcesz... - wymruczała, zamykając oczy, żeby lepiej poczuć pierwszy dotyk jego warg na swoich piersiach. Kiedy to wreszcie się stało, poruszyła się niczym drzewa na polanie, rozkołysane pod pierwszymi kroplami deszczu. - Och, tak, właśnie tak...

Davy zsunął się z kanapy i klęczał na podłodze, dotykając wprawnymi, wrażliwymi palcami jej obu piersi. Pieścił je

152

z zachwytem w blasku lampy, zachwycając się żywą różowością ich delikatnych koniuszków, które uniosły się i stały się jędrne i twarde, kiedy na nie patrzył. Zachwyił go rumieniec na jej białej skórze, który przybrał tak niezwykłą barwę, że wyglądał jak ornament. Zdumiała go jędrność i nadspodziewana giętkość jej młodego ciała. Każda z piersi była obietnicą, która łamała mu serce. W zachwyconej ciszy wiódł palcami po jej skórze ku krawędzi każdej sutki, aż spostrzegł, że jej ciało unosi się ku niemu, a jej usta wyrażają nieme przyzwolenie. Spragniony, drżący i zachwycony przysunął się do delikatnie nabrzmiałych kragłości z gorącego miodu i mocnego jedwabiu i delikatnie wziął jedną po drugiej głęboko do ust.

Klęcząc tak, pijany smakiem ciała Gigi, David oddychał z trudem, przytłoczony słodką falą tysięcy spełnionych marzeń. Gigi zastygła w oczekiwaniu, wydając krótkie urywane westchnienia i powoli uwalniała się z ubrań. Davy z trudem oderwał się od jej piersi. Był na zmianę rozbawiony, władczy, zręczny, spragniony, lecz ani na chwilę nie przestawał jej pieścić i napawać się jej widokiem.

Nadal klęczał, oszołomiony i zachwycony, dopóki nie poczuł, jak Gigi zanurza ręce w jego włosach, dając mu sygnał zmiany tempa, na wpół pytający, na wpół zapraszający. Na ten znak rozebrał się, a każdy ruch wieńczył pocałunek. Jego język zgłębiał otwarte wonne usta Gigi. Gigi pomagała mu zdejmować ubranie, odkrywając jego ciało. W miejscu, gdzie spotykały się obojczyki odkryła skórę tak delikatną, jak inieciutka rękawiczka, i puls bijący jak fale gorącego

morza. W blasku lampy zauważyła, że stawy jego barków, łokci i nadgarstków mają piękny kształt, tak piękny jak jego usta. Spojrzała na wspaniałe włosy na jego piersi i ramionach, ciemne niczym miękkie pióra na cudownie gładkiej skórze. Jego mięśnie miały wyraźny kształt, były gibkie i mocne. Kiedy wstał, powiedziała nieoczekiwanie, rozkazującym tonem: - Zaczekaj... - Zaczekać? - wykrzyknął z niedowierzaniem.

- Tak... Chcę ci się przyjrzeć. - Gigi zaśmiała się niskim, rozbawionym śmiechem, dając nieskrępowany wyraz swoim zuchwałym erotycznym upodobaniom. Wspaniała w swojej nagości, siadła wyprostowana na kanapie, kucając na piętach

i ujęła jego sterczący członek w obie dłonie. Zobaczył, jak uśmiech znika nagle z jej twarzy. Przygryzła dolną wargę i westchnęła ze zdziwieniem, szacując wielkość członka delikatnymi, śmiałymi palcami. Dotykała go, łaskocząc, ściskając, zwalniając uścisk, celowo doprowadzając Davida do szaleństwa. Stał bez ruchu, ściskając uda, poruszając biodrami i tuląc dłonie w pięści. Pragnął, by pieściła go tak długo, jak zechce. Był zachwycony podniecającą karą, którą mu wymierzała, wiedząc, że niedługo jej diabelska ciekawość, która skłoniła go, by zdjął okulary, pozwoli mu wziąć Gigi całą.

Czuła, że miotają nią sprzeczne uczucia - chęć, by jeszcze poczekać na chwilę fascynującego odkrycia i przedłużyć cudowny, słodki i radosny moment oczekiwania i jednocześnie rosnące pragnienie, by Davy wtargnął w nią, wypełnił ją sobą i posiadał. Poczowała suchość w ustach. Jej serce biło niecierpliwie, aż nie mogła już dłużej zwlekać, i poddała się słodyczy długo powstrzymanego pożądania, opadła na kanapę i oddała mu się tak skwapliwie, jak sucha ziemia oddaje się burzy.

David spoważniał, przygotowując się do tego aktu z precyzją olimpijskiego nurka, dając jej rozkosz świadomymi ruchami, zapadając w nią z cierpliwością zdobytą z trudem dzięki doświadczeniu. Raz wślizgiwał się w nią powoli, głęboko, mocno, tak daleko, jak mógł, raz wykonywał krótkie, mocne i gwałtowne ruchy, zaledwie na kilka cali w głąb, panując nad sobą, by ją zaspokoić. Wsłuchiwał się w jej ciało, jej westchnienia i jej oddech, przyglądał się kroplom potu na skórze, dopóki nie otoczył ich obojga zasłoną czystej namiętności, nie stworzył świata poza czasem, w którym gorączkowość Gigi ustąpiła miejsca zaspokojeniu. Pozwolił jej istnieć, zbolelej lecz ukołysanej chwilą, istnieć w swoich ramionach, oddechu i uderzeniach serca, w falowaniu jego ciała uniesionego nad jej ciałem.

Dopiero wtedy, kiedy miał pewność, że to zawieszenie poza czasem pozwoliło mu poznać ich ciała i nauczyć się ich, uległ jej podnieceniu i zajął się mocno, zdecydowanie płonąca perłą ukrytą głęboko między jej nogami. Wkrótce wzdychała i z trudem chwytła powietrze. Jej oddech przeszedł wreszcie w serię bezwstydných, mimowolnych wysokich okrzyków. David uśmiechnął się po raz pierwszy i teraz zanurzał się w nią

162

nieskrępowany, raz po raz, nurek, którego nikt nie ocenia, zapadający w żywe głąbie jej ciała, dopóki szybko nie doznał cudownej ulgi.

Wkrótce po przeprowadzce do Kalifornii Victoria Frost wynajęła mieszkanie w jednym z domów ukrytych za bramami, wybudowanych w stylu regencji na gruntach należących niegdyś do Twentieth Century Fox. W dobrze strzeżonym kompleksie budynków miała zapewnione bezpieczeństwo, miejsce na podziemnym parkingu i całkowitą anonimowość. Mogła wysiąść z samochodu i skorzystać z windy, która wiozła ją na czwarte, ostatnie piętro budynku, w którym wynajęła jedno z czterech mieszkań. Nikt jej przy tym nie widział, ani ona nie widziała nikogo, prócz spotkanych przypadkowo, milczących sąsiadów, znacznie od niej starszych. Victoria sprowadziła z Nowego Jorku swoje wszystkie meble i książki. W wysokich, ładnie rozplanowanych pokojach stworzyła niemal dokładną kopię swojego poprzedniego mieszkania. Kiedy kontrakt na reklamę Indigo Seas był zagwarantowany, spędziła resztę dnia w biurze, dyskutując zawzięcie z innymi projektantami, unikając Archiego i Byrona, którzy na pewno opowiadaliby raz jeszcze, bez końca, nie szczędząc uroczych szczegółów o tym, jak zabawiali się i triumfowali na wieść o zwycięstwie. Wiedziała, że popełniła błąd taktyczny i straciła twarz. Nie chciała słuchać, jak starają się utrzyć jej nosa w swój zwykły elegancki sposób.

Otulając się grubym, pikowanym szlafrokiem z fioletowego jedwabiu i przyrządzając sobie drinka, rozmyślała o wydarzeniach dnia. Kiedy wypowiadała się na temat kampanii reklamowej,

którą Gigi przygotowała wraz z Davidem, odebrała sobie wszelkie szanse uczestnictwa w triumfie, gdyby przedsięwzięcie się powiodło. Nigdy jeszcze nie popełniła takiego błędu - całkowicie zbędnego błędu nowicjusza.

Sprawa kontraktu na reklamę Enchanted Attic nie była jeszcze zakończona, choć Gigi wyjaśniła, że przez kilka tygodni Ben Winthrop będzie w Nowym Jorku. Mimo tej wymówki na pewno okaże się, że będzie to taki sam sukces jak kampania reklamowa *Abbondanza*, pomyślała Yictoria,

155

nieświadoma, że jej twarz o zaciśniętych ustach i zwięzonych oczach przybiera ponury i nieprzystępny wyraz. Ta mała dziwka ma boskie życie, odkąd zjawiła się w agencji. Wszystko jej się udaje.

Victoria zadawała sobie pytanie, dlaczego czuje do Gigi instynktowną nienawiść. Ten rudy kurwizjon przyczynił się do sukcesu agencji, lecz mimo to Victoria czuła, że każde osiągnięcie Gigi jest jej własną klęską. Kiedy opisała ją Angusowi, powiedział, że Gigi przypomina Millicent Frost u początków kariery - drobniutka, pełna temperamentu, czarująca złota dziewczyna, tryskająca pomysłami i energią. Ale to nierozsądne. Nikt przy zdrowych zmysłach nie porównywałby dwudziestotrzyletniej dziewczyny, bez żadnego znaczącego doświadczenia w dziedzinie reklamy, której udało się zdobyć dokładnie jedno zlecenie, a w przyszłości może jeszcze jedno, do blisko sześćdziesięcioletniej kobiety o silnej pozycji zawodowej, która wiedziała o reklamie więcej niż inni. Nie, to niemożliwe, stwierdziła stanowczo Victoria. Angus po prostu mylił się w swoich przecuciach związanych z osobą Gigi. Mylił się tak samo jak ona, Victoria, kiedy pomyślała, że Gigi jest podobna do jej matki za młodu.

Victoria włączyła światło i przechadzała się po salonie. Myśląc ponuro o swojej porażce, zastanawiała się nad innymi błędami Angusa. Minał prawie rok, odkąd namówił ją do opuszczenia Caldwell & Caldwell. Jakie odniosła korzyści? Jedna trzecia udziałów w małej agencji... Może to odpowiednio dla mniej, znacznie mniej lotnych umysłów, ale według standardów Madison Avenue to prawdziwa porażka - niechciane wygnanie z miasta, w którym się urodziła, i przymusowe pożegnanie z wszystkimi adoratorami, którzy kręcili się wokół niej w Nowym Jorku. Angus i jego obietnica małżeństwa... W tej sprawie nie działa się nic. Nie dostrzegała żadnych widocznych oznak prawdziwej zmiany, mimo jego ciągłych zapewnień, że Victorii trudno ocenić sytuację z takiej odległości. Przecież nie przestał planować i przygotowywać gruntu, ale oboje muszą okazać cierpliwość, żeby nie stracić wszystkiego.

Jego słowa były niczym gwoździe wbijane w ciało, szarpiące kruche nerwy, raniące cienką skórę aż do krwi. Ilekroć

164

telefonował, chciała na niego krzyczeć, wstrętnie krzyczeć, dopóki nie zrobi tego, co ona zechce, ale jego słowa brzmiały lak przekonująco, tak rozsądnie, że musiała się z nim godzić i tłumić własny strach.

Przez ostatni rok widzieli się czternaście razy. Kiedy Victoria przyjeżdżała do Nowego Jorku, Angusowi udawało się wyrwać tylko na kilka godzin, dziewięć razy, po południu. Przychodził na chwilę do hotelu, po czym musiał wracać do domu. Pozostałe pięć razy spotkali się w Los Angeles w jej mieszkaniu, kiedy bawił z krótkimi służbowymi wizytami na Zachodnim Wybrzeżu.

Długie weekendy, które obiecywał jej zanim wyjechała, podróże w górę wybrzeża do Wenecji, podróże w dół wybrzeża do Laguny, wyprawy na pustynię... żadna z nich nie doszła do skutku, bo zawsze brakowało czasu, zawsze musiał pozostawać w kontakcie ze swoim biurem, zawsze miał dzień wypełniony po brzegi spotkaniami, ilekroć przyjechał do Kalifornii, i brakowało mu wymówki, żeby wyjechać na weekend i zostawić żonę samą w domu.

Jego sekretarka od dawna współpracowała ściśle z sekretarką Millicent i obie dokładały wszelkich starań, by zawsze wiedzieć, gdzie jest. Poważnie zaniedbałyby swoje obowiązki, gdyby wymknął się im bez wiarygodnego wytłumaczenia na dłużej niż kilka godzin. Victoria pomyślała ze złością, że równie dobrze mógłby siedzieć w więzieniu o zastrzyżonym rygorze.

Nie mogli nawet rozmawiać przez telefon dłużej niż kilka minut. Ona nie mogła do niego zadzwonić - ani do domu, ani do pracy. Różnica czasu między Nowym Jorkiem i Los Angeles sprawiała, że kiedy Angus docierał do biura, w którym sekretarka, kontrolowała wszystkie

rozmowy, w Los Angeles była dopiero 6.30 - za wcześnie na telefon. O 5.30 po południu, kiedy wymykał się spod kontroli sekretarki, w Kalifornii kończyła się pora lunchu i Victoria musiała zająć się absorbującą pracą w biurze. Kiedy kończyła pracę, Angus był już w domu lub na wieczornym przyjęciu.

A jednak, pomyślała Victoria z goryczą, czy Angus sądzi, że pocałunki można zastąpić telefonem o trzeciej po południu odebranych w biurze, wśród rozgardiaszu i tłumy

157

współpracowników? Czy naprawdę sądzi, że dzwoniąc do niej rano ze swojego biura, zanim zjawi się sekretarka i budząc ją ze snu wynagrodzi jej brak uczuciowego zaspokożenia?

Nie. Wielkie dzięki. Sama o siebie zadbała, i to z dobrym skutkiem - pomyślała, siadając w ulubionym kącie i wpatrując się w ogień, który rozpałała z wonnego drewna w kominku. Z bardzo dobrym skutkiem.

Przyjechała do Los Angeles z życzliwymi listami polecającymi do wielu kobiet, prowadzących intensywne życie towarzyskie, w którym i ona brała czynny udział w Nowym Jorku. Były to kobiety należące do śmietanki towarzyskiej Los Angeles, członkinie różnych organizacji, zbierające fundusze na dzieci opóźnione w rozwoju, uczestniczące w komitetach doradczych Muzeum Dziecka, Towarzystwa Świadomego Macierzyństwa i Poradni dla Ofiar Gwałtu w Santa Monica. Przewodziły radom nadzorczym ZOO, Towarzystwa Przyjaciół Baletu Joffrey, szpitali, Muzeum Sztuki, Centrum Kształcenia Kobiet i Komitetu Olimpiady. Victoria przedstawiła się wszystkim tym wpływowym kobietom o filantropijnych skłonnościach, stwarzając wrażenie potencjalnej ofiarodawczyni, zdolnej przekazać im czek nawet na pięćdziesiąt milionów dolarów. Umiała postępować z ludźmi, prowadząc grę, której zasady opanowała lepiej niż jej rówieśnicy. Jeszcze przed końcem pierwszego spotkania napomknęła, jak bardzo pragnie przysłużyć się swojemu nowemu otoczeniu. Wkrótce zaproszono ją do skomplikowanego towarzyskiego tańca, którego celem, według kobiet, poświęcających mu tyle czasu, miało być niesienie pomocy innym. Dlaczego nie? Victoria pomyślała, że ma przecież wiele do zaoferowania. Wkrótce zwerbowanie jej do pracy dla dobra tej czy innej organizacji poczytywano za sukces. W agencji Victorii powstawały znaki graficzne, zaproszenia na przyjęcia i papiery firmowe dla stowarzyszeń, w których pracowała. Ponadto otaczała ją wspaniała aura osoby uwikłanej w słynne rodzinne waśnie, o których wszyscy mówili, lecz bez posmaku skandalu. Uważano ją za dziedziczkę wielkiej fortuny, a ona potwierdzała te domysły każdą cząstką własnej osoby. Przy tym, w swojej niewzruszonej prostocie, wyglądała na niegroźną i pozbawioną seksu. W żaden sposób nie ujawniała swoich

166

.krywanych cielesnych żądz, budząc zachwyt wśród kobiet, które szybko przyjęły ją w swoje kręgi, nieprzeniknione dla wiciu innych pretendentek, ubiegających się o akceptację tego środowiska przez dziesiątki lat.

Kilku nowym przyjaciółkom - najbardziej wpływowym w kręgach dobroczynnych - Victoria zwierzyła się, że „jest związana” z pewnym mężczyzną w Londynie. W skąpych słowach wyjawiała, że jest to człowiek utytułowany, majątny, lecz nieszczęśliwy w małżeństwie, więc jej uczucie nie jest pozbawione perspektyw. Jedna opowiadała potem drugiej, bo przecież wszystkie te panie dobrze się znały, pracując wspólnie dla dobra miasta, że to wyjaśnia powściągliwość, godność i odrobinę smutku, rzadko spotykanego u kobiety, która będąc tak dobrą partią nie wyszła jeszcze za mąż. To tłumaczy, dlaczego Victoria nie umawia się na spotkania z niezonatymi mężczyznami w jej wieku, dlaczego można ją zaprosić do domu na przyjęcie bez obawy, że będzie flirtować z mężczyznami, zonatymi synami lub zięciami.

Nie podejrzewają nawet, że jest niczym kowboj, który wjechał w stado bydła i wyciąga jedno zwierzę po drugim, by je oznakować, myślała Victoria, wpatrując się w coraz większe języki ognia. Nie domyśliły się nawet, że podczas meczów tenisowych w Country Club w Los Angeles, albo na Balu Dinozaurów w Muzeum Historii Naturalnej, a nawet podczas rzadkich wizyt na mszy w Kościele Wszystkich Świętych w Pasadenie, Victoria szukała nowych możliwości. Zawsze wybierała sobie młodego, znanego mężczyznę, zakochanego we własnej żonie, która była ulubienicą całego towarzystwa, mężczyznę, który miał wiele do stracenia, gdyby pochwalil się

romansem z Victorią lub tylko wspomniał jej imię. Nie domyśliły się nigdy, że znalazłszy mężczyznę, który przypadł jej do gustu - mężczyznę, którego wybierała oceniając skrupulatnie jego atrakcyjność fizyczną i swoje szanse, czekała czujnie, aż nadarzy się okazja, by na wielkim przyjęciu szepnąć mu kilka słów do ucha.

- Czy bardzo się zdziwisz, jeśli wyznam ci, że marzę o tym, by się z tobą pieprzyć? - To wystarczyło. Czy mężczyznom to także przychodzi tak łatwo? - zastanawiała się. Czy kobiety także czują się zaszczycone i podniecone, słysząc takie słowa

159

z ust mężczyzny, siedzącego obok przy jednym z tych charakterystycznych, wygodnych okrągłych stołów na dziesięć lub dwanaście osób, przy których panuje taki gwar, że można usłyszeć tylko swojego najbliższego sąsiada? Gdyby takie słowa padły z ust mężczyzny, byłaby to propozycja tania, prostacka i w złym guście, myślała Victoria. Każda kobieta poczułaby się dotknięta. Kiedy jednak takie słowa wypowiadała kobieta, mężczyzna nie potrafił się jej oprzeć. Boże, jacy to zarozumiali, nienasyceńci durnie! Sami wpadają jej do rąk!

Spotkanie organizowała bez trudu. Ich żony nie przypominały Millicent Frost Caldwell. Ci młodzi, świetnie prosperujący ludzie interesu z łatwością mogli wyrwać się na lunch lub popołudniową partyjkę golfa. Nie byli tak zajęci, jak Angus. Victoria wymykała się z FRB mówiąc, że spotyka się z klientem, i nikt nie zadawał jej żadnych pytań.

Victoria Frost spędziła wiele długich godzin w południe i po południu z najbardziej atrakcyjnymi mężczyznami w całym Los Angeles. Wykorzystywała ich bez litości. Jeżeli brakowało im talentu w sprawach seksu, jeżeli nie potrafili kochać się długo lub przynajmniej dwa razy z rzędu, dawała im zwykle jeszcze jedną szansę, po czym odsyłała ich do żon.

Jeżeli spełniali jej wymagania, skłaniała ich, by wyznawali jej swoje największe i najskrytsze marzenia erotyczne, by mówili o wszystkim, czego pragnęli, niezależnie od tego, jak bardzo wstydzili się swoich żądź, o wszystkich marzeniach, których nie mogli spełnić w związkach z żonami. Z pożądania odchodzili od zmysłów, mówiąc jej o wszystkim, wypowiadając niebezpieczne słowa i patrząc, jak - rozchyliwszy usta - leży, słuchając ich z uwagą, okryta tylko przezroczystą materią, a jej dłoń jakby bezwiednie wolno wędruje między nogi. Kiedy już pozwoliła im zaspokoić te zakazane pragnienia, uczyła ich innych rzeczy, na które nie pozwoliłyby im żony. Stała się mistrzynią seksu. Nie cofała się przed niczym. Nie pozwalała tylko, by ranili ją emocjonalnie lub fizycznie. Zawsze miała dość czasu, by rozpałić w nich żądź, której nigdy już nie byli w stanie zaspokoić, po czym odprawiała ich, a myśl o ich przyszłych udrękach dostarczała jej więcej rozkoszy niż ich ciała i żarliwe uwielbienie.

160

Victoria żądała, by wybrani przez nią mężczyźni zaspokajali ją, zanim sami doznali spełnienia. Nalegała, by milczeli, kiedy czuła zbliżający się orgazm. Zamykała mocno oczy, wyobrażając sobie, że to Angus wnika w jej ciało. Zawsze pragnęła nowych mężczyzn, świeżych mężczyzn, nieznanych przeżyć, pościgów i zdobyczy. Nie chciała związków i bliskości. Najbardziej szalona bywała po spotkaniach z Angusem, kiedy wracała do Kalifornii, czując w sobie płomień, niezaspokojenie i gniew za to, że tak niecierpliwie go pożąda, że pragnie seksu tak rozpaczliwie, jakby to był narkotyk.

Każdego mężczyznę, z którym spotykała się dwukrotnie lub dłużej przez wiele szalonych popołudni, odprawiała tymi samymi słowami. Wiedziała, że zapewnią jej one przyjaźń mężczyzny i pewność, że będzie milczał jak głaz. „Gdybym tak bardzo nie lubiła twojej uroczej żony, nie mogłabym sobie odmówić spotkań z tobą, ale boję się, że dowie się o nas. Rozwiedź się z tobą bez wahania, prawda? Nie możemy jej krzywdzić, niszczyć twojego małżeństwa... ale nigdy cię nie zapomnę, kochanie. Byłeś po prostu cudowny... och, tak, taki dobry, najlepszy... byłeś moim najlepszym kochankiem”.

W rok po wyjeździe z Nowego Jorku Victoria stała się jedną z najbardziej pożądanych kobiet w Los Angeles.

*

W tydzień po zdobyciu zamówienia na reklamę Indigo Seas, Sasza i Gigi spotkały się, by zjeść razem lunch. Odkąd Gigi odeszła z domu mody Scruples II, często do siebie dzwoniły, ale praca i wypełnione zajęciami weekendy Saszy sprawiły, że dopiero teraz, po długiej przerwie, znalazły

trochę czasu tylko dla siebie. Umówiły się w pół drogi między swoimi biurami, w Bistro Gardens w Beverly Hills. Zająły świetne miejsce na długiej ławie obitej skórą, z której miały doskonały widok na długą salę i szklane drzwi wiodące na zatłoczony taras, cały w kwiatkach, na którym pod klimatyzatorami zasiadały kobiety w kapeluszach, szybko zamawiały kanapki z kurczakiem i sosem i świętowały swoje urodziny, podając sobie przez stół śliczne paczuszki z prezentami.

- Dobre miejsce na obrzucanie się żarciem - powiedziała Gigi, przyglądając się kobietom, tak wypielegnowanym, że

wyglądały jak dzieło wypychacza zwierząt. - Dlaczego zawsze wyobrażam sobie, jak obrzucają się garściami, wielkimi garściami kawioru? A potem polewają się wiadrami wódki tak długo, aż przemoczą sobie ubrania i zniszczą fryzury?

- Zapłaciłabym kupę forsy gotówką za taki widok - przytaknęła jej Sasza oschłym tonem, który kontrastował z jej zwykłą olśniewającą pewnością siebie.

Gigi odwróciła się, by przyrzeć się przyjaciółce. Pomyślała, że Sasza jest odmieniona, mimo iż wygląda wspaniale, a Gigi dobrze zna jej wszystkie śmiałe, imponujące i wyniosłe pozy. Sasza wyglądała ślicznie i olśniewająco. Błyszczące włosy upięła wysoko nad czołem, pomalowała usta jasną szminką i wyglądała jak zwykle triumfująco. Zaskoczyła Gigi, patrząc na szczebioczące gromadki kobiet z przyjazną obojętnością i rozdając uśmiechy i skinienia dłoni nieco wyniosłe, lecz uprzejmie.

- Wyglądasz jak edwardiańska piękność... bardziej niż kiedykolwiek - powiedziała nieśmiało Gigi.

- A ty... jak awangardowa Francuzka.

- Czy to komplement? - spytała podejrzliwie Gigi. Bistro Gardens było miejscem tak odległym od wszelkiej awangardy, jak awangarda od piramid.

- Oczywiście. A „edwardiańska piękność”?

- To największy komplement. Pomyśl tylko. Kiedy po raz ostatni w historii kobiety były naprawdę kobiece i olśniewające? Wąziutkie talie, głębokie dekolty, wspaniałe krok przy wtórce szelestu spódnic, bufiaste rękawy, koronkowe parasolki, cudowne kapelusze z piórami... Potem zaczęła się pierwsza wojna światowa, spódnice stały się krótsze, pojawiła się Chanel i płaskie biusty, a teraz... Rozejrzyj się. Ostentacyjna, kosztowna miernota. Wszystkie są szczupłe, nieskazitelne... Guziki zamiast koronek. Kobiety, które stroją się dla kobiet. Nic w tym seksownego.

- Nie czuję się jak edwardiańska piękność - powiedziała Sasza. - I nie uważam, że jestem seksowna.

- Billy też nie... To dlatego, że macie dzieci - powiedziała Gigi z pewnością siebie właściwą widzowi i teoretykowi. - Niemowlę w domu uśmierca seks, nawet jeśli kobieta wróci do pracy... ale to przecież nie trwa długo, bo skąd brałyby się następne dzieci?

162

- Argument nie do odparcia - powiedziała Sasza tonem, w którym zabrzmiała taka rozpacz, że Gigi spojrzała na nią uważnie. Sasza wyglądała cudownie, ale w jej głosie brzmiał smutek. Gigi zaniepokoiła się. Oczy Saszy miały dziwny wyraz. Co się stało? Nieszczęście... kłopoty?

- Czy z Nellie wszystko w porządku? - zapytała z przerażeniem Gigi.

- Oczywiście. W przeciwnym razie nie byłoby mnie tutaj.

- Więc co się stało?

- Nie uwierzysz - odparła Sasza.

- Uwierzę we wszystko - powiedziała gorączkowo Gigi, myśląc o minionym tygodniu, kiedy oboje z Davym zmuszali się do pracy nad tysiącami spraw w związku z reklamą Indigo Seas, kradnąc sobie pocałunki, mimo obowiązujących przepisów, które nie zezwalały na zamykanie drzwi biura. Nie tylko igrali z ogniem, lecz płonęli, dopóki nie nadszedł czas, by zakończyć prace przewidziane na dany dzień i szybko pobiec do mieszkania Gigi.

- Josh dowiedział się o mojej wspaniałej karierze Wielkiej Dziwki.

- A niech to szlag!

- Gorzej. Pamiętasz Toma Ungera? Josh spotkał go podczas ostatniej podróży do Nowego Jorku, a ten niesamowity śmierzdel opowiedział o wszystkim w towarzystwie mężczyzn, którzy nie mieli pojęcia, że jestem żoną Joshua.

- K... nie mogę w to uwierzyć! Nagle Gigi dotkliwie odczuła ubóstwo angielskiego słownictwa. Muszą być jakieś mocniejsze słowa, żeby wyrazić takie nieszczęście.
- Drogie panie, na lunch proponujemy dziś...
- Nie!
- Proszę odejść!
- Co powiedział Josh? - wykrztusiła Gigi.
- Oczywiście, uwierzył we wszystko.
- Ale przecież... to była... ach... jak to wyrazić... prawda.
- Miał wybór.
- Tak jakby były dwie Sasze Nevsky?
- Mógł zachować się tak, jakby nic się nie stało - powiedziała ponuro Sasza.
- Zabrać tę wiedzę do grobu?

- Właśnie tak. Nie musiał wpadać do domu i oskarżać mnie, jakby świat się skończył. Mógł zachować się tak, jakby nic się nie stało.

- Słuchaj, wiesz, że zawsze jestem po twojej stronie w każdej sprawie, ale to chyba nierealne. Czy nie wymagasz zbyt wiele, Sasza?

- Nie sędzę. Odkąd to się stało, o niczym innym nie myślę. Słuchaj, Gigi, gdybym dowiedziała się z wiarygodnego źródła, że po swoim rozwodzie i przed poznaniem mnie Josh przetrząnął każdą kobietę w tym mieście, która była na chodzie, nie wspomniałabym o tym nawet słowem. Nigdy. Przyjęłabym to do wiadomości, uznając, że miał do tego wszelkie prawo. Jest dorosły. Pilnowałabym go jak jastrzęb, by mieć pewność, że z tym skończył, ale nic ponadto. Zamknięty rozdział. Przeszłość i tyle.

- Ale...

- Jakie ale?

- To mężczyzna, Sasza.

- O, Boże! Gigi, ty też! Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co powiedziałaś? Jemu wolno się zabawiać, bo jest mężczyzną, ale nie mnie, bo jestem kobietą. Przyznaj, że tak powiedziałaś.

- Powiedziałam - przyznała ze wstydem Gigi. - To nie do wiary, ale powiedziałam.

- Zatem uważasz, że w sprawach seksu obowiązuje podwójna moralność? Mężczyznom wolno, kobietom - nie?

- Ja... ja nie wiem. Skąd mogę wiedzieć?

- Ale tak sądzisz - powiedziała nieprzejednana Sasza. - Po prostu nie zdawałaś sobie z tego sprawy. Mimo naszych wszystkich wieloletnich rozmów w Nowym Jorku, mimo wszystkich lekcji, kiedy uczyłam cię, jak być Wielką Dziwką... nigdy, przenigdy nie zapomniałaś podstawowej nauki o istnieniu podwójnej moralności. Dobrze wiedziałaś, co robię, ale nigdy naprawdę nie wierzyłaś, że sypiam z trzema facetami przez trzy kolejne noce, prawda? Uważałaś, że to żart, co?

- Tak - powiedziała powoli Gigi. - Chyba tak było. Nigdy ich nie widziałam. Uzgodniłyśmy, że robimy to poza domem... to był... - Zawahała się. - To nie był żart... To niedobre słowo... to było... marzenie. Dobrze wiedziałam, co robisz, ale nie wierzyłam w to. Nie wierzyłam w głębi serca, nie myśl

164

lałam, że to fakt. Wiedza... to nie to samo, co wiara. Jednak, skoro ja w to nie wierzyłam, dlaczego uwierzył Josh?

- Och, on jest inny. Z nim jest zupełnie inaczej. Nie tylko w to wierzy, ale nie może się od tego uwolnić. Widzi to w swoich myślach. Patrząc na jego twarz, wiem, że przeżywa wszystko raz po raz. Gryzie się tym. Nie chce o tym rozmawiać, ale wiem, że to go zabija... Jest o krok od morderstwa albo samobójstwa. Usiłujemy rozmawiać o dziecku, widywać się z przyjaciółmi... Robimy wszystko, żeby nie zostać sam na sam, a jeśli już do tego dochodzi, czytamy, oglądamy telewizję albo Josh załatwia sprawę przez telefon...

- Nie możesz go zmusić do rozmowy, żeby wyrzucił z siebie wszystko? Przydałoby się trochę świeżego powietrza! - wykrzyknęła Gigi.

- Twierdzi, że rozmowa tylko pogarsza sprawę. Odmawia wszelkiej dyskusji. Dwa razy próbowałam z nim rozmawiać i za każdym razem wychodził z pokoju. Kiedyś poszłam za nim. Wypadł z domu i nie wracał przez wiele godzin.

- Och, Sasza! Tak mi przykro! Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałaś?

- Myślałam, że się zmieni - powiedziała bezbarwnym tonem. - Myślałam, że jeśli dam mu trochę czasu, żeby przetrwał wszystko w spokoju, będzie musiał przyznać... przynajmniej kierując się

rozsądkiem, że miałam prawo żyć tak jak chciałam. Teraz już wiem, że to nie ma nic wspólnego z rozsądkiem. Patrząc na to od strony emocjonalnej, wolałby, żebym dopuściła się morderstwa. Josh jest ode mnie starszy o dwadzieścia pięć lat. To nie jest różnica pokoleń, lecz całych lat świetlnych. Poza tym to nie tylko kwestia wieku i pokolenia. To kwestia płci. Co powiedziałaby Zach?

- Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Nic mu o tobie nie mówiłam, ale... Nie, nie sądzę, by przyznał kobiecie prawo do takiej wolności - stwierdziła Gigi, ociągając się.

- A ty, Gigi? Teraz, kiedy już wiesz, że to nie był żaden wymysł, ale czysta prawda, nadal uważasz, że wszystko jest w porządku? Jeżeli nie jesteś pewna, nie przytakuj, żeby zrobić mi przyjemność, bo od razu wyczuję kłamstwo.

- Usiłuję to sobie wyobrazić - powiedziała Gigi z przejęciem. - Staram się postawić w twojej sytuacji.

173

- Wyobraź sobie, że w twoim życiu nie ma żadnego Zacha, nie istnieje, nie spotkałaś go, nie zakochałaś się w nim. Czy jesteś w stanie wyobrazić sobie coś takiego?

- Bez trudu - warknęła Gigi.

- Jednak uwielbiają cię trzech mężczyzn, trzech atrakcyjni wolni mężczyźni, którzy szaleją za tobą i choć nie kochasz żadnego z nich, bardzo ich wszystkich lubisz. Każdy z nich wie o dwóch pozostałych i pozostawiają ci swobodę działania. Nie chcesz wybrać żadnego z nich, chcesz mieć ich wszystkich

I postanawiasz kochać się z każdym. Czy jesteś w stanie pojąć to i zaakceptować?

Gigi skupiła się mocno, niemal zezując z wysiłku. - Muszę wyobrazić to sobie ze szczegółami -

powiedziała. - Powiedzmy, teoretycznie... Archie... i Byron... i... chyba, och, Ben Winthrop. To znaczy Archie w poniedziałki, Byron we wtorki, Ben w środy, Archie w czwartki, Byron w piątki, Ben w soboty, w niedzielę - nikt. W niedzielę jadłybyśmy razem kolację, jak zwykle.

Gigi przerwała i z zamkniętymi oczyma puściła wodze fantazji. Wreszcie otworzyła oczy i skinęła głową. - Taak. Rozumiem. Właściwie... właściwie sędzę, że... byłoby miło, gdybym pozwoliła sobie na to i wpadła w rytm. Och, tak, naprawdę! Cudowne! Oczywiście męczące... sześć nocy w tygodniu to trochę za wiele, ale gdybym nie była zakochana w żadnym z nich... Dlaczego nie?

- Och, Gigi, rozumiesz! - Sasza schwyciła jej dłoń i mocno uścisnęła.

- Wyobrażam sobie... tych trzech mężczyzn... - powiedziała Gigi, dziwiąc się sobie samej. Z Davym byłoby ich czterech. Niemożliwe... to nie dla niej... ale z pewnością można to sobie wyobrazić.

- Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy, zwłaszcza że wiem, jak niewielką wagę przywiązujesz do seksu. Ale, Gigi, nie rób tego! Na Boga, obiecaj mi, że nigdy tego nie zrobisz! Zmarnujesz sobie życie!

- Idiotko! Obiecuję. Ale co będzie z Joshem?

- Zaczekam. Postaram się wytrwać i zobaczę, co z tego wyniknie. Nie zbliżył się do mnie, nie dotknął mnie, nawet mnie nie pocałował w usta, odkąd się dowiedział... Jeżeli to się

166

nie zmieni, a Josh nie zechce ze mną rozmawiać ani zasięgnąć niczyjej porady, lecz będzie znosić to Bóg wie po co... może dla dziecka, a może dlatego, że nie chce karać mnie za przeszłość, albo z jakiegoś innego zwariowanego powodu... rzucę go. Co mogę zrobić? Nie będę tego znosić do końca życia.

- Och, Sasza, nie!

- Czy jest inne wyjście?

- Jeżeli nie będzie znów taki, jak dawniej... Och, Sasza, nie mogę dać ci żadnej rady. Nie mam prawa - powiedziała ostrożnie Gigi. - Zrób to, co dla ciebie najlepsze. Zawsze będę przy tobie.

- Hm, przestańmy mówić o mnie. Mówmy o tobie - powiedziała szybko Sasza, z ulgą zmieniając temat.

- O mnie? - Rozmyślając o kłopotach Saszy, Gigi niemal zapomniała o swoim istnieniu. - Co ze mną?

- Jak to możliwe, że na twojej liście trzech adoratorów zabrakło Davy'ego? Co się z nim stało? Ilekroć rozmawiamy, opowiadasz mi, jaki jest kochany i nagle zamiast Davy'ego na twojej liście pojawia się rezerwowo Ben Winthrop.

- Mój Boże, co za różnica? Rozmawialiśmy tylko hipo... hipo... hipotetycznie.

- Jąkasz się.

- Wcale nie!

- Ach, tak.

- Sasza, wiesz, że nie znoszę, kiedy mówisz „Ach, tak!” tym tonem!
- Rumienisz się. Jąkasz się i rumienisz. Czy sądzisz, że ukryjesz przede mną prawdę? Ty i Davy. Hm. To bardzo interesujące - powiedziała Sasza, przybierając swój zwykły triumfujący wyraz twarzy. - Więc seks jednak coś znaczy. Jak to się stało?
- Dopiero wtedy, kiedy wyrzuciłam za drzwi twojego obrzydliwie zarozumiałego, nieczułego i podłego braciszka! Nie potrzebuje prawdziwej kobiety. Pragnie niewolnicy o kurzym mózdzku, którą można zamówić przez telefon. Chciałam ci powiedzieć...
- Zawsze się dziwiłam, jak możesz go znieść. Jestem jego siostrą, ale to nie znaczy, że jestem ślepa na jego wady. Zwłaszcza że tak rzadko go widuję.

- Zachowujesz się jak ktoś, kto mówi, że jedzenie w restauracji jest podle, a na domiar złego podają małe porcje.

- Tak to jest z Zachem. Mój Boże, umieram z głodu. Kelner! Kelner! Gdzie on jest, u diabła! Patrz, Gigi, zrobiło się pusto. Nie doczekamy się lunchu. Szefie! Czy może pan przyjąć zamówienie? Mdlejemy z głodu.

8

W Kalispell w Montanie było chłodne piątkowe popołudnie. Kiedy skończyło się dobre światło i zapadł zmrok, Zach Nevsky i producent filmu, Roger Rowan udali się niezwłocznie do wygodnych, ogrzewanych pokoi w Outlaw Inn - największym motelu w mieście, który stał się bazą filmowców na czas zdjęć do „Kronik Kalispell”. Z czternastu tygodni przeznaczonych na zdjęcia wykorzystali już prawie siedem.

Kalispell, gwarne miasteczko z trzynastoma tysiącami mieszkańców, szczyli się czarującymi wiktoriańskimi domami, zielonymi alejami i tuzinem autentycznych budynków z przełomu wieków, w tym rezydencją o dwudziestu sześciu pokojach. W 1980, kiedy kręcono tu „Wrota niebios”, przyjaźni mieszkańcy zarobili grube miliony, a w świecie filmu Kalispell stało się synonimem porażki finansowej i artystycznej. Ale autor „Kronik” wybrał Kalispell jako tło powieści, więc film należało kręcić właśnie tu, wbrew przekleństwu reżysera „Wrót” - Michaela Cimino.

- Kto powiedział: „Wielcy aktorzy to beznadziejni mężowie. Wielkie aktorki to diabllice?” - zapytał Zach, siadając za biurkiem.

- Chyba George Bernard Shaw - odparł Rowan z wahaniem. - Ale Shaw nie użyłby słowa „beznadziejny” w takim kontekście. - Może Billy Wilder? Hitchcock? Nie? Dobra, poddam się, jak zwykle.

- W. C. Fields - powiedział Zach. - I od dawna już gryzł ziemię, kiedy Melanie Adams została największą aktorką na naszej planecie. Facet był wielkim prorokiem.

176

- Prorokiem? Do diabła, wcale nie. To kwestia doświadczenia. Pracował z największymi aktorkami swoich czasów i nic się nie zmieniło.

- Kto nam zrobił to świństwo? Kto ją zaangażował?

- To ty nalegałeś, żeby zagrała w filmie - odparł Rowan, wyraźnie znudzony.

- Ja tego chciałem, wytwórnia chciała, chciał autor, widzowie szaleją za nią, tłumy walą do kin...

- To było pytanie retoryczne, Rog. Rzecz w tym, że myślę

o wysiłku, który włożyliśmy w to, żeby ją zaangażować,

1 o tysiącu żądań, które wysunął jej agent, kiedy Wells Cope przestał się nią zajmować...

- Spójrz na to z jasnej strony, Zach. Ona jest świetna. Masz to, czego chciałeś, a nawet więcej.

Reżyserzy zawsze narzekają na gwiazdy, myślał doświadczony producent, a przecież sami zachowują się jak rozwydrzone primadonny. Nienawidził reżyserów. Nienawidził aktorów.

Gdyby tylko można nakręcić film bez jednych i drugich, byłby naprawdę szczęśliwy.

Zaangażował Zacha Nevsky'ego jako reżysera, bo nie był on tak obłądnym megalomanem, jak dziewięćdziesiąt siedem procent dzisiejszych reżyserów. Roger Rowan był producentem od

piętnastu lat, a w dzisiejszych czasach reżyserzy mieli więcej do powiedzenia niż kiedykolwiek w historii filmu, co sprawiało, że zamieniali się we władczych tyranów i - jak wszyscy tyrani -

domagali się należnej im czci. Jednak Zacha Nevsky'ego uważano za reżysera, który ustępuje tylko Normanowi Jewisonowi i Richardowi Lesterowi, ponieważ kręci film na czas i nie

przekracza przewidzianego budżetu. Już to wystarczyło, by docenić jego wielkość. Nie miewał

humorów, nie był rozkojarzony, był profesjonalistą. W porównaniu z jego zaletami fakt, że dzień i noc wypytywał go o źródła różnych cytatów to doprawdy drobiazg.

- Czy walczylibym o kiepską aktorkę? - powiedział Zach, odpowiadając na pytanie Rogera o Melanie. - Słuchaj, Roger. Jestem trzeźwym facetem. Jest kilka szlachetnych i godnych uwagi wyjątków w tym zawodzie, ale spodziewałem się, że aktorka tak wielka jak Melanie będzie głęboko i bez pamięci zakochana w sobie, jak żadna inna kobieta. Spodziewałem się,

169

że będzie niemożliwie uparta, niesamowicie chciwa, bezwzględnie i nieznośnie obłudna i kapryśna do obrzydzenia. Gdyby była inna, zastanawiałbym się, czy aby na pewno jest gwiazdą. Ale pieprzenie z dwoma facetami jest nieprofesjonalne! To normalne, że aktorki się pieprzą, zwłaszcza na planie, ale czy nie przydałoby się nieco umiaru? Zdaje mi się, że powinna trzymać klasę.

- Moja żona twierdzi, że to proste.

- Co na to Norma? - zainteresował się Zach. Norma Rowan była jedną z tych bezdzielnych żon, które zadają sobie wiele trudu, by zawsze towarzyszyć mężom na planach filmowych, zwłaszcza gdy w grę wchodzi wyjazd, i dbać o zaspokojenie wszystkich potrzeb, a przy okazji zapobiec grzesznym rozrywkom. Dzięki temu małżeństwa tych kobiet trwają tak długo.

- Według Normy to nic dziwnego, że aktorki często napalają się na facetów z ekipy. Aktorzy są zakochani w sobie, a zwykli ludzie z obsługi nie spodziewają się, że aktorka zwróci na nich uwagę, więc potrafią docenić wszystko, co dla nich zrobi. Poza tym różnią się aż padną, Zach. Wielu z nich to wielcy, potężni faceci, przyzwyczajeni do pracy fizycznej, jak mówi Norma. Może ci opowiedzieć o filmie, który kiedyś kręciłem. Gwiazda pieprzyła się ze wszystkimi robotnikami i monterami na planie, z kaskaderami, kamerzystami i czterema kierowcami. Została honorowym członkiem Związku Techników Filmowych, zanim zakończyła karierę, a była to kariera długa i wspaniała... Wilgotna gwiazdka to niezły pomysł, byle tylko nie piła alkoholu. Więc czym się martwisz? Masz chrapkę na Melanie?

- Rog, pierwsza zasada reżyserii według Nevsky'ego brzmi: Nigdy nie pieprz gwiazd. Nie. Kłopot polega na tym, że stara się skłócić ze sobą tych facetów. Pracowałem już z Allenem Henrickiem. To rozsądny chłop, ma żonę i dzieci. Nie straci głowy dla Melanie. Po prostu bierze, jak mu dają... Ale nie znam Sida White'a... jest młody, nieobliczalny, uczuciowy i wrażliwy. Ma humory, lubi marzyć. Lekki świr. To nie jest przeciętny pocziwina z obsługi.

- Obsługę można zmienić, Zach, ale wiesz, że Melanie będzie mieć do nas pretensję i natychmiast zacznie z innym, jeżeli odeślemy Sida do Los Angeles - zauważył Roger

170

Rowan. - To pierwsza praca Sida. Zatrudniłszy go, bo prosił o to Lou Cavona, a z nim lepiej nie zadzierać. Jest nie tylko najlepszym facetem w branży, ale i szefem związków zawodowych pracowników obsługi, więc jeżeli chce, żeby młodszy braciszek jego żony był w ekipie, postępuje zgodnie z tradycją. Cawonowie pracują w filmie od czasów Macka Senneta.

- Nie wiedziałem - zamyślił się Zach. - Warto byłoby pozbyć się Sida także z innych powodów. Przyglądałem mu się przez cały tydzień. Tak jakbym nie miał nic lepszego do roboty, co? Jest po uszy zakochany w Melanie. To prawdziwa wielka romantyczna miłość, Rog. Miłość przez duże M. Tak... coś w stylu Romea i Julii. Nie obrzucaj mnie cynicznym spojrzeniem. Reżyserując Szekspira dowiedziałem się co nieco o gorącej miłości. Sid jest zazdrosny o Allena. Zazdrosny do obłędu, a Melanie nie tylko wzbudza w nim tę zazdrość, ale podsycą ją ze wszystkich sił.

Zachowuje się gorzej niż piroman. Nie wszyscy ludzie na planie zorientowali się już, o co chodzi, ale to tylko z powodu zimna, i dlatego nie mamy jeszcze sępów z prasy na głowie.

- Zach - powiedział Roger z namysłem. - Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Może namówimy Wellsa Cope'a, żeby z nią pogadał? Przez siedem lat nauczył się chyba postępować z tą kobietą? Nie mam szczególnej ochoty dawać mu powodu do satysfakcji, ale może gra jest warta świeczki?

- Za nic w świecie, Rog - odparował Zach. - Zwracając się o pomoc w sprawie Melanie, natychmiast stracę kontrolę nad filmem. Załatwię to z nią jeszcze dziś. Jutro kręcimy, a w niedzielę ma wolne, więc wieczorem złożę jej wizytę.

- Słuchaj, szanuję twój punkt widzenia - nalegał Roger - ale kiedy postanowiliśmy kręcić w Kalispell, dziesiątki ludzi pytały mnie, jak, do cholery, możemy jechać w to samo miejsce, w którym zdarzyła się katastrofa z „Wrotami niebios”. Tłumaczyłem im, że po tym fakcie wiadomo już, czego nie należy robić, i do tej pory unikaliśmy kłopotów, które miał Cimino. Jestem tu cały czas, a Cimino miał kiepskiego producenta. Kiedy zacząłeś pracę nad filmem, zostałeś kapitanem, a my wszyscy - nawet ja, do cholery! - jesteśmy pasażerami. Jednak czy jesteś pewny, że masz rację? Melanie Adams jest przyzwyczajona do tego, że wszyscy skaczą wokół niej na dwóch łapkach.

- Rog, to tylko aktorka. Najdroższa, najbardziej uwielbiana, najpiękniejsza aktorka, a jednak - tylko aktorka.

Zach pokręcił głową nad uporem producenta, który - jak wszyscy przedstawiciele tej profesji - lubił się zamartwiać, bo bardziej dbał o produkcję filmu, niż o jego jakość. Rowan był doświadczonym zawodowcem, ale był też urodzonym cynikiem, nie miał w sobie żadnej pasji, a wyobraźni ani na jotę. Dla niego, tak jak dla szefów wytwórni, film był przede wszystkim towarem. Tak jak oni, czułby się równie dobrze handlując wieprzowiną. Rowan, który po raz pierwszy był producentem tak ważnego filmu, jak „Kroniki”, był pupilkiem wytwórni i dlatego powierzono mu takie zadanie. Już samo to było podejrzane. Zach pomyślał, że byłby naprawdę szczęśliwy, gdyby reżyserom pozwalano pracować z aktorami, bez nadzoru producenta i wytwórni.

- Aktorka - powiedział z ożywieniem - to kobieta obdarzona siłą, talentem i walorami fizycznymi, dzięki którym nadaje się do tego, by grać inne kobiety. Można ją nazwać mistrzynią osobowości, obdarzoną wewnętrznym światłem, które sprawia, że publika szaleje, ale nigdy, przenigdy nie wolno dopuścić do tego, by zaczęła się szarogęsić. Nie należy zapominać, że aktorki to tylko kobiety. Trzymanie aktorek w cuglach to mój fach. Między innymi właśnie dlatego mnie zatrudniłeś. Jestem okrutnym pogromcą primadonn. Powinieneś być tego świadom.

- Dlaczego nie zostałeś w teatrze? - zrzędził Roger. - Z pracownikami teatru nie ma takich kłopotów. Są za starzy na takie rzeczy. A poza tym aktorki teatralne łatwiej pewnie utrzymać w ryzach.

- Wiesz, nie przypuszczałem, że będę tak tęsknić za teatrem, ale tam nie ma takiej zabawy, to nie jest „wspaniałe widowisko”, jak to się mówi o baseballu.

- „Widowisko” - powiedział Roger z największą ironią, na jaką było go stać. - Budżet w wysokości dwudziestu pięciu milionów dolarów. Książka, która dostała nagrodę Pulitzera i odniosła wielki sukces na rynku, dwustu pięćdziesięciu mieszkańców zatrudnionych w charakterze statystów, dwóch największych aktorów w rolach męskich, a producent i reżyser siedzą sobie i rozmyślają, jak zaradzić polityce otwartych

172

drzwi, którą prowadzi panna Adams. Chciałbym kręcić western z samymi facetami, którzy nie zaprzatają sobie głowy miłością, zajmują się tylko kokotkami z miejscowego saloonu i mają wszystko gdzieś. Ach, niech to szlag!

*

Po wyjściu Rogera Zach zastanawiał się, czy wie o Melanie coś, co pomogłoby mu ją poskromić. Należała bowiem do tych aktorek, które nie dają się zastraszyć reżyserowi. Światową sławę zdobyła już po swoim pierwszym filmie, siedem lat temu, więc Zach byłby głupcem, gdyby nie posłużył się wszelką dostępną bronią.

W 1976 dziewiętnastoletnia Melanie Adams przyjechała z Louisville do Nowego Jorku, gdzie Spider Elliott wylansował ją jako modelkę. Tyle wiedział Zach. Wkrótce potem zaopiekował się nią Wells Cope, który był producentem jej pierwszego filmu. Był bardzo zamożnym niezależnym producentem filmowym i jednym z tych ludzi w branży, którzy niezmiennie odnosili sukcesy. Wziął pod swoje skrzydła Melanie Adams i wprowadził ją w wielki świat.

„Legenda” - drugi film Melanie, wystawił jej zdolności aktorskie na ciężką próbę. Na osobowość jej bohaterki złożyły się cechy charakteru Marleny Dietrich i Greta Garbo w początkach ich hollywoodzkiej kariery. Doskonale poradziła sobie z rolą, a jej uroda i talent sprostały trudnemu zadaniu. Pierwsza żona Spidera, Valentine O'Neill zaprojektowała wszystkie stroje, w których zagrała Melanie.

Od tamtej pory Melanie Adams wystąpiła jeszcze w trzech filmach, z których każdy następny był jeszcze lepszy i głośniejszy niż poprzedni. Producentem wszystkich jej filmów był Wells Cope, dobiegający teraz pięćdziesiątki - opanowany, bystry, niezwykle dyskretny i dowcipny mężczyzna, któremu udało się utrzymać z dala od blichtru i zamętu Hollywood. Pracował w Hollywood z niestrudzonym zapalem, ale z własnego wyboru nigdy nie został stałym członkiem filmowej społeczności.

Ludziom, którzy żyli z wsadzania nosa w nieswoje sprawy, nigdy nie udało się dociec, co łączyło Cope'a i Melanie. Żaden dziennikarz nie dowiedział się niczego o ich związku, nie

wzięli ślubu ani ze sobą, ani z nikim innym i nikt nie miał pewności, czy był to romans. Jednak Cope był jej agentem w najlepszym stylu, decydował o każdym jej kroku, a główna rola w „Kronikach” była pierwszą, o której Melanie zdecydowała sama, kiedy wygasła jej umowa z Copem.

Spider Elliott - pomyślał Zach. Może coś wiedzieć o Melanie Adams, a w tej delikatnej sytuacji przyda się najdrobniejsza informacja, choć zakazał Rogerowi rozmawiać z innymi na temat Melanie. Chciał się zwrócić do Wellsa Cope'a! Spider był inny. Zach spojrzął na zegarek i poprosił sekretarkę, by połączyła go ze Spiderem w Scruples II, starając się nie myśleć o tym, ile razy dzwonił tam do Gigi.

- Cześć, Spider. Mówi Zach Nevsky.

- Zach! Jak ci się wiedzie? Jak tam w Montanie? Mów!

- Świetnie. Montana jest piękna, ale wolałbym, żeby akcja działa się latem. Do tej pory nie wiedziałem, co to zimny wiatr. Jako nowojorczyk uważałem Montanę za Dzikie Zachód. Teraz wiem, że jest jak północna Kanada. Zasy śniegu są dwa razy wyższe ode mnie. Mów, co u ciebie? Jak Billy i bliźniaki?

- Wszyscy świetnie, cudownie. Dzięki. Jak film?

- Kręci się, dotychczas bez opóźnień i zgodnie z budżetem. Przeglądówki wypadają świetnie, ale chciałbym cię o coś zapytać.

- Mów.

- Wiesz, że Melanie Adams gra w filmie?

- Daj spokój, Zach. Wszyscy wiedzą.

- Mam z nią kłopoty. Wielkie kłopoty. Robi, co chce. Zepsuł ją Wells Cope. Mam zamiar z nią pogadać i pomyślałem, że może mi coś doradzisz? Znasz ją dłużej niż my wszyscy.

- Doradzić? Zach, jestem ostatnią osobą na świecie, która ma coś mądrego do powiedzenia na temat Melanie. Poradzisz sobie z nią lepiej niż ja, chłopcze. Pomógłbym ci, gdybym mógł, ale wiem, że zawsze robi to, co jej się podoba. Nie widziałem jej ani nie rozmawiałem z nią chyba od sześciu lat. Od premiery jej pierwszego filmu.

- Tak, Spider, ale słyszałem, że wiesz wszystko o kobietach.

- To wielka przesada. Żaden facet na świecie nie wie wszystkiego o kobietach. Moja reputacja bierze się stąd, że

174

jestem tego świadom. W każdym razie nie wiem, jak sobie poradzić z Melanie. Jest wyjątkowa.

- Wszyscy uważają, że dostała się do Hollywood dzięki twoim zdjęciom - sprzeciwił się Zach.

- Wiedziałem, jak ją oświetlić. To wszystko. Nic trudnego. Włączałem światło i naciskałem guzik aparatu, a jej twarz załatwiała resztę. Nie można spieprzyć jej zdjęcia. Za cholere! Słuchaj, może to ci pomoże. Zanim Valentine poznała Melanie, powiedziała mi, sądząc z jej zachowania, że Melanie jest próżna. Kiedy ją poznała, stwierdziła, że Melanie jest właściwie smutna. Litowała się nad nią, Bóg jeden wie dlaczego, bo jej nie lubiła. „Smutna” i „próżna”, to słowa kobiety, która miała taki instynkt, że zawsze trafiała w sedno. Może to ci się przyda.

- Na pewno, Spider. Dziękuję ci. Bardzo dziękuję.

- Bardzo proszę. Żałuję, że to tak niewiele.

- Przekaż moje pozdrowienia Billy. Ucałuj dzieciaki.

- Oczywiście. Nie przejmuj się, chłopie, i trzymaj się ciepło.

Kiedy Zach Nevsky odłożył słuchawkę zrozumiał, że Spider przekazał mu dwie dodatkowe wiadomości. Spider Elliott był kiedyś bez pamięci zakochany w Melanie Adams. Można to było poznać po jego głosie, kiedy o niej mówił. Ponadto Spider wiedział, że między nim i Gigi

wszystko skończone. Nawet o niej nie wspomniał... ani słóweczkiem. Czego się spodziewałem? - pomyślał z wściekłością Zach. - Czy sądziłem, że Gigi nie roztrąbi wokoło, że wyrzuciła mnie na zbity pysk? Czyżbym myślał, że nie będzie mogła dłużej żyć, bo... bo co, na Boga? Koniec to koniec. Ale jak ciężko nie pytać, co u niej słyszeć. Chciałby bardzo powiedzieć tylko „Co u Gigi?”, ale zdradziłby go głos. Jeżeli on sam wyczytał coś z tonu Spidera, były duże szanse, że Spiderowi też by się to udało.

*

Spider Elliott odłożył słuchawkę i położył nogi na biurku. Rozmowa z Zachem zaniepokoiła go. Podczas siedmioletniej

183

kariery Melanie Adams unikał jak mógł oglądania filmów, w których grała. Zraniła go do głębi, kiedy zniknęła tak nagle z jego życia, pozostawiając tylko obrzydliwy, kłamliwy list. Była jego pierwszą miłością, pierwszą prawdziwą miłością. Niezależnie od tego, co wydarzyło się później, jak każdy, kto kochał pierwszy raz i doczekał się wzgardy, nigdy nie uwolnił się całkowicie od wspomnienia niczym nie uzasadnionego okrucieństwa Melanie. Tylko Valentine mogła pomóc mu przewyciężyć kryzys uczuciowy, który spowodowało odejście dziewczyny.

Wyrzucił Melanie ze swojego życia nawet wówczas, kiedy znów usiłowała go zwabić, łaszcząc się do niego i przymilając. Potem zrozumiał, że kocha Valentine, kocha zupełnie inną miłością, miłością dojrzałą i odwzajemnioną. Minał rok, może trochę więcej, i Melanie znów powróciła do jego życia. Valentine zginęła, pracując do późna w poczuciu obowiązku, by przygotować komplet kostiumów, w których Melanie miała zagrać w „Legendzie”.

Melanie nie zabiła Valentine własnymi rękoma. Rozumiał to i pogodził się ze wszystkim, ale to fakt, że Valentine żyłaby nadal, gdyby Melanie nie było na świecie.

Gdyby Valentine żyła, on i Billy nie pobraliby się. Spider westchnął, dumając nad meandrami swojego życia, w którym obecność Melanie przewijała się niczym nić mitycznych Parek.

Wszystko, co w życiu osiągnął, wszystko, co stracił, wszystko, czym cieszył się dzisiaj, działo się z jej powodu lub wbrew niej, ale zawsze w związku z nią. Spider był pewny, że dawno pobraliby się i żyli razem do tej pory, gdyby Melanie była dziewczyną zdolną do normalnych uczuć. Byłby zapewne słynnym fotografem mody, bo w tej dziedzinie był rzeczywiście utalentowany, a Melanie byłaby nadal modelką, a może - ustępując miejsca nastolatkom - porzuciłaby karierę i rodziła dzieci.

Spider pomyślał, że byłoby lepiej, gdyby Zach Nevsky nie miał z nią do czynienia. Wstał i spojrział przez wysokie okno swojego biura w Scruples II na ostatnie czerwone promienie zimowego słońca, zachodzącego za szary horyzont Pacyfiku. Byłoby lepiej, gdyby Zach Nevsky nie zadzwonił i nie przywołał starych wspomnień. Spider lubił Zacha. Zawsze go lubił,

176

niezależnie od powodów jego zerwania z Gigi, których nie znała dobrze nawet Billy. Gigi Orsini na pewno wie, co robi - pomyślał. Mimo silnej osobowości Zach Nevsky nie był dla niej dobrą partią... przynajmniej tyle Spider wiedział o kobietach.

*

Melanie Adams wyczuła, że Zach Nevsky nie po to prosił

O spotkanie sam na sam, by przedyskutować rolę Lydii Lacy, którą grała. Sama umiała ocenić swoją grę, a rolę młodzieńczej dziewczęcej nauczycielki muzyki, o którą dwaj najważniejsi mężczyźni w małym miasteczku w Montanie toczą krwawe boje, mogłoby z powodzeniem zagrać kilka innych aktorek. Jednak przyjęła ją z dwóch powodów: po pierwsze - grała z Clintem Eastwoodem i Paulem Newmanem, po drugie - była to jej pierwsza główna rola, którą jej zaproponowano, kiedy wygasł jej kontrakt z Wellsem Copem.

Kiedy była jeszcze nieznana, naiwna i nieświadoma swoich możliwości, Wells zauważył potęgę jej urody, sprowadził ją z Nowego Jorku, uczył ją, załatwił jej zdjęcia i natychmiast po pierwszym filmie podpisał z nią kontrakt na cztery następne.

Wówczas ochoczo podpisała umowę, która chroniła ją przed wszelkimi czyhającymi niebezpieczeństwami i nieznanymi prywatnymi agencjami, które wyławiają nowe dziewczyny w mieście, zwłaszcza takim jak Hollywood. Wells obiecał jej, że zrobi z niej „gwiazdę” i z całą przenikliwą inteligencją, niekwestionowanymi wpływami w wytwórniach, umiejętnością trzymania w karchach niecierpliwości, która ją rozpieła,

1 wybierania dla niej najlepszych ról, umożliwił młodej aktorce karierę, w której nie popełniła ani jednego błędu.

Melanie Adams rozpaczliwie potrzebowała opiekuna, a w Wellsie Cope znalazła nie tylko nauczyciela, ale i jedynego mężczyznę, który kochał się z nią łagodnie i z wyrafinowaniem, nie oczekując z jej strony żadnej reakcji. Był jedynym mężczyzną, który upajał się jej pięknem, posiadał ją, kiedy miał ochotę i nigdy nie pytał, czy go kocha.

W zamian Wells chciał tylko mieć ją na własność. Zastanawiała się, kiedy zdała sobie sprawę, że jest jego dziełem? Jak długo musiała myśleć, zanim zrozumiała, że postronek, choć giętki, jedwabny, niewidzialny, pozostawiający jej swobodę

ruchów, jest mocny jak stal i ciasno oplata jej szyję? Kiedy zaczęła się buntować i kiedy zrozumiała, że nie szkodząc samej sobie, na co wcale nie miała ochoty, może odnosić tylko drobne zwycięstwa?

Mogła wydawać pieniądze bez żadnych ograniczeń, ale nie ufał jej na tyle, by pozwolić samodzielnie wybrać suknię na wręczenie nagród Akademii Filmowej. Mogła żyć tam, gdzie zechce, mogła zamieszkać w łodzi w Dolinie Kaszmiru, ale musiała stawić się do pracy, kiedy zażądał Wells, bo - jeśli tak postanowił - potrzebował jej do roli, którą sam wybrał spośród setek scenariuszy, których ona sama nigdy nie czytała. Mogła odmówić Wellsowi seksu, kiedy ją znudził i robiła to, ale wydawało się jej, że nie był wcale zdziwiony ani nawet zainteresowany, kiedy zadawała się z innymi mężczyznami, na których miała ochotę.

Z drugiej strony Wells skazywał ją na długie przerwy w pracy - przekleństwo wielu największych gwiazd - przerwy, których nienawidziła, choć wypełniała je nauką gry aktorskiej, dopóki nie zdecydował się obsadzić jej w roli, którą uznał za odpowiednią. Mogła wyjść za męża, ale czym byłoby dla niej małżeństwo? Poddaniem się jeszcze jednej władzy. Każdy mąż ma jakieś oczekiwania wobec swojej żony, nawet jeśli byłaby nią Melanie Adams.

Melanie poczuła dreszcz, kiedy pomyślała, że mogłaby się zakochać. Temu Wells nie mógł zapobiec, ale wiedziała, że nigdy nie była zakochana, cokolwiek to znaczy. Wiedziała też, że to nie dla niej. Całe życie była przedmiotem uwielbienia, od dziecka wszyscy powtarzali jej, jak bardzo ją kochają, zewsząd otaczało ją bezwzględne, przytłaczające morze bezkresnej miłości.

Nienawidziła go, walczyła bez skutku, by je odepchnąć, czuła się tak, jakby karmiono ją siłą płynną czekoladą z wielkiej misy, z której nic nie ubywa. Nie. Tylko nie miłość.

Nadawała się tylko do tego, żeby grać. Musiała grać, bo w przeciwnym razie jej życie nie miałooby sensu. Ta świadomość sprawiła, że musiała stać się obiektem miłości. To cena, którą trzeba płacić. Dzieci? Melanie Adams wzdrygnęła się na samą myśl. Źle należeć do Wellsa Cope'a, ale jeszcze gorzej jest stać się własnością dzieci, których narodziny są nieodwracalnym

178

taktem w życiu każdej kobiety. Kontrakt prawny z czasem wygasa, lecz niepojęte więzy macierzyństwa trwają całe życie, a dziecko jest jedyną rzeczą, której nie można z powodzeniem zastąpić niczym innym. Nigdy nie rozumiała, ani nawet nie usiłowała zrozumieć, jak kobiety mogą być tak pozbawione wyobraźni, tak nie dbać o własne sprawy, żeby chcieć dziecka.

Oczywiście trzeba wziąć pod uwagę to, że kobiety mają mentalność niewolnic. Potrzebują, żeby ktoś ich potrzebował. Nawet piękne kobiety chcą mieć dzieci. To po prostu niepojęte.

Powtarzała sobie, że chce tylko być wolna, żeby nikt nie miał do niej prawa, chce, żeby nie zadawano jej żadnych pytań, a co najważniejsze chce mieć ostateczny dowód, że istnieje istnienie naprawdę, niezależnie od nieznośnych, nieodzownych potrzeb ludzi, którzy jej pragną.

Ten dowód, którego tak gorąco pragnęła, mogła znaleźć tylko przed kamerami, w otoczeniu tłumu ludzi zainteresowanych wyłącznie tym, co robi, a nie tym, kim jest, ludzi, którzy płacili jej za to, że jest na swoim miejscu. Płacili nie z miłości, dzięki Bogu, ale dlatego, że liczyli na zysk.

Dopiero wtedy, kiedy uczyła się być kim innym niż ona sama - Melanie Adams - i odrzucała samą siebie, ciało i duszę, stając się inną istotą, czuła, że naprawdę wyraża swoje uczucia. Tylko jej sztuka, tylko gra mogła ukoić niepokój, który czuła cały czas szukając prawdziwego sensu życia. Tylko grając mogła poczuć przedsmak prawdziwego szczęścia. Tylko przedsmak, bo nigdy nie zaznała jego pełni.

*

Dla Melanie Adams, Eastwooda, Newmana i Rowansa wynajęto najlepsze domy w całym Kalispell. Inni członkowie ekipy filmowej - obsługa i ekipa reżyserska „Kronik” - zamieszkali w

różnych wygodnych motelach. Wszystkich statystów angażowano spośród mieszkańców miasteczka.

O szóstej wieczorem Zach przejechał krótki odcinek z Out-law Inn, mijając eleganckie wille i wspaniałe bałwany na ośnieżonych trawnikach, i zatrzymał się przed uroczym wiktoriańskim domem, w którym zamieszkała Melanie wraz z osobistą fryzjerką, Rose Greenway, która czesała ją od

187

początku jej kariery aktorskiej. Rose była prawą ręką Melanie, jej powiernicą i - o ile Melanie była zdolna do przyjaźni - także przyjaciółką. Kiedy Melanie opuściła Wellsa Cope'a, zabrała Rose ze sobą.

Panna Greenway załatwiała z Rogerem Rowanem wszystkie sprawy związane z komfortem, którym należało otoczyć Melanie podczas zdjęć. Niezbędny okazał się kucharz - znawca wyrafinowanej kuchni wegetariańskiej, masażysta - zawsze do usług, własny agent w Los Angeles do spraw kontaktów gwiazdy z międzynarodową prasą i osobista garderobiana. Wells Cope otoczył ją luksusem należnym gwiazdzie, a Melanie nauczyła się dobrze o sobie dbać.

- Proszę wejść, panie Nevsky - powiedziała Rose Greenway, biorąc od niego kurtkę i futrzaną czapkę. - Panna Adams prosiła, żeby pan wszedł na górę. Czeka na pana. Drzwi są otwarte. Proszę je zamknąć, żeby nie uciekało ciepło. To górskie powietrze - dodała z dezaprobatą - jest stanowczo za suche dla skóry panny Adams.

- Wiem, panno Greenway - odpowiedział Zach na skargę, którą słyszał już nie raz, wspinając się po schodach do wielkiej sypialni z oknami w wykuszach. Melanie Adams zajmowała połowę pomieszczeń na górnym piętrze. Po raz pierwszy Zach znalazł się na drugim piętrze. Spodziewał się, że będą tam olbrzymie, lecz pozbawione wyrazu meble z Searsa, podobne do tych, które stały na dole. Jednak Melanie Adams zmieniła wygląd pokoju, drapując na meblach cieniutkie żakardowe szale różnych rozmiarów i rozmaitych, lecz harmonizujących ze sobą egzotycznych wzorów i kolorów. Okrywały wszystko - kanapy, krzesła, stoły, nawet wezgłowie podwójnego łóża. Zarzuciła szale na abażury lamp, na dywanie pokrywającym całą podłogę położyła białe futrzaki. Na łóżku piętrzyła się haftowana włoska pościel. Puchowa kołdra - zauważył Zach, przechadzając się po pustym pokoju. Zapewne z najlepszego pierza dziesięciu tysięcy edredonów. Na kominku płonął wielki ogień. Wszędzie stały doniczki z roślinami ozdobnymi. W szklanych osłoniętych świecznikach płonęły białe świece, a cztery inne, zielone świece Rigaud napępiały powietrze subtelnym zapachem.

- Wejdz, j)roszę - zawołała go Melanie zza otwartych drzwi łazienki. - Świetna woda.

180

Nieźle! - pomyślał Zach.

- Dziękuję. Zaczekam, aż skończysz kąpiel - odpowiedział i przysiadł na największej kanapie. Zamknął oczy i wdychał perfumowane powietrze, w którym gorąco bijące z kominka mieszało się z wilgocią i subtelnym zapachem świec. Z łazienki dochodziły go odgłosy wyżymania gąbki, stłumiony plusk i szum wody puszczanej do wanny.

Wizyta w ogrodach Alhambry? - zadawał sobie pytanie. Igraszki w haremie sułtana? Szykowny burdelik w Persji? Zach pomyślał, że cokolwiek to jest, i tak nabawi się zapalenia płuc, kiedy stąd wyjdzie, jeżeli zaraz nie zdejmie swetra i flanelowej koszuli. W džinsach i podkoszulku poczuł się znacznie lepiej. Melanie wpadła na nienajgorszy pomysł. Jest zażenowana i zmieszana, więc wymyśliła sposób, by uniknąć konfrontacji. Z drugiej strony, dotychczas miała do czynienia tylko z Copem, który żył jak król, więc robi to, co sprawia jej przyjemność... przyjemność...

Kiedy Melanie uznała, że kazała już czekać na siebie dostatecznie długo i wyszła z łazienki bez śladu makijażu na twarzy, w turbanie z ręcznika i białym cieniutkim szlafroku z jedwabiu, ciasno zawiązanym w wąziutkiej talii, Zach smacznie spał.

Spojrzała na niego, rozczarowana. Chciała, by jej wejście zrobiło na nim wrażenie, ale wszystko na marne. Z drugiej strony, to dobra okazja, by przyjrzeć się mu dokładnie, lepiej niż mogła to zrobić, kiedy omawiali rolę na planie, a jego oczy patrzyły na nią inteligentnie, lecz wyniośle. Pomyślała jednak, że nawet uśpiony, niezdolny do zademonstrowania swojej pewności siebie, Zach nie był niepozorny. Nie można było zignorować jego obecności w pokoju, odwrócić się do

niego plecami, bo nawet we śnie Zach promieniał czystą fizyczną energią. Przyszło jej do głowy, że to kwestia jego potężnej postury, zmierzwionych czarnych włosów, mocnego karku, grubo ciosanych rysów, wystających kości policzkowych i nosa, który wyglądał tak, jakby był złamany kilka razy. Sen nie ujarzmił Zacha Nevsky'ego.

Tak, pragnęła go. Pragnęła go od samego początku, ale postanowiła, że nie będzie romansować z reżyserami, kiedy przestała być kochanką Wellsa. Głównym powodem tego

postanowienia była obawa przed utratą przewagi, która wynikała z faktu, że każdy reżyser po prostu musiał jej pożądać. To pożądanie niczym wartki prąd rzeki, powstrzymywany przez lodowe kry, działało na jej korzyść, zmuszając reżysera, by zdobył się na to, na co nie zdobyłby się dla żadnej innej aktorki, by dał z siebie wszystko, by nieustannie myślał o scenach, w których grała, doskonalił je i starał się, by wypadła jak najlepiej.

Nieprzypadkowo Melanie Adams nazywano „snem erotycznym” każdego reżysera.

Pomyślała, że teraz uwolniła się spod kurateli Wellsa Cope'a. Radzi sobie sama, a Zachary Nevsky pozwoli jej sprawdzić teorię Wellsa. Dlaczego Wells był przekonany, że ma rację? Może romans z reżyserem pozwoli jej uzyskać większą przewagę niż powściągliwość?

Zach ocknął się, otworzył oczy i natychmiast zauważył, że Melanie przygląda mu się badawczo spojrzeniem, które znał

I rozumiał.

- Jak kąpiel? - zapytał przytomnie.

- Cudowna. Dziękuję - odparła przeciągając się. - Nie wiesz, co straciłeś.

- Wolę prysznic.

- To zabawne. Wszyscy mężczyźni, których znam, wolą prysznic. Połowa ludzkości traci jedną z największych przyjemności życia.

Głos Melanie nie był szkolony i nigdy nie zatracił tonu charakterystycznego dla Louisville - szczególnej nuty słodczy, tworzącej wyjątkowy nastrój. Brzmiała w nim gorąca, daleka i rozkoszna muzyka i subtelny ton zaproszenia.

Melanie przysiadła na niskim stołku przy kanapie i skrzyżowała nogi, a szlafrok rozsunął się, ukazując uda. Rozwinęła turban i potrząsnęła długimi, świeżo wyszczotkowanymi lokami, zachwycającą kaskadą barwy syropu klonowego, lśniąca czerwonym blaskiem, włosami, których kolor zmieniał się zależnie od oświetlenia i nie dawał się jednoznacznie określić, choć próbowano go nazwać tysiące razy.

- Spokojnie tu - powiedział Zach, uświadamiając sobie nagle, że siedzą w głębokiej ciszy, przerywanej tylko trzaskaniem ognia w kominku.

190

- Wszyscy poszli z Rose na pizzę i do kina - odpowiedziała Melanie. - Zawsze w piątek mają wolne, nawet w plenerach. Napijesz się?

- Nie, dziękuję.

- Należę sobie sherry... Na pewno nie chcesz?

Mówiła niewinnym, rozbrajającym i pogodnym tonem. Wstała i podeszła do stolika, na którym stały szklanki i butelki. Zach obserwował jej ruchy. Była świadoma każdego kroku, świadoma subtelnego kształtu swoich nadgarstków, dłoni i palców, w których trzymała teraz mały kieliszek do wina, świadoma cudownego kształtu szyi i podbródka, kiedy podniosła go do ust, kuszącego ruchu warg przykładanych do krawędzi kieliszka, krągłości sutków zaznaczających się wysoko na jędrnych piersiach, zarysu ud i podniecającego wzgórka, widocznych pod białym szlafrokiem w padającym z tyłu świetle bijącym z kominka. Wie o świetle tyle, ile każda inna aktorka na świecie

- pomyślał Zach. Czyżby sądziła, że pójdzie jej ze mną tak łatwo?

- Masz tę rolę - powiedział nagle.

- Jaką rolę?

- Afrodyty.

- Co za komplement... Czy to komplement? Przecież nie jestem na próbie.

- Niepotrzebna ci próba. Urok Afrodyty zniewala nawet umysły mędrców. Tak twierdził Homer.

Melanie podeszła i usiadła na poręczy kanapy, blisko Zacha. Czowała suchość w ustach, ale panowała nad rosnącym podnieceniem, starając się pochylić ku Zachowi tak, by odsłonić nieco pagórki piersi. Z dokładnością do jednego milimetra wiedziała, jak ułożyć się jej uda, jeżeli przycisnie je do poręczy kanapy.

- Melanie, teraz muszę zamienić z tobą dwa słowa - powiedział z powagą Zach, zwracając się ku niej i wpatrując się w jej twarz badawczym wzrokiem. Nikt, nikt na świecie nie ma tak zachwycająco czystej cery jak ona, tak cudownie jasnej i znacznie doskonalszej teraz, bez makijażu, niż na planie filmowym. _ .

- Naprawdę musisz? - Powstrzymała się od uśmiechu zadowolenia, który sam cisnął się jej na usta.

183

- Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę z tego, że podjąłem się pracy nad filmem tylko dlatego, że grasz w nim główną rolę. Uważam... wiem, że jesteś największą aktorką swojego pokolenia - powiedział szczerze Zach.

- Cóż, dziękuję. - Melanie pozwoliła sobie na skromne przyjęcie do wiadomości tego, o czym była głęboko przekonana od lat. Nie spodziewała się jednak, że Zach rozpocznie rozmowę od zwykłego kontredansa komplementów.

- Lydia Lacy - powiedział Zach, spuszczać wreszcie wzrok z jej twarzy - to osiemnastoletnia nauczycielka muzyki... całkowicie niewinna i dziewicza do bólu.

- To już wiem, Zach - powiedziała Melanie z nutką ostrożności w głosie.

- Ale nie wiesz, że Ackerman, ten przebrzydły stary pierdziel, był na tyle głupi, że ośmielił się zapytać, czy uda ci się przekonująco zagrać osiemnastolatkę. Ackerman! Ma chyba ze sto dziesięć lat... ale to przecież szef wytwórni. Musiałem spotkać się z tym trzęsącym się i zręczącym starym grzybem. Powiedział, że masz prawie dwadzieścia osiem lat i trzeba by znaleźć młodą dziewczynę do tej roli. Czy jakakolwiek młoda dziewczyna umiałaby zagrać tak jak ty? Gadał bez przerwy, że w scenariuszu dwaj starsi panowie, Eastwood i Newman, tracą wszelki umiar, bo młodość Lydii doprowadza ich do szaleństwa. Zabijają, jeśli trzeba, by posiąść tak niewinny kwiat młodości.

- Kręcimy od dwóch miesięcy, a ty zjawiasz się dopiero teraz, żeby mi to powiedzieć? Masz dziwne wycucie czasu. Nie dziwne. Nieprawdopodobne! - powiedziała złowieszczo Melanie, wstając z miejsca i składając ręce na piersiach.

- Szczerze mówiąc, nie przyszłoby mi nawet do głowy, że będę musiał ci o tym powiedzieć. Po co miałbym zwracać ci głowę wymysłami Ackermana? Szalałem z wściekłości... ale nikt, kto ceni sobie własne życie, nie będzie wrzeszczał na Ackermana. Przez pierwsze dwa tygodnie materiał zdjęciowy, który wysyłałem do wywołania do laboratorium w Los Angeles dowodził, że Ackerman ma źle w głowie. Wiem, że z reguły nie przychodzisz na przeglądy, ale byłabyś zachwycona. - Zach przerwał i przybrał zażenowany wyraz twarzy.

184

- Do czego zmierzasz?

- Potem zadzwonił do mnie Ackerman. Czy wiesz, że szefowie wytwórni zawsze oglądają fragmenty filmu po wywołaniu, zanim je do nas odeślą? W każdym razie Ackerman zadzwonił do mnie i powiedział, że zauważył pewne oznaki... To nie do wiary! Jak on śmiał! Ale ten stary drań powiedział... „zużycia materiału”. Oskarżał mnie o to, że zmuszam cię do zbyt ciężkiej pracy, że nie pozwalam ci się wysypiać, a przecież musisz być na planie o szóstej rano. Facet pracuje w branży od wieków, więc zasugerowałem z całym szacunkiem, że może pogorszył mu się wzrok. Powiedział, że inni też to zauważyli. Wyjaśniłem mu, że przecież nie pracujesz w nocy, bo mamy teraz zdjęcia plenerowe, więc zaczął mamrotać coś o kolagenie... - wypalił Zach i wbił wzrok w futrzany dywan przy kanapie.

- Kolagen! Co dokładnie powiedział?

- Jego zięć jest dermatologiem. Specjalizuje się w zastrzykach z kolagenu. Wiesz, to taka substancja pod skórą, dzięki której pupa niemowlęcia jest taka ładna, krągła i gładka. Ta cenna substancja zanika, po prostu jej ilość zmniejsza się rok za rokiem. Bóg jeden wie, jak to się dzieje. Nawet najładniejsza buzia...

- Jezu, wiem, co to jest kolagen! Co powiedział?

- Dokładnie? Ackerman powiedział, cytując: „To kwestia kolagenu. Nawet jeśli cera wydaje się nieskazitelna, nie oznacza to, że poziom kolagenu pozostaje taki sam. Nawet (rzyletnie dziecko traci kolagen”. Koniec cytatu. Powiedział mi, że zdaniem jego zięcia wszystko zależy od tego, czy dobrze się wysypiasz... zważywszy, że masz suchą cerę. Powiedział, że przyśle ci najlepsze,

całkowicie bezpieczne środki nasenne od swojego własnego lekarza, gdybyś ich potrzebowała. Przyśle ci także kosmetyczkę, jakiej sobie zażyczysz. Powiedział, że źle cię oświetlamy, więc kiedy przeglądownki wróciły do nas z laboratorium, rzuciliśmy się na nie z kamerzystą... i teraz już wiemy, o czym mówił Ackerman. Oświetlaliśmy cię tak, żeby ukryć sińce pod oczami...

- Nie mam sińców pod oczami.

- Nie widać tego gołym okiem. Ale widzi je kamera. Bardzo, bardzo nieznaczne, Melanie, ale jednak sińce... tu,

193

z brzegu, troszeczkę... może nie... ale, jak powiedział Ackerman-najmniejsze, niemal niewidzialne, ale niewątpliwe ślady „zużycia materiału”. Lydia Lacy, osiemnastoletnia dziewczina i nauczycielka muzyki nie wyglądałaby tak nawet po nieprzespanej nocy, nawet gdyby nie zmrużyła oka z jakiegoś powodu, dla którego osiemnastoletnie dziewczę z Montany w owych czasach miały bezsenne noce.

Zach zakończył zdecydowanym tonem, jakby powiedział już wszystko, co miał do powiedzenia i zaczął upychać koszulę za pas dzinsów.

- Chodzi o to, żebym skończyła z Sidem i Allenem - stwierdziła Melanie, nieporuszona.

- Och, tak. To też. Chyba że znajdziesz dla nich czas i zdołasz mimo to codziennie, przez sześć dni w tygodniu, zjawiać się na planie o szóstej, po ośmiu godzinach snu. Jeżeli chcesz zjeść śniadanie... musisz być w łóżku o dziewiątej... sama.

- Gdyby był tu Wells, obdarłby cię żywcem ze skóry, ty podły, parszywy mały kutasie.

- Posłuchaj, Melanie, czuję się winny - powiedział Zach przeproszającym tonem, zwracając ku niej twarz. - Założę się, że gdyby był tu Wells, nie miałabyś ochoty na zadawanie się... z kimkolwiek. Czuwał nad twoim planem dnia, organizował ci życie, dbał o ciebie, a ja nie potrafię ci go zastąpić...

- Nie chcę, żeby ktoś zastępował mi Wellsa - powiedziała ze złością. - Niech to szlag, Zach! Po raz pierwszy, odkąd go poznałam, czuję się wolna. Pewnie nie jesteś w stanie nawet sobie wyobrazić, jak to było. Nie miałam dla siebie ani minuty. Albo pracowałam dla Wellsa, albo czekałam, żeby pracować dla Wellsa. Pięć głównych ról! Rutyna! Dusiałam się! Przyjechałam tu, pracuję dla obcych ludzi, nikt mnie nie pilnuje, nie jestem niczyją własnością, nie muszę nikogo słuchać. To najwspanialsze doświadczenie w moim życiu, odkąd nakręciłam swój pierwszy film.

- Sid i Allen pomagają ci nadrobić stracony czas?

- Tak! Nawet nie wiesz, o co prosisz, kiedy mówisz, żebym z nimi skończyła. Nie masz pojęcia! Nigdy... niczego takiego nie robiłam. To taki... eksperyment. Oczywiście, zabiera dużo czasu, zgoda, ale... warto! - Uśmiechnęła się do niego tajem

186

niczym uśmiechem, zachęcającym i zarazem powściągliwym, na który zawsze czekały tłumy widzów, wstrzymując oddech.

- Zrobisz mi przysługę i skończysz z nimi?

Zach mówił łagodnie, ale nawet Wells Cope nie odważył się mówić tak zdecydowanym tonem o tym, co dla niej najlepsze. Instynkt samozachowawczy nakazał Melanie przystać na to, o co prosił Zach.

- Sprawa załatwiona - powiedziała szybko, chcąc zmienić temat.

- Świetnie. Posłuchaj, Melanie. Pogadam z Sidem i Allenem. Nie ma powodu, żebyś musiała sama z nimi rozmawiać.

- Zach, nie waż się! - rzuciła się na niego Melanie, czerwieniejąc ze złości. - Właśnie tak powiedziałaby Wells. Zrobię to, co zechcesz, ale to nie znaczy, że nie wiem, jak załatwić sprawę. Nie wtrącaj się.

- Przepraszam. Ale ułatwianie życia mojej gwiazdce to mój obowiązek. Wybaczysz mi?

- Oczywiście. Napijesz się?

- Dziękuję. Muszę wracać do siebie. Czekam na telefon z Los Angeles.

- Od Ackermana? - zapytała podejrzliwie.

- Skądże. Ackerman nie dowie się o naszej rozmowie. Czy sądzisz, że dałbym temu draniowi taki powód do satysfakcji? Od narzeczonej.

- Świetnie - powiedziała z ulgą Melanie. - Moje gratulacje. Nie wiedziałam, że jesteś zaręczony. Znam ją?

- Nie sądzę. Nie jest z branży. - Zach pochylił się, uniósł jej dłoń i musnął ustami. - Dobranoc, Melanie. Do zobaczenia jutro, skoro świt.

- Dobranoc, Zach.

Kiedy wracał do domu, zadowolony z siebie, uznał, że nie tylko stłumił problem w zarodku, ale wydłużył karierę Melanie jako gwiazdy romansów o co najmniej dwadzieścia lat. Dzisiaj wyglądała na zdjęciach jak szesnastolatka... nawet w swój najgorszy dzień. Za dwadzieścia lat będzie wyglądać najwyżej na trzydzieści pięć lat, jeżeli dobrze zaplanuje swoje życie seksualne. Przecież może kochać się w porze obiadu.

Melanie Adams powinna być mu wdzięczna, ale pewnie nigdy tego nie zrozumie. Wiedział, że próżność nie pozwoli jej

195

powtórzyć nikomu na świecie tego, co usłyszała. Na pewno nie zechce porozmawiać z kamerzystą, ale na wszelki wypadek uprzedzi go jeszcze dziś wieczorem.

Może Melanie istotnie była kiedyś smutna i próżna, jak określiła ją Valentine, ale to już przeszłość. Jeśli był w stanie dobrze ocenić sytuację, Melanie wyrwała się spod kurateli Wellsa Cope'a i żyła teraz pełnią życia, ciesząc się każdą chwilą. Z błysku w jej oku wyczytał, że wycisnie, co się da, ze scen pożegnania z Sidem i Allenem. Czekwała na ten dramat i na pożegnalne pieprzenie, którym osłodzi rozstanie.

Narzeczona. Zach zastanawiał się, skąd przyszło mu do głowy właśnie takie kłamstwo, wśród tysięcy innych, których dopuścił się dziś wieczorem. To była świetna wymówka, która pozwoli mu rozwiązać problem Melanie. To oczywiste, że mógłby się w coś wplątać, a na taki kłopot nie mógł sobie pozwolić. A nawet gdyby mógł, wcale go nie potrzebował. A nawet gdyby potrzebował, wcale go nie chciał. Jak może nie chcieć? Nie chcieć Afrodyty? Czy coś z nim nie w porządku?

*

Rose Greenway wróciła do domu w sobotę wieczorem później niż zamierzała. Zanim poszła spać, musiała jeszcze zaczekać na Sida White'a i zaprowadzić go na górę do pokoju Melanie. Była zmęczona, jak zwykle po tygodniu, w którym wstawiała o piątej rano, żeby przygotować wszystko i podać śniadanie, zanim kierowca Melanie zabierze je na plan. O szóstej rano Melanie poddawała się charakteryzacji, ale Rose nigdy nie przywykła do tak wczesnych godzin pracy, choć zdawała sobie sprawę z tego, że pracują teraz podczas najkrótszych dni w roku. Podciągając kołdrę pod brodę Rose pomyślała, że jutro będzie spać długo, tak długo, jak się da.

Dwie godziny później obudziła się nagle. Zdawało jej się, że usłyszała jakiś hałas. Nasłuchiwała uważnie, ale w domu panowała cisza. A jednak jakiś niepokój i troska o Melanie, którą zajmowała się z takim oddaniem od tylu lat, nakazały jej - niczym matce śpiącego dziecka - wstać z łóżka, włożyć ciepły wełniany szlafrok i sprawdzić, co się dzieje. Stała pod drzwiami pokoju Melanie i nasłuchiwała przez chwilę.

188

Na podłodze korytarza drżała smuga migotliwego światła. To znaczy, że nadal pała się świeca, a nawilżacze szumią jak zwykle. Chyba wszystko w porządku, pewnie śpią - pomyślała Rose Greenway, a jednak nie była pewna, czy powinna spokojnie wrócić do łóżka. Z drugiej strony, czy może wejść do pokoju? Melanie nie byłaby zadowolona, gdyby ktokolwiek, nawet najciszej i najdyskretniej, przeszkodził jej o tej porze, nawet gdyby spała sama.

Rose z wahaniem przytknęła ucho do drzwi na kilka minut. Było tak cicho - ani najlżejszego odgłosu chrapania, ani szelestu normalnego oddechu. Uchyliła nieco drzwi, najciszej jak można, i spojrzała na poduszki na wielkim podwójnym łożu, wprost na linii jej wzroku. Pościel była skłębiona, ale w łóżku nie było nikogo. Otworzyła szerzej drzwi i wstrzymała oddech w przerażeniu tak wielkim, że nie mogła wydobyć głosu. Na podłodze u stóp łóżka leżał nagi Sid White, twarzą do podłogi. Pod nim dostrzegła pasmo włosów Melanie i kawałek nocnej koszuli. Rose rzuciła się i, wyteżając wszystkie siły, ściągnęła ciało Sida White'a z ciała Melanie, zdając sobie sprawę tą odrobiną świadomości, której nie poświęcała Melanie, że mężczyzna ma strzaskaną czaszkę. Cofnęła się widząc kruchą istotę, która wyglądała tak, jakby wylano na nią wiadro krwi. Powstrzymując się od krzyku, Rose zerwała z siebie szlafrok, narzuciła go na Melanie, podbiegła do telefonu przy łóżku i wezwała policję. Rzuciła słuchawkę, podbiegła do Melanie, po czym znów chwyciła za telefon. Producent

- podpowiadał jej instynkt - trzeba zadzwonić do producenta!

*

Kiedy zadzwonił telefon, było już po północy. Zach był u Rogera Rowana. Pracowali nad zmianami w programie zdjęć na przyszły tydzień. Rowan, zirytowany nieoczekiwanym dzwonkiem telefonu, podniósł słuchawkę.

- Tak? Rose? Co!? Och, Jezu, Nie! Zaraz tam będziemy.

- Nie odłożył słuchawki. - Strzelano do Melanie. Chodź! Cholera! Cholera! Cholera! Kurwa, to nie do wiary!

- Żyje? - krzyknął Zach, kiedy biegli do samochodu.

197

- Nie wiem. - Ta rozhisteryzowana dziwka powiedziała do mnie „panie Cope” i rzuciła słuchawkę!

9

Norma Rowan miotła się w poczekalni, przynosząc mężowi kubki z kawą i batony czekoladowe z automatu w korytarzu szpitala. Rowan siedział w plastikowym krześle i obsesyjnie roztrząsał paragraf umowy ubezpieczeniowej, mówiący o „sile wyższej”.

- Nie będzie problemu z pieniędzmi - powtórzył głośno po raz dziesiąty. - Przepisy mówią jasno, że w przypadku, gdy produkcję filmu przerwie śmierć, choroba lub kalectwo aktora, nie ma problemu z facetami od ubezpieczenia. Zapłacą, ile trzeba, nawet jeśli nie będzie można skończyć filmu.

Rose Greenway siedziała tuląc się do Zacha, wstrząsana urywanym szlochem, a jej przerażenie i smutek powoli ustępowały miejsca zmęczeniu. Wreszcie Zach, oburzony do granic wytrzymałości, powiedział cichym, stłumionym głosem: - Zamknij się, Rog. Jeszcze nic nie wiadomo. Melanie jest na sali operacyjnej od dwóch godzin, a ty bez przerwy gadasz o ubezpieczeniu.

- To jedyna nadzieja!

- Powinieneś się cieszyć, Zachary, że Roger tak dba o sprawy produkcji - naskoczyła na Zacha Norma Rowan. - Chciałabym wiedzieć, jakbyś się czuł, gdyby wszystkiego nie zaplanował.

- I tak tkwi w gównie po uszy - syknął Roger oskarżycielskim tonem. - Kto nie chciał zadzwonić do Wellsa Cope'a? Kto chciał sam porozmawiać z Melanie? Kto, na Boga, dopuścił do tego, żeby sama załatwiła sprawę z Sidem Whitem? Kto maczał w tym palce? Nevsky, nasz genialny reżyser. On sam, we własnej osobie. Ten burdel to twoja wina!

- Kto z państwa jest tu szefem? - zapytał zdyszany przybysz, młody rozczochrany mężczyzna, który wyglądał tak, jakby przed chwilą wstał z łóżka.

- Czego pan chce, do cholery? - zapytał Zach.

- Oliver Brady z „Dziennika Kalispell”. Był tu jakiś wypadek.

- Nie mamy nic do powiedzenia - warknął Rowan.

- Melanie Adams w szpitalu, a wy nie macie oświadczenia dla prasy?! - wykrzyknął podniecony dziennikarz.

- Idź pan do diabła! - wrzasnął Rowan, popychając go.

- Pozbędę się go - powiedział Zach, biorąc Brady'ego za ramię i prowadząc go korytarzem. - Jestem Zach Nevsky, reżyser „Kronik”. Kto cię nasłał? Jeden z lekarzy? Pewnie tak.

- Chyba pan sobie kpi. Miałbym ujawnić źródło informacji? Wiem, że dostała kulkę. I to niejedną. Wiem, że znaleziono u niej gołego faceta. Pewnie samobójca. Policja siedzi u niej w domu i bada okoliczności śmierci. To wielka wiadomość, a ja dowiem się wszystkiego. Nigdzie stąd nie wyjdę, dopóki nie poznam szczegółów. Prasa ma prawo do informacji. Kim jest ten pierdoła w poczekalni?

- Roger Rowan, producent filmu. Denerwuje się, to zrozumiałe. Przepraszam za to zajście. Nigdy nie widywałem pana na konferencjach prasowych. - Zach ostrożnie badał grunt.

- Jest pan nowy?

- Tak. To moja legitymacja prasowa, jeśli pan nie wierzy. Jestem z działu sportowego, ale to mój kawałek i nikt mi go nie odbierze.

- Nikt nie zamierza - powiedział Zach uspokajającym tonem. Nigdy jeszcze nie widział dziennikarza, który byłby tak bezczelny i jednocześnie tak zdenerwowany. Ohver Brady był do głębi przejęty swoją wielką szansą, ale zdenerwowany, bo nie umiał postawić na swoim.

- Jeszcze nie wiemy, w jakim stanie jest panna Adams

- ciągnął Zach. - Lekarze jeszcze nic nam nie powiedzieli. Czekamy, żeby się czegoś dowiedzieć.

- Kim jest ten facet? Dlaczego był w pokoju Melanie, nagi w środku nocy? Dlaczego ją postrzelił? Gniew? Kłótnia kochanków? Wyrafinowany seks?

- Kto, gdzie, kiedy, co, dlaczego....? Wszystko wiadomo, prócz odpowiedzi na pytanie: dlaczego?

- Zach mówił wolno, a jego umysł pracował jasno i szybko, by wymyślić opowieść, którą podchwyci cały świat. Tak wiele zależało od pierwszej wiadomości.

191

- Brady - ciągnął Zach - jutro będą się tu kłębić ludzie z prasy i z ochrony, ściągnięci przez wytwórnię. Już tu lecą specjalnym samolotem. Wszystkie główne agencje informacyjne przysłały tu własnych reporterów. Będzie taki ścisk, że nie zbliżysz się do szpitala na odległość stu metrów. Twoja gazeta przysłała najlepszego fachowca, a nie młodego dziennikarza sportowego. Ogłosi się tylko oficjalny komunikat. Ale jesteś bystrym, zaradnym facetem, więc zasługujesz na to, by udostępnić ci pewne informacje.

- I tak będę je miał - powiedział stanowczo Brady.

- Jasne, że tak. Jedną dziesiątą. To żaden interes. Grube ryby wezmą to, czego się dowiesz, napiszą jak trzeba i zbiorą laury.

- Słuchaj, Nevsky. I tak wiem już dostatecznie dużo. Nawet jeśli nie odpowiesz na żadne pytanie. Nie próbuj wciskać mi kitu.

Zach przerwał i zastanowił się, przyglądając się badawczo młodemu podekscytowanemu dziennikarzowi. Wreszcie westchnął i powiedział: - Przekonałeś mnie, Brady. Masz magnetofon? Dobrze, włącz go. I pamiętaj, to poufne. Nie powinienem podawać ci tych informacji. - Zach odetchnął głęboko. To delikatna sprawa. Czuł się tak, jakby musiał streścić jeden z dramatów Szekspira w sposób zrozumiały dla grupy dwunastolatków.

- Melanie Adams padła ofiarą przestępstwa dokonanego w afekcie - wyjął Zach, wzdychając. - Miała namiętny romans. Z Sidem Whitem łączyła ją głęboka miłość. Sid nie żyje. Popęłił samobójstwo. Panna Adams i Sid White nie chcieli, by ktokolwiek dowiedział się o ich związku, który trwał już od dawna. Sid White po raz pierwszy pracował na planie. Jest... był... reżyserem oświetlenia, który zgodził się pracować jako robotnik, żeby być bliżej panny Adams. Panna Adams zdała sobie ostatnio sprawę z tego, że musi zakończyć ten romans. Sid White był zbyt wybuchowy, bezpodstawnie zazdrosny i obsesyjnie zaborczy. Martwiła się o jego równowagę psychiczną i nie mogła się z tym pogodzić, mimo iż bardzo go kochała.

- Kochała tego faceta? Nabijasz mnie w butelkę?

- W żadnym wypadku. Melanie Adams była naprawdę zakochana... ale uświadomiła sobie, że związek z Sidem

192

Whitem może jej zaszkodzić. Mieli prawdziwy romans w starym stylu, Brady. Panna Adams zawsze była wielką roman-lyczką. Do diabła, można to stwierdzić już na podstawie ról, które wybierała.

- Nie widziałem żadnego jej filmu.

- Więc zapytaj waszego krytyka filmowego, Brady. Na Boga! Byłem u niej w piątek, żeby przedyskutować tę sprawę. Radziłem jej, żeby pozwoliła mi porozmawiać z Sidem, załatwić to za nią, ale powiedziała, żebym się nie wtrącał. Rozgniewała się na mnie. Miała zbyt miękkie serce, była zbyt uczuciowa, nie chciała słuchać rad. Postanowiła sama porozmawiać z Sidem...

Powiedziała, że tak należy postąpić. To jej własne słowa, Brady, „tak należy postąpić”... cholera, gdyby nie była taka romantyczna, taka staroświecka! Sid przyszedł do niej wieczorem. Był umówiony, bo w przeciwnym razie panna Rose Greenway, asystentka, fryzjerka i przyjaciółka, która mieszka z panną Adams, na pewno by go nie wpuściła. Panna Greenway siedzi w poczekalni, a ta druga pani to żona Rogera Rowana.

- I co potem? Dlaczego miał pistolet?

- Bóg jeden wie. Ilu ludzi nosi dziś pistolety, nie wiadomo po co? Jak już powiedziałem, Melanie martwiła się, bo Sid był nie zrównoważony, zaborczy, bezpodstawnie zazdrosny. Przypuszczam, że dowiedział się, iż Melanie nie wyjdzie za niego, że nie chce go widywać, i wpadł w szał. Strzelił do niej. Pewnie sądził, że ją zabił, więc popełnił samobójstwo. Jak w Mayer-ling... Słyszałeś o

Mayerling? Nie? To pałac w Austrii. Książę Rudolf zabił tam kobietę, którą kochał szaloną miłością - Marię Vetserę, a potem popełnił samobójstwo. To dziewiętnastowieczna zbrodnia w afekcie, Brady. Kobieta taka jak Melanie Adams budzi podobne namiętności. To jej nieszczęsny los... Mayerling w Montanie... Czuję, że dziś w nocy powtórzyła się tu historia.

- Mayerling w Kalispell... nie. Mayerling w Montanie brzmi lepiej.

- Historycy do dziś zachodzą w głowę, co stało się tamtej nocy w okolicach Wiednia - ciągnął Zach, widząc, że ryba połknęła haczyk. - Zastanawiają się, czy Maria Vetsera zgodziła się na wspólne samobójstwo, czy nie, ale wszyscy pamiętają tę historię. Twoją też będą pamiętać, Brady. Staniesz się sławny! Ale nie daj się ponieść fantazji. Dziś w nocy nie doszło do próby

201

samobójstwa w duecie. Melanie Adams chciała rozstać się z Sidem Whitem, a on chciał ją zabić. Rose Greenway znalazła ciała i natychmiast wezwała Rogera Rowana, producenta. Obaj natychmiast udaliśmy się na miejsce zdarzenia. Kiedy spojrzałem na pannę Adams leżącą na podłodze, wiedziałem, że chciała się osłonić. Jedną ręką zasłaniała twarz, jakby go odpychała.

- Mimo to chciałbym wiedzieć, dlaczego miała na sobie tylko nocną koszulę, a facet był golutki? Dlaczego nie odprawiła go ubrana jak trzeba?

- Jezu, Brady, nie masz pojęcia o miłości! - syknął Zach.

- Lepiej postaraj się je mieć i to szybko, bo inaczej będziesz pisał o baseballu do końca życia, nawet jeśli trafisz świetny temat. Dlaczego, jak ci się zdaje? Do diabła! Powiem ci dlaczego! Panna Adams zgodziła się kochać z tym szaleńcem po raz ostatni, bo litowała się nad nim. Dlatego! Cała jej wina polega na tym, że zabrakło jej zdolności oceny sytuacji, że miała zbyt miękkie serce, że była zbyt romantyczna, zbyt staroświecka. Wielki błąd! Nie mógł jej mieć tylko dla siebie, więc chciał ją zabić, żeby nie mógł jej mieć cały świat. Typowa zbrodnia w afekcie, samolubnym, szalonym afekcie. Chryste! Piszesz o Melanie Adams, a nie o meczu z dogrywką. Leży na sali operacyjnej, ofiara zbrodni w afekcie, z powodu miłości, Brady! Nie zapominaj o tym! Wracam do poczekalni.

- Zadzwońisz do redakcji, kiedy się dowiesz, co z nią jest?

- zapytał chciwie Brady.

- O, nie. Nie mogę. Opowiedziałem ci wszystko. Zbyt wiele wymagasz. Nie mam prawa tego robić, Brady.

- Słuchaj, Nevsky. Jeżeli do mnie zadzwonisz i opowiesz mi dokładnie, jak się czuje... o wszystkim, co mówią lekarze, przeczytam ci mój artykuł przez telefon, co do słowa, zanim go zaniósę szefowi. Obiecuję. Chcę być pierwszy.

- Zgoda. I... Brady, jeżeli twój artykuł będzie uczciwy, jeżeli nie dodasz własnych ozdobników i spekulacji, jeżeli przeczytasz przez telefon dokładnie to, co ukaże się w gazecie, dostarczę ci informacji, powiadomię o nowych faktach. Rezerwuję tę wiadomość dla ciebie i w naszym wspólnym interesie leży, by zrobić wszystko, jak trzeba. Jednak, jeżeli powiesz komukolwiek, skąd wzięłeś te informacje - zapomnę o twoim

194

istnieniu, Brady. To mój numer telefonu, bezpośrednio do biura. Dzwon, kiedy chcesz. Inni dziennikarze będą czekać na oficjalny komunikat. Jeżeli będę w plenerze, sekretarka przekaze mi, że dzwoniłeś. Jeżeli będę w szpitalu, powiem im żeby mnie z tobą połączyli, kiedy zadzwonisz. Daj mi swój numer do domu i do pracy. W brukowcach roi się od rozmaitych bzdur, więc to ulga, kiedy człowiek ma do czynienia z kimś, kto uprawia uczciwe dziennikarstwo, nawet jeśli nie jest romantykiem.

- Jak się pisze „Nevsky”?

- Mówiłem ci, że to poufne. Nazwij mnie „pewnym źródłem informacji”, na Boga - powiedział Zach z irytacją.

- I tak chcę wiedzieć, jak to napisać. Ty i producent byliście pierwszymi osobami, które miały do czynienia ze zbrodnią namiętności - z Mayerlingiem w Montanie.

*

Po raz pierwszy wystąpiłem w roli Wielkiego Manipulatora, myślał Zach, wracając biegiem do poczekalni. Nie byłby tak pewny siebie, nie powiedziałby tyle i nie przemilczałby równie wiele, rozmawiając z Bradym, gdyby nie wysłuchał wcześniej dziesiątków opowieści o dramatach na planach filmowych, którymi uraczył go ten szczwany lis, Vito Orsini. Jako producent, ojciec Gigi miał w sobie prawdziwą pasję i szacunek dla filmu, których brakowało Rogerowi Rowanowi.

Zaprawiony w bojach o wytwórnę, potrafił także doskonale radzić sobie z dziennikarzami. Odkąd Vito sprowadził Zacha z Broadwayu, żeby reżyserował „Fair Play” - film, który uratował Vita, przynosząc mu upragniony sukces po długim okresie posuchy, a z Zacha uczynił najmodniejszego nowego reżysera Hollywood, łączyła ich obu głęboka przyjaźń.

A jednak to dopiero pierwszy krok, pomyślał Zach. Udało mu się wymyślić opowiadanie, która chwyci na początku. Jeżeli jakimś cudem Melanie zdoła zachować się jak należy, sprawa produkcji i tak skomplikuje się na setki ważnych i nieprzewidzianych sposobów. W swojej długiej i nierównej karierze producenta Vito radził sobie z takimi, a nawet gorszymi sytuacjami i nigdy się nie poddawał, nigdy nie winił reżysera. Rowan robił i jedno, i drugie. Zach zrozumiał, że

potrzebuje sprzymierzeńca - kogoś, kto potrafi wyprzedzić tok myśli Rowana i Ackermana. Potrzebuje Vita Orsiniego.

*

Minęło jeszcze pół godziny w ciszy poczekalni. Wreszcie z sali operacyjnej wyszli dwaj zmęczeni chirurdzy.

- Wyzdrowieje - powiedział starszy z nich. - Musieliśmy zrobić jej transfuzję. Było z nią kiepsko, ale wydobrzeje. Jest na oddziale intensywnej terapii.

- A twarz? - wykrzyknął Rowan. - Co z twarzą?

- Cała i zdrowa, dzięki Bogu - powiedział drugi chirurg.

- Pocisk rozerwał arterię na wysokości nadgarstka i spowodował krwotok. Ma złamane liczne kości ręki i rany powierzchniowe na ramieniu. Zrobiliśmy, co w naszej mocy, ale musi pozostać pod opieką lekarską i potrzebuje specjalisty rehabilitanta, który zajmie się ręką. Lepiej sprowadźcie go jutro. Dziewczyna ma szczęście. Gdyby znalazła się w szpitalu dziesięć minut później, wykrwawiłaby się na śmierć. Rzadko widuję kogoś w takim szoku.

- Kiedy może wrócić do pracy? - zapytał Rowan stanowczym tonem.

- Do pracy!?! - Młodszy chirurg nie wierzył własnym uszom.

- To filmowcy, Joe. Nie dziw się - powiedział z niesmakiem starszy chirurg. - Nie wiem. Mogą pojawić się nieoczekiwane komplikacje fizyczne i emocjonalne, których nie potrafię przewidzieć. Nie wiem, jak zareaguje na transfuzję. To bardzo złożona sprawa i dopóki jest na oddziale intensywnej terapii, nie mogę udzielić żadnej odpowiedzi.

- Choć w przybliżeniu. Nic więcej - nalegał Rowan.

- Gdyby chodziło o mnie... potrzebowałbym co najmniej sześciu miesięcy, żeby wydobrzeć - odparł lekarz. - A potem poszukałbym sobie innej pracy.

Kiedy obaj chirurdzy wyszli, Zach i Rowan ruszyli do budek telefonicznych w holu głównym. Zach chciał zadzwonić do Brady'ego, Rowan - do swojego agenta. Wkrótce Zach wrócił po Rose Greenway i czekał z nią, aż Rowan skończy rozmowę. Producent wyszedł wreszcie z budki i podszedł do żony.

- Roger, chcę z tobą porozmawiać - powiedział cicho Zach.

- Na osobności. Przejdźmy się korytarzem.

196

- Co znowu?

- Allen Henrick, ten drugi facet, z którym sypiała Melanie. Sam rozumiesz, że powinien siedzieć cicho.

- Tak.

- Lou Cavona musi jak najszybciej spotkać się z nami w biurze. Załatw to. Poradzi sobie z Allenem. Poza tym Sid był jego szwagrem, więc Lou musi się dowiedzieć, że nie żyje.

- Zanim cokolwiek zrobię, zadzwonię do Ackermana. Odpowiadam przed Ackermanem.

- Roger, kiedy Ackerman otworzy oczy, zdążysz mu opowiedzieć, że wszystko to moja wina. Po co budzić go w nocy? Nie będzie ci za to wdzięczny. Teraz, kiedy możemy załatwić wszystko w rodzinie, ważny jest Lou Cavona.

- W rodzinie! Ta wiadomość trafi na pierwsze strony gazet na całym świecie! Do radia, do telewizji... to tylko kwestia czasu. Bóg jeden wie, co napisze ten młody łachmyta.

- Módlmy się, żeby okazał się wielbicielem Melanie Adams.

*

Podróż do dalekiego Kalispell w lutym nie jest łatwa, ale w dzień po tym, jak artykuł Olivera Brady'ego dotarł do wszystkich agencji i natychmiast okrążył świat, na płycie miejscowego

lotniska zaczęły lądować samoloty prywatne - od wielkich odrzutowców należących do wytwórni filmowych po małe samoloty czarterowe, które powinny były pójść na złom kilkadziesiąt lat temu. Zarząd lotniska międzynarodowego w Glacier Park, zdając sobie sprawę, że to dopiero początek, nakazał oczyścić ze śniegu dwa pobliskie pola i wynajął załogę, która pilnowała, by dziesiątki samolotów lądowały, gdzie trzeba.

W miasteczku każdy z ponad dwudziestu moteli i hoteli przy Autostradzie 93 gorączkowo zatrudniał personel do sprzątanía pokoi, które stały puste od końca sezonu turystycznego u progu jesieni, kiedy zamykano drogę do pobliskiego parku narodowego. Właściciele restauracji prowadzili długie rozmowy telefoniczne, zamawiając dostawy aż z San Francisco, gotowi zapłacić wygórowaną cenę za lotnicze dostawy produktów,

205

ponieważ wiedzieli, że będą mogli zrobić kokosy na podawanych posiłkach.

Najpierw wylądowały wielkie samoloty. Joe Irving, szef działu produkcji w wytwórni, wraz z asystentami i sekretarkami przybył w kilka minut po tuzinie agentów ubezpieczeniowych. Za nimi zjawili się inni pracownicy wytwórni - niemal cały wydział do spraw kontaktów z mediami, szef ochrony i jego goryle, szef do spraw kontraktów i jego asystenci, wielka gromada prawników wytwórni, agent i prawnik Melanie Adams oraz agent i prawnik Rowana. Zach pomyślał, że w Hollywood został tylko Ackerman, a cały wydział produkcji rzucił się, by znaleźć najlepsze noclegi w mieście, zanim zajmą je dziennikarze z prasy i telewizji wraz z obsługą. W tym zmasowanym ataku uczestniczyli tylko dziennikarze amerykańscy. Jednak w drodze były już samoloty wiozące reporterów z Japonii, Francji, Niemiec, Wielkiej Brytanii, ze wszystkich krajów, w których wyświetla się amerykańskie filmy, gdzie znano z ekranu Melanie Adams, Clinta Eastwooda i Paula Newmana.

Vito Orsini, do którego Zach zadzwonił w środku nocy, był jednym z pierwszych, którzy przybyli do Kalispell. Podrzucili go swoim samolotem faceci od ubezpieczeń. Zamieszkał w apartamencie Zacha w Outlaw Inn.

- Wiesz, co zrobiłbym, gdybym miał dom w Kalispell?

- zapytał Vito, wodząc dokoła rozbawionym spojrzeniem.

- Zrobiłbym przetarg z udziałem Niemców i Japończyków, wynająłbym dom na co najmniej trzy miesiące i zabrał rodzinę i dzieciaki do taniego domku na Florydzie, dopóki ten bałagan się nie skończy. Miałbym forszę, żeby zapłacić za naukę dzieciaków, a przy okazji opaliłbym się pięknie. Do diabła, nawet wynajęcie ogrzewanego garażu będzie tu kosztować majątek, kiedy zjawią się ludzie z „Enquirer” i z „Sun”.

- Cieszę się, że masz dobry humor, Vito - uśmiechnął się boleśnie Zach.

- Cieszę się, że to nie mój film - odparł Vito.

- Moralnie rzecz biorąc to także twój film - upierał się Zach. - Jest mój, ale wezwałem cię, żebyś trzymał mnie za rączkę, więc jest także twój.

198

- Dziękuję ci za ten zaszczyt, moje dziecko. Cieszę się, że dotychczas nikt nie rości sobie moralnego prawa do mojego tyłka. O co chodzi?

- Lou Cavona był wspaniały. Powiedział, że trzy pokolenia pracowników filmu, wywodzących się z jego rodziny, godnie przeżyły huragany, trzęsienia ziemi, epidemie, burze piaskowe, węże, wściekłe słonie, tajfuny, nie mówiąc już o zwariowanych reżyserach, producentach i aktorach. Wszystko widzieli, wszystko robili i nigdy niczego się nie bali. Ale tacy byli członkowie rodu - Cavona. Sid White był jego szwagrem, a zatem nie miał fachu w genach. Lou obwinił się za to, że dał chłopakowi tę robotę. Żał mu żony i jej rodziny, ale ostatni raz wyświadczył im taką przysługę. Rozumie ten problem równie dobrze jak Ackerman.

- Co z drugim facetem?

- Lou zajął się Allenem Henrickiem. Nie pytałem go, jak to zrobił i nie chcę nawet wiedzieć, ale Henrick jest właśnie w drodze do Los Angeles i będzie pracował przy innym filmie. Henrick jest żonaty i chce być żonaty, więc będzie siedzieć cicho. Wy tłumaczy żonie, że nabawił się lekkich odmrożeń. Lou powiedział, że inni ludzie z obsługi nie pisną słówka dziennikarzom, pod groźbą tortur i wylania z roboty. Lou to załatwi.

- A co z resztą aktorów i obsługi? Cholera, kiedy zaczną tu węszyć dziennikarze, wystarczy jedna bystra kelnerka, żeby rozpętać burzę plotek.

- Wiem, Vito. Ale to będą tylko plotki, a nie istotna informacja, którą wszyscy już znają i uważają za prawdziwą. Jest lepiej, niż się spodziewaliśmy.

- Zrobiłeś kawał dobrej roboty, dziecko. Mayerling w Montanie! Wstydz się!
- To dlatego, że reżyserowałem sztuki w szkole średniej i czerpałem natchnienie ze straszliwych opowieści, którymi mnie raczyłeś.
- Czy opowiadałem ci o mojej wpadce w Meksyku, podczas zdjęć do „Ciszy morskiej”, w 1975, prawie dziewięć lat temu? Nie? Z tego kłopotu wyciągnęła mnie Maggie MacGregor. Zrobiła dzięki temu karierę. Co więcej, morderca nadal pracuje w branży, a nawet dostał Oscara. O nic nie pytaj! Czy Maggie przyjedzie?

- Czy odmówi sobie takiej okazji?
- Nie widziałem jej od czasu tej afery z przedpremierowym pokazem „WASP-a” - powiedział Vito, przypominając sobie, jak Maggie MacGregor, najważniejsza dziennikarka telewizyjna w kraju, opuściła jego łóżko, siłąc się zaledwie na „do widzenia”, kiedy tylko dowiedziała się o rozmiarach historycznej klęski filmu, który wiele lat temu nadał słowu „klapa” całkiem nowe znaczenie. Od tamtej pory nakręcił trzy świetne filmy, ale Maggie zniknęła na dobre z jego życia.
- Masz na nią jakiś wpływ? - zapytał z nadzieją Zach.
- Może tak, może nie - odparł Vito. - To zależy od tego, czy ma sumienie. Trudne pytanie, mały. Kobieta, którą pieprzysz ku jej wielkiej radości, rzuca cię jak śmieć, bo zrobiłeś film do dupy... Czy to dlatego, że czuje się zraniona, czy dlatego, że chce cię zranić?
- Wszystko zależy od tego, jak sama to sobie wytłumaczyła - odparł Zach, starając się nie okazywać zdumienia, kiedy słuchał zwierzeń Vito. Przecież kręcił „WASP-a”, kiedy był jeszcze mężem Billy Ikehorn Orsini Elliott. - Oba wyjaśnienia są prawdopodobne.
- A miejscowa policja?
- Lekarze nie pozwolili im jeszcze na rozmowę z Melanie. Ale zniosła transfuzję bardzo dobrze, więc powiedzieli mi, że przeniosą ją z oddziału intensywnej terapii do izolatki, a wtedy nie będzie można powstrzymać szefa policji od zadawania pytań.
- Musisz to z nią przećwiczyć. Dziś wieczorem.
- Przecież wiem - westchnął Zach. - Zastanawiam się tylko, co powinna powiedzieć.
- Wystarczy jedno zdanie. Przeczytaj jej najważniejsze fragmenty artykułu Brady'ego, a potem powiedz, żeby twierdziła, że nic nie pamięta. Zupełnie nic. W ogóle nie pamięta tamtego dnia. Szok. Jedno zdanie: „Nie pamiętam”. A może dwa, jeżeli czuje się na siłach. „Co ja tutaj robię?” Klasyka! Uwielbiam to zdanie. Trafia w sedno. Te dwa zdania załatwią wszystko. Zostaw mnie teraz ze scenariuszem. Muszę przeczytać go jeszcze raz.
- Vito, nawet gdyby zdarzył się cud i Melanie mogłaby znów pracować za dziesięć dni, dziesięć dni... Chryste!...

200

będzie miała rękę w gipsie i na temblaku. To i tak mało prawdopodobne, że pozbiera się w ciągu dziesięciu dni. Ale Eastwood i Newman mają umowy na czas określony, co oznacza, że ich stracimy, jeżeli Melanie nie zagra z Newmanem sceny oświadczyn i wielkiej sceny walki z Eastwo-odem przed upływem dziesięciu dni. Dwie główne romantyczne sceny! Skończy się na tym, że nie nakręcimy filmu, nawet jeśli kompania ubezpieczeniowa zwróci koszty. Joe Irving i cała ekipa produkcyjna przeglądają teraz próbki i na pewno będą zachwyceni tym, co zobaczą. Gwarantuję ci. To jeszcze pogarsza sprawę.

Vito czule i protekcjonalnie pokiwał głową nad Zachem.

Posłuchaj, zjeżdżaj stąd i daj mi pomyśleć. Dobrze, dobrze, zapytaj mnie o to, co naprawdę chcesz wiedzieć.

- Cholera, Vito. - Zach spojrział na niego z niemym błaganiem.

- Gigi ma się dobrze, mały. Robi wielką karierę, zdobyła nowy kontrakt i zarobiła tylko dwa mandaty w zeszłym miesiącu.

- Vito...

- Tak, ma jakiegoś faceta. Czego się spodziewałeś, żaloszny dupku?

- Jakiego faceta?

- Słyszałem, że z nim pracuje. Gigi nie ma czasu na prywatne rozmowy, odkąd się rozstaliście.

Przypuszczam, że nie chce mi nic powiedzieć, bo wie, że się przyjaźnimy. - Vito wzruszył

ramionami. - Teraz widzę, że nie masz pojęcia, jak postępować z kobietami. Zupełnie jak ja. Witaj w naszym gronie.

Czy Melanie Adams zrozumiała to, co jej wczoraj powiedziałem? - zastanawiał się Zach, wchodząc z komendantem policji z Kalispell i lekarzem do pokoju aktorki. Milczała, kiedy odczytał jej fragmenty artykułu z gazety i przekazał, co powinna powiedzieć. Leżała z zamkniętymi oczyma, a jej mizerna, zmęczona twarz była pozbawiona wyrazu. Była świadoma jego obecności - wyszeptała jego imię, kiedy pozwolono mu wreszcie spędzić trzy minuty przy łóżku,

209

i lekko skinęła głową, kiedy wychodził - ale milczała, a jej twarz była biała niczym twarz zmarłej. Czy nafaszerowali ją środkami uspokajającymi? Czy zapamięta, że nie powinna rozmawiać z szefem policji?

Zach oparł się o ścianę szpitalnego pokoju. Ordynator oddziału chirurgii i policjant przysiedli na krzesłach po obu stronach łóżka.

- Tylko kilka minut, komendancie - powiedział lekarz.

- Jeżeli uznam, że to zbyt męczące, poproszę, żeby pan skończył.

- Dobrze, doktorze. Panno Adams, przykro mi, ale muszę zadać pani kilka pytań - powiedział policjant stłumionym głosem, włączając magnetofon. Melanie zwróciła ku niemu swoje cudowne zdziwione oczy. Otworzył usta i nie powiedział ani słowa. Wreszcie opanował się i zaczął mówić.

- Panno Adams, w nocy, kiedy Sid White strzelił do pani... czy powiedział coś, zanim wyciągnął pistolet?

- Sid... co z nim? Gdzie on jest? - zapytała Melanie błagalnym tonem. Zach wyprostował się, a włosy na karku zjeżyły mu się z przerażenia. Nie pamiętała, co mówił wczoraj.

- W porządku... on... - Policjant zamilkł. Nie chciał powiedzieć tej biednej kobiecie o śmierci Sida White'a.

- Popełnił samobójstwo, panno Adams - powiedział ostrożnie doktor.

- Nie! Nie! Nie! Och, mój Boże... biedny, kochany Sid... biedny szalony Sid, tak się o niego bałam

- wyszeptła Melanie rozpaczliwym głosem. - Był taki impulsywny, tak bardzo cierpiał, był za słaby, żeby poradzić sobie z tym światem... nie tak... jak ten drugi.

- Drugi?

Zach zamknął oczy i poczuł, że zaraz zemdleje.

- Jak inni, inni... ludzie filmu, panie komendancie. Był łagodny, subtelny, tak go kochałam.

- Panno Adams, on strzelał do pani - nalegał policjant.

- Na pewno nie wiedział... co robi - wyszeptła Melanie.

- Na pewno nie chciał mnie skrzywdzić. Może oszalał? A teraz... Sid... nie żyje. Dowiódł swojej miłości... całymi miesiącami... powtarzałam mu, że nie ma powodów do zazdrości... ale nie chciał mi uwierzyć... Och, Sid, gdybyś tylko uwierzył...

210

- Czy powiedziała mu pani, że z nim zrywa? Czy to było przyczyną?

- Na pewno tak. Cóż innego? Powinnam była posłuchać Zacha... Chciał to załatwić z Sidem...

Byłam głupia... Kochałam go tak bardzo, że posłuchałam głosu serca. - Melanie miała łzy w oczach.

- Komendancie, na Boga, proszę zostawić ją w spokoju - powiedział gniewnie lekarz.

Komendant zerwał się w popłochu i wyszedł z pokoju, rzucając tęskne spojrzenie na największą piękność, jaką widział w życiu. Lekarz zbadał puls Melanie, po czym wziął stetoskop i pochylił się, by posłuchać jej serca. Ta krótka chwila wystarczyła, by Melanie spojrzęła na Zacha i puściła do niego niemal niezauważalne perskie oczko.

*

- Odegrała scenę! Vito, gadałaby godzinami, gdyby nie powstrzymał jej lekarz! - Teraz rozumiesz, dlaczego uwielbiam aktorki, Zach?

- Prawie umarłem ze strachu. Wiedziała o tym. Zrobiła to specjalnie.

- Dają się kochać.

- Ale ona? To bestia zupełnie innego pokroju. Aktorki to moja specjalność, ale dobrze wiem, kiedy dostają po łapach i jestem traktowany jak przedszkolak.

- Dlatego uda ci się skończyć ten film, mały. Jeżeli zagrała dzisiaj jak Eleonora Duse, na pewno zagra z Eastwoodem i Newmanem przed upływem dziesięciu dni. Nie ma sprawy.

- Paul oświadcza się jej, kiedy jadą saniami, a scena walki rozgrywa się w plenerze, na schodach rezydencji Clinta.

- Już nie. Spójrz na stronę osiemdziesiątą ósmą, tu, gdzie zaznaczyłem. W tym miejscu spadnie z konia... oczywiście potrzebna jest dublerka... i złamie rękę. Sceny oświadczyn i walki rozegrają się w szpitalu, z Melanie w łóżku. Włosy, makijaż, koszula nocna, gips i temblak. Kiedy stanie na nogi, zapewne wcześniej, niż się wszystkim wydaje, można zrobić zdjęcia na koniu. Nie musi wsiadać, może przy nim stać. I nie ma problemu - może grać w gipsie, z temblakiem i tak dalej. Jedyny problem to nowe kostiumy.

203

- Ależ, Vito!

- Ależ co?

- Melanie jest nauczycielką muzyki! W książce to bardzo ważny fakt.

- Nakręciliście już sceny, kiedy daje lekcje, prawda? Wspaniale, więc od tej pory będzie uczyć śpiewu. Umie śpiewać, prawda? Jeżeli nie umie, podłoży się głos. Nie trzymaj się tak ściśle książki. Kiedy zdobyłem Oscara za „Zwierciadła”, ludzie pamiętali tylko to, że Dolly Moon zaczęła rodzić, kiedy ogłoszono, że dostała Oscara za najlepszą rolę drugoplanową. Ludzie nie czytają książki i nie porównują jej z filmem scena po scenie. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent powieści „Przeminęło z wiatrem” wcale nie ma w filmie. Głowa do góry, Zach. Książka to nie świętość. Kto dostał nagrodę Pulitzera w zeszłym roku? Widzisz, nie masz pojęcia! Dlaczego nie ma w ekipie waszego scenarzysty? Niech przyjeżdża, może spać na podłodze.

- Vito, na miłość boską, jak możemy kręcić w szpitalnej sali? Melanie ma największy pokój w szpitalu, ale co z kamerami, ekipą, światłem, kablami? Nie zmieszczą się.

- Ile może kosztować wynajęcie sali operacyjnej na kilka dni? Właściwie dlaczego wytwórnia nie może wybudować nowego skrzydła szpitala? Zrobić dobrego uczynku i zyskać na tym? Możecie przygotować plan w sali operacyjnej, pracując po nocach. Nie będziecie przeszkadzać lekarzom w pracy. Łóżko Melanie przywiezie się do sali tylko na zdjęcia. Żadnych dalekich ujęć, tylko zbliżenia. Robiłem to kiedyś na Sycylii, na początku, kiedy kręciłem jeszcze makaroniarskie westerny.

- Czy już ci mówiłem, że cię uwielbiam?

- Zdaje się, że tak. Chodź Zach, postawię ci drinka.

*

Przy barze w Outlaw Inn panował taki ścisk, że Zach i Vito musieli poszukać stolika. Ponieważ zdjęcia zawieszono do czasu podjęcia decyzji, wszyscy prócz pracowników wytwórni mieli mnóstwo wolnego czasu. Zbierali się więc, plotkowali i myśleli o pensjach, które dostaną i tak, mimo przerwy w pracy.

204

- Zajmuj stolik - powiedział Zach, kiedy rozradowana grupa pracowników garderoby wstała i ruszyła do wyjścia. Wślizgnęli się na ich miejsce z wprawą właściwą mężczyznom, którzy wychowali się w Nowym Jorku i codziennie szukali miejsca w zatłoczonym metrze.

- Co pijesz? - zwrócił się Vito do Zacha.

- Negroni, kochanie. Cóż innego? - powiedział słynny kobiecy głos. Maggie MacGregor przyłączyła się do towarzystwa. - Pamiętasz, jak przyniosłeś mi pierwszego drinka, koteczku? Rzym, 1974, Hostaria del Porso. Nigdy tego nie zapomnę. - Pochyliła się i pocałowała Vito w usta.

- Jeżeli w Montanie nie mają Campari, będę bardzo rozczarowana. Skąd się tu wzięłeś, u diabła?

- Domyśliłem się, że tu przyjedziesz, więc siedziałem w namiocie i czekałem na ciebie -

powiedział Vito ze śmiechem. Ucieszył się na jej widok. Jeżeli zaczęła rozmowę od wspomnienia swojego pierwszego wywiadu, który przeprowadziła z nim dla „Cosmopolitana”, kiedy była jeszcze początkującą dziennikarką - wywiadu, po którym nastąpiły dwa tygodnie miłości i wzajemnego przyjacielskiego szacunku, to oznaczało, że można zapomnieć o wszelkich przykrościach.

- Jak zwykle wyglądasz jak skrzyżowanie młodego Johna Hustona i młodego Vittoria de Siki - powiedziała Maggie, spoglądając na Vito z aprobatą i zauważając, że jego promienność, siła i śniada cera nie ucierpiały wiele, mimo upływu kilku lat i niskiej temperatury w Montanie. Jego krótkie kręcone włosy były tak samo gęste, jak je zapamiętała, a jego arystokratyczny duży włoski nos i pełne usta były równie wyzywająco włoskie jak dawniej. - Jak zwykle, Vito, masz na sobie

sportowe tweedy i kaszmirową kamizelkę, choć wszyscy wokół poubierali się jak drwale. Czy przywoziłeś karakułowe futro? Kim jest ten pan? - zapytała, wskazując na Zacha.

- Maggie, pozwól, że ci przedstawię Zacha Nevsky'ego, reżysera „Kronik”.

- Byłam zachwycona „Fair Play”. - Maggie wypróbowała na Zachu urok swoich ciemnych okrągłych oczu Betty Boop - oczu, które osądzały i szacowały, zmuszały i nakłaniały połowę ludzi ze świata show businessu do wyznań, których wcale nie zamierzali czynić publicznie podczas

213

jej telewizyjnych wywiadów. Miała trzydzieści dwa lata i była u szczytu swoich możliwości - bosko pulchna tam gdzie trzeba, doskonale upozowana i wielbiona przez trzy czwarte Amerykanów, którzy oglądali jej wywiady telewizyjne w najlepszym czasie antenowym.

- Dziękuję, Maggie - powiedział z szacunkiem Zach.

- Co tu robi Vito? - zapytała go.

- Ach, Vito... cóż...

- Przyjechałem, bo chcę namówić Zacha, żeby reżyserował mój nowy film, Maggie, a kiedy wybuchła afera, postanowiłem zostać i zobaczyć, co z tego wyniknie.

- Jaki nowy film? - zapytała władczy tonem.

- To wielka tajemnica. Za wcześniej, żeby ją wyjawić, nawet tobie, kochanie, ale Zach dał mi słowo. Prawda, Zach?

- Oczywiście - odparł Zach wiedząc, że w tej chwili zgodził się na film, o którym nie miał pojęcia. Jego „tak” było równoznaczne z podpisaniem wstępnej umowy. To wyjaśniało, dlaczego Vito tak szybko złapał samolot do Kalispell. Hm, taki układ wydawał się uczciwy, zważywszy, ile zawdzięczał pomocy Vito przy „Kronikach”.

- Zatem, znów będziecie pracować razem. To cudowne... dajcie mi znać. Słuchaj, Vito, czy pamiętasz naszą kolację w Boutique of La Scala w Beverly Hills? Czy już zgłupiałam, czy Billy była wściekła, kiedy wspomniałam o tej kłapie w Meksyku? Do tej pory o tym myślę... Nigdy mnie nie lubiła i nadal nie lubi, ale, mój Boże, kiedy zadzwoniłam, żeby powiedzieć ci o Oskarze na dzień przed rozdaniem, chyba zmazałam swój grzech?

- Och, wiesz przecież, że Billy...

- Czy naprawdę nie rozumiała, że wtedy nic między nami nie było?

- Słuchajcie, muszę lecieć - powiedział Zach, szybko wstając z miejsca.

- Coś, o czym powinnam wiedzieć? - zapytała Maggie bez namysłu, nie spuszczać wzroku z Vito.

- Ćwiczenia z pierwszej pomocy w nagłych wypadkach. Nie mogę się spóźnić - powiedział Zach i wypadł z baru, żeby móc wreszcie roześmiać się historycznym śmiechem, który z trudem powstrzymywał.

206

- Jest fajny - powiedziała Maggie. - Naprawdę fajny.

- Zajęty, Maggie.

- Co to znaczy?

- Moją córką. Zach to rodzina.

-- Cóż... w takim razie... - Zainteresowanie Maggie natychmiast zgasło.

- Za głośno tu. Prawie cię nie słyszę - poskarżył się Vito. Może pójdziemy gdzieś, gdzie jest cicho? Na przykład do

ciebie? Mamy o czym rozmawiać. Gdybym nie mieszkał z Zachem, zaprosiłbym cię do siebie.

- Chodźmy do mnie. Zdejmijemy buty, zamówimy kolację do pokoju i odpoczniemy. Nic ciekawego nie wydarzy się tu dziś wieczorem.

- Zostajesz?

- Ależ oczywiście, Vito - powiedziała zdumiona Maggie. - Mam apartament prezydencki. Moja stacja telewizyjna wie, jak należycie traktować kobietę.

Zanim dostarczono kolację, dzięki przebiegłości Vito Maggie uwierzyła, że sama wpadła na pomysł nakręcenia godzinnego reportażu o uratowaniu „Kronik Kalispell”.

- To zabawne, ale fascynuje mnie nie sam film, lecz zainteresowanie tą sprawą - powiedział, kiedy leżeli w uścisku, świętując swoje ponowne spotkanie jeszcze przed kolacją.

- Usiłowanie morderstwa i samobójstwo? Ależ, Vito, wszyscy się tym zajmują. Będą o tym tyle pisać, że czytelnicy porzygają się po dziesięciu dniach. Nie chciało mi się przyjeżdżać, ale zażądała tego rada programowa.

- Zgoda, nie bawi cię fakt usiłowania morderstwa i samobójstwo, wszystko już widziałas. Nawet Melanie Adams w roli ofiary to żadna atrakcja. Ale ciekaw jestem, co z tego wyniknie. To aktorka, która zrobiła karierę i została gwiazdą tak łatwo i szybko, jak żadna inna. Nigdy nie spotkała jej żadna krzywda. Ma talent - to jasne. Jest piękna - to oczywiste, ale z tym się urodziła. W gruncie rzeczy to niesprawiedliwe. Ma życie usłane różami. Inaczej niż ty, ja i większość ludzi.

- Słucham uważnie.

- Ciekaw jestem, jak wpłynie na nią to bolesne doświadczenie. Nie może zachowywać się tak, jakby nic się nie stało. To byłoby nieludzkie. Pewnej nocy, w sypialni, przeżywa

215

koszmar - mężczyzna z pistoletem powala ją na ziemię, celuje w twarz, o mało jej nie zabija. Nigdy, przenigdy o tym nie zapomni. Musi zdać sobie sprawę z tego, że śmierć zajrzała jej w oczy, że jej kariera mogła lec w gruzach. Jak wpłynęło na nią takie przeżycie? Nie sędzę, żeby ktoś o tym napisał.

- Och, bzdura. Melanie wynajmie ochroniarzy, tak jak inni, kupi wielkie owczarki niemieckie, a jeśli ma trochę rozumu, w co wątpię, będzie staranniej wybierała facetów, których wpuszcza w nocy do sypialni. Może podda się terapii psychiatrycznej, jak tyle innych gwiazd, ale to nie jest temat na reportaż.

- Maggie, zdumiewasz mnie. - Vito owinął biodra prześcieradłem i podniósł słuchawkę, żeby zamówić kolację. Znał Maggie tak dobrze, że nie musiał pytać, co chce zjeść.

- Przyniosą za pół godziny-oznajmił Vito. Tort orzechowy i kawałek ciasta owocowego?

- Mhm. Dlaczego cię zdumiewam?

- Bo możesz mieć taki reportaż, jakiego nie będzie miał nikt i wzmocnić swoją „legendarną pozycję”, jak to nazywają w „Time” i w „Newsweeku”, a tymczasem leżysz, wyglądasz tak seksownie, jak nigdy dotąd i prawisz banały.

- Przestań, do diabła! - Zranił jej dumę.

- Właśnie tak. Przyjęłaś punkt widzenia przeciętnej gospodyni domowej, czytającej artykuł. Zazdrosny kochanek strzelał do Melanie Adams. Ziewanie. Chciałabym mieć takie szczęście. Spójrzcie na nią, bogata i piękna, jak zwykle. Ziewanie.

- Hmmm.

- Co to znaczy?

- Kiedy mówię „hmmm”, a nie „bzdura”, to znaczy, że może masz rację. Przekonaj mnie, że masz rację. Jestem zanadto zmęczona, żeby przekonać się o tym osobiście. Jesteś równie szybki jak dawniej, Vito. He masz lat? Dziewiętnaście?

- Czterdzieści osiem. Nie jestem już taki szybki, ale przy tobie daję z siebie wszystko, Maggie.

- To nadzieja dla ludzkości. Mów.

- Rzecz w odwiecznym syndromie „przed” i „po”. Wszyscy wiemy, albo wydaje się nam, że wiemy, jaka była Melanie, zanim to się stało. Nigdy nie dowiemy się, jak się zmieniła. Nie porozmawiamy z nią tak od serca. Otrzymamy oficjalny

208

komunikat... chyba że ty z nią porozmawiasz. Nigdy się nie dowiemy, co czuła, kiedy odkryła nagle, że taka kobieta jak ona - jedna z najbardziej uwielbianych i strzeżonych kobiet na świecie - jest w istocie bezradną istotą, która błaga o litość. Czy kiedykolwiek poczuje się silna? Czy wszyscy ochroniarze lego świata przywrócą jej pewność siebie? To pytania dla ciebie, Maggie. Już słyszę, jak je zadajesz. Już słyszę, jak pytasz ją o jej epitafium, o to, jakie wspomnienie chciałaby po sobie pozostawić.

- Słucham cię, ale nie do końca rozumiem.

- Czy nadal ma odwagę? Nie odwagę aktorki, ale ludzką odwagę? Tego chciałbym się dowiedzieć. Nie można o to zapytać. To trzeba pokazać.

- Jak?

- Zach wpadł na pomysł, jak Melanie może zagrać najdłuższe, najbardziej romantyczne sceny, jedną z Newmanem, drugą z Eastwoodem, leżąc w szpitalnym łóżku. Oczywiście, jeżeli się zgodzi i pozwolą na to lekarze. Do ostatniej chwili nie będzie wiedział, czy mu pozwolą. Te sceny byłyby wyczerpujące nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach, nawet dla najzdrowszej aktorki. Melanie wcale nie musi się tak wysilać. Nikt tego od niej nie wymaga. Nikt nie będzie jej winił, jeśli poświęci całą swoją energię, by wyzdrowieć. Nikt nie będzie obarczał jej

odpowiedzialnością za przerwanie zdjęć. Jest tego świadoma. Czy spróbuje? Czy zechce dać z siebie wszystko?

- Nie wiem - powiedziała Maggie z namysłem. - Osobiście zagrałabym, a może nie, ale nie jestem Melanie Adams. Masz rację, Vito. To interesujące.

- To nie będzie łatwe - ciągnął Vito, jakby jej nie słyszał. - Ekipa będzie musiała chodzić jak w zegarku. Zach wykorzysta salę operacyjną jako plan. Tam zamierza pracować. Jeżeli oczywiście Melanie będzie miała dość sił i odwagi, żeby przez to przejść, sama ocali ten film. Jeżeli to zrobi - jest wyjątkowa. Jeżeli spróbuje i załamie się - a sądzę, że tak być może, zważywszy, że jeszcze wczoraj była na oddziale intensywnej terapii - to także będzie ciekawe. Nie będzie bohaterką, ale stanie się bardziej ludzka. W każdym razie nie mów mi, że nie warto pokazać tych zakulisowych spraw w telewizji.

217

- Dlaczego sądzisz, że pozwolą mi sprowadzić moją ekipę i nakręcić ten reportaż, skoro to będzie takie trudne? - Maggie wahała się między podejrzliwością a ciekawością.

- Bo reżyserem jest Zach, a reżyser zorganizuje zdjęcia.

- Po co mu dodatkowy kłopot, ekipa telewizyjna deptająca mu po piętach, świecąca w oczy każdemu, kto się rusza, zadająca wścibskie pytania, kręcąca się pod nogami? I tak ma mnóstwo roboty z całym tym bałaganem.

- Bo grzecznie go poprosi jego przyszły teść.

- Bzdura! Co będziesz z tego miał, kochanie?

- Na pewno dostanie nominację do Oscara dla najlepszego reżysera i, kto wie, może nawet Oscara. A to dobrze dla mojego następnego filmu. Bardzo dobrze. Poza tym, mówiłem ci, że Zach należy do rodziny. - Vito pomyślał, że w końcu sam uwierzy, że tak jest, jeśli powtórzy to jeszcze raz.

- Widzisz, Vito, nie oszukasz mnie - zapiała Maggie z zachwytem. - Wiedziałałam, że musisz na tym skorzystać. Ale to cholernie dobry pomysł i, jeśli to załatwisz, kochanie, zrobię reportaż i puścimy go w najlepszym czasie antenowym.

- Wezmę się za to po kolacji - obiecał jej Vito. - Jeżeli ją przyniosą.

Zastanawiał się, jaki też będzie jego następny film? Właśnie zapewnił reklamę Zachowi i „Kronikom”, wykreował reżysera, który być może dostanie Oscara... a sam nie miał w zanadrzu ani książki, ani żadnego scenariusza. Coś się znajdzie, pomyślał, wracając do łóżka. Po co tracić czas na rozmyślenia, kiedy Maggie leży, mruczając rozkosznie z zadowolenia, bo przejrzała jego grę? Zerwał z Susan Arvey, kiedy Curt Arvey zmarł nagle, a ona przejęła studio. Zgodzili się, że ich interesy są zbyt ważne, żeby zepsuł je seks, więc nie sypiali ze sobą od tamtej pory.

Kelner hotelowy zjawi się za pół godziny, może później - pomyślał Vito - co oznacza, że na kolację trzeba będzie poczekać godzinę. Od czasu, kiedy rozstali się po klęsce „WASP-a”, Maggie nauczyła się kilku fascynujących sztuczek. Czy świeże powietrze, czy apartament prezydencki, a może to Maggie sprawiła, że jest taki podniecony?

*

210

Większość dziennikarzy, zgodnie z przewidywaniami Maggie, wyniosła się po tygodniu szaleńczego poszukiwania sensacji, niekończących się nieformalnych wywiadów z wszystkimi członkami ekipy, jakich udało się dopaść, i rozmowach z cierpliwą Rose Greenway, nieznośnie zniecierpliwionym Rogerem Rowanem, nadętą Normą Rowan oraz wszystkimi lekarzami i pielęgniarkami ze szpitala Kalispell. Plotki o Allenie Henricku krążyły przez kilka dni, ale wreszcie ucichły z braku wszelkich dowodów. Nikogo nie wpuszczano do szpitala Kalispell, nikogo nie dopuszczono do Melanie Adams

można było sfotografować tylko okno jej izolatki. Newman i Eastwood odmówili komentarzy, a Zach Nevsky był zbyt zajęty, by rozmawiać z kimkolwiek z prasy.

Maggie MacGregor była równie zajęta jak Zach, ale członkowie jej ofiarnej ekipy byli niewidzialni i cisi niczym zakonnicy, którzy złożyli śluby milczenia. W futrzanej czapce i podniesionym futrzanym kołnierzu, w lamowanych futrem śniegowcach i okularach przeciwsłonecznych Maggie wyruszała na poszukiwania, niemal nie zauważana przez innych dziennikarzy, którzy uznali, że jej przedłużający się pobyt to oznaka, że sprawa, nad którą pracują, jest naprawdę ważna.

Cały sprzęt ekipy telewizyjnej przeniesiono do szpitala nocą, sztuka po sztuce.

Zach zaplanował zdjęcia do jednej z wielkich scen na piątek, zaś do drugiej na sobotę, zwlekając jak najdłużej, tak jednak, by nie wygasły kontrakty z Newmanem i Eastwoodem. Albo Melanie

zagra, albo nie, ale stwierdził, że zbyt ryzykowne byłoby nakłanianie jej do pracy, zanim będzie to absolutnie konieczne.

Kiedy pracował nad mnóstwem drobnych spraw związanych z realizacją jego planu, dowiedział się, że do Kalispell przybył Wells Cope i wynajął jeden z prywatnych domów. Na życzenie Melanie mógł ją odwiedzać codziennie przez kilka minut. Cope nie wchodził Zachowi w drogę, nigdy się nie wtrącał, nie zachodził nawet na drinka do baru w Outlaw Inn, ale członkowie ekipy filmowej widywali go tu i ówdzie.

- Czego on chce, stary lisie? - zwrócił się Zach do Vito.

- Nie może chronić swojej inwestycji, bo Melanie nie jest mu już nic dłużna. Ponieważ ten jedyny możliwy motyw

219

odpada, rzekłbym, że Cope jest bardziej sentymentalny, niż sądziłem. Może przyjechał odwiedzić chorą przyjaciółkę z dawnych lat. Hej, a może jest w niej zakochany? Co ty na to?

- Daj spokój, Vito.

- Jestem równie zaskoczony, jak ty. Jeżeli nie będzie wchodził w paradę, nie ma powodu, by protestować. Powiedziałaś, że jego obecność nie sprawia przykrości Melanie, tak?

- Mhm. Twierdzi, że jest tak, jakby go wcale nie było. Przynosi kwiaty, pyta o jej zdrowie, rozmawia o pogodzie i wychodzi.

- Cholera, to bardzo źle - powiedział Vito po namyśle.

- Nie wygłupiaj się.

- Nie wygłupiam się. Przejrzał nasz plan, jak sądzę.

- Och, to jasne. Melanie wcale się z tym nie kryła. Cope uważa, że to świetny pomysł, bardzo mnie wychwala i mówi, że zrobiłby to samo.

- To jeszcze gorzej niż myślałem.

*

Melanie triumfalnie zakończyła zdjęcia do drugiej ze scen, świetnie wyreżyserowanej przez Zacha Nevsky'ego, a na drugi dzień udzieliła Maggie długiego wywiadu w cztery oczy, do którego dziennikarka starannie się przygotowała.

- I co? - zapytał Vito, kiedy Maggie wyszła z izolatki, a jej ekipa usunęła wszelkie ślady swojej obecności.

- Wszyscy telewidzowie będą płakać jak bobry. Nawet ja się popłakałam. - Zdumiona Maggie wytarła nos. - Cóż za odwaga! Miałeś rację, Vito. Cieszę się, że cię posłuchałam. Nie martw się, mam świetny materiał o Melanie i Nevskym. Powiedziała, że to wyłącznie jego zasługa.

- Trzymaj się mnie, dziecko.

- Czasami... nawet... chciałabym. Ale już za późno, prawda, Vito?

- Obawiam się, że tak, kochanie. Ale pomyśl, ile razy jeszcze się spotkamy. I w jakich dziwnych miejscach!

- Nevsky, możesz poświęcić mi minutkę? - zapytał Wells Cope, podchodząc do Zacha pod drzwiami izolatki Melanie.

212

Teraz tak - odparł poirytowany Zach. - Podoba ci się w Kalispell, Cope?

Bardziej niż myślisz. Ale mam do ciebie interes. Teraz?

- Właśnie teraz. Kiedy dowiedziałeś się o tych dwóch **facetach** z obsługi, powinieneś był pozbyć się ich natychmiast. Natychmiast! W chwili, kiedy się dowiedziałeś, w czym rzecz. Postąpiłeś beznadziejnie głupio, Nevsky!

- Chryste! Łatwo to stwierdzić po fakcie, Cope. Jesteś bezczelny.

- Po fakcie? Musiałem to robić przy czterech filmach i zdawało mi się, że masz trochę rozumu.

- Chcesz powiedzieć... że ona... tak zawsze?

- Och, dobry Boże, chyba nie uwierzyłeś jej, kiedy mówiła ci, że to pierwszy raz? - zapytał, wpatrując się w twarz Zacha.

O, Wszzechmogący! Uwierzyłeś w to. Dałeś się nabrać! Doprawdy, jakie prawiczki kręcą dzisiaj filmy! Podniecają jak to się delikatnie mówi - zazdrość, Nevsky.

- Powiedziała...

- Powiedziała, że chce być wolna, prawda? Że chce być niezależną kobietą. Zawsze tak mówi. Sądzi, że nie chce cudzej miłości ani przywiązania, ale to jej sposób wyrażania faktu, że jest najbardziej samolubną kobietą na świecie. Melanie potrzebuje miłości... a potem chce ją zabić, wdeptać w ziemię, patrzeć na przedśmiertne konwulsje, słuchać ostatnich krzyków przerażenia.

Później, kiedy to już jej nie bawi, musi powtórzyć wszystko od nowa. Raz i jeszcze raz. Bardzo niebezpieczna rozrywka! Powtarzałem jej to wiele razy, ale nie skończyła z tym, a ja nie mogę jej zmusić. Dlatego pozbywałem się facetów z obsługi - dzięki Bogu nigdy nie brała się za aktorów - pozbywałem się, dopóki nie skończyłem filmu. Połowa wszystkich techników kupiła sobie domki letniskowe za forszę, którą w nich wpakowałem.

- Wells? - Z izolatki dobiegł ich głos Melanie. - Chodź tu i przyprowadź ze sobą Zacha.

Melanie siedziała na łóżku w makijażu, którego jeszcze nie zmyła po wywiadzie z Maggie. - Czy powiedziałaś Zachowi? - zapytała.

- Jeszcze nie. Właśnie do tego zmierzałem.

221

- Kiedy skończymy, następny film nakręcę z Wellsem - powiedziała swoim wyjątkowo pięknym głosem, w którym brzmiały uwodzicielskie tony. - To jedyny człowiek na świecie, który wie, że jestem potworem, a tylko ja wiem, jaka z niego perwersyjna bestia. Wybaczymy sobie, więc możemy razem pracować. Dużo o tym myślałam, leżąc w szpitalu. Och, nie patrz na mnie tak, jakbym była zahipnotyzowana, Zach.

- Uważa, że jestem magikiem, kochanie.

- Potrzebuję Wellsa, a on potrzebuje mnie. Ale zmieniają się zasady współpracy. Jeden film na raz, żadnych umów na więcej niż jeden film. Wells pozwoli mi wybierać scenariusze, pozwoli mi decydować o tym, kiedy pracować, a kiedy się bawić, i nigdy nie będzie mi doradzał, co mam włożyć na rozdanie Oskarów.

- To brzmi jak sielanka - sapnął z niedowierzaniem Zach.

- Wszystko zawdzięczam właśnie tobie. Tak powiedziałam Maggie podczas wywiadu. Wiem, że Wells będzie się skręcał z zazdrości. Udaje obojętność, ale za dobrze go znam, żeby w to uwierzyć.

Zach zerknął na Wellsa Cope'a i dostrzegł stłumiony wyraz bólu w jego oczach, jakby jego ciało przeszło cienkie ostrze sztyletu. Zach pomyślał, że jest mu prawie żal Wellsa. Prawie.

- Muszę wam obojgu pogratulować. Mam nadzieję, że będziecie żyć długo i szczęśliwie.

- Dziękuję ci, Zach, kochanie. Jesteś boski. Szkoda, że nasza umowa wygasa... Miałam wobec ciebie wspaniałe plany.

- „Tylko faceci z obsługi”, Wells? - zapytał Zach. - Jesteś pewny?

10

W ostatnim tygodniu kwietnia, po zakończeniu zdjęć, kiedy ekipa filmowa spakowała się i wyjechała z Kalispell, szeroko reklamowany wywiad Maggie MacGregor ukazał się w telewizji i spotkał się z tak dobrym przyjęciem, że nawet Maggie była zaskoczona.

214

Ku zdziwieniu Gigi, owego piątkowego wieczoru Vito, zamiast wziąć ją do restauracji, zaprosił się do niej na kolację. Po kolacji oznajmił, że powinna wraz z Davym zasiąść przed telewizorem, roztropnie tłumiąc w zarodku jej oburzone prote-Ity. Vito miał twarz pokerzysty, więc dla Gigi, tak wrażliwej jak nikt na świecie, była to oznaka osobistego zainteresowania. (Ojciec to beznadziejny przypadek, stwierdziła Gigi. Zawsze trafia w sedno, gdziekolwiek ono jest. Można by sądzić, że ten reportaż to jego własne dzieło - rozmyślała z tym szczególnym uczuciem, które zawsze budził w niej Vito - mieszkanką lozbawionej, niewymagającej miłości i ostrej przenikliwości.

Kiedy z szesnastolatki, która ledwie знаła swojego ojca, stała się kobietą, przyglądającą się przez długie lata jego rozmaitym wcieleniom, zwykle podczas wspólnych posiłków, stała się specjalistką od Vito Orsiniego. Nikt jej za to nie nagrodzi, ale taka wiedza może się przydać, zwłaszcza że jest lego jedynym dzieckiem.

- Tato, dlaczego ten reportaż interesuje cię bardziej, niż powinien? - zaatakowała go łagodnie, kiedy czekali na rozpoczęcie programu.

- Tego lata Zach będzie reżyserował dla mnie „Długi weekend”.

- Nigdy nie mówiłeś, że masz w planach jakiś „Długi weekend” - powiedziała Gigi, ignorując fakt, że wspomniał o Zachu. - Gdzie będziecie kręcić? W Kongo? W Australii czy w Patagonii?

- W Malibu. Czterdzieści pięć minut drogi stąd, albo trzy godziny, zależnie od natężenia ruchu.

Nie należy wybierać się do Malibu później niż w czwartek wieczorem ani wracać wcześniej niż w poniedziałkowe popołudnie. Stąd wziął się tytuł scenariusza i jego streszczenie, które dałem Zachowi, kiedy o to prosił.

- Zachowi Nevsky'emu? - zapytał zaciekawiony David. - Jak się z nim pracuje?
Vito zerknął na Gigi i nie mógł niczego wyczytać z pogodnego wyrazu jej twarzy. Jest gorsza niż ja, pomyślał przerażony. Jest niesamowita. Nie powinna chodzić wolno po tym świecie bez tabliczki z ostrzegawczym napisem na szyi. A była takim dobrym dzieckiem! Zdemoralizowała się, mieszkając z Billy

przez tyle lat - pomyślał w przypiływie serdecznego ojcowskiego uczucia. Ten biedny chłopiec nie zdaje sobie z tego sprawy. Czy nie rozumie, że zupełnie nie pasuje do Gigi? Jest zbyt normalny, zbyt grzeczny. Pewnego dnia - już niedługo - znudzi ją, tak jak znudził mnie, mimo poczucia humoru, mimo przyjemnego usposobienia. Bezwzględne uwielbienie, nawet dla mojej własnej córki, szybko się nudzi. Na Boga, to niezdrowe!

- Zważywszy jego osiągnięcia - zwrócił się Vi to do Da-vy'ego - to świetny facet. Rozumiem, dlaczego on i Gigi zamierzali się pobrać, nawet jeśli sześć miesięcy temu zerwali ze sobą z powodu jakiejś bzdury.

- Tato!

- Co? - zapytał Vito z miną urażonego niewiniątka. - Czyżby Davy nic o tym nie wiedział? Wielkie rzeczy! Wy, dzieciaki, jesteście takie bezkompromisowe. Hej, życie to kula śniegu, która się toczy... toczycie się i wszystko, co zbieracie po drodze, sprawia, że jesteście właśnie tacy, a nie inni.

- Mówisz jak nędzna karykatura jakiegoś guru New Age'u - parsknęła wściekle Gigi. - Albo Dershowitz, broniący seryjnego mordercy.

- Cicho, dziecko. Maggie wygłasza wprowadzenie. Nie chcę stracić ani słowa.

- Och, pieprzyć Maggie!

- Spokojnie, dziecińko, pieprzono Maggie nie raz i to dobrze. Nie musisz się o nią martwić - powiedział Vito spokojnym tonem, doprowadzając Gigi do jeszcze większej furii.

- Odkąd to mówisz do mnie „dziecinko”, krętaczu? - zapytała napadając na ojca.

- Ciiii... - powiedział, przykładając palec do ust. - Bądźże cicho.

Przez następną godzinę patrzyli jak zahipnotyzowani na zdjęcia z planu i wywiady. Rozmawiali tylko podczas przerw na reklamy.

- Och! - powiedział Davy, kiedy skończył się reportaż. - Jeżeli cały film jest taki dobry jak ten reportaż, będzie kinowym przebojem roku.

- Och, przestań - odparła Gigi. - Melanie plotła bzdury.

- Gigi, zwariowałaś - powiedział Vito. - Była fantastyczna. Nawet ja chyłę przed nią czoło. Ma w sobie tyle siły i uczucia,

216

ile trzeba, by sprostać wymaganiom tych scen. Przyłączam się do zachwyków Davy'ego. Melanie na pewno dostanie nominację i ma duże szanse na Oscara.

- Nie mówię o scenach z filmu - warknęła Gigi. - Były... przekonujące, ale może sobie darować te duperełki, te oczy pełne lez wdzięczności, kiedy słodko popiskuje, mówiąc Maggie, że wszystko to zasługa Zacha. Czy naprawdę musiała ścisnąć go za rączkę i gapić się na niego z takim zachwytem? Jest tylko reżyserem. Na Boga, przecież nie zawdzięcza mu talentu.

- Nie sądzę, żeby przesadziła - zaprotestował Davy. - Mówiła szczerze.

- Och, pieprzysz. Zbierało mi się na mdłości. A Zach spoglądał na nią tak, jakby Melanie powiła Dzieciątko, a on był Trzema Królami i bydlątkami w jednej osobie... To cyrk i tyle. Dobrze wiadomo, że Melanie umie grać na leżąco i na stojąco. I co z tego? W końcu każda kobieta to potrafi, prędzej czy później. Uważam, że ta część wywiadu to kicz pierwsza klasa. Dziwię się Maggie, że nie zadała ostrzejszych pytań. I żeby Maggie się popłakała? Powinna się wstydzić.

- Hm - mruknął Vito, wyłączając telewizor. - Cieszę się, że Zach będzie reżyserował mój film przy tak dobrej koniunkturze. - Cześć, dzieciaki. Wychodzę. Dziękuję za kolację, Gigi. Chodź, pocałuj mnie na dobranoc.

- Do czego zmierzasz, do cholery, ty zepsuty, wścibski gaduło? - syknęła gniewnie Gigi do ucha Vito, kiedy ucałowała go w policzek.

- Ja? Chciałem tylko zjeść domowy posiłek, dziecinko.
- To ostatni, jaki zjadłeś w moim domu, ty perwersyjny stary plotkarzu!

*

Dlaczego nic mi nie powiedziałaś o Zachu Nevskym? - David chciał się wszystkiego dowiedzieć, kiedy tylko Vito zamknął za sobą drzwi. Jego oczy zwęziły się tak, że przypominały dwa znaki zapytania, a jego piękne usta ściągnęły się w wąską kreskę i postarzały.

- To mój interes - powiedziała Gigi. - Mój przeklęty wścibski tatuś nie powinien się wtrącać.

225

- Mówiłem ci, że byłem już dwa razy zakochany, ale nigdy tak poważnie. Na pewno nie ukrywałbym przed tobą związku, który mógł doprowadzić do małżeństwa. - Roześmiał się głośnym śmiechem, w którym wcale nie brzmiało rozbawienie.

- Mam do tego inny stosunek niż ty, Davy - powiedziała Gigi, obrzucając go długim zimnym, badawczym i taksującym spojrzeniem. - Przeszłość to przeszłość. Zaczęliśmy z czystym kontem. Nie obchodziły mnie twoje dawne romanse, ale sam upierałeś się, żeby mi o nich opowiedzieć.

- Upierałem się? - Jego głos załamał się przy tym słowie. Davy potrząsnął głową. - To nie upór, kiedy chce się opowiedzieć ukochanej osobie o swoich ważnych sprawach.

- Nigdy, przenigdy nie pytałam cię o szczegóły. Ale to ty byłeś ciekawy, od pierwszego dnia, pamiętasz? To ty zadawałeś mi osobiste pytania...

- Doskonale wiesz, że to były żarty w stylu Archiego i Byrona.

- Ale ochoczo z tego korzystałeś - prychnęła Gigi.

- Wróćmy do Nevsky'ego - powiedział Davy z uporem, a jego twarz przybrała obrzydliwie wyrachowany wyraz. - Jak długo byliście razem?

- To nie powinno nikogo obchodzić!

- Mieszkaliście tu razem? Czy to dlatego masz takie wielkie mieszkanie?

- Davy! Zamknij się! Nie pozwolę, żebyś torturował mnie pytaniami!

Całkiem nieświadomie Davy dał się porwać brzydkim uczuciom. - Nie bądź naiwna! Ani przez chwilę nie wierzyłem w twoją „potrzebę prywatności”. Wiedziałem, że są sprawy, którymi nie chcesz się ze mną dzielić.

- „Dzielić”! Nienawidzę tego słowa! Gardzę nim! Może powinniśmy sprowadzić sąsiadów, zasiąść w kółko na podłodze i opowiedzieć sobie nawzajem o naszych przykrych doświadczeniach z dzieciństwa? Czy właśnie tego chcesz, Davy?

- Przestań wykręcać się od odpowiedzi. - Jego głos zmienił się pod wpływem obezwładniającego przerażenia i nienawiści, jaką czuje zazdrosny kochanek. - Chcę tylko wiedzieć, dlaczego nie powiedziałaś mi o Nevskym. Dlaczego muszę dowiady

226

wać się o takich sprawach od twojego ojca? Czuję się tak, jakby cząstkę... jakby wszystko mi odebrano, zepsuto, zniszczono... bo nie chciałaś opowiedzieć mi o tym z własnej woli.

- I nadal nie chcę! Czy to cię zadowala?

- Gigi! Nie rób tego! Jutro wyjeżdżasz, żeby pracować nad Zaczarowanym Strychem i dobrze wiesz, co czuję... możesz przynajmniej opowiedzieć mi o Nevskym. - Stawał się coraz bardziej małostkowy i natarczywy. Był w skrajnej rozpacz i nie potrafił się opanować.

- Davy - powiedziała Gigi. - To zaczyna być śmieszne i absurdalne, poniżające dla nas obojga. Stroiłeś fochy na przyjęciu na Boże Narodzenie, bo Archie i By pocałowali mnie pod jemiola... wszystkich całowali, nawet ciebie! Ilekroć jechałam do San Francisco, żeby pracować nad Indigo Seas, byłeś podejrzliwy z powodu braci Collins, najwierniejszych mężów, jakich znam. Byłeś zazdrosny o Bena, kiedy pojawił się w agencji, żeby obejrzeć projekt i od tamtej pory jesteś coraz bardziej zazdrosny i zaborczy, choć wiesz, że mam powody, żeby pracować nad Zaczarowanym Strychem, bo to mój projekt.

- Przecież należysz do mnie! Przynajmniej troszkę, zważywszy okoliczności!

- Zważywszy, że chcesz się ze mną ożenić? Mówiłam ci sto razy, że nie zamierzam wychodzić za mąż. Nie jestem gotowa! Może nigdy nie będę! Nie należę do nikogo! To nie do zniesienia. Nie zadawaj mi takich pytań! - Gigi pragnęła swobody, chciała uwolnić się od zależności, której wcale nie potrzebowała.

- Nie mogę się opanować - błagał Davy. - Przecież nie mogę pohamować własnych uczuć, nie rozumiesz?

- Nie chcę tyle dla ciebie znaczyć! Nie powinnam była w ogóle tego zaczynać!

- Nie! - rzucił się na nią. - Nie powinnaś!

- Och! - wykrzyknęła urażona. - Chcesz powiedzieć, że to był mój pomysł? Ty nie miałaś z tym nic wspólnego? Po prostu chciałeś być dla mnie miły?

- Zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia. Nie przypuszczałem nawet, że mogę się tak zakochać. Ale ty flirtowałaś jak szalona. Dobrze wiesz, że tak. Zachęcałaś mnie

219

od początku. Pozwoliłaś, żebym się z tobą kochał, żeby zapomnieć o Nevskym, prawda, Gigi? Żeby o nim zapomnieć. Dlatego stało się to tak nagle. Nie musisz nic mówić. Wiem, że się nie mylę.

Twarz Davida była wykrzywiona tak groteskowym cierpieniem, tak głębokim bólem, takim skupieniem na swoich ranach i zadanych mu ciosach, że Gigi nie mogła wytrzymać z nim w jednym pokoju ani minuty dłużej. Był nie do zniesienia. Gdyby był wężem, rozdeptałaby go bez namysłu. Propozycja małżeństwa była niczym zakucie w kajdany.

- Muszę się spakować - powiedziała, odwracając się w stronę drzwi sypialni. - Mam tego dość i nie chcę dłużej o tym rozmawiać. Postaram się zadzwonić z Nowego Jorku.

David Melville powstał niepewnie pośrodku salonu przez minutę, po czym, obawiając się, co zrobi Gigi, jeśli zastanie go tu po wyjściu z sypialni, zbiegł po schodach i pojechał do domu. Wiedział teraz, dlaczego nie zgodziła się, żeby z nią zamieszkał, ani nie chciała wprowadzić się do niego. Teraz wiedział już, dlaczego nigdy nie pozwoliła mu spędzić całej nocy w swoim łóżku i obudzić się rano u swego boku. Teraz wiedział, dlaczego upierała się, żeby spał u siebie w domu. Teraz już wiedział, dlaczego chciała się kochać tylko w salonie na kanapie. Teraz był świadom miliona rzeczy, o których nie chciał nic wiedzieć, ale bał się ich, sam nie wiedząc dlaczego.

*

Gigi była tak zdenerwowana, że nie spała całą noc. Nerwowo spakowała walizkę, po czym ze złością wyrzuciła jej zawartość na podłogę wiedząc, że zabiera do Nowego Jorku nieodpowiednie ubrania. Z obrzydzeniem przetrząsnęła zawartość szaf, znajdując góry równie nieprzydatnych ciuchów. Bez większego zainteresowania starała się połączyć stare rzeczy w nowe zestawy, zamieniając styl kalifornijski w styl Manhattanu, po czym zatrzasnęła w walizce kilka całkiem przypadkowych strojów, bo przecież i tak nie ma znaczenia, jak będzie wyglądać podczas podróży służbowej, którą postara się maksymalnie skrócić.

Była taka wściekła, kiedy wreszcie postanowiła pójść do łóżka, że przy myciu zębów trzęsły się jej ręce. Powinna była

228

domyślić się, że ojciec coś knuje, kiedy zaprosił się do niej na kolację, zamiast zabrać ją do restauracji. Nigdy dotąd tego nie robił, choć zapraszała go wiele razy. Doskonale wiedział, że wcale nie miała ochoty oglądać piekielnych popisów Maggie, ale tak bardzo nalegał, że wreszcie ustąpiła.

Ale opowiedzieć Davy'emu o Zachu! To żadna tajemnica, dlaczego miałyby to ukrywać, ale kto prosił ojca, żeby się wtrącał? Co chciał wskórać? Jakie miał prawo wsadzać nos w jej sprawy? Ale Vito nigdy nie robił niczego bez przyczyny. Na pewno nie wiedział, że Davy jest chorobliwie zazdrosny, ale mówił o niej i o Zachu tak, jakby byli parą dzieciaków. „Głupia sprzeczka”, rzeczywiście! Nietrudno zrozumieć ojcobójców!

Z Davym skończone. Dzisiejszy wieczór to koniec. Nie zamierza więcej znosić takich scen.

Powoli zapominała już

O tym Davym, z którym tak dobrze się bawiła w pierwszych miesiącach pracy w agencji. Teraz, ilekroć zatrzymywała się w centrum obwarzankowym- bufecie agencji w holu głównym, żeby poplotkować z grupką gromadzących się tam pracowników, pojawiał się jak cień, niby przypadkiem, a jeśli zauważył, że Gigi rozmawia z jakimkolwiek mężczyzną, czy to gońcem, czy Archiem we własnej osobie, przyłączał się do rozmowy i, posługując się drobnymi lecz wymownymi gestami, dawał do zrozumienia, że łączy go z Gigi coś więcej niż udana współpraca. Musiała przyznać, że jest wściekła nie tylko na niego, ale

l na siebie. Leżała w ciemności od kilku godzin i nadaremnie próbowała się uspokoić. Nigdy nie powinna nawiązywać bliższych kontaktów z nikim z agencji. Teraz każde z nich będzie musiało poszukać sobie innego współpracownika. Już nigdy nie będą pracować razem tak swobodnie i zgodnie. To oznacza, że trzeba będzie pójść do Archiego i Byrona i przekonać ich, że muszą rozdzielić dwoje najlepszych współpracowników w agencji. Lepiej jednak przeżyć wstyd niż tortury, pomyślała. Lepiej uchodzić za osobę, która zachowuje się nieprofesjonalnie, niż znosić zazdrosnego mężczyznę. Dave odkocha się. Przecież był już przedtem dwa razy zakochany, sam to przyznał.

Dlaczego miałyby wierzyć jak idiotka, że istnieją wierni mężczyźni? Może Abelard, ale kto wie, co stałoby się z jego

miłością do Heloizy, gdyby go nie wykastrowano? Na pewno prędzej czy później rzuciłby ją dla jakiejś ślicznotki. Pojawiłaby się jakaś średniowieczna Melanie Adams i koniec z Heloizą. Nie trafiłaby nawet do historii... może do przypisów?

Gigi zazgrzytała zębami na wspomnienie Melanie spoczywającej w łożu, obracającej delikatnie w palcach różę, odważnej, kruchej, cudownie uzdrowionej królowej, współczesnej Sary Bernhardt i Zacha, który pochylał w'hołdzie ciemną głowę niczym jeden z Trzech Króli. Wiedziała, że Maggie potrafi wyreżyserować każdą scenę, ale tego już, cholera, za wiele, to już przesada, choć publiczność na pewno da się nabrać, bo nie zna bohaterów tej sceny tak dobrze jak ona.

Czy na pewno? Słyszała zjadliwe i dowcipne uwagi Zacha

O aktorkach tyle razy, że znała je na pamięć. Ale zawsze twierdził, że jest kilka wyjątków. A jeśli Melanie to jeden z nich? Wells Cope otoczył ją takim nimbem tajemnicy, że jej osobowość była wielką zagadką. A jeśli Melanie Adams jest naprawdę taka, jaka się wydaje?

Ta myśl sprawiła, że Gigi włączyła światło, wstała z łóżka

1 przejrzała zawartość swojej biblioteczki. Musi przeczytać coś poważnego, coś, co zajmie ją do rana. Jane Austen? Tak, Jane będzie świetna. Przeniesie ją w świat, w którym nie mówiło się o seksie, właściwie seks wcale nie istniał, a o reklamie i filmie nikomu się nie śniło, tak jak o dyskotekach, minispódniczkach ani o stanie Kalifornia. Otworzyła na pierwszej stronie nieco podniszczony tom swojej ulubionej powieści. „To powszechnie znana prawda, że kawaler, który posiada znaczny majątek, na pewno potrzebuje żony”.

Ty także, Jane! Gigi rzuciła książkę, jakby parzyła jej palce, poszła do kuchni i zjadła całą paczkę płatków kukurydzianych z mlekiem, żując z taką siłą, jakby to były skorupy kokosowego orzecha.

*

Ben Winthrop wysłał limuzynę, która miała zabrać Gigi na lotnisko Burbank. Powiedział jej, że i tak leci na wschód prywatnym samolotem, żeby załatwić sprawy w Filadelfii, więc może zabrać ją do Nowego Jorku, skoro oboje wybierają

230

się w podróż w sobotę. W niedzielę będzie mogła odpocząć po locie, żeby z nowymi siłami pracować przez cały tydzień.

Gigi bardzo zaangażowała się w prace nad kampanią reklamową Zaczarowanego Strychu, ponieważ Ben zażądał tego od Victorii. Nie mogła mu odmówić, ponieważ szybko zaaprobował cały projekt kampanii nowej sieci sklepów, o których już było głośno we wszystkich prestiżowych magazynach. Według Bena, Mullerowie - rodzina, która założyła sieć sklepów dla dzieci - Raj Dzieciaka, postanowiła osiąść w Sara-sota, powierzając interesy Jackowi Taylorowi, doświadczonemu handlowcowi. Taylor, ambitny mężczyzna w średnim wieku, zrobił na Gigi wrażenie człowieka pozbawionego wyobraźni, ale nadrabiał jej brak, dostarczając Gigi wszystkich potrzebnych danych. Ben dał Gigi wolną rękę, powierzając jej organizację nowych sklepów i choć to zajęcie często odciągało Gigi od pisania tekstów reklamowych, nie mogła oprzeć się pokusie wprowadzenia w życie swoich pomysłów.

W Nowym Jorku, w przyszłym tygodniu, zaplanowała spotkania z trzema dekoratorami wnętrz. Każdy z nich miał inną koncepcję urządzania sklepów. Jack Taylor skontaktował się z producentami niezwykłych zabawek i ręcznie robionych lalek z różnych miast Europy i Stanów Zjednoczonych, którzy wkrótce zamierzali przyjechać i przedstawić mu swoją ofertę. Swoje projekty upominków wykonywanych specjalnie dla sieci sklepów mieli przedstawić także złotnicy i inni rzemieślnicy, w tym także producenci papieru pakowego i wstążek.

W Dzień Świętego Walentego Gigi zdała sobie sprawę z tego, że klientami sieci sklepów Zaczarowany Strych mogą stać się także mężczyźni, poszukujący romantycznych prezentów.

Wiedziała, że prawie żadna kobieta, niezależnie od wieku, nie przejdzie obojętnie obok eleganckiej wersji prezentu, który ucieszyłby małą dziewczynkę. Chciała poszukać dostawców takich przedmiotów - od wyrafinowanych kopii wiktoriańskich lalek począwszy, na atrakcyjnych pluszowych zwierzątkach skończywszy. Pomysł poddał Gigi dom mody Scruples. Postanowiła, że Zaczarowany Strych będzie takim sklepem, w którym mężczyźni będą czuć się równie dobrze jak kobiety. Zrezygnowała z koncepcji sklepu

samoobsługowego. Zdecydowała, że każdy sprzedawca musi umieć dobrać stosowny prezent dla dziecka w każdym wieku. Nikt nie będzie błdził wśród półek, zastanawiając się, czy dana rzecz spodoba się pięcioletniemu łobuziakowi.

Ale teraz Gigi było wszystko jedno, czy sieć sklepów Zaczarowany Strych zostanie w ogóle otwarta. Kiedy wschodziło już słońce, udało się jej zdrzemnąć na piętnaście minut. Potem zaczął dzwonić telefon. Sasza i Billy pośpieszyły z ostatnimi radami, co powinna zrobić i kupić, kiedy znajdzie się w Nowym Jorku. Billy napominała ją, żeby nie malowała się na czas podróży i co godzina używała w samolocie kremu nawilżającego i ochronnej szminki, żeby zapobiec wysuszeniu cery. Nie mam siły martwić się o makijaż - pomyślała Gigi, wciągając szarą bawełnianą bluzę i spodnie od dresów, bo były to najwygodniejsze ubrania w jej garderobie. Mimo iż po raz pierwszy miała odbyć podróż prywatnym odrzutowcem, wsiadła do samolotu, przybierając obojętny wyraz twarzy osoby, która przez całe życie nie robiła nic innego. Opadła na fotel i patrzyła niewidzącym wzrokiem za okno, a tymczasem Ben, który wyglądał jak student w granatowym swetrze i koszuli rozpiętej pod szyją, pracował przy komputerze i nie zwracał na nią uwagi. Gigi była świadoma otaczającego ją dyskretnego, wyrafinowanego luksusu, stonowanych, niekrzykliwych kolorów, obecności stewarda, który przyniósł jej herbatę, ciasteczka i owoce, ale wewnątrz prywatnego odrzutowca zrobiło na niej nie większe wrażenie niż zwykły długi, wąski podniebny pokój.

- Wydaje mi się, że jesteś zmęczona - powiedział Ben podnosząc wzrok. - Chcesz się położyć? Można rozłożyć sofę. Zdrzemiesz się?

- Och, tak! - powiedziała z wdzięcznością Gigi. To jest coś. Drzemka. Musi się zdrzemnąć. Najkosztowniejsza drzemka na świecie. Ciekawe, ile kosztuje minuta? - zastanawiała się, rozbijając się i wkładając za dużą bluzę od piżamy, którą przygotował dla niej steward. Wślizgnęła się pod kołdrę. Ile kosztuje minuta? Kogo to obchodzi, do cholery, byle tylko łóżko nie stało w pionie!

224

Gigi przespała śródlądowanie, tankowanie i ponowny start samolotu. Obudziła się trzy godziny później, zwilżyła twarz, umyła zęby, włożyła jeden ze znalezionych w szafie szlafroków i niepewnym krokiem weszła do kabiny, wlokąc po ziemi końce jedwabnej szarfy ze szkarłatnego jedwabiu, którą owinęła się w pasie.

- Mój Boże! Przespałam prawie całą drogę do Nowego Jorku! Która godzina, Ben?

- Według czasu Los Angeles?

- Masz rację. Głupie pytanie. Kiedy lądujemy?

- Po południu. To zależy od kierunku wiatru. - Wydało się jej, że uśmiecha się z jeszcze większym namysłem, jeszcze większym skupieniem niż zwykle, a świadomość jego obecności i troskliwej opieki, którą ją otoczył, nabrała dla niej dodatkowego znaczenia, bo nagle poczuła, że są sami, we dwoje, w jasno oświetlonej kapsule, za którą rozciąga się niezmierna przestrzeń.

- Ben, jestem trochę zdezorientowana - powiedziała z lekkim zniecierpliwieniem. - Zwykle nie śpiam w środku dnia, więc nie zadawaj mi zagadek.

- Mówię poważnie.

- Och, przestań!

- Zostałaś porwana.

Gigi przyjrzała się uważnie Benowi Winthropowi. Pracując z nim przez kilka ostatnich miesięcy dobrze go poznała i była pewna, że szaleństwa i kaprysy nie leżą w jego naturze. Żadnej przesady. Miał poczucie humoru, ale nie płatał figli. Był wcieleniem doskonałości pod więcej niż jednym względem.

- Dobrze, zostałam porwana - powiedziała pojednawczym tonem, siadając obok niego na krześle. - Właściwie, dlaczego nie? Przecież jest weekend, więc ludzie powinni oddawać się bezmyślnej, zdrowej rozrywce. Mimo wszystko chciałabym wiedzieć, dokąd lecimy. A może latamy w kółko?

- Do Wenecji - powiedział. Lekko zmarszczył czoło, a jego niezwykle błękitne, budzące zaufanie oczy spojrzały za czubek jego wielkiego, arystokratycznie zakrzywionego bostońskiego nosa i obrzuciły ją rozbawionym wzrokiem. Nigdy jeszcze tak bardzo nie przypominał niezwykle seksownego młodego profesora języka angielskiego, o jakim marzyły

studentki - profesora, który zapraszałby je do swojego gabinetu, żeby przedyskutować na biurku ich postępy w nauce... a może wygodniej byłoby pod biurkiem?

- Do Wenecji w Kalifornii? - zapytała Gigi. Możemy zjeść kolację w Chinois on Main.

- Do tej słynnej Wenecji.

- Wenecji we Włoszech? - Była tak zaskoczona, że jej głos był o oktawę niższy niż zwykle.

- Uznałem, że za pierwszym razem trzeba cię porwać do miejsca, które jest tego warte.

- Wenecja! - W jej oczach zalśniły iskierki niedowierzania i radości, maleńkie szmaragdowe fajerwerki.

- Zatem - nie protestujesz? - Jeszcze nigdy nie słyszała takiego wahania w jego głosie.

- Nie mam co na siebie włożyć! - jęknęła Gigi. - O, cholera, dlaczego mnie nie uprzedziłeś?

- Gdybym cię uprzedził, nie mógłbym cię porwać - powiedział roztropnie Ben.

- Dlaczego mnie nie uprzedziłeś? - zapytała ponownie Gigi, zdając sobie sprawę, że jej pierwsza reakcja, mimo iż normalna w zwykłych okolicznościach podróży, nie jest w tej chwili najważniejsza. - Dlaczego uznałeś, że musisz mnie tak nabrać?

- Czy zgodziłabyś się, gdybym powiedział, ot tak: lećmy do Wenecji?

- Może... Nie wiem. W końcu, dlaczego nie?

- Nie sądzę. Miałabyś za dużo czasu do namysłu. Trzeba by zawiadomić agencję, a Billy na pewno opowiedziałaby ci o niebezpieczeństwach podróży w towarzystwie mężczyzny...

- Jakich niebezpieczeństwach? - zapytała Gigi, a jej brwi zniknęły pod grzywką, zaś zadarty koniuszek nosa niemal uniósł się wyżej na myśl o czymś tak nieprawdopodobnym. - Billy nigdy nie powiedziała by niczego tak nudnego i konwencjonalnego. Ojej, wcale jej nie znasz!

Gigi dobrze pamiętała jeden jedyny pocałunek Bena pierwszego wieczoru, kiedy się poznali - pocałunek, który wydał się jej absurdalnie niebezpieczny. Nigdy go nie powtórzył, przy żadnej okazji, kiedy pracowali wspólnie nad Zaczarowanym Strychem, a teraz pewnie już nie pamięta tamtej niezwyklej chwili. Czowała się przy nim całkowicie bezpieczna.

226

- Niebezpieczeństwa, też coś - zakpiła. - Mamy dwudziesty wiek.

- Chyba że jesteś w niebezpiecznym nastroju.

- Nie wiem, jaki mam nastrój - powiedziała Gigi, a uniesione kąciki jej warg ułożyły się w wyraźny uśmiech. - Wiem, że jestem głodna, ale to przecież nie nastrój.

- Możemy zjeść kolację, kiedy zechcesz. Czekałem, aż się obudzisz.

- Och, Ben, czuję się tak bosko, tak cudownie, tak całkowicie wolna! Dookoła niebo, gdzieś w dole Wenecja... czego jeszcze dziewczyna może chcieć?

- Och... może... paszportu?

- Mój Boże! - Gigi chwyciła ręką za szyję. Nigdy nie miała paszportu.

- Paszport czeka na ciebie na lotnisku we Włoszech... Załatwi to mój kumpel z Departamentu Stanu.

- Doskonale zaplanowane porwanie - zakpiła. - Jesteś w CIA?

- Nie, ale mój kumpel pewnie tak. Wybrał Yale zamiast Uniwersytetu Harvarda, a to podejrzane.

- Dlaczego zadałeś sobie dla mnie tyle trudu? Dlaczego jesteś taki cudowny? - Miała rozradowaną twarz.

- Bo chciałem. Bo to zabawne. Bo potrzebujesz wakacji i ja też.

- Dobrze wytłumaczenie. Przyjmuję je. - Gigi ziewnęła, wyciągnęła się, ledwie dotykając fotela i rozprostowała gołe nogi. Odrzuciła głowę i opuściła bezwładnie ramiona.

- Przydałby się szampan - oznajmiła radosnym wielkopańskim tonem. - Jestem na wakacjach.

*

Zaraz po lądowaniu na lotnisku Marco Polo urzędnik ambasady amerykańskiej w Rzymie wręczył Gigi jej paszport. Celnicy szybko uporali się z odprawą, po czym Ben i Gigi weszli na drewniany pomost i wsiedli do długiej, smukłej motorówki z miodowego drewna, która na nich czekała. Kiedy marynarz wnosił bagaż do kabiny, Ben uściśnął dłoń kapitana, do którego zwracał się po imieniu: Giuseppe.

Gigi rozglądała się ciekawie. Nad głową rozciągało się zwyczajne niebo, a wokół spokojna, rozległa tafla wody z kilkoma płaskimi wysepkami i ludzkimi siedzibami gdzieś w oddali. Powietrze miało słony, lecz nie morski zapach.

- Gdzie jest Wenecja? - zapytała Bena.

- Tam - odpowiedział, wskazując budowle majaczące w oddali. - Powinniśmy popłynąć łodzią we wspaniały klasyczny sposób, ale lotnisko jest daleko od miasta, w lagunie słusznie zwanej Laguna Morta.

- Powinieneś być porwać mnie i przywieźć tu jachtem. Chcę, by moje pierwsze spotkanie z Wenecją było wspaniałe i w klasycznym stylu.

- Poczekaj. Tylko poczekaj.

Motorówka ruszyła nagle i Gigi niemal straciła równowagę.

- Chcesz wejść do kabiny? - zapytał Ben. - Wieje.

- Będę tu stać, Benie Winthropie, dopóki nie zobaczę Wenecji. Widziałam tyle obrazów i zdjęć, że na pewno ją poznam - odparła Gigi, kiedy wiatr zdmuchnął jej włosy z twarzy. Włożyła okulary przeciwsłoneczne, które zawsze nosiła w torbie, i chwyciła się mocno burty. Ben stanął za nią. Przez szeroką lagunę płynęli bardzo szybko, ale kapitan znacznie zwolnił, kiedy zbliżyli się do miasta.

- Nie powinniśmy robić fal - wyjaśnił Ben. - Musimy wolno płynąć przez Wenecję. Miasto tonie między innymi dlatego, że woda obmywa mury.

Powoli zbliżali się ku zniszczonym domom. Pierwszym wyraźnym szczegółem Serenissimy - Narzeczonej Adriatyku - były sznury, na których suszyły się świeżo wyprane koszule i sukienki.

Wkrótce motorówka skręciła w wąski kanał. Gigi rozglądała się ciekawie w poszukiwaniu malowniczych widoków, ale wszędzie widziała tylko stada kotów, kamienne mosty i hordy wrzeszczących dzieciaków. Wpłynęli do większego kanału, a Gigi, tańcząc z niecierpliwości, zauważyła z przerażeniem, że płyną za szeroką brudną barką, tarasującą cały kanał, na której piętrzyły się skrzynki z napojami w puszkach i butelkami wody.

- Czy musimy za nią płynąć?

- Musimy.

- Nie ma innej drogi?

228

Ben zaśmiał się, kiedy ich motorówka znowu znacznie zwolniła. - Kanały wybudowano niegdyś z myślą o gondolach. W Wenecji nie można się śpieszyć. Można wbiec na szczyt w Nepalu lub pogalopować po Wielkim Chińskim Murze, a nawet ścigać się wokół Place de la Concorde, ale w kanałach prędkość dyktuje łódź, która płynie przed tobą, więc siadaj i czekaj.

Gigi zacisnęła zęby i skorzystała z jego rady. Posuwali się w żółwym tempie. Ze złości zamknęła oczy. To się nigdy nie skończy.

- Otwórz oczy. - Ben trącił ją łokciem.

- Barka odpłynęła?

- Obiecuję, że zniknie - powiedział, rozbawiony.

Gigi otworzyła oczy i stwierdziła, że znajduje się na Canale Grandę. Była to najbardziej zdumiewająca chwila jej życia. Wokół niej mieniły się wszystkie barwy, orgia subtelnych pastelowych kolorów, blasków i opalizujących refleksów, o niezrównanym uroku, wdzięku i rozmaitych odcieniach, ale najważniejsze było to, że coś takiego w ogóle istniało. Sam fakt, że Canale Grandę istniał naprawdę, przejął ją do głębi. Rozejrzała się w niemym zachwyceniu. Czowała się tak, jakby motorówka zamieniła się w łódź sunącą wśród obłoków, zaczarowaną i zabłąkaną

wśród pałaców, kościołów z kopułami i szybkich gondoli, skąpanych w harmonii czystego blasku, w lśnieniu srebrnoróżowej muszli nieba.

- Wiem - powiedział Ben, kładąc dłoń na jej ramieniu. - Nie można się tym znudzić, choćby widziało się to wszystko wiele razy.

Nie była w stanie wykrztusić słowa. To za wiele. Jej oczy napełniły się łzami, które spłynęły po policzkach. W milczeniu podał jej chusteczkę. Motorówka podskakiwała, wolno sunąc przez środek kanału, po czym skręciła i popłynęła w dół, do przystani u stóp bardzo wąskiego *palazzo* o frywolnej różo-wo-białej fasadzie i niezliczonych oknach. Na wodzie kołysała się wielka lśniąca czarna gondola z zielonymi aksamitnymi siedzeniami, przywiązana do pala pomalowanego w zielone, białe i czarne pasy.

Gigi osuszyła wreszcie łzy i spojrzała w górę. - Czy to hotel?

237

- Właściwie nie.
- Wysiadamy tu?
- Tak.
- Idziemy w odwiedziny?
- Nie.
- Spędzimy tu noc?
- Tak.
- Więc to twoje własne niskie progi?
- Tak.
- Wiesz, Ben, w końcu zaczynam się zastanawiać, co powiedziałyby na to Billy.
- Żałujesz, że nie możesz jej zapytać?

Gigi zastanawiała się przez chwilę. Wreszcie stwierdziła, nie odpowiedziawszy na jego pytanie: - Teraz naprawdę czuję! że jestem na wakacjach.

*

- Od jak dawna jesteś właścicielem tego *palazzetto* - zapytała Gigi, stojąc z Benem na balkonie na najwyższym piętrze i podziwiając zachód słońca. We wnętrzach znać było ducha Wenecji, mimo iż nie podjęto próżnego wysiłku, by dokładnie je odtworzyć. Było to bardzo wyrafinowane, celowe szaleństwo. Wysokie i wąskie pokoje - po dwa na każdym piętrze - były skąpo umeblowane. Pustych wyfroterowanych podłóg nie przykrywały dywany, a tkaniny zasłonowe miały skromny deseń, co podkreślało urodę pejzażu Canale Grandę, widocznego z każdego okna. A jednak tu i ówdzie wisiały wielkie złożone lustra i stały piękne meble, inkrustowane macicą perłową, o formach inspirowanych kształtem muszli, pochodzące z tych rozmiłowanych w ozdobności i szalonych wieków, w których weneccjanie gromadzili w swoich domostwach łupy z całego świata.

Najwyższe piętro pałacu zajmował pokój Bena, taras i łazienka. Piętro niżej znajdował się apartament dla gości, zaś na drugim piętrze, w najwyższym pokoju, mieścił się salon połączony z biblioteką, z oknami wychodzącymi na ogród. Z okien jadalni widać było kanał. Spiżarnia, kuchnia i pokoje służby znajdowały się na parterze. Wszystkie okna na tyłach pałacu wychodziły na malutki śliczny ogród z pnączami

230

wistarii i klombami miniaturowych białych oleandrów przyciętych w kształt kul, otoczonymi rabatami różowych pelargonii. Po murach ogrodu pięło się kapryfolium. Wąski dom, który -jak wyjaśnił Ben - weneccjanie z uporem nazywali pałacem, choć był to zaledwie pałacyk - *palazzetto*, sprawił, że Gigi poczuła się zupełnie jak na planie filmowym, na którym zadbano o wszystko, co potrzebne do życia. Pałac był niczym współczesny szkic inspirowany tysiącletnią historią.

- Od dziesięciu lat - odpowiedział. - Mój bliski przyjaciel, członek Komitetu Ochrony Wenecji, dał mi znać, że pałacyk będzie na sprzedaż, więc kupiłem go, nie widząc go na oczy, jeszcze tego samego dnia... w tej samej godzinie. Był w strasznym stanie. Trzeba było trzech lat, żeby nadawał się do mieszkania. Latałem do Wenecji co weekend, żeby sprawdzić postęp prac, i za każdym razem bałagan wydawał mi się większy niż poprzednio. Rusztowania i zielone płótno całkowicie zakrywały fasadę, a architekt wyklócał się z kierownikiem budowy. Kupiłem kota w worku. Ale pewnego dnia przyleciałem i zobaczyłem, że rusztowania zniknęły. Po raz pierwszy ujrzałem fasadę bez zacieków i mokrych plam. Zainstalowano windę, odnowiono podłogi i ściany, działała nawet nowa kuchenka.

- Jak długo tu mieszkałeś?

- Następnego dnia musiałem wracać do Nowego Jorku - powiedział Ben z żalem.

- To znaczy, że spędziłeś tu tylko jedną noc? - Gigi nie mogła w to uwierzyć.
- Nie. Dom był pusty. Nie miałem nawet śpiwora ani butelki wina. Spędziłem noc po drugiej stronie kanału, tam na prawo, w Gritti. Nie mogłem zasnąć do świtu. Stałem w oknie i patrzyłem tęsknie, niczym rozczarowany kochanek, na mój własny pusty *palazzetto*.
- I co było dalej? - Gigi była oczarowana takim Benem Winthropem, którego istnienia nawet nie podejrzewała.
- Przed wyjazdem, następnego ranka, wynająłem dekoratora, zatrudniłem dozorcę i jego żonę, dałem im mieszkanie na parterze i uprzedziłem ich, że następnym razem przyjadę na tydzień. Wtedy kupiłem łódź i zatrudniłem Giuseppe, kapitana. Można się tu poruszać także w inny sposób, ale ten jest najwygodniejszy.

- Ile czasu spędzasz w pałacu?
- Prawie miesiąc, co roku. Przyjeżdżam i wyjeżdżam na krótko, kiedy mam czas.
- Nie rozumiem - powiedziała Gigi, kręcąc głową w zdziwieniu. - Po co utrzymujesz całe gospodarstwo, skoro bywasz tu tak rzadko?
- Nie jest mi potrzebne - powiedział Ben. - Wcale go nie potrzebuję, ale chcę. Ma dla mnie wielką wartość, bo to część Wenecji. Mam kawałek Wenecji na własność i jestem najszcześniejszy na świecie. Gdybym mógł, chciałbym mieć ją całą.
- Nie wystarczy ci... przyjechać... być w hotelu?
- Nigdy - powiedział Ben, patrząc ponad kanałem na światła rzucające blask na bizantyńskie kopuły Bazyliki Świętego Marka, liczące sobie dziewięćset lat. - Nigdy.
Odwrócił się do Gigi i powiedział z namysłem: - W modzie jest twierdzić, że Wenecja nie jest już taka, jak niegdyś, że to tylko wielkie niszczące muzeum, tylko widoki dla zmęczonych turystów. Od setek lat pisarze wypełniają dziesiątki tysięcy stron lamentami z powodu upadku świetności Wenecji. Narzekają, że nie ma już dożów, lamentują, bo Napoleon wyciął drzewa na Placu Świętego Marka, uważają za osobistą obelgę to, że po ulicach nie spaceruje już Byron ani Casanovę. To tak samo głupie jak żale, że nie żyjemy w czasach Elżbiety I. Dlaczego pisarze nie umieją patrzeć, na Boga, dlaczego nie spacerują po Rialto, nie dotykają warzyw, nie piją kawy u Floriana albo drinka u Quadriego, dlaczego nie plotkują, nie śmieją się z gołębi i nie bawią się tak dobrze jak weneccjanie? Dlaczego nie potrafią zapomnieć, że to Wenecja, zaniechać wszystkich romantycznych nadziei, które budzi to słowo, dlaczego nie pokochają tego miejsca, jakim jest - wyjątkowego w swojej niedoskonałości? Wielu z tych utyskujących pisarzy dawno spoczywa w ziemi, a Wenecja nadal jest niewątpliwym cudem zachodniej cywilizacji i nadal żyje.
Gigi obrzuciła go zdziwionym spojrzeniem. Ben był przejęty, zmieniony. W niczym nie przypominał biznesmena, który patrzy na zielone pola i lasy z myślą, że postawi tu kompleks handlowy.
- Signor Ben? - dał się słyszeć głos kobiety. Weszła żona dozorczy. - Gondolier chciałby wiedzieć, czy będzie potrzebny dziś wieczorem.

232

- Poproś, żeby zaczekał, Mario.
- Przypuszczam, że objąłeś posiadłość wraz z etatowym gondolierem - zauważyła Gigi.
- Nie przesadzaj - zaśmiał się Ben. - Mam wybór. Mieszkanie w Nowym Jorku, domek narciarski w Klosters, mój pałacyk w Wenecji, mój odrzutowiec, moja łódź... albo etatowy gondolier.
- Chcesz powiedzieć, że nie można mieć wszystkiego?
- Nie mówimy o posiadaniu, mówimy o wyborze... albo to, albo tamto. Gondolier pracuje na godziny.
- Więc może powinnam się przebrać - powiedziała Gigi, niechętnie odrywając wzrok od cudów widocznych w zapadającym zmroku. Kiedy zapadł zmierzch i na niebie pojawił się księżyc, Wenecja wydawała się coraz młodsza. - Taryfa bije.

*

Gigi nie miała pojęcia, że Ben jest taki bogaty - odrzutowiec, pałacyk, sklepy i tak dalej - dopóki nie wspomniał o gondolierze. Nie żartował, kiedy mówił, że zatrudnia go na godziny. Trzeba być więcej niż bogatym, tak jak Billy, żeby pozwolić sobie na taki nieuzasadniony wydatek. Billy wymagała, by pomocnicy kucharza zużywali papier kuchenny co do ostatniego listka, aż do brązowej rolki. Dzięki temu - jak tłumaczyła - czuła się normalną, przyziemną, zwykłą i rozsądną osobą.

Gigi chciała przebrać się możliwie szybko, ale zdała sobie sprawę, że pakując walizkę była w stanie chwilowej utraty świadomości, jak powiedziałby psychiatra, czyli, mówiąc po ludzku, zwyczajnie zgłupiała. Wśród wszystkich łaszków, które wygarnęła z szafy, nie było nic, co tworzyłoby sensowną całość, prócz zwykłego obcisłego czarnego swetra, czarnej spódnicy do kostek, szerokiego czarnego paska i pary lśniących kolczyków. Włożyła to wszystko na siebie i z niechęcią oceniła efekt. To jej pierwsza noc w Wenecji, a wygląda tak, jakby wybierała się na pogrzeb.

Przetrzęsając walizkę po raz ostatni, lecz bez wielkich nadziei, Gigi znalazła paczuszkę, którą dała jej Billy. Wyjęła z niej małe zawiniątko materiału. Musiała rozłożyć je siedmiokrotnie, zanim udało się jej udrapować na łóżku wielki trójkąt

z czarnej siateczki, przetykanej złotą nicią, haftowany w maleńkie kwadraty i oblamowany z trzech stron złotą koronką układającą się w muszelki. Była to chusta od sukni wieczorowej projektu Geoffreya Beene'a, którą Billy miała na sobie kilka razy. Cały cudowny trójkąt był gładki, niczym świeżo wyprasowany.

Zachwycona Gigi zaczęła drapować chustę. Można było nosić ją jako mantyle, jako pas, jako pelerynę lub sarong, spódnicę lub bluzkę. Przy odpowiedniej bieliźnie można było nawet zrobić z niej suknię wieczorową. Ale wyglądała najlepiej, kiedy włożyła ją zgodnie z pierwotną koncepcją Geoffreya Beene'a, po prostu zarzucając swobodnie na ramiona.

Gigi pociągnęła rzesy podwójną warstwą tuszu, umalowała usta, wyszczotkowała włosy, zarzuciła chustę na sweter i ruszyła naprzód, wenecka po czubki domowych kapci z czarnego aksamitu, bo - rzecz jasna - nie zabrała w podróż wieczorowych pantofli.

*

- Co powiedzą ludzie, którzy czekają na mnie w Nowym Jorku? - zwróciła się Gigi do Bena następnego ranka, kiedy siedzieli w słońcu w żółto-zielonych wiklinowych fotelach u Floriana i słuchali melodii ze starych musicali, które wygrywała orkiestra przed kawiarnią.

- Odwołałem wszystkie spotkania. Będą czekać na wiadomość od ciebie.

- A co z agencją? Co będzie, jak zadzwonią do hotelu, w którym miałam się zatrzymać?

- Moja sekretarka przekaze ci informacje o wszystkich telefonach i faksach. W mojej garderobie jest teleks. Możesz zatelefonować stąd bezpośrednio do Kalifornii i nikt się nie zorientuje, gdzie jesteś.

- Więc jeśli wepchniesz mnie do kanału, utopię się i zniknę, będzie to jedna z nie rozwiązanych zagadek naszych czasów.

- Podoba mi się twoje poczucie humoru - uśmiechnął się do niej. Miała na sobie nowe ubrania, które kupiła w Wenecji w butikach Versace, Valentina i Krizii. Jeszcze inne spoczywały teraz w torbach u jej stóp. Centrum Wenecji - pomyślał Ben

242

jest, poza wszystkim, najwspanialszym i najpiękniejszym miejscem zakupów, a ludzie, którzy trudnią się tu handlem, są najbardziej przedsiębiorczy na świecie.

- Był taki straszny angielski film... - Gigi podjęła przerwany wątek. Film o innej, poważnej, ponurej Wenecji, a nie tym cudzie skąpanym w kwietniowym słońcu, nie o dzieciach biegnących po marmurowych chodnikach, gołębiach jedzących z ręki, kolorach perlących się niczym woda w basenie na fasadzie Bazyliki Świętego Marka, czterech rumakach z brązu i skrzydlatych lwach i dźwięku dzwonów, który napełniał powietrze.

- Jak długo tu będziemy?

- Jak długo zechcesz. Jest dopiero kwiecień... Sezon kończy się w połowie października, a niektórzy wolą Wenecję po sezonie. Powiadają, że dopiero w zimie można zobaczyć taką Wenecję, jaką oglądają sami weneccjanie.

- Bądź poważny. Wiem, że jesteś bardzo zajęty.

- Nie zmuszaj mnie dziś do zachowania powagi - odparł Ben. - Jestem zbyt szczęśliwy.

- Bo jesteś w Wenecji?

- Bo jestem w Wenecji, bo orkiestra w kawiarni zawsze gra taką muzykę, jaką lubię, bo po lunchu w ogrodzie na dachu idziemy do Akademii, żeby obejrzeć tylko jeden obraz, mojego ukochanego Giorgione. Możesz przyglądać mu się tak długo, jak zechcesz, całymi godzinami. To wspaniałe, bo przestrzegam mojej Zasady Numer Jeden, mówiącej o tym, jak żyć w Wenecji. Codziennie trzeba zobaczyć jedno dzieło sztuki - tylko jedno, spędzić przynajmniej godzinę na wodzie, zjeść przynajmniej jeden dobry posiłek i kupić jedną rzecz, wszystko jedno co. Jestem szczęśliwy, że

jest ze mną przyjaciółka, całkowicie ode mnie zależna, która nie może nigdzie beze mnie pójść, bo zaraz się zgubi, bo po południu na Lido można zagrać w polo, bo rano nie było żadnych teleksów, bo właśnie grają „Opowieści Lasku Wiedeńskiego”, a kiedy to grają, zawsze mam ochotę tańczyć...

Ben ujął dłonie Gigi, pomógł jej wstać i powalcował z nią przez Plac Świętego Marka, okręcając ją w kółko, strasząc gołębie, rozśmieszając dzieci i kelnerów, wprawiając

235

w oburzenie turystów i uświadamiając muzykom, że oto zaczął się nowy sezon.

*

Trzy kolejne dni spędzili zgodnie z Zasadą Numer Jeden, a kiedy minęły, Gigi czuła, że zna miasto lepiej niż gdyby posłużyła się przewodnikiem, pilnie zwiedzając i oglądając wszystko zgodnie z zaleceniami książki. Poczowała rytm miasta i wiedziała, że radość Wenecji zostanie w niej na zawsze, że będzie mogła ją przywołać, kiedy zechce, niezależnie od tego, gdzie będzie i ile skończy lat.

Kiedy Gigi zasiadła do śniadania rano czwartego dnia pobytu w Wenecji, stwierdziła nagle, że jest zupełnie sama w jadalni na drugim piętrze pałacyku. Powoli sączyła sok pomarańczowy, niezmiennie zafascynowana ruchem tuż pod oknem, na kanale. Poznała już jego rytm i mogła przewidzieć. Wypiła sok, odstawiła szklanekę i nagle uświadomiła sobie, że im lepiej poznaje Wenecję, tym mniej rozumie Bena Winthrop. W dzień ubierał się w kolorowe włoskie swetry i sportowe spodnie, wieczorem wkładał eleganckie włoskie garnitury, a wszystko nosił z taką swobodą, że jego zwykły, nieco bostoński wygląd - profesora i biznesmena zarazem - zmienił się całkowicie i trudno jej było uwierzyć, że kiedykolwiek prezentował się inaczej. Jego niezbyt krótkie włosy nadal bywały zmierzwione, bo odmawiały układania się tak, jak zaplanował fryzjer. Wydawało się jej, że szare oczy Bena miały odcień bardziej błękitny niż przedtem, może dlatego, że teraz odbijało się w nich niebo i woda. Jednak zmiana wyglądu była niczym w porównaniu ze zmianą zachowania.

Rzecz w tym, że Ben nie tylko niczym się nie przejmował i zachowywał się jak bardzo zajęty mężczyzna, który stworzył sobie w życiu azyl, aby cieszyć się każdą minutą wakacji. Pomyślała, że to głębsza zmiana. Czy to dlatego, że nie miał już „twarzy pokerzysty”, nie był tak powściągliwy, jak przystoi człowiekowi, który prowadzi interesy? Odkąd przybyli do Wenecji, ani przez chwilę nie wydawał się twardym facetem, za którego uznała go podczas ich pierwszego spotkania - nie był facetem umiejętnie i celowo

236

obojętnym, patrzącym na wszystko z głębokim namysłem oczyma, które oceniały i osądzały.

Ben stał się chłopcem, pomyślała Gigi. Smukłym silnym chłopcem o opalonej twarzy, tuż u progu wieku dojrzewania, leszcze nie trzynastoletnim, rozwiniętym i doceniającym sztukę bardziej niż jego rówieśnicy. Chłopięcy był jego entuzjazm, jego nieokielzanie, jego nieskrępowanie i -przede wszystkim - jego stosunek do niej. Nie wykazywał najmniejszej skłonności, by znów ją pocałować. Kiedy podtrzymywał ją, wysiadając z motorówki lub gondoli, podawał jej pomocną chłopięcą dłoń. Ciało, które osłaniało ją i chroniło przed tłumem na powolnym lecz agresywnym i zatłoczonym *vaporetto* było także ciałem chłopca. Wieczorem wracali do pałacyku i odprowadzał ją do drzwi jej pokoju, składając chłopięcy pocałunek na czubku jej głowy. Jej nowe stroje przyjmował z niewinnym chłopięcym podziwem.

Jak można pogodzić tego kumpla, kolegę, uprzejmego chłopca z bardzo dojrzałym mężczyzną, którego pocałunek - tak władczy i gwałtowny - przestraszył ją zaledwie kilka miesięcy temu?

*

Gigi rozmyślała o Benie w jadalni, a tymczasem Ben przerwał na chwilę ubieranie, żeby zastanowić się przez minutę nad Gigi i całą sytuacją, zanim zacznie swój nowy dzień w towarzystwie dziewczyny.

Mógł sobie pogratulować, że od początku ich wspólnego lotu do Wenecji udało mu się przybrać idealną pozę kolegi i kumpla. Ani razu nie wykorzystał porywów uczuć i emocji Gigi, ani rozkosznego zdziwienia i radości, z którą chłonoła wszystkie romantyczne i piękne szczegóły ich otoczenia. Dałem jej Wenecję - powtarzał sobie - dałem to, co w niej najwspanialsze. I tak jak

zaplanował, nie chciał niczego w zamian, zachowywał się jak najlepszy cholerny braciszek albo wujaszek, o którym dziewczyna może tylko pomarzyć. Nie pozwolił sobie na żadną reakcję na jej cudowną, żywą bliskość i ciepło. Traktował ją z rezerwą tysiąc razy większą, niż traktowałby cudowne zwierzę, gdyby je miał, mimo iż jego

245

dłoń płonąła, ilekroć jej dotknął, a tysiące razy dziennie zalewała go fala pragnienia, by chwycić ją za słodkie, pachnące włosy i całować do utraty tchu. Codziennie z determinacją odwracał od niej usta, a ona nie była zdziwiona ani poruszona, bo uznawała jego zachowanie za całkiem naturalne. Która kobieta oparłaby się takiemu wyzwaniu, zastanawiał się, bardzo z siebie niezadowolony. Zaplanował tę wycieczkę do Wenecji tak, jakby planował ważny kontrakt, po miesiącach ciężkiej wspólnej pracy, usypiając podejrzenia, których Gigi mogła nabrać po tym pierwszym, niepotrzebnym i zbyt szybkim pocałunku, tak źle przez nią przyjętym. Pocałunku, który zranił jego dumę.

Gigi zuchwale i bez lęku przyjęła fakt, że porwał ją na wycieczkę do Wenecji. Ale która kobieta nie poczułaby się dotknięta pozorną obojętnością na swoje wdzięki?

Gdyby Gigi była kobietą skłoną do wyrafinowanych gier, doceniłby jej doskonałą zdolność udawania, ale może się założyć, że Gigi jest sobą, a nawet gdyby chciała udawać, na pewno nie zwiodłaby kogoś tak doświadczonego jak on. Jak to w ogóle możliwe, że nie uczyniła żadnego wysiłku, nawet najmniejszego, by dowiedzieć się, co Ben o niej sądzi, by go zaniepokoić, zburzyć jego obojętność, zniweczyć jego panowanie nad sobą, sprawić, by uczynił pierwszy krok?

Wszystkie próby, które dla niej przygotował, wszystkie pułapki zawiodły, ponieważ wcale ich nie dostrzegła, ciesząc się wszystkim, co zaplanował na każdy skończenie wspaniały dzień. Ben pomyślał jednak, że tak starannie zarzucił wędkę, iż to wprost niepojęte, by ryba nie chwyciła wreszcie haczyka.

A teraz, po kilku dniach błogosławionej ciszy, zaterkotał teleks. - Tego mi tylko brakowało! - wykrzyknął Ben z goryczą, wyrывая papier z maszyny tak gwałtownie, że aż go podarł.

*

Czego właściwie chcę? - zastanawiała się Gigi, żując drugi kęs tosta. Chciałam wolności i mam jej aż nadto. Nienawidziłam zaborczości i nie ma tu nikogo, kto chciałby mieć mnie na własność.

Chciałam uciec od ciągłego napięcia związanego

238

z seksem, we dnie i w nocy, a teraz znalazłam się w towarzystwie świetnego i nad wyraz powściągliwego przewodnika. Nienawidzę, kiedy ktoś jest o mnie zazdrosny, a teraz mam przy sobie chłopca, który traktuje mnie tak, jakbym była Huckiem Finnem. Powinnaś być zachwycona, ty śmieszna perwersyjna wariatko! Zostałaś porwana do Wenecji, bez żadnych zobowiązań - ilu kobietom na świecie zdarza się coś takiego? A może... Wenecja bez drobnego... flirtu... nie jest taka. Jaka powinna być, nie jest prawdziwą Wenecją? Czyżby flirt leżał w naturze miasta, tak jak przyływy i odpływy, bez których na kanałach zamarłoby życie?

Gigi wiedziała, że lubi flirtować, ale nie pozwoliła sobie na flirt z Benem Winthropem, nawet przez sekundę. Nie kokieta się porywacza, który do tego jest głównym klientem, a zatem mężczyzną, którego gościnność można przyjąć w okolicznościach skłaniających do kompromisu. Billy nie musiała jej tego mówić. Ale przede wszystkim to mężczyzna, który pocałował ją ten jeden raz w sposób niezapomniany, niebezpieczny i namiętny, a więc flirt oznaczałby, że sama pakuje się w tarapaty. Ben miał swoją Zasadę Numer Jeden, a ona swoją: żadnych flirtów z Benem Winthropem.

A jednak... a jednak, kiedy odbyli długą podróż tramwajem wodnym przez całą krętą długość Canale Grande, za każdym razem, kiedy *yaporetto* zatrzymywał się, uderzając w jedną z licznych przystani, a Ben podtrzymywał ją, pragnęła przytulić się do niego, odwrócić głowę, skryć ją na jego piersi i tak trwać, zamiast wyrwać się, kiedy ustało kołysanie łodzi. Ilekroć patrzyła, jak pije *cappuccino*, chciała wziąć go za rękę. Kiedy deszcz zmusił ich do szukania schronienia w portyku kościoła, z trudem oparła się pokusie schowania głowy pod obszerną marynarkę Bena. Kiedy

spoglądał na czek, wpatrywała się w jego powieki i miała ochotę dotknąć ich czubkami palców. Ale to nie flirt, przekonywała samą siebie Gigi. To naturalna potrzeba zmysłowego kontaktu z płcią przeciwną i każda kobieta czułaby to samo w tym niesamowitym, oszałamiającym mieście, w którym romans wydawał się obowiązkiem. Kobieta i mężczyzna w Wenecji

i żadnego romansu? To niebywale! Wręcz niepatriotyczne, zważywszy włoskie pochodzenie Gigi. W Wenecji flirtowała z wzajemnością tylko z kelnerami w restauracjach, z kapitanem Giuseppe, z gondolierem Guido i - z największym skutkiem - z Arrigo Caprianim.

Wczoraj przed lunchem zatęsknili wraz z Benem za prawdziwymi amerykańskimi hamburgerami. Poszli do Harry's Bar - jedyne miejsce w Europie, gdzie przyrządza się je jak należy. Poznała właściciela, przyjaciela Bena i jednego z największych, najbardziej subtelnych i urodzonych flir-ciarzy na świecie, mimo dystygowanego wyglądu. Zanim skończyli lunch, dał jej jeden ze swoich słynnych czerwonych krawatów, jedynych, w których go widywano, dopasowanych do granatowego swetra i białej koszuli, które wkładał do džinsów. Natychmiast wyjął z kieszeni drugi, taki sam. Dziś rano miała na sobie jego krawat. Podobał się jej ten wesoły dodatek, więc założyła go do jasnoniebieskiej bawełnianej koszuli i grubego wełnianego swetra, który wczoraj kupiła.

Dzięki Bogu, że wzięłam swoje karty kredytowe - myślała Gigi, jedząc śniadanie czwartego dnia pobytu w Wenecji. Tyle tu pokus, ile w Beverly Hills. Dolar stoi dwa razy mocniej niż lir, a butiki są otwarte siedem dni w tygodniu. Dwa dni temu była na tyle nieostrożna, że zatrzymała się na chwilę przed wystawą Nardiego, najslynniejszego weneckiego jubilera, a Ben wciągnął ją do środka, żeby przymierzyła ogromne szmaragdowe kolczyki z diamentami, które wpadły jej w oko. Kiedy wytłumaczyła mu, że nie może zgodzić się, by je dla niej kupił, bo porwanie, nawet najbardziej luksusowe, to nie to samo co prezenty w postaci drogocennej biżuterii, był wyraźnie zbity z tropu. Jednak później tego samego dnia, kiedy pozwoliła, by kupił jej małe komplety szwajcarskich przyborów do manicure, był uszczęśliwiony. Mógłby opłacać dziesięciu etatowych gondolierów przez sto lat za cenę tych kolczyków. Czy nie ma żadnego poczucia wartości pieniądza?

- Cholera! - Ben wszedł do jadalni i usiadł obok niej. - Przyszedł teleks. Powinienem rozwalić tę maszynę o ścianę.

240

- Musimy wracać?

- Och, wcale nie, chyba że eksplodowałyby moje sklepy. Wydałem odpowiednie polecenia. To coś innego. Zająłem się statkami i nagle pojawiła się okazja kupna trzech frachtowców, jeżeli pojedą dziś po południu do Mestre. Właściciel był znanym rozrzutnym i teraz musi natychmiast sprzedać statki za cenę złomu. Jeżeli nie kupię ich dziś rano, kto inny zrobi to po południu.

Nie, Ben zupełnie stracił poczucie wartości pieniądza, pomyślała Gigi. To dla niej niepojęte.

Tracić dzień w Wenecji z powodu kupy złomu!

Zostawię cię tutaj. Guido posłuży ci za przewodnika. Wrócę za kilka godzin - ciągnął Ben.

- Jak daleko jest do Mestre? - zapytała.

- Najwyżej pół godziny drogi, stałym łodem. Popłynę łodzią na dworzec kolejowy, tam będzie na mnie czekał samochód z kierowcą, rzucę okiem na statki i będę z powrotem w porze lunchu.

- Dlaczego nie mogę pojechać z tobą?

- Do Mestre? To ohydne miejsce. Szare, ponure przemysłowe miasto. Nie powinnaś tracić na nie czasu.

- Naprawdę - nalegała Gigi - powinnam dla odmiany zobaczyć coś obrzydliwego.

- Zatem bardzo się cieszę, ale nie mów, że cię nie ostrzegałem.

*

Przy bramie stoczni na Gigi i Bena czekał już przewodnik, który dał im po rowerze, kasku i parze „ochronnego obuwia”, przypominającego holenderskie saboty z metalowymi nosami i gumowymi podeszwami. Założyli je na własne buty i dopiero wtedy wpuszczono ich do stoczni. Frachtowce

stały w suchym doku o milę stąd. Po olbrzymiej stoczni, w której w straszliwym huku powstawały wielkie metalowe statki, poruszano się rowerami.

W suchym doku stanęli na betonie i spojrzeli na frachtowce daleko w dole, tuż nad poziomem wody - trzy identyczne, szare metalowe statki. Gigi pomyślała, że wyglądają smutno. Nie tylko dlatego, że wyciągnięto je z wody i widać było także

tę wielką część kadłuba, która zwykle jest pod wodą, ale i dlatego, że były przeznaczone na złom. Ale zauważyła, że ich burty i rufy zostały elegancko, wręcz artystycznie zaprojektowane, a ich kształty robią niezwykle przyjemne wrażenie, są równie mocne i wdzięczne, jak żaloszny jest los, który je czeka.

- Gdzie jest właściciel - ten Severini? - zapytał niecierpliwie Ben. - Chcę załatwić sprawę kupna i wrócić do Wenecji przed południem.

Za kilka minut pojawili się dwaj mężczyźni i szybko zeskoczyli z rowerów. Byli to ojciec i syn - obaj dystyngowani, dobrze ubrani i ponurzy.

- Proszę o wybaczenie, panie Winthrop. Miałem rozmowę zamiejscową, po czym okazało się, że nie ma dla nas rowerów, bo zostały tylko najmniejsze. Pan pozwoli, że przedstawię mojego syna, Fabia. Jest architektem morskim. Musieliśmy zarekwizować te rowery, bo inaczej nadal stałoby przy bramie.

- Miło mi panów poznać - powiedział Ben. - To panna Orsini - nadgorliwa turystka.

- Rzeczywiście trzeba być nadgorliwym turystą, żeby przyjechać do Mestre - powiedział starszy pan Severini.

Gigi uściśliła mu dłoń i poczuła jego ból, jego lęk i jego uczciwość. Miał bardzo poważne kłopoty finansowe, mimo eleganckiego ubrania. Odeszła kawałek wraz z Fabiem Severi-nim, żeby Ben i starszy pan mogli w spokoju porozmawiać o interesach.

- Architekt morski? - zapytała Gigi. - Innymi słowy, projektujesz statki?

- Tak - potwierdził Fabio Severini. - Te trzy statki to moje pierwsze zlecenie. Po studiach miałem zaszczyt odbyć praktykę pod kierunkiem wielkiego Giuseppe de Jorio w Genui. Oczywiście, nigdy nie zdobyłbym takiego wspaniałego zlecenia na trzy statki, gdyby nie budował ich mój ojciec. Może budowałbym najpierw łodzie wyścigowe albo małe jachty dla bogaczy. Nie wiadomo.

Przechylił się przez krawędź doku i mówił dalej, jakby Gigi wcale przy nim nie było, nie spuszczać oczu z kadłubów nieszczęsnych statków. - Poświęciłem kawał życia, by nauczyć się jedynej sztuki, jaka mnie interesowała. Niektórzy

242

ludzie uważają, że nie ma nic lepszego niż być właścicielem statków, jak mój ojciec. Nasza rodzina ma statki od setek lat. Niektóre z nich były chlubą Wenecji. Ale uważam, że projektowanie statków to równie wspaniałe zajęcie jak ich posiadanie.

- Oczywiście - mruknęła Gigi, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Zaprojektowałem nowy frachtowiec o wspaniałych i niezwykłych kształtach. Dlaczego frachtowiec nie miałby wyglądać równie pięknie, jak inne statki, żeglujące po oceanach? To moja filozofia. Spędziłem dziesięć miesięcy nadzorując pracę stoczniovców, którzy je budowali - część za częścią - i patrzyłem jak rosną - pokład za pokładem. A teraz? Trzy pływające kadłuby. Trzy kadłuby o cudownych kształtach, godnych morskich fal, nigdy nie popłyną, lecz pójdą na złom. Silniki nadal są w Trieście. Buduje je firma szwajcarska. Modlimy się, by znalazły nabywców. W przeciwnym razie nasza rodzinna firma będzie zrujnowana. Koszt silników to jedna trzecia ceny każdego statku. Mój ojciec nie ma do mnie pretensji. Wini sam siebie za to, że chciał zbudować trzy naraz. Problemem okazał się nie projekt, lecz zła ocena rynku.

- Kadłuby? Nie rozumiem. Czy są puste w środku? - zapytała Gigi, nie czekając na odpowiedź. Po prostu nie mogła znieść milczenia, które zapadło między nią a tym niebywale smutnym młodym wenejaninem.

- Tak, puste. Wnętrza buduje się na końcu. Te statki są prawie ukończone, ale bezużyteczne. W stoczni świętuje się dwa razy - kiedy zaczyna się budowę i kiedy stoczniovcy przekazują zbudowany przez siebie statek właścicielowi. Nie będzie drugiego święta.

- Nie można ich przekształcić w coś innego? - zapytała Gigi, spoglądając przez ramię, czy Ben już zakończył rozmowy.

- Z pewnością, gdyby był na to czas - odparł Fabio. - Statek przypomina to, co w Stanach nazywacie wielofunkcyjną limuzyną. Można go łatwo zmienić, nawet wydłużyć. Jest budowany w wielu modułach - jednym dla tankowca, innym dla statku pasażerskiego, jeszcze innym dla frachtowca, zależnie od przeznaczenia. Ale zmiana wymaga nakładów

finansowych. Dużych pieniędzy. Nie tak dawno firma Mariotti zamieniła wielki kontenerowiec, który pływał od lat, na statek pasażerski na osiemset osób. Wyjęli wszystko ze środka zostawili tylko maszyny i kadłub, po czym wybudowali pokłady, kabiny i sale. Nawet basen. Mimo to całe przedsięwzięcie zajęło im mniej czasu, niż budowa statku od początku Spójrz, ojciec daje nam znak.

Kiedy Gigi i Fabio dołączyli do obu panów, zauważyła, że podają sobie ręce, załatwiwszy sprawę. Starszy pan Seve'rini spojrział na nią i uśmiechnął się z ulgą, ale i rozpaczą.

- Do widzenia obu panom - powiedział Ben. - Musimy szybko wracać.

Kiedy wsiedli na rowery i odjechali, ostrożnie omijając dziury i kable, Gigi zaryzykowała spojrzenie przez ramię i zobaczyła, że ojciec z synem patrzą w milczeniu na trzy frachtowce.

Ojciec objął syna ramieniem. Ben miała rację pomyślała. Teraz żałuje, że chciała tu przyjechać.

11

Kiedy Gigi i Ben wrócili z Mestre, zachód słońca był taki piękny, że Ben polecił Guidowi wypłynąć gondolą na środek laguny i zatrzymać się tam tak długo, jak tylko można.

- To dla niego prawdziwe wyzwanie - wyjaśnił Ben z uśmiechem. - Kiedy gondola płynie, dość łatwo jest unikać dużych fal, ale gondoli nie można zakotwiczyć, a o tej porze na wodzie jest wielki ruch. Pewnie lepiej byłoby mieć pasy bezpieczeństwa. Będzie nowy skandal w historii Wenecji.

- Co Guido o nas myśli? Zwariowani Amerykanie?

- Coś gorszego i bardziej konkretnego.

Gigi i Ben zakotylali się, kiedy o gondolę otarł się vaporetto pędzący na Lido. Gigi zerknęła na Guida, który stał nad nimi rozglądając się na wszystkie strony, by dostrzec potencjalne zagrożenie, zwłaszcza ze strony policyjnych motorówek. Policjanci byli jedynymi żeglarzami w Wenecji, którzy zawsze przekraczali dozwoloną prędkość.

244

- Och - westchnęła Gigi. - Wiem, że nie lubisz porównań z przeszłością, ale czy nie byłoby cudownie, gdyby po Wenecji nie pływały łodzie motorowe? Gdyby na wodzie były tylko gondole? Choćby przez jeden dzień? W tonie jej głosu brzmiała taka tęsknota, takie marzenie o tym, co niemożliwe, że Ben Winthrop natychmiast skorzystał z sytuacji, na którą czekał - z chwili, kiedy Gigi była gotowa odwzajemnić jego uczucia, nawet jeśli nie uświadamiała sobie tego.

- Wolałbym cofnąć się w czasie do innego dnia - odparł.

- Może nie do dnia, ale do pewnego wieczoru i pewnej szczególnej minuty.

- Której? - zapytała rozleniwiona, patrząc na lawendowe, różowe i złote chmury i zastanawiając się, jak nazwać tę kompozycję barw, jeśli taki efemeryczny kolor ma w ogóle swoją nazwę.

Ujął jej twarz w dłonie i zwrócił ku swojej. - Do tego wieczoru, kiedy cię pocałowałem - powiedział i pochylił się, by pocałować Gigi tak delikatnie, jak nikt jeszcze jej nie całował. - Do tego wieczoru, kiedy pocałowałem cię za wcześniej - powiedział Ben i pocałował ją ponownie, jeszcze bardziej delikatnie. - Do wieczoru, kiedy cię rozgniewałem

- dodał i pocałował ją trzeci raz, tak subtelnie, że ledwie musnął ją wargami. - Masz smak koloru chmur - powiedział jej, sam zdziwiony swoim własnym wzruszeniem i tym zaskakującym wyznaniem. - Od tamtej pory starałem się zapamiętać smak twoich ust i teraz już wiem... to smak najpiękniejszego kwietniowego zachodu słońca.

- W Wenecji? - Głos Gigi załamała się. Z trudem szukała słów, które nie wydadzą się kokieterijne.

- Wszędzie na świecie.

- Och.

- Czy możesz mnie pocałować? - zapytał nieśmiało. Gigi pochyliła się, by pocałować go równie subtelnie, jak on ją, ale nagle fala zakołysała gondolą i pchnęła Gigi naprzód. Ben schwycił ją w ramiona i stwierdziła nagle, że jej nos tkwi na wysokości jego ucha. Nad nimi rozlegał się głos Guida, który przeproszał i kłął na zmianę. Gigi wybuchnęła śmiechem. - Miałam przyjazne zamiary, ale gondola jest zbyt wywrotna - wyszeptała do Bena, unosząc

twarz, lecz pozostając w schronieniu jego ramion. Czy to flirtu

- zastanawiała się.

- Guido, z powrotem do pałacu, tak szybko, jak się da

- wykrzyknął Ben.

Nigdy jeszcze gondola nie płynęła tak chaotycznie i tak długo. Guido wiosłował ile sił. Ben trzymał Gigi w ramionach kryjąc twarz w jej włosach i okrywając je pocałunkami, od których powstrzymywał się tak długo. Gigi nie była w stanie myśleć. Kołysana jak dziecko, czuła się tak, jakby istniały tylko mroczne doznania zmysłów, a jej ciało składało się z dźwięczących strun i oszałamiających impulsów z miodu wrzosu i różowego szampana. Pod spojrzeniem Guida przeszli zachowując pozory przyzwoitości, ze stopni na brzegu do wnętrza pałacyku. Gigi przekroczyła próg i odwróciła się do Bena, nagle onieśmielona. Pomyślała, zachowując resztkę rozsądku, że posunęła się stanowczo za daleko, by wycofać się na poprzednie pozycje, ale co będzie z jej postanowieniem? Wzrok Bena był czuły i władczy. Spoglądając na niego pomyślała, że me widziała u niego takich oczu, bo nie są to oczy chłopca.

- Co teraz? - zapytał Ben z pewnością siebie, która przeczyła niepewnemu pytaniu.

- Nie... wiem - odparła Gigi, rozpaczliwie pragnąc by wróciły czasy, kiedy kobiety mdlały, unikając odpowiedzi na tak impertynenckie pytania.

- Ja... ja... nie... och, Gigi, jeżeli nie podobam ci się ani trochę, me chcę się z tobą kochać... nie wiedząc, jakie konsekwencje muszę ponieść...

- Będziesz musiał zaryzykować - mruknęła Gigi, tak tajemniczo, jak tylko umiała, nie mogąc oderwać od niego wzroku - Niczego nie gwarantuję...

*

- Już złamałeś swoją zasadę - powiedziała łagodnie Gigi kiedy znaleźli się w pokoju Bena, w którym na podeście stało łóżę zwrócone ku trzem gotyckim oknom w rzeźbionych wykuszach. - Zasadę jednego... tylko jednego pocałunku...

- Ale dzisiaj nie oglądaliśmy dzieł sztuki, więc musimy to sobie wynagrodzić, a poza tym moja zasada nie mówiła nic

246

O jednym pocałunku - powiedział stłumionym głosem, który z trudem rozpoznawał jako swój. - Nigdy tylko jednego pocałunku. - Poprowadził ją do środkowego okna i stanął obok niej, zwróconej plecami do Canale Grandę. - Chciałem pocałować cię właśnie tu i mieć otwarte oczy, żeby doświadczyć jednocześnie dwu wielkich przyjemności.

- Ale w słabszym stężeniu - zaprotestowała Gigi, śmiejąc się szyderczo. - Można zaspokoić albo zmysł dotyku, albo zmysł wzroku, lecz nie oba jednocześnie... chyba że całuje się posąg... -

Przysunęła się do niego, objęła go i pokryła jego usta burzą drobnych, delikatnych, zdecydowanych pocałunków, które sprawiły, że w zachwyceniu zamknął oczy. - Wybieraj - zażądała, więc zamknął oczy i dopadł jej ust tak zachłannie, że wkrótce pod wpływem nowych doznań jej wargi zamieniły się w płonące róże.

- Och, Ben - westchnęła. - Nie powinnam tak z tobą flirtować.

- Masz rację - przytaknął, głosem drżącym z niecierpliwości i poprowadził ją do łóżka. - To za wiele... i za mało... przestańmy flirtować. Poflirtujemy później.

- Później? - zdziwiła się Gigi. - Później....

- Znów flirtujesz - mruknął, rozbierając ją. - Dobry Boże, jesteś taka piękna... och, niesamowicie... nieznownie... niewybaczalnie... piękna... o wiele piękniejsza niż sobie wyobrażałem...

- Wyobrażałeś sobie? - Gigi sapnęła z oburzeniem resztką tchu. - To właśnie robiłeś? Ośmieliłeś się wyobrażać mnie sobie w taki sposób?

- Właśnie tak. Równie dobrze mógłbym siedzieć cały czas w Mestre, bo nie widziałem Wenecji, tylko... och... Gigi....

- Jego usta zawładnęły jej piersiami tak zachłannie, jak już za chwilę jej ustami, a potem - tak szybko, że zaskoczyło to ich oboje, lecz nie zawahali się ani na chwilę - zawładnął nią całą i sprawił, że i ona zapragnęła go posiadać. Ogarnęło ich pożądanie tak głębokie, że nie zwróciliby uwagi na cyklon, tak lekkie, że z podmuchem powietrza mogliby wypłynąć przez gotyckie okna, tak gwałtowne, że mogliby gryźć siebie nawzajem, żeby poczuć swoją bliskość, a jednak było to pożądanie tak pełne wahania, że drżeli wraz z każdym krokiem tego najstarszego tańca świata.

255

Godzinę później, kiedy słońce już dawno zaszło, Gigi odezwała się znowu. Jej głos dziwnie brzmiał w jej własnych uszach, jakby ktoś jej go odebrał i przywrócił inny, ciekawszy.

- Teraz, kiedy już wiesz, jakie konsekwencje wynikają z tego, że się ze mną kochałeś... czy cieszysz się, że podjąłeś to ryzyko?

- Nie jestem jeszcze całkiem pewny, czy wykorzystałem swoją szansę - powiedział z namysłem Ben Winthrop, rozsuwając dłońmi jej przychylne uda z wdziękiem i wprawą które kłóciły się z tonem jego głosu. - Muszę zaryzykować jeszcze raz, żeby... się upewnić.

- Czy nie powinniśmy... zacząć tak jak wtedy... w gondoli?

- Jeżeli tego chcesz... - Pocałował ją tak delikatnie, jak w gondoli. - Możemy udawać. - Rybka połknęła haczyk

- pomyślał Ben.

- Dlaczego udawać? - westchnęła Gigi, kiedy znów w nią wszedł. - Och, Ben, przecież to prawdziwe życie, tak?

Kilka godzin później siedzieli owiani aurą erotycznej tajemnicy przy półokrągłym stole i zamawiali kolację w Cipriani

- najelegantszym ze wszystkich włoskich hoteli. Restauracja hotelowa ma osobliwy niezrównany wdzięk i jedyny w swoim rodzaju widok na niebo, morze i kopuły katedry San Giorgio Maggiore po drugiej stronie laguny.

- Tu jest zupełnie jak na statku - powiedziała Gigi, przerywając milczenie, które ogarnęło ich niczym szczęśliwych więźniów, którzy mają zbyt wiele do powiedzenia i nie wiedzą, od czego zacząć i czy w ogóle zaczynać.

- Mhm - zgodził się Ben, patrząc na nią i nie zauważając widoku za oknami zajmującymi przestrzeń od podłogi do sufitu, oddalonymi od nich o kilka stolików.

- Naprawdę tak jest. Spójrz tylko, a zobaczysz, co mam na myśli.

- Wiem, bo to jedno z moich ulubionych miejsc - powiedział, przyglądając się uważnie jasnej głowie Gigi, jakby to był cudowny kwiat, pozbawiony jednego płatka. Czy to naprawdę to? Czy jest zakochany? Nigdy nie doświadczyłem podobnego uczucia, Boże drogi - myślał Ben, w poczuciu głębokiego

248

szczęścia i równie głębokiej niepewności. Był tak niestały w uczuciach, że nie dowierzał sobie samemu.

Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął czarne aksamitne pudełeczko. - Zapomniałem - powiedział, otwierając je i wyjmując szmaragdowo-diaamentowe kolczyki. - Zupełnie zapomniałem. Nie mogłem się oprzeć i kupiłem je, mimo wszystko. Ponieważ nie pozwoliłaś, bym kupił je dla ciebie, może przynajmniej włożysz je dla mnie dziś wieczorem?

- To zależy - powiedziała Gigi z namysłem, nie sięgając po wielkie upragnione klejnoty spoczywające na jego dłoni. Nawet na nie nie spojrzała, lecz rozglądała się po sali, jakby tam szukała odpowiedzi. Od czego zależy? - zastanawiała się, grając na zwłokę. Odkąd Ben pocałował ją w gondoli, nie mogła polegać na swoim rozsądku. Gdzie się podziała dziewczyna, która dziś rano rozmyślała tak roztropnie o powodach, dla których nie należy flirtować z Benem

Winth-ropem? Jak to się stało, że tak szybko dała się wciągnąć w coś, czego tak skrupulatnie unikała, odkąd znalazła się na pokładzie samolotu do Wenecji? Miała wybór, nawet po jego pocałunku. Miała wybór do chwili, kiedy przestąpiła próg jego pokoju. Czy to miłość? Kiedy była z Zachem, nigdy nie musiała zadawać sobie takiego pytania. Kiedy była z Davym, od razu wiedziała, że to nie to. Będąc z Benem wiedziała tylko, że nic nie wie.

- Od czego zależy? - powtórzył Ben, kiedy milczała. Gigi otrząsnęła się i przypomniała sobie coś, o czym zapomniała. - Od tego, czy spojrzysz przez okno, czy nie. To znaczy... czy naprawdę spojrzysz, nie tylko przez okno, ale i na stoliki obok nas i na okna, tak jakbyś widział to wszystko pierwszy raz, w całości.

- Jak długo?

- Przez trzy minuty.

- Proszę. - Podał jej zegarek. - Możesz policzyć czas co do sekundy, możesz liczyć fazy księżyca, czas w dwunastu różnych strefach, masz tu znaki zodiaku... wszystko, prócz horoskopu celtyckiego.

- Mam szczęście do horoskopów - powiedziała Gigi, patrząc jak Ben spogląda uważnie na salę. - Zawsze mam najlepsze horoskopy. Nawet w różnych gazetach.

249

- A ja... szczęście do miejsc na parkingach - odparł przesuwając wzrok z uwijających się kelnerów i eleganckich kierowników sali na ciemne niebo i wodę za oknem. - Zawsze znajduję miejsce, w każdym mieście i o każdej porze Chcesz odrobinę takiego szczęścia do parkowania? Czy w ogóle można podzielić się swoim szczęściem?

- Nie sądzę, by można się nim dzielić.

- Dlaczego? Właściwie moje szczęście zaraz ci się udzieli kiedy włożysz kolczyki.

- Och, nie sądzę. Chyba że oddam ci je na zakończenie wieczoru, a ty me będziesz się sprzeciwiał.

- Straszna z ciebie formalistka - poskarżył się, wiedząc, że odkryła jego prawdziwe zamiary.

- Najpierw materia, potem forma.

- Zdaje mi się, że chcesz powiedzieć „najpierw funkcja potem forma”, a to nie ma nic do rzeczy. Trzy minuty upłynęły? ³

- Prawie. Chcę tylko powiedzieć, że wkładając kolczyki dziś wieczorem, po prostu pożyczę je od ciebie na kilka godzin. Jasne?

- Całkowicie. Czy teraz mogę popatrzeć na ciebie?

Gigi zerknęła na zegarek, odczekała dwie sekundy i powiedziała: - Czas dobiegł końca.

Ben odwrócił wzrok od okien i wyprostował zaciśniętą dłoń. Kilkoma przemyślanymi i swobodnymi ruchami Gigi wyjęła z uszu własne kolczyki, włożyła je do torebki, wzięła ciężkie zwisające szmaragdy z dłoni Bena i wsunęła je w płatki uszu

- Gdyby gwiazdy umiały tańczyć... - powiedział Ben nie mogąc oderwać od niej wzroku ani dokończyć zdania - Nie chcesz lusterka? - zapytał.

- Dobrze pamiętam, jak wyglądałam, kiedy je mierzyłam - odparła, przysuwając się do niego na ławeczce. - Nie muszę na siebie patrzeć. I tak czuję się zażenowana. Nie chcesz wiedzieć, dlaczego prosiłam cię, żebyś spojrział na wszystko tak, jakby to był pierwszy raz?

- To jakiś rytuał?

- Kiedy wracaliśmy z Mestre, przyszedł mi do głowy pewien pomysł, może najlepszy pomysł, jaki miałam w życiu. Chciałam ci o nim powiedzieć, kiedy go przemyśle... a potem

250

całkiem o nim zapomniałam. Wyjąłeś kolczyki, a wtedy mój pomysł, w pełni uformowany, znów przyszedł mi do głowy.

- W pełni uformowany - powtórzył bezwiednie Ben, czując, że otrzymał rzadki przywilej.

Wzrokiem pieścił Gigi i brał ją w posiadanie.

- Nie uważasz - wykrzyknęła i odsunęła się od niego.

- Jeżeli będę uważał, wrócisz tu do mnie?

- Najpierw posłuchaj - powiedziała z przejęciem. - To poważna sprawa. Te trzy frachtowce, które dziś kupiłeś nie muszą iść na złom. To niezwykle piękne statki o eleganckich kadłubach.

Naprawdę piękne. Można je przerobić na zupełnie nowe statki wycieczkowe...

- Co? Kogo, do diabła, interesują statki wycieczkowe?

- przerwał, zdziwiony i niemal obrażony, że umysł Gigi nie przestaje pracować nawet w takich chwilach.

- Ciebie, Benie Winthropie.

- Kochanie, na Boga, mówiłem ci, że zajmuję się statkami, ale nie wspominałem nic o statkach pasażerskich. To zupełnie co innego. Po co zawracać sobie tym głowę?

- Och, wiem, że to cię nie interesuje - powiedziała lekceważąco, nie zwracając uwagi na jego sprzeciw - ale powinno. Wyobraź sobie statek pasażerski tej klasy, co hotel Cipriani: elegancki, ale niezbyt wielki, ekskluzywny, obłędnie drogi i doskonały w każdym calu. Statek, na którym

poczujesz się tak, jak w tej restauracji. Te frachtowce, które widzieliśmy, mogłyby stać się takimi statkami

- tylko jedna klasa i tylko jeden rodzaj kajut - apartamenty, superluksusowe apartamenty ze ściśle określoną liczbą pasażerów, w najlepszym możliwym stylu i za najwyższą możliwą cenę.

- Skąd... - zapytał Ben, zmieniając nagle ton i słuchając jej z wielką uwagą. - Właściwie skąd wiesz, że jest zapotrzebowanie na takie statki?

- Od Collinsów, właścicieli Indigo Seas. Wszyscy uwielbiają rejsy wypoczynkowe. Dwa razy do roku cała rodzina zostawia dzieciaki w domu i wyrusza w rejs. Ale ciągle narzekają na małe kabiny w pierwszej klasie. Nie podoba się im także to, że na wielkich statkach pasażerskich są aż trzy klasy podróży. Mimo iż różnice w cenie biletów są

259

ogromne, wszyscy i tak korzystają z tych samych pomieszczeń i restauracji, kiedy już znajdują się na pokładzie.

- Ale trzy klasy są konieczne, żeby linia była dochodowa. To tak jak w samolotach.

- Nie. Wydaje mi się, że problem polega na wielkości statków pasażerskich. Są takie ogromne, że koszty własne są niebotyczne i dlatego właściciele chcą zapłacić wszystkie kabiny - powiedziała Gigi. - Ben, wiem, że to nie brzmi demokratycznie i w istocie nie jest demokratyczne, ale teraz właśnie teraz, ludzie, którzy mają dużo pieniędzy, chcą obcować z ludźmi równie zamożnymi jak oni sami. To tak, jak w tej restauracji. Rozglądają się i z przyjemnością stwierdzają, że wszyscy dokoła są tak samo bogaci, jak oni.

- Skąd wiesz?

- Odkąd włożyłam kolczyki, poczułam na sobie co najmniej tuzin zachwyconych i pełnych aprobaty spojrzeń. Przedtem ci sami ludzie prześlizgiwali się po mnie wzrokiem, jak po zwykłej dziewczynie. No... - dodała Gigi, oddając sobie sprawiedliwość - Może patrzyli z nieco większą uwagą. Ale teraz, kiedy włożyłam kolczyki, stałam się jedną z nich i z zachwytem przyjmują ten fakt do wiadomości.

- Zakładam, że masz rację - ciągnął Ben - ale frachtowce to nie statki pasażerskie.

- Te frachtowce nie są także prawdziwymi frachtowcami. Fabio Severini powiedział mi, że są to „puste pływające kadłuby” - upierała się Gigi. - Równie dobrze mogłyby stać się statkami pasażerskimi. Powiedział mi, że przeróbka statku wymaga tylko połowy nakładów finansowych i o połowę mniej czasu niż wybudowanie nowego, kiedy gotowy jest kadłub i maszynownia. W Trieście są trzy silniki, skonstruowane specjalnie z myślą o tych statkach...

- Jesteś tego pewna? - Ben mówił obojętnym tonem, ale w myślach zaczął analizować informacje, których dostarczyła Gigi. - Całkowicie. Jego ojciec usiłuje je sprzedać...

- To beznadziejna sprawa. Silniki robi się na zamówienie do określonych statków, a ich produkcja trwa kilka lat.

- Och, nie! Zatem Severini są zrujnowani. - Gigi dziwiła się, że ta wiadomość tak ją przygnębiła. Obawiała się tego cały czas. Ruina rodu Severinich, który zajmował się budową

260
statków, była najważniejszym powodem, dla którego pragnęła ocalenia frachtowców. Gdyby odzyskali pieniądze, które zainwestowali w silniki, dysponowałiby pewnym kapitałem. Pomysł budowy frachtowców nie byłby całkowitym fiaskiem.

- Ben, gdybyś kupił silniki - masz już kadłuby - mógłbyś zamienić te statki w cudowne klejnoty! Wynajmij najlepszych projektantów statków! Za jednym zamachem mógłbyś zostać właścicielem linii pasażerskiej! Dlaczego nie? Podaj mi choć jeden powód, który uniemożliwia takie przedsięwzięcie. - Gigi płonęła entuzjazmem, który byłby bardziej stosowny na meczu czwartej ligi.

- Hej, uspokój się, kochanie. Organizacja linii pasażerskiej to coś więcej niż posiadanie statków.

- Trudniej zbudować dom towarowy niż posiadać ziemię pod budowę!

- Ale wiem, jak to się robi. - Gigi pomyślała, że jego głos jest dziwnie bezbarwny jak na tak cudowny nowy pomysł.

- Nie chcesz spróbować swoich sił, Ben? - zapytała, starając się pobudzić jego wyobraźnię. Nie odpowiedział. Nawet nie usłyszał pytania. Ben miał nadzwyczajny dar wyczuwania właściwej chwili, w której nowe idee harmonizują z duchem czasu. Gigi wpadła na doskonały pomysł, a on natychmiast przyjął go jak własny.

Kiedy tak siedział, jakby nieobecny duchem, w myślach zastanawiał się nad ekspertami, którzy udzieliły mu informacji, jakich ludzi powinien podkupić już istniejącym liniom pasażerskim,

obliczał, ile okazjnie zapłaci za silniki, zastanawiał się w myślach nad dziesiątkami spraw związanych z rejsami,

o których będzie musiał dowiedzieć się więcej i to natychmiast. Wiedział doskonale, że w 1984 ludzie zamożni zarabiają

1 wydają pieniądze jak nigdy dotąd. Agencje zajmujące się organizacją rejsów nie wykorzystwały jeszcze tej fali bezwstydnej rozrzutności. Można zarobić ogromne pieniądze i nie ma czasu do stracenia.

- Ben! Wcale mnie nie słuchasz! - wykrzyknęła zasmucona Gigi. - Pomyśl tylko... mógłbyś nazwać przedsiębiorstwo Linia Winthropa.

253

- Domyślam się, że chciałabyś nazwać pierwszy statek „Smaragdem Winthropa”? - odpowiedział jej bez namysłu.

- Hm... może to zbyt banalne... ale trzeba się nad tym zastanowić. Co ty na to? - Rozradowana Gigi pomyślała, że skłoniła go do zastanowienia się nad nazwą statku, więc może zacznie traktować poważnie pomysł stworzenia linii pasażerskiej.

- Podoba mi się - powiedział, odwracając się do niej zniemacka i wpadając w zupełnie inny nastrój.

- Nazwa łatwo wpada w ucho, a poza tym upamiętnia twój dzisiejszy wygląd. Może znów pożyczysz ode mnie kolczyki, kiedy zostaniesz matką chrzestną „Smaragdu Winthropa”.

- To znaczy... że spróbujesz! Naprawdę! Widzę to w twoich oczach! Nie droczysz się ze mną!

- Oczywiście, że nie - zdziwił się Ben. - Nigdy nie żartuję w interesach, Gigi. To cudowny pomysł, który trzeba zrealizować, ale nie rozmawiajmy o reklamie całego przedsięwzięcia, dopóki nie dowiem się więcej o sprawie, która nadal pozostaje dla mnie czarną magią.

Gigi otworzyła usta. Nie chciała zdobyć nowego kontraktu. Nie przeszło jej to przez myśl. Z drugiej strony, niech sprawiedliwości stanie się zadość. Czy chce, żeby zajęła się tym agencja Chiat Day? Jednak daleko jej było do profesjonalizmu, o który podejrzewał ją Ben.

- Jest tylko jeden problem - powiedział z żalem Ben. - To tak, jakby eksplodował mój dom towarowy. Gdybyś nie powiedziała tego dziś wieczorem... gdybyś doznała olśnienia kilka dni później... Musimy wyjechać już jutro, żebym mógł zaraz zająć się wszystkim.

- I tak muszę jechać - powiedziała ze smutkiem Gigi. - Nie chciałam się do tego przyznać nawet przed sobą, ale mogę tłumaczyć swoją nieobecność interesami w Nowym Jorku tylko przez określony czas. My tu sobie siedzimy, ale Archie na pewno toczy pianę z ust.

- Jeżeli wyruszymy jutro, zarobimy sześć godzin w stosunku do Nowego Jorku. Możesz pracować z Jackiem Taylorem nad Zaczarowanym Strychem przez cały weekend. Wyślę cię z powrotem do Los Angeles w niedzielę i zostanie ci dość czasu, żeby się wyspać, zanim zjawisz się w biurze.

Zaraz po

262

kolacji nadam teleks i zawiadomię sekretarkę, żeby zorganizowała wszystko na twój przyjazd.

Sprzedawcy nie będą mieć nam za złe tego pośpiechu.

Och, Ben, nie wiem, czy śmiać się, czy płakać. Jestem zupełnie rozkojarzona. Cieszę się na myśl o „Smaragdzie Winthropa”, ale przykro mi, że wyjeżdżam z Wenecji.

Kochanie, kochanie... nie rozumiesz, że wrócimy tu jeszcze wiele razy? Wcale nie musisz żegnać się z Wenecją.

*

- Miałaś jakieś wiadomości od Gigi? - Sasza zapytała Billy, kiedy siedziały w pokoju dzieci, patrząc jak ich maleństwa po raz pierwszy bawią się razem. Dzień był ciepły, więc niemowlęta miały na sobie tylko pieluszki i bawełniane koszulki. Wszystkie były w fazie raczkowania. Bawiły się na miękkim dywanie w ośmiokątnym kojcu o ściankach z przezroczystego plastiku.

Dziewięciomiesięczne bliźniaki Billy

Hal i Max - były zachwycone maleńką Nellie, starszą od nich o dwa tygodnie. Mimo iż było ich dwóch, a każdy z nich ważył co najmniej dwa i pół kilograma więcej niż Nellie, dziewczynka wyraźnie przewodziła gromadce, korzystając z boskiego przywileju kobiet.

- W pewnym sensie - stwierdziła Billy. - Zadzwoiłam do Nowego Jorku, telefonistka w hotelu powiedziała mi, że Gigi wyszła, po czym zadzwoniła do mnie sekretarka Bena Winthropa i powiadomiła mnie, że Gigi zadzwoni o ósmej następnego dnia.

- Co to znaczy „w pewnym sensie”? Zadzwoiła?

- Tak. Zadzwoiła, ale ledwie znalazła czas na rozmowę - powiedziała z żalem Billy. - Sądziłam, że zechce mi opowiedzieć o swoich osiągnięciach, ale stwierdziła, że to zbyt skomplikowane i opowie mi wszystko po powrocie. Przecież rozmawialiśmy już przez telefon o tylu skomplikowanych sprawach! Ha! Wierz mi, że w porównaniu z nimi Zaczarowany Strych to drobnostka! Miałam uczucie, że nie może się doczekać, by odłożyć słuchawkę.

- Ze mną też tak rozmawiała. Szybko i byle jak. Myślę, że oszalała na punkcie pracy albo świetnie się bawi w Nowym Jorku i nie chce się do tego przyznać.

255

- Och, Sasza, daj spokój. Wiesz równie dobrze jak ja, że Gigi nie ma skłonności do zabawy, gdy w grę wchodzi praca - sprzeciwiła się Billy. - Pochłania ją ten projekt. Wszystkie projekty. Najpierw zajęła się stylową bielizną, potem Scruples II, później zaczęła pisać teksty reklamowe i wynalazła nowy typ kostiumu kąpielowego, po czym wymyśliła nowy rodzaj sklepu z zabawkami. Spójrz na nasze dzieciaki... czy potrzebują nowych zabawek?

Billy dała maluchom trzy pudełka kolorowych klocków, wiedząc, że dzieci bardziej zainteresują się pudełkami niż ich zawartością. Kiedy przeżuły już i ośliniły wszystkie pudełka i zbadały ich możliwości, zajęły się smacznymi butami i sznurowadłami. Przez kilka minut uwaga ząbkujących bliźniaków skupiła się na tych przedmiotach. Zmęczyły się butami, więc Billy dała im trzy pary okularów przeciwsłonecznych z niełamliwego plastiku, ponieważ wcześniej interesowały się jej własnymi. Na koniec dostały miseczkę z lodem, w której spoczywały trzy czyściutkie gryzaczki. Ich żucie dostarczyło dzieciom najwyższej przyjemności.

- Nie bawią się pudełkami - powiedziała Sasza. - Czy zauważyłaś, że traktują Nellie jak zabawkę? Oglądają ją. Czy myślą, że to lalka?

- Jeszcze nigdy nie widziały z bliska żadnego małego dziecka. Nellie jest mądra i da sobie radę.

- Oczywiście - powiedziała Sasza. - Urodziła się mądrzejsza. Już taka jej natura.

- To dziewczynka - zauważyła Billy bez urazy. - Czego się spodziewałaś?

- Och, Billy, może dziewczynki są mądrzejsze na początku, ale nie wszystkie są tak cholernie mądre, kiedy dorosną! - powiedziała Sasza, wybuchając gwałtownym płaczem.

- Dobry Boże! Sasza! Biedactwo! Co się stało? Powiedz, co ci jest - błagała Billy, mocno trzymając Saszę za ramiona! Dopiero po dłuższej chwili Sasza ochłonęła na tyle, że mogła przemówić. Otarła łzy, wydmuchała nos i powiedziała z wysiłkiem:

- Rozwodzimy się.

- Och, Jezu. Och, Sasza, tak mi przykro.

- Ale nie dziwisz się, prawda?

264

Nie... niezupełnie. Czuję, że coś się dzieje... nie wiem I o, ale znam was oboje tak dobrze... Miałam nadzieję...

Ja też miałam nadzieję. Niemal oszalałam, mając nadzieję... Ale to naprawdę beznadziejne. Billy, ta sytuacja trwa Od kilku miesięcy i pogarsza się, zamiast się poprawiać... Nic (nie mówiłam, dopóki nie nabrałam pewności, ale wniosłam **0** rozwód już trzy miesiące temu. Wtedy Josh wyprowadził się \ domu. Czy Gigi mówiła ci, co się stało?

- Nic, ani słóweczka. Ale ostatnim razem, kiedy Spider i ja widzieliśmy cię z Joshem, zauważyliśmy, że nie był... och, Świetnie udawałaś, ale nie Josh... Był taki przygnębiony, taki... ponury. A potem zawsze mówiłaś, że jesteś zajęta, kiedy dzwoniliśmy, więc zastanawialiśmy się dlaczego.

- On jest chory, Billy. Jest śmiertelnie chory z zazdrości

0 mężczyzn, z którymi sypiałam, zanim go poznałam.

1 ma powody.

- Jak, do diabła, możesz tak mówić? - zapytała Billy **1** niedowierzaniem. - Czy Josh zwariował?

- Na tym punkcie - tak.

- O czym ty mówisz? Sasza, musisz mi to wytłumaczyć! Szybko, ale nie szczędząc najdrobniejszych szczegółów

Sasza opowiedziała Billy o podróży Josha do Nowego Jorku i o tym, czego dowiedział się o jej przeszłości. Mówiła rzeczowym tonem, ale unikała wzroku Billy i nieświadomie kręciła głową, wyrażając w ten sposób dezaprobatę dla własnej osoby.

Billy słuchała w milczeniu, przyglądając się Saszy z uwagą. Kiedy Sasza skończyła, Billy ujęła jej dłoń i mocno je uściskała.

- Teraz posłuchaj, dziecinko. Josh wykręcił ci ohydny, parszywy numer. Sprawił, że zaczęłaś źle o sobie myśleć. Wysłuchałam tego, co mówiłaś na swoje usprawiedliwienie, ale między wierszami czytam, że wierzysz w te bzdury, których ci naopowiadał. Josh to skończony dupek i gdyby był w tym pokoju, udusiłabym go gołymi rękami... przy dzieciach, gdybym musiała... i nie skazałby mnie za to żaden sąd!

" - Billy!

- Szkoda, że nie wiesz, co robiłam, zanim w moim życiu pojawił się Vito. Josh uważałby, że to było tysiąc razy gorsze

257

niż twoje wyczyny. Wybierałam mężczyzn - pielęgniarzy Ellisa i zatrudniałam ich myśląc tylko o tym, by się z nimi pieprzyć. Nie miałam ochoty poznawać ich bliżej. Było mi wszystko jedno, czy dają się lubić. Wystarczyło, że wydawali mi się pociągający. Ważne było tylko pieprzenie się. Czyste rżnięcie. Ty umawiałaś się z kochankami na randki, byłaś z nimi związana, jadłaś z nimi kolacje, tańczyłaś, żartowałaś, romansowałaś. Ja nigdy nie pokazałabym się publicznie ze swoimi kochankami. Właściwie nie byli kochankami. Nigdy nie rozmawialiśmy... To były tylko ciała z fiutami. Trwało to wiele lat.

- Billy!

- Hm, przynajmniej zmusiłam cię do uśmiechu. A może to szok? W każdym razie, jest ci lepiej. Wiesz, Sasza, nigdy nie byłaś Wielką Dziwką. Byłaś Wielką Rozpustnicą. Swego czasu Spider miał każdą modelkę w Nowym Jorku. Trwało to dziesięć lat, potem poznał Valentine. Był Wielkim Rozpustnikiem i ty też. Ja też nie byłam dziwką... potrzebowałam seksu tak samo jak wody i znalazłam sposób, by go mieć, kiedy Ellis umierał. Zanim poznałam Ellisa, kiedy mieszkałam z Jessiką w Nowym Jorku, także przeżyłam okres Wielkiej Rozpusty, wierz mi. Nie plećmy bzdur o zazdrości o to, co ludzie robili, zanim się poznali. Takiej zazdrości nie można zaakceptować, a jeśli Josh tego nie rozumie, jedynym wyjściem jest rozwód. Im prędzej, tym lepiej. Jeżeli chcesz znać moje zdanie, jest za stary, żeby się zmienić, za stary i zbyt przywiązany do dawnych tradycyjnych wartości wyniesionych z domu.

- Jest jeszcze coś, Billy. To gorsze niż zazdrość. Może pewnego dnia poradziłby sobie z zazdrością, ale podjęłam decyzję dlatego, że się wstydził. Nie chciał pokazywać się w moim towarzystwie, bo bał się, że spotkamy kogoś, kto zna moją przeszłość. Wstydził się, że jest moim mężem.

- Cholera! Gdybyś powiedziała mu przed ślubem!

- Wtedy nie byłoby ślubu.

- W tym rzecz. Oszczędziłabyś sobie tego wszystkiego. Kogo obchodzą jego bzdury? Och, Sasza, jak mogę ci pomóc?

- Żartujesz? Już mi pomogłaś. - Zaczęła śmiać się i płakać jednocześnie, a Billy dołączyła do niej, głęboko poruszona nieszczęściem Saszy. Kiedy się uspokoiły, spojrzały na zapom

266

niane dzieci, których obecność nie przerwała wspólnego wybuchu emocji.

- Czy widzisz to samo, co ja? - zapytała Billy.

- Jakim cudem udało im się zdjąć pieluszki?

- Bliźniaki nauczyły się ściągać je już jakiś czas temu... Nienawidzą pieluch i nauczyły się tego całkiem same. Radzą sobie z każdą pieluchą. Spider twierdzi, że mają zdolności manualne.

- Ale Nellie tego nie potrafi!

- Albo właśnie się nauczyła... albo bliźniaki zdjęły jej pieluszkę. Nellie jest znacznie ciekawsza od klocków. No i co z tego? I tak są za mali, żeby bawić się w lekarza.

- Jesteś pewna, że na to za wcześnie? - zapytała podejrzliwie Sasza.

- Tak, Sasza, z całą pewnością. Gwarantuję to. Dam ci książkę na ten temat.

*

Gigi czuła się tak, jakby nie było jej przez taki czas, którego nie sposób zmierzyć za pomocą godzin i dni upływających w Południowej Kalifornii. Zaparkowała samochód na swoim stałym miejscu przed agencją Frost, Rourke, Bernheim i, podchodząc do drzwi biura w pierwszy poniedziałek maja, starała się powrócić do rzeczywistości. Nie było jej przez osiem dni, wróciła do domu wczoraj wieczorem i ledwie znalazła czas na kilkugodzinną drzemkę.

Witając się z Polly, która obrzuciła ją znaczącym spojrzeniem, pomyślała, że pewnie się spóźniła. Była oszołomiona po podróży samolotem, z głową pełną wspomnień i sercem przepelnionym pytaniami bez odpowiedzi, ale była pewna, że słowo „Wenecja” ma wypisane na czole. Jedyne wyjaśnienie znaczącego spojrzenia Polly była jej wrodzona podejrzliwość. Gigi szybko przemknęła obok bufetu i popędziła prosto do swojego biura, torując sobie drogę wśród rozplotkowanego tłumu i pozdrawiając wszystkich szybkim gestem dłoni, którym oznajmiała wszem wobec, że nie należy jej zatrzymywać. Postanowiła, że zakończy sprawę z Davym Melvillem, dopóki jeszcze nie brak jej energii.

W biurze nie było nikogo. Zniknęły wszelkie ślady obecności Davy'ego - od powiększeń fotograficznych po ekspres do

kawy, od stołu kreślarskiego po misę z suszonymi owocami. Gigi stanęła pośrodku pokoju i poczuła ulgę na myśl, że Davy miał dość rozsądku, by poszukać sobie nowego współpracownika przed jej powrotem. Zadzwoił telefon.

- Gigi? Mówi Archie. Czy możesz wpaść na chwilę do mojego pokoju?

- Zaraz tam będę - odpowiedziała i pomaszzerowała korytarzem do biura Archiego. Czego chce? - zastanawiała się. Nie powiedział nawet „Witaj, Gigi”, ani „Cieszę się, że wróciłaś”.

- Świetna robota - powiedział Archie, podnosząc wzrok znad biurka.

- Dziękuję. - Zadała sobie pytanie, skąd Archie może wiedzieć, jak jej poszło. Biurowa plotka przypominała pytona zdolnego połknąć potężnego mężczyznę w pięć minut, ale był dopiero poniedziałkowy poranek i z nikim jeszcze nie rozmawiała.

- Tak. Wspaniała robota. Davy był prawą ręką Byrona, dopóki cię nie poznał. Teraz pracuje dla Jaya Chiata, który prawdopodobnie napędzi mu stracha i zmusi do jeszcze lepszej pracy.

- O, cholera. Zwolnił się. - Zaszokowana Gigi opadła na krzesło.

- Tak. Tydzień temu. Przyszedł i oznajmił Byronowi, Victorii i mnie, że wasz osobisty związek stał się dla niego tak bolesny, że nie może z tobą pracować i zostać w firmie, w której będzie widywał cię codziennie. Doszliśmy do wniosku, że... powiedzmy... igrałaś z jego uczuciami.

- Daj spokój, Arch. Davy sam się o to prosił. Czy mam wyjść za mąż za kogoś, kogo nie kocham, żebyście nie stracili pracownika?

- Gigi, oczekuję od ciebie lojalności, ale nie do tego stopnia. Sugeruję natomiast, żebyś powstrzymała się od fizycznych kontaktów ze współpracownikami i zachowywała się w biurze jak należy.

- Rany, Arch! Może sam zacząłbyś pisać teksty reklamowe? A może instrukcje dla amerykańskich oddziałów piechoty morskiej?

Słowa przychodzą ci tak łatwo. Pomyliłam się. Zgoda. Nie powinnam była dopuścić do tego, co stało się między mną

260

.1 Davym, dobrze o tym wiem. Aż za dobrze. Przykro mi jak diabli, że postanowił odejść i proszę o przydzielenie mi kobiety jako współpracownika, żebym już więcej nie dała się porwać moim nieokiełznanym żądom, moim nieskrępowanym uczuciom, moim wybujałym apetytom seksualnym, którym - rzecz lasna - biedny Davy nie był w stanie się oprzeć, choć tak bardzo się starał.

- Ale powiedział...

- Nie znał całej prawdy, biedaczek. Davy był niewolnikiem moich seksualnych żądz, Arch. Zmusiłam go, żeby się we mnie zakochał. Zaczarowałam go za pomocą magicznych sztuczek i napojów miłosnych znanych pod nazwą Klątwy Orsinich. To zaczęło się dawno dawno temu, we Florencji. Pierwszą ofiarą klątwy był Savonarola. Czy to wyjaśnia ten nieszczęsny epizod? A może chciałbyś spalić mnie na stosie w pobliżu bufetu, żeby wszyscy widzieli, jak cierpię za grzechy? I tak wszystko już o nich wiedzą, ze szczegółami... tak strasznymi, że trudno to sobie wyobrazić. Nie przeżyję tego. Teraz rozumiem, dlaczego Polly obrzuciła mnie takim dziwnym spojrzeniem.

- Dużo się o tym mówiło - przyznał Archie, uśmiechając się swoim wspaniałym głupawym uśmiechem artysty, szczęśliwy, że nie musi już prawić jej kazania. Rzucali z Byronem monetę, żeby zdecydować, który z nich wykona to niewdzięczne zadanie, które niestety trzeba było wykonać.

- Dlaczego wszystko, co dzieje się w tej agencji, musi natychmiast stać się przedmiotem obrzydliwych plotek? -zrzędziła Gigi.

- To jedna z wielkich tajemnic natury. Myślę, że wszystkiemu winne są obwarzanki z bufetu. Jak ci poszło w Nowym Jorku?
- Wszystko gotowe. Otwarcie dwudziestu pięciu sklepów w ciągu najbliższych dwóch miesięcy. Siedemdziesięciu do osiemdziesięciu - latem. Reszta jesienią. Pracownicy Bena omówią z Victorią szczegóły kampanii w mediach. Och, przy okazji, nie wiem, ile to będzie warte, ale zdaje się, że zdobyłam dla nas nowe zlecenie.
- Co? Gigi, to fantastycznie!
- Mam nadzieję, że to wynagrodzi wam utratę Davy'ego - powiedziała skromnie Gigi.

- Jakie zlecenie? - dopytywał się Archie.
 - Linia Pasażerska Winthropa.
 - Co to jest?
 - W tej chwili to trzy kadłuby statków w suchych dokach pod Wenecją i trzy silniki w Trieście.
 - Och - powiedział Archie, a w jego głosie znać było rozczarowanie. - Kiedy powiedziałś „Linia Pasażerska Winthropa”, spodziewałem się czegoś wielkiego i ekscytującego. Przypuszczałem, że Ben nabył flotę wielkich okrętów.
 - Za rok, Archie, przyjacielu, nowy statek niczym klejnot będzie żeglował po morzach, a wkrótce po nim dwa inne. Te statki staną się symbolami przepychu, luksusu i bogactwa. Na każdym z nich nie więcej niż dwustu bogaczy, którzy mogą sobie pozwolić na rozrzutność podczas rejsu, ale nie chcą mieć kłopotów ani zmartwień. Czy uważasz, że to nie dość ekscytujące?
 - Hej, posłuchaj tylko! - powiedział Archie, zajęty pośpiesznym notowaniem. - „Siedem mórz to twój drugi dom”. Co powiesz na takie hasło reklamowe?
 - Podobało mi się, kiedy wymyśliłam je wczoraj w samolocie. Proszę, oto lista dwunastu sloganów. Ten jest na pierwszym miejscu.
 - Gigi...
 - Tak, Archie?
 - Mam kłopot. Nie wiem, czy błagać cię na kolanach, żebyś nie była taka piekielnie bystra, a przy tym taka urocza, czy... zaprosić cię dziś wieczorem na kolację, skoro nie jesteś już, że tak powiem, zajęta.
 - Wolę kolację, Archie, bo po naszej rozmowie jestem pewna, że nawet przez myśl ci nie przejdzie, by sugerować bądź inicjować jakikolwiek koleżeński kontakt, emocjonalny lub fizyczny, który może zostać mylnie zrozumiany przez jedną ze stron zawartej umowy.
 - Właściwie... dlaczego nie pójdziemy na wielki lunch, żeby uczcić nowe zlecenie? Zadzwońię do Byrona i zapytam, czy pójdzie z nami - powiedział Archie, śmiejąc się bezradnie. - Nie jestem pewny, czy sprostam twoim wymaganiom moralnym. Och, jeżeli Byron zechce się z tobą umówić... a wiem, że ten drań ma taki zamiar... czy powiesz mu to samo, co mnie?
- 262
- Jezu, mam nadzieję, że nie zapomnę - powiedziała szczerze Gigi. - Jednak przy pełni księżyca nie ręczę za siebie. To przekleństwo Orsinich, o którym ci mówiłam. Rozumiesz, Archie - powiedziała Gigi, podbiegając do drzwi jego gabinetu to silniejsze niż ja i - dodała, umykając na korytarz - kobiety w mojej rodzinie są niewinnymi ofiarami własnej fatalnej siły. To może przydarzyć się Byronowi... a nawet tobie, kochanie.
- *

Victoria Frost wpatrywała się w stertę pism reklamowych oraz egzemplarze „The New York Times'a” i „The Wall Street Journal” leżące na biurku. W każdym z nich była informacja o Linii Pasażerskiej Winthropa, której projekt wyjawiał Ben na konferencji prasowej. Mimo iż nie pisano o Gigi jako o pomysłodawcy takich statków pasażerskich, jakie opisał Ben, we wszystkich artykułach wspomniano o kontrakcie na reklamę linii, przypadającym w udziale agencji Frost, Rourke, Bernheim i nazywano Gigi „czarodziejką”, poświęcając kilka akapitów sklepom Zaczarowany Strych, Indigo Seas i przygotowanych przez Gigi i Davida kampaniach reklamowych małej lecz obiecującej sieci sklepów z kosmetykami w Beverly Hills oraz modnych perfum.

Victoria pomyślała, że do dziś ona była „czarodziejką” agencji, ale od tej pory w przekonaniu specjalistów od reklamy musi dzielić się tym tytułem z Gigi. Kontrakt na reklamę Linii Pasażerskiej Winthropa opiewał na piętnaście milionów dolarów. Pierwsze reklamy już wkrótce

ukazą się na najlepszych tylnych i wewnętrznych okładkach wszystkich najważniejszych pism w Stanach Zjednoczonych i w Europie. Ben Winthrop powiedział dziennikarzom, że chce, by jego statki, od „Smaragdu Winthropa” począwszy, stały się odpowiednikami pięciogwiazdkowych hoteli.

Victoria obliczyła, że agencja zyskała ponad trzydzieści trzy miliony dolarów, odkąd pojawiła się w niej Gigi. Archie

i Byron nie odczekali roku, jak to było w zwyczaju, by podwyższyć jej pensję. Naradzili się i postanowili dać Gigi wysoką premię i potroić jej zarobki. Kiedy wyjawili Victorii swoje zamiary, zgodziła się. Kwestionowanie sum, które zyskali dzięki Gigi, nie miałyby sensu. Nie mogli pozwolić

271

sobie na to, by od nich odeszła, ale mimo wszystkich zdroworozsądkowych argumentów i doskonałej umiejętności stwarzania pozorów Victoria z trudem skrywała rozgoryczenie.

- Ależ ta kreatura ma szczęście! Czy ktoś może wątpić w to, że Ben Winthrop jest na nią napalony jak diabli i stąd wzięły się sklepy Zaczarowany Strych i Linia Pasażerska? Indigo Seas, perfumy i kosmetyki dowodzą, że ludzie zawsze nabiorą się na ładny tyłek i tandetę. Wszystkie wielkie kontrakty Gigi biorą się stąd, że zachowuje się prowokacyjnie, a to może zwrócić się przeciwko niej równie szybko, jak zadziało na jej korzyść. Victoria stwierdziła ze złością, że smarkula częściej przebywa poza biurem, wydając forszę Bena Winthropa niż tu, wykonując pracę, którą jej zlecono. Winthrop dostarczył jej świetnego pretekstu do nieobecności, twierdząc, że potrzebuje jej, by podjąć pewne decyzje, ale to oczywiste, że chciał ją mieć nawet wtedy, kiedy pracował poza Los Angeles. Wrogość Victorii rosła z każdym sukcesem Gigi, ale zmuszała się do tego, by traktować dziewczynę jak należy, nie okazując jej w żaden sposób otwartej niechęci.

Victoria zaczynała powoli rozumieć, że problem, który sprawia, że szaleje z niecierpliwości, to Angus Caldwell, a nie Gigi, która sprytnie posługuje się tyłkiem, żeby wydusić miliony z Bena Winthropa.

Minęło półtora roku, odkąd Angus namówił ją, by przeprowadziła się do Kalifornii, lecz nadal wahał się i wynajdywał tysiące powodów, dla których sam nie mógł wynieść się ostatecznie z Nowego Jorku. A jednak, ilekroć byli razem, nawet przez bardzo krótki czas, uświadamiała sobie, że wszyscy inni mężczyźni, z którymi się zadawała, byli beznadziejni i nadawali się tylko do tego, by uwolnić ją na chwilę od fizycznego napięcia.

Victoria często łapała się na tym, że byłoby lepiej, gdyby Angus umarł. Kochała go tak mocno, tak długo i z takim oddaniem, że do rozstania z nim mogła ją zmusić tylko śmierć. Gdyby umarł, pewnie zajęłaby się swoim własnym życiem, takim samym jak teraz, ale żył i był mężem jej matki, więc ani przez chwilę nie mogła czuć się szczęśliwa. Gdyby Angus umarł, nie umarłaby jej miłość do niego, ale z pewnością byłoby to uczucie spokojniejsze i pozbawione bólu, źródło

264

wiecznej czułości i wspomnień, a nie wciąż na nowo zadawanych ran zazdrości, pożądania i głodu. Może wtedy z czasem znalazłaby miejsce, w którym doznałaby ukojenia.

Och, gdyby mogła przeżyć życie jeszcze raz! Chryste! Poderwałaby najbogatszego faceta i poślubiła go. Miłość nie miałaby tu nic do rzeczy, byle tylko Victoria mogła zdominować mężczyznę. Dziś wodziłaby rej w najznakomitszym towarzystwie, byłaby triumfującą młodą matroną, której największym problemem byłaby dekoracja wnętrza w jej piątym domu, wybór imienia dla trzeciego dziecka i decyzja, kto ma być jej następnym kochankiem. Prowadziłaby życie zgodnie z wychowaniem, które odebrała od matki, i w stylu tak świetnym, że nikt nawet nie śmiałby go ani naśladować, ani zazdrościć. Nie wiedziałaby nawet, jakie to szczęście, że nie zakochała się w pewnym mężczyźnie zwanym Angusem Caldwellem.

Victoria pomyślała ze smutkiem, że nie może przeżyć swojego życia jeszcze raz. Skończyła trzydzieści dwa lata i nie ma nic.

Na biurku leżała sterta pism, które sekretarka gromadziła co tydzień, by Victoria mogła przejrzeć reklamy i stwierdzić, czy nie uda się wydrzeć zlecenia jakiejś słabej agencji. Victoria otworzyła „Cosmopolitana” na stronie z testem. Redaktorzy pisma uwielbiają wszelkie testy. A może domagają się ich czytelnicy? Niemal bezwiednie przeczytała pytania i odpowiedziała na nie w myślach.

Co jest dla ciebie największym szczęściem?

Być z Angusem, otwarcie i na zawsze.

Czego boisz się najbardziej?

Że Angus nigdy nie odejdzie od matki.

Kogo z żywych najbardziej podziwiasz?

Nikogo.

Której ze swoich cech charakteru nie lubisz najbardziej? Uporu.

Czego najbardziej żałujesz? Że nie należę do Angusa. *Kto jest miłością twojego życia?* Angus.

273

Kiedy kłamiesz?

Kiedy mówię Angusowi, że nie pieprzyłam się z nikim prócz niego.

Najwspanialsze wydarzenie w twoim życiu? Kiedy kochałam się z Angusem pierwszy raz. Jakiej cechy najbardziej nie lubisz u innych? Uległości.

Kim gardzisz najbardziej? Sobą.

Co chciałabyś w sobie zmienić? Nie chciałabym należeć do Angusa. Jakie jest twoje największe osiągnięcie? To, że należę do Angusa. W jakim jesteś nastroju? Jestem w piekle.

12

Na początku września 1984 Zach Nevsky zakończył prace nad „Kronikami Kalispell” i niezwłocznie zajął się najnowszym filmem Vito - „Długim weekendem”. Komedię o filmowym świecie kręcono w Malibu i okolicach. Większa część akcji toczyła się w trzech domach w Malibu Colony - otoczonej murem enklawie, zamieszkałej przez najbogatszych z bogatych.

- Moglibyśmy kupić trzy domy letniskowe za czynsz, który musimy płacić - skarżył się Zach, kiedy pierwszego dnia zdjęć przybył wraz z Vito na plan.

- Ale nie tu, chyba że kupowalibyśmy je kilka lat temu. Teraz trzeba płacić pięć do sześciu milionów za dom na skrawku ziemi, gdzie sąsiedzi zagląдают ci do okien. To najdroższa plaża na świecie.

- Żadnej prywatności - stwierdził Zach. - Można by pomyśleć, że o to chodzi właścicielom, bo przecież każdy kto zechce może korzystać z plaży przed domem, pod warunkiem, że nie przekracza linii przypiąwu.

274

- Wybrzeże jest własnością stanu Kalifornia, a zwykli ludzie też mają swoje prawa. Śmiesz mnie to, że można zajrzeć do domu sąsiada przez okna po obu stronach domów. Kto w nich mieszka? Te same wredne kutasy, z którymi pracujesz przez cały tydzień. Boże, nienawidzę tego miejsca - powiedział wesoło Vito.

Wynajęcie umeblowanych domów było istnym koszmarem i doszło do skutku tylko dlatego, że sezon letni dobiegł już końca. Domy, które udało się zdobyć, były dość duże, a braki wyposażenia uzupełnili scenografowie. Vito myślał ze spokojem o perspektywach swojego nowego filmu, bo znał dobrze ten szczególnie denerwujący stan oczekiwania, kiedy wszystko jest już gotowe, a nic się jeszcze nie zaczęło. Złudny spokój, wywołany myślą, że nie było jeszcze żadnej wpadki, spokój wojny, w której nie padł jeszcze pierwszy strzał, był ulotny, a dla człowieka z wyobraźnią nawet trudny do zniesienia, ale w ten złoty wrześniowy poranek Vito poddał się całkowicie instynktownej przyjemności, że oto jest na skrawku kontynentu, na którym wkrótce zapanuje chaos kabli, światła, ciężarówek, i przyczep.

Tak, uwielbiam tę śmieszna, okropną robotę - pomyślał Vito, siedząc na plaży i przyglądając się, jak w pewnej odległości Zach zmagają się z szesnastoma aktorami, którzy zagrają pierwszego dnia, w scenie przyjęcia. Nie było jeszcze gwiazd. Przynajmniej dziś Vito trzymał się z dala od planu, rezygnując ze swojego zwariowanego zwyczaju, który przysporzył mu złą sławę wśród reżyserów, bo najlepiej dla nich byłoby, gdyby producenta nie było ani widać, ani słyhać. Energia rozpierała Vito, więc nie mógł powstrzymać się od wsadzania nosa we wszystkie najdrobniejsze sprawy związane z filmem i przewodzenia wszystkim działaniom. Jednakowo interesował go wegetariański lunch gwiazdy, jak kolor peruk i liczba scen w scenariuszu, które sfilmowano danego dnia.

Vito wiedział, że doprowadza reżyserów do szału, ale zupełnie się tym nie przejmował. Jeżeli nie są zadowoleni z producenta, nie muszą z nim pracować. Ale w przypadku „Długiego Weekendu”

postanowił zmienić obyczaje i unikać wchodzenia Zachowi w paradę. Kiedy Zach przybył z Nowego Jorku do Hollywood, Vito stał nad nim jak diabeł nad grzeszną

267

duszą podczas wszystkich zdjęć do „Fair Play”. Teraz Zach był już uznanym i świetnym profesjonalistą, więc na znak szacunku Vito postanowił zdjąć buty i wylegiwać się na piasku, tak jakby nic go nie obchodziło, jakby on, producent, nie był odpowiedzialny za plan, finanse, obsadę, obsługę i wreszcie samego Zacha.

A jednak, skoro jest tak pewny zdolności Zacha, dlaczego nie spuścił go z oka przez ostatnią godzinę? Zadał sobie to pytanie, Vito celowo, lecz z wielką niechęcią odwrócił się plecami do całej ekipy i zmusił do patrzenia na horyzont.

Jak zwykle Pacyfik w Malibu był spokojny i nieciekawym. Na plaży nie było dzieci, które ożywiłyby nieco ten pejzaż. Pewnie wróciły już do szkoły po wakacjach, pomyślał, dostrzegając na plaży tylko jedną osobę, która przyglądała się aktorom. No proszę, pomyślał, filmowcy nie mogą popracować w spokoju nawet przez kilka godzin. Zawsze znajdują się jacyś gapie. Jutro będzie ich kilku, a w środę zwałą się całe tłumy i trzeba będzie ogrodzić plan barierkami. Zerknął na zegarek. Do lunchu jeszcze trochę czasu. Przekąsi coś w towarzystwie Zacha i dowie się, jak minął pierwszy zdjęciowy poranek.

Vito podniósł się i podszedł ku samotnej postaci. Musi z kimś pogadać, bo inaczej nie wytrzyma i podejdzie do ekipy, a chciał, by choć jedno przedpołudnie upłynęło bez jego czujnego nadzoru, i gratulował sobie tej decyzji.

- Mogę tu usiąść? - zwrócił się do kobiety, która siedziała na piasku, ubrana tak jak on, w dzinsy i wypłowiałą drelichową kurtkę.

- To plaża publiczna - odpowiedziała tonem przyzwolenia, nawet nie podnosząc wzroku, wpatrzona w filmowców.

Vito usiadł i spojrzał na nią, szybko odwrócił wzrok, po czym ostrożnie zerknął na nią raz jeszcze. Czy można zakochać się w profilu? - pomyślał w zachwycie i przerażeniu.

- Ładny dzień - usłyszał własny głos. Albo odwróci się, a wtedy zobaczy jej twarz i będzie po wszystkim... okaże się, że to złudzenie, gra światła... albo to ta dziewczyna, której szukał całe życie, sam o tym nie wiedząc.

- Rzeczywiście. - Nie odwróciła się. Może odrobinę. Miała ciemne włosy, niedbale odrzucone do tyłu i związane kawałkiem jasnożółtej włóczki. Zauważył też jedną ciemną brew,

276

ciemne oko i delikatne różowe, nieuszminkowane wargi. Miała bardzo jasną cerę, cudownie matową niczym płatki gardenii, nieco zaróżowioną od słońca na policzkach i nosie. Nigdy w życiu nie wzruszył go tak żaden profil. Vito pomyślał, że jest to profil szlachetny, czysty i owiany smutkiem. Co to za potwór sprawił, że jest smutna? - pytał sam siebie, ogarnięty irracjonalną troską.

- Poparzy się pani - powiedział. - Powinna pani uważać.

- Przed chwilą posmarowałam się kremem - odparła, nie odwracając się. - Dziękuję. -

Uśmiechnęła się lekko, przyjmując do wiadomości to, co powiedział, ale nadal wpatrywała się w aktorów. Serce Vita oszalało. Przerażony i zachwycony stwierdził, że dosłownie trzepocze się w jego piersi, ale miał nadzieję, że to fizyczna niemożliwość.

- Pani interesuje się filmem - zdołał wykrztusić.

- Tak, właśnie tym. Jeszcze nigdy nie widziałam Zacha na planie.

- Zach - powiedział Vito bezbarwnym głosem. Koniec z nim. Przepadł.

- Reżyseruje ten film. Widzi pan tego wysokiego, przystojnego faceta o szerokich ramionach, w białym podkoszulku? To Zach, ten, który mówi coś do kamerzysty. Niech pan spojrzy, jaki jest dynamiczny, wszystkimi dyryguje... jest w swoim żywiole. Jest taki piękny. Uwielbiam na niego patrzeć.

- Tak.
 - Która godzina? - zapytała.
 - Prawie jedenasta trzydzieści - odpowiedział Vito. Jedenasta trzydzieści, tego dnia, kiedy wszystko zaczęło się i skończyło po dwu minutach rozmowy.
 - Przyszłam za wcześnie. Ale patrząc, jak kręcą film, mam uczucie, że czas stoi w miejscu. Zach mnie ostrzegął. Umrę z głodu, zanim będzie miał czas na lunch.
 - Pani je lunch z... reżyserem?
 - Tak. Powiedział mi, że znajdzie chwilkę przed południem. Później może być zajęty omawianiem porannych zdjęć, więc pewnie nie będzie miał dla mnie czasu.
- Mówiąc to, kobieta odwróciła twarz w stronę Vito. Zrozumiał, że żal, który poczuł przed chwilą, był stanem szczęścia w porównaniu z tym, czego doznał teraz. Jej profil był tylko

zapowiedzią fascynującego uroku jej twarzy. Delikatne wgłębienie, biegnące od nozdrzy ku urokliwej górnej wardze było najpiękniej ukształtowanym fragmentem ludzkiego ciała, jaki kiedykolwiek widział i umiał sobie wyobrazić. A jej oczy! Jezu, nie powinien był patrzeć jej w oczy. Powinien był wstać, odejść i nigdy nie wracać. Nikt jeszcze nie wynalazł sposobu, by zamaskować wyraz ludzkich oczu, a te były tak żywe, tak wesołe, tak radosne, mimo odrobiny smutku, że gotów był umrzeć dla tej kobiety, która należała przecież do Zacha. Umrzeć nie po to, by ją osiąść, bo to przecież niemożliwe, ale umrzeć, broniąc jej, strzegąc jej przed złem. Vito, niezdolny do wykonania żadnego ruchu, choć chciał uciekać, ile sił w nogach, patrzył jak Zach oznajmia koniec zdjęć, wydaje ostatnie polecenia kamerzystom i zbliża się do nich, zakładając sweter.

- Cześć! - wrzasnął z daleka. Kobieta podniosła się i żwawo podbiegła do Zacha. Objął ją niedźwiedzim uściskiem, podniósł z piasku i ucałował w oba policzki w sposób, który mówił o wielu pocałunkach, o wielu zwierzeniach, o wielu szczęśliwych godzinach, które tych dwoje spędziło razem. Uśmiechnięci podeszli do Vito, a Zach otoczył go serdecznie ramieniem.

- Wcześniej skończyliśmy - powiedział. - Wiedziałem, że moja malutka będzie umierać z głodu. Chodźcie, zjemy coś. Na plaży jest mała knajpka, w której podają doskonałe hamburgery.

- Nie, dziękuję - wymamrotał Vito. - Muszę wracać do biura.

- Och, na Boga, myślisz, że nie wiem, jakie tortury przeżywałeś dziś rano? - powiedział Zach ze śmiechem. - Daj spokój i mc nie rób dziś po południu. Połowę moich myśli poświęcam pracy, zaś drugą połowę zastanawianiu się, kiedy pęknie, usiłując nie wtrącać się do mojej roboty. I tak, wcześniej czy później, doprowadzisz mnie do szału.

- Wrócę jutro. Ty i... twoja przyjaciółka... nie chcę się narzucać.

- Hę? - Zach był zaskoczony.

- Przecież jesteś umówiony, Zach.

- No i co z tego? Dlaczego nie chcesz iść z nami?

278

- Ta pani jest z tobą umówiona - wykrztusił Vito resztką sił. - Spędźcie tę chwilę razem, Zach.

- Vito, co ci jest? Masz udar słoneczny? - zapytał Zach.

- Vito? Vito Orsini? - wykrzyknęła zdumiona Sasza.

- Sasza, czy ty też oszalałaś?

- Sasza? Twoja siostra? - zapytał Vito, zastanawiając się, czy jeszcze potrafi się modlić.

- Nie, moja babcia. Co, do cholery, myślałaś? To niemożliwe, że wy dwoje... nie... spotkaliście się... do tej pory? Jak to możliwe? To niemożliwe. Całkowicie niemożliwe. Przecież Gigi na pewno was sobie przedstawiła.

- Nie zrobiła tego, prawda, Vito? - powiedziała Sasza i zarumieniła się, chyba po raz pierwszy w życiu. Wlepiała wzrok w piasek, bo nie mogła spojrzeć mu w oczy.

- Nie, zapomniała o tym, gdzieś po drodze.

- Niedobra, niedobra Gigi. I pomyśleć, że uważałam ją za najlepszą przyjaciółkę.

- Okrutna Gigi. Wydziedziczę ją dziś po południu.

- Słuchajcie, idźcie na lunch, czy co sobie tam chcecie - powiedział Zach, wyciągając ramiona. - I nie wracajcie!

*

W samochodzie, w drodze na lunch, Sasza ukradkiem zerkała na Vito, nerwowo wyrzucając z siebie słowa, bo on wydawał się całkowicie niezdolny do wykrztuszenia choćby jednego zdania.

- Jesteś kimś w rodzaju postaci mitologicznej - powiedziała. - Od tak dawna o tobie słyszałam i od tylu osób, że wyobrażałam sobie ciebie jako włosko-amerykańskiego Zeusa, który nie ukazuje się zwykłym śmiertelnikom, lecz nielicznym wybrańcom losu.

Dlaczego Gigi nigdy nie przedstawiła mi właśnie tego wspaniałego mężczyzny? - zastanawiała się Sasza, patrząc na wyrazisty profil Vito, wyrażający wrodzony i niepodważalny autorytet, na jego władczą twarz, która przywodziła na myśl przywódcę bandy nieustraszonych buntowników, na człowieka, przy którym nawet jej wyjątkowo energiczny Zach wydawał się niemal nieśmiały.

Jedyne wytłumaczenie tego faktu to zazdrość. Gigi, ta wstrętna dziewczucha, za dobrze wiedziała,

w jakich mężczyznach gustuje Sasza, by nie zdawać sobie sprawy, że Vito jest dla niej stworzony.
- Pomyśl o wszystkich chwilach, kiedy mogliśmy wpaść na siebie. - Sasza podjęła przerwany wątek. - O tych wszystkich latach, kiedy mieszkałam z Gigi w Nowym Jorku... ale wtedy pracowałeś przecież w Europie... i później, kiedy mieszkaliśmy w Kalifornii, zanim wyszłam za mąż...

- Ale Gigi mówiła...

- Rozwiodłam się.

- To dobrze.

- Dobrze? Zazwyczaj ludzie mówią „Och, jak mi przykro...”

- Bzdura. Josh nie był dla ciebie odpowiednim mężczyzną. To miły facet, ale nieodpowiedni.

- Skąd go znasz?

- Kiedy żeniłem się z Billy, zajmował się sprawą naszego ślubu, a potem rozwodu.

- Och. Och! Zupełnie o tym zapomniałam. To było tak dawno temu. Setki lat przed moim spotkaniem z Gigi. Hm, to niesamowite, ilu mamy wspólnych znajomych. Gigi, Josh, Spider, Zach, Billy...

Sasza pomyślała, że Billy nie była przy zdrowych zmysłach. Jak mogła pozwolić, by wymknął się jej ten wspaniały śniady pirat, ten konkwistador, ten najcudowniejszy mężczyzna na świecie? Jak po małżeństwie z kimś takim jak Vito mogła zadowolić się Spiderem, kochanym Spiderem, który był przecież zwykłym wielkim złotowłosym amerykańskim przystojniaczkiem? To nie do wiary. Wprost niepojęte! Ale ich małżeństwo trwało tylko rok, więc przede wszystkim na pewno nie pasowali do siebie. Billy potrafi być uparta jak osioł... Vito był dla niej za silny, miał rację w zbyt wielu sprawach, nie miał ochoty pozwalać jej na wszystkie ekstrawaganckie zachcianki bogatej kobiety i pewnie dlatego często się kłócili. Na pewno było im razem bardzo źle, pomyślała w przyływie czystej radości.

- Czy Zach mówił, że do baru trzeba jechać w dół plaży? - zapytał Vito.

- Nie pamiętam. Jedziemy w przeciwnym kierunku. Właśnie minęliśmy Trancas.

280

- Co powiesz na to? Wiem, że umierasz z głodu.

- Wygląda całkiem dobrze. - Umieram z głodu?, pomyślała. - Dlaczego miałabym umierać z głodu?

Weszli do zwykłego, niezbyt eleganckiego hotelu przy plaży, z restauracją z widokiem na ocean. Vito zajął okrągły stolik w rogu na osłoniętej werandzie, pod markizą leniwie łopoczącą w podmuchach bryzy. Oboje z zapalem przestudiowali jadłospis.

- Znalazłaś coś ciekawego? - zapytał Vito.

- Wszystko... właściwie... może sałatę z kurczakiem. - Sasza pomyślała, że to takie danie, którym będzie mogła się bawić, bo nie jest w stanie niczego przełknąć.

- Może najpierw coś do picia?

- Och, tak. Bardzo chętnie. Co można wypić przed lunchem?

- Szampana, sherry, koktajle Tio Pepe, La Ina, Lillet, Negroni, Bloody Mary, Cinzano... - Zupełnie jakbym był barmanem w poprzednim wcieleniu - myślał Vito, wymieniając nazwy trunków, ale zadała mu pytanie, więc musiał jej odpowiedzieć. Wyzna jej wszystko, o co zapyta. Wszystko.

- Proszę o Cinzano z lodem - powiedziała Sasza, wybierając coś, czego jeszcze nie próbowała i nie wiedziała nawet, czy jest smaczne.

- Kelner, dwa razy Cinzano z lodem i sałatę z kurczakiem dla pani...

- Dlaczego nie zaczekamy z jedzeniem? Chyba że jesteś głodny...

- Nie jestem. Przedtem byłem, ale teraz już nie - powiedział Vito.

- Ja też nie. To głód fantomowy - stwierdziła Sasza, zastanawiając się, co miała na myśli.
- Tak. To się zdarza, kiedy... - Vito przerwał, bo zabrakło mu odwagi, by mówić dalej. Teraz albo nigdy, a jeśli nigdy, powinien był pomyśleć o tym wcześniej, zanim pozwolił sobie na tak wielkie zaangażowanie, największe, na jakie było go stać.
- Kiedy co? - zapytała Sasza, wstrzymując oddech.
- Kiedy... ludzie spotykają się i odkrywają, że są ze sobą związani mimowolnie - powiedział, podnosząc głowę i patrząc jej w oczy, tak ciemne, jak jego własne.

- W przeciwieństwie do... dobrowolnie?
 - W przeciwieństwie do innych związków, związków bez znaczenia, nie powstających z wolnego wyboru. W przeciwieństwie do zwykłego życia towarzyskiego, do zależności i konwenansów cywilizacji. Mimowolnie, bo w sposób rzeczywisty i absolutny, sam z siebie i nieunikniony. Z przeznaczenia.
 - Och. - Sasza oddychała z trudem, nie mogąc znieść jego spojrzenia.
 - Nie było mi dane spotkać cię... aż do dziś - powiedział . stanowczo Vito. - Tobie też nie było przeznaczone spotkać mnie... aż do dziś. Nie wierzę w los. Nie jestem żadnym buddystą ani uczniem tybetańskiego mędrca, nie wierzę w reinkarnację, nie wyznaję żadnej oficjalnej wiary, skoro o tym mowa. Ale to coś innego. Prawda?
 - Och, tak. Tak. Tak. Weź mnie za rękę.
 - Vito ujął jej dłonie w swoje ręce i siedzieli tak w milczeniu, drżąc, spoglądając to na siebie, to na obrus, dopóki nie oprzytomnieli i nie opanowali się na tyle, by podjąć rozmowę.
 - Jest coś, co muszę ci natychmiast wyznać - powiedziała Sasza z wyrazem bolesnej determinacji, pamiętając, co sobie przysięgała.
 - Nie jesteś, nie możesz... Och, a nawet jeśli jesteś, to nie zmieni moich uczuć...
 - O czym ty mówisz? - zapytała Sasza, zdumiona nagłym wyrazem przerażenia na jego twarzy.
 - Jesteś chora, masz jakiś problem... to chcesz mi powiedzieć, prawda?
 - Och, Vito, nigdy nie czułam się lepiej!
 - Dzięki Bogu! Nic innego się nie liczy! Nic!
 - Dla mnie tak. Mam za sobą przeszłość i wielu mężczyzn.
 - Rozmawiałem kiedyś z Billy - powiedział Vito - zanim się pobraliśmy i oświadczyłem jej, że nie chcę nic wiedzieć o jej przeszłości, bo mógłbym być zazdrosny. Od tamtej pory zmadrzałem i nie jestem już tak zazdrosny, ale nadal uważam, że to nie moja sprawa, co robiłaś zanim mnie poznałaś. Sasza słuchała go, ale zlekceważyła jego słowa. - Miałam trzech kochanków, nigdy więcej niż trzech, z każdym z nich spędzałam noc dwa razy w tygodniu, ale nigdy w niedzielę - mówiła z uporem.
- 282
- Mam nadzieję, że zdają sobie sprawę, jacy z nich szczęściarze. Chciałbym tylko wiedzieć...
 - Byłam pewna, że zechcesz mnie o coś zapytać. Czułam to - jęknęła Sasza.
 - Czy którykolwiek z nich był tak stary jak ja? Mam czterdzieści osiem lat.
 - Przeważnie mieli czterdziestkę, albo dobrze po trzydziestce. Nigdy nie interesowali mnie młodzi mężczyźni.
 - Hm, to załatwia sprawę. - Vito westchnął z ulgą. - Chcesz poznać moją przeszłość?
 - Nie. Ani słowa. To bez znaczenia.
 - To dobrze. - To byłoby straszne, gdyby musiał opowiedzieć jej o Susan Arvey i Maggie MacGregor, ale opowiedziałby jej wszystko, gdyby chciała. Wobec niej nigdy nie posunąłby się do kłamstwa. Opowiedziałby wszystko, nawet o tych kobietach, których imion nie pamiętał, nawet o swojej pierwszej dziewczynie, jeszcze w szkole. Jeśli to konieczne, poddałby się hipnozie i odszukał to wszystko w pamięci.
 - Och, Jezu! - wykrzyknął, przypominając sobie coś ważnego.
 - Co?
 - Jestem okropnym ojcem.
 - Ale Gigi cię uwielbia - sprzeciwiła się Sasza.

- Bo jest aniołem. Kiedy była dzieckiem, zaniedbywałem ją w karygodny sposób. Rozwiodłem się z jej matką, kiedy Gigi była jeszcze niemowlęciem, i nie zadałem sobie trudu, by pomyśleć, że dziecko potrzebuje ojca. Byłem zbyt zajęty karierą, żeby poświęcać jej swój czas. Uważałem, że płacąc alimenty robię to, co do mnie należy. Byłem ostatnim draniem jako ojciec i nie mogę tego niczym usprawiedliwić, choćbym starał się ze wszystkich sił.

- Ale żałujesz tego?

- Oczywiście! To największy dramat mojego życia. Teraz zabieram ją na kolację, ilekroć jestem w mieście, a Gigi ma dla mnie czas. Długo rozmawiamy jak dorośli ludzie, ale to nie to samo, co patrzeć jak rośnie. Pomyśl, ile straciła. Pomyśl, ile ja straciłem.

- Miałaby kompleks ojca, który zniszczyłby jej życie.

- Tak myślisz?

275

- Jestem pewna. Zapytaj Gigi, jeśli mi nie wierzysz.
- Wierzę ci. Wierzę, we wszystko, co mówisz. - Vito, niczym zahipnotyzowany, pomyślał, że tak jest naprawdę. Nagle zrozumiał, że nigdy dotąd nie ufał kobiecie.

- Hm, więc... - powiedziała lekko.

Dlaczego Sasza ma w oczach podniecającą fontannę zaczarowanego blasku? - gorączkowo pytał sam siebie. - Dlaczego w uśmiechu tak prowokacyjnie wygina wargi? Czy zdaje sobie sprawę, jaka to niebezpieczna kombinacja?

- Nie zjadłaś lunchu? - powiedział szybko, odwracając wzrok.

- Ty też nie.

- Zjesz dziś ze mną kolację? - zapytał Vito.

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Musiałabym zbyt długo czekać.

Vito myślał intensywnie nad tym, co powiedziała. Nie zjadła lunchu, ale na kolację musiałaby czekać zbyt długo. W myślach opętanych miłością znajdował tylko jedno wytłumaczenie jej słów, ale po prostu nie mógł w nie uwierzyć. To niemożliwe, ani na tym świecie, ani na żadnym innym, by poznał Saszę Nevsky, siostrę Zacha i najlepszą przyjaciółkę swojej córki dziś rano i kochał się z nią jeszcze dziś po południu, uczciwszy to zdarzenie tylko jednym Cinzano. To niemożliwe.

Możliwe z innymi kobietami. Z większością z nich. Zanim poznał Saszę, kiedy był jeszcze innym mężczyzną, skorzystałby z okazji. Ale nie z Saszą. Znaczyła dla niego zbyt wiele. A jednak... nie mieli innego wyboru, rozsądnie rzecz biorąc. Odpowiedzieli już sobie na wszystkie pytania. Ale żaden mężczyzna nie mógł prosić o coś takiego. Nie zgodzi się na to żadna kobieta. Czy może ją poprosić? Czy Sasza się zgodzi?

- Możemy - powiedziała Sasza. - Nikt nas nie powstrzyma. Ustanowimy własne prawa.

Natychmiast. Zdaje mi się, że właśnie po to są hotele na plaży.

- Czytasz... w moich myślach.

- Zdarzyło mi się to pierwszy raz! Pierwszy raz w życiu! Nie jestem żadnym medium! Och, Vito, będziesz miał kłopot.

- A ty nie?

284

Sasza czuła się tak, jakby cały wszechświat skurczył się do rozmiarów łóżka, jakby łóżko zamieniło się w wielkiego białego puszystego ptaka, a ona i Vito płynęli na jego bezpiecznym i przyjaznym grzbiecie w transie miłości, wirując w takt tanga, patrząc jak krainy pod nimi zmieniają barwy w świetle zachodzącego słońca. Zachodzącego słońca...

- Zach! - przerażona Sasza usiadła nagle na łóżku. - Zapomnieliśmy o nim! Jest prawie noc... powiedział, żebyśmy nie wracali. Czy mówił poważnie?

- Nie - przyznał niechętnie Vito, rozpluwając się we wspomnieniach palety doznań, których istnienia nawet nie podejrzewał do tej pory. Jak to możliwe, że teraz kocha ją jeszcze bardziej niż przedtem? Kiedy Sasza potrząsnęła nim, z trudem oprzytomniał.

- Zach na pewno chciał, żebym wrócił, kiedy skończy zdjęcia, żeby zapytać, jak radzi sobie ekipa, jak grają aktorzy... Masz najpiękniejsze piersi w całej galaktyce.

- Modelowe - powiedziała Sasza, zapominając na chwilę

o zmartwieniu z powodu Zacha. - Kiedy byłam modelką

1 prezentowałam bieliznę, zawsze mierzono na mnie nowe wzory biustonoszy, ponieważ moje piersi uważano za... idealne.

- Krawcy kręcący się przy twoich piersiach? Musieli to być mężczyźni obdarzeni silną wolą.

- To były kobiety.
- Dobrze, że podczas lunchu miałaś na sobie workowaty drelich. W przeciwnym razie byłbym zbyt oszołomiony, by powiedzieć ci wszystko to, co musiałem ci powiedzieć.
- To znaczy, że zakochałeś się we mnie ze szlachetnych pobudek.
- Szlachetne pobudki nie mają tu nic do rzeczy. Ludzie nie kochają dlatego, że to szlachetne i rozsądne. Świat byłby całkiem inny, gdyby tak było. Spokojniejszy i na pewno mniej interesujący. Twoje piersi to plus, brak mi słów, żeby opisać twoją pupę, wszystko jest zbyt doskonałe, by można było o tym mówić, ale gdybyś miała zwykłe, przeciętne ciało... całkiem obojętne ciało, na które nikt nie zwracałby uwagi, kochałbym cię tak samo, bo nie mógłbym kochać cię więcej.

- Ale będziesz mnie kochał codziennie - powiedziała z przekonaniem Sasza.
- Oczywiście. Wiem to. Mówię o chwili teraźniejszej, o tej minucie.
- Teraźniejszość mnie martwi - westchnęła Sasza, całując go w ciepłe prawe ramię. Wydawało się jej, że to pierwsze ramię mężczyzny, na które zwróciła uwagę, jakby jej własne usta stworzyły to wyjątkowe połączenie mięśni, ścięgien i skóry. Nie kochała się z nikim ani od pamiętnego przyjazdu Josha z Nowego Jorku, ani później, przez sześć miesięcy oczekiwania na rozwód. Teraz, po burzy z błyskawicami, którą wywołał w niej Vito, wiedziała już, że do tej pory nikt nie kochał się z nią tak, jak tego pragnęła. To był prawdziwy Zeus. Nie pomyliła się. Czuli się jakby ponownie straciła dziewictwo. Usiłowała myśleć praktycznie.
- Kochanie, co z Zachem? I muszę zadzwonić do domu, żeby sprawdzić, jak niania radzi sobie z Nellie, a to dopiero początek... och, kiedy o tym pomyślę...!
- O czym?
- O wszystkich naszych wspólnych znajomych. Gdybyśmy wcale się nie znali i nie mieli wspólnych przyjaciół ani powiązań rodzinnych... Na pewno uznają, że to bardzo dziwne.
- Doskonale zdaję sobie z tego sprawę - zaśmiał się czule Vito. - Dramat to moja specjalność, a „dziwne” to mało powiedziane. Powiem ci, co zrobimy. Weźmiemy ślub dziś wieczorem, w Las Vegas i dopiero wtedy im powiemy. To zapobiegnie zamieszaniu w dziewięćdziesięciu procentach, bo będzie to fakt dokonany i nie będą przemawiać nam do rozsądku, ani pytać nas, czy, do diabła, wiemy, co robimy i o żadne inne śmieszne sprawy, którymi przejmują się ludzie.
- Ślub po kryjomu?
- Jasne. Robią tak miliony par, a na pewno nie są w trudniejszej sytuacji niż my.
- Nikomu nie mówić? Och, tak!
- Nikomu prócz Zacha.
- Och, dlaczego mielibyśmy powiedzieć właśnie jemu?
- To sprawa honoru. Jest twoim jedynym krewnym płci męskiej. Nie mogę cię porwać bez uprzedzenia.

286

- Ale to mój starszy brat. Jestem jego siostrzyczką. Tylko on z całej rodziny dodawał mi odwagi. Dzięki niemu czułam, że nie jestem beznadziejna, kiedy dorastałam i cała moja niezdolnie utalentowana rodzina uważała mnie za śmieszna szarą myszkę... Uwielbiam go... Zabije mnie!
- Przekonajmy się. - Vito spojrzał na zegarek, sięgnął po aparat telefoniczny przy łóżku i wykręcił numer w Malibu.
- Cześć, mały. To ja. Nie obchodzi mnie, czy śpisz, czy nie. Nie obchodzi mnie, czy przyplływ zmył wszystkie domy, które wynajęliśmy nad oceanem. Nie obchodzi mnie, czy asystentka powiła trojaczki na plaży... Dziś wieczorem Sasza i ja bierzemy ślub w Las Vegas... zdawało mi się, że powinienem ci powiedzieć. Mhm... mhm... mhm... mhm.... Dlaczego wtedy nic nie mówiłeś? W każdym razie lecimy do Las Vegas o siódmej, chcemy, żebyś był naszym świadkiem i sprawdził, czy rabin jest prawdziwy i tak dalej. Dlaczego rabin? Twoja matka, idioto, na pewno chciałaby, żeby wszystko było koszerne. Wspaniale! Do zobaczenia w samolocie. Zdążysz wrócić, żeby zacząć jutro o zwykłej porze. Tak. Powiem jej. Cześć.
- Czego nie powiedział ci „wtedy”? - zapytała Sasza, umierając z ciekawości i zachwytu, że Vito tak świetnie poradził sobie z Zachem.
- Twierdzi, że już w chwili, kiedy nas sobie przedstawiał wiedział, że się pobierzemy i że to tylko kwestia czasu. Powiedział, że od lat reżyseruje romanse, więc nic się przed nim nie ukryje. Wspomniał, między innymi, o Szekspirze. Romeo i Julia... rozumiesz. Uważam, że to przechwałki, łatwo coś stwierdzić po fakcie, ale, do diabła, Zach jest wspaniały. Och, powiedział

jeszcze, żebym ci przekazał, że cię kocha i że robisz dobrze. Powiedział, że według słów Eklezjasty to nic nowego pod słońcem. I żebyś nie zamartwiała się tym, co powie mama. Ja też mógłbym ci to powiedzieć.

- Mama! Dlaczego musiał przypomnieć mi o mamie? - zadrżała Sasza. - Może straciłam głowę, ale jeśli sądzisz, że Tatiana Orloff-Nevsky, która rządzi rodziną żelazną ręką, metr pięćdziesiąt autorytetu moralnego, najstarsza z pięciu sióstr, które boją się jej tak samo, jak ja, jeżeli sądzisz...

- Mamusia załatwiona - uśmiechnął się Vito. - Tyle się nasłuchałem od Zacha o jej rządach terroru, że postanowiłem

sprawdzić, czy to nie dostarczy mi dobrych pomysłów filmowych. Odwiedziłem ją któregoś dnia w Nowym Jorku Od razu przypadliśmy sobie do gustu. Powiedziała, że gdyby była młodsza, wydałaby się za mnie. Stwierdziłem że jestem do wzięcia, ale roześmiała się tylko. Oświadczyła że me da się skusić, nawet mnie. Powiniennem był poprosić ją o rękę dziesięć lat temu. Ale pozwoliła się podnieść - jest taka malutka - i pocałować na pożegnanie. Zach powiedział, że to tak, jakbym dostał najwyższe odznaczenie wojskowe.

Sasza otworzyła usta ze zdziwienia. - Pozwoliła się podnieść? Nikomu, naprawdę nikomu, nawet Zachowi, nie wolno jej podnosić. Jest przewrażliwiona, bo jest najniższa z całej rodziny. Uważa natomiast, że psychicznie jest ode mnie wyższa, więc podnoszenie jest zakazane.

- Ale ja nie byłem członkiem rodziny. Następnym razem kiedy ją zobaczę, natychmiast ją uniosę i ustanowię nową tradycję w rodzie Orloff-Nevskych. Tatiana i ja będziemy flirtować z całej siły, jeśli nie będziesz miała nic przeciwko temu. Jestem w jej typie.

- Bardziej niż ja - powiedziała Sasza ze zdziwieniem i radością. - Teraz muszę zadzwonić i dowiedzieć się czy z Nelhe wszystko w porządku i powiedzieć niani, że wrócę dopiero jutro. Co powiem, jeśli zacznie zadawać pytania?

- Powiesz, że spotkałaś starego przyjaciela. Powiesz że zostajesz na przyjęciu i odłożysz słuchawkę. - Vito opadł na poduszki i patrzył na Saszę. Kiedy telefonowała, przyglądał się długi pasmom czarnych jedwabistych włosów opadających na białe ramiona i zastanawiał się, na czym do tej pory polegało jego życie. Uganiał się za scenariuszami i prawami do książek organizował obsady filmów, użerał się z reżyserami, walczył bez wytchnienia z wytwórniami, jak każdy niezależny producent, dostawał Oscary i nominacje do Oscara, zarabiał i trwonił pieniądze, choć, dzięki Bogu, miał kilka wspaniałych lat z rządu i po zapłaceniu podatków udało mu się oszczędzić wszystkie pieniądze, co do centa, które zarobił po kłęsce WASP-a Dzięki „Fair Play” wystarczy mu forsy do końca

TM ^ u V SCnS miał0 t0 wsz „st” ytko, zanim poznał Saszę? Wtedy były to ważne sprawy - tego był pewien.

Teraz myślał

280

ylko o dwóch. Musi coś zjeść i ożenić się. Tak, albo w odwrotnej kolejności, jeśli to konieczne.

*

Następnego ranka Sasza zatelefonowała do Gigi do agencji, kiedy załatwili już z Vito wszystkie sprawy.

Gigi? Mówi Sasza. Muszę się z tobą zobaczyć. To naprawdę ważne. Możemy zjeść razem kolację?

- Och, kotku, nie mogę. Nie dziś. Przyjechali bracia Collins i zabierają nas do Oranżerii na wielkie przyjęcie, żeby uczcić sukces *Abbondanzy*.

- A lunch? Gigi, to naprawdę pilna sprawa.

- Hm, chciałam popracować w porze lunchu, mam mnóstwo roboty, ale dobrze, w porządku. Co się stało? Kłopoty z fryzjerem? Albo, nie daj Boże, niania wymówiła pracę?

- Nie, nic z tych rzeczy. Nic złego. Ale musimy o tym porozmawiać.

- Dlaczego nie możemy porozmawiać przez telefon?

- Bo nie! Spotkamy się w „Dome” o pierwszej?

- Dobra. Ale na krótko.

Sasza odłożyła słuchawkę i spojrzała na Vito. - Dobre wieści. Ma niewiele czasu. Zaraz po lunchu musi wracać do agencji.

- Uśmiełabyś się, moje kochanie, gdybyś zobaczyła swoją przerażoną minę. Gigi nie pożre cię żywcem. To ja jestem przerażony.

- Wcale tego nie widać. - Vito miał na sobie swój strój producenta, jeden ze wspaniałych garniturów z materiału, który był tak kosztowny i gustowny, że bankierzy i władze wytwórni od razu wiedziały, że nie mają do czynienia z kimś o nazbyt wybujałej fantazji. Doskonale opanował sztukę ubierania się na spotkanie z wrogiem. Nie był nigdy przesadnie wytworny ani elegancki, więc nie robił wrażenia człowieka zanadto zainteresowanego własnym wyglądem. Nigdy nie ulegał kaprysom dandysa. Jego koszule, szyte na miarę u Char-veta, jego krawaty i buty były swoistymi dziełami sztuki, ale nigdy nie przekraczał granicy, która dzieli dobrze ubranego mężczyznę od niebezpiecznego ekstrawaganta. Żaden urzędnik wytwórni nie zarzuciłby mu, że pracuje nad swoim

wyglądem, mimo iż jego włoskie rysy i ciało, na którym wszystko układało się we włoskim stylu, mogłyby wywoływać takie wrażenie, gdyby pozwolił sobie choć na odrobinę przesady. Wyglądał tak, jakby nie planował, co na siebie włoży, a doskonała jakość i krój jego ubrań były przypadkowe: po prostu włożył na siebie to, co wypadło z szafy.

- To niedobrze, że Zach nie pójdzie z nami, żeby nas bronić, ale nie może zejść z planu - powiedział Vito wiążąc krawat z zamierzoną nonszalancją.

- I tak nie poszedłby z nami - powiedziała Sasza. - Nie widział się z Gigi, odkąd wyrzuciła go z domu.

- Więc mój szwagier za nic w świecie nie chce przebywać w jednym pokoju z moją córką?

- Nie minęły nawet dwadzieścia cztery godziny od naszego ślubu, a już mamy do czynienia z waśniami rodzinnymi. Ucieczka niczego nie załatwia. - Sasza wygięła w podkówkę swoje piękne usta. - Poza tym muszę się wystroić, bo w przeciwnym razie Gigi od razu się domyśli, że dzieje się coś dziwnego.

- Nie obchodzi mnie to, że członek mojej rodziny nie chce rozmawiać z członkiem twojej rodziny, byle tylko nie wtrącali się do naszych spraw.

- A kto właściwie jest członkiem twojej rodziny? - zapytała Sasza, oglądając w lustrze odbicie sztywnej istoty. Wystudiowana fryzura i makijaż były tak zachwycające, jak nigdy dotąd. Sasza miała na sobie swój najlepszy jesienny kostium i wyglądała na osobę gotową przekroczyć próg sali balowej, w której roi się od znacznie mniej olśniewających piękności.

Vito stanął przy niej - wysoki i w każdym calu imponujący, tak pewny siebie, jak dyrygent wielkiej orkiestry, obdarzony tym samym magicznym autorytetem, który jest niezbędny przy wykonaniu symfonii i stworzeniu filmu. Nie mogli oderwać od siebie wzroku w niemym zdumieniu i zachwyceniu, że tworzą tak piękną parę.

- Ty, Nellie, Gigi, Zach, twoja matka i wszyscy twoi krewni - powiedział Vito.

- To także twoja rodzina, więc muszą ze sobą rozmawiać.

- Właśnie zdałem sobie sprawę, że masz jedną wadę.

290

- Już? - obruszyła się Sasza.

- Masz rację.

*

Gigi przybiegła do „Dome”, spóźniona dziesięć minut. Jedna z kelnerek poprowadziła ją przez długą lustrzaną salę, ze stolikami po obu stronach. Siedzący przy nich goście mogli z łatwością usłyszeć każde słowo padające w sąsiedztwie. Za salą znajdowały się dwa mniejsze pomieszczenia. Najdalsze z nich przeznaczone było dla ludzi potrzebujących ostentacyjnej prywatności, zaś środkowe dla tych, którzy chcieli swobodnie rozmawiać tak, żeby nikt ich nie podsłuchiwał, ale mimo to czuć, że są w restauracji, a nie na sztywnej Syberii.

Vito wybrał miejsce w środkowej sali, wiedząc, że Gigi będzie musiała się opanować, jeśli będą się jej przyglądać goście przy czterech sąsiednich stolikach.

- Sasza, przepraszam za spóźnienie. Tatusi? Cudownie! Świetnie wyglądasz. Oboje świetnie wyglądacie. Ale, tatku... co tu robisz? - Ucałowała ich oboje i usiadła obok Saszy.

- Powiedziałas mu? - syknęła dyskretnie do Saszy.

- Co powiedziałam? - zadrżała Sasza.

- Że chcemy pogadać - warknęła Gigi. - Och, Sasza! Tatusiu, posłuchaj, Sasza i ja musimy porozmawiać. Przykro mi, ale może siadłbyś przy innym stoliku? Mam mało czasu.

- Właściwie... - bąknęła Sasza. Zamarła i spojrzała na Vito z błaganiem i rozpaczą.

- Gigi - powiedział Vito. - Sasza chciała ci o czymś powiedzieć, ale zaniemówiła, więc ja powiem.

- Mogę najpierw coś zamówić? Muszę wrócić do biura za trzy kwadranse i nie mam ochoty na kolejny lunch w bufecie. - Gigi przestudiowała kartę dań, jedną z najdłuższych w mieście. - To takie skomplikowane. Co zamawiasz, Sasza?

- Zamawiamy kielbaski z cielęciny i drobiu z sałatką ziemniaczaną - powiedział Vito.

- My? Kto cię zaprosił? Tatusiu, wpraszasz się na lunch dwu przyjaciółek. Nie powinieneś tego robić. Gdzie twoje maniery?

- Właściwie... - zaczęła znów Sasza i przerwała.

- Właściwie zostałem zaproszony - powiedział Vito.

283

- Sasza, dlaczego go zaprosiłaś? Jesteś uprzejma do obrzydzenia. Jak możemy przy nim porozmawiać? Przykro mi, tatku, ale muszę odwołać zaproszenie. Kocham cię, ale idź sobie i to już. Zaprosimy cię innym razem, obiecuję.

- Gigi, Sasza i ja wzięliśmy wczoraj ślub.

- Bardzo zabawne. Co powiesz na chińską sałatkę z kurczaka? Dobrze wybrałam?

- Gigi - powiedziała Sasza. - Naprawdę to zrobiliśmy. Gigi odłożyła kartę i spojrzała na nich. Przyjrzała się im

uważnie, odchyliła się i obrzuciła ich spojrzeniem z największej odległości, na jaką mogła się odsunąć. Przechyliła głowę i wpatrywała się w nich niczym w egzotyczne zwierzęta. Postawiła łokieć na stole, podparła ręką podbródek i powoli wodziła po nich spojrzeniem.

- Ojej - powiedziała cicho. - Ojej.

- Wiem, że musisz przyzwyczać się do tej myśli... - Vito przerwał jej milczenie.

- Ty i Sasza. Przecież nawet się nie znacie! Nigdy was sobie nie przedstawiłam, nie wspominaliście o tym, że się spotkaliście. Żartowaliśmy na ten temat z Zachem. Czy zdajecie sobie sprawę, co to znaczy? Podświadomie wiedziałam, że to się stanie, przewidywałam to! Dlaczego nigdy was sobie nie przedstawiłam? Musi być jakiś powód, prawda? Jesteście dla siebie stworzeni! Po prostu stworzeni! To najlepsze, co mogło was spotkać, ale dlaczego nie przedstawiłam was sobie wcześniej? Nie rozumiem. Boże, pewnie chciałam mieć każde z was tylko dla siebie, was oboje. Jestem podłą, zazdrosną, samolubną babą! Nienawidzę takich ludzi jak ja. Och!

Gigi płakała i całowała ich jednocześnie po twarzach niczym rozbawione szczenię, więc na ich stoliku skupił się tuzin zafascynowanych spojrzeń, a tuzin uszu nasłuchiwał rozmowy.

Kiedy Gigi znów mogła przemówić, zapytała chlipiąc: - Od jak dawna się znacie? Jak zdołaliście utrzymać to w tajemnicy przede mną? Nie obwiniam was, bo nie chciałam, żebyście się poznali. Domyślałam się, że to musiała być... delikatna sprawa, te wasze randki, kiedy Sasza czekała na rozwód. - Wydmuchała nos i osuszyła oczy, a łzy ustąpiły miejsca ciekawości.

292

- Poznaliśmy się wczoraj - powiedział z dumą Vito.

- Żartujesz.

- Na plaży, niedaleko Malibu. Vito mnie poderwał.

- Nie wiedziałem, kim jest - dodał Vito.

- Więc jak to możliwe, że wzięliście ślub?

- Pojechaliśmy w nocy do Las Vegas - odparła Sasza.

- Och, jakie to smutne! Całkiem sami, tylko we dwoje. Ale jakie to romantyczne! Tylko we dwoje, w porywie emocji... szalona miłość... - Wzruszona, pokręciła głową.

- Właściwie mieliśmy świadka - powiedział Vito, bliski omdlenia. Przecież Gigi musi się dowiedzieć.

- Kto?

- Mój... brat - powiedziała Sasza.

- Zach!!! Zaprosiliście Zacha na ślub, a mnie nie! Jak mogliście tak postąpić? - wykrzyknęła Gigi.

- Byłam wczoraj wieczorem w domu. Wystarczyło tylko zadzwonić i przyjechałabym natychmiast. Czuję się dotknięta. Zraniliście moje uczucia...

- Ale poznaliśmy się dzięki Zachowi - zaprotestowała Sasza. - Dosłownie przepędził nas z planu, zaczęliśmy ze sobą rozmawiać, a potem powiedział, żebyśmy sami zjedli lunch. Gdyby nie Zach, nie poznalibyśmy się... to znaczy, nie tak szybko... Zach był bezpośrednio odpowiedzialny za, hm... Gigi... wiesz, o co chodzi, a potem Vito zachował się jak prawdziwy Włoch i postanowił

prosić o moją rękę mężczyznę z rodziny, więc zadzwonił do Zacha, który natychmiast zachował się jak prawdziwy Izraelita, przypomniał sobie Stary Testament i nalegał, żeby nam towarzyszyć i upewnić się, że bierzemy ślub w obecności prawdziwego rabina, a nie zwykłego sędziego czy sobowtóra Elvisa Presleya. Doprawdy, Gigi, sama mówiłaś, że Zach jest nierozsądny. Jest gorszy niż przypuszczasz.

- Hm... w takim razie... chyba trochę rozumiem... Na pewno nie zadbałabym o to, żeby rabin był prawdziwy. Ale ja wydaję przyjęcie na waszą cześć, a nie Zach. Zrozumiano?

- Tak jest.

- Oczywiście.

- Właśnie uświadomiłam sobie - powiedziała Gigi, blednąc z nadmiaru emocji - że mam teraz dwie macochy, ciebie

285

i Billy! Masz trudne zadanie, Sasza. Spodziewam się, że będziecie walczyć o moje uczucia. I... mój Boże... słodka maleńka Nellie jest moją siostrzyczką, a Zach jest... o, cholera! Kim on jest? Nie chcę go, kimkolwiek jest.

- Jest szwagrem twojego ojca, albo bratem twojej macochy, na pewno nie jest twoim wujem, jeżeli to cię martwi. Przynajmniej tak mi się zdaje. - Sasza pomyślała, że jej matka na pewno znalazłaby to szczególne starotestamentowe słowo na określenie związku rodzinnego Gigi i Zacha. Teraz Gigi, nieświadomie i niewinnie, stała się na dobre członkiem klanu Orloff-Nevskich.

- Hm, dzięki Bogu. Zjemy coś, czy wy dwoje żyjecie powietrzem i miłością?

- Już zamawiamy - powiedział Vito. - Gigi, nie mów o tym nikomu, dopóki nie damy ci znać. Jesteś jedyną osobą, która o tym wie. Muszę jeszcze załatwić sprawę z Billy i Joshem.

*

- Jesteś bardzo utalentowana - zauważył Vito z podziwem, kiedy Gigi szybko zjadła lunch i znów pozostawiła ich samych sobie. - Wiesz, jak poradzić sobie z Gigi. Gdyby nie ta bajeczka, którą opowiedziałaś, żeby wytłumaczyć obecność Zacha, bylibyśmy w opałach.

- Po to są przyjaciele - powiedziała z zadowoleniem Sasza. Nie chciałam sprawić jej przykrości.

- Myślałem, że to ja jestem twoim najlepszym przyjacielem

- zmartwił się Vito.

- Jesteś dla mnie wszystkim.

- Będziesz opowiadać mi bajeczki, czy nie?

- Będę ci mówić tylko szczerą prawdę, najukochańszy. Jesteś dorosły, więc zdołasz to znieść.

- Umowa stoi.

*

- Chciałeś się ze mną widzieć, Vito. - Josh Hillman obrzucił Vito zimnym spojrzeniem. - Jeżeli masz problem prawny, są specjalne firmy, które specjalizują się w branży filmowej. My nie zajmujemy się tymi sprawami.

- To nie ma nic wspólnego z przemysłem filmowym, Josh

- odparł Vito, wpatrując się jeszcze zimniejszym spojrzeniem

294

w mężczyznę, który miesiąc temu był, w świetle prawa, mężem jego żony, choć z tego, co mówiła Sasza, wynikało, że nie zasługiwał na to, by żyć u jej boku nawet przez minutę.

- Zatem... czym mogę ci służyć? - zapytał niechętnie Josh. Nie miał żadnego innego powodu, by natychmiast wyprosić Vito z gabinetu prócz własnego gorącego pragnienia, by tak uczynić, ale dla mężczyzny dbałego o przepisy i drobiazgowego jak on nie był to powód wystarczający.

- Przyszedłem zawiadomić cię, że wczoraj ożeniłem się z Saszą.

Josh poczuł przyływ takiej dzikiej wściekłości, jakiej nie doznał jeszcze nigdy w swoim uporządkowanym, konserwatywnym życiu. Zerwał się z miejsca, obiegł biurko i stanął przed Vito z zaciśniętymi pięściami.

- Jak śmiesz!

- Kochamy się. Nie masz już żadnego prawa decydować o tym, co robi Sasza.

- Ty parszywy sukinsynu! Wiem o tobie wszystko, wiem, kim jesteś i kim byłeś, ty wstrętny typie, wiem, jak traktowałeś Billy, wiem, dlaczego się z tobą rozwiodła i wiem, że zapomniałaś o istnieniu swojej córki, dopóki nie ukończyła szesnastu lat. Wiem, że Billy finansowała „Fair Play” i ciężko pracowała nad „Zwierciadłami” i wiem, jak odwdzieczyła się jej za swojego Oskara. Wiem, dlaczego Billy nie miała żadnego problemu z przejściem prawnej opieki nad Gigi. Wiem, że jesteś prymitywny i wykorzystujesz ludzi, ty nędzny śmierdzielu... I sądzisz, że poślubienie mojej żony ujdzie ci na sucho?

- Sasza nie jest twoją żoną. Rozumiem twoje uczucia, ale nie jest już twoją żoną. Zmusiłeś ją, żeby się z tobą rozwiodła. - Vito mówił spokojnie, nie cofając się ani o krok.

- Miałem powody, do cholery! I dowiesz się, jakie, Orsini!

- Wiem wszystko o jej romansach w Nowym Jorku. Natychmiast mi wszystko opowiedziała, na samym początku, żeby później nie było problemów. Słuchaj, Josh, Sasza i ja jesteśmy jednomyślni, jeśli chodzi o czasy, zanim się poznaliśmy. Wiemy, że zazdrość rodzi się dlatego, że kogoś kochamy, jest normalna i można ją wybaczyć. Ale różnimy się od ciebie, bo ze śmiercią dawnej miłości umiera także

287

zazdrość. Wszystko skończone i zapomniane. Zazdrość nie żyje w nas niczym rak, rosnąc dzień za dniem i uśmiercając nową miłość. Teraz Sasza należy do mnie i nie obchodzi mnie, z kim sypiała przedtem. Będzie ze mną szczęśliwa, przyrzekam ci to.

- Myślisz, że obchodzą mnie twoje pieprzone przyrzeczenia? Czy sądzisz, że zaimponujesz mi mętnymi wywodami filozoficznymi? Czy uważasz, że nie wiem, jak dobiegałeś się do mojej żony za moimi plecami na długo przedtem, zanim dowiedziałem się, co to za kobieta? Czy łudziłeś się choć przez sekundę, że pozwolę, by moja córka wychowywała się przy tobie? Wniosę sprawę o pozbawienie Saszy praw rodzicielskich i wygram. Sasza nie nadaje się na matkę i Bóg wie, że dowiodłeś już, co z ciebie za ojciec... Odbiorę wam Nellie...

- Zamknij się, Josh. Wrzeszczysz jak wariat. Wezwij swoją sekretarkę. W twojej poczekalni jest ktoś, z kim powinieneś porozmawiać, zanim znów zaczniesz robić z siebie idiotę.

- Oczywiście, że tak. To ja tu rozkazuję.

Vito okrążył Josha, sięgnął po intercom, nacisnął guzik i powiedział: - Poproś, żeby weszła. Otworzyły się drzwi i do gabinetu Josha wkroczyła Billy.

- Miałaś rację - zwrócił się do niej Vito. - Naprawdę jesteś mi potrzebna.

- Czy wiesz, co mi zrobił ten kutas? - Josh natychmiast napadł na Billy. Był tak zaślepiony gniewem, że jej przybycie wcale go nie zaskoczyło.

- Wiem od kilku godzin - powiedziała Billy i spokojnie usiadła. - Myślę, że to wspaniała wiadomość.

- Billy, chyba oszalałaś - wrzasnął Josh. - Straciłaś rozum. To przecież Vito... ten sam facet, którego chciałaś się pozbyć za wszelką cenę.

- Wiem, kto to jest. Kochałam go tak, że sama mu się oświadczyłam. Ciebie także znam i wiem, kim jesteś, Josh. Jesteś moim dobrym i kochanym przyjacielem, bardzo cenię twoje rady i nie wiedziałabym, co robić, gdyby nie ty, ale teraz nie zachowujesz się jak ten Josh Hillman, którego znam.

- Nie pozwolę, by moja córeczka miała z nim do czynienia! - Josh szalał, jakby nie usłyszał, co powiedziała Billy. - Zabrał mi żonę, a teraz chce ukraść dziecko! Jeszcze nie wie, co mogę

296
MIII zrobić. Zniszczę go pozwami. Będę miał władzę rodzicielski, dopóki Nellie nie skończy osiemnastu lat...

Josh. Usiądź i uspokój się. - Już od dawna Billy Ikehorn **nie** mówiła do niego tym tonem, ale lata obcowania z nią, także wtedy, gdy bywała niezdolnie władczą, sprawiły, że instynktowne posłuszeństwo nakazało mu usiąść w fotelu za biurkiem.

Ty i Sasza rozwiedliście się, Josh - powiedziała Billy ze współczuciem. - Jako prawnik wiesz dobrze, co oznacza iowód. Nazywałeś ją swoją żoną, bo wpadłeś w histerię. Nie myślisz teraz jak Josh Hillman, któremu ufam, jak Josh I Ullman, który jest filarem elity Los Angeles, jak Josh Hillman, do którego wszyscy przychodzą po dobrą radę.

- Billy, chyba oszalałaś, do cholery, jeśli sądzisz, że obchodzi mnie, co inni o mnie myślą. Żądam sprawiedliwości. (Chcę, żeby cierpieli za to, co mi zrobili.

- Mój Boże, Josh, jesteś żaloszny - powiedziała Billy, nie zmieniając stanowczego tonu swojego głosu, wyśmienitego do wydawania rozkazów. - Ty domagasz się sprawiedliwości? Za co? Jakaż to niesprawiedliwość, że opuściła cię żona, której nie chciałeś przebaczyć, ani nawet dotknąć, ani spróbować zrozumieć? Nawet nie starałeś się jej zatrzymać. Jaka to niesprawiedliwość, że znalazła kogoś, kto kochają taką, jaka jest?

- Nie rozumiesz! - wykrzyknął Josh.

- Obawiam się, że rozumiem - odparła Billy. - To historia stara jak świat. Nadal kochasz Saszę, ale nie jesteś w stanie jej przebaczyć, choćbyś nie wiem jak próbował... jeżeli w ogóle się starałeś. Nie chcesz, żeby była szczęśliwa. Nigdy. Zżera cię zazdrość, bo pokochała innego. Chcesz zniszczyć jej szczęście z powodu chorej, ponurej, mściwej zazdrości. Zabiłbyś ich oboje, gdybyś mógł.

- Jak właśnie ty możesz sprowadzać wszystko do zwykłej zazdrości? Czy pamiętasz, jak zachował się Vito, kiedy dostał Oscara?

- Nie ma żadnej „zwykłej zazdrości”, Josh... Przeżyłam to i wiem. Spędziłam pół życia w Hollywood i wiem, że każdemu, kto otrzymał Oscara należy okazać wyrozumiałość, przynajmniej przez rok. To niebezpieczny okres. Vito zniósł go źle, ale i tak lepiej niż wielu innych.

289

- A co z Gigi? - pieklił się Josh, nie próbując się opanować.
- Sama mi mówiłaś, że był złym ojcem. Jak mógłbym pozwolić, by Nellie wychowywała się w jego obecności? Nie sądzę, że się z tym pogodzę. Nie, Billy, przykro mi, ale nie, nigdy, przenigdy nie będzie mieszkał w tym samym domu, co Nellie. Nigdy! Będę walczył do końca!
- Vito, czy mógłbyś zostawić nas samych na minutę?
- zapytała Billy.

Kiedy Vito zamknął za sobą drzwi, Billy przysunęła krzesło do Josha i przemówiła cichym, lecz zdecydowanym tonem.

- Sam nie zawsze byłeś tak doskonałym, prawym i niewinnym ojcem, prawda, Josh? Swego czasu, mój stary przyjacielu... nie więcej niż siedem lat temu... rozwiodłeś się z żoną po dwudziestu latach, łamiąc serce tej cudownej kobiecie, która niczym sobie na to nie zasłużyła i zrzekłeś się całkowicie praw rodzicielskich do swoich trojga nastoletnich dzieci.
- Co to ma do rzeczy, u diabła? - Josh był tak zaskoczony niespodziewanym atakiem, że zdziwienie ustąpiło miejsca wściekłości. - Joanna i ja nie mieliśmy innego wyjścia.
- Jak powiadają Francuzi, Josh, pozwól, że się pośmieję. Byłeś czterdziestodwuletnim mężczyzną i miałeś potajemny romans z dwudziestosześcioletnią dziewczyną. Byłeś gotów poświęcić dla niej wszystko, włącznie z trójką swoich wspaniałych dzieci. Byłeś zakochany do szaleństwa i nic cię nie obchodziły twoje obowiązki, ani rodzinne, ani żadne inne. Chciałeś zacząć wszystko od nowa, zapomnieć o dawnym życiu... z miłości do czarującej rudowłosej dziewczyny...
- Skąd...? Nie masz żadnych dowodów... to twoje wymysły...
- Nie przyszło ci do głowy, że Valentine była moją przyjaciółką? Bliską, oddaną przyjaciółką? Opowiedziała mi, Josh. Valentine opowiedziała mi o wszystkim, także i o tym, że zakochałeś się w niej od pierwszego wejrzenia, kiedy dla mnie pracowałeś, o ile się nie mylę. Vito poznał Saszę po waszym rozwodzie. To niepodważalny fakt. Wiem także o tygodniu w Savoyu w Londynie, tygodniu, który spędziłeś z Valentine, wiem, że bywałeś w mieszkaniu Valentine, kiedy Joanna sądziła, że pracujesz do późna, wiem, że jako mąż Joanny zabrałeś Valentine do Nowego Jorku na przyjęcie u Lace'a...

298

nawet John Prince nie mógł odmówić sobie uraczenia mnie tą smakowitą ploteczką... Nie patrz na mnie jak na upiora. Valentine opowiedziała mi o wszystkim. Musiała komuś powiedzieć, a wiedziała, że nikomu nie zdradzę tej tajemnicy. (Opowiedziała mi, bo bardzo cię kochała. Wiem, że wyszłaby za ciebie... gdyby nie zrozumiała, że bardziej kocha Spidera. Valentine i Spider. Mój Spider. Sama mogłabym poczuć obrzydliwą zazdrość, gdybym chciała, ale nie chcę...

- Boże, Billy... wiedziałaś, wiedziałaś tak dużo i nigdy nic nie powiedziałaś...

Billy podniosła się, stanęła za plecami Josha i objęła go.

Nie miałaś szczęścia w miłości, ale nadal jesteś najbardziej atrakcyjnym kawalerem w mieście... Nadal masz szanse... Do trzech razy sztuka... Wiem, że nie kochałeś Joanny, nie tak, jak Valentine i Saszę, więc nie liczymy Joanny...

- Billy... ja... ja nie wiem, co robić.

- Pogódź się z tym, Josh. Vito wie, że postąpił źle w stosunku do Gigi. Wie o tym tak dobrze, że będzie najlepszym ojczymem, jakiego można sobie wymarzyć. Postara się dać jej to, czego nie dał Gigi. Macie zagwarantowaną wspólną opiekę nad Nellie. Pogódź się z tym. Daj spokój... Sprawileś innym dość bólu... i sam zaznałeś go zbyt wiele.

Josh westchnął głęboko i oparł głowę na ramionach. Billy gładziła jego włosy w milczeniu, jakby był dzieckiem. Wreszcie podniósł wzrok.

- Chyba masz rację. Do diabła, wiem, że masz rację. Ale sama mu powiedz. Nie chcę go widzieć na oczy.

13

Kiedy samolot Gulfstream III unosił ją do Nowego Jorku, Gigi zastanawiała się, czy będzie w stanie znów przyzwyczać się do lotów zwykłymi liniami pasażerskimi. Była połowa września. Przez całe lato Ben, ilekroć przebywał z dala od Los Angeles, wysyłał po nią prywatny odrzutowiec i porywał ją na wspólny weekend. Czuła się tak, jakby wślizgnęła się niepo

strzeżenie tylnymi drzwiami w kręgi elity finansowej, takiej jak w czasach królowej Wiktorii, kiedy władcy Europy byli ze sobą spokrewnieni i tworzyli międzynarodowy krąg - klasę samą w sobie, w której obowiązywały ustalone prawa i zwyczaje. Grupę ludzi nieprzyzwoicie bogatych z wąskiej elity amerykańskiej finansjery od tych, którzy byli po prostu zamożni dzielił cały świat, a ściśle rzecz biorąc - możliwość utrzymywania prywatnego samolotu z dwoma pilotami w stanie pełnej gotowości, nie zaś zwykłego samolotu firmy.

Kompania Bena - Winthrop Development - dysponowała trzema samolotami odrzutowymi.

Dzięki nim pracownicy mogli błyskawicznie kontrolować rozległą sieć domów towarowych.

Jednak Gulfstream był osobistą własnością Bena. Posługiwał się nim tak często i z taką swobodą, jak rowerem. Gigi stwierdziła, że bardzo szybko przyzwyczajają się do luksusu. Nie czuła już dawnego dreszczyku emocji, kiedy na końcu pasa startowego lotniska Burbank pojawiała się limuzyna, a szofer pędził ku niej w podskokach, by zanieść jej bagaż do samolotu, gdzie u szczytu trapu czekał na nią usłużny steward. Dreszczyk emocji... Tak, nadal czuła dreszczyk, bo otaczał ją przepych i rozpieszczano ją, ale za każdym razem mniejszy, więc podejrzewała, że z czasem luksus stanie się dla niej chlebem powszednim, jak dla Billy dwadzieścia lat temu.

Leciała do Nowego Jorku na cały tydzień. Budowa „Smaragdu Winthropa” przebiegała pomyślnie i szybko, więc Ben chciał, żeby zobaczyła wielką halę w centrum, którą kupił i zamienił w amerykańskie centrum dowodzenia wszystkimi sprawami związanymi z prowadzeniem linii pasażerskiej. Ilekroć odrywał się od pracy w sieci domów towarowych, robił wszystko, co się da, by stać się ekspertem w dziedzinie żeglugi, ale nie chciał podzielić się wiedzą z Gigi, dopóki nie będzie pewny, że wie już wszystko, co trzeba. Gigi przypuszczała, że podczas jej wizyty odsłoni rąbka tajemnicy i pokaże, czego dokonał. Chciałaby bardziej zaangażować się w sprawę statków, tak jak w projekt sieci sklepów z zabawkami, ale miała dużo pracy w agencji, więc nie zwracała nawet uwagi na aurę tajemnicy, którą Ben otoczył realizację tego pomysłu.

Właściwie stosunek Bena do „Smaragdu Winthropa” w pewnym sensie przypomina jego stosunek do mnie myślała Gigi,

300

jedząc małe kanapeczki z ciemnego pieczywa ze szkockim łososiem, które podał jej steward. W obu przypadkach był zaborczy, bo dążył do zapewnienia sobie wyłącznej władzy i kontroli. Nie miała nic przeciwko temu, by statek budził w nim takie uczucia, jak w dziecku, które ma nową zabawkę, ale - ilekroć była z Benem - musiała być czujna i unikać sytuacji, w których pozostawiał sobie wyłączone prawo decyzji.

Jeżeli mężczyzna chce zrobić dla ciebie wszystko, nawet ożenić się z tobą, a ty nie jesteś pewna, czy go kochasz, musisz zachować wyraźny dystans - postanowiła Gigi. Przynajmniej tego nauczyła ją bolesne doświadczenie z Zachem, które nie dawało o sobie zapomnieć. Oczywiście im większy stwarzała dystans, tym bardziej Ben starał się go pokonać. Gdyby chciała usidlić Bena Winthropa, tę najlepszą ze wszystkich partii, nie mogłaby lepiej zaplanować swojej strategii, ale tak samo, jak owego wieczoru w restauracji Cipriani, wcale nie była pewna, czy go naprawdę kocha. Ilekroć pomyślała o małżeństwie z Benem, czuła pustkę w głowie, zupełnie jakby błędziła w gęstej mgle. Czy tak właśnie czuli się mężczyźni, kiedy mówili kobietom, że nie chcą się angażować, a może to zmysł praktyczny nie pozwalał jej budować zamków na lodzie?

A może to dlatego, że Sasza nazywała Bena „Ósmym Cudem”? Przewisko irytowało Gigi, ale w głębi duszy zgadzała się z przemyślaną opinią Saszy, że każdy mężczyzna, nawet jeśli wydaje się bardzo dobry, jest za dobry, żeby był prawdziwy.

Cholera! Ben był naprawdę cudowny! Inteligentny, niezwykle dbały o piękno i przyjemność, zawsze atrakcyjny i przystojny... byłby cudowny, nawet gdyby był biedny, ale trudno wyobrazić

sobie Bena Winthropa bez pieniędzy. Co się z nią dzieje, u licha? Dlaczego czuje, że w myślach musi bronić Bena przed Saszą i dlaczego znajduje perwersyjną przyjemność w wynajdywaniu jego wad?

Musi się zaangażować. Samolot leciał wysoko nad Missisipi, a Gigi pomyślała o tym, co zdarzyło się dwa tygodnie temu, podczas weekendu poprzedzającego Święto Pracy, kiedy wraz z Benem pojechała na przyjęcie w Winnicy Marthy Vineyard do jego starych przyjaciół z Uniwersytetu Harvarda. Było tam sześć par, tak ze sobą zżytych, że Ben był ojcem

chrzestnym najstarszego dziecka każdej z nich. W wielkim

Sca dir, 07^m domU/a UFWISKU Md —m b^{rs}

miejsca dla rodziców i dzieci. Czas wypełniały im drobne przyjemności... żeglowanie, spacer, rozmowy i pos?lki w at mosferze przyjaźni i wspólnych przeżyć, ale cały czas miał, Żor, 10, 11/6 J6St niefo^rTM^ny- lecz niekLstknowanym przywódca tej grupy - pie^rwszym między równymi. I de ylko cieszy się z tego, ale uważa, że to naturalny ho d składany sukcesom, które odnosi. Nie zdarzyło się wówczas nic szczególnego ale iako nrzv bysz z zewnątrz Gigi wyraźnie zauważyła, Ł 'op nie łnlz

n^SSt T^{ChmaSt} WSPÓlnym P^^uaman' nawetjesh inni ze śmiechem wyrażali swój sprzeciw Patrzyła jak wszystkie śliczne trzydziestoletnie kobiety bardzieTcenn

tLjCZiT*⁻^^komplementy ^^snych iSw⁴Ilekoć Ben zmęczył się żeglowaniem, wszyscy zgodnie kiero wali się do brzegu. Jeśli uznał, że czas się nap* wSz^yscv stwierdzali, że pożądamy ulubionych napo^w młzoni wodka. w wysokich szklankach i koktajlu zmały. Ile^oć Ben twierdził w ostatniej chwili, żeby dla zabawy^rezygnować z kolacji przygotowanej w domu i pójść do restaurach na homary, wszyscy godzili się na to jak jeden mąż bez

Urodzony przywódca? A może to kwestia wycucia? Może A jego zwyczaj aranżowania... projektowania: własnego ży-era? Zauważyła, że zaczęło się to już wówczas, kiedy kochali się po raz pierwszy... kiedy chciał całować ją, pa^Stednoczesnie na Canale Grandę. Całkowicie nieszkodLaTroman

l rSZ^r }^{UVn, mimo}. WSZ^ystk0, 1 wyj^z kieszeni wczesieS ' o/ZyWISCie me IWM do wiadomości jej wcześniejszej odmowy przyjęcia kolczyków. Jeżeli Ben Winthrop chciał dać komuś kolczyk., to - na Boga- da le i juz. A jednak Gigi zmusiła go, żeby je zatrzymaff zgadzaa się tylko pożyczac je od niego od czasu do czasu A może ona sama... jest elementem... takiej artystycznej

Je w^ryslił? Może S

bo pasowała do obrazu, który sobie stworzył? A może ies głupio niesprawiedliwa i traktuje dowody jego p^dziwłj

302

miłości jako przejawy władczego usposobienia? Pewnie Ben llic umie okazać uczucia w inny sposób. Cholerna Sasza! To jej wina, że zadaje sobie wszystkie te pytania! Ben był wszystkim, CO można sobie wymarzyć... jako kochanek... a jednak... przecież to zawsze on decydował o tym, kiedy i gdzie...

Podczas weekendu w wielkim starym domu ich gospodarze i.ikiownie dali im osobne sypialnie, ale przyszedł do niej w nocy, godzinę po tym, jak wszyscy udali się na spoczynek. Wszedł niespodziewanie do jej pokoju, tuż obok sypialni właścicieli, obudził ją i opadł na nią z tak wielką namiętnością, Ze ludzie z drugiej strony drewnianej ściany z pewnością słyszeli jego jęki rozkoszy i gwałtowny okrzyk w chwili orgazmu. Kiedy znów jej zapragnął, drżący i twardy, zbyt spragniony, by mogła mu się oprzeć, zmusiła go, by przysiągł, że będzie cicho, zanim pozwoliła mu zbliżyć się do siebie, ale w zapamiętaniu potężnego spazmu nie umiał się opanować i krzyczał.

Była bardzo zażenowana podczas śniadania z grupą ludzi, którzy byli jej niemal obcy i zachowywali się bez zarzutu, udając, że niczego nie słyszeli. Łatwiej byłoby znieść trącanie się łokciami i perskie oczka. Gdyby ktoś się roześmiał, nie czułaby się taka skrępowana. Była wściekła, a Ben pełen skruchy. Nie pozwoliła mu zbliżyć się do siebie przez cały weekend, a on przyjął tę karę bez słowa sprzeciwu. A jednak wyobrażała sobie, o czym będą rozmawiać te bliskie sobie, przyjaźniące się i milczące teraz żony, kiedy wrócą do Bostonu.

Ben, rzecz jasna, wcale nie przejmował się tym, co mówią i myślą inni. Przepraszając ją powiedział, że nikt nigdy nie pociągał go tak jak ona, a inne kobiety, jeśli w ogóle o tym myślą, zazdroszczą jej, bo ich mężowie nie kochali się z nimi dwa razy tej nocy. Jeżeli pobyt w Nowej Anglii sprawił, że stała się bardziej bostońska niż sami bostończycy, przyrzeka, że uszanuje jej uczucia.

Gigi wstała, żeby rozprostować nogi okrążając pięć razy kabinę odrzutowca. Przystanąła przed owalnym oknem i spojrzała na chmury. Musi przyznać, że niezapomniane odgłosy, które wydawał Ben, zagłuszyły jej własne westchnienia rozkoszy, bo zadziwiająco szybko poznał jej seksualne

tajemne pragnienia i sama robiła mnóstwo hałasu, choć martwiła się obecnością gospodarzy w sąsiednim pokoju. Miała tylko nadzieję, że bardzo cierpiał z powodu kary, którą mu wyznaczyła w tamten weekend, bo... niech go szlag!... ona sama zniosła ją z wielkim trudem.

*

Następnego popołudnia, przed wizytą w głównej siedzibie Linii Winthropa Gigi ubrała się wyjątkowo starannie w najlepszy strój, bo była to jej pierwsza oficjalna wizyta w charakterze przedstawicielki agencji Frost, Rourke, Bernheim. Kupiła nowy kostium z kolekcji jesiennej, którą Karl Lagerfeld przygotował dla Chanel. Projektant włączył się niedawno w prace wsporniczej starej firmy. W swoich staraniach o ożywienie interesu, który podupadł po śmierci Mademoiselle Chanel miał całkowicie wolną rękę. Kostium z kremowego tweedu składał się z obcisłej spódnicy i kardiganu, wykończonych lamówką w postaci kremowo-czarnego warkocza. Do tego jedwabna czarna bluzka z wielkim miękkim kołnierzem i ciężki złoty łańcuch nisko na biodrach.

Przeoglądając się w lustrze Gigi stwierdziła, że lekki, swobodny krój lat dwudziestych doskonale harmonizuje z puklami jej włosów przyciętych na linii podbródka i z jej czarnymi rzęsami, tak grubymi i długimi, że tworzyły splełany gąszcz. Uznała, że nie powstydziliby się jej sama mademoiselle Chanel i ruszyła w drogę, starając się kroczyć nonszalancko jak modelka, choć jej szybki taneczny krok niełatwo poddawał się takim rygorom.

Pierwszą osobą, którą Ben przedstawił jej w siedzibie firmy, był Erik Hansen, sześćdziesięcioletni mężczyzna, kierujący wszystkimi pracami i przewodzący grupie ludzi zatrudnianych przez Bena.

Hansen przeszedł do firmy Bena z linii Royal Viking i był jednym z trzech największych specjalistów w tej branży na świecie. Przyjął nową pracę tylko dlatego, że czekała go emerytura, a miał zbyt wiele energii, by porzucać zajęcie, w którym był największym autorytetem. Linia Winthropa zagwarantowała mu zabezpieczenie finansowe na całe życie oraz dziesięcioletni kontrakt. Hansen był niezwykle żywotnym mężczyzną średniego wzrostu. Był mocno zbudowany, miał

304

mocne falujące siwe włosy i mocny uścisk dłoni. Kiedy uśmiechnął się do niej ciepło, poczuła się jak w towarzystwie własnego dziadka.

- Oto człowiek - zwrócił się do niej Ben, kiedy pili kawę w gabinecie Hansena - który wiedział, jakich specjalistów warto podkupić i sporządził już ich listę. Kiedy zwrócił się do nich sam Hansen, poszli za nim.

- Czy to się robi właśnie w taki sposób? - zapytała z ciekawością Gigi. - Kradnie się specjalistów?

- To jedyna metoda - stwierdził Hansen. - Właściciele statków pasażerskich, tacy jak pan Winthrop, nieustannie rywalizują ze sobą, budując nowy statek. Jest niewielu wybitnych specjalistów w tej dziedzinie i wszyscy ich potrzebują. Pan Winthrop ułatwił mi zadanie, dając mi wolną rękę w sprawie wynagrodzeń. Planujemy także najlepsze pomieszczenia dla załogi i urządzenia rekreacyjne, jakie można sobie wyobrazić, a to zwabi najlepszych pracowników z innych linii, bo przecież spędzają życie na pokładzie.

- Każdy nowo zatrudniony członek zarządu ciągnie za sobą grupę swoich pracowników - dodał Ben. - Skompletowaliśmy już niemal cały personel wyższego i średniego szczebla. Wszyscy są teraz w tym budynku. Na górze pracuje dyrektor części hotelowej statku, Eustace Jones ze słynnej brytyjskiej rodziny kupieckiej i Per Dahl, norweski kapitan.

- Czy już są potrzebni? - zapytała Gigi. - Dziewiczy rejs „Smaragdu Winthropa” jest przewidziany dopiero za rok.

- Cały czas musimy zasięgać ich opinii - odparł Hansen.

- Jest mnóstwo komplikacji. Na przykład Arnsin Olsen jest niezbędny przy projektowaniu urządzeń służących nawigacji, łączności, elektryczności i kanalizacji. Składa raporty kapitanowi Dahlowi, który udziela swoich rad. Szef kuchni, Andre St. Hubert czuwa nad pracami projektanta restauracji, Antonia Zamboniego i pilnuje, żeby nie instalował zmywarek tam, gdzie powinny być kuchnie. St. Hubert odpowiada przed Jonesem, zarządcą części hotelowej, a z drugiej strony podejmuje decyzje wraz ze swoimi szefami, Paulem Vuillardem i Giannim Fendim.

- Fendi? Vuillard? St. Hubert? Żadnych Amerykanów?

- zapytała Gigi.

297

- Amerykanie nie nadają się do projektowania eleganckich restauracji. - Hansen obdarzył ją łaskawym uśmiechem. - Statki pasażerskie na całym świecie zatrudniają włoski personel... szefów sali, kelnerów, nawet pikolaków. Są najlepsi. Portugalczycy także są świetni, Francuzi są zbyt wielkimi snobami, więc zwykle tylko gotują, a Hiszpanie nie mają odpowiedniej tradycji. Stewardzi i pokojówki pochodzą ze Skandynawii, oficerowie i kapitanowie to Norwedzy, Duńczycy lub Anglicy, personel szpitala - Szwajcarzy. Kasyno na każdym statku prowadzi kompania austriacka, a salon piękności Anglik, który ma koncesję na wszystkie statki.

- Czy „Smaragd” nie będzie pływał pod amerykańską banderą?

- Pod międzynarodową - powiedział Ben. - Dzięki temu możemy zatrudniać, kogo chcemy.

- Nie zatrudnicie żadnego Amerykanina? - dopytywała się.

- Oczywiście, zatrudnimy - odparł Ben. - Amerykańską orkiestrę, specjalistów od rozrywki i gimnastyki. Ale w zespole żigolaków będą sami Grecy. Mają wdzięk, są energiczni i wytrzymali. Mrugnął do niej, widząc, że jest oburzona.

Hansen kaszlnął, nie zważając na to, że mu przerwano i dalej opowiadał o kuchniach. - Rozumie pani, panno Orsini... główny inżynier Arnsin Olsen musi ściśle współpracować z szefem kuchni.

Trzeba rozwiązać wiele ważnych problemów - kwestię rozmiarów chłodni na mięso, basenów na świeże homary, przechowalni kawioru, a także przestrzeni przeznaczonej na płatki śniadaniowe - ludzie w podróży na pewno chcieliby zjeść takie płatki, do jakich są przyzwyczajeni, a na środku Pacyfiku nie ma sklepów. Wykorzystanie każdego cala na statku jest przedmiotem długich dyskusji. Wszyscy ci ludzie są wybitnymi specjalistami, każdy z nich domaga się dla siebie większej przestrzeni niż możemy mu zaoferować, a muszą współpracować ze sobą, ponieważ każdy szczegół wyposażenia jest dopasowany do pozostałych - na przykład rozmiary kieliszków do wina powinny ściśle odpowiadać rozmiarom siatek w zmywarkach.

- Oczywiście - powiedziała Gigi, przytakując z tak wielką cierpliwością, na jaką było ją stać. Zmywarki? Jak ten statek będzie wyglądać, u licha? Jak wielki supersam? - Strukturą

306

będzie przypominał ONZ - stwierdziła. - Kto jest sekretarzem generalnym?

- Szefem jest pan Winthrop - właściciel i odpowiadam właśnie przed nim. To on podejmuje wszystkie ostateczne decyzje, ponieważ za wszystko płaci. Oczywiście to ułatwiłoby sprawę, gdyby uwolnił się od innych zajęć i zamieszkał w Wenecji, ale nie może, więc sprowadziliśmy mu sztab do Nowego Jorku. Kiedy przygotujemy już wszystkie plany, aż do tych kieliszków, o których wspominałem, wyposaży się statek w suchym doku.

- Zdaje mi się, że panna Orsini zemdleje, jeśli natychmiast nie zobaczy projektów - powiedział Ben i podniósł się z miejsca. - Widzę to po jej oczach.

- Nie zemdleję, lecz wybuchnę wrzaskiem - szepnęła do niego Gigi, kiedy wziął ją za ramię i wyprowadził z gabinetu Hansena. Przeszli przez pierwsze piętro i wjechali nowo zainstalowaną windą na drugie, gdzie przy komputerach uwijała się setka projektantów.

Chodzili po hali w towarzystwie Ansina Olsena, który pokazał im, w jaki sposób zostanie wykorzystana dolna część statku długości 540 stóp. Na samym dole znajdują się zbiorniki na paliwo, wyższy pokład zajmą podwójne zbiorniki na wodę słodką, do kąpieli i do gotowania, skomplikowane urządzenia do odsalania wody morskiej, system klimatyzacji oraz maszyny do czyszczenia pokładu i pralnia.

Gigi patrzyła na niezrozumiałe komputerowe projekty zagospodarowania przestrzeni między pokładami, w której znajdują się wszystkie rury, przewody elektryczne i linie telefoniczne statku.

- Nie sądziłam, że to będzie takie skomplikowane - zwróciła się do Bena, kiedy Olsen odwrócił się na chwilę.

- Ja też nie - odparł. - A nie widzieliśmy jeszcze nawet pomieszczeń dla stewardes. To wszystko znajdzie się poniżej linii zanurzenia.

- Czy możemy...

- Nie, bo to nieuprzejme. Olsen jest bardzo dumny z tego projektu. - Ben odpowiedział na pytanie, którego nie dokończyła. - Sama tego chciałaś, więc teraz bądź cierpliwa.

299

- Ochoczo otoczył ramieniem jej talię, uprzednio uszczypnąwszy ją mocno w pośladek.
- Przestań! - zniżyła głos, świadoma spojrzeń dziesiątków projektantów, którzy dyskretnie przyglądali się przybyszom.

Uszczypnął ją ponownie. - Domy towarowe nie muszą pływać po oceanie z grymaszącymi pasażerami na pokładzie. Żeby zaprojektować jeden statek, potrzeba przynajmniej pięćdziesięciu tysięcy planów komputerowych, a służą one tylko temu, by inżynierowie i projektanci znaleźli najlepszy sposób organizacji przestrzeni. Komputery i tak nie zastąpią projektów sporządzonych przez ludzi, więc zasłużyłaś na coś gorszego niż jedno małe szczypnięcie lub dwa.

- Panno Orsini, czy chce pani zobaczyć *Sizione Maestral*

- zapytał Olsen.

- To zależy - powiedziała ostrożnie Gigi. Nazwa brzmiała tak, jakby chodziło o system odprowadzania nieczystości.

- Projekty części hotelowej statku, pokład po pokładzie.

- Proszę! Zaprowadźcie mnie tam!

Wsiadli wraz z Benem do innej windy, w towarzystwie Hansena i Olsena, i pojechali na trzecie piętro, gdzie pracowała przy komputerach jeszcze większa grupa projektantów. Weszli do dużego pomieszczenia biurowego na tyłach hali, gdzie przedstawiono Gigi kapitana Dahla, Eustace'a Jonesa i trzeciego pana - Renzo Montegardiniego, architekta morskiego, nadzorującego wszystkie prace zmierzające do przekształcenia pustego kadłuba frachtowca w najpiękniejszy statek pasażerski, jaki kiedykolwiek pływał po morzach.

Montegardini, jak natychmiast zauważyła Gigi, był drugą osobistością po Benie, który tylko podpisywał czeki. Nawet Hansen zwracał się z szacunkiem do tego wysokiego, smukłego mężczyzny pod pięćdziesiątkę, który nosił się z taką gracją, jak Vito Orsini i miał nieodparty wdzięk. Kiedy pochylił się, żeby ucałować jej dłoń, poczuła się tak, jakby nadano jej tytuł szlachecki.

- Zatem poznałem wreszcie tę młodą damę, której genialna inspiracja sprawiła, że opuściłem moją drogą Genuę, moją ukochaną pracownię, moich uczniów i pozostałych klientów.

- Czuję się winna - powiedziała Gigi, trzepocząc rękami bez umiaru.

308

- Niechże pani mi nie współczuje, miła i śliczna panno Orsini. Lubię Nowy Świat. Kocham Nowy Jork, moja żona uwielbia Nowy Jork, nawet koty mojej żony lubią Nowy Jork. A ta praca to doprawdy wspaniałe wyzwanie. Przedtem pracowałem nad statkami począwszy od pierwszego szkicu. Tu mam do czynienia z fascynującym zadaniem, ale wspaniałe kształty statku sprawiają, że wszystkie problemy można rozwiązać.

- Zatem aprobeje pan konstrukcję statku?

- Oddaję jej cześć. Wątpię, czy sam zrobiłbym to lepiej, a nikt w całych Włoszech nie nazwie mnie człowiekiem skromnym, prócz, oczywiście, mojej żony, która wie, jaki jestem naprawdę. Jednak jest jeszcze wiele pracy. Zacząłem od komina, ale czy pani wie...

- Nic nie wiem! - wykrzyknęła Gigi, po czym przypomniała sobie o dobrych manierach. - Wiem tylko co nieco o zbiornikach na paliwo i wodę oraz kuchniach...

- Ach, ci inżynierowie, zawsze zaczynają od spraw praktycznych. To choroba zawodowa, może nawet rodzaj manii, ale wybaczymy im tę obsesję, bo statek musi płynąć. Widzi pani, panno Orsini, komin jest najważniejszy. Od niego zależy sylwetka statku, to on nadaje mu styl i romantyzm, jest jego znakiem rozpoznawczym, tak jak krój pani czarującego żakietu, który jest dziełem przyjaciela mojej żony, Lagerfelda. - Odwrócił się plecami do ściany, na której wisiał zasłonięty obraz.

- Spokojnie, kochanie - wyszeptła Gigi do ucha Bena. Ben zdecydowanym ruchem sięgnął do jej pośladka, położył na nim dłoń i pozostawił ją tam, kiedy Montegardini zdejmował materiał, który zasłaniał obraz przedstawiający „Smaragd Winthropa”. Serce Gigi biło jak szalone z podniecenia i radości, kiedy patrzyła na obraz, zastanawiając się, co też namalowany statek ma wspólnego z trzema szarymi kadłubami, które widziała w Mestre.

Tak, kształt dziobu i rufy pozostał ten sam, ale reszta należała do innego świata. Z dawnego pokładu głównego wyrastały cztery inne, tworząc jedną linię poziomą od dziobu ku dwóm bliźniaczym kominom, sterującym w poprzek rufy. Nie spodziewała się, że ich śmiały kształt będzie pełen wdzięku i tak niepowtarzalny. Cały statek był biały, prócz

301

pojedynczego pasa szmaragdowej zieleni, biegnącego od dzioba do rufy przez najszerszą część kadłuba. Szmaragdowy pas wymalowano także na obu kominach, u samej góry. Na każdym z pokładów niebieskie okna układały się w pasy. Na najwyższym pokładzie wznosiła się wysoka konstrukcja przypominająca schody, zwieńczona flagami. Mimo iż obraz przedstawiał statek na spokojnym morzu, zdawało się, że pruje fale. Bardziej przypominał raketę kosmiczną niż przedmiot posłuszny prawu grawitacji, a jednak wyrażał głęboki związek człowieka z morzem. Nagle Gigi zdała sobie sprawę, że znajduje się w sali wśród milczących mężczyzn, wpatrujących się bez słowa w obraz „Smaragdu Winthrop”. Odwróciła się do Mon-tegardiniego, czyniąc rozpaczliwy gest. - Nie wiem, co powiedzieć.

- Już wszystko pani powiedziała - odparł z uśmiechem.

- Cztery minuty milczenia to znak, że odniosłem sukces.

- Niewyobrażalny sukces - potwierdziła.

- Gigi - przemówił Ben, niemal zniecierpliwiony. - Wiem, że ci się podoba, ale musisz spojrzeć na *Sizione Maestra*.

- Wziął wielki zwój szeleszczących papierów, spiętych z jednej strony metalowymi klamrami. - Jeszcze tego nie widziałaś, więc nie masz o niczym pojęcia...

- *Ecco*, Benito, wydaje mi się, że panna Orsini widziała już dość rysunków - powiedział Renzo Montegardini. - Wygląda tak, jakby cierpiała na projektowstręt. Dlaczego nie pokażesz jej modeli kajut, gotowej sali restauracyjnej i apartamentu właściciela? Zejdźcie potem na dół, jeśli panna Orsini zechce zobaczyć dalsze projekty.

- To nie projektowstręt. To rozkosz - powiedziała Gigi.

- Ale ma pan słusność. Nie chcę psuć sobie wrażenia, jakie wywarł na mnie obraz, więc zrezygnuję z podziwiania szczegółów technicznych tego cudownego statku.

- Jak sobie życzysz - powiedział Ben, niechętnie odkładając rysunki. - Pójdiesz z nami, Renzo?

- Nie mogę odmówić. Nie wiem tylko, czy *la bella sig-norina* wyrazi zgodę.

- Dokonałaś kolejnego podboju - mruknął Ben do Gigi, kiedy świta złożona z mężczyzn ruszyła za nimi do windy.

310

- Jak to się stało, że Renzo zwraca się do ciebie po imieniu, a inni nie?

- Zwraca się do wszystkich tak, jak chce. To architekt morski, artysta, a my jesteśmy zwykłymi trutniami.

- Biedny kochany truteń. Bardzo mi ciebie żal. Ale to twoje nazwisko widnieje na burcie statku.

- Przynajmniej na to mi pozwolił - stwierdził Ben. Stali w głębi niewielkiej windy, w której prócz nich znaleźli się Montegardini, Olsen, Hansen, Dahl, Jones, St. Hubert i Zamboni. Żaden z nich nie chciał przegapić reakcji Gigi na modele kabin. Nie zauważyli, że ręka Bena spoczywa między pośladkami Gigi, a jego środkowy palec porusza się stanowczym i nagłym ruchem, odgradzony od celu mocno zaciśniętymi mięśniami Gigi i tweedem pana Lagerfelda.

- Nie wyjdę z windy, jeśli nie przestaniesz - powiedziała stłumionym głosem, by nie słyszeli jej stojący wokół nich i żwawo rozprawiający mężczyźni. - Są tak uprzejmi, że na pewno rozstąpią się, żeby przepuścić mnie pierwszą przy wysiadaniu, więc pewnie będziemy tak stać do końca tygodnia.

Ben cofnął dłoń, kiedy winda przystanąła na następnym piętrze. Kiedy wyszli w towarzystwie sześciu panów, Gigi rozejrzała się i szybkim spojrzeniem ogarnęła modele kabin, których dokładne zwiedzanie zajęłoby przynajmniej godzinę.

- Opowiedz mi, proszę, o kajucie właściciela - zwróciła się do Bena. - Nie wiedziałam, że planujecie coś takiego.

- Na każdym statku będzie jedna taka kajuta, dwa razy większa niż pozostałe.
- To dla ciebie, biedny trutniu?
- Jeżeli będę na pokładzie. W przeciwnym razie będzie przeznaczona dla VIP-ów.
- Czy możemy ją obejrzeć najpierw? Tylko we dwoje?
- Ale...
- Przecież to ty podpisujesz czeki...
- Panowie! - rzekł Ben. - Sam pokażę pannie Orsini apartament właściciela. Wrócimy do was za chwilę.

Modele kajut wykonano zgodnie ze skalą statku, więc ich ściany i sufity nie dorównywały wysokości pomieszczeniom budynku. Wchodząc do apartamentu właściciela Gigi usłyszała głośne stuknięcie drzwi, które zamknęły się za nimi, a mimo to

kolana i zręcznie wsunęła go między nogi, głęboko i mocno, bo była gotowa na jego przyjęcie, odkąd zamknęły się za nimi drzwi kajuty.

Poruszając się, patrzyła na Bena, a jej wypięte piersi rysowały się wyraźnie pod bluzką. W podnieceniu mocno zacisnęła powieki. - Od ciebie zależy - mruknęła Gigi, poruszając się w górę i w dół z bezlitosną żądzą - czy narobisz hałasu. - Nie spuszczała wzroku z jego twarzy, przyglądając się wyrazowi intensywnej rozkoszy, nasilającej się z każdą sekundą. Zacisnęła zęby, chwytając jej pośladki rękoma, żeby wbić się w nią jeszcze głębiej, ale udało się jej zachować pozycję

305

dominującą i obserwować go z bliska. Patrzyła, jak jego wargi wykrzywia grymas wysiłku, żeby nie krzyknąć, więc podwoiła szalone tempo ruchów, dopóki nie zatracił się całkowicie w swoim dążeniu do nieuchronnej rozkoszy. Przygryzł dolną wargę z taką siłą, że złękła się, iż się zrani. Dopiero wtedy przykryła jego usta swoimi wargami, tłumiąc niskie, pierwotne dźwięki, które wyrwały mu się z piersi, kiedy targnął nim ogromny, dziki dreszcz. Czując w sobie jego falę orgazmu, pozwoliła sobie na najwyższą rozkosz, od której powstrzymywała się odkąd wzięła jego członek do ust, bezgłośnie rozkosz, której nawet nie zauważył, zbyt zajęty opanowaniem własnych odgłosów nieziemskiej przyjemności. Gigi stoczyła się z ciała Bena i spojrzała niewinnie na sufit. Otworzył oczy, z trudem wracając do przytomności.

- Dlaczego? - wyrzęził.

- Dlaczego? Myślałam, że tego chciałeś... winda... twoja ręka na moim siedzeniu... twój palec...

- Jesteś... po prostu... szalona.

- Pewnie źle cię zrozumiałam. Ale pomyśl tylko, że nauczyłeś się osiągać rozkosz nie wrzeszcząc ile sił w płucach. To może ci się kiedyś przydać.

- Dziwka!

- A jakże! Nie zapominaj o tym!

- O, Boże, tak cię Kocham!

- Dziękuję, Ben. Do licha, nie mogę znaleźć majtek.

- To nic. Ubieraj się, proszę. O, cholera! Narzuta!

- Nie mogę stąd wyjść i wyglądać gorzej niż wtedy, kiedy tu weszłam. Co sobie ludzie pomyślą? - Gigi znalazła ubrania, sztuka po sztuce, tam, gdzie je rzuciła, i szybko je włożyła. Podeszła do toaletki naprzeciw łóżka i obejrzała się w lustrze, z dezaprobatą kręcąc głową.

- Coś nie w porządku? - zapytał Ben błagalnym tonem, wycierając i wygładzając narzutę.

- Taka pozycja ma swoje dobre strony. Moja fryzura jest bez zarzutu, ale i tak od razu widać, że przed chwilą się pieprzyłam.

- Och, przestań, przestań! Zemściłaś się już. Nawet nie zobaczą różnicy.

- Renzo tak, inni też, nawet jeśli są jeszcze prawiczkami.

314

- Więc zostań tu i ochłoń. Może weź prysznic. Powiem im, że źle się czujesz... że boli cię głowa.

- Ależ czuję się cudownie - oświadczyła Gigi, malując usta. - Mogę zwiedzać dalej. Musisz zmienić narzutę, bo spermy nie zetrze się wilgotną ścierką i zdaje mi się... że cieknie ze mnie. -

- Włożyła buty i otworzyła drzwi apartamentu. - Idziesz? - zapytała przez ramię, wychodząc.

- Panowie! - oznajmiła. - Widok apartamentów właściciela bardzo mnie odświeżył. Czuję się jak nowo narodzona. Idziemy dalej?

Kiedy Gigi wyjechała do Nowego Jorku, Victoria Frost zaczęła wprowadzać w życie plan, który przygotowywała od wielu miesięcy. Przyjmując Gigi do pracy, Archie i Byron obiecali jej, że nigdy nie będą się ubiegać o zlecenie na reklamę Scruples II. Gigi postanowiła zrezygnować z tego smakowitego kąska wartości trzynastu milionów dolarów, z pewną perspektywą wzrostu każdego roku, ponieważ wiedziała, że z uwagi na nią Spider i Billy poczują się w obowiązku dać zlecenie agencji FRB, niezależnie od tego, czy spodobają im się projekty kampanii reklamowej.

Wyjaśniła Archiemu i Byronowi, że to zaspokoi jej potrzebę niezależności i działania poza koneksjami rodzinnymi. Nie brała poważnie ich oferty pracy, dopóki nie przystali na ten warunek. Archie i Byron zadbali o to, by Victoria wiedziała, że nie wolno im porywać się na Scruples II. Postanowiła pokazać im, jak bardzo się mylą.

Po pierwsze, nie było tu żadnego konfliktu interesów. Przecież Gigi nie będzie ich prowadzić sama ze sobą, jeżeli agencja zacznie pracować dla Scruples II, ponieważ nie ma udziałów w

zyskach FRB. Poza tym to fakt, że Gigi napisała tekst reklamowy, sprawił, że katalog domu mody odniósł wielki sukces. Po trzecie, Gigi zachowuje się nieprofesjonalnie, kierując się uczuciami. W reklamie nie ma miejsca na sentymenty. Arch i By nie powinni byli zgodzić się na warunki Gigi, ale była im wówczas bardzo potrzebna i nie zdołali przekonać jej, że jest zbyt ostrożna i nadwrażliwa.

Od tamtej pory minęło już wiele czasu... niemal rok. Victoria stwierdziła, że Gigi ma już w nadmiarze własnych sukcesów i dowodzą one, że wcześniejsza umowa z agencją nie ma znaczenia i jest wręcz głupia. Czas wkroczyć do akcji. Pilnie zajęła się agencją Russo & Russo, która do tej pory zajmowała się reklamą Scruples II. Nie ma potrzeby zawiadamiać Byrona i Archiego, dopóki jej akcja nie zakończy się sukcesem, pomyślała, telefonując do Spidera Elliotta i umawiając się z nim w jego biurze.

- Witam w Scruples II - powiedział Spider, kiedy wprowadzono Victorię do jego gabinetu. - Nieczęsto spotyka się szefową Gigi... co nie znaczy, że Gigi kiedykolwiek miała szefa w zwykłym znaczeniu tego słowa. Jej przełożeni tworzą ekskluzywną grupę. Szefowa agencji organizującej przyjęcia - niejaka Emily Gatherum, ja i pani. I, oczywiście, moja żona, ale Billy nie pokazuje się w biurze, odkąd urodziła naszych chłopców.

- Wiele słyszałam o bliźniakach - powiedziała rozpromieniona Victoria. - Kiedy gawędzimy sobie z Gigi podczas naszych babskich lunchów, często mi opowiada o ich osiągnięciach, pokazuje mi nawet ich zdjęcia, jak czuła cioteczka. Pewnie jest pan z nich bardzo dumny.

- Mam fioła na ich punkcie, ale zdaje się, że to normalne. Czego się pani napije? Kawy, herbaty, czegoś zimnego?

- Nie, dziękuję, panie Elliott.

- Jestem Spider. Wszyscy tak do mnie mówią.

- Victoria.

Spider zawsze patrzył na kobiety, rozbierając je wzrokiem. Kiedy prowadził dom mody, nawet najbardziej pewne siebie klientki rzadko wybierały suknie na ważne okazje bez jego porady. Natychmiast zauważył, że Victoria Frost nigdy nie pytałaby go o zdanie. W swojej dwurzędowej sukience o płaszczowym kroju, uszytej z beżowej cienkiej wełny, robiła wrażenie osoby pewnej siebie i skutecznej w działaniu. W tej sukience wyglądała właśnie tak, jak powinna wyglądać odnosząca sukcesy właścicielka firmy, ale był to jednocześnie strój tak skromny, że - paradoksalnie - rzucał się w oczy. To dziwne,

308

że Gigi nie wspomniała ojej wyjątkowej, intrygującej dla wielu mężczyzn, powściągliwej urodzie klasycznej baletnicy.

Myśląc o pierwszym wrażeniu, jakie zrobił na niej Spider, Victoria żałowała, że jest jedynym mężczyzną, z którym nie będzie mogła spędzić sekretnego popołudnia. Jej wiedza o męskich zwyczajach, sygnałach i zachowaniu pozwoliła jej zrozumieć w mgnieniu oka, że Spider Elliott w żadnym wypadku nie traktowałby jej jako przedmiotu pożądania. Był oddany innej kobiecie. Oddany w najwyższym stopniu.

- Spider, przyszedłam, żeby porozmawiać o reklamie Scruples II - oznajmiła Victoria z taką pewnością siebie, która natychmiast przykuwa uwagę słuchacza, tak jak pierwsze takty utworu wykonywanego przez wielkiego muzyka pochłaniają całą uwagę publiczności. - Przez ostatnie cztery miesiące pilnie przyglądałam się waszej kampanii reklamowej i jestem przekonana, że firma Russo & Russo nie pracuje tak dobrze, jak nasza agencja.

- Naprawdę? - Nie traci czasu i wali prosto z mostu, pomyślał Spider.

- Naprawdę tak jest. Nie są dla was dość dobrzy. Nie są idealni jako partnerzy w marketingu. Założę się, że nad waszą kampanią pracują mężczyźni.

- Masz rację, ale to naprawdę bardzo inteligentni ludzie. Świetni graficy. Lubię ich.

- Z całym szacunkiem, inteligencja to nie wszystko. W reklamie mogą pracować tylko inteligentni ludzie. Nie muszę ci mówić, że wspaniała grafika nie załatwia sprawy. Grafika musi trafiać w sedno. Inaczej wcale się nie liczy.

- Mhm.

- Sprzedajecie tylko jeden towar - ciągnęła Victoria, czując, że przyspiesza tempo, przedstawiając swoją ofertę. - Katalog, który interesuje wyłącznie kobiety. Wasza reklama służy temu, by skłonić je do zamawiania katalogu. Żaden mężczyzna nie zajrzy do katalogu Scruples II, chyba że jest homoseksualistą, a ty - mężczyzna - zatrudniasz do reklamy dwóch mężczyzn, dwie męskie dusze w męskich ciałach. W tej kampanii jest za dużo testosteronu, Spider.

- Naprawdę uważasz, że mężczyźni nie umieją reklamować produktów dla kobiet? A odwrotnie? Czy kobiety potrafią pisać teksty reklamowe dla mężczyzn?

317

- Kobiety wybitne to potrafią. Na przykład moja matka. Prowadziła kampanie towarów dla kobiet i dla mężczyzn. Ale największe sukcesy odnosiła dawno temu, a kobiety przecież się zmieniły. Mężczyźni nie utożsamiają już smaku przygody z Camelami... a przynajmniej wiedzą, że nie powinni. Kobiety też są inne, zwłaszcza te, które wybierają towary z waszego katalogu... kobiety aktywne zawodowo, młode pracujące matki, członkinie zarządów dużych firm, które nie mają czasu na zakupy. To zupełnie nowa grupa klientek, Spider, o nowych potrzebach i pragnieniach, o nowych celach... I, co najważniejsze, o nowych marzeniach... kobiecych marzeniach. Przerwała na ułamek sekundy, żeby upewnić się, że jej słucha, po czym podjęła wątek.

- Nie ma na świecie takiego mężczyzny, który wie, co dzieje się w umysłach tych kobiet i jak chcą kształtować swój własny wizerunek.

- Wiemy o tym, Victorio, i dlatego katalog odniósł taki sukces.

- Och, zgadzam się, że katalog jest udany, ale posługujecie się tekstem reklamowym odwołującym się bezpośrednio do tego, który napisała dla was Gigi. Mam wszystkie katalogi Scruples II i widzę, że tekst prawie wcale nie uległ zmianie, odkąd Gigi zmieniła pracę. Posługujecie się jej sformułowaniami i przystosowujecie je do nowych towarów.

- Istotnie. - Spider pomyślał, że to naprawdę bardzo trafna uwaga. Martwił się tym od kilku miesięcy. Nienawidził powtórzeń, ale nikt nie potrafi napisać tekstu reklamowego dla Scruples tak dobrze, jak Gigi.

- Ale reklamy w prasie zmieniły się - gładko ciągnęła Victoria. - Moim zdaniem, są... niewłaściwe. Są najlepsze, na jakie stać Russo & Russo, ale nie można ich udoskonalić bez zmiany kierunku. Musicie także na nowo zaplanować kampanię w mediach. Waszych reklam nie ma w wielu liczących się pismach. Powinniście reklamować się w wybranych programach telewizyjnych. Za mało wydajecie na reklamę w stosunku do waszych dochodów ze sprzedaży.

- Czy to twoja propozycja?

- Chciałabym zająć się waszą kampanią reklamową.

318

- Jestem nieco zakłopotany. Czy Gigi będzie pracować przy projektowaniu kampanii?

- Oczywiście. W przeciwnym razie nie ośmieliłabym się zawracać ci głowy. Gigi szybko stała się naszą najlepszą autorką tekstów reklamowych, nie licząc, rzecz jasna, Archiego Rourke. Gigi jest kobietą i zna wasze towary. Naturalnie liczymy przede wszystkim na nią, choć nie brak nam innych niezwykle utalentowanych specjalistek. Wykorzystamy cały potencjał naszej agencji zanim przedstawimy wam ofertę... wykorzystamy wszystkie pomysły mężczyzn, kobiet i naszych biseksów... zrobimy burzę mózgów... ale jestem pewna, że Gigi wymyśli najciekawszą koncepcję. Spider podniósł się zza biurka i przysiadł na blacie. Złożył ramiona i popatrzył z góry na Victorię.

- Czy Gigi o tym wie? - zapytał surowo.

- Nie. Przyjęła pracę w FRB pod warunkiem, że nie będziemy dla was pracować. Jednak minęło wiele czasu. Teraz pokazała już, co potrafi. Nikt nie wątpi, że poradzi sobie ze wszystkim bez niczyjej pomocy. Dlatego sama zająłabym się tą sprawą.

- Czy będzie jej wstyd, jeżeli rozpatrzemy waszą ofertę i nie zrezygnujemy z Russo & Russo?

- Ha! Gigi? Chciałabym zobaczyć ją zawstydzoną, Spider. Na pewno nie poczuje się osobiście dotknięta. Zmieniła się, odkąd dla nas pracuje. Stała się prawdziwą profesjonalistką.

- Jesteś tego pewna? Ta Gigi, którą znam, potrafi ciężko pracować, ale bywa też... uczuciowa.

- I na pewno nadal jest uczuciowa. Ale pracując w agencji człowiek szybko uczy się, że uczucia należy zostawiać w domu.

- Hm... słuchaj, Victorio, w tym, co mówisz jest wiele racji. Podoba mi się twój styl myślenia. Przede wszystkim brakuje mi Gigi i jej pomysłów. Potrzebujemy nie tylko ogłoszeń i kampanii w mediach, ale i nowych tekstów reklamowych. Czy poprosisz ją, żeby się tym zajęła?

- Oczywiście, kiedy waszymi partnerami stanie się nie Russo & Russo, tylko FRB.

- Victorio, będę szczery. Zrobiłbym wszystko, co w mojej mocy, żeby Gigi pracowała dla Scruples II. Nie jestem w pełni

311

zadowolony z Russo & Russo. Nie potrzebuję ani burzy mózgów, ani niczyich pomysłów. Wiem, że wasi graficy są świetni, zwłaszcza Bernheim. Przyrzeknij mi, że Gigi i Bernheim zajmą się reklamą, a dam ci zlecenie.

- Szybko podejmujesz decyzje - powiedziała Victoria, maskując uczucie szoku i triumfu spokojnym uśmiechem.

- Tylko wtedy, kiedy otrzymuję propozycję nie do odrzucenia - oświadczył Spider i wyciągnął do niej dłoń.

Kiedy Victoria Frost wyszła z budynku i wsiadła do windy, żeby zjechać na najniższe piętro parkingu, czuła coraz większe uniesienie. Gigi trafi szlag, kiedy się o tym dowie... ale nic na to nie poradzi... to decyzja zarządu i tyle, a szanse przejęcia zlecenia wartości trzynastu milionów dolarów nie odrzuca się z powodów osobistych. Boże! Upiekła dwie pieczenie przy jednym ogniu i czuje się fantastycznie! Gigi i Scruples II. Victoria stwierdziła, że gdyby Spider Elliott nie był tak oddany swojej żonie, upiekłaby dziś rano nawet trzy pieczenie. Ale nie można mieć wszystkiego. Dobrze byłoby z kimś porozmawiać, pomyślała Billy pływając w basenie, całkiem sama, jeśli nie liczy sześciu ogrodników trujących się w ogrodzie o powierzchni jedenastu akrów. Obiecała Spiderowi, że nie będzie pływać samotnie, ale w przypadku skurczu ktoś na pewno usłyszałby jej wołanie o pomoc - stwierdziła, użalając się nad sobą.

Gigi była w Nowym Jorku. Sasza i Vito wyjechali na kilka dni do Santa Barbara, bo nie mogli pozwolić sobie na miodowy miesiąc przed zakończeniem produkcji „Długiego Weekendu”. Dolly Moon, jej najlepsza przyjaciółka w Los Angeles kręciła w Maine komedię o rozwodzie, partnerując Alanowi Aldzie, zaś Jessica Thorpe Strauss, najdawniejsza z jej wszystkich przyjaciółek, jeszcze z czasów, zanim Billy poznała Ellisa Ikehorna, wyjechała z mężem na wakacje do Europy, bo piątka jej dzieci wróciła już do szkoły. Billy nie była w nastroju do rozmowy z siostrami Spidera. Wszyscy ludzie, którzy byli jej bliscy, opuścili ją.

Bliźniaki rozpoczęły właśnie długą popołudniową drzemkę, a Spider pracował w Scruples II. Pływając energicznie Billy

320

pomyślała, że to typowe nudne popołudnie. Nienawidzi pływania, ale musi ćwiczyć, bo nie wciśnie się w żadne z ubrań ze swojej olbrzymiej garderoby, choć i tak nie ma w nich dokąd iść. Ohydne głupie, pospolite, nieważne problemy biednej małej bogatej dziewczynki...

Czując wstręt do własnych myśli i siebie samej szybko wyszła z basenu. Pływała krócej niż to sobie zamierzyła. Wytarła się ręcznikiem, owinęła w szlafrok, włożyła pantofle i ruszyła szybkim krokiem do ogrodu - swojego azylu o każdej porze roku. Skoro musi być sama, będzie sama w miejscu, które specjalnie do tego przeznaczyła, pomyślała, patrząc apatycznym wzrokiem na wspaniałe wczesnojesienne kwiaty kwitnące w ogrodzie, który Russel Page zaprojektował dla niej w pałacie różnych odcieni bieli.

Billy uznała, że nawet w miejscu pełnym uroku i spokoju widać, że to wstrętna pora roku. Piękno i spokój, ale nie jesienią, kiedy jej krew kobiety ze Wschodniego Wybrzeża zaczyna krążyć szybciej, instynktownie dając jej znać o urokach tej przełomowej pory roku... Jesień to początek sezonu artystycznego... Jesienią zaczynają się przyjęcia... Jesienią ludzie wracają z wakacji... Jesień to początek sezonu teatralnego... Jesienią kupuje się nowe ubrania... Do cholery z Kalifornią! O tej porze roku płoną tu lasy, a prócz tego nic się nie zmienia. Słońce nadal praży tak samo i nadal jest pięknie i spokojnie.

Muszę coś ze sobą zrobić - pomyślała Billy, siadając na starej ławce pod wistarią, której liście żółkły, a kwiaty dawno opadły. Od ponad dziesięciu miesięcy całkowicie pochłaniała ją macierzyństwo. Hal i Max byli najważniejsi w jej życiu, po Spiderze. Kiedy była w ciąży,

postanowiła, że nie będzie wybierać między poświęceniem się wychowaniu dzieci a powrotem do pracy. Postanowiła dać sobie czas, by stwierdzić, czego właściwie chce, bo przecież miała dość pieniędzy, by pozwolić sobie na każde rozwiązanie.

Teraz wiedziała, że poświęcenie się macierzyństwu nie jest dobrym rozwiązaniem. Była w podłym nastroju i uzalała się nad sobą znacznie dłużej niż skłonna była się do tego przyznać przed innymi i przed sobą.

Nawet gdyby naprawdę chciała siedzieć w domu i zajmować się bliźniakami, byłaby niezadowolona, ponieważ chłopcy

mają swój własny świat i zajęcia, które polegają na poznawaniu i niszczeniu wszystkiego, co stoi im na drodze. Są niczym mali żołnierze, którym postawiono zadanie spustoszenia ziemi. Nie potrzebują jej teraz tak bardzo jak dawniej i nie poświęcają jej zbyt wiele uwagi.

Billy uspokajała samą siebie, widząc niewątpliwą oznakę inteligencji w tym, że rozbierają na części każdy przedmiot, żeby przekonać się, co to takiego - ostatnio dobrali się do spłuczki w toalecie - ale nie podzielała ich fascynacji tymi niszczycielskimi zajęciami. Zaczęli chodzić i radzili sobie coraz lepiej z każdym dniem. Od razu było widać, że z pewnością czeka ich przyszłość olimpijskich sprinterów. Nawet niania Elizabeth zażądała kogoś do pomocy i wkrótce zatrudniono nową rączą pomocnicę.

Billy mogła oczywiście wrócić do Scruples II i pracować razem ze Spiderem, ale przez ostatni rok Spider przejął tę część pracy, która jej przypadła. Prawdę mówiąc, przywłaszczył sobie jej zajęcie. Zagarnął cały ten bajzel. Całkowicie. Nie ma do niego pretensji... naprawdę nie... Spider jest bardzo utalentowany, a przedtem nie musiał dawać z siebie wszystkiego. Przecież nie może wkroczyć do akcji i odzyskać swojej dawnej pracy, bo zagarnął dla siebie to, co robiła i nawet nie zdaje sobie z tego sprawy. Byłby bardzo zdziwiony, gdyby powiedziała mu, jak niewiele czasu poświęca omawianiu z nią spraw związanych z katalogiem. Kiedy wychodzi z biura, woli o nich zapomnieć, zupełnie jak typowy biznesmen, który wraca do domu, do swojej żoneczki.

- Jak ci minął dzień, Spider, kochanie? - Och, jak zwykle, moja droga, wiesz, mniejsza o szczegóły. Opowiedz mi, jak tam dzieciaki? Co nowego wymyśliły? - Nie pyta jej tylko, co będzie na obiad, ale tylko patrzeć, jak zapyta.

Billy pomyślała, że przecież nie jest naiwna i mogła się tego spodziewać. Od pierwszego dnia, kiedy poznała Spidera, od pierwszego dnia przed dziesięciu laty, kiedy przeszedł się z nią po domu mody i pokazał jej wszystkie niedociągnięcia w prowadzeniu i dekoracji ukochanej firmy, był dla niej człowiekiem, który znał odpowiedzi na wszystkie pytania. Skłonił ją, żeby dała jemu i Valentine wolną rękę i dzięki temu dom mody osiągnął niebywały sukces.

322

Kiedy zamknął się ten rozdział ich życia, Spider wrócił z podróży dookoła świata i namówił ją, by stworzyć katalog Scruples, mimo iż mocno sprzeciwiała się temu pomysłowi i nie chciała posłuchać Gigi i Saszy. Nie mylił się. Jak zwykle. Billy zastanawiała się, czy kiedykolwiek zrobiła coś sama, bez udziału Spidera. Czy naprawdę przez ostatnie dziesięć lat pozwoliła, by ją zdominował? Tak, na Boga, dopuściła do tego. Z tą myślą zerwała się z ławki i zaczęła przechadzać się po otoczonym murem ogrodzie. Pozwoliła, by facet wodził ją za nos. Kochała go, ale zachowywała się tak, jakby jej samej brakowało rozumu, jakby była zwykłą bogatą kobietą, która zawsze słucha jego rad, ulega jego wdziękowi i gładkim słówkom, i daje prowadzić się na smyczy. Bogata lalczka. Ona, Wilhelmina Hunnenwell Winthrop Ikehorn Orsini Elliott - bogata, głupia, niesamodzielną gąską.

A niech to szlag! Ma pomysł. I to dobry! Billy wypadła z ogrodu, nie zadając sobie nawet trudu, by zamknąć bramę, i przez kilka godzin błądziła po mokradłach i zaroślach, myśląc tak intensywnie i szybko, jak to miała w zwyczaju.

14

- Wybieramy się gdzieś dziś wieczorem? - Spider wszedł do salonu i spojrzał ze zdziwieniem na Billy.

- Nie, kochanie? Dlaczego pytasz? - Kiedy przekroczył próg, powitała go z taką radosną niecierpliwością, iż pomyślał, że pewnie zapomniał o jakiejś kolacji z przyjaciółmi i wrócił zbyt późno do domu.

- Jesteś wystrojona i wyglądasz tak, jakbyś nie mogła się doczekać, żeby wyjść z domu.

- Naprawdę? - zapytała. Dobrze wiedziała, co go tak zdziwiło. Obmyślając swój plan podczas dzisiejszego długiego spaceru była tak podekscytowana, że wprawiła się w stan niezwykłego ożywienia. Była zbyt rozradowana, by włożyć wygodny i zwyczajny strój, który ostatnimi czasy nosiła przez cały dzień, nawet przed kolacją, kiedy wraz ze Spiderem bawili

315

się z dziećmi i zasiadali na drinka. Zwykle wkładała świeże dżinsy i bluzkę tylko wtedy, kiedy zabrudziła się, zajmując się Halem i Maxem i naprawdę musiała się przebrać.

Na dwie godziny przed powrotem Spidera Billy przetrząsnęła wszystkie wieszaki w garderobie - pomieszczeniu zajmującym powierzchnię trzydziestu stóp kwadratowych, z dywanem w kolorze kości słoniowej i ścianami obitymi jedwabiem barwy lawendy. Odsuwała jeden wieszak po drugim, szukając ubrania, które odpowiadałoby jej wzniosłemu nastrojowi, ale nie wymagałoby zakładania pończoch i butów, niestosownych na wieczór spędzany w domu. Nie mógł to być strój dzienny, ani jesienny, ani zimowy... nie przy takiej pogodzie... nie mógł być także oficjalny, a była zbyt przejęta, by wkładać jedną z długich, eleganckich podomek. Zadawała sobie pytanie, czy to możliwe, by kobieta, która w wieku dwudziestu trzech lat znalazła się na liście najlepiej ubranych kobiet świata nie miała co na siebie włożyć na wieczór z mężem w domu? Czy posiadanie dzieci potrafi tak zmienić kobietę?

Wreszcie znalazła doskonały ubiór upchnięty na wieszaku wśród strojów sportowych: wąskie spodnie i długą prześliczną tunikę z głębokim owalnym dekoltem, z ciężkiego wschodniego jedwabiu w niezwykłym odcieniu ni to szokującego różu, ni to amarantu. W czasach, kiedy uważała, że to ważne, by mieć do każdego stroju inną parę butów, ów strój wraz z aksamitnymi pantofelkami tworzył doskonałą całość.

Wzięła prysznic, wyszczotkowała gęste, ciężkie i niesforne loki, odgarniając je z czoła, i pomyślała, że kolor stroju wymaga intensywnego makijażu. Więcej tuszu, więcej różu, więcej szminki niż zwykle. Umalowała się i stwierdziła, że przydałoby się coś jeszcze, co dopełniłoby całości. Z tą myślą udała się do skarbcza, żeby poszukać odpowiedniej biżuterii.

Już od dawna nie wkładała naszyjników, bo dzieci mogłyby je zerwać i włożyć korale do ust, więc z trudem przypomniała sobie dwie różne kombinacje cyfr otwierające zamek. Kiedy pchnęła ciężkie drzwi, spojrzała bliska szoku na wyłożone czarnym aksamitem pudełeczka piętrzące się na półkach w idealnym porządku. Hm, tak, wiedziała, że ma różne klejnoty. Miała biżuterię, odkąd El lis Ikehorn zaczął kupować

316

ją dla niej niczym cesarz, który obsypuje darami nowo poślubioną małżonkę, ale było tego aż tyle! Zapomniała już, co posiada.

Skąd brała czas, żeby nosić to wszystko, zastanawiała się, wyciągając pudełeczka z klejnotami, z których każdy miał swoje stałe miejsce, by łatwo było go znaleźć. Złoto wykluczone. Wygląda okropnie przy różowym kolorze. Diamenty też nie - stwierdziła, odkładając na bok wszystko, co nie pasowało do stroju. Szmaragdy też nie. Nie pasowały także rubiny, które co prawda lubiła zakładać do strojów w kolorze czerwonym i różowym, ale nie nadawały się do intensywnego różu w tym odcieniu. Jej grzeczne perły były zanadto konserwatywne, nawet te czarne. A kamienie półszlachetne - turkusy i korale, akwamaryny i ametysty, turmaliny i jadeity? Żaden z nich nie wyglądał ładnie, kiedy przykładła je do jedwabiu i przeglądała się w lustrze. Zatem - szafiry, oczywisty wybór, ale połączenie całkiem oryginalne. Założyła olbrzymie szafirowe kolczyki z wielkimi nieregularnymi, zwisającymi perłami i podwójny naszyjnik z pereł i szafirów, który układał się doskonale przy wycięciu tuniki.

Wiadomo, że klejnoty trzeba nosić na nagim ciele, bo w przeciwnym razie tracą swój blask, pomyślała Billy. A może dotyczy to tylko pereł? Czy nie powinno się moczyć ich dwa razy do roku w morskiej wodzie? Wszystko jedno. Ważne, że znów wygląda tak jak dawniej, prawda? Obejrzała się z każdej strony w potrójnym lustrze. Kiedy w latach wczesnej młodości znacznie schudła, wyglądała doskonale w każdym stroju i fasonie, dzięki swojemu wzrostowi i smukłym kończynom, ale dziś wieczorem, po tylu miesiącach paradowania w domowych ciuchach, zaparło

jej dech w piersiach, kiedy zobaczyła swoje odbicie w lustrze. Och, wyglądała... sama to stwierdziła, bo nie było przy niej nikogo, kto mógłby to powiedzieć... wyglądała... nie było innego słowa, więc musiała go użyć.... wspaniale! Wspaniale w takim sensie, w jakim Wawrzyniec Medyceusz i sułtan Sulejman zasłużyli na przydomek „Wspaniałych”. Okazale, podniosłe, majestatycznie... godnie, olśniewająco i z przepychem.

Nie ma w tym nic złego, że wyglądam wspaniale - pomyślała Billy, czekając na Spidera. Już od tak dawna nie oglądał

swojej żony we „wspaniałym” wydaniu... Powinna wiedzieć, że nie należy tak lekceważyć męża. Spider nie znał jej w latach, kiedy zawsze tak wyglądała jako żona Ellisa, jako kobieta, którą Ellis pragnął widzieć właśnie taką, ale widywał ją przecież także w jej najwspanialszych chwilach. Pewnie zastanawiał się, co jej się stało, może nawet zadawał sobie pytanie, dlaczego macierzyństwo zamieniło ją w rzeczową panią domu i matkę dzieciom i gdzie podziała się kobieta, z którą się ożenił.

Billy stała przy drzwiach prowadzących na taras, patrząc na aleję szlachetnych figowców, prowadzącą do ogrodów, gdy wtem usłyszała kroki Spidera wchodzącego do salonu. Celowo nie odwracała się, dopóki nie stanął za jej plecami.

- Mój Boże! Chyba już wiem, co się stało - powiedział, odsuwając ją na odległość ramion, żeby przyrzeć się jej uważnie. - Wydaje mi się, że jest tylko jedno wytłumaczenie, dlaczego jesteś taka piękna i taka rozradowana.

- Nie pocałujesz mnie? - Billy chciała pokonać dzielący ich dystans, ale powstrzymał ją.

- I rozmazać ci szminkę? Nie pocałuję cię, dopóki nie powiesz mi, czy mam rację... Znowu jesteś w ciąży!

- Och, przestań, Spider! Czy uważasz, że to jedyny powód, dla którego mogę pięknie wyglądać? - wykrzyknęła, głęboko rozczarowana.

- To najlepszy powód, jaki przychodzi mi do głowy, ale na pewno nie jedyny - powiedział, rozbawiony jej reakcją.

- A inne?

- Bliźniaki zrobiły coś nowego, na przykład zrozumiały, po co są pieluchy, a może znalazłaś nową fryzjerkę, która przyjdzie do domu, albo byłaś na wspaniałym masażu, albo kupiłaś chłopcom psa, o którym rozmawialiśmy...

- Zdumiewa mnie siła twojej wyobraźni - powiedziała, skrywając gniew. - Chcesz coś do picia?

- Bardzo chętnie. Gdzie dzieciaki?

- Są w bawialni z niańkami i mają świetne zajęcie, zrywając płytki z podłogi. Miałam nadzieję, że odpoczniemy przez chwilę w samotności, kiedy wrócisz do domu, zamiast walczyć z Maxem i Halem, żeby nie dobierali się do naszych kieliszków.

318

- Do diabła, kochanie, nie mam nic przeciwko temu. Jeżeli małe łobuzy spróbują, jak to smakuje, zrezygnują z alkoholu na resztę życia. Terapia przez obrzydzanie. Może zadzwonisz do niani Elizabeth i poprosisz, żeby ich przyprowadziła? Jeżeli zaraz ich nie zobaczę, będą już spać, kiedy skończymy kolację.

Znowu w ciąży, pomyślała z wściekłością Billy, wzywając niańkę. Znowu w ciąży..., jakby bliźniaki nie wystarczały... jakby jedynym powodem, dla którego kobieta wygląda wspaniale, była chęć oznajmienia światu, że jej macica jest nadal na swoim miejscu. Czy tyle znaczy dla Spidera? Czy jest organem rozrodczym na dwu nogach... rodzajem tosterka, z którego wyskakują ciepłe dzieciaczki? Albo, co gorsza, wygląda świetnie tylko wtedy, kiedy ma do zakomunikowania jakąś domową błahostkę? O nowej fryzjerce? Na to wygląda! Niech go szlag trafi! Protekcyjnalny sukinsyn! Nie wie nawet, że lekceważąc ją napytał sobie biedy.

A jednak, musi sprawiedliwie przyznać, że to także jej wina, pomyślała, sącząc alkohol, kiedy bliźniaki wdrapywały się na Spidera, jakby był żonglerem, ignorując jej obecność, do której przywykły. Przez dziesięć miesięcy poświęcała się ślepo temu, co pisarze epoki wiktoriańskiej nazywali „szaloną miłością do dziecka”, skupiwszy uwagę wyłącznie na swojej cudownej zdolności do rozmnażania się, więc Spider oczywiście zapomniał, jaka jest naprawdę. Ona też zapomniała. Czuła się tak, jakby przed chwilą obudziła się z długiej śpiączki.

A jednak... czy temu mężczyźnie, który zawsze wytykał jej błędy i naprawiał je dzięki swoim nadzwyczajnym umiejętnościom nie było wygodnie zapomnieć? Czy nie pogodził się z jej obecnością w domu zaskakująco szybko i bez żadnych protestów? Oddając sprawiedliwość Spiderowi, należało stwierdzić, że każdy mężczyzna postąpiłby tak samo. Czy te potwory są takie już od urodzenia? Albo i przed urodzeniem? Nawet Spider Elliott?

Hm, dość tego. Nie pozwoli mu dłużej trwać w tym klimacie zacofanych lat pięćdziesiątych. Skończyło się panowanie typowego męskiego stylu myślenia. Zachowa swój nowy pomysł dla siebie i powie mu dopiero po kolacji. Jest zbyt przejęta, by jeść i mówić jednocześnie.

327

Wracając wraz ze Spiderem po kolacji do salonu Billy zastanawiała się, jak to jest, że niezależnie od ilości pokoi i przytulnych kącików, zaaranżowanych tak, by można w nich usiąść i porozmawiać, człowiek zawsze wraca do tego samego przytulnego miejsca - do najmniejszego pomieszczenia w całym domu?

Poczuła, że objął ją w talii, kiedy tylko zamknęły się za nimi drzwi.

- Dobrze, nie jesteś w ciąży - powiedział Spider. - Czy jednak coś stoi na przeszkodzie, żebyś zaszła w ciążę dziś w nocy? Pomyśl tylko, mielibyśmy troje dzieci poniżej dwóch lat. A może nawet czworo, gdyby znów udały się nam bliźnięta.

- To naprawdę wspaniały pomysł - odpowiedziała Billy tonem, który w jej zamierzeniu miał oznaczać wyraźny sprzeciw, ale przyciągnął ją do siebie, a jego spragnione natarczywe dłonie przekonały ją, że nie pojął ironii. Pyszakowaty wąż w spodniach był głuchy na takie subtelności.

- Jesteś olśniewająca - powiedział, całując ją w kark. Olśniewająca, pomyślała Billy, zzymając się. To słowo

zawsze przywodziło jej na myśl wdowę w diamentowej tiarze i miało dla niej tylko dwa znaczenia... stara i bogata.

Wyrwała się i stanęła patrząc na starożytne japońskie wazy z pękami wielkich gerber, tuzinami kwiatów w różnych odcieniach żółci, tworzącej cudowne zestawienie z różem jej tuniki. Wzięła jeden kwiat i zaczęła skubać jego płatki. Wreszcie przemówiła.

- Spider, mam pomysł i bardzo chcę ci o nim opowiedzieć.

- Mam lepszy pomysł i bardzo chcę ci go pokazać

- odpowiedział, wyjmując jej kwiat z ręki i całując ją władczo w usta.

- Spider, mówię poważnie!

- Ja też - nie rezygnował, lekceważąc jej słowa i próbując silniejszej perswazji. - Jestem na ciebie napalony jak diabli.

Billy szybko umknęła i skryła się za masywnym stołem.

- Usiądź i posłuchaj mnie. Zawsze jesteś napalony.

- Tylko wtedy, kiedy cię widzę.

- Więc możemy z tym poczekać, prawda? Posłuchaj, bardzo cię proszę.

320

- Jak długo?

- Dopóki nie skończę. Chciałabym, żebyś naprawdę mnie posłuchał, a nie zachowywał się tak, jakbyś tylko czekał, żeby się do mnie dobrać.

Spider uśmiechnął się do niej swoim przeklętym uśmiechem, który sprawiał, że natychmiast chciała się do niego przytulić.

- Rób ze mną, co zechcesz. Zamieniam się w słuch, ale zachowaj odległość. Siadę na krześle, ty siadaj na sofie. Może włożyłabyś na głowę papierową torbę? Nie, nie rób tego... Wbiję wzrok w moje kolana. Co to za pomysł?

- Przyszedł mi do głowy dziś po południu. Pomyślałam, że muszę coś ze sobą zrobić. Siedzenie w domu nie jest dobrym rozwiązaniem, więc zaczęłam się zastanawiać nad zmianą wystroju...

- Dlaczego nie? Zupełnie nowe wnętrza... to cię zabawi.

- Zaczęłam zastanawiać się nad zmianą wystroju - ciągnęła, nie zważając na słowa Spidera - i zrozumiałam, że chcę zająć się prawdziwą pracą, zamiast poświęcać czas temu, z czego jestem całkowicie zadowolona.

- Jeżeli chcesz pracować, dlaczego nie zajmiesz się tym, co robiłaś dawniej?

- Mojej dawnej pracy już po prostu nie ma, Spider. Stałam się zbędna. Właściwie nie mam prawa narzekać. Minęło już prawie półtora roku, odkąd poświęcałam Scruples II cały czas. Ilu ludzi zatrudniłeś do wykonywania prac, które przedtem należały do mnie?

- Chwileczkę... zatrudniliśmy Dodie, która pracuje z Prin-cem w pełnym wymiarze godzin. Zatrudniliśmy Fabienne, Serenę i Trący do zakupu dodatków i poszukiwania nowych wzorów do butiku z bielizną. Mary Anne zajmuje się strojami dla przyszłych matek, a Sasza rozszerzyła swój dział. Ma sześć sprzedawczyń, zamiast czterech i wraca do pracy na kilka godzin dziennie na początku przyszłego tygodnia...

- Więc nie ma już dla mnie miejsca...

- Do diabła, kochanie, ta firma to nasza własność. Możemy stworzyć dla ciebie takie stanowisko, jakie zechcesz... Przyjeliśmy tylu nowych pracowników, bo obroty wzrastają tak szybko, że trudno je kontrolować. Joe Jones chodzi

zmartwiony i powtarza w kółko „inventaryzacja, inventaryzacja”, jakby nigdy tego nie robił, kiedy był szefem marketingu u L.L. Beana... Przecież tam inventaryzacja była na pewno bardziej skomplikowana niż u nas...

- Spider, Scruples II to coś, na co mogę popatrzeć i powiedzieć: Udało się! - przerwała mu Billy. - Mogę obejrzeć każdy nowy katalog z satysfakcją i pomyśleć Pracowaliśmy ze Spiderem i to nasz sukces. To solidna, rozwijająca się firma, której wiele poświęciłam. Istnieje w formie, którą ja także kształtowałam, jest moja i twoja, i Gigi, i Saszy. To owoc wspólnych wysiłków, który nadal wspaniale się rozwija, ale to mi nie wystarcza.

- Co cię zaspokoi? - Spider spojrzał na nią badawczo i z miłością.

- Chciałabym zrobić nowy katalog. Mój własny katalog, od samego początku do końca, coś, czego jeszcze nie było...

- Jaki katalog?

- Katalog dekoracji wnętrz. Chcę go nazwać Dom Scruples. Chcę zorganizować niewielką grupę najlepszych projektantów mebli na świecie, którzy zaprojektują funkcjonalne, ekskluzywne meble po umiarkowanej cenie, ale nie tanie, i chciałabym...

- A co z rynkiem zbytu? - wtrącił się Spider. - Ludzie nie kupują mebli z katalogu. W każdym razie nie tacy klienci jak nasi. Chcą je wybierać, wypróbować...

- Czy byłeś kiedykolwiek w sklepie z meblami? - zapytała Billy.

- Właściwie... chyba nie... w Nowym Jorku zbierałem różne śmiecie do swojej nory... kilka palm w doniczkach i materac... a w Los Angeles wynajmowałem umeblowane domy. Potem wprowadziłem się tu, do raj... nie byłem w sklepie...

- Masz szczęście... nawet w dziale meblowym Blooming-dale'a w Nowym Jorku można dostać szafy. Spróbuj dogadać się ze sprzedawcą i zrozumieć o co chodzi w tym wszystkim! Jeżeli jesteś w stanie to znieść, kupujesz mebel i kilka godzin później padasz z nóg, przekonany, że zrobiłeś kosztowny błąd. Klienci Scruples II nie tracą czasu w domach towarowych i dlatego wybierają rzeczy z katalogu.

- Racja. A dekoracja wnętrz?

330

- Spider, to nie dla pracujących matek. Nie mogą sobie pozwolić na dekoratora wnętrz ani na osobę, która robi za nie zakupy.

- Dobry Boże, przecież dekoracja wnętrz to twoja specjalność.

Billy pomyślała, że Spider wygląda tak, jakby z trudem powstrzymywał się od zabawy jej kosztem. Czy nie rozumie, że dokładnie wszystko przemyślała?

- Cała idea zakupów z katalogu - powiedziała Billy, patrząc uważnie na Spidera - polega na tym, by zapłacić jak najmniej, bo katalog jest właściwie składem towarów w wygodnej i estetycznej formie.

- Wiem o tym, Billy. To przecież moja działka - powiedział niecierpliwie Spider. - Nadal nie odpowiedziałas na moje pytanie.

- Dom Scruples prezentowałby podstawowe meble do wnętrz w pięciu stylach: tradycyjnym miejskim, klasycznym lecz nowoczesnym, wiejskim amerykańskim, wiejskim francuskim i w stylu ranczo z Dzikiego Zachodu. Pięć doskonałych sof, pięć doskonałych foteli, pięć stołów do jadalni, pięć kozetek, pięć stolików do kawy, pięć łóżek, i tak dalej... rozumiesz... będzie je można zestawiać lub zamawiać pojedyncze sztuki... zgodnie z naszą koncepcją łączenia elementów, dzięki której kolekcja Prince'a cieszy się takim powodzeniem. - Billy spojrzała na Spidera, szukając zrozumienia, ale nadal był tak samo zaskoczony.

- Spider! Posłuchaj! Klientka Scruples może sama zająć się dekoracją wnętrza, nie wychodząc z domu. Może wreszcie znaleźć to francuskie łóżko, które zawsze chciała kupić, ale nigdzie nie mogła go znaleźć, może zamówić elegancką kozetkę w jednym ze stylów i nowoczesny rozkładany stół, i wreszcie się urządzić... zakładamy, że nie mieszka w przyczepie. A jeśli wychodzi za mąż albo wynajmuje apartament, może zamówić podstawowe sprzęty z katalogu i nadać wnętrzu indywidualny charakter za pomocą dodatków kupowanych tu i tam, na pchlich targach i w sklepach ze starociami. Ale od razu ma wszystkie niezbędne meble.

- Czym będzie pokryta ta kozetka? - zapytał Spider.

323

- Wyobrażałam sobie, że wszystkie meble będą pokryte zwykłym perkalem, a do tego wybór pokrowców.
 - Pokrowców! Jezu, Billy, to klęska dla magazynu! Ile różnych tkanin będziesz musiała trzymać w magazynie, żeby twoje klientki miały dostateczny wybór?
 - Pomyślałam, że na początek wystarczy sześć. Neutralne, zmywalne tkaniny, na przykład drelich albo ryps, czarno-białe bawełniane pasy, mocna bawełna w trzech harmonizujących ze sobą kolorach i jeden wzór kwiatowy. Klienci będą mogli zamawiać pokrowce przy zamawianiu mebli. Jeśli trzeba, dodam inne wzory tkanin - powiedziała z dumą Billy. Wiedziała, że pokrowce to najzabawniejszy i najbardziej odkrywczy element całego planu. Ich produkcja była tania jak barszcz, były praktyczne i przyjemnie było je zmieniać.
 - Słuchaj, zostawmy na razie sprawę pokrowców - rzekł Spider, starając się odegnać obraz Billy przytłoczonej dziesiątkami tysięcy bel zbędnych materiałów. Później będzie musiała założyć sklep z resztkami krawieckimi. - Jakie ceny przewidujesz?
 - Na podstawie tego, czego dowiedziałam się, urządzając te wnętrza z moim dekoratorem, tania sofa z trzema poduchami powinna kosztować około sześciuset dolarów, a solidny wiejski stół na osiem osób około czterystu pięćdziesięciu...
 - Przecież zmieniałaś meble trzy lata temu...
 - Mniej więcej.
 - Och, Billy, Billy... od tego czasu ceny znacznie wzrosły, a mówimy tu o dużych pieniądzach, nawet jeśli meble będą najtańsze. Skąd znasz najniższe ceny?
 - Chodziłam wszędzie z dekoratorem, kiedy urządzaliśmy pokoje dla służby, bo chciałam sama podejmować decyzje...
 - Dla służby! Billy, czy nie zachowujesz się przypadkiem jak wielka dama? Planujesz katalog meblowy dla klientek Scruples, obdarzonych dobrym gustem kobiet o średnich dochodach... Nie zechcą takich mebli, jakie ma twoja służba.
 - Niech cię szlag, Spider! Czy sądzisz, że wyposażyłam te pokoje w niewygodne i niegustowne meble? Czy uważasz, że pozwoliłabym na to, żeby ludzie, którzy dla mnie pracują, żyli w ohydny otoczeniu? Czy uważasz mnie za kogoś takiego?
- 332
- Uspokój się, kochanie. Wcale nie. Myślę tylko, że jesteś niepraktyczna i polegasz na swoim dobrym smaku, a nie na guście zwykłych ludzi.
 - Mylisz się - wybuchnęła Billy. - To nie ma nic wspólnego z rzeczami, które kupuję dla siebie. Odwołuję się do swojego gustu, lecz nie do pieniędzy. Fotel, w którym siedzisz jest wyściełany materiałem wartości pięciu tysięcy dolarów, zanim sprowadzono go z Francji, więc trzeba jeszcze dodać dziewięćset dolarów za transport, plus koszty tapicerki, ramy i podatku. Nie mówiąc o honorarium dekoratora. Wierz mi, podpisywałam wszystkie rachunki.
 - Boże, zmiłuj się. Masz kosztowne upodobania, moja pani.
 - Mogę sobie na to pozwolić - odcięła się Billy. - Ten fotel jest nieziemsko wygodny, przetrwa do sądnego dnia, materiał jest ręcznie tkany, a stolarz był najdroższym stolarzem w całej Kalifornii. Fotele w katalogu nie będą wyglądały inaczej... fotel to fotel... ale nie będą przecież takie same. Nie będą wypchane pierzem ani robione ręcznie, ani zdobione w taki sam sposób. Spider, można kupić doskonałą kopię antycznej komody za pięćset dolarów albo oryginał na aukcji za milion...
 - Nie mów mi, że to taka sama radość.
 - Ale obie cieszą oko! Spider, widać, że nic nie rozumiesz i wcale mnie nie słuchasz. Jeżeli zatrudnię odpowiednich projektantów, za wszelką cenę najlepszych, i będę oczekiwać od nich

projektów eleganckich, lecz nieskomplikowanych sprzętów, po czym ograniczę wybór i będę sprzedawać meble w dużych ilościach, pomysł ma wielkie szanse powodzenia!

Spider wstał, podszedł do biurka i zaczął pisać w notatniku. Kiedy pracował, Billy patrzyła na niego w milczeniu, czując, że jej gniew wzmaga się z każdym mimowolnym zgrzytem jego ołówka.

- Z moich obliczeń wynika - powiedział wreszcie - że wyposażenie pokoju w twoje podstawowe sprzęty będzie kosztować cztery tysiące dolarów z kawałkiem, a nie będzie w nim nawet lampy, żeby oświetlić nowe nabytki.

- Dywany, lampy, dodatki... oczywiście, myślałam, że znajdzie się dla nich miejsce w katalogu. To jasne - broniła się Billy. - Można kupić mnóstwo rzeczy za niewielkie pieniądze. Nie masz pojęcia, jakie...

325

- A ty masz pojęcie, moja królowo foteli za osiem tysięcy dolców?
- Mam, bo zamawiam pisma, od najdroższych do najtańszych. Powinnam była skończyć studia i zostać architektem wnętrz...
- Aha! Teraz już wiem, skąd ten pomysł! Chciałaś być dekoratorką wnętrz... nigdy mi o tym nie mówiłaś... ciekawe dlaczego. Dom Scruples jest tak samo niepraktyczny, jak dom mody owego dnia, kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy i stwierdziłem, że to dokładna kopia paryskiego sklepu Diora w środku Beverly Hills.
- Spider, czy zawsze będziesz mi to wypominał? To coś zupełnie innego. Pomysł to rezultat tego, czego nauczyłam się przy Scruples i Scruples II. Dowiedziałam się wiele o handlu, a meble są naprawdę potrzebne...
- Poczekaj minutkę - powiedział Spider, unosząc rękę w górę niczym policjant zatrzymujący ruch.
- W Scruples II można zwracać kupione towary bez żadnych pytań z naszej strony. W przeciwnym razie nie mielibyśmy takich obrotów. Zatem twoja klientka zamawia meble do salonu albo do jadalni, otrzymuje je, po czym stwierdza, że przestała jej się podobać... jest niezadowolona z koloru lub wielkości, bo źle wymierzyła pokój. I co teraz zrobi? Odeśle je?
- Tak - odwróciła Billy. - Wymyślę jakiś sposób.
- Och, Billy, czy pomyślałaś o kosztach transportu mebli do domu klientki? Czy wyobrażasz sobie, jakie wielkie magazyny byłyby ci potrzebne? Wielkości stanu Kentucky, jeśli chcesz znać moje zdanie. A jak twoja klientka rozpakuje skrzynie i ustawi meble w domu, jeśli pracuje? Pomyśl, skąd będzie wiedzieć, że dostarczysz meble wtedy, kiedy będzie w domu? I jak, do cholery, zapakuje je, żeby je odesłać? To wielkie sprzęty! Sofy z trzema poduchami nie można zanieść na pocztę. Kłopoty, Billy. Sama prosisz się o kłopoty. A co będzie, jeśli popełnisz błąd? Zrobiliśmy ich wiele przy Scruples II, więc i teraz nie ustrzeżesz się od błędów. A jeśli nikt nie zechce francuskiego łóżka i zostaniesz z dwoma tysiącami łóżek, albo będzie nie taki popyt, że będziesz musiała niezwłocznie rozesłać do klientek dwa tysiące sztuk?

334

- Ile kubłów zimnej wody zamierzasz wylać na mój pomysł? - Jego słowa dotknęły Billy do żywego. Patrzyła na niego i czuła nienawiść.
 - Nie lubię szukać dziury w całym, ale ktoś musi powiedzieć ci, że twój pomysł jest niepraktyczny. To urocze marzenie, marzenie w dobrej wierze, ale nie ma ono nic wspólnego z prowadzeniem interesów. Scruples II było dobrą firmą od samego początku. Byłaś innego zdania, dopóki cię nie przekonałem... ale to się nie uda.
 - Właśnie, że tak! - wykrzyknęła Billy. - Zrobię to za własne pieniądze i przekonasz się!
 - Tak, hm, oczywiście, zawsze jest taki wybór, prawda? - powiedział Spider całkowicie bezbarwnym głosem.
 - Dlaczego mówisz do mnie tym tonem?
 - Nie masz zielonego pojęcia o finansach. Nigdy nie musiałaś się martwić o pensję ani pożyczać pieniędzy, ale nie wiem, czy bank pożyczyci choć dziesięć centów na taki projekt. Jeżeli chcesz wydawać na to swoje własne ciężko zarobione pieniądze, proszę bardzo, ale nie przychodź do mnie z pretensjami, że cię nie ostrzegąłem, jeśli się wyłożysz.
 - Obiecuję ci to. - Billy odwróciła się z nienawiścią, nie chcąc widzieć jasnych włosów Spidera. Wyszła na balkon.
- Dlaczego w ogóle mu o tym powiedziała, do cholery? Dlaczego nie zaczęła działać sama? Nie zamówiła projektu katalogu i nie rozkręciła interesu? Kiedy kupiła najlepszą parcelę w Beverly Hills i wybudowała Scruples, nie pytała nikogo o radę, nikomu nic nie mówiła i z nikim się nie

konsultowała, a wielki dom mody i wielki interes sprzedaży wysyłkowej powstały dzięki impulsowi, który zrodził się zanim spotkała Spidera Eliotta, pomyślała, trzęsąc się ze złości. Pomocy w dziedzinie marketingu, za którą Spider dostawał wielkie wynagrodzenie i nieustannie ją wypominał, równie dobrze mógł udzielić Billy ktoś inny, wynajęty w tym celu tak samo jak on. Billy poczuła, że w gniewie wbija paznokcie w dłonie. To niewybaczalne. Ponieważ wyszła za Spidera, wyobraził sobie, że jest jej szefem. Myślał, że to on, całkiem sam, stworzył Scruples II. Ten ignorant, który nie kupował nic prócz roślin

327

w doniczkach, odkąd wyprowadził się z domu... i żył wygodnie w wynajętych umeblowanych pokojach, dopóki nie wprowadził się do jej pięknego domu z kilkoma czystymi koszulami w garści, miał teraz czelność uważać się za eksperta w dziedzinie wyposażenia wnętrz! Billy stała nieruchomo, a myśli kłębiły jej się w głowie. Mogła zapłacić setce wykwalifikowanych dekoratorów za radę w sprawie katalogu Domu Scruples, mogła zatrudnić głównego redaktora z każdego pisma poświęconego architekturze wnętrz, żeby zorganizował serwis dla klientek potrzebujących porady w sprawie koloru, wymiarów i innych spraw, które Spider uznał za przeszkody nie do pokonania.... Dlaczego nie chciał jej pomóc i wołał torpedować jej pomysł? Kiedy Billy stała nieruchomo na balkonie, patrząc w przestrzeń niewidzącymi oczyma, Spider stanął za nią i mocno ją przytulił.

- Wiem, że jesteś zła - powiedział. - Nie powinienem był mówić z taką pewnością siebie. Może pomysł jest dobry, kto wie? Może zbadasz grunt i zaczniesz od czegoś mniejszego, na przykład od katalogu bielizny pościelowej dla Scruples, albo wyposażenia łazienek, a jeśli to się powiedzie, pomyślisz o rozszerzeniu asortymentu?

- Takie katalogi już są. Dostają ich całe tuziny. I nie mam zwyczaju zaczynać od drobiazgów - odrzekła Billy, tak zagniewana, że z trudem wymawiała słowa. Z jaką wielkodusznością proponuje jej poszewki na jaśki i mydelniczki! Jakże jest bezmyślny i nonszalancki! Nie ma dla niej szacunku. Nigdy go nie miał, nie ma teraz i tak było zawsze. Może pozornie tak, ale nigdy nie szanował jej naprawdę.

- Jestem zmęczona - powiedziała, wymykając się z jego objęć. - Przygotuję się do snu. Kiedy rozebrała się i usiadła przy toalecie, żeby zmyć makijaż, poczuła, że jej gniew i niechęć wzrastają z każdą chwilą. Włożyła szlafrok, wzięła książkę i poszła poczytać na szezlongu w sypialni. Nie chciała kłaść się do łóżka, dopóki Spider nie zaśnie. Łóża małżeńskie to diabelski wynalazek.

Czytała tę samą linijkę po raz setny, a jej złe i gniewne myśli nawarstwiały się i gromadziły. Spider w piżamie wychynął z łazienki.

336

- Dobra książka? - zapytał, starając się, by atmosfera wróciła do normy zanim położy się spać.

- Niespecjalnie.

- Może przyjdiesz do mnie, położysz się obok i pozwolisz, żebym przeprosił cię z lepszym skutkiem?

- Masz wspaniałe poczucie humoru. Wolę poczytać. Nawet kiepską książkę.

- Rób, jak uważasz. - Spider zapisał coś w notatniku leżącym na stoliku przy łóżku.

- Widziałas moje notatki? - zapytał Billy.

- Nie. Dlaczego? Masz jakieś wspaniałe pomysły na mój katalog? - zapytała. Poniżał ją, do cholery, poniżał!

- Dałem temu spokój. Zapisuję, żeby zadzwonić jutro do braci Russo. To zadanie muszę wykonać osobiście.

- Jakie zadanie?

- Nie mówiłem ci? Postanowiłem powierzyć prowadzenie kampanii reklamowej Scruples agencji FRB, więc muszę przekazać chłopcom tę złą wiadomość.

- Co zrobiłeś? - Billy upuściła książkę i skoczyła na równe nogi.

- Mówiłem ci. Zmieniam agencję. Była dziś u mnie Vic-toria Frost i przekonała mnie, że nasza agencja jest nieodpowiednia. Ta dama robi wrażenie.

- To ja zatrudniłam Billa i Eda Russo. Ja ich odkryłam - wrzasnęła na niego Billy. - To moi przyjaciele. Dobrze o tym wiesz. To ja zajmowałam się reklamą. Jak śmiesz wyrzucać ich bez porozumienia ze mną?

- Cholera, Billy, odkąd urodziły się dzieci, nie uczestniczysz w podejmowaniu bieżących decyzji. Bracia Russo nie pracują jak należy i tyle. Nie pytam cię, jak zapinać rozporek.

- Co za idiotyczna, infantylna odpowiedź. Mówisz jak ośmiolatek. Czy pamiętasz o tym, że Gigi postawiła pewien warunek? Kiedy zmieniała pracę, postanowiła, że pod żadnym pozorem nie będzie zajmować się naszą reklamą.

- Pamiętam o tym. Victoria powiedziała, że Gigi nie ma teraz nic przeciwko temu.

- Och, Victoria powiedziała, tak? I uwierzyłeś jej?

- Dlaczego miałyby kłamać?

329

- Nie wiem, ale jestem pewna, że Victoria Frost nie ma pojęcia o tym, co myśli Gigi. Z trudem się tolerują.
- Odniosłem inne wrażenie - powiedział ponuro Spider, patrząc z niesmakiem na Billy. Czy chociaż wie, jak wygląda, ustanawiając własne zasady, jakby za pieniądze pierwszego męża mogła kupić sobie prawo do decydowania o wszystkim?
- Dałeś się skusić Victorii, a teraz chcesz podeptać uczucia Gigi tak, jak podeptałeś moje. Słuchaj, Spider. Scruples należą do mnie tak samo jak do ciebie. Nie możesz mnie lekceważyć. Nie możesz wodzić mnie na pasku i robić, na co masz ochotę. Zadzwoń rano do Victorii Frost. Powiesz jej, że zmieniłeś zdanie. Kropka. Porozumiesz się ze mną w sprawie wyboru nowej agencji. Kropka. Nie zwolnisz braci Russo, zanim nie dasz im ostatniej szansy. Słyszysz, co mówię? To, że nie masz szacunku dla Gigi nie oznacza, że uda ci się mnie lekceważyć. Spider podszedł do niej i chwycił ją za ramię, tak mocno i brutalnie, że nie mogła się ruszyć.
- Nie można szanować kobiety, która dowodzi swoich racji odmawiając seksu, wrzeszcząc jak przekupka i ochoczo zamykając cipę na kłódkę.
- Odwołaj to!
- Nie! - krzyknął. - Taka jest prawda i dobrze o tym wiesz!
- Wynos się z mojej sypialni. Idź spać gdzie indziej. Rzygam na twój widok. I nie zapomnij o moich poleceniach! - Jej ton był miążdząco arogancki.
- Billy, nie chcesz tego, wierz mi.
- Nie mów mi, czego chcę. Nie wiesz, czego chcę. Nie znasz mnie. Ja, niestety, znam cię aż za dobrze. Jesteś godny pogardy.
- Wynoszę się - powiedział Spider tak spokojnie i wyniośle, że miała ochotę rozszarpać go na strzępy. - Wychodzę, bo inaczej przełożyłbym cię przez kolano i dał ci łanie, na które zasłużyłaś.

*

Kiedy Spider wszedł rano do swojej łazienki, znalazł przy lusterku zapisaną kartkę.

338

Wyjeżdżam i nie wiem, kiedy wrócę. Radzisz sobie doskonale beze mnie i nie ma powodu, żebym prowadziła ci dom. Nie wiem, dlaczego mnie nie szanujesz, ale dowodzą tego twoje słowa i twoje zachowanie. Nie mogę tego tolerować. Wkrótce przyślę po dzieci.

To wszystko, bez podpisu. Spider wpadł do łazienki Billy i zorientował się, że spakowała przybory do makijażu. W garderobie sterta ubrań na podłodze dowodziła, że zapakowała jedną walizkę.

Wezwał Burgo O'Sullivaną przez telefon.

- Kiedy wyjechała pani Elliott?

- Limuzyna przyjechała po nią godzinę temu, proszę pana.

- Dziękuję, Burgo. Powiedz kucharzowi, że nie będę jadł śniadania w domu.

Spider pomyślał, że Billy wsiadła do pierwszego samolotu lecącego do Nowego Jorku. Na pewno zatrzyma się u Jessiki, jak zawsze w trudnych dla siebie chwilach. No i dobrze, choć ton listu był śmiesznie dramatyczny. Bóg jeden wie, że wcale nie ma ochoty oglądać jej dziś na oczy.

Goląc się pomyślał, że Billy słucha Jessiki jak nikogo na świecie. Dzięki niej Billy zrozumiała Vito, przynajmniej na tyle, żeby wytrwać w małżeństwie dłużej niż kilka tygodni. Mądra, doświadczona, kochająca i kochana Jessica wie, czym jest kompromis, którego zbyt bogata i zbyt uparta Billy nie zaakceptuje bez walki na śmierć i życie.

Przyśle po dzieci, a jakże! Przyśle po dzieci po jego trupie.

Płonąc słusznym oburzeniem Spider popędził do biura, po czym natychmiast zadzwonił do braci Russo i powiadomił ich, że Scruples II rezygnuje z ich usług.

*

- Jest tylko jeden problem - powiedziała Sasza do Vito, kiedy spacerowali po plaży w Santa Barbara, trzymając się za ręce. - Gigi będzie musiała zaprosić Zacha na nasze przyjęcie weselne... do domu, w którym mieszkali razem.

- To tylko jeden gość w tłumie. Wystarczy, że Gigi powie mu „cześć”. Nie musi się nawet z nim żegnać, chyba że będzie nalegał, ale znając Zacha, wiem, że da temu spokój - uspokoił

331

ją Vito. - Ale musi go zaprosić, bo przecież należy do rodziny. Gdyby Billy wydawała przyjęcie, także musieliby przyjść oboje... To przecież nasza uroczystość.

- Powiedz szczerze, czy nie sądzisz, że ludzie powinni umieć rozmawiać ze sobą po zerwaniu? To byłoby znacznie łatwiejsze i bardziej eleganckie.

- Nie, chyba nie. Co powiesz na to, że przyjdzie także Josh?

- O, mój Boże! Chyba Gigi go nie zaprosi?

- Zna go od dawna, a uprzejmość wymaga, żeby go zaprosić - powiedział Vito i westchnął. - Ale ostrzegłem ją, że Josh nie figuruje na naszej liście gości.

- Jesteś podły, Vito. Wspomniałeś o Joshu, żeby mnie dręczyć.

- Uwielbiam cię dręczyć. Jesteś czarująca, kiedy cię torturuję.

- Nie przeciągaj struny, staruszk.

- Masz w sobie coś z Jean Harlow, Sasza. A może z Mae West?

- A ty przypominasz mi... George'a Rafta.

- Posunęłaś się za daleko. Sprowokowałaś mnie.

- I co teraz zrobisz?

- Poczekaj. Zaraz się przekonasz.

- Jak długo muszę czekać, Georgie?

- Właściwie nie musisz czekać.

- Vito, nie, nie na plaży! Przestań!

*

Wieczorem w biurze FRB nie było nikogo, prócz Victorii, Archiego i Byrona. Wysłali wszystkich do domu i siedzieli przy stole w gabinecie Victorii, kończąc drugą butelkę szampana. Mężczyźni podwinęli rękawy koszul i już dawno temu pozbyli się krawatów. Nawet Victoria rozpięła guziki swojej niemal zakonnej białej bluzki, podwinęła rękawy i położyła nogi w pończochach na stole, delektując się radosną chwilą.

- Wasz brak konsekwencji jest naprawdę zabawny - powiedziała, przerywając senne, nieskrępowane milczenie, które zapada zwykle po skrajnej euforii. - Martwicie się, jak Gigi zareaguje na wiadomość o kontrakcie na reklamę Scruples II, a nie martwi was, że zdobyła kontrakt na Zaczarowany Strych

340

i linie pasażerskie, sypiając z Benem Winthropem, choć wątpię, czy rzeczywiście zdążyli się wyspać.

- To jej interes - odparł Archie i zanucił: „Ona ma najlepszy interes, najlepszy jaki znam, to pewne, tra, la, la...”

- Kontrakty na reklamę, które zależą od... podniecenia seksualnego... - powiedziała Victoria, starannie dobierając słowa, jako że Archie i Byron wypili znacznie więcej niż ona.

- Od seksualnego... napięcia... między klientem i pracownikiem są co najmniej ryzykowne. Co będzie, jeśli Winthrop się nią znudzi? Będzie problem. To tylko kwestia czasu. Ben jest świetną partią. Tymczasem wiemy, że Spidera Elliotta interesuje tylko jej praca.

- Dobra partia? - zapytał Byron. - Chcesz powiedzieć, że ja i Byron to zła partia? Chcę ci oznajmić, że wiele kobiet jest innego zdania, prawda, Arch?

- Dobra partia, bo jest bogaty. Nie chciałam cię urazić, Byronie Bernheimie Trzeci. Masz dobre perspektywy, ale daleko ci do takiego bogactwa. Pewnego dnia romansik Gigi dobiegnie końca. - Victoria była pewna, że jej prognoza się sprawdzi.

- Niekoniecznie - sprzeciwił się Archie. - Widziałem ich razem. Facet szaleje za nią... ma prawdziwego fioła na punkcie naszej małej Gigi. To może skończyć się małżeństwem.

- Wtedy Gigi zostanie żoną klienta, przestanie dla nas pracować i zacznie całkiem nowe życie - ciągnęła Victoria.

- Zaraz po miesiącu miodowym przekaże zlecenie innej agencji, w której nikt jej nie znał, kiedy pracowała. Żony klientów uwielbiają się wtrącać, nawet jeśli nie mają pojęcia o reklamie. A Gigi będzie tysiąc razy gorsza... bo za dużo wie.

Cała trójka siedziała w ciszy, rozmyślając o straszliwych historiach, jakie opowiadano w kręgach specjalistów od reklamy o żonach klientów. Wszyscy się ich bali, a Gigi jako klientka będzie z całą pewnością gorsza niż Gigi romansująca z klientem.

- Och, kurczę, przestańmy się tym zamartwiać - powiedział wylewnie Archie. - Zapomnijcie o tym. Mamy wiele powodów do radości. Victorio, nie psuj nam zabawy i opowiedz jeszcze raz, co zaproponował ci Harris Reeves. Opowiedz mi wszystko ze szczegółami, co on powiedział i co ty powiedziałaś.

333

- Mówisz serio, Arch? Chcesz bajeczkę na dobranoc?
 - Victoria uśmiechnęła się tak rozkosznie, że jej twarz przybrała niemal seksowny wyraz, zaś Arch i By przypomnieli sobie, jak wyglądała tego wieczoru w swoim nowojorskim mieszkaniu, kiedy ich zatrudniła.
 - Jeszcze to do mnie nie dotarło - odpowiedział Archie.
 - Czuję się jak dziecko, które na urodziny dostało w prezencie cały cyrk. Prawdziwy wielki cyrk ze słoniami, lwami i wol-tyżerami. Albo własne kasyno i tor wyścigowy. Jazda, panno Frost, kochanie, nie zmuszaj mnie, żebym zebrał.
 - Tak, mów - nalegał Byron. - Muszę usłyszeć to jeszcze raz.
 - Dziś rano, kiedy przyszedłam do biura, znalazłam wiadomość, że mam zadzwonić do Harrisa Reevesa do Beach Casuals w Nowym Jorku. - Victoria celowo przerwała, żeby delektować się wyrazem niecierpliwości na ich twarzach.
 - Błagam, Victorio - prosił Archie. - Błagam!
 - Ja też. Proszę, Victorio, z życiem! - wykrzyknął Byron. Pomyślał, że ma niebywałe szczęście, bo pracuje ze światowej klasy specjalistką, która wie, jak podniecić faceta, nawet w biurze.
 - Zadzwoniłam do niego, ale wyszedł na lunch. Ponieważ jest dyrektorem największej firmy produkującej kostiumy kąpielowe w tym kraju, siedziałam całe rano i obgryzałam paznokcie, czekając, by znów do niego zadzwonić i zastanawiając się, kiedy skończy lunch. O godzinie jedenastej czasu kalifornijskiego - czy dzieciaczki są zadowolone z tak szczegółowej opowieści? - zadzwoniłam ponownie i zastałam go. Zdaje się, że jego lunch nie trwał długo. Powiedziałam mu, że dzwonię, tak jak sobie życzył i zapytałam, czym mogę służyć. Wtedy powiedział... powiedział... chwileczkę, co powinno być dalej?
 - Victorio! Skręć ci twój uroczy cholerny karczek! - postraszył ją Archie.
 - Och, Archie, jeśli to zrobisz, skończysz w celi śmierci - zachichotała.
 - Victorio!
 - Och, już dobrze. Zrobię wam tę przyjemność. Jakie z was dzieci! Powiedział, że nasze reklamy Indigo Seas zrobiły na
- 342
- nim wielkie wrażenie, że zbadał, jak wzrosły ich obroty, podziękowałam mu, a wtedy oznajmił, że zlecił swojemu zastępcy sprawdzenie naszej firmy i usłyszał o nas same dobre rzeczy od Johna Devane i innych. Znów mu podziękowałam i oświadczył, że ludziom z agencji, która zajmowała się ich reklamą zabrakło pomysłów, bo przygotowywali dla nich kampanie od dziesięciu lat bez żadnej konkurencji i choć ich ostrzegał, nie wymyślili niczego ciekawego i nowego. W odpowiedzi powiedziałam tylko „mhm”, a on stwierdził, że chce, żebyśmy zajęli się Beach Casuals. I tyle. Przez telefon, właśnie tak. Usiłowałam podziękować, ale stwierdził, że chce nas widzieć w przyszłym tygodniu w Nowym Jorku na spotkaniu z pracownikami firmy. Odparłam, że jesteśmy zachwyceni, zapytałam, którego dnia, odpowiedział, że od środy do piątku, żebyśmy mogli spotkać się ze wszystkimi i porozmawiać, i tak dalej. Znowu podziękowałam, a wtedy zauważył, że nasza praca dla Indigo Seas będzie pewną przeszkodą, więc odparłam, że oczywiście zrezygnujemy z prowadzenia kampanii dla Indigo Seas, po czym prawiliśmy sobie uprzejmości i zakończyliśmy rozmowę. Jesteście zadowoleni, czy mam opowiadać jeszcze raz?
 - Zapomniałaś o najważniejszym - poskarżył się Archie.
 - Zrobiła to celowo. Chce, żebyśmy całowali jej stopy - wtrącił Byron. - Zdejmuj pończochy, Victorio. Jestem twój.
 - By. Jestem wzruszona, ale dziękuję. Może... ale tylko... może... dam wam premię.
 - Pieprzyć premię, Victorio. Mów o najważniejszym!

- Kontrakt opiewa na dziewięćdziesiąt milionów dolarów rocznie!
- Dziewięćdziesiąt milionów - sapnął z czcią Archie.
- Dziewięćdziesiąt milionów - powtórzył Byron. - Dziewięćdziesiąt cholernych milionów. Co za zdobycz!
- Nie - sprzeciwił się Archie. - To nie jest zdobycz, bo nie było żadnej konkurencji. To cholerna kradzież!
- Nie - powiedziała Victoria. - Nie, moje dzieci, nikomu nie ukradliśmy tego kasha. To łut szczęścia i to jest najpiękniejsze. Nikt nie dostaje dziewięćdziesięciu milionów ot, tak sobie. Nawet moja matka!

- Jezu, Victorio, cieszę się, że to ty rozmawiałaś z Harrisem Reevesem - powiedział Archie. - Dostałbym zawału, jeżeli dobre wiadomości szkodzą na serce.

-- Odniosłam wrażenie, że Reeves nie jest zadowolony ze swojego zastępcy do spraw reklamy - mruknęła pod nosem Victoria. - To facet, który przejął kontrolę nad sytuacją i nikogo nie dopuszcza do rządu. Możecie sobie wyobrazić, jak czuł się zastępca, kiedy Reeves do nas zadzwonił. Założył firmę trzydzieści lat temu, od zera, i słusznie uważa, że reklama to podstawa.

- Zadzwońisz do Collinsów i powiesz im, że rezygnujemy

- zapytał Archie - czy uważasz, że powinna to zrobić Gigi? To ona odpowiada za kontakty z San Francisco, więc załatwiłaby to najlepiej.

- Archie, rezygnacja z kontraktu na rzecz innego, wartego dziesięć razy więcej to sprawa członków zarządu agencji

- powiedziała Victoria ostrym tonem.

Czy Arch i By sądzą, że pozbawi się przyjemności oznajmienia Indigo Seas, że są za małą firmą dla Victorii Frost? I, och, kiedy Gigi wróci, zachwycona sobą i tym sławetnym statkiem, który buduje jej facet, jej pierwszy dzień w agencji będzie naprawdę miły, prawda?

Victoria naląła im szampana i wzniosła toast.

- Za Frost, Rourke, Bernheim, agencję, która rozumie rzeczywistość świata biznesu!

- Rzeczywistość świata biznesu! - Wzniesli kieliszki, stuknęli się nimi i wypili szampana.

- Otworzę następną butelkę - oznajmiła Victoria. - Wy-żłopaliście już dwie, wy zachłanne dzieciaki!

15

Kiedy Billy przekroczyła wysoką bramę i znalazła się na kamiennym dziedzińcu swojego domu, swojego *hotel par-ticulier* przy Rue Vaneau w Paryżu, zrozumiała, że jest to jedyne miejsce, w którym może zapomnieć o przesywającym

336

bólu serca i ranach duszy. Kupiła ten dom prawie cztery lata temu dla kaprysu, jak sama to oceniała, i nigdy w nim nie mieszkała, ale uległa pierwszej pokusie, która stanęła na jej drodze po rozwodzie z Vito Orsinim. Kupiła go kilka dni po tym, jak go ujrzała, za ogromną sumę ośmiu milionów dolarów. Było to czyste szaleństwo, ale od razu wiedziała, że ten dom jest jej przeznaczony. Szlachecką rezydencję z szarego kamienia wybudowano setki lat temu dla paryskiego rodu, którego potomkowie sprzedali go zauroczonej Billy.

- Madame będzie zadowolona ze stanu domu - zapewniła ją Marie-Jeanne, żona dozorca Pierre'a Dujardina, kiedy już wyściskały się na powitanie. - Codziennie rano mówię do Pierre'a: - „Co będzie, jeśli madame Ikehorn zechce dziś wpaść bez uprzedzenia, jak wtedy, kiedy mieszkała w Paryżu?” Niech mi pani wierzy, madame, co noc kładziemy się spać zadowoleni, że wszystko od najmniejszej rury w piwnicy po dach jest w najlepszym porządku.

- Dziękuję pani, Marie-Jeanne. Jestem bardzo wdzięczna. Wiedziałam, że zostawiam dom pod dobrą opieką.

- Nie widzieliśmy pani od tak dawna, madame.

- Tak, to prawda - zgodziła się Billy - ale mam skomplikowane życie.

- Oczywiście, madame - przytaknęła żona dozorca.

Czy pani Ikehorn zdaje sobie sprawę z tego, że pozostawienie takiego domu, całkiem pustego w środku najlepszej i najbardziej eleganckiej dzielnicy mieszkaniowej Paryża, ze stajniami pełnymi prawdziwych skarbów w postaci antyków, nadal spoczywających w skrzyniach to dowód, że jej życie jest nie tylko skomplikowane, ale wprost zwariowane? I ona, i Pierre otrzymywali regularnie, co miesiąc, wysoką pensję, a ich dom, który madame Ikehorn wyposażyła w takie

samo nowoczesne centralne ogrzewanie i kuchnię, jak swoją rezydencję, był przedmiotem zazdrości wszystkich dozorców w Paryżu. Jednak cieszyła się, że znowu widzi madame Ikehorn. To dobrze, że wróciła i że nie sprzedała domu obcym ludziom.

- Czy madame długo zostanie w Paryżu?

- Nie wiem - odparła Billy. Na pewno przez jakiś czas. Madame Marie-Jeanne, sama przejdę się po domu, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

345

- Ależ bardzo proszę, madame.

Podwójne drzwi zamknęły się za Billy i znalazła się w okrągłym holu, czując jak otacza ją szczególna atmosfera domu, niezwykle czarujący i swobodny nastrój. Doskonale proporcje budowli sprawiły, że rezydencja była pełna wdzięku i przepychu, a przy tym wzruszająco ludzka i milcząco pogodzona z przemijającym czasem. Zniknęły pajęczyny i luszcząca się farba, niwecząca cały urok dawniej, kiedy Billy widziała dom po raz pierwszy, a zniszczone parkiety i wybrzuszenia spowodowane wilgocią starannie przywrócono do stanu pierwotnej klasycznej elegancji, lecz nie było tu śladu nowoczesności. Grube stare szkło francuskich drzwi rzucało lawendowe refleksy łagodnego rannego słońca na puste lśniące podłogi i czyste kominki. Stare zwierciadła w pięknych ramach błyszczały światłem z innego, wspaniałego świata, a klepki trzeszczały z każdym krokiem Billy zapraszającym dźwiękiem, który obiecywał spokój. Billy przeszła przez dwadzieścia pokoi w transie, odkrywając dom po raz drugi, co pozwoliło złagodzić nieco ból zranionej duszy. Wreszcie weszła do nowego ogrodu zimowego na tyłach domu, skąd przez żywopłot mogła spojrzeć na rozległy park otaczający Hotel Matignon - rezydencję premiera Francji. Usiadła na szerokim parapecie okiennym i pogрузыła się w rozmyślaniach.

Ostatnio była tu w 1980 przed Bożym Narodzeniem, poświęcając wszystkie myśli przeprowadzce i świętom z Samem Jamisonem, rzeźbiarzem z San Francisco, który znał ją tylko jako Honey Winthrop, nauczycielkę z Seattle.

Ukrywała przed nim swoją tożsamość prawie przez rok, żeby Sam nie wiedział, kim jest naprawdę i nie traktował jej tak samo, jak wszyscy mężczyźni, kiedy dowiadawali się, że jest dziwadłem, któremu wszyscy zazdroszczą i o którym zawzięcie plotkują, lepszą i zarazem gorszą od reszty ludzkości osobliwą istotą, za którą na tym świecie uważa się każda niezależną kobietę posiadającą duży majątek.

Wtedy uważała, że tacy są wszyscy mężczyźni, z wyjątkiem Spidera Elliotta, tego samego faceta, który wczoraj szydził z niej, nazywając ją „królową foteli za osiem tysięcy dolarów” i drwił z niej tak pogardliwie, poniżając ją i nazywając

346

ignorantką w dziedzinie finansów, bo miała „ciężko zarobione pieniądze”, a przecież wiedział, że po raz ostatni otrzymywała pensję dwadzieścia dwa lata temu, kiedy pracowała jako sekretarka.

Chryste, w czym tu wybierać, zadawała sobie pytanie. Kochając ją, Sam i Spider tak samo brali pod uwagę jej pieniądze, jeśli dobrze o tym pomyśleć. Spider krył się z tym przez wiele lat, udając, że uważa ją, jak to wyraził w liście do niej, za „śmietankę”, którą nietrudno „ubić”. Sam zobaczył ją pewnego wieczoru w Operze Paryskiej i dowiedział się, kim jest naprawdę. Natychmiast ją porzucił, bezwzględnie odtrącił, nawet po przeczytaniu jej rozpaczliwego listu, który wysłała następnego dnia, chcąc wszystko wyjaśnić. Był przekonany, że zawdzięcza jej oszałamiający sukces swojej ostatniej wystawy. Sądził, że namówiła przyjaciół, by kupowali jego rzeźby. Nie dał jej żadnej szansy, nie pozwolił sobie na najmniejszą wątpliwość. Pomyślała jednak, że Sam miał przynajmniej wspaniałe wytłumaczenie, bo okłamywała go przez dziewięć miesięcy.

Który z nich jest lepszy? Czy Sam, który porzucił ją, bo nie traktował go jak równego sobie, czy Spider, który traktował ją tak, jakby nigdy nie mogła mu dorównać, a wszystkie jej plany nie były nic warte bez jego pomocy? Lepszy? Trzeba się raczej zastanowić, który jest gorszy!

Niech obaj smażą się w piekle, pomyślała, przemierzając dom w poszukiwaniu dozorczy.

- Monsieur Pierre, postanowiłam spędzić tu noc. Proszę, niech pan łaskawie poszuka w stajni fotela, stołu albo i dwóch, lustra, wazonów, świeczników i dwóch krzeseł, i ustawi je w małej sypialni przy łazience.

- Ależ, madame - zaprotestował, zdając sobie sprawę, że nie czas teraz na oficjalne powitanie - w stajniach są tylko antyki, ale nie ma łóżka, w którym madame mogłaby spać.

- Będzie za kilka godzin - powiedziała Billy.

- W Paryżu? Ha! To byłby cud. - Roześmiał się głośno na myśl o takim pośpiechu.

- Przekonamy się. Dziękuję, monsieur Pierre. Dom wygląda cudownie.

- Dziękuję. To pani wygląda cudownie, madame. Bardzo się cieszę, że pani wróciła.

339

- Do zobaczenia, monsieur Pierre - powiedziała Billy, pędząc przez bramę do samochodu z kierowcą, który na nią czekał.

- Do zobaczenia - odpowiedział niczym echo. Madame nie wyglądała cudownie. Wyglądała... jeśli można tak powiedzieć o pięknej kobiecie... wyglądała na zdruzgotaną.

*

W dziale meblowym Galeries Lafayette Billy zaskarbiła sobie względy sprzedawczyni w najprostszy sposób. Wcisnęła jej do ręki tysiącfrankowy banknot i powiedziała, że potrzebuje natychmiastowej pomocy.

- Czym mogę służyć? - zapytała sprzedawczyni, uśmiechając się po raz pierwszy tego dnia.

- Potrzebne mi łóżko z dobrym materacem, dwie poduszki, dobre lampy, żarówki, świece, pościel, ręczniki, zasłony do dwóch okien, dywan... och, kosz do łazienki... powiem pani, jeśli coś jeszcze przyjdzie mi do głowy.

- Ale te rzeczy są w różnych działach sklepu - powiedziała kobieta, zaszokowana listą wymagań Billy. - Ja zajmuję się tylko meblami.

- Potrzebny mi jest także ktoś, kto powiesi zasłony, zainstaluje łóżko i wykona inne drobne prace. Mieszkam przy Rue Vaneau. Wszystko trzeba dostarczyć natychmiast, żeby mieszkanie było gotowe do wieczora. Kiedy skończymy, otrzyma pani jeszcze dwa tysiące franków i dobrze zapłacę dostawcom i obsłudze.

- Oczywiście, madame. Z przyjemnością. Pójdę z panią do innych działów.

- Rozumie pani - powiedziała Billy swoim nieskazitelnym francuskim - jestem zwariowaną Amerykanką. To wszystko wyjaśnia, prawda?

- Och, ależ nie, madame nie jest szalona. Może nieco porywcza, to wszystko.

- To brzmi zupełnie jak epitafium - stwierdziła Billy. - Bierzmy się do roboty. Mam mało czasu. Przechadzając się po wielkim domu towarowym, Billy pomyślała, że znacznie łatwiej byłoby zatrzymać się w Ritzu, gdzie przez tak długi czas mieszkała w czteropokojowym

348

apartamencie Windsor, ale wszyscy szukaliby jej właśnie tam. Pierwszą noc w Paryżu spędziła w hotelu na lotnisku, a dziś woził ją szofer z tej samej dyskretnej agencji, z której usług korzystała spotykając się przez kilka miesięcy z Samem Jamisonem, kiedy prowadziła podwójne, zwariowane i skomplikowane życie, znośne tylko dzięki dzikiej namiętności i uczuciom. Zrobię wszystko dla miłości. Była kiedyś taka piosenka, przypomniała sobie Billy, próbując materac. Pewnie napisano ją z myślą o innych kobietach, tak głupio oszukanych jak ja, ale żadna z nich na pewno nie myliła się tak idiotycznie w sprawach uczuciowych. I żadna z nich na pewno nie była Francuzką.

*

Blisko dwa lata temu Billy odkryła, jak prowadzić podwójne życie. W jednym z nich była amerykańską milionerką, która zajmowała najlepszy apartament w Ritzu, ozdobą towarzystwa, spędzającą czas na przymiarkach u wielkich krawców, kupowaniu antyków i na przyjęciach, zaś noce spędzała... Bóg wie, gdzie. W drugim życiu była zwyczajną panną Winthrop, nauczycielką z Seattle, która poświęcała swój urlop naukowy na studia nad Wolterem i sypiała przez pięć nocy w tygodniu z Samem Jamisonem w jego skromnej pracowni przy Place des Vosges, w artystycznej dzielnicy Paryża.

Teraz, w samotności, na którą się zdecydowała, miała jedno życie i osobne łóżko, nikt na nią nie czekał, nie musiała robić zakupów, chodzić na eleganckie lunche, przymiarki u Diora i Givenchy'ego, nie miała kochanka, nie musiała kłamać, nie miała własnego samochodu ani szofera... nie miała nic, prócz niemal pustego domu i pary dozorców, którzy nigdy nie pytali,

dokąd idzie i kiedy wróci. Po dwóch dniach Billy była pewna, że przemyka się po Paryżu niczym duch - wszystko widzi, ale jest niewidzialna.

Okolica Rue Vaneau była niczym ciemna pestka w soczystej brzoskwini Paryża. Nie było tu żadnych turystycznych atrakcji, a nocą było cicho jak na wsi, choć wsłuchując się dobrze, Billy odróżniała hałasy otaczającego ją miasta, radośnie zapraszającego do zabawy, lśniącego światłami, dźwięczącego

341

klaksonami i niemal konspiracyjnym śmiechem mężczyzn i kobiet.

Ale na Rue Varenne, przy najbliższym skrzyżowaniu z Rue Vaneau, surowy policjant pilnował rezydencji premiera i nie pozwalał nikomu parkować. Nie było tu żadnych sklepów, prócz słynnego zakładu szewskiego Cordonnerie Vaneau, do którego stara arystokracja przynosiła buty do konnej jazdy i pantofle robione na miarę, małego sklepu z serami, kilku niewielkich kwaciarni, zakładów fryzjerskich i małych barów, do których zaglądali tylko okoliczni mieszkańcy.

Billy stwierdziła, że na pewno nikt znajomy nie zakłóci tu jej spokoju, jeśli ograniczy swoje wycieczki do obszaru między domem a Ogrodem Luksemburskim. Przede wszystkim nie miała ochoty spotkać nikogo, kto rozpoznałby ją i zapytał, co robi w Paryżu. Ale miała wszelkie powody, by sądzić, że teraz, w szczyt sezonu turystycznego, nikt taki nie zabłądzi na cichą, szarą, wąską i melancholijną uliczkę w tej części Paryża. Wszystkie najlepsze hotele, wielkie sklepy, muzea i słynne restauracje znajdowały się na Prawym Brzegu. Zabawne maleńkie sklepiki z antykami, modne bary i galerie były na Lewym Brzegu w innej części, bliżej Sekwany. Jej własna dzielnica była wspaniała, jeśli poznało się jej sekrety, ale odpychająca, poważna, a nawet nieprzyjemna, jeśli nie miało się wstępu do jednej z wielkich rezydencji lub ambasad z ogrodami ukrytymi przed wzrokiem przechodniów.

Billy miała ochotę spacerować do utraty tchu. Tylko ciągły ruch powstrzymywał ją od zastanawiania się nad sprawami, o których nie chciała jeszcze myśleć. Uciekała przed nimi, spacerując całymi godzinami, ale sam chodnik jej nie wystarczał. Stojąc na Rue Guynemer, na granicy obszaru, który sobie wytyczyła, spojrzała pożądliwie na szeroką aleję Ogrodu Luksemburskiego po drugiej stronie ulicy, za wysokim metalowym ogrodzeniem. Tuż na wprost było rzadko uczęszczane boczne wejście. Wystarczyło przejść na drugą stronę ulicy, żeby znaleźć się w jednym z największych parków Paryża, mieszczańskim parku, do którego zaglądali tylko ci turyści, którym nie brakowało czasu i ciekawości.

Liście przybierały już ten szczególnie kolor wyblakłego rdzawego złota, charakterystyczny dla wszystkich paryskich

350

drzew jesienią. Billy poczuła wielką potrzebę, gorące pragnienie, by dotknąć stopami czystych, przyjemnych alej parku, by poszukać azylu wśród ogrodów, które mnisi z Chartreux założyli w 1257, by usiąść na jednej z ławeczek i spojrzeć w niebo. W tygodniu do ogrodu przychodzili tylko uczniowie, studenci, młode matki i emeryci, ale w weekendy pielgrzymowały tu całe rodziny, żeby obejrzeć widowisko w teatrze marionetek i puszczać łódeczki w wielkim sześciokątnym płytkim basenie, przy którym wychowało się wiele pokoleń dzieci.

Rozejrzała się, przemknęła przez ulicę i w ciągu kilku sekund znalazła się na pustych terenach należących do ogrodu. Odetchnęła głęboko i zaczęła iść szybko między starymi drzewami, a fantazja dyktowała jej, w którą stronę skręcić przy końcu alei. Przysiadła tylko wtedy, kiedy poczuła się naprawdę zmęczona.

W paryskim parku nie wolno usiąść na trawie, więc opadając z wdzięcznością na niewygodne krzesło pomyślała, że zamiast chować się w jaskini, ukrywa się w plenerze. Nikt na świecie nie wie i nie dowie się, gdzie jest, chyba że umarłaby na tym krześle, bo francuskie prawo wymagało, by zawsze nosić przy sobie jakiś dowód tożsamości. Ostatnim razem nosiła w portfelu fotokopie paszportu. Teraz w kieszeni spodni miała tylko prawo jazdy i kilkaset franków.

Wiedziała, że zanim uczyni kolejny krok w swoim życiu, potrzebuje bezmyślnej samotności.

Gdyby próbowała udawać, że jest sama w domu w Stanach, w swoim ogrodzie za murami, nigdy nie osiągnęłaby takiego stanu pełnej izolacji, jaki był możliwy tu, sześć tysięcy mil dalej, pośrodku

parku, w którym byli sami obcy ludzie żyjący własnym życiem. Setki więzów łączyły ją z domem przy ogrodzie za murami i z mieszkającymi w nim ludźmi oraz problemami, które ją tu przywiodły. Przez całe życie była straszliwie impulsywna, dobrze o tym wiedziała, a ta ucieczka do Paryża, mimo iż tak gwałtowna, miała powstrzymać ją przed porywczym krokiem. Pomyślała trzeźwo, że postąpiła tak, by zapobiec nieprzemyślanym działaniom.

Czy powinna martwić się tym, że jest tak przeraźliwie samotna? Jakże jest śmieszna! Kobieta z domem odległym

343

0 dwadzieścia pięć minut i kontem w banku Chase na Rue Cambon, kobieta, która może wezwać taksówkę, pojawić się w recepcji Ritza i dostać wszystko, czego zapragnie, kobieta, która może wsiąść do concorde'a lecącego do Nowego Jorku, po czym za godzinę znaleźć się w Los Angeles wcale nie jest odcięta od świata. Ogród Luksemburski to nie Tybet.

Nie, z drugiej strony, w istocie była samotna, bo była zdana na samą siebie, a nikt prócz ogrodnika i jego żony nie wiedział, że jest w Paryżu. Fakt, że dysponowała środkami, które pozwalały jej szybko zmienić tę sytuację nie przeczył temu, że ukryła się właśnie tu, w najbardziej cywilizowanym mieście świata tak skutecznie, jakby zagrzebała się w jakiejś głuszy. Uciekła instynktownie, po kłótni ze Spiderem. To miejsce, które sama sobie wybrała i nigdy go z nim nie dzieliła. Miejsce, które знаła tysiąc razy lepiej, tak jak nigdy nie poznałaby Los Angeles, nawet gdyby urodziła się w Kalifornii

I mieszkała tam przez całe życie. Los Angeles mogło zmienić się dziesięć razy i nie zrobić na niej żadnego wrażenia, ale nowoczesny budynek w centrum Paryża przygnębiał ją i napełniał smutkiem.

Jak długo tu zostanie? Może ten sam instynkt, który przywiódł ją w to miejsce podpowie jej, jak długo ma zostać, pomyślała, ruszając w drogę powrotną na Rue Vaneau. W domu wzięła prysznic, włożyła równie niepozorny sweter i spodnie i wyszła na wczesną kolację. W tej chwili jej największy problem sprowadzał się do tego, czy zjeść talerz tłustych bretońskich sardynek, zupełną jarzynową czy plaster paryskiej szynki, gotowanej, soczystej i bladoróżowej. Pomyślała, że po takim długim spacerze może zjeść, co zechce, choć ze zdziwieniem stwierdziła, że straciła apetyt. Może to zmęczenie lotem?

*

Przez pięć następnych dni Billy spacerowała po sześć godzin, a sypiała po dziesięć, nie pamiętając żadnych snów i bez apetytu zjadała proste posiłki. Żyła chwilą, odrzucając wszelkie wspomnienia z pomocą sterty popularnych powieści grozy. Zawsze nosiła którąś z nich w torbie. Jej porządek dnia przerwała tylko krótka wizyta u fryzjera dwie uliczki dalej, która przekonała ją, że w Paryżu nie można być źle uczesany.

352

Własna anonimowość ośmieliła ją na tyle, że siadywała niekiedy przy sadzawce z łódeczkami i przyglądała się miniaturowym regatom. Słuchała zwykłych ploteczek zajętych robotkami matek i babek, a mocne skupienie na takich drobiazgach uwolniło ją od przymusu myślenia. Wreszcie pewnego popołudnia, kiedy siedziała w październikowym słońcu, poczuła się tak znużona i zarazem odprężona, że zamknęła oczy. Zrzuciła pantofle i zdrzemnęła się rozkosznie.

- Podobno wystarczy posiedzieć tu przez chwilę, żeby spotkać wszystkich znajomych - rozległ się głos Sama Jami-sona, który przysiadł na ławeczce obok niej.

To sen, pomyślała Billy z dreszczem niedowierzania, nie otwierając oczu.

- Czy nadal nazywasz się „Misia Winthrop”? - To jego głos, pełen wahania i jednocześnie rozbawiony.

Mocno zacisnęła powieki, nie zdradzając się, że go usłyszała, ale wiedziała już, że nie śni.

- To najkrótsza droga z mojej pracowni na Boulevard de Montparnasse, jeśli chcesz wiedzieć - ciągnął Sam. - I pewnie zadajesz sobie pytanie, po co idę na Montparnasse dziś po południu. Czy uwierzysz, że wybieram się do faceta, który robi postument do mojej nowej rzeźby? Miałem zamiar wybrać się do niego w sobotę, ale jest zbyt ładnie, żeby siedzieć w domu. Widzę, że się ze mną zgadzasz, bo przecież dlatego tu jesteś. Nie wiedziałem, że wróciłeś do Paryża. Ja nigdy stąd nie wyjechałem, wiesz? Nie, na pewno nie wiesz. W zeszłym roku miałem wystawę w Los Angeles, ale nie zaprosiłem cię. Wtedy to nie był dobry pomysł...

- Jak śmiesz siedzieć obok mnie i pleść bzdury? - zapytała z wściekłością Billy, otwierając oczy i odwracając się do niego. - Skąd masz czelność odzywać się do mnie? Napastujesz mnie w miejscu publicznym. Idź sobie, albo ja pójdę!

- Przynajmniej nadal jesteś wściekła - odparł Sam. - Gdybyś mnie wyśmiała, byłbym zdruzgotany.

- Nie pochlebiaj sobie - powiedziała Billy, starając się oprzytomnieć i wiążąc sznurowadła tenisówek drżącymi rękoma. - Czy naprawdę sądzisz, że tak mi na tobie zależy, że po trzech latach doprowadzasz mnie do szału? Masz wybujałe przekonanie o własnej wartości.

345

- To zależy - stwierdził powoli Sam. - Zależy od tego, jak bardzo byłem podły i głupi. Myślałem, że mogłabyś wściekać się na mnie przez całe życie, a i tak zasługuję na coś gorszego.

- Jeżeli to mają być przeprosiny, daruj je sobie! Nie jestem zainteresowana.

Billy zerwała się z miejsca i ruszyła szybkim krokiem w stronę Fontanny Medici. Dogonił ją bez trudu. Nic się nie zmienił. Był nadal tym samym smukłym rudzielcem, który poderwał ją, nazwał „dziecinką” i rzucił na swoje łóżko w godzinę po tym, jak się poznali.

Sam położył silną dłoń rzeźbiarza na jej ramieniu i zatrzymał ją na środku ścieżki. - Proszę! Kochanie, nie uciekaj! Jeżeli nie jesteś już na mnie zła, poświęć mi minutę, żebym mógł się wytłumaczyć.

Billy uświadomiła sobie, że nie ma wyjścia. Jeżeli nie poświęci mu tej zaszrannej minuty, spędzi resztę życia myśląc, że nadal wiele dla niej znaczy, a schlebianie jego próżności było ostatnią rzeczą, na którą miała ochotę.

Spojrzała na zegarek. - Mogę poświęcić ci minutę - powiedziała. - Ale nie nazywaj mnie „Misią”. To było przezwisko i nigdy go nie lubiłam.

- Więc jak cię nazywać?

- Billy.

- Billy Ikehorn... Pamiętam ten wieczór, kiedy powiedziałas mi, kim jesteś. Czy tak jest nadal?

- Prawie - odparła szorstko.

- Billy, przeczytałem twój list, ale nie uwierzyłem ci.

- To nic nowego - Billy wzruszyła ramionami z obojętną pogardą. - Powiedział mi o tym Henri, po tym, jak prawie naplułeś mi w twarz u Lippa.

- Ale nie rozumiesz - błagał, zdecydowany powiedzieć wszystko, co miał do powiedzenia. -

Właśnie sprzedałem pięć wielkich rzeźb jednego popołudnia. Pięć! Ponad połowę rzeźb z wystawy, pierwszej wystawy w Paryżu. Pracowałem nad nimi kilka lat. Byłem nikim i nagle odniosłem niebywały sukces. Oczywiście, byłem przekonany, że to twoja sprawka. Wszyscy w świecie sztuki byliby tego samego zdania, nie tylko ja. Ponieważ sprzedałem niemal wszystko, co zrobiłem... ale,

346

na Boga, Billy, to był dopiero początek... i to zaraz po tym, jak dowiedziałem się, że byłaś taka bogata... I jesteś. Bądź sprawiedliwa. Nie powiedziałaś mi prawdy o sobie...

- Wyjaśniłam ci w liście, dlaczego kłamałam. - Billy była nieprzejeđnana.

- Miałem tylko kilka minut na przeczytanie listu, zanim sprzedałem pierwszą rzeźbę. Moi pierwsi klienci... nie wierzyłem im! Po latach pracy, nagle sukces? Na taką skalę? Billy, z każdą sprzedaną rzeźbą coraz mniej w siebie wierzyłem... Czuję się... Jezu... jak utrzymanek! Jak twój żigolak, zabawka zepsutej kochanek, który sam nic nie znaczy. To było najgorsze popołudnie w moim życiu. Prześladowałem każdego kupca, przepytywałem o związek z tobą... Myśleli, że zwario- wałem... ale wreszcie udowodniłem sobie, że nie miałaś z tym nic wspólnego. Ale wtedy już zniknęłaś. I nigdy, przenigdy sobie nie wybaczyłem.

- Cholernie wielka rzecz - powiedziała nieubłaganie Billy.

- Naprawdę wielka - odrzekł bezradnie. - Większa niż myślałem. ,

- Jeżeli czuleś się winny, że mnie tak potraktowałeś, dlaczego nie napisałeś? Wiedziałeś, że list wysłany do Ritza dotarłby do mnie.

- To trudno wytłumaczyć... - zarumienił się, jak zawsze, gdy był wzruszony.

- Żegnaj, Sam - powiedziała Billy i odwróciła się szybko. Nie musiała wiedzieć. Nie chciała wiedzieć.

- Nie czekaj, to twoje pieniądze, cholera! - Mówił gwałtownie, niemal bez tchu. - Myślałem, że jeśli napiszę do ciebie, po tym, jak postąpiłem... tak okrutnie... po tych zimnych, strasznych słowach, które wypowiedziałem.... uznasz, że robię to... och, niech to diabli... dla pieniędzy, jak inni faceci. Wiedziałem, że to nieprawda, ale w liście napisałaś, że pieniądze zmieniały każdego mężczyznę, którego znałaś. Bałem się, że ja też wydam ci się... taki.

- Byłeś zawsze cholernie dumny, Sam. To twoja wada, a nie zaleta.

- Myślisz, że nie wiem? - Chwycił ją za ramiona. - Patrz, ile mnie to kosztowało! Nie mogłem się znów zakochać. A próbowałem, wierz mi!

355

- Sam, nie przesadzaj. To do ciebie niepodobne i niczego nie zmienia. Na świecie są tysiące uczuć zwanych miłością. Możesz mówić, co zechcesz, ale to mnie nie wzrusza.

- Billy... kochałem tylko ciebie. I nadal Kocham.

- Ładnie powiedziane, Sam, ale trochę za późno, prawda? Jeżeli to twoje przeprosiny, przyjmuję je, ale słowa nic nie kosztują. Pożegnajmy się tu. Idę w inną stronę.

- Nie pożegnaj się! Nie po tym, jak znalazłem cię śpiącą w słońcu między dwiema staruszkami. Niemal uciekłem, zanim odważyłem się odezwać do ciebie. Stałem przez dziesięć minut i trząsałem się ze strachu. Słuchaj, czy nie możemy porozmawiać, po prostu usiąść gdzieś i napić się czegoś? Wiem, kim jesteś... wiem nawet, kim ja jestem, żalonym idiotą, który nie wierzył w siebie na tyle, by ci zaufać. Czy nie możemy przynajmniej napić się razem? Proszę, Billy, pozwól mi popatrzeć na siebie trochę dłużej. O nic więcej nie proszę.

- Najpierw minuta, a teraz knajpa.

Billy pomyślała, że straciła głowę. Za długo siedziała w ocienionej alei, za długo wpatrywała się w twarz Sama i jego piękne krótkowzroczne szare oczy ocienione długimi rudawymi rzęsami. Pozwoliła swoim oczom błądzić po jego policzkach, tam, gdzie lubiła muskać go wargami i po szerokich ustach, które tak często całowała, pozwoliła, by stanął przy niej i dotknął jej i przypomniała sobie jego wspaniałe zapach.

Cóż miała do stracenia? Dlaczego nie mieliby pójść i napić się czegoś? Miała czas, on miał czas. To była dobra pora na drinka. Robiło się chłodno. Wkrótce zamkną bramy ogrodu. Starych przyjaciół i dawnych kochanków nie należy porzucać na zawsze z powodu nieporozumienia, nawet bardzo poważnego, nie wtedy, kiedy tak bardzo przepraszają, prawda? Poza tym miała dość czytania.

Odpowiedziała milczeniem, pomyślał Sam w chwili olśnienia.

- W którą stronę idziesz? - zapytał szybko.

- Tam, na drugą stronę sadzawki.

- Jesteśmy niedaleko od St. Germain-des-Pres - powiedział Sam. - Chcesz iść do Flore czy do Deux Magots? Chyba o tej porze roku będzie tam mnóstwo turystów.

348

- Teraz pewnie znasz Paryż równie dobrze jak ja. Powiedziałeś, że nie wyjeżdżałeś stąd. A ja wróciłam dopiero teraz.

- Naprawdę wcale dobrze nie znam Paryża - wyznał Sam.

- Zanim cię spotkałem, zwiedziłem większość zabytków i to mi wystarczało. Kiedy zniknęłaś, nauczyłem się wreszcie francuskiego, a kiedy uwierzyłem, że mam pieniądze i jestem zamożny, przeprowadziłem się do większego mieszkania, tuż za rogiem. Nadal mam tę samą pracownię i poruszam się w tej okolicy, gdzie mieszkam, chyba że muszę wyjechać za granicę na wystawę, którą organizuje mój agent. I nawet to jest uciążliwe.

- Mówisz jak staroświecki paryżanin - zaśmiała się Billy.

- Wielu z nich żyło i umierało w swojej dzielnicy i nie byli nawet ciekawi, co dzieje się po drugiej stronie Sekwany.

- Przyznaję się do winy... rzadko bywam na Lewym Brzegu. To, że cię spotkałem, to ślepy traf... gdyby nie ten postument... hm, tego, że przyjdiesz do mojej pracowni też nie było w kartach.

- To cholernie nieprawdopodobne, jak to mówią w filmach. Ale nie należy wykluczać przypadku. W Hollywood scenarzystom wolno posłużyć się zbiegiem okoliczności dwa razy w jednym scenariuszu... w przeciwnym razie mają kłopoty.

- Lepiej pośpieszmy się - ostrzegł ją Sam - bo sami wpadniemy w tarapaty. Słyszałem, jak policjant mówił, że zaraz zamykają bramę.

- To naprawdę irytujące, że zamykają bramy o zachodzie słońca - powiedziała Billy. - Rozumiem ich, ale wolałabym, żeby tego nie robili.
- Tak. Tacy są Francuzi. Uważa się ich za romantyków, ale to nieprawda.
- Prawdą jest, że to najrozsądniejszy naród w Europie.
- Nie licząc Szwajcarów.
- Nie licząc Szwajcarów - zgodziła się Billy. - Założę się, że miałeś wystawę w Genewie.
- W Zurychu - uśmiechnął się.
- Sprzedałeś wszystko?
- Wszystko.
- To cudownie.
- Dzięki... Dokąd idziemy? Straciłem orientację.

.....

- Och, chodźmy w tę stronę - powiedziała niedbale Billy.

- Tam powinna być kawiarnia.

Doskonale wiedziała, dokąd idą. Musiała pokazać Samowi dom. Ich wspólne przeżycia nie osiągnęłyby pełni, gdyby nie pokazała mu domu, w którym chciała żyć razem z nim i stajni, którą przerobiła na jego pracownię. Wtedy zrozumie to, czego nie można było wytłumaczyć słowami... zrozumie, że naprawdę źle ją osądzał.

*

- Co to jest? - zapytał Sam, kiedy Billy otworzyła wysoką metalową bramę w porośłym bluszczem murze przy Rue Vaneau.

- Mój kaprys. Dobry wieczór, madame Marie-Jeanne.

- Dobry wieczór, madame. Dobry wieczór, monsieur.

- Dobry wieczór, madame - powiedział Sam.

- Madame Marie-Jeanne, czy zechce pani uprzejmie przynieść mi butelkę czerwonego wina i dwa kieliszki?

- Oczywiście, madame. Zaraz przyniosę.

- Dziękuję, madame Marie-Jeanne.

- Proszę bardzo, madame.

- Proszę łaskawie postawić je w ogrodzie zimowym, madame Marie-Jeanne.

- Oczywiście, madame. Natychmiast, madame.

Billy i Sam przeszli przez podwórze, zanosząc się bezgłośnym śmiechem, który budził w nich francuski rytuał zwykłej uprzejmości.

- Ciesz się, że cię nie przedstawiłam - mruknęła Billy.

- Sprowokowalibyśmy następną rundę wszystkich tych „madame” i „monsieur” i nie obyłyby się bez rozmowy o pogodzie.

- Kto to jest?

- Żona dozorca. Poczekaj, zanim wejdziemy do domu, chciałabym ci jeszcze coś pokazać. - Billy poprowadziła go do jednego z długich skrzydeł budynku z kamienia, znalazła inny klucz i otworzyła kłódkę u drewnianych drzwi, nad którymi stał dęba wspaniały koń na reliefie nad portalem. Po obu stronach drzwi stały latarnie.

- Tu były kiedyś stajnie - wyjaśniła, włączając światło, które zgodnie z jej poleceniem zainstalowano na suficie. Rzędy

358

halogenowych żarówek oświetlały całe wnętrze, od krańca po kraniec.

- To wygląda jak wielka hala fabryczna - powiedział Sam, mrużąc oczy.

- Są tu dwa tuziny boksów dla koni. Teraz to skład antyków, które czekają, żeby je rozpakować.

- Kiedy wybudowano ten dom?

- W latach dwudziestych, a może trzydziestych osiemnastego wieku.

- Jest... niesamowity - mruknął Sam, patrząc na wysoki sufit.

- Tak mi się zdaje - powiedziała Billy, postanowiwszy nie mówić mu, dlaczego zainstalowała tak mocne światło za sumę, która - jak stwierdził jej architekt - wystarczyłaby, żeby oświetlić salę operacyjną w szpitalu. - Chodź, napijemy się wina.

*

Billy i Sam siedzieli w zimowym ogrodzie i otwierali drugą butelkę wina, którą madame Marie-Jeanne zostawiła na tacy na podłodze. Było to Bordeaux, które trzymała na specjalne okazje, Beychevelles rocznik 1971.

- Jeszcze nie widziałem takiego wnętrza, jak to - powiedział Sam. - Nawet bez mebli ma taki wdzięk, że trudno to sobie wyobrazić. Rozumiem, dlaczego chciałaś mieć ten dom.

- Wtedy nikt go nie chciał, ale nikogo nie prosiłam o radę.

Nie, pomyślał Sam, nikogo nie prosiłabyś o radę, ty wspaniała dziewczyno. Uważałem cię za chorobliwie szczodłą, bo chciałaś mi dać małą fioletową fiołkę z pchłego targu. Ty szalona, cicha piękności, tak nieśmiała, iż sądziłem, że nie potrafisz prosić o to, czego chcesz, dopóki nie poprosiłaś mnie, żebym pokazał ci swoje prace i dopóki nie okazało się, że chcesz poczuć mnie w sobie tak mocno, jak i ja pragnąłem znaleźć się w tobie, ty, która groziłaś, że podniecisz mnie w pizzerii, kiedy chciałem coś zjeść, żeby znów pieprzyć się z tobą po raz trzeci w ciągu kilku godzin... i zrobiłabyś to, tylko głosem, tylko słowami, gdybym cię nie powstrzymał... nie, nie prosiłabyś o radę w sprawie tak błahej, jak kupno rezydencji.

- Czy widzisz sosnę w ogrodzie, tę najwyższą? - zapytała Billy.

351

- Tak. Dlaczego pytasz?

- Myślałam, że na Boże Narodzenie zawiesimy na niej lampki. Na Boże Narodzenie w 1981

- Och.

Jezu, dlaczego tak mnie traktujesz, Misiu? Nie każ mi mówić do siebie „Billy”, pomyślał zbuntowany. Czy nie dość ci, że przyprowadziłaś mnie do tego pustego domu, że siedzisz tu ze mną i pijesz wino, że opierasz się o okno, chcąc zachować przyzwoitą odległość ode mnie, ale na tyle blisko, że widzę twoje sutki pod swetrem i przypominam sobie, jak wyglądały twoje piersi, kiedy pochylałaś się nade mną, żebym mógł wziąć je obie w usta jednocześnie, te ciemnoróżowe sutki, których nigdy nie udawało mi się ssać naraz, ponieważ twoje piersi były za duże i za twarde, zbyt pełne, żeby je zetknąć wystarczająco blisko? Ale pamiętasz, jak próbowałem, Misiu? Jak uwielbiałem znajdować się pod tobą, leżąc na brzuchu, a ty wymyślałaś nowe tortury, jak wtedy, kiedy liziałaś mnie od podeszew stóp po łydki, w górę i w dół, ani razu nie zapuszczając się wyżej, liziałaś i ssałaś, a tak mi stwardniał, że bałem się, że oszaleję, że zaleję cały materac, ale ty nie odezwałaś się ani słowem, tylko ssałaś to miękkie miejsce pod kolanem, aż wreszcie w samą porę szepnęłaś „odwróć się” i wetknęłaś w siebie ręką mój członek, a ja wytrysnąłem jeszcze zanim znalazłem się w tobie, Misiu, zanim pchnąłem do końca... pamiętasz to?

- Wszystkie drzewa w ogrodzie są zielone zimą - poinformowała go Billy. - To był mój jedyny ukłon w stronę Kalifornii, żeby mieć zielony ogród przez cały rok.

- Dobry pomysł.

Och, Misiu, zawołał w duchu, co mnie obchodzą drzewa, kiedy potrafię myśleć tylko o tych nocach w moim atelier' kiedy spaliśmy w moim łóżku, a ja budziłem się powoli! bardzo powoli, odkrywając, że mi stanął, a ty trzymasz na nim rękę, tylko że ty udawałaś, że śpisz, leżałaś na boku plecami do mnie, z lekko rozsuniętymi nogami, tak że mogłem powolutku wejść w ciebie od tyłu, jakbym się bał, że cię obudzę, i udawałem, że nie słyszę, jak zaczynasz głośniej oddychać! i poruszałem się jak najdelikatniej, wsuwając się centymetr po centymetrze, aż znalazłem się cały w środku, a jajami przycis

352

kałem się do twojej niewiarygodnej, pulchnej dupci i wtedy wiedziałem, że mogę bezpiecznie sięgnąć nad twoim biodrem i niby przypadkiem włożyć ci palce między uda, jakbym nie wiedział, co robię, a wtedy... Misiu... wtedy sięgałem prosto do tego pączka nabrzmiałego między twymi nogami niczym dojrziała jagoda i ciągle udając wciskałem palce w twoją wilgotną dziurkę, tak po prostu, żeby mieć pewność, że jesteś mną wypełniona, a potem je tam trzymałem, po dwa albo trzy naraz, wodząc kciukiem po twoim pączku i napierając od tyłu, coraz szybciej, ale nigdy zbyt szybko, przeciągając jak najdłużej, dopóki nie wyczuwałem w dłoni i na palcach twego orgazmu... o, Jezu, było tak wspaniale... i żadne z nas nie odzywało się ani słowem... ani słowem, nawet następnego dnia. Udawaliśmy, że nic się nie stało. To właśnie robisz mi teraz, prawda, Misiu, udając, że nie widzisz, jak mi stwardniał, że tylko czekam na twój ruch? To właśnie robisz... Znam cię zbyt dobrze, Misiu, żeby tego nie wiedzieć.

- Billy, czy ty kiedykolwiek wyszłaś za mąż? - spytał szorstko Sam.

- Tak.

- Szczęśliwie?

- Tak sądziłam - odparła krótko.

- Tak sądziłaś? Co to znaczy?

- Nie... nie jestem pewna.

Cóż za kulawa odpowiedź, pomyślała, to prawie zaproszenie. Nie jestem pewna? Jeśli nie jesteś pewna, to nie powinnaś tu siedzieć z mężczyzną, którego kiedyś kochałaś, prawda? Powinnaś jeść

dobrą kolację w jakimś dobrym, małym bistro i czytać przy jedzeniu swój grzeczny kryminał, jedną czynnością znosząc w ten sposób drugą, tak jak robiłaś to przez cały tydzień, czekając na oświecenie, czekając na okazję zajrzenia w przyszłość, ale z pewnością nie powinnaś tu siedzieć w półmroku z Samem Jamisonem. Co by pomyślał Spider, gdyby mógł mnie teraz zobaczyć? Co by zrobił, gdyby wiedział, że jestem w tym domu, o którym mogłam... chociaż może niekoniecznie... wspomnieć mu kilka lat temu, w domu, który dla niego mógłby znajdować się gdziekolwiek na świecie? I co by zrobił, gdybym postanowiła zaprowadzić Sama na górę i pokazać mu drugie piętro? Ale nie zrobiłam tego,

prawda? Gdyby Sam zdał sobie sprawę, że sprowadziłam go do domu z jednym łóżkiem... moim łóżkiem... to... i kto tu kogo zwodzi? Mogłabym w tej chwili paść na kolana, żeby go mieć, mogłabym się na niego rzucić, rozpiąć mu rozporek, wyjąć mu tego sztywnego, sterczącego kutasa, tego wielkiego fiuta, którego znam jak własne pięć palców, i wepchnąć go w... o, Jezu, chcę poczuć jego usta na swoich wargach, chcę poczuć go w sobie, chyba zwariowałam, żeby zostać z nim sam na sam, mogłabym zedrzeć z siebie ubranie i rozłożyć nogi, tu w wykuszu okna, w tej chwili, pozwolić mu się dotykać, ssać i otworzyć mnie tak jak niegdyś, pozwolić mu go sobie włożyć... on tego tak bardzo chce... czy on myśli, że ja tego nie widzę? Musi wiedzieć, że jest wystarczająco dużo światła, żebym widziała, jak nabrzmiał, jaki jest gotowy, szalenie chętny, ale nie robi ruchu, dopóki nie dam mu sygnału, wystarczyłby najmniejszy znak i przyszłość stałaby się znana, kości zostałyby rzucone, skończyłaby się moja męka i nigdy nie oglądałabym się wstecz. Nigdy, przenigdy! Och, ten mężczyzna nadal mnie kocha, nie musi mi tego powtarzać, dostrzegłam to kilka godzin temu w jego rumieńcu i w jego oczach, znam go zbyt dobrze, żeby w to wątpić...

- To dlatego jesteś w Paryżu zupełnie sama? - zapytał Sam. - Bo nie wiesz?

- Tak.

- Doszłaś do jakichś wniosków?

- Jeszcze nie. Właściwie nie potrafię nawet o tym rozsądnie myśleć.

- Dlaczego mnie tu przyprowadziłaś?

- Żeby ci udowodnić, że to, co napisałam w liście, było prawdą, że naprawdę zamierzałam ci powiedzieć, kim jestem, natychmiast po otwarciu wystawy, że przygotowywałam ten dom dla nas. Chciałam ci pokazać, że odmówiłam poślubienia ciebie nie dlatego, że ci nie ufałam.

- A stajnie?

- Myślałam, że mogłyby być twoim atelier.

- Ale tam nie ma świetlików.

- Beaux Arts nie zezwala na żadne większe zmiany konstrukcyjne w budynkach, nawet w prywatnych domach, które

362

zostały uznane za zabytki, jak ten. Dlatego kazałam je tak dobrze oświetlić.

- Rozumiem. A gdybym poprosił, żebyś teraz poszła ze mną do mnie i spędziła ze mną noc, to co byś powiedziała?

- Że nie mogę, Sam.

- Dlaczego? Dlaczego, do jasnej cholery? Jezu, Billy, ja cię kocham, zawsze cię kochałem.

Dlaczego nie możesz dać mi szansy? Pragnę cię... i nie próbuj mi mówić, że ty nie pragniesz mnie, bo ci nie uwierzę.

- Pragnę cię... ale nie mogę.

Naprawdę nie mogę, pomyślała Billy z niedowierzaniem. Wariuję na samą myśl o tym, ale nie mogę ruszyć się w twoim kierunku, niech to diabli, bo nie jestem już taka jak dawniej... Zgubiłam ją... ale znalazłam kogoś innego... komu ona jest potrzebna?... Komuś, kto zdaje sobie sprawę, że po raz pierwszy znaleźliśmy się ze sobą sam na sam w uczciwy sposób, komuś, kto wie, że skoro Sam wie, kim jestem, a ja wiem, że on wie, to zniknęło nieco dreszczyku emocji. Czy chciałabym... czy mogłabym... robić rzeczy, które zrobiłaby Misia? A może martwiłabym się Spiderem? Czy Sam mógłby sprawić, żebym przestała myśleć o Spiderze Elliotcie? Czy mogłabym go tak bardzo kochać?

- Nie możesz? Czy dlatego, że nadal kochasz męża?

- Na to wygląda, prawda?

- Jak daleko stąd jest ten szczęściarz?
- Sześć tysięcy mil.
- No to chyba mam odpowiedź. Jesteśmy tu sami, tylko ty i ja, po drugiej stronie kontynentu i oceanu. Nigdy by się o niczym nie dowiedział, prawda? Nigdy byś mu nie powiedziała... jesteś największą kłamczuchą na świecie... ale ty nie możesz tego zrobić. Bo nie możesz - nie ma innego powodu. Bo, zasadniczo, tak naprawdę tego nie chcesz.
- Tak to chyba jest.
- Takie już mam szczęście. - Sam wstał, szykując się do wyjścia.
- Wypuszczę cię - rzekła Billy. - Trzeba wiedzieć, jak otworzyć bramę.
- Tylko trzymaj się z daleka, paniusiu.
- Sam... przykro mi.

- Obojgu nam przykro, ale nie zgraliśmy się w czasie. Jak zwykle. Kiedy przechodzili przez dziedziniec, Sam spojrzął w dół na Billy idącą o kilka kroków od niego. Nigdy całkowicie się od niej nie uwolni, ale teraz... przynajmniej miał jakąś szansę. Przynajmniej wiedział, że kocha swego męża.
- Billy, jeszcze jedno, czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że nie potrafiłbym pracować bez światła naturalnego? Że te wspaniałe stajnie byłyby dla mnie jak ciemna, ponura cela więzienna, że ja uwielbiam wchodzić pięć pięter, żeby dotrzeć na poddasze, gdzie wlewa się słoneczny blask?
- Nigdy nie pomyślałam... byłam idiotką! Ale mógłbyś przecież zachować stare atelier...
- Nie pamiętasz, jak wstawałam rano i zaczynałam pracować, gdy tylko robiło się wystarczająco jasno, przed śniadaniem, często po kilka godzin? Nadal tak pracuję, wystarczy, że włożę kombinezon i przejdę się za róg.
- Widzę, że zbyt wiele spraw przyjmowałam za pewnik.
- Tylko to jedno. To nic wielkiego.
- A właśnie, że nie... byłam niewiarygodnie bezmyślna.
- Nie przejmuj się - przecież do niczego nie doszło. Pocałujesz mnie na dowidzenia? Billy, Misiu, miłości mego życia?
- To chyba nie jest dobry pomysł. Obdarzano mnie różnymi epitetami, ale nikt nie powiedział, że jestem kompletnie głupia, drogi Samie. A przynajmniej nie w najbliższej przeszłości,' nie... w ciągu ostatniego tygodnia. - Billy roześmiała się cicho i zamknęła za sobą bramę.

16

Gdy tylko gulfstream osiągnął pułap podróży w drodze powrotnej do Kalifornii, Gigi odchyliła się w fotelu i zamknęła oczy, wracając myślami do planów „Smaragdu Winthropa”, które w ciągu minionego tygodnia nauczyła się pod kierunkiem Renzo Montegardiniego czytać i rozumieć. Wszyscy się zgo

364

dzili, że jeśli Gigi ma wiedzieć, jakie najważniejsze atuty statku ma wykorzystać w tekstach reklamowych, to powinna doskonale znać rozplanowanie jego wnętrza.

- Najniższy pokład, jaki będą oglądać pasażerowie, to Pokład Koziorożca, na którym wsiadają na statek - poinformował ją Montegardini. - Mieszczą się na nim głównie kajuty oficerów, kuchnia i restauracja, tak żeby pasażerowie mieli wrażenie, że jedzą jak najbliżej oceanu. Ponieważ znajduje się nisko, a także między innymi pokładami, ma dodatkową zaletę maksymalnej stabilności.
- W jaki sposób pasażerowie będą decydowali, gdzie chcą siedzieć przy kolacji? - spytała Gigi.
- Będą sami robić rezerwacje w ciągu dnia, zależnie od nastroju. Kierownik sali spełni każdą prośbę od stolika na dwoje po stół na dwanaścioro, a kolacja będzie podawana od 19.30 do 21.30, żeby restaurację można było zamknąć o 23.30.
- Czy jest stolik kapitański? - zapytała Gigi.
- Ależ oczywiście. Gdyby nie było stolika kapitańskiego, to gdzie jadłby kapitan? W przeciwieństwie do dawnej tradycji, kiedy co wieczór z kapitanem jedli ci sami ludzie, codziennie będzie on zapraszał do wspólnej kolacji inną grupę pasażerów. Spójrz teraz tutaj, Graziello Giovanni, na pokład znajdujący się wyżej, Pokład Bliźniąt. Mamy tu pierwsze z apartamentów, dzięki którym ten statek różni się od wszystkich innych. Z każdej strony głównego korytarza statku znajduje się czternaście apartamentów po pięćdziesiąt siedem metrów kwadratowych. Apartamenty leżą na trzech z pięciu nowych pokładów, w sumie jest ich osiemdziesiąt cztery, plus apartament właściciela. „Smaragd Winthropa” może pomieścić najwyżej - powtarzam, najwyżej - stu siedemdziesięciu pasażerów plus stu czterdziestu ludzi załogi. Statek tych rozmiarów mieści zwykle dwa razy tyle pasażerów i ma zaledwie kilka apartamentów.

Ta dziewczyna jest niepokojąca, przyznał w duchu Renzo Montegardini z krzywym uśmiechem mężczyzny starszego od Gigi o trzydzieści lat, mężczyzny wyrafinowanego, któremu kobiety czyniły wiele propozycji przyjmowanych przez niego ku obopólnej przyjemności. Ta dziewczyna, która pochylała się nad rysunkami technicznymi z tak pełną uległości chęcią

357

śluchania, z klejnotami oczu lśniącymi zza czarnych, aksamitnych wachlarzy tak rozkosznie sztucznych rzęs, odbierała mu spokój umysłu. Kiedy z dokładnością architekta okrętowego objaśniał jej plan apartamentu, wyobraził sobie, że jej ramię byłoby w dotyku tak palące, jak chłodny byłby jej nosek.

- Każdy apartament - powiedział z rezygnacją w głosie, myśląc o Benie Winthropie - składa się z dwóch leżących obok siebie pokoi. Wchodzi się przez krótki korytarz, po którego obu stronach są łazienki w blad różowym marmurze i garderoby z sejfami. Do pokrycia ścian użyłem kombinacji jasnego drewna i brokatów w wesołych, pastelowych kolorach. Zażądałem, żeby były pikowane, co da dodatkowe wyciszenie. Nie żałowałem wąskich luster od podłogi do sufitu, które powiększają pokoje i odbijają morze.

- A co z bulajami? - spytała Gigi.

- *Cara* koleżanko - odparł wstrząśnięty architekt - bulaje, i to w dużych ilościach, znajdują się w pomieszczeniach dla załogi, lecz w zaprojektowanych przeze mnie apartamentach są okna od podłogi do sufitu, które można, za naciśnięciem guzika, przesłonić w nocy żaluzjami, żeby lubiących długo spać nie raziło światło. Bulaje!

- Skąd mogłam wiedzieć? - rzekła łagodnie Gigi. - A jak wygląda reszta apartamentu?

- Tutaj, półtora metra za wejściem, widać ściankę dzielącą pokoje. W sypialni jest ogromne łóżko, które da się rozdzielić na dwa pojedyncze, dwie wbudowane szafki nocne i długa toaleta naprzeciwko łóżka. Drugi pokój jest wielofunkcyjny. Zainstalujemy tam telewizor i magnetowid wysuwający się z szafki za naciśnięciem guzika, barek, biurko i okrągły stolik, przy którym będzie można zjeść śniadanie lub w coś zagrać. Każdy przedmiot, każdy mebel został wybrany przez zespół projektantów pod kątem stworzenia atmosfery beztrudnych wakacji.

- Czy ta ścianka działowa tu się kończy? - spytała Gigi stukając palcem w rysunek.

- Tak, zasłania dostęp do sypialni. Po połączeniu obu pokoi powstaje szeroki, wygodnie umeblowany salon wychodzący wprost na morze, do którego można zaprosić na koktajl choćby i trzydzieści osób - albo spędzić intymny wieczór we dwoje.

366

Architekt pomyślał, że jej usta byłyby w tym przytulnym apartamencie niebezpiecznie miękkie i nerwowo spragnione, kiedy odchyliłaby głowę do pocałunku. Piersi miała okrągłe, osadzone wysoko i dość szeroko, jak na pewnych starych sztychach, które niegdyś dręczyły jego chłopięcą wyobraźnię. Na pewno ma zawadiackie biodra i rozwścieczająco dziecinny puszek między nogami. Renzo westchnął i pomyślał o jej wieku. Oraz o swoim.

- Co jest jeszcze na tym pokładzie, Renzo? - zapytała niecierpliwie Gigi.

- Sklepy i biuro wycieczek portowych, Graziello Giovanni. Wyżej znajdziesz wszystkie pomieszczenia publiczne niezbędne na statku pasażerskim: salę balową, duży bar i małe bary, kasyno, wypożyczalnię książek, pijalnię wód mineralnych, salon kosmetyczny, siłownię, specjalny bar „U Ricka” oraz jeszcze jedno spokojne pomieszczenie na codzienne spotkania Anonimowych Alkoholików, co jest bardzo ważne wśród pokus morskiej podróży, no i oczywiście basen, leżaki i dużo miejsca dla zapalonych sportowców.

- A co mam zrobić, kiedy obejdę ten pokład plażowy dwadzieścia razy i zgłodnieję?

- Na pokładzie plażowym, który, zechciej to zapamiętać, nazwiemy Pokładem Zodiaku, jest Bar Podniebny, serwujący dla maniaków zdrowia świeże soki. Tutaj, na dziobie Pokładu Zodiaku, w Sali Równikowej, wysoko nad mostkiem kapitańskim, podajemy dwadzieścia cztery godziny na dobę przekąski, a po południu wystawny podwieczorek. Jeśli nadal będziesz głodna, służba hotelowa jest do usług dzień i noc. Zdaje się, że dopisuje ci apetyt, *piccola signorina*.

- Pracowałam kiedyś w kuchni - wyjaśniła Gigi. - Uwielbiam myśleć o jedzeniu.
- To czarujący talent - rzekł z rosnącym z każdą minutą żalem Renzo. Czymże jest piękno bez apetytu?
- Tutaj, Renzo - powiedziała Gigi pokazując palcem - na rufie Pokładu Zodiaku są dwa ogromne, puste miejsca. Czy to podstawy kominów?
- Istotnie. Ich jedyną funkcją jest nadanie statkowi odpowiedniego stylu. A ta otwarta przestrzeń za nimi, na samej rufie, to jeszcze jeden pokład plażowy.

- A gdyby tak na statku były dwa duże śmigłowce? Czy mógłbyś wykorzystać podstawy kominów jako hangary? Czy śmigłowce mogłyby lądować na tym pokładzie plażowym?

- Oczywiście, ale nie planujemy dwóch śmigłowców. Dlaczego pytasz?

- Pomyślałam... powiedzmy, że zacomowalibyście na dzień w Londynie... jeśli pewna grupa kobiet wolałaby zamiast zwiedzania Londynu zobaczyć pokaz mody w Paryżu, to z łatwością mogłyby polecieć śmigłowcem i wrócić na statek przed kolacją, prawda? Albo gdybyście stali w Pireusie, to zamiast walczyć ze smogiem na Akropolu, mogłyby zrobić sobie jednodniową wycieczkę na greckie wyspy - znalazłoby się sto sposobów wykorzystania ich.

- Rozmawiałaś już o helikopterach z Benem?

- Nie, ale to zrobię, skoro już wiem, że znajdziesz dla nich miejsce.

Znalazłbym miejsce nawet dla czterech helikopterów, gdybyś ty znalazła u siebie miejsce dla mnie, pomyślał Montegardini, gdybyś znalazła dla mnie miejsce z szeroko otwartymi i władczymi, zielonymi oczyma, kpiarsko i ostentacyjnie, z obnażonymi swymi wszystkimi zniewalającymi, absorbującymi, nieznośnymi urokami, aż padłbym wyczerpany niczym zwycięzca na polu bitwy. Przygryzł wewnętrzną stronę wargi i znów pomyślał o Benie Winthropie. To zaborczy człowiek, całkowicie zaborczy.

- Renzo? Renzo! Nie sądzisz, że mógłbyś wygospodarować trochę miejsca z sali balowej - ona jest naprawdę ogromna - na magazyn kostiumów i przymierzalnię?

- A to w jakim celu, moja droga przyszła architektko okrętowa?

- Na bale maskowe. Uważam, że podczas każdego rejsu powinien się odbyć bal maskowy, bal z tematem-niespodzianką, za każdym razem z innymi kostiumami. Trzeba by je kupować z wyprzedzeniem, przechowywać na wieszakach i na oczekaniu dopasowywać do pasażerów. Mogliby to robić zdolni krawcy od przeróbek. Nigdzie indziej nie widzę ani cała wolnego miejsca.

- A gdzie by ci krawcy spali?

368

- Może... z oficerami? - mruknęła Gigi błagalnym tonem, na który Renzo zareagował rozpaczliwą próbą przypomnienia sobie kotów żony.

- Spróbuję, Graziello Giovanni, na tym etapie nic nie jest niemożliwe.

- Och, Renzo, jesteś aniołem! Jeśli nic nie jest niemożliwe, to czy nie powiedziałbyś, że możesz ociupinkę zmniejszyć główną salę jadalną i dodać do niej prywatną salkę, w której ludzie mogliby planować specjalne kolacje, raz chińską, raz włoską czy zimny bufet? Mogliby ją rezerwować przed rejsem na przyjęcia urodzinowe i rocznicowe - czy nie byłby to dobry pomysł?

- Zobaczą, wielce *cara* Gigietto, zobaczą, czy da się to zrobić - westchnął.

A ty, moja czarująca, grająca na nerwach dziewczyno, jesteś gibką, szczerą diabolicą, kierującym się instynktem i namiętnością zwierzątkiem, nieświadomie dzierżącym swą ciepłą broń... a ja absolutnie muszę cię wyrzucić z gabinetu i odzyskać zmysły.

*

Oglądanie rysunków technicznych okazało się tak fascynujące, że pod koniec tygodnia Gigi poleciła je zmniejszyć i dołączyć do teczki z *Sizione Maestra*, reprodukcją obrazu przedstawiającego „Smaragd Winthropa” i zestawem zdjęć wnętrza apartamentów. Wszystko to miało być przy entuzjastycznym poparciu Bena wykorzystane jako specjalny dodatek reklamowy, oddzielnie oprawiony i włożony do magazynów „Town and Country”, „Architectural Digest” i „Vogue”. Posługując się wybranymi kodami pocztowymi można było go wysłać w rejony, gdzie mieszkała większość przyszłych amerykańskich pasażerów „Smaragda”. Ostatnia strona dodatku reklamowego zawierała tylko jedną linijkę tekstu - stwierdzenie, że bilety na dziewiczy rejs „Smaragdu Winthropa” zostały wyprzedane.

- Nie boisz się tak szybko dzielić skóry na niedźwiedziu, *piccola* Graziella Giovanna? - zapytał Renzo unosząc brwi.

- Dziewiczy, bezpośredni rejs z Wenecji do Nowego Jorku będzie można odbyć tylko będąc zaproszonym - uspokoiła go Gigi. - Czy potrafiłbyś odrzucić taką propozycję?

361

- Żadna twoja propozycja nigdy nie zostanie odrzucona, droga i ceniona koleżanko.

Gigi siedziała w odrzutowcu wiozącym ją do Kalifornii z notesem i długopisem w dłoniach. Pisała kartkę mającą uzupełnić prezent dla Eleonory Colonney, która w przyszłym tygodniu kończy 65 lat. W ciągu zeszłego roku Gigi dużo jeździła do San Francisco, żeby pracować z projektantami Indigo Seas i uaktualniać kampanię reklamową. Jej przyjaźń z głową rodziny stale się pogłębiała. Ilekroć Gigi przyjeżdżała do San Francisco, zatrzymywała się teraz w pokoju gościnnym Eleonory Colonney i doskonale już знаła jej dużą rodzinę, poczynając od trzech braci Collins i ich żon, a kończąc na ostatnim wnuku.

Podczas pięciu dni spędzonych w Nowym Jorku Gigi miała czas odwiedzić swoje ulubione sklepy ze starą bielizną, szukając romantycznych, bogato zdobionych, ręcznie szytych strojów stworzonych w czasach, kiedy kobiety znały erotyczną prowokację sugestii i dobrze rozumiały, że minimum odsłoniętego ciała wywoływało maksimum pożądania. W pudełku u jej stóp leżało prawdziwe znalezisko, kompletny kostium kąpielowy z 1894 roku, stuletnie dzieło noszone w kąpeli przez emancypantki dopiero wtedy, kiedy uderzenie dzwonu wyganiało z plaży wszystkich mężczyzn.

Kostium składał się z czterech części: bardzo szerokiego, długiego do ziemi płaszcza z grubego, białego lnu z licznymi falbanami i kokardami na dole i zawiązywanego pod kołnierzem z podwójnej kryzy. Kiedy właścicielka stroju kroczyła po piasku, płaszcz ten całkowicie przykrywał sam kostium kąpielowy. Pod płaszczem dzielna pływaczka miała na sobie długą do kolan, mocno ściągniętą szerokim pasem sukienkę z cienkiego lnu, a pod nią pantalon z jeszcze cieńszego lnu zebrane pod kolanami i kończące się prawie w połowie łydki. Sukienka i pantalon były biało-granatowe, gęsto haftowane w śmiało marynarskie paski. Ostatnią częścią tego stroju była szeroka opaska w biało-granatowe pasy z dwiema kokardami po bokach, mająca zastępować kapelusz.

370

Trzeba było 25 lat, żeby Deauville przyszło do siebie po sensacji wywołanej przez tajemniczą Włoszkę, która pojawiła się pewnego poranka na plaży i tak błyskawicznie opanowała wyobraźnię miejscowych dżentelmeńców, że w ciągu kilku dni w całej Normandii nigdzie nie można było kupić lornetki. Nikt nie wiedział, jak się nazywa, chociaż tego wieczora w kasynie szeptali o niej wszyscy, nawet zblazowani krupierzy. Wkrótce rozniosła się pogłoska, że dziewczyna ma na imię Eleonora. Czy była jednak tancerką, czy też księżniczką? Cnotliwą damą błękitnej krwi czy aktorką? Dzięki przekupieniu pomocnic, które wycierały Włoszkę po odważnym zanurzeniu się jej w morzu, dowiedziano się jedynie tego, że ma ciało wielkiej kurtyzany, skórę dziecka, twarz anioła i skromność zakonnicy. A także, że ma zaledwie 15 lat. Dwaj młodzi książęta oszalali z pożądania posyłali jej za pośrednictwem kąpielowych prezenty. Jeden z nich ofiarował jej diament wielkości kasztana, do niedawna będący własnością opętanego żądzą gry w bakarata maharadży, a drugi posłał jej diamentową tiarę będącą od pięciuset lat w posiadaniu jego rodziny. Prosili tylko o spotkanie z Eleonorą w drodze do zakrytego powozu czekającego na nią na granicy plaży. Zwróciła im jednak prezenty bez odpowiedzi. Dwaj książęta codziennie obserwowali ją przez lornetki. Potrafili myśleć wyłącznie o niej. Pewnego dnia za sumę, za którą mogliby dwa razy przekupić prezydenta Francji, udało im się przebrać w suknie i czepki kąpielowych. Eleonora, która nie była gadułą, niczego nie zauważyła do chwili, kiedy wróciła z kąpeli w oceanie i udała się do przebieralni, gdzie miała zostać rozebrana z kostiumu kąpielowego. - Dlaczego czekam cała przemoczona? - zawołała w zdumieniu. - Nie widzicie, że ta przeklęta suknie przylgnęła do mnie? Jeśli się nie pośpieszycie, złapię ją grippe. - Lecz jej pomocnicy tak zeszywnieli z pożądania na

*widok mokrej materii podkreślającej linie jej zmysłowego ciała, że nie mogli się poruszyć. -
Dobrze więc, będę musiała rozebrać się sama - oznajmiła z oszalamiającym dreszczem i zupełnie*
363

sama rozpięła kostium kąpielowy, była bowiem dziewczyną sprytną i zaradną. W tej chwili obaj książęta rzucili się na kolana powodowani wstydem za swój czyn, bo zdali sobie sprawę, że Eleonora jest jedyną kobietą, za poślubienie której każdy z nich oddałby życie - ich mamusie bały się, że taka kobieta nie istnieje. Zakrywając w skrusze oczy wyjawili swą tożsamość, na co Eleonora spokojnie odparła: - W takim razie może jeden z was będzie uprzejmy podać mi ręcznik. - Tego wieczoru Eleonora pojawiła się w kasynie Deauville w towarzystwie obu książąt. Podczas jej królewskiego obchodu prywatnych salek, podczas którego okrywał ją jedynie powłóczysty biały lniany płaszcz oraz opadające luźno na ramiona ciemne włosy, ucichł nawet dźwięk obracających się ruletek. Zdobiły ją kwiaty pomarańczy we włosach, ponieważ była o wiele za młoda na diamenty. Następnego dnia Eleonora nie pojawiła się na plaży, podobnie jak przystojniejszy z książąt, ten, który jako pierwszy podał jej ręcznik. Dobrze poinformowane źródła podają, że żyli długo i szczęśliwie, wyjechawszy na wybrzeże Kalifornii, gdzie Eleonora została księżniczką na długo przedtem, nim oboje zrzekli się tytułów, by zostać obywatelami Stanów Zjednoczonych. Najmłodsza córka Eleonory została matką Eleonory Colonney, następnej wielkiej piękności rozumiejącej potęgę mokrego kostiumu kąpielowego.

Z wyrazami miłości Gigi

Na dole kartki Gigi starannie narysowała jedną ze swych wyrazistych, zabawnych scenek z Eleonorą w owej krótkiej, prowokacyjnej chwili, na którą tak ochoczo czekali panowie z lornetkami, kiedy to musiała wyjść po kąpiele z łagodnego pod Deauville morza i podbiec do kąpielowych czekających z rozwianym płaszczem, w który szybko ją owijały.

Gigi z zadowoleniem włożyła kartkę do pudełka i owiązała je wstążką. Zadzwoiła na stewarda chcąc powiedzieć mu, że może już podać obiad. Miała jeszcze kilka godzin na napisanie kartek do zdumiewającego, pięcioczęściowego wiktoriańskiego „kompletu małżeńskiego” z białej koronki dla Saszy i najwyraźniej nie używanej, edwardiańskiej wykwiintnej bon

372

żurki z aksamitnym kołnierzem od Charveta, którą odkryła dla Vita. Żeby oddać jej sprawiedliwość, będzie musiał zapaść wasy.

*

W poniedziałek rano Gigi przyszła do agencji tak wcześnie, że sądziła, że znajdzie się wśród pierwszych głodnych dusz w obwarzankowym centrum. Spędziła ekscytująco bezsenną noc, nie potrafiąc uwolnić się od planów co do „Smaragdu Winthropa”. Zdała sobie sprawę z własnego podniecenia o wpół do czwartej nad ranem, kiedy stwierdziła, że nadal zastanawia się, jak namówić Renzo do znalezienia miejsca dla pełnowymiarowego stołu do ping-ponga w części pokładu zarezerwowanej dla leżaków. Ping-pong był jedynym sportem, w którym Gigi osiągnęła mistrzostwo i w którym według niej każdy, choćby był zupełnie niewysportowany, ma szansę. Po następnej godzinie gorączkowej koncentracji nad trwającym przez cały rejs turniejem tenisa stołowego z fantastycznymi nagrodami przyszło jej na myśl, że stół do ping-ponga można rozstawić i złożyć w kilka minut, że nie trzeba dla niego specjalnego miejsca, i w końcu uspokoiła się na tyle, że zapadła w godzinny, głęboki sen. Obudziła się o szóstej, jakby tuż przy jej poduszce rozdzwonił się alarm pożarowy.

- Cześć, Polly - przywitała się ospale z recepcjonistką. Wzięła talerz z nadzieją, że obwarzanki są złożonymi węglowodanami. Ze strachu przed odpowiedzią nigdy nie odważyła się zadać tego pytania.

- Cześć, nieznamy. Jak było w Nowym Jorku?

- Fantastycznie. Co nowego w FRB?

- Szaleństwo. Posłuchaj, Victoria chce cię zobaczyć *pronto*, jak tylko się pojawisz.

- Ona już przyszła?
- Wszyscy dzisiaj przyszli wcześniej - powiedziała Polly z miną kogoś, kto nie może czegoś wyjawić.
- Co wyjaśnia, dlaczego nie został ani jeden obwarzanek - powiedziała rozczarowanym tonem Gigi, nakładając na talerz dwie lepkie cynamonowe bułeczki i nalewając sobie gorącej herbaty. Zniosła śniadanie do swego biura, w którym akurat nie było Lisy Levy, utalentowanej graficzki pracującej

jako jej partnerka, i zdecydowała, że nic, co ma jej do powiedzenia Victoria, nie jest ważniejsze od jedzenia. Nie zjadła śniadania w domu i czuła się trochę słabo. Kiedy zadzwonił telefon, miała pełne usta.

- Mówi Polly, Victoria pyta, czy jesteś w drodze do jej biura.

Gigi pośpiesznie przełknęła.

- Jak szybko mogę jeść, do jasnej anielki? Mogłabym się udławić.

- Weź jedzenie ze sobą, ona jest w bojowym nastroju.

- Powiedz pannie Vicky, że przyjdę, jak tylko odbędę medytację transcendentálną i przeczytam porady sercowe. Brak porannych rytuałów to zły początek dnia.

- Gigi, proszę cię, zrób to dla mnie.

- No, dobrze. - Idąc korytarzem do dużego biura, w którym królowała Victoria, Gigi pomyślała, że jeśli jej szefowa sądzi, że może zepsuć jej dzień, to się myli.

- No i? - powiedziała Gigi zatrzymując się w drzwiach. Stojący w biurze Archie i Byron wyglądali na podekscytowanych, a Victoria wypróbowała nowy młynek do pieprzu stojący obok dużego talerza obwarzanków, topionego sera i wędzonego łososia.

- Czy to moje urodziny? - zapytała wesoło Gigi, kiedy Arch i By podeszli, żeby ucałować ją na powitanie.

- To przyjątko powitalne - wyjaśnił Archie. - Możesz nam nie wierzyć, ale brakowało nam twojej wesołej buzi, więc żeby wyrazić nasze uczucia, przygotowaliśmy twoje ulubione danie.

- Teraz widzę, skąd ten pośpiech - powiedziała Gigi do Victorii, czując tylko lekki wstyd z powodu swych wcześniejszych myśli. - Dajcie mi dostęp!

- To był mój pomysł - powiedział z dumą Byron. - Archie chciał kupić ciasto, ale ja wiedziałem, co lubisz najbardziej.

- Miałaś świętą rację, Byronie Trzeci - rzekła Gigi nakładając sobie ogromną porcję. -

Głosowaliście, Victorio? - zapytała ciekawie.

- Proponowałam kilogram kawioru z białym i mnóstwo szampana Dom Perignon - odparła Victoria - ale zostałam przegłosowana. Nigdy nie doceniałam obwarzanków. Gigi, świeżego pieprzu na tego łososia?

366

- Odrobinę - powiedziała Gigi. Kiedy Victoria Frost myślała jednocześnie o kawiorze, szampanie i Gigi Orsini, to coś było nie w porządku.

- Opowiedz, jak spędziłaś tydzień, Gigi - poprosił Archie, kiedy skończyli jeść.

- Archie, a może opowiesz Gigi o naszym tygodniu?

- wtrąciła się gładko Victoria. Czy nie dosyć, że w końcu zgodziła się na to absurdalne śniadanie?

Chyba nikt nie oczekuje po niej, że będzie wysłuchiwać potoku informacji na temat tego statku wycieczkowego i jego wyglądu? Czekala na tę chwilę od zeszłego czwartku - sześć pełnych niecierpliwości dni wyobrażania sobie miny Gigi, kiedy wreszcie dotrze do niej, że podczas jej nieobecności agencja powiększyła wartość swoich kontraktów o ponad sto milionów, zmieniła się z nowo powstałego biura, w którym Gigi była rozpieszczana i traktowana jak cudowne dziecko w agencję, w której będzie jedynie jednym z pracowników, chociaż dość zajęтым.

Byron i Archie uparli się przy uroczystości powitalnej. Mimo jej zapewnień mieli resztki wątpliwości co do przyjęcia zamówienia Scruples II pod nieobecność Gigi. Archie zaproponował nawet danie jej tytułu „asystentki dyrektorów artystycznych”, lecz Victoria się temu sprzeciwiła.

- Czas na danie Gigi jakiegokolwiek tytułu nadejdzie wtedy, gdy będziemy rozpatrywać jej roczne wynagrodzenie

- powiedziała wtedy Victoria i nie ustąpiła. Jakże to do nich podobne śpieszyć się z nagrodami, które według Gigi by się jej należały. Już dali jej o wiele za dużo pieniędzy. Został im tylko tytuł, ale Arch i By nie mieli talentów kierowniczych, nie rozumieli zasad opóźnionego wynagradzania i konieczności zachowania porządku wśród pracowników twórczych.

Mała panna Orsini niewątpliwie będzie musiała otrzymać nagrodę, ale nie ma sensu wyłazić ze skóry. Miała przewrócone w głowie jeszcze zanim zaczęła tu pracować, wkroczyła tu z pewnością siebie, lecz w czasie delikatnego okresu, w którym starali się przestać być nowo powstałą agencją, w żaden sposób nie dało się zastosować do Gigi rzeczywistości świata interesu - ona po prostu zmieniła się w jednoosobową orkiestrę. Teraz jednak, po zdobyciu gigantycznego zamówienia Beach Casuals, obraz całkowicie się zmienił i Gigi nabrała

odpowiednich proporcji. Nie ma już cudownej dziewczyny, nie istnieje już małe dziecko zdobywczyni średnich zamówień dzięki hojności Bena Winthropa, który za każdym razem, kiedy pieprzył się z Gigi, niewątpliwie gratulował sobie, że płaci za to urząd skarbowy, ponieważ wydatki na reklamę można odpisywać od podatku. Czy Gigi w ogóle zdaje sobie sprawę, że jest seksualnym odpowiednikiem służbowego obiadu?

- Powiedz jej sama, Victorio - odparował Archie. - To twoje dziecko, nie moje.

- Nie obchodzi mnie, kto i co mi powie, jeśli tylko uda się wam dotrzeć do sedna. Mam wam tyle do powiedzenia

0 „Smaragdzie”.

- Gigi, jesteś tu już prawie od roku - rzekła Victoria przybierając zgodnie ze swym planem słuszną jej przynależną rolę przywódczyni. - Na pewno wiesz, że wykazałaś się jako autorka tekstów reklamowych potrafiąca także zdobywać nowe zamówienia - ciągnęła. - Wszyscy zdawali sobie sprawę, że kiedy przechodząc do nas zrobiłaś to pod warunkiem niezabiegania o reklamę Scruples II, bałaś się smrodku nepotyzmu. Jednak...

- „Jednak”? - wtrąciła Gigi. - Nie podoba mi się to słowo. - Teraz wiedziała już, skąd się wziął pomysł kawioru

1 szampana.

- Jednak - ciągnęła Victoria z lekkim uśmiechem, jakby dzieliła z Gigi jakiś sekret - niewątpliwie zdawałaś sobie sprawę, że odniosłaś samodzielnie wystarczająco wiele sukcesów, aby uczynić ten szczególnie, z braku lepszego słowa, skrupuła całkowicie nieprofesjonalnym i głęboko względem nas, jako twoich pracodawców, niesłusznym.

- Chcesz powiedzieć, Victorio, że zachowuję się nieprofesjonalnie?

- Wręcz przeciwnie. Kiedy byłaś nowa i zielona, to rzeczywiście miało to miejsce, ale teraz z całą pewnością tak nie jest. Wszyscy się zgadzamy, że stałaś się prawdziwym zawodowcem od reklamy. - Uśmiech Victorii pogłębił się, jakby panujące między nimi zrozumienie było głębsze, niż ktokolwiek zdawał sobie sprawę. - Zanim tu przyszłaś, zanim zrozumiałaś naturę naszego zawodu, Archie i Byron popełnili w pośpiechu omyłkę. Pozwolili ci podciąć nam skrzydła

376
i powstrzymać nas przed zabieganiem o zamówienie, do którego zrealizowania jesteśmy wyjątkowo odpowiedni. W zeszłym tygodniu poszłam do Spidera Elliotta - od dawna był niezadowolony z agencji Russo & Russo - który praktycznie rzucił się na okazję skorzystania z naszych usług przy reklamie Scruples II... nie chciał nawet urządzić konkursu ofert.

- Dlaczego przed przedstawieniem oferty Spiderowi nie porozumiałaś się ze mną w Nowym Jorku? - spytała gniewnie Gigi.

- Porozumieć się z tobą? Daj spokój, Gigi, jako profesjonalistka na pewno zdajesz sobie sprawę, że kierownictwo nie musi pytać cię o pozwolenie przy zdobywaniu zamówień. Przyjęliśmy twoją zgodę za rzecz oczywistą.

- Kiedy to wszystko się stało? - zapytała Gigi z płonącymi policzkami.

- Jakiś tydzień temu... co za różnica?

- Tydzień temu? Spider i Billy wiedzieli, co ja o tym sędzę. Nie zadzwonili, żeby mi powiedzieć... można by pomyśleć, że przez tydzień... - Gigi była kompletnie oszołomiona, bo zobaczyła, że mimo złamania uroczystej obietnicy Archie i Byron uśmiechają się do niej promiennie.

- Elliottowie niewątpliwie zgadzają się z nami, że jesteś już dużą dziewczynką i że nie trzeba się nad tobą roz-tkliwiać.

- Rozumiem, dlaczego nie potrafisz pisać tekstów reklamowych, Victorio - masz talent do wynajdywania obraźliwych wyrazów - rzuciła Gigi.

Yictoria nie zwróciła na nią uwagi.

- Będiesz pracowała z Byronem jako dyrektor artystyczny

- powiedziała - i będziesz miała okazję pisania nowatorskich tekstów do katalogu.

- Serdeczne dzięki, pisałam nowatorskie teksty do katalogu przez kilka lat - rzekła Gigi wstając. -

Jednym z powodów mojego tu przyjscia była chęć oderwania się od roboty katalogowej.

- Gigi, ty to potrafisz robić małym palcem lewej stopy

- powiedziała ze zniecierpliwieniem w głosie Victoria. - Dlaczego tak trudno jest ci przyznać, że zawadzasz nam w zdobyciu klienta, który potrzebuje nas tak bardzo, jak my jego?

369

- Dzięki za śniadanie, ale nie musieliście w ten sposób łagodzić wiadomości.
Odwróciła się szybko w kierunku drzwi, żeby nie musieć patrzeć na głupio uśmiechnięte, zdradliwe, zadowolone z siebie twarze Archiego i Byrona. Sądziła, że są przyzwoitymi facetami, ale teraz rozumiała, że się myliła, chociaż byli czarujący. Czyż jednak urok osobisty nie stanowi zasadniczego wyposażenia dyrektora od reklamy? Była zdumiona i głęboko rozczarowana, że knuli za jej plecami lub, w najlepszym wypadku, byli w zмовie z Victorią.
Jeśli Victoria rzeczywiście uważa ją za taką profesjonalistkę, to zamiast czekać z przedłożeniem Elliottom oferty, aż Gigi wyjedzie z miasta, porozmawiałaby z nią na temat najlepszego sposobu zdobycia tego zamówienia.

I Gigi pomyślała, że gdyby doszło do takiej rozmowy, to teraz czuła się na tyle pewna swoich umiejętności, że zgodziłaby się z Victorią, że okres ochronny na Scruples

II minął.

- Jest jeszcze inna wiadomość, Gigi. Usiądź, nie uciekaj

- powiedziała pośpiesznie Victoria.

- Jaka wiadomość? - Gigi odwróciła się i zobaczyła na twarzach całej trójki taki sam wyraz, wyraz radosnego zwycięstwa.

- Wspaniała! Niewiarygodna! - odezwał się Archie. - Zdobyliśmy Beach Casuals!

- O, cholera, nie wierzę - odparła Gigi w kompletnym oszołomieniu. Teraz знаła już przemysł kostiumów kąpielowych jak własną kieszeń i wiedziała, co to znaczy.

- Uwierz! - zawołał radośnie Archie. - Uwierz w 90 milionów dolców rocznie!

- O, mój Boże... to cudowne... wspaniałe... ale... ale...

- Ale co? - zapytał Byron. - Wiesz, że przy zamówieniu na 90 milionów nie ma żadnych „ale”.

- Ale... to jest sprzeczne z interesami Indigo Seas.

- Och, na litość boską, Gigi, to nie jest żadne „ale”

- roześmiał się Byron.

- A jednak sprzeczność interesów istnieje - uparła się Gigi.

- Oczywiście - rzekł Archie - i dlatego zrezygnowaliśmy ze współpracy z Indigo Seas.

378

- Najbardziej niewiarygodne było to, że Beach Casuals trafili się tego samego dnia, co Scruples II

- byliśmy tak nieprzytomni z radości, że usiedliśmy tu i upiliśmy się

- powiedział Byron. - Powinnaś być z nami.

- Domyślam się, że musieliście tu być - rzekła cicho Gigi patrząc na ich ożywione, rozradowane twarze. - Mieliście jakieś problemy z zawiadomieniem braci Collins?

- Nie sprawiło mi to żadnego kłopotu - odparła z zadowoloną miną Victoria.

- Pytali, czy ja o tym wiem?

- Powiedziałam im, że wyjechałaś z miasta. Jestem pewna, że zrozumieli, są w tym interesie podobnie jak my wszyscy.

- Nie wszyscy - powiedziała powoli Gigi. - Nie liczcie na mnie.

- O czym ty mówisz? - zapytał z niedowierzaniem Archie.

- Chyba żartujesz - co to znaczy nie liczyć na siebie?

- Nadeszła chwila prawdy, Arch. Właśnie zdałam sobie sprawę, że nie nadaję się do reklamy. Nie stałam się profesjonalistką, co tak wam wygodnie mi wmawiać...

- Victorio, czy nie ostrzegałem cię, że będzie niezadowolona... - wybełkotał w podnieceniu Archie.

- Nie chodzi mi o Scruples II, Archie, ale o dwulicowość. O złamanie danej mi obietnicy - obietnicy, jaką złożyliście mi z Byronem, zanim zgodziłam się przyjąć tę pracę - o złamanie jej,

ponieważ nadarzyła się okazja zdobycia zamówienia, którego utraty nie chcieliście ryzykować przez zaufanie mi...

- Chwileczkę, to był pomysł Victorii, a nie...

- Nieważne, kto to zaplanował, wszyscy się na to zgodziliście, nie mówiliście mi nic przez tydzień, a potem mieliście nadzieję, że wędzony łosoś i pochlebstwa wszystko załatwią.

- Cholera, Gigi, nie masz żadnej wiary w siebie? - zapytał Byron.

- Mnóstwo, Byron, i gdybyście mnie poprosili, to nawet pomogłabym w przygotowaniu oferty dla Scruples II.

- A więc w tym problem - nie wykazaliśmy wystarczająco dużo wiary w ciebie - powiedział kpiąco Archie.

- Tu nie chodzi o moje ego, Arch, ale o to, czy nadaję się do reklamy. Wy pracujecie w interesie, w którym kiedy trafia się duża ryba, to małe rybki wyrzuca się z akwarium. Ja, co

371

niewygodne, przywiązuję się do moich małych rybek, przywiązuję się do ludzi, którzy są dla mnie mili, jak Eleonora Colonna i jej synowie, i jestem dumna ze sposobu, w jaki pomogliśmy rozwinąć się firmie Indigo Seas. Wiem, że mi ufali... wy to zniszczyliście. Wiedzieliście, jak blisko się związałam z całą rodziną. Rozumiem, że musieliście zrezygnować z tej współpracy, ale czy nie mogliście przynajmniej dać mi szansy wyjaśnienia im tego?

- To idiotyczne - rzekła z wściekłością Victoria. - Nie należysz do kierownictwa.

- To nie jest idiotyczne i ty o tym wiesz. To rozdzielenie kierownictwa od twórców jest całkowicie sztuczne i w wygodny sposób pozwala ci zdobywać i utrzymywać władzę, Vic-torio. Czy sądzisz, że mogę wszystkie siły włożyć jedynie w twórczość - zrozumienie towaru, prawdziwą troskę o klienta - a potem, kiedy trzeba podjąć poważną decyzję, zostawić go na twoją pastwę?

- Tak przypadkiem się to odbywa w tej firmie - rzekła z gniewem Victoria. - Ta agencja nie należy do ciebie.

- Dlatego się z niej wynoszę, panno Vicky. Nie potrafię żyć z takim sposobem prowadzenia interesów - a może postępuje się tak tylko w tej jednej agencji. Nie zwracajcie sobie głowy wysyłaniem mi kubka z moim monogramem.

Gigi opuściła biuro, ruszyła korytarzem i wyszła z budynku, wsiadła do samochodu i pojechała do domu.

*

- A więc moje biedactwo nie ma pracy - powiedział wieczorem Vito czule głaszcząc rękę Gigi. Właśnie jedli z Saszą kolację.

- Na to wygląda - odparła Gigi obdarzając go szerokim uśmiechem. - Być może będę musiała dzielić pokój z Nellie.

- A po co ma się rodzinę? - zapytała Sasza. - Czy to znaczy, że mogę zwolnić nianię?

- Ja bym tego nie robiła - poradziła jej Gigi. - Rzuciłam przygotowywanie przyjęć, rzuciłam reklamę, ale nie mam dość odwagi, żeby zajmować się dziećmi. Wszystko, tylko nie to, ale dzięki, że o mnie pomyślałaś.

- Chciałabyś zostać reżyserem? - zapytał Vito.

380

Gigi parsknęła śmiechem. Wszyscy w Hollywood - a czasem wydawało się, że wszyscy na świecie, łącznie z arcybiskupem Canterbury i głównym rabinem Izraela - chcieli reżyserować.

- Mogłabyś mi się przydać - powiedział tylko pół żartem.

- A co się stało z twoim obecnym reżyserem? - spytała stwierdziwszy, że jak zwykle woli nie używać imienia Zacha, jeśli nie musi.

- Dzieje się z nim coś, czego nie rozumiem - odparł Vito,

- „Długi weekend” został pomyślany jako czarna komedia o Hollywood. Wiele postaci bynajmniej nie jest sympatycznych - wszyscy pracują w tym interesie, a wiesz, co to znaczy.

- To ludzie tacy jak ty, tato? - Gigi uśmiechnęła się bez śladu skruchy, pławiąc się w szczęściu otaczającym Vito i Saszę, którego było tyle, że jego ciepło mogło ogrzać każdego, kto znalazł się w pobliżu. - Prawdziwi harcerze?

- Nie śmieję się, niektórzy z nich dostają reżyserskie instrukcje, żeby tak grać. Początkowa gorycz nabiera słodyczy, a czasem staje się zupełnie romantyczna. Kilka razy Zach posunął się nawet do granicy sentymentalizmu... jakby reżyserował walentynkową kartkę... a kiedy na niego krzyczę, mówi, że reżyseruje tak, jak czuje. Niech mnie Bóg broni przed reżyserami! Kto go prosił, żeby cokolwiek czuł?

- Czy nie możemy rozmawiać o czymś innym? - zapytała płacząco Sasza. - W sumie to mój brat i czuję się za niego trochę odpowiedzialna. Teraz wiem, dlaczego nie powinno się prowadzić interesów z rodziną. Porozmawiajmy o Benie Winthropie, chłopaku z miliardami.

- Gigi - powiedział Vito - chwileczkę, przecież to ty wymyśliłaś Zaczarowany Strych i Linie Winthropa, tak? To co najmniej oznacza, że masz dużo do powiedzenia w sprawie wyboru agencji reklamowej. Chyba nie zamierzasz zostawić FRB tych kampanii po tym, jak cię potraktowali?

- Nie będę próbowała ich im odebrać - rzekła Gigi.

- Nie byłoby nic prostszego, ale im więcej o tym myślałam, tym bardziej zdawałam sobie sprawę, że łączy się z tym wielki problem, coś ważniejszego od zostawienia tych zamówień w FRB.

- A cóż mogłoby być aż tak ważne? - Vito spojrzał na nią surowo, głęboko urażony w swym dobrze rozwiniętym poczuciu słusznej zemsty.
- To dziwne, ale sam fakt, że mam nad tymi zamówieniami władzę. Nie chcę, żeby Ben je wycofał ze względu na mnie.
- Dlaczego? - zapytała Sasza ze zdumieniem w głosie.
- Nie chcę... być mu dłużna. Gdybym go poprosiła, zrobiłby to w ciągu minuty, ale wtedy znalazłabym się... cholera, jak mam to powiedzieć, żebyście zrozumieli?... znalazłabym się pod jego kontrolą jeszcze bardziej niż teraz.
- Chwileczkę - powiedział Vito. - Ty masz władzę nad zamówieniami, ale jeśli przeniesiesz je do innej agencji, to znajdziesz się pod kontrolą Bena Winthropa... bo skorzystałaś ze swojej władzy? Czy jak dotąd wszystko dobrze rozumiem?
- Doskonale. Ale tylko do tego momentu.
- Twoja córka próbuje wyjaśnić, kochanie, że pieniądze Bena Winthropa idą na reklamę Bena Winthropa, a ona nie chce kontrolować jego wydatków.
- Ale Gigi nie wahała się namówić go do zainwestowania w sklepy i statki - zaprotestował Vito.
- Ależ, tato, to były tylko sugestie co do wydawania jego pieniędzy, pomysły, które mógł przyjąć lub odrzucić. Kiedy już podjął decyzję, agencja, w której pracowałam, zasługiwała na te zamówienia, ale ja nie miałam wpływu na jego decyzję.
- Hmm. - Vito przemyślał sprawę. - A więc, innymi słowy, nie zamierzasz za niego wyjść, tak? Nie zostaniesz żoną klienta. Inaczej przeniosłabyś te zamówienia tak szybko, że Victoria Frost nie miałaby czasu nawet pierdnąć.
- Sasza, jak ty to wytrzymujesz? - zapytała Gigi ze śmiechem, lecz nie zaprzeczając wnioskowi Vito.
- Pomaga praktyka. Och, Gigi, jesteś pewna, że nie wyjdiesz za niego? Jak możesz pozwolić odejść mężczyźnie, który ma wszystko?
- Och, to jeszcze nie koniec. Ciągłe próbuję sobie wyobrazić siebie jako żonę Bena za pięć czy dziesięć lat, ale nie udaje mi się niczego zobaczyć, nawet niewyraźnie. Coś mi jakby przeszkadza, moja wyobraźnia nie chce pracować...
- 382
- A moja tak - zawołała Sasza. - Widzę, jak prowadzicie z Benem wspaniałe życie, fruując po świecie - nie mogłabyś pożyczyć sobie trochę mojej wyobraźni?
- Kiedy poznałaś tatę, to czy wyobrażałaś sobie siebie jako jego żonę?
- To nieuczciwe! Przecież wiesz, że to pierwsza rzecz, o jakiej myślą wszystkie niezamężne kobiety, kiedy poznają nowego mężczyznę. Czy to ten jedyny? A jeśli nie, to czy i tak się z nim prześpię?
- Sasza! - powtórzyła z naciskiem Gigi. - Odpowiedz na moje pytanie.
- Chciałam za niego wyjść od chwili, w której Zach nas sobie przedstawił.
- Wycofuję się ze sprawy.
- Gigi próbuje powiedzieć, że ława przysięgłych jeszcze nie wróciła - orzekł Vito. - Nie spisuj jej jeszcze na straty, kochanie, może jeszcze ci się uda przelecieć odrzutowcem Winthropa. Chciałbym, żebyś się załamała i przyznała, że dlatego tak za nim stoisz - to tylko dowodzi tego, co przemysł zawsze wiedział, a mianowicie, że kluczem do serca kobiety jest transport. Jeśli ma się samolot i limuzynę, to nieważne, jak się wygląda albo jak okropnym jest się człowiekiem - trzeba się kijem oganiać od dup.
- A jacht? - zapytała Gigi. - Albo statek wycieczkowy ze śmigłowcem na pokładzie?

- Nie zaszkodzi - powiedział Vito płacąc rachunek. - Ale zapomnij o żaglówkach. Żaglówki to żadna przynęta. Taki środek transportu musi mieć silnik.

*

- Doprawdy, Sasza - westchnął Vito kładąc się do łóżka

- nie wiem, co naszło te dzieciaki, twojego brata i Gigi. Oboje są tak pełni wzniosłych, delikatnych i drobiazgowych uczuć

- to młodsze pokolenie jest zbyt czyste, żeby poradzić sobie z prawdziwym światem.

Sasza parsknęła śmiechem.

- Co cię tak rozbawiło? - zapytał Vito.

- Zach jest starszy ode mnie.

375

- Ciągłe o tym zapominam. Jest w tobie coś zdecydowanie dorosłego. Mogę się założyć, że ty nie zostawiłabyś tych zamówień Victorii Frost.
- Puściłabym ją w skarpetkach ze śpiewem na ustach. Posłuchaj, kochanie, co się naprawdę dzieje z Zachem? Powstrzymałam cię przed mówieniem o tym przy Gigi, ale muszę wiedzieć.
- Niech mnie diabli, jeśli cokolwiek z tego rozumiem. Gdyby chodziło o jakiegoś innego reżysera, powiedziałbym, że stracił swój lwi pazur, że nie jest już głodny, że unosi się na fali albo że woda sodowa uderzyła mu do głowy. Absolutnie nic takiego nie można by powiedzieć o Zachu, jest zbyt dobrym reżyserem, zbyt wielkim perfekcjonistą, ale jego materiał wymaga stałej, bezlitosnej złośliwości, którą od czasu do czasu traci. Muszę spędzać o wiele za dużo czasu na planie usiłując przewidzieć jego posunięcia, co rzadko mi się udaje. Żyłem dla czegoś takiego, dopóki cię nie spotkałem i nie znalazłem czegoś o wiele przyjemniejszego do roboty.
- Czy możliwe, żeby miał kryzys połowy życia?
- A nie jest na to za młody?
- Niekoniecznie. Czy zachowuje się jak ktoś, kto przechodzi przez straszny rozwód? - zapytała coraz bardziej zaniepokojona Sasza.
- Tak, trochę, a trochę jak ktoś zakochany w kompletnie niewłaściwej osobie, co nie ma zastosowania, ponieważ od miesiący z nikim się nie umawia... właściwie nie pamiętam, kiedy miał jakąś randkę.
- Dobry Boże! - zawołała Sasza siadając na łóżku z pełnym zaskoczenia przerażeniem na tę niewiarygodną wiadomość. - Powiedziałbyś, że jest w depresji?
- Z całą pewnością nie sprawia wrażenia kogoś, kto dobrze się bawi. Zamiast spędzać przerwę obiadową ze mną, słucha Elsy Worthy, która gra epizodyczną rolę matrony - czterdzieści lat temu była wielką gwiazdą i nadal ma w sobie trochę dawnego ognia i uroku - codziennie karmi Zacha odcinkami historii swego smutnego życia jak operą mydlaną - chyba nie sądzisz, że się w niej zakochał?
- Dziwne zachowanie, jak na niego - oznajmiła Sasza, coraz bardziej zaniepokojona.
- 376
- No i zapomina. Zapomina! Uwierzysz, że wczoraj trzeba mu było zwrócić uwagę, że dwa razy kręci ukończoną scenę? I nie zdarzyło się to pierwszy raz. Kiedy opuszczam plan na pięć minut, zaczynam się martwić.
- Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wszystkim wcześniej?
- Nie chciałem cię martwić, kochanie. Już nie lubię rozmawiać o pracy w domu. Oficjalnie powinniśmy jeszcze odbywać nasz miodowy miesiąc, którego nie mieliśmy. W piątek, kiedy zadzwonił do ma...
- Co takiego?
- Kiedy Zach zadzwonił do waszej matki jak posłuszny syn, tak jak robi to kilka razy w tygodniu...
- Jezus, Maria, Vito! Chcesz powiedzieć, że Zach dzwoni do mamy i nie jest w depresji? To żywy trup! Telefon do mamy to ostatnia deska ratunku - dzwoniemy do niej tylko wtedy, kiedy mamy ochotę na samobójstwo! O, Boże, zobacz, czego mi oszczędzałeś - brat, który nie umawia się na randki - Zach bez dziewczyny! - który zachowuje się, jakby przechodził rozwód, który nagle stracił pamięć, który słucha płaczliwych opowieści z przeszłości, który dzwoni do mamy - kiedy chciałeś mi powiedzieć - kiedy przystawił sobie do głowy pistolet i pociągnie za spust?
- Sasza, przesadzasz - powiedział cierpliwie Vito. - Powiedziałaś mi, że zawsze za bardzo przejmujesz się Zachem.
- Wiem, ale dzwonić do mamy! Vito, on jest w ciężkiej depresji!

- Jak się zastanowić, to rzeczywiście od pewnego czasu nie jest to ten sam Zach - powiedział Vito w zamyśleniu. - Kiedy pojechałem do Kalispell, a było to jakieś dziesięć miesięcy temu, to ta... zmiana... już się zaczęła. Nie wpływała na jego pracę, więc nie zwróciłem na to większej uwagi, albo może mieliśmy wtedy tyle problemów, że nic nie zauważyłem... ale nie, masz rację, on rzeczywiście jest w depresji.

- Dziesięć miesięcy? - powtórzyła Sasza. - Tak byłem zajęta Joshem, rozwodem i spotykaniem się z tobą, że prawie się z Zachem przez ten czas nie widywałam, ale dziesięć miesięcy pogłębiającej się depresji? No cóż, chyba wiemy, której parszywej suce możemy za to podziękować, prawda?

- Tak? - zapytał ze zdumieniem Vito.
 - Twojej córce, twojej kochanej, małej Gigi, ot, co!
 - Hej, uważaj, kogo nazywasz parszywą suką!
 - Przepraszam, kochanie, ale ona nią jest. A co teraz robi, ta niewdzięczna, złośliwa, okrutna kusicielka, jak nie igra z uczuciami tego „Ósmego Cudu”, który najwyraźniej jest dla niej tylko właścicielem kolejnego skalpu, który zawiesi sobie u pasa, skoro już wypieprzyła tego biedaka Davy'ego Melvil-le'a z agencji...
 - Chwileczkę! Ani słowa więcej! Gigi ma co chwila nowy romans, co nie jest w jej stylu, a Zach z nikim się nie pieprzy, co też nie jest w jego stylu, więc...
 - Jak to się dzieje, że kiedy chodzi o twoją córkę, to ma romanse, a mój brat się pieprzy?
 - Miej odrobinę szacunku, kochanie, i nie zaciemniaj obrazu. Słuchasz?
 - Z zapartym tchem.
 - Gigi i Zach wciąż są w sobie zakochani.
- Po chwili milczenia Sasza kiwnęła swą ciemną głową z szacunkiem i podziwem.
- Nigdy sobie nie wybaczę, że nie dostrzegłam tego pierwsza. A ty nigdy o tym nie zapomnisz, prawda, Vito? Przez resztę naszego życia będziesz mi to wypominał jako dowód swojej wyższości.
 - Tylko wtedy, kiedy będę musiał. I co teraz zrobimy?
 - Załatwimy sprawę, to oczywiste - odparła Sasza ze zwykłą, pełną dumy wiarą w swoje siły.
 - Ale jak? To się ciągnie prawie od roku.
 - Tym lepiej. Jeśli przez tyle czasu nie zapomnieli o sobie nawzajem, to sprawa jest poważna. - Sasza zamknęła oczy i skupiła się. - Nie będziemy się wygłupiać, załatwimy to w zwykły sposób.
 - Zostawimy ich przez tydzień na bezludnej wyspie?
 - Och, kochanie, to takie typowe, chłopięce rozwiązanie. My nie zrobimy nic. Ty wspomnij Zachowi, że Gigi nadal go kocha, a ja wspomnę Gigi, że Zach nadal ją kocha. Ale bądź subtelny! Pamiętaj, oni są prawie tak sprytni jak my.
 - Taktyka z „Wiele hałasu o nic”? Nie sądziłem, że jeszcze się jej używa.

378

- Była skuteczna dziesiątki tysięcy lat przed Szekspirem i będzie skuteczna, kiedy skolonizuje się Marsa.
- A jeśli nie zadziała na Gigi i Zacha?
- Wtedy będziemy się martwić. Albo będę musiała zadzwonić do mamy i poprosić ją o pomoc.

17

Spider Elliott spędził dwa dni po kłótni z Billy w monotonnym, samopowtarzającym się transie samousprawiedliwień, powtarzając sobie bez przerwy jej ostatnie słowa zgorzkniałymi ustami. Oczy mu się zwięziły, a ich błękit pociemniał. Jego zwykle otwarte rysy stwardniały od głęboko skrywanej, morderczej wściekłości. Teraz już nikt, kto obserwował go zawzięcie pochylonego nad pracą, nie widział w nim prototypu beztróskiego kalifornijskiego surfera, jakim niegdyś był. Stał się tak wyrafinowane uprzejmy dla swego asystenta, Tom-my'ego Tethera, że ten pewny siebie chłopak nabrał przekonania, iż Spider przygotowuje się do wyrzucenia go z pracy. Trzy razy zapytał Josie Spielberg, jak sobie radzą w szkole jej uwielbiani siostrzeńcy, po raz pierwszy wykazując coś więcej niż przelotne nimi zainteresowanie, i hamował na żółtych światłach, które nagle zapalały się pięć metrów przed nim.

Każdą minutę spędzał przypominając sobie wszystkie straszne rzeczy, jakie zrobiła Billy od chwili, kiedy ją poznał, poczynając od nazwania go „fiutem bez sumienia”, kiedy na podstawie kilku niewinnych pocałunków oskarżyła go o igranie z Gigi, a kończąc na próbie dodania do jego

umowy o pracę klauzuli o trzytygodniowej karencji umowy, kiedy przyjechał do Kalifornii w 1977 roku, żeby zacząć pracę w domu mody Scruples. O, tak, już wtedy, od pierwszego wejrzenia zdał sobie sprawę z tego, że Billy może się okazać herod-babą, już wtedy powiedział Valentine, że nie przyjmie żadnego sukcesu, jeśli miałyby to oznaczać pracę dla herod-baby, i, na Boga, nic się nie zmieniło ani w Billy, a już na pewno nie w nim. Jak mógł być takim głupcem, żeby się z nią ożenić, skoro wiedział to, co wiedział?

387

W środku trzeciej nocy, po czterdziestu ośmiu godzinach samonapędzającej się wściekłości, Spider obudził się ze snu

O żeglowaniu, po którym wyraźnie pamiętał dotyk rumpla w dłoni i widok nieskończonej przestrzeni oceanu. Kiedy tak leżał w łóżku usiłując przypomnieć sobie sen ze wszystkimi szczegółami, załazy go wspomnienia dni spędzonych na morzu.

Po śmierci Valentine w 1980 roku Spider kupił niewielki jacht i wraz z jego dwuosobową załogą zniknął płynąc na zachód, rzucając kotwicę na niezliczonych wyspach leżących na wodnych połączeniach rozciągających się między Los Angeles a Grecją, uciekając przed rozpamiętywaniem i łagodząc swój ból przez codzienne zmaganie się z siłami przyrody.

Podczas z tej prawie dwuletniej żałobnej, a potem uzdrowi-cielskiej podróży napisał tylko dwa listy i oba były do Billy. Wysyłał matce z różnych portów kartki, lecz Billy była jedyną osobą, z którą chciał się kontaktować, jedyną osobą, której ciągle czuł się bliski podczas tej nieuchronnej podróży w niebyt morza, nieba i słońca, dzięki której zaakceptował swą stratę

I wyobraził sobie przyszłość.

Teraz, zupełnie rozbudzony i czując, że jego gniew się wypalił, zdał sobie z przerażeniem sprawę, że koniecznie musi natychmiast porozmawiać z Billy, pogodzić się z nią. Oprócz niej nie istniał nikt, do kogo mógłby się zwrócić o pocieszenie po tym, co mu powiedziała, i co powiedział jej on. Spider pamiętał, że w ostatnim liście, który wysłał do niej w czasie swej podróży, napisał, że po powrocie nie będzie sensu wracać do pracy, bo nigdy już nie znajdzie takiej partnerki w interesach, jak ona, nikogo, z kim kłótnia sprawiałaby mu tyle radości. Owszem, pisał z odległej greckiej wysepki na Morzu Egejskim, przypomniał sobie z rozpaczliwą udręką, ale jego szare komórki musiały się chyba zamienić w popiół, skoro wymyślił coś takiego.

W całym jego życiu nie było niczego tak dokładnie, precyzyjnie i wyraźnie mniej „radosnego” niż ta kłótnia z Billy. Można ją było określić tylko wyrazem będącym słownikowym przeciwieństwem „radości”.

Chodząc po pokoju mówił sobie, że wszystko by oddał, byleby tylko się znaleźć z powrotem w bańce całkowitej depresji, jaką czuł po kłótni z Valentine o jej tajemniczego

380

kochanka na długo przed ich ślubem. W porównaniu z tym, co czuł teraz, była to świetna zabawa. Wtedy było to zaledwie przytępienie wszystkich jego zmysłów, szarość narzucona na wszystkie dobre rzeczy w życiu, pełne żalu nad sobą poczucie, że nie mając już powodu żyć, równie dobrze mógłby umrzeć.

Spider nagle przypomniał sobie, że podczas tamtej kłótni z Valentine po raz pierwszy w życiu był rozmyślnie okrutny dla kobiety. I po raz ostatni, dopóki nie pokłócił się z Bdlly.

No cóż, teraz pobił swój niewielki rekord, prawda? Teraz poszedł na całego, mógł być tak samo z tego dumny, jak myśliwy, który zastrzelił ostatniego lwa na ziemi lub schwytał ostatniego słowika i ugotował go na obiad. I dokładnie obgryzł ko s t cc zki

Gdzie, do cholery, jest Billy? Spider pomyślał, że jest jeszcze za wcześnie, żeby zadzwonić do Jessiki w Nowym Jorku albo do Maine, gdzie mogłaby być z Dolly. Ubrał się, bo żadną miarą nie mógłby już zasnąć. Ludzie tak rzucający się w oczy jak Billy nie znikają tak po prostu, powiedział sobie robiąc na śniadanie jajecznicę, której i tak nie mógł przełknąć. Aż do piątej nad ranem pił filiżankę za filiżanką rozpuszczalnej kawy i patrzył na zegarek, a potem zaczął dzwonić.

Dowiedział się od gospośi Jessiki, że ta jest we Florencji, a Dolly od tygodnia nie miała żadnych wiadomości od Billy. O dziewiątej trzydzieści był już w biurze, chcąc przepytac Josie Spielberg, gdy tylko przyjdzie do pracy. Postanowił schować dumę do kieszeni i nie udawać przed Josie, że gdzieś mu się zapodziała żona, a on próbuje ją znaleźć z próżnej ciekawości.

- Spider, gdybym coś wiedziała, to przysięgam, że bym ci powiedziała. Nie rozmawiałam z nią od pięciu, może sześciu dni.

- Mogłabyś odszukać Jessikę Strauss we Florencji, Josie? I wszystkich innych, którzy przyszliby ci na myśl?

Przez cały dzień dzwonili do wszystkich, którzy mogliby znać miejsce pobytu Billy - od Johna Prince'a w Nowym Jorku do recepcjonisty u Ritza i jego kolegów we wszystkich większych hotelach Paryża, Londynu i Nowego Jorku. Billy najwyraźniej pojechała limuzyną na lotnisko i zniknęła.

- Ona wróci, Spider, pamiętaj, że tu są bliźniaki - rzekła pocieszająco Josie.

389

- Nie myśl, że nie powtarzam sobie tego przez cały dzień.

- Niania Elizabeth! Mogę się założyć, że ona coś wie! - powiedziała Josie i Spider popędził do domu.

- Panie Elliott, pan wie, że gdybym mogła, tobym panu powiedziała - zapewniła go niania Elizabeth - ale nie było od niej żadnej wiadomości. Sama zaczynam się martwić. Wiem z doświadczenia, że te... nieporozumienia... nie trwają długo, jeżeli w domu są maluchy. Prawdopodobnie musiała wziąć kilka dni urlopu od wszystkich - od urodzenia bliźniąt minął prawie rok, a to dla każdej kobiety długi okres, bez względu na to, ile ma osób do pomocy.

- Powinniśmy byli pojechać na wakacje - powiedział Spider. - Cholera, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem?

- Pani Elliott by nie wyjechała - odparła stanowczo niania Elizabeth. - Nie mógłby pan jej zmusić do zrobienia sobie wakacji bez bliźniaków. Rzadko zdarza mi się widzieć matkę tak oddaną swym dzieciom.

- Czy to coś złego? - zapytał Spider.

- Żaden nadmiar nie jest dobry. Zawsze mówię rodzicom, żeby razem gdzieś wyjeżdżali, nawet jeśli jest to tylko od czasu do czasu jakiś weekend. Dzieci będąc przy mnie nawet by tego nie zauważyły, a rodzice potrzebują trochę czasu we dwoje. Mówiłam to pani Elliott kilka razy, ale nawet nie chciała o tym słyszeć.

- Ona ma własne zdanie.

- Istotnie, a także własną wolę. Jest niezwykle upartą kobietą, to pewne, ale bardzo ją kocham.

- Ja też - rzekł Spider. - O, Boże, ja też.

Pod koniec tygodnia Spider był tak rozgorączkowany, że zaczął rozważać zawiadomienie policji, chociaż Josh Hillman doradzał mu cierpliwość.

- Co takiego mogłaby ci powiedzieć policja Los Angeles? Wiemy, że tu jej nie ma. Biorąc pod uwagę możliwość, że mogła wrócić, przeszukaliśmy rejestry wszystkich hoteli i mieszkań do wynajęcia w mieście.

- Może... gdybyśmy udali się do mediów?

- Spider, na litość boską, nie wolno ci ogłaszać światu waszych prywatnych nieporozumień! Nie zbliżaj się do mediów. Billy strasznie by się to nie spodobało.

390

- Masz rację, Josh, ale ciągle sobie wyobrażam...

- Niepotrzebnie się zadręczasz. Zapewniam cię, że Billy nie jest kobietą o skłonnościach samobójczych. Ona jest twarda, Spider. Idź do domu, pobaw się z dziećmi i pamiętaj, że za kilka dni to wszystko będzie tylko złym snem.

- Liczysz coś sobie za tę głupią radę, Josh? Cholera, przepraszam, wiem, że robisz, co możesz. Oczywiście, że pójdę do domu - niania Elizabeth będzie musiała się zaopiekować też i mną.

Spider siedział w pokoju bliźniąt niczym duża, kochająca zabawka. Chłopcy wspinali się na niego, wyczuwając, że ojciec nie ruszy się z podłogi, dopóki nie zostaną zabrani do łóżka. Nie, sam ich nakarmi i wykąpie. Kontakt z nimi dawał mu jedyną możliwą pociechę, a czując we włosach ich jedzenie ciepło się uśmiechnął.

- Bo-go! - Powiedział mu Max z rozdzierającym spojrzeniem. - Bo-go!

- Bu-gu! - Wrzasnął z nadzieją Hal. - Bu-gu!

- Chcecie psa? - zapytał Spider. - Hau-hau?

Stali trzymając się jego kolan. Dolne wargi wysunęli do przodu usiłując mu coś przekazać.

- Bu-gu!

- Bo-go!

- Nianiu Elizabeth, proszę tego posłuchać! Chcą psa! Właśnie wypowiedzieli pierwsze słowo! Hau-hau! Chodźcie, dzieci, pójdziemy kupić psa. Hau-hau. To zadziwiające, wczoraj potrafili tylko pomachać na pożegnanie i powiedzieć „mama” i „tata”, a dzisiaj chcą psa! Czy nauczenie się w jeden dzień wyrażania abstrakcyjnego pragnienia nie jest dowodem ich nadzwyczajnej inteligencji?

- Nie, zważywszy na ilość czasu, jaką spędza z nimi ostatnio Burgo O'Sullivan, płacząc mi się pod nogami. Z przykrością to wyznaję, panie Elliott, ale ich pierwsze słowo to próba powiedzenia „Burgo”. Nauczył ich go dokładnie w chwili, kiedy byli gotowi do nauki mówienia. Chłopcy tak późno rozwijają swoje umiejętności słowne. To bardzo nieładnie ze strony Burgo, co mu zresztą powiedziałam, ale szkoda została już wyrządzona. - Niania Elizabeth pociągnęła nosem z dezaprobatą.

383

- Burgo? Ten sukinsyn, zabiję go, niech go tylko, cholera, znajdę!
Spider wybiegł w poszukiwaniu Burgo, a niania Elizabeth pomyślała, że biedna pani Elliott słusznie zesła z drogi człowiekowi zdolnemu do takiej zazdrości. Przecież to tylko imię.
- Burgo! Wyłaż z pokoju, ty gnido, ty tchórz, albo wy łamię drzwi!
- Nie ma potrzeby tak krzyczeć — powiedział Burgo wychodząc ze swego mieszkania z pełną spokojem pewnością siebie człowieka niezastąpionego.
- Gdzie moja żona, ty śmierdzący łajdaku? Tylko mi nie mów, że nie wiesz, dzieci cię wydały, ty nędzna kupo łajna! Kręcisz się wokół nich - od kiedy tak cię interesują dzieci, ty oszukańczy, złośliwy...
- Nie wiem, gdzie ona jest - odparł z godnością Burgo.
- Nie ma potrzeby mnie obrażać.
- Owszem, wiesz! - wrzasnął Spider i chwycił Burgo za szyję.
- Dzwoni do mnie, a nie ja do niej - wybełkotał Burgo.
- Puszczaj!
- Dlaczego mi nie powiedziałaś? Doskonale wiesz, że prawie zwariowałem!
- Prawdopodobnie byłbym do tego zmuszony za kilka dni, zważywszy moje współczucie dla przedstawiciela mojej płci bez względu na to, kim jest albo jak się zachowuje, ale przede wszystkim zawsze jestem lojalny wobec pani Elliott, która kazała mi obiecać na grób mojej matki
- rzekł Burgo z godnością. - Na szczęście moja matka żyje i ma się dobrze.
- Co, do cholery, powiedziała, Burgo? Co, na litość boską?
- Pani Elliott za każdym razem pyta o dzieci, a ja jej szczegółowo opowiadam, pytam, jak się czuje, a ona odpowiada, że świetnie - słychać to w jej głosie - i odkłada słuchawkę.
- Dzięki Bogu! - Spider odetchnął z ulgą. - Skoro wiem, że nic jej nie jest, będę chyba musiał poczekać na jej powrót. Może się znajdować gdziekolwiek.
- Pewnego dnia usłyszałem, jak mówi coś do kogoś, kogo nazwała „Marry John” czy jakoś tak podobnie po zagranicznemu - podsunął Burgo.

392

- Marry John? Skąd wiesz, że to zagraniczne imię?
- Pani Elliott nie wymówiła go jak imię amerykańskie. Było niewyraźne, wypowiedziane szybciej. Spider dzwonił do Josha Hillmana zanim Burgo skończył mówić.
- Josh, czy mówi ci coś imię „Marry John”? Czyja żona? Marie-Jeanne? Billy od lat płaci im pensję? I ty o nich nic pomyślałeś? Jezu, Josh, no to co, że dom jest pusty i nie nadający się do mieszkania? Od kiedy coś takiego może powstrzymać Billy? Och, przykro ci, rzeczywiście - głównie prawda. Daj mi ten adres, ty skretyniały dupku!
- Prawniczy! - mruknął Spider do Burgo, ucałował go w czoło i pobiegł na górę, żeby podzielić się wiadomością z nianią Elizabeth i wziąć paszport.

*

Billy szła Rue de Barbet de Jouy, wymachując pustym koszykiem na zakupy. Była u najlepszego w okolicy handlarza win, żeby odkupić wino pożyczone jej przez Marie-Jeanne, i przekonała się, jak rzadki jest rocznik 1971. Sprzedawca obiecał znaleźć gdzieś jego skrzynkę, a gdyby mu się nie udało, zamówić wino nie ustępujące mu jakością.

- Czy ma pani odpowiednie miejsce do przechowywania wina, madame? - zapytał sprzedawca. - Jeśli tak, mogę spróbować znaleźć dla pani kilka skrzynek.
- Mam wspaniałe piwnice, monsieur, ale muszę poczekać ze zrobieniem zamówienia.
- Jestem do usług, madame.

Billy zastanawiała się, czy powinna kupować wino? Całe skrzynki wina? Najlepsze, najrzadsze roczniki, wielkie skarby? W Paryżu, nawet w pustym domu, niezręcznie było nie mieć pod ręką żadnego wina na wypadek jakiejś niespodziewanej wizyty. W każdej porządnej francuskiej lodówce zawsze mroziło się kilka butelek szampana i kiedy znajomy proponował drinka, nikt nie zastanawiał się nad poproszeniem o mały „coup” szampana, ponieważ było wiadomo, że butelka zostanie rozpita zbyt szybko, żeby szampan przestał musować. Billy westchnęła, rozczarowana lekkością pustego koszyka.

Skręcając za róg, żeby przejść krótki kawałek Rue de Varenne prowadzący do Rue Vaneau, Billy pomyślała, że ten dzień wygląda jak pierwszy prawdziwy dzień jesieni. Włożyła rano gruby szkarłatny golf i czarne spodnie, a na jej plecach podskakiwały końce długiego, wełnianego szalika w szkarłatne i czarne paski. Otrząsając się z lenistwa, Billy zdała sobie sprawę, że nie jest w nastroju do spaceru po Ogrodach Luksemburskich.

Była w nastroju odpowiednim do nalotu na Rue Cambon i kupienia wszystkich nowych kostiumów z kolekcji Chanel. Każdego płaszcza, każdej sukienki, każdego paska, wszystkich butów, o, tak, dziesiątków butów!... Oho, źle z nią! Nie mogła pokazać nawet czubka nosa na Rue Cambon, tuż przy tylnym wejściu do Ritza. U Chanel wpadłaby na co najmniej pięć znanych sobie kobiet, szczególnie teraz, w środku popołudnia, kiedy wszyscy chodzą na przymiarki.

A gdyby tak zamówiła samochód z kierowcą? Byłby tylko szybki krok od krawężnika przez szare, szklane drzwi sklepu, nie zdejmowałaby ciemnych okularów i nasunęłaby głęboko na czoło dużą, jedwabną chustę. Mogłaby zadzwonić do kierownika i poprosić o natychmiastowe zaprowadzenie do prywatnej przymierzalni... czy może zaryzykować? Czuła tak silne pragnienie kupienia czegoś - czegokolwiek - jak wtedy, kiedy kupowała dom, i wiedziała, że taki nastrój jest pewną oznaką niebezpiecznego niepokoju, gorączkowej potrzeby kreowania wydarzeń. Zupełnie jakby przeżyła ciemną arktyczną zimę lub odbyła długą rekonwalescencję, podczas której musiała leżeć w łóżku i dbać o oczy.

Gdyby tylko Sam nie przysłał tego olbrzymiego bukietu jesiennych kwiatów. I kartki, na której napisał: „Jeśli kiedykolwiek zmienisz zdanie, jeśli pewnego dnia nadejdzie właściwy czas, to podaję mój nowy telefon. Zawsze tu będę dla ciebie, moja miłości. Sam”.

Billy pomyślała, że nie powinien tego robić. To nie było w porządku. Już postanowiła i decyzji nie zmieniła, ale sytuacji wcale nie ułatwiały te kwiaty ułożone w wazonie przez Marie-Jeanne, stojące na podłodze salonu płonąc brązami i złotem, przypominając jej o Samie za każdym razem, kiedy

394

na nie spoglądała. Skręcając w Rue Vaneau postanowiła, że wyrzuci je razem z kartką zaraz po powrocie do domu.

O zamknięte drzwi jej domu opierał się wysoki, zgarbiony mężczyzna w trenczu. Długie nogi skrzyżował w kostkach, jakby znajdował się tam od dawna. Billy stanęła jak wryta. Stał do niej tyłem. Nie widział jej. Miała jeszcze czas, żeby wycofać się za róg.

Przez chwilę Billy całkowicie rozumiała Spidera; sparaliżowana i przeszyta instynktownym rozpoznaniem spostrzegła go jako całkowicie obecnego w świecie, w wymiarach czasu i przestrzeni, z całą jego historią, siłą i słabością, z całą jego przeszłością i wszystkimi ich wspomnieniami, całego Spidera Elliotta jako jedyną, niepowtarzalną osobę, która wywoływała u niej wszechogarniające, totalne uczucie. Nagle, bez najmniejszego wysiłku myślowego, Billy stwierdziła, że została wyzwolona i że biegnie do niego najszybciej, jak potrafi. Widziała, jak na odgłos jej kroków błyskawicznie się odwraca i pędzi do niej i świat na zawsze się odmienił.

*

- Nie, kochanie, nie, nie teraz, porozmawiamy o tym później. A, madame Marie-Jeanne, jest pani. To mój mąż, monsieur Elliott. - Billy wydmuchała nos i wytarła zapłakane oczy żonglując kluczami, chusteczką Spidera i jego ręką, której nie mogła wypuścić z uścisku.

- Och, madame, proszę mi wybaczyć! Zadzwonił, ale nie chciałam pozwolić mu poczekać w domu. Nie wiedziałam, że madame spodziewa się monsieur... - Marie-Jeanne przerwała patrząc na Billy w oczekiwaniu wskazówek, podając jednocześnie Spiderowi rękę.

- Monsieur Elliott zaskoczył nas obie. - Billy zwróciła się do Spidera. - Wejdz do domu, biedaku, wyglądasz, jakbyś zaraz miał paść, nigdy nie widziałam cię tak wyczerpanego.

- Kiedy dotarłem na lotnisko, nie było bezpośredniego lotu do Paryża, więc poleciałem do Nowego Jorku przez Atlantę czy może Chicago, nie pamiętam, spóźniłem się na concorde'a i musiałem czekać pięć godzin... Szybciej byłoby kajakiem. Muszę się napić - i tak zaraz padnę z samego szczęścia. Chcę cię całować przez dwa następne dni. Dwa tygodnie. Dwa miesiące.

387

- Madame Marie-Jeanne, zastanawiam się... czy mogłabym pożyczyć od pani dwie butelki wina i dwa kieliszki?

dame? Czy wiesz, madame - Dokąd mam przynieść tacę, ma- Och, do salonu... nie, właściwie czy mogłaby ją pani przynieść na górę i postawić pod drzwiami mojego pokoju? I chyba zauważyłam w salonie jakieś śmiecie i zwiędłe kwiaty'

- Wyrzucę je, madame, i bardzo starannie zamię

- Dziękuję, madame Marie-Jeanne.

Marie-Jeanne pośpieszyła do domu po wino i żeby zanieść Pierre owi ostatnie wiadomości.

Wysoki blondyn w adidasach którego Billy przedstawiła jej jako swego męża, był nawet przystojniejszy niż wczorajszy rudowłosy amant. Czy jutro pojawi się wysoki brunet w jednym czarnym bucie? Praca dla madame Ikehorn to coś lepszego od kina. I biorąc pod uwagę rozwój wypadków, musi pamiętać, by zamówić więcej wina.

*

- Spider, proszę cię, zaczekajmy z rozmową do jutra jesteś taki zmęczony, że ślaniaś się na nogach - powiedziała Billy zatroskana utratą wagi przez Spidera i jego zapadniętymi oczyma, co było widać tym wyraźniej, że wziął prysznic, ogolił się i włożył jej biały płaszcz kąpielowy, który nie sięgał mu nawet do kolan.^s

- Mogę paść później, najpierw muszę wyjaśnić z toba pewne sprawy - powiedział z uporem. - Tylko o tym potrafię myśleć i potrzebuję tego o wiele bardziej niż snu

- Ja nie pozwoliłam sobie na myślenie o niczym, co sobie powiedzieliśmy tamtego wieczoru - odparowała Billy - Wie-dzia am, że byłam całkowicie na nie, ale przynajmniej nie wyglądam tak upiornie jak ty. Jadłam, spałam i chodziłam do upadłego... tydzień w uzdrowisku nie mógłby mi zrobić lepiej

- Ja nie jadłem i nie spałem, bo wiedziałem, jak jestem winien. Byłem podły na tysiąc jeden sposobów, których nigdy nie zapomnę ani sobie nie wybaczę, ale kiedy opuścił mnie gniew zacząłem się zastanawiać, dlaczego byłem takim padal-cem dlaczego nie chciałem potraktować twojego projektu katalogu z szacunkiem, z jakim potraktowałbym każdy twój pomysł, dlaczego robiłem te tanie, ohydne uwagi na temat

396

twoich pieniędzy i twojego udawania Pani Zamożnej, nie mającej bladego pojęcia o finansach.

- I udało ci się do tego dojść? - zapytała zimnym tonem Billy, czując, że się czerwieni na wspomnienie słów, których nie dopuszczała do świadomości.

- Tak, kiedy wreszcie zdałem sobie sprawę, że w całym swoim życiu byłem celowo okrutny dla kobiety jeszcze tylko jeden raz - kiedy Valentine miała romans z Joshem.

- Wiedziałeś o tym? - zapytała Billy z zaskoczeniem w głosie. - Valentine mi powiedziała, ale sądziłam, że nikt inny o tym nie wie.

- Mnie też powiedziała - po ślubie.

- Oboje potrafimy przynajmniej dochowywać tajemnic - powiedziała z namysłem Billy. - Ale co krótki romans dwojga innych ludzi w 1977 roku ma do ciebie i mnie w roku 1984?

- Byłem zazdrosny o Josha - wtedy nawet nie wiedziałem, kim jest - tajemniczego kochanka, który zajmował czas Valentine. Nawet nie wiedziałem, że jestem zazdrosny, bo nie zdawałem sobie sprawy, że jestem w niej zakochany. Zżerała mnie wściekłość, bo nie miała już czasu, żeby pracować ze mną jak dawniej, bo odwróciła swą uwagę ode mnie i skierowała ją na kogoś innego.

- No i? - spytała kompletnie zdezorientowana Billy.

- Kiedy tamtego wieczoru wróciłem do domu - czy to było tylko tydzień temu? - zastałem cię w dawnej formie, promieniejącą, wspaniałą i podekscytowaną swoim nowym pomysłem i poczułem... zazdrość, że on może mi cię odebrać...

- Och, daj spokój, to szaleństwo! Zawsze znałeś mnie jako kobietę pracującą...

- Od czasu urodzenia dzieci zostawałaś z nimi w domu, a ja co wieczór wracałem do żony, która cały dzień była tam, gdzie wiedziałem, że jest, i robiła to, czego spodziewałem się po mojej ukochanej, codziennej żonie. Zapomniałem, jak to jest żyć z naelektryzowaną, energiczną kobietą, która wprawia w ruch wielkie sprawy za dotknięciem swej magicznej różdżki, żyć z potężną kobietą, która mmc mc **potrzebuje**, która ma swobodę podążania za wszystkim, co ją interesuje...

389

- Czy próbujesz mi powiedzieć - wtrąciła z niedowierzaniem Billy - że ty, akurat ty, chciałeś, żebym na zawsze została w domu, opiekowała się dziećmi i czekała na najważniejszą chwilę całego dnia, cudowną chwilę, kiedy wreszcie pojawisz się na kolację?

- Tak. Czy to nie cholerstwo? W głębi duszy chciałem właśnie tego. Staromodnej żony podobnej do mojej mamy. Powrotu do lat pięćdziesiątych, nieokrzesanych, barbarzyńskich czasów wbrew wszystkiemu, w co podobno wierzyłem. Kiedy ta myśl przebiegła mi przez głowę, rozdzwonił się dzwonek. Chciałem, żebyś była jak wszyscy inni. Chciałem być twoim szefem. Chciałem, żebyś była małą kobietką.

- Jesteś beznadziejnie żaloszny - rzekła Billy. - W życiu nie słyszałam takich bzdur.

- Ale to prawda - powiedział zbolalym tonem.

- Och, wiem o tym - odparła pogardliwie - słyszę to w twoim głosie, dzwonek zadzwonił też i u mnie... dlatego to takie straszne. Ty, akurat ty!

- Ja, niepoprawny jaskiniowiec w głębi serca. Czy mogę jeszcze dostać trochę wina? Nie wyszedłem jeszcze z szoku.

- Gdybym wiedziała o tym przed ślubem...

- To co?

- To i tak bym za ciebie wyszła, ty biedny idioto. Ty, Spider Elliott, jesteś jak większość mężczyzn na tej planecie, tylko lepiej to ukrywałeś. A teraz, skoro już znasz tę strasliwą prawdę o sobie, możesz zacząć pracę nad wypełnieniem z jaskini albo przynajmniej możesz pamiętać, że jesteś jaskiniowcem, mocno kopnąć się w siedzenie i wrócić do zachowania i myślenia oświeconej istoty ludzkiej, za jaką cię chcę uważać.

- Tak, proszę pani - wyszczerzył zęby w uśmiechu, ślaniając się z wdzięczności i napełniając sobie kieliszek.

- Żadne takie! Żadnej fałszywej pokory. Lepiej bądź ze mną szczery albo przypomnę ci, że chcesz dziewczyny takiej jak ta, która wyszła za starego tatuśka, ty... ty... zbrojeńcu!

- Kiedy tak się zastanowić nad znaczeniem tych słów, to ta śpiewka jest trochę perwersyjna.

- Może została napisana, zanim zrozumiano, jak bardzo jest perwersyjna - rzekła wielkodusznie Billy.

398

- Nie, autorem był siostrzeniec Freuda. Wiedział, co mówi. Posłuchaj, kochanie, jeszcze nie skończyłem.

- Nie mów, że jest coś jeszcze gorszego?

- Przypomniałem sobie początki Scruples - powiedział Spider sącząc wino - i zdałem sobie sprawę, że to ty dostrzegłaś potrzebę istnienia innego rodzaju sklepu przy Rodeo Drive, ty go wymyśliłaś i twoją zasługą było wybudowanie go - ja tylko zmieniłem wystrój, punkt widzenia i zatrudniłem nowych sprzedawców... to są szczegóły.

- Ale to dzięki nim odnieśliśmy sukces, co często mi przypominaleś.

- Mimo wszystko było to zdecydowanie twoje dziecko. A Scruples II było moim dzieckiem - no, żeby być sprawiedliwym to Gigi wpadła na pomysł katalogu, ale ja dostrzegłem jego możliwości i przekonałem cię do niego. Wypijmy za to! Kiedy już się zgodziłaś, to rzuciłaś się do pracy, namówiłaś Prince'a do projektowania kolekcji, zatrudniłaś właściwe osoby do obsługi strony technicznej i dzięki temu odnieśliśmy sukces... więc cały czas pracowaliśmy ręką w rękę. Czasami ważniejszą część robiło jedno z nas, czasami drugie. Było to pod każdym względem prawdziwe i równorzędne partnerstwo.

- Hmm... prawdziwe i równorzędne? Mogłabym ci to powiedzieć, ale nie chciałbyś słuchać. Skoro nic jestem taka beznadziejna, to dlaczego sądziłaś, że katalog Dom Scruples był takim strasznym pomysłem?

- Wcale tak nie uważam! Myślę, że mógłby cieszyć się olbrzymim powodzeniem, ale nie chcę, żeby cię opętał tak jak Scruples, kiedy na całym świecie zaczęłaś otwierać nowe sklepy. To na nich robiłaś wielkie pieniądze. Zabierało ci to dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zarabiałaś je dzięki ciężkiej pracy, nie zapominaj o tym. Gdybyś po śmierci Valentine nie zamknęła wszystkich sklepów, to podwoiłabyś majątek, jaki zostawił ci Ellis Ikehorn... a gdyby tak się stało, to nie ma mowy, żebyśmy mieli wystarczająco dużo czasu dla siebie. Przeraza mnie sposób, w jaki rzucasz się w różne przedsięwzięcia.

- Mnie też. Gdyby cię tu dzisiaj nie było, byłabym już właścicielką domu Chanel. Nie tylko strojów, ale całej firmy. Wcale nie żartuję. Właściwie skoro zatrudnili Lagerfelda,

byłaby to świetna inwestycja... wiesz co, kochanie, naprawdę powinniśmy się nad tym poważnie zastanowić...

- Posłuchaj, wśród tych wszystkich problemów, które wymieniłem - przerwał jej Spider wysączając do końca kieliszek - nie ma ani jednego, którego nie da się rozwiązać. Przecież meble muszą być dostarczane i zwracane tysiąc razy dziennie... po co wymyślono UPS? Albo moglibyśmy kupić flotyllę ciężarówek... jeśli trzeba byłoby się pozbyć trochę materiału i kilku zagłówek, to co z tego? Po to są sklepy fabryczne... sklepy fabryczne... Billy, piękna, wspaniała, dzika i kędzierzawa Billy Winthrop, czy myślałaś kiedykolwiek poważnie o niewiarygodnych możliwościach sklepu fabrycznego...

- Ile wypiełeś tego wina?

- Prawie butelkę? Półtorej?

- Najdroższy mój, cierpij na słowotok. Upiełeś się. Mam nadzieję, że jutro będziesz pamiętał wszystko, co powiedziałaś.

- Ale, Billy... nikt jeszcze... nie zbadał... możliwości... sklepu... fabrycznego...

Spider podszedł chwiejnym krokiem do łóżka, wśliznął się pod koce i zapadł w niebyt.

*

Billy przez chwilę przyglądała się śpiącemu Spiderowi, a potem zrobiła listę zakupów i wysłała Marie-Jeanne po masło, chleb, szynkę, ser i inne specjały, których nie trzeba było gotować, jak gruby plaster pasztetu i zimnego kurczaka, żeby mogła nakarmić Spidera, gdy tylko się obudzi. Może wtedy będzie na tyle trzeźwy, żeby jednak rozważyć zakup Chanel... to nie jest taki zły pomysł...

Kiedy Spider ciągle spał, Billy zrobiła sobie pośpieszną kolację, a potem, będąc bardziej zmęczona, niż zdawała sobie sprawę, wsunęła się do łóżka i zasnęła tak szybko, że miała tylko kilka sekund na delectowanie się faktem znalezienia się w łóżku ze Spiderem. Kiedy obudziła się wcześniej rano, Spider jeszcze spał. Billy pomyślała, że dosyć tego dobrego i z trudem go obudziła.

- Gdzie jestem? - zapytał Spider.

- W Paryżu. Jak się nazywasz?

- Spider cośtam.

400

- Kim jesteś?

- Jaskiniowcem.

- Tylko sprawdzam - roześmiała się Billy.

- Chodź do mojej jaskini - rozkazał Spider chwytając ją delikatnie za włosy. - My, jaskiniowcy, możemy znieść wszystko z wyjątkiem rozłąki z naszymi kobietami.

*

- Czy ten dom naprawdę jest pusty? - zapytał później Spider, ubierając się, żeby zejść do kuchni na bardzo późne śniadanie.

- Tak, oprócz tego pokoju. Większość mebli stoi spakowana w stajniach. Wszystko ci pokażę, ale nie mogę się doczekać przyjazdu do domu i zobaczenia chłopców. Zadzwońmy do Ritza i sprawdźmy, kiedy jest najbliższy samolot.

- Umieram z głodu! - poskarżył się Spider. - Zadzwońmy po śniadaniu, kochanie.

- A jeśli ucieknie nam samolot tylko dlatego, że za długo czekałam?

- Jeden dzień nie zrobi różnicy.

- Łatwo ci mówić... ty ich widziałeś wczoraj. Albo przedwczoraj, pogubiłam się.

- Gdzie jest dzbanek do kawy? - zapytał Spider, gdy tylko znalazł się w nowej kuchni.

- Nie ma. Kiedy się zastanowić, to nie ma żadnego garnka ani patelni, tylko kilka noży zostawionych przez robotników, korkociąg i mój kubek. Na sąsiedniej ulicy jest kawiarnia - poślę tam Marie-Jeanne.

- Co jadałaś na śniadanie?

- Puszczałam gorącą wodę aż zaczynała parować, przykręcałam kran i podstawiałam pod niego kubek z torebką herbaty.

- Moja harcerka. Taka sprytna dziewczynka. Jak się porozumiewasz z Marie-Jeanne, za pomocą znaków dymnych?

- Chyba słyszę, jak otwiera frontowe drzwi. Madame Marie-Jeanne, czy to pani? - zawołała Billy.

- Tak, madame. Przy bramie są jacyś goście pytający o panią. Czy mam ich wpuścić?

- Czy to mężczyzna, madame Marie-Jeanne?

- Nie, niezupełnie, madame.

393

- A zatem kobieta? Czy podała nazwisko?
- Nic nie mówiła, madame.
- Proszę ich wpuścić, madame Marie-Jeanne - powiedział Spider swą nigdy nie zapomnianą francuszczyzną fotografa.
- Tak, monsieur. Podejrzewam, że weszli za mną - rzekła Marie-Jeanne. Do kuchni wpadli poprzedzając nianię Elizabeth Hal i Max. Prawie się wzajemnie poprzewracali, chcąc jak najszybciej dopaść Billy. Wspięli się jej na kolana i tłustymi, silnymi rączkami objęli ją za szyję.
- Mama! Bo-bo, mama!
- Mama! Bu-gu, mama!
- Spider, oni mówią! - powiedziała Billy poprzez łzy i pocałunki. - Och, tak bardzo chciałam usłyszeć ich pierwsze słowo!
- Chcą psa, pani Elliott - rzekła z promiennym uśmiechem niania Elizabeth. - Hau-hau.
- Od jak dawna tu jesteście? - zapytała ją Billy. - Przyjechaliście teraz?
- O, nie, przylecieliśmy pierwszym bezpośrednim samolotem po wyjeździe pana Elliotta. Chłopcom podróż bardzo się podobała. Zgodnie z poleceniem pana Elliotta zatrzymaliśmy się w bardzo wygodnym apartamencie u Ritza.
- Powiedziałem niani, że jeśli nie będzie miała ode mnie żadnych wiadomości, to żeby ich tu dzisiaj przyprowadziła - wyjaśnił Spider. - Pomyślałem, że jeśli zawiedzie wszystko inne, będą moim asem z rękawa. Zamierzałem wykorzystać twoje zrozumienie mojej ojcowskiej pozycji. Marie-Jeanne bez żalu porzuciła nadzieje na wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę w jednym czarnym bucie. Monsieur niewątpliwie jest mężem madame, a jeśli nie są legalnie zaślubieni, to przynajmniej ojcem jej dzieci. Te dwa blond aniołki są nawet bardziej podobne do niego niż do niej. I są akurat w odpowiednim wieku, żeby zacząć się uczyć cywilizowanego języka.

*

Po południu, kiedy dzieci spały w hotelu, gdzie wszyscy teraz zamieszkali, Spider i Billy wrócili na Rue Vaneau, żeby pożegnać się z madame Marie-Jeanne i spojrzeć na dom ostatni
402

raz przed wystawieniem go na sprzedaż. Billy ze smutkiem doszła do wniosku, że skoro przyjeżdża z niespodziewaną wizytą co trzy czy cztery lata, a w kuchni nie można nawet zrobić kawy, to utrzymywanie go nie ma sensu. Ten wspaniały, pusty dom w ukochanym mieście nie pasuje do jej życia. Ten dom zasługuje na to, żeby ktoś w nim mieszkał. Utrzymywanie go w takim stanie było okrucieństwem.

- Pokażesz mi go? - zapytał Spider, kiedy stanęli na pustym dziedzińcu, bo stróż z żoną pojechali odwiedzić córkę, żeby przekazać jej najświeższe wiadomości. Spider przyciągnął ukochaną głowę Billy na swoje ramię i obserwował, jak jaskrawe jesienne światło rozświetla jej ciemnobrązowe kędziory.

- Bardzo tego chcę - odpowiedziała z wyrazem twarzy odzwierciedlającym napływ uczuć, jakich nie potrafił rozpoznać. - Chodź.

Billy poprowadziła Spidera przez wszystkie pokoje domu przy Rue Vaneau, zatrzymując się w każdym z nich, a przy wyjściu odwracając się, jakby pokoje dawały jej niewidoczne ukojenie. Delikatnie dotykała wszystkich zwierciadeł, wodziła palcami po rzeźbach nad kominkami i na drzwiach. Zatrzymywała się przy oknach i oglądała każdy widok, **żegnając** się z nim po raz ostatni.

- Biedny monsieur Delacroix - westchnęła Billy, kiedy doszli do pustej głównej sypialni wychodzącej na wspaniałe stare drzewa w parku Matignon. W tej chwili zaczął dzwonić dzwon

katedry św. Klotyldy, dając sygnał ekscytującemu chórowi dzwonów rozbrzmiewającemu w całej okolicy.

- Delacroix?

- Mój architekt wnętrz. Najbardziej zniechęcony człowiek w Paryżu. Kiedy wszystko aż do ostatniej zasłony było gotowe do zainstalowania, kiedy skończyliśmy kupować antyki -wszystko oprócz rzeczy do kuchni - wróciłam do Nowego Jorku. Nie zobaczył go w stanie umeblowanym. Myślę, że to złamało mu serce.

- A więc nie wprowadziłaś się tu? - zapytał bardzo cicho Spider, poruszony siłą jej miłości do tego domu widoczną w każdym jej geście, nawet w delikatnym odgłosie jej kroków na deskach podłóg, kroków tak charakterystycznych jak podpis.

395

Wiedział, dlaczego tu nie zamieszkała. Pamiętał każde słowo tamtego artykułu o Billy i Samie Jamisonie. To tutaj planowała z nim mieszkać. Biedny, głupi idiota, który, dzięki Bogu, stracił najcudowniejszą kobietę na świecie.

- Nie, jakoś nie było mi to przeznaczone - rzekła Billy, dzielnie usiłując ukryć żal w głosie.
- Może wtedy nie, ale, mówiąc od siebie, nie potrafię znieść myśli o tym, że nie jest umeblowany. Zostajemy tu, w Paryżu, dopóki z pomocą Delacroix wszystko nie zostanie wypakowane, ustawione, pokoje nie zostaną napełnione kwiatami, w kominkach nie znajdzie się drewno, a w świecznikach świece, dopóki w kuchni nie będzie tony jedzenia i kogoś, kto przyzwoicie zaparzy herbatę - nawet kawę - a potem, jeśli nadal będziesz kochała ten dom nawet tylko w połowie tak mocno, jak teraz, to zamieszkamy tu, dopóki nie nabierzesz chęci powrotu do Kalifornii, a jeśli nie zechcesz tam wrócić, to zostaniemy.

- Spider! - zawołała Billy. - A co ze Scruples II? Nie możesz tak tego zostawić!

- Oczywiście, że mogę. To cholera prowadzi się prawie samo. Po co zatrudniać drogich kierowników, jeśli nie mogą działać samodzielnie? A jeśli będą chcieli się szybko ze mną skontaktować, to zawsze jest teleks czy telefon. Oboje mamy tendencję do zbyt dużego angażowania się w pracę kosztem rozrywki. Po urodzeniu dzieci pracowałam jakby na dwóch posadach i na nocnej zmianie.

- Nie potrafiłam przestać. - Billy potrząsnęła głową, myśląc o sobie z politowaniem. - Taka już jestem.

- Jeśli ja mogę oduczyć się bycia jaskiniowcem, to ty możesz nauczyć się być trochę mniej...

- Obowiązkowa? Tego słowa szukasz?

- Obowiązkowa i... opętana... to dwa aspekty tego samego. Och, Billy, potrzeba nam trochę czasu dla siebie. Jest tyle rzeczy, które moglibyśmy odkryć, a które zupełnie nie wiążą się z pracą, ale jeśli nie spędzimy kilku miesięcy na rozglądaniu się, nigdy się o tym nie przekonamy... a jeśli się nad tym zastanowić, to po tym, jak przez te wszystkie lata utrzymywałaś ten dom w idealnym stanie, jest ci on winien dach nad głową. Jeśli naprawdę chciałabyś go sprzedać, dawno

396

już byś to zrobiła. Zawsze miałaś nadzieję, że tu wrócisz, nawet jeżeli nie zdawałaś sobie z tego sprawy.

- Przypominasz mi kogoś, kogo kiedyś znałam - powiedziała Billy przyglądając mu się poważnie.

- Kogo?

- Spidera Elliotta... faceta, który zawsze potrafił mnie do wszystkiego namówić.

- Tylko dlatego, że ty też tego chciałaś - powiedział, a potem pocałował ją tak, że prawie zemdląca.

- Chodź, obejrzymy te skrzynie w stajni. Ciekawe, czy mąż Marie-Jeanne ma młotek albo łom.

Wyszli na dziedziniec trzymając się za ręce i zobaczyli wracających z wizyty Pierre'a i Marie-Jeanne.

- Monsieur Pierre, czy ma pan może młotek? - zapytał Spider.

- Oczywiście, monsieur. Czy pomóc panu?

- Właściwie tak, cztery ręce to nie dwie. Otwórzmy kilka skrzyń w stajniach i zobaczymy, co w nich jest.

- *Eh bien, monsieur* - odparł zaskoczony Pierre - ale to praca dla dwudziestu ludzi.

- Wynajmiemy ich jutro, ale chcę zacząć od zaraz.

- Madame wreszcie się rozpakuje? - zapytała **nieśmiało** Marie-Jeanne.

- O, tak! - zawołała Billy oszołomiona szczęściem. Wprowadzamy się razem z dziećmi i nianią - i psem.

- Psem! *Dieu merci!* Zawsze chciałam mieć psa! Jestem jedyną żoną stróża bez psa. Ach, madame, to wymaga małego *coup* szampana, prawda?

- O, tak, jak najbardziej! Mam nadzieję, że pamięta pani o wszystkich butelkach, jakie jestem pani winna.

- *Restez-tranquille*, tak, madame. Ale szampan będzie od nas, od Pierre'a i ode mnie. Czy mogę zapytać, jaki to będzie pies, duży czy mały?

- Zobaczymy, ale będzie to prawdziwy, francuski pies, proszę się nie martwić, madame Marie-Jeanne.

405

- W dniu przyjęcia, jakie wydają dla ciebie i taty, będzie w mieście Ben Winthrop. Czy przeszkadzałoby ci, gdyby się na nie wprosił? Jeszcze go nie poznałaś - zapytała Saszę Gigi. Bawiły się z małą Nellie w ogrodzie umeblowanego domu w Brentwood, który wynajął Vito, dopóki nie znajdą czegoś na stałe.

- Oczywiście, że nie. Chcę wreszcie zobaczyć ten „Ósmy Cud” i kto wie, może uda mi się wydębic od niego zaproszenie do jego latającej maszyny. Jak mógłby odmówić panie młodej na opóźnionym przyjęciu weselnym?

- Nie odmówi - odparła z pewnością siebie Gigi. - Gdzie chcesz polecieć?

- Gdziekolwiek! Skoro jesteś bez pracy, moglibyśmy skoczyć na wykwintny lunch do San Francisco, pójść na zakupy w białych rękawiczkach i kapeluszach jak prawdziwe tamtejsze damy, i wrócić na kolację.

- Zakładam, że pożyczysz mi kapelusz i rękawiczki? Ale San Francisco to świetny pomysł - będę mogła osobiście zawieźć prezent Eleonorze Colonne. Sasza, wolałabym, żebyś nie używała w stosunku do mnie sformułowania „bez pracy”. Ja odeszłam od agencji Frost, Rourke, Bernheim.

- A co za różnica? - zapytała Sasza z urażonym poczuciem praktyczności. - Nie dostajesz pod koniec tygodnia czeku.

- Zrobiłam to z własnego wyboru i nawet sobie nie wyobrażasz, jaka czuję się wolna. W każdym razie mam tyle do roboty przy planowaniu waszego przyjęcia, a potem weneckiej fety, że i tak nie mogłabym normalnie pracować.

- Wenecka feta? - zapytała Sasza. - To znaczy dziewicza podróż?

- To będzie druga feta, za rok. Ta odbędzie się za dwa tygodnie. To właściwie wycieczka reklamowa dla prasy branżowej. Ben widzi w tym możliwość pochwalenia się firmą Winthrop Development, używając jako pretekstu linii. Zaprosił wszystkich najważniejszych ludzi z firmy, łącznie ze wszystkimi, z którymi ostatnio pracowałam w Nowym Jorku.

406

- A po co, skoro statek jest jeszcze w suchym doku? Powiedziałaś, że taki widok może ucieszyć jedynie właściciela statku.

- Ilekroć buduje się statek - wyjaśniła Gigi - w pierwszej blasze położonej na kilu umieszcza się na szczęście monetę od właściciela. Dla upamiętnienia zakupu trzech statków i przebudowy „Smaragda” Ben zamierza zastąpić tę płytkę na frachtowcu płytką z amerykańskim srebrnym dolarem. Ja to wszystko organizuję we współpracy z dużym biurem podróży. Musimy sprowadzić prasę do Wenecji, a potem do Porta Margera na ceremonię wymiany płytek i przewieźć ją z powrotem do Wenecji na uroczystość w Cipriani. Podróż, jedzenie i zakwaterowanie dla prawie dwustu osób z mediów i kilkudziesięciu pracowników Bena.

- Czy dostaniesz jakieś pieniądze za ten wenecki występ? - spytała podejrzliwie Sasza.

- Ben chciał mi zapłacić, ale odmówiłam.

- Gigi! - Sasza była oburzona. - Jako twoja była agentka nie mogę na to pozwolić.

- Sasza, ja po prostu nie mogę - nie chcę - znaleźć się na jego liście płac.

- O dziwo, biorąc pod uwagę delikatną równowagę panującą między wami... stan zawieszenia, rozumiem, CO czujesz. Dobrze, pracuj sobie za darmo, guzik mnie to obchodzi. I cieszę się, że Ben przyjdzie na przyjęcie, bo widok was obojga na krawędzi małżeństwa może być akurat tym, czego potrzebuje Zach, zastrzykiem rzeczywistości, której mu brak w życiu. Zbyt długo bujał w emocjonalnych obłokach i swoim snuciem się doprowadza Vito do szaleństwa. Zrobiłabym wszystko, żeby pomóc mu o tobie zapomnieć. Och, Nellie, to jest dżdżownica, a nie zabawka, kochanie. Oddaj ją mamie. Och, Gigi, ona wkłada ją do ust! Na litość boską, nie pozwól jej na to!

- Nellie, nie - powiedziała łagodnie Gigi wyjmując robaka z dłoni dziewczynki. - Masz tu ładną łopatkę, idź sobie pokopać.

- Wczoraj znalazła dżdżownicę i wykapała ją w swoim kubku z sokiem pomarańczowym - rzekła Sasza. - Nic jej nie zrobiła i zaniosa z powrotem do ogrodu. Jak myślisz, czy Nellie zostanie zoologiem?

399

- Przy pozbawionej rozumu matce będzie miała szczęście, jeżeli przeżyje dzieciństwo.
- Nie sądzę, że to szaleństwo zastanawiać się nad przeszłością Nellie. Teraz dla kobiety nie ma rzeczy niemożliwych, a zanim dorośnie...
- Sasza Nevsky, nie graj ze mną w ciuciubabkę. Znam cię zbyt dobrze.
- Sasza Orsini, jeśli łaska. Masz coś przeciwko dzieleniu ze mną tego nazwiska? A przestałam bawić się w ciuciubabkę już dawno temu.
- To co oznaczają te bzdury o Zachu?
- Żeby to były bzdury. Vito się przez niego prawie rozchorował. Przy kręceniu „Długiego weekendu” nie jest błyskotliwy jak zawsze i mój biedny mąż musi go cały czas wspierać, żeby nie zбочył z kursu. Czarna komedia zmienia się w sentymentalny romans, ponieważ reżyser jest nadal emocjonalnie związany z córką producenta - jak myślisz, chyba już samo to mogłoby posłużyć za podstawę filmu? Może powinnam zasugerować to Vito, może nie jest jeszcze za późno, żeby zmienić scenariusz.
- Sasza, poza złośliwym judzeniem nie potrafię wymyślić żadnego innego powodu, dla którego miałabyś mówić, że Zach nadal jest „emocjonalnie związany” - cóż za obrzydliwe wyrażenie - ze mną. Wiem, że uwielbiasz wywoływać kłopoty, ale sądziłam, że dwa szybko po sobie następujące małżeństwa wyleczyły cię z tego.
- Jesteś naprawdę podła, Gigi, że przypominasz mi o Joshu, kiedy jestem taka szczęśliwa. Jak mogłaś?
- Ja nie wiem wyrzutów sumienia, Sasza, więc przestań próbować je u mnie wzbudzać. Dlaczego wywołujesz kłopoty?
- Gdyby Zach się umawiał, nawet z aktorkami, nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że Zach smali do ciebie cholewki - czy to wyrażenie podoba ci się bardziej? Czy jest wystarczająco staroświeckie? - ale on tego nie robi. Od czasu waszego zerwania Zach Nevsky przestał zadawać się z płcią przeciwną. Pytam cię, Gigi, czy dla mężczyzny w kwiecie wieku jest to zdrowe?
- Skąd bierzesz te wszystkie bzdury?
- A stąd, że mój mąż przez pierwszą godzinę po powrocie do domu nie mówi o niczym innym. Zapytaj go sama.

408

Uważasz, że twój ojciec wymyślałby różne rzeczy po to, żeby wywołać kłopoty?

- Jasne, gdyby to mu pomogło w zrobieniu filmu. Ale to... to jest czysta złośliwość. Wy coś knujecie.
- Dobry Boże, nie sądzisz, że nie mamy ciekawszych rzeczy do roboty niż pleść ci pochlebstwa o twoich zabójczych urokach? Jak możesz być tak samolubna? Nellie! Przestań! Gigi, ona przecięła dżdżownicę na pół łąpatką! O, Boże, jak mogła zrobić coś takiego?
- Wyrośnie na wielokrotną morderczynię, co rzadkie u kobiet, ale nie niespotykane. Albo na trucicielkę insektów. Włóż ją do kojca, na litość boską. Ona jest jak wielki, tłusty koliber. Od patrzenia na nią robię się nerwowym wrakiem. Teraz mam niejakie pojęcie, przez co przeszła Billy z bliźniakami.
- Chcesz dać Nellie butelkę? Już czas na karmienie.
- Nie, nie chcę - odparła Gigi przez zaciśnięte zęby.
- Och, daj spokój, bądź dzielna, kiedyś będziesz musiała to zrobić. Musi to robić prawie każda kobieta, nawet mama musiała dawać nam butelki, a może karmiła nas piersią do chwili, kiedy mogliśmy pić z kubeczków. Kiedy Zach znów będzie do niej dzwonił, poproszę go, żeby się dowiedział.

- Kiedy Zach co? - Gigi ze zdumienia wytrzeszczyła oczy. Odczuwała prawdziwy strach przed Tatianą Orloff Nevsky. kłótniawą, wzbudzającą grozę, nie znoszącą sprzeciwu dyktatorką wielkiego klanu Nevskyich, której zły charakter był już legendarny.

Sasza westchnęła.

- Dzwoni do mamy po utulenie na odległość. Vito mówi, że ostatnio robi to dwa razy na tydzień.

- Czy ty mi kłamiesz, Sasza?

- Mówię ci absolutną prawdę, przysięgam na głowę Nellie.

- Ale... bez obrazy, ale twoja matka jest terrorystką. Szanuję ją i podziwiam, ale cieszę się, że nie jestem jej dzieckiem.

- Wiem, ale kiedy czujemy się naprawdę zrozpaczeni, prawie tak źle, jak mama uważa, że powinniśmy się czuć, skoro jesteśmy dla niej takim rozczarowaniem, to udaje się jej wygrzebać trochę współczucia. Zanim osiągnie się ten poziom, trzeba mieć myśli samobójcze, ale on istnieje. Kiedy przechodziłam najgorszy okres z Joshem, też do niej dzwoniłam

401

i to mi pomagało. Przynajmniej wiedziałam, że mam mamę, choćby nie wiem jak straszłą. Gigi zastanowiła się nad słowami Sas/y w milczeniu. O tej stronie mamy **nigdy nic słyszała,** - Zach nigdy... nic nic **powiedział,, to** znaczy o mnie... tacie, prawda? - zapytała z **wahaniem** Gigi.

- Ani słowa. Ani mnie, ani Vito.

- Widzisz, masz złudzenia.

- Wręcz przeciwnie. To tak, jakby siłą woli wymazał cię z rzeczywistości. Biorąc pod uwagę ilość czasu, jaką spędza z Vito, jest to wyjątkowo podejrzane. Gdyby Zach chociaż raz zapytał, jak ci leci, gdyby tylko przelotnie przyznał, że istniejesz - ale przez rok nie wymienił twojego imienia, kiedy codziennie pracuje z Vito - nie sądzisz, że jesteś już trochę za stara, żeby ciągle nazywać go „tata”? - jeśli jesteś moją przyjaciółką mimo tych wszystkich okropieństw, które wygadujesz, nie mówiąc już o tym, że miłością życia Zacha, to dla mnie jest to pewny znak, że to wszystko jest dla niego jeszcze zbyt bolesne. Przecież ty potrafisz rozmawiać o Zachu bez żadnych kłopotów, bo jesteś zakochana w Benie, ale mój biedny, porażony miłością brat nie może nawet wymówić twojego imienia na głos, bo nigdy nie potrafił poradzić sobie z faktem, że jego życie musi się toczyć dalej bez ciebie.

- Tym gorzej dla niego.

- To właśnie powiedziałam Vito.

- I co odpowiedział mój kochany tatulek?

- Coś uroczonego, jak to on nigdy w życiu nie poradzi sobie beze mnie, no, ale Vito to nie Zach, Vito jest dorosły, a Zach to chory z miłości chłopiec.

- Chłopiec? Doprawdy, Sasza, przez małżeństwo ze starszym mężczyzną zrobiłaś się niezdolnie protekcyjna. Zach ma co najmniej trzydzieści jeden lat.

- Ale w głębi serca nadal jest chłopcem, namiętym, romantycznym chłopcem jak Heathcliff. Czy Heathcliff miał jakieś nazwisko, czy to jego imię? Joe Heathcliff? Heathcliff Jones? Nieważne. To smutne, ale staram się o tym nie myśleć. Potrzymaj Nellie, możesz ją ponosić, aż jej się odbije, jeśli nie chcesz jej nakarmić. Nic nie daje takiej satysfakcji, jak doprowadzenie do odbicia się u dziecka, nie tylko sam dźwięk,

410

ale wycucie, jak powietrze wędruje do góry i wychodzi na zewnątrz.

- Skoro Nellie jest na tyle duża, żeby biegać i rozcinać dżdżownicę, to może nie trzeba jej pomagać w odbijaniu?

- Jasne, ale dlaczego miałabym pozbawić cię takiej chwili, skoro zamierzasz zabrać mnie samolotem do San Francisco?

*

Victoria Frost zwinęła się na łóżku i niezwykle ostrożnie jeszcze raz przyjrzała się swemu stanowi posiadania. Agencja mogła teraz liczyć na zamówienia na sumę prawie stu dziewięćdziesięciu milionów dolarów rocznie, a ona sama pozbyła się tej bezczelnej, przemądralnej małej zarazy, tej zarozumiałej, impertynenckiej dziwki, tej rozwścieczającej chwalipięty Gigi Orsini nie tracąc zamówień, które zdobyła, z wyjątkiem Indigo Seas, którego i tak nie mogliby zatrzymać.

Mimo zapewnień Gigi, że wycofuje się z reklamy, cały zeszły tydzień upłynął pod znakiem napięcia, ponieważ spodziewali się, że przekonała Spidera Elliotta, żeby wycofał się ze współpracy, a Bena Winthrop, żeby zabrał im Zaczarowany Strych i Linię Winthrop. W końcu Victoria, Byron i Archie dowiedzieli się pocztą pantoflową, że Gigi nie zatrudniła się w żadnej innej agencji zabierając ze sobą swoje zamówienia, co mogłaby zrobić z wielką łatwością. Wstępne prace dla Beach Casuals i Scruples II postępowały szybko.

W dodatku FRB została zaproszona do złożenia oferty przez trzy ważne firmy z Nowego Jorku. Zmontowanie oferty wymagało pieniędzy, czasu i ogromnego poświęcenia, lecz agencja była do tego gotowa jak nigdy dotąd. Nie byli już lokalną agencją - ich reputacja jako przebojowej firmy rozciągnęła się na cały kraj, a wszystkiego tego dokonali w niecałe dwa lata.

Victoria stwierdziła, że nie ma już najmniejszej przyczyny, dla której Angus miałby się wahać przed opuszczeniem Nowego Jorku. Już dawno temu zdała sobie sprawę, że ceni on sobie przyzwyczajenia, że nie lubi zuchwale podejmować kolejnego nieuniknionego kroku w życiu - czyż prawie wszyscy mężczyźni nie odznaczają się tą zasadniczą słabością? - lecz dzięki rzadkości ich spotkań jego namiętność pogłębiła

403

się. Każdą komórką ciała aż do szpiku kości, każdym włosem na głowie wyczuwała, że żadna kobieta nie miała takiej fizycznej władzy nad mężczyzną, jaką ona sprawowała nad Angusem. Victoria przewróciła się na plecy i pomyślała o mężczyznach, z którymi flirtowała w Kalifornii. Każdy z nich dodawał do jej erotycznej władzy i wyobraźni seksualnej kolejną warstwę. Dobrze jej służyli. Ilekroć była z Angusem, zatapiał się w jej ciele z taką nieokiełznaną żądzą, że czasami ją to przerażało. Należał do niej. Nadszedł czas, żeby przystał na jej warunki. Jego życie z jej matką było bolesną farsą, mówił jej to przy tysiącu okazji. Czekala tak długo, jak zamierzała. Przyszła chwila upomnienia się o swoje.

Victoria obliczyła, że przy jej nowym sukcesie nie miało znaczenia, że wiele zamówień Angusa nie przejdzie razem z nim z agencji Caldwell & Caldwell mimo całego czasu, jaki spędził przygotowując grunt pod zmianę. Tutaj, w Los Angeles, znajdzie się aż za dużo dochodowych zamówień dla nich obojga. A co równie ważne, w kierownictwie FRB istniała autentyczna potrzeba Angusa.

Działka Victorii była o wiele za duża dla jednej osoby, chociaż długo i ciężko pracowała nad ukryciem tego faktu przed Archiem i Byronem. Obaj byli zajęci zatrudnianiem nowych twórców dla zdobytych zamówień, lecz po swojej stronie interesu Victoria nadal, jak zwykle, ograniczała liczbę i wpływy własnych kierowników zamówień do minimum, tak że Angus znajdzie dla siebie na szczycie FRB gotowe miejsce.

Był wczesny sobotni poranek. Victoria obudziła się przed świtem. Spojrzawszy na zegarek na stoliku przy łóżku pomyślała, że Angus i jej matka pewnie wyjechali na weekend do Southampton, ale jest tak wcześnie, że matka na pewno nie zeszła jeszcze na śniadanie. Teraz! Znienawidzone wieloletnie więzy rozpadły się w przyływie sukcesów i niecierpliwości Victorii. Usiadła na łóżku, wzięła słuchawkę do ręki i wykręciła numer w Southampton.

- Poproszę z panem Caldwellem, chciałby z nim rozmawiać Joe Devane - powiedziała pokojówce, która odebrała telefon.

Angus był na linii w ciągu minuty.

- To ja. W którym jesteś pokoju? - zapytała.

412

- W bibliotece, co, u diabła...

- Nie przerywaj. Czytałeś, że dostałam Beach Casuals, prawda?

- Tak, ale...

- Angus, minęły już prawie dwa lata. Nie będę już dłużej czekała. Dostyc mam bycia na bocznym torze, to nie jest życie dla mnie. Nie ma już powodów, żebyś zostawał tam, gdzie jesteś, potrzebuję cię tutaj.

- Czas jest nieodpowiedni, za bardzo się śpieszysz...

- Czas nigdy nie będzie lepszy. W przyszłym tygodniu przyjeżdżam do Nowego Jorku. Mamy nieformalną wstępną rozmowę z Harrisem Reevesem we wtorek rano, a po południu mam krótkie spotkanie z Joem Devanem. Następne trzy dni spędzimy w Beach Casuals. Będiesz miał mnóstwo czasu, żeby jej powiedzieć.

- Ja... posłuchaj, ja...

- Jeśli jej nie powiesz, to ja to zrobię.

- Nie mówisz tego poważnie, Victorio...

- Nie prowokuj mnie. Do widzenia.

Angus Caldwell bez słowa odłożył słuchawkę. Zamknął się w bibliotece, ciągle mając w uszach głos Victorii. Nadszedł dzień, który odsuwał w nieskończoność, mając nadzieję - nic, wierząc - że

jakoś do niego nie dojdzie. Że Victoria kogoś tam spotka albo z niego wyrośnie, straci zainteresowanie... Bóg jeden wie, co myślał, ale był przekonany, że ta chwila nigdy nie nadejdzie. Nagle, nie potrafiąc znieść takich niepokojących rozmyślań w zamkniętym pokoju, Angus Caldwell wybiegł z wielkiego domu, który stał w odległości kilkuset metrów od morza. Zszedł po idealnej zieleni trawnika na piasek i zatrzymał się dopiero przy linii łagodnych tego poranka fal. Angus Caldwell rozejrzał się we wszystkich kierunkach. W miarę, jak perłowoniebieskie światło kolejnego cudownego, jesiennego dnia w Southampton nabierało mocy, zwiewne, opałowe mgły poranne szybko podnosiły się nad oceanem. Rozglądając się po rozległej, beżowej plaży, Angus wymieniał w duchu mieszkańców każdego wspaniale utrzymanego domostwa. Stały one w sporych odległościach od siebie za przyszyżonymi żywopłotami, tworząc niezrównaną atmosferę

tego odcinka wybrzeża. Każdy z sąsiednich domów należał do jakiegoś dobrego przyjaciela, w każdym z nich Angus był mile widzianym gościem, podobnie jak w klubach Maidstone i Meadow, których członkostwo dawało szczególną wiedzę absolutnego uprzywilejowania, jakie można było znaleźć jedynie w Southampton, uprzywilejowania, któremu nie mogło dorównać żadne z innych, mniejszych, nuworyszo-wskich Hamptonów.

Angus zaczerpnął głęboko powietrza, tego czystego, tonizu-jącego słonego powietrza Atlantyku, i spojrzał na swą własną, noszącą ślady zmiennej pogody, krytą gontem siedzibę, charakterystyczną dzięki głębokim wykuszom okien, szerokim gankom i niezwykle wygodnym, rozmyślnie niedbale umeblowanym pokojom, do której co piątek wieczorem przylatywał śmigłowcem z pełnym tęsknoty wyczekiwaniem - takim samym, jakie odczuwał w niedzielę wieczór, kiedy nadchodził czas powrotu do ogromnego, wypełnionego dziełami sztuki, eleganckiego mieszkania przy Piątej Alei, wiedząc, że czeka go tydzień dobrej roboty. Przy każdym uderzeniu serca czuł, jak wiele znaczy dla niego chwila, kiedy otwierały się drzwi windy, a on wchodził do wspaniałego przedsiönka agencji, w której od tak dawna rządził z Millicent setkami pracowników. Odtwarzał rytuał porannej trasy wiodącej wzdłuż korytarza do jego gabinetu, podczas której wiele razy przystawał, żeby porozmawiać z innymi, ani razu nie wykorzystując swej wiedzy, że dobrobyt wszystkich osób w zasięgu wzroku zależy od niego i Millicent. Angus Caldwell przyglądał się rozległemu atlantyckiemu horyzontowi i zastanawiał się nad swym partnerstwem w agencji, która wkrótce będzie miała zamówienia na miliard dolarów rocznie. Schylając się po kawałek przyniesionego przez fale drewna pomyślał, że są z Millicent dobrymi szefami, że uczciwie zarobili każdy z ich milionów.

Angus Caldwell pomyślał, że spośród wszystkich znanych sobie mężczyzn prowadzi najlepsze życie, ale na górze w swojej sypialni jeszcze śpi Millicent, Millicent, dająca mu swobodę we wszystkich sprawach z wyjątkiem jednej, której tak bardzo pragnął. Gdyby w tej chwili znalazła się tu Victoria, musiałby znaleźć miejsce, gdzie mógłby ją posiadać, gdzie

414

mógłby zaznać wyzwolenia, jakie mogła mu dać tylko ona, ponieważ jej głos przez telefon nieznacznie go podniecił, prawie do bólu. Nie, nie potrafiłby się powstrzymać, nawet gdyby musiał rzucić ją na doskonale widoczny z domu piasek.

Powiedziała, że jeśli on nie powie, to zrobi to ona. Kiedy fale cofnęły się, Angus zrobił czubkiem adidasa spore zagłębienie w piasku i patrzył, jak powracające fale stopniowo je napełniają. Na widok tego nieuchronnego zjawiska wzruszył ramionami i puścił się biegiem wzdłuż szerokiej plaży. Poruszał się swobodnie, jak mężczyzna nie mający żadnych trosk poza tym, jak utrzymać się w dobrej kondycji, żeby przedłużyć to godne zazdrości życie.

*

Vito i Zach zrobili sobie przerwę na kawę, a montażysta przeglądał ujęcia sceny, nad którą pracowali w tymczasowej montażowni urządzonej w motelu leżącym niedaleko planu zdjęciowego w Kolonii Malibu.

- Było tam kilka ujęć, które wydawały mi się lepsze niż to, co teraz widzieliśmy - powiedział z nadzieją w głosie Zach. - Możemy to ostatecznie ujęcie znacznie poprawić.

- Wiem o tym - odparł Vito. - Właściwie im więcej zużywasz taśmy, tym lepiej wygląda ten film. W zeszłym tygodniu był taki dzień, kiedy pomyślałem, że jedyna rzecz, jaką możemy z nim zrobić, to spalić negatyw i mieć nadzieję, że nie nakryje nas straż pożarna, ale teraz zmienił się w interesująco dojrzałą potrawkę, zwariowaną pół-czarną komedię zmieszaną z czystym sentymentalizmem i seksowną dawką szalonego romansu. Już słyszę Siskela i Eberta: „Kartka walentynkowa dla Hollywood - dwa kciuki w górę”.

- Jeśli masz rację, Vito, to stało się tak dzięki kilku szczęśliwym przypadkom i współdziałaniu aktorów. Nie pracuję jak zwykle, nie myśl, że nie zdaję sobie z tego sprawy. Ciągłe wyobrażam sobie Siskela i Eberta z wyprostowanymi środkowymi palcami, a w piątek kończymy zdjęcia. Vito roześmiał się swobodnie.

- Ciągłe ci powtarzam, Zach, że to tylko film. Nie bierz tego sobie tak do serca, chłopcze. Każdy z nas robił po kilka rzeczy, które od początku wydawały się kuleć. A czasami

407

wszystko może iść jak z płatka, a wychodzi szajs. Widziałeś może „Białego anglosaskiego protestanta”? Nie, nie było pytania! Nie chcę cię zawstydząć.

Vito znów się roześmiał i dolał sobie kawy.

- „Długi weekend” zaczął się pod złą gwiazdą. Mieszkańcy Malibu zbierali się pewnie co tydzień, robili nasze woskowe figurki, wbijali w nie igły i gotowali je w oleju. Nie chcieli, żeby film był tutaj kręcony, to miejsce to ich własny, kazirodczy sekret. Ale nie mogli nas pokonać, więc dali już za wygraną. „Długi weekend” powinien nazywać się „Czarną mszą w Malibu”. Właściwie chyba jutro zarejestruję ten tytuł w Gildii.

- Vito, dlaczego jesteś taki odprężony? To niepokojące. Od kiedy zacząłem z tobą współpracować, każda chwila wydawała się sprawą życia i śmierci, a tu nagle ja spieprzyłem sprawę, a ty przyjmujesz to spokojnie - no, stosunkowo spokojnie. To nie jest Vito Orsini, jakiego znam.

- Po pierwsze, nie spieprzyłeś sprawy, mamy zrobiony film. Po drugie, nie jestem Vito Orsinim, jakiego znasz, za co możesz podziękować swojej siostrze. Kiedy wracam do domu, do Saszy, nabieram poczucia proporcji w życiu. A jeśli jestem na czas, żeby potrzymać Nellie po jedzeniu, to ujęcia nakręcone w danym dniu już tak wiele dla mnie nie znaczą.

, - Ty chyba naprawdę uwielbiasz to dziecko - powiedział Zach.

- Jasne. Strasznie żałuję, że nie było mnie przy Gigi, kiedy była w tym wieku. Ale teraz Gigi to takie kosmiczne zmartwienie, że szczerze się cieszę, że wam nie wyszło. Przy waszych dziwactwach byłby to związek z góry skazany na niepowodzenie.

- Dzięki.

- Posłuchaj, chłopcze, chyba nie winisz mnie za to, że chcę, żeby Gigi wyszła za Bena Winthropa, co? On nalega, ale Gigi nie chce o tym rozmawiać, nawet mnie z nim nie poznała. Sasza mówi, że jestem interesowny, ale jakiego ojca nie cieszyłaby myśl o córce wychodzącej za młodego, bogatego, przystojnego i, o ile wiem, dość przyzwoitego faceta? Sasza mówi, że nie ma na to najmniejszej szansy, bo Gigi czuje uczuciowy zamęt, a nawet gdyby rzeczywiście wyszła za

416

Winthropa, to dlatego, że on wykorzystałby jej dezorientację, a co więcej, małżeństwo to by się nie utrzymało, bo traktowałaby go tylko jako odtrutkę na ciebie.

- Sasza zwariowała! - zawołał z goryczą w głosie Zach. - Jezu, co się z nią dzieje? Nigdy nie pozbyła się swego siostrzanego podejścia, swego głupiego przekonania, że nie może mi się oprzeć żadna kobieta. To dlatego, że przypominam jej ją samą, jakbyś chciał wiedzieć. Myślałem, że może małżeństwo ją wyleczy... ale najwyraźniej nic z tego.

- Wiesz co, Zach? Oboje z siostrą stanowią zagrożenie dla społeczeństwa. Skoro jednak ja wycofałem Saszę z obiegu, to ktoś powinien zamknąć ciebie. Żaden mężczyzna tak naprawdę nie zapomniał o Saszy - spójrz na tego żalostnego śmiecia, Josha Hillmana. A moja córka, jedna z najbardziej trzeźwo myślących osób, jakie znam, jest nadal tak drażliwa na twoim punkcie, że nie śmiem nawet wymawiać w jej obecności twojego imienia, bo zaraz przybiera tę swoją minę skrzywdzonego zwierzątka, a ja się czuję jak bezmyślne bydlę. Ani razu mnie nie zapytała o ten film, i to tylko dlatego, że ty przy nim pracujesz. I co tu mówić o braku troski o ojca! Zaprosiłem ją, żeby przyszła obejrzyć plan, skoro nie pracuje, a ona nawet nie chciała o tym słyszeć. Przy innych filmach męczyła mnie, żebym pozwolił jej zobaczyć, jak pracuję, mimo że mówiłem jej, jakie to nudne. Ona nie jest emocjonalnie gotowa do spotkania z tobą.

- W takim razie na pewno nie przyjdę na przyjęcie - powiedział szorstko Zach.

- Musisz przyjść, Zach, wiesz, że musisz. Nigdy byśmy ci tego z Saszą nie wybaczyli. Gigi jest na to duchowo przygotowana. Właściwie jest też gotowa fizycznie, nawet przestała mieszkać wyłącznie w sypialni niczym jakiś odludek i zmusiła się do korzystania z całego domu. To chyba

dobry znak. Z drugiej strony, całe ranki spędza na czytaniu porad sercowych, psychologicznych i swoich horoskopów we wszystkich czasopismach, jakie można kupić. Czy ona uważa, że znajdzie odpowiedź na swoje kłopoty z tobą w gazecie? Tylko czekam, kiedy zacznie spać ze swoim pluszowym misiem.

- Vito, do cholery, to nie ja z nią zerwałem, ale ona ze mną. To nie moja wina, że jest... taka, jaka jest.

409

- Wiem, Zach. Żadna z moich byłych dam nie była tak rozbita jak Gigi. Do diabła, jestem w dobrych stosunkach nawet z Billy. Następny film finansuję wspólnie z Susan Arvey, a z Maggie MacGregor żyję w prawdziwej przyjaźni.

- Ty i Susan Arvey! Nie gadaj!

- Jasne. A co myślałeś? Nawróciłem się... ale miałem swoje dni. Cudowne, wspaniałe dni. Dzięki Bogu Sasza nie chce o tym wiedzieć, bo musiałbym jej powiedzieć, a podejrzewam, że nie przyjęłaby dobrze prawdy.

- A co z Maggie? - zapytał ciekawie Zach.

- To naprawdę długa historia, zaczęła się na długo przed Billy. Jak, twoim zdaniem, namówiłem ją na zrobienie tego specjalnego programu o tobie w Kalispell?

- W ogóle o tym nie myślałem, a jeżeli już, to sądziłem, że to dzięki dramatyzmowi sytuacji. Powinienem być bardziej podejrzliwy.

- Wcale nie, czegoś takiego nie widać gołym okiem, trzeba wiedzieć. Uwierz nawróconemu i doświadczonemu facetowi. Widzę Gigi i widzę dziewczynę, która nie ma pojęcia, dlaczego kupiła kasetę wideo z filmem „Tacy byliśmy”, który ogląda prawie każdego wieczoru, jaki spędza samotnie w domu.

- „Tacy byliśmy”?

- Dobra, nie jesteś Redfordem, a ona nie jest Streisand, ale temat, Zach, temat dwojga ludzi, którzy nie mogą razem żyć, ale których miłość nie chce umrzeć... ten film wzrusza przy każdym oglądaniu, nawet jeśli zna się go na pamięć. Dwadzieścia chusteczek. Widziałeś go kiedyś?

- Tak, raz... nie zrobił na mnie zbyt wielkiego wrażenia - skłamał niezręcznie Zach. Wypożyczał „Tacy byliśmy” ilekroć czuł, że musi go jeszcze raz zobaczyć, mniej więcej raz w tygodniu, czasami też w weekendy. Nie chciał go kupić. Oznaczałoby to zniewolenie.

*

W wieczór przyjęcia ślubnego, które wyprawiała Gigi dla Vito i Saszy, zachowały się jeszcze resztki dziennego upału, niezwyklego tak późno w październiku. Księżyc w pełni, rzeczywiście pomarańczowy, wisiał nisko na niebie jeszcze przed zachodem słońca.

Gigi robiła próby przyjęcia przez kilka wieczorów, ściemniając światła i wkręcając do swoich małych lamp nowe żarówki, które teraz świeciły miękkim, różowym blaskiem. Chodziła po domu przy zapalonych lampach, ustawiając niezliczone świeczniki i lampki wotywny, co dało świąteczny i korzystny efekt. Strefy cienia były równie udane - tajemnicze, pociągające i obiecujące. Cały dom stanowił jedno wielkie zaproszenie. Wszystkie drzewa i pnącza widoczne z różnych dziedzińców dwupiętrowego domu były obwieszane lampionami sączącymi różowawy blask, a balkony zostały obwieszane sznurami małych, białych, migających światełek.

Gigi najpierw chciała udekorować dom w weselną biel, która byłaby podwójnie efektowna na tle jej kwiecistych, barwnych perkali, lecz po zastanowieniu odrzuciła ten pomysł, ponieważ nie były to pierwsze zaślubiny ani Saszy, ani Vito. Udała się natomiast na targ kwiatów i załadowała do wypożyczonej furgonetki dwadzieścia tuzinów doniczek blad różowych cyklamenów i tyle samo doniczek białych i różowych angielskich pierwiosnków w pełni rozkwitu. Kolejną wyprawę odbyła na targ warzywny, gdzie chciała kupić różowe owoce, które, jeśli w ogóle istniały, to poza różowymi grapefruitami chowały się przed nią.

Jabłka, postanowiła Gigi, całe skrzynki jabłek we wszystkich odcieniach czerwieni. Pomyślała, że skrzynki może ob stawić doniczkami z kwiatami, ale nadal brakowało ostatniego ozdobnika.

Chodziła po targu wachając i dotykając, aż wreszcie znalazła maleńkie pęczki różowo-białych rzodkiewek z zielonymi liśćmi, które były na tyle ładne, że można by je wpiąć w klapę. Wykupiła cały ich zapas, setki pęczków, i powtykała je niczym falbaniaste ozdobniki do skrzynek z

jabłkami, które pracownicy firmy urządzającej przyjęcia poustawiali w starannie malowniczym nieładzie gdziekolwiek Gigi znalazła odpowiednie miejsce.

Gdzie umieścić bar, zastanawiała się Gigi. Doświadczenie nabyte w Rogu Obfitości mówiło jej, że każdy bar to potencjalny korek. W jej domu było tyle niepotrzebnych pokoi, że mogła umieścić bary w czworgu różnych drzwiach, w miejscach zbyt ciasnych, żeby zachęcały ludzi do zostawania w nich za długo.

418

411

Po wielu poszukiwaniach czegoś oryginalnego do jedzenia Gigi postawiła na rozsądek i zdecydowała się na wypróbowany, bezpieczny, klasyczny i pożywny włoski bufet, ulubione jedzenie Vito. Czy był ktoś, kto nie znalazłby nic smacznego wśród różnych gorących i zimnych *antipasti*, pięciu rodzajów makaronu i pierożków, *osso bucco*, kurczęcia z czarnymi oliwkami, kiełbasek z papryką i pieczonej jagnięciny? No i oczywiście będzie tort weselny. Jeśli trafi się ktoś taki, to niech tacy wybrednisie po przyjęciu pójda coś zjeść na mieście.

Gigi udało się wypożyczyć drukowane obrusy z kwitnącymi na różowo i biało gałązkami jabłoni na ciemnoróżowym tle. Serwetki były bladoróżowe, świece białe, a wśród nich stały proste, gliniane doniczki z niskimi, białymi pierwsnkami. Gigi poleciła firmie urządzającej przyjęcia nakryć metrowe stoliki na osiem osób i rozstawić je po całym domu. Jak mawiała Emily Gatherum, ciasne stoliki zapewniałyżywioną rozmowę w każdej grupie.

Ożywienie. Gigi jęknęła, przejęta treścią. Dlaczego, znając przerażające piekło bycia gospodynią z punktu widzenia obojętnej profesjonalistki, postanowiła sama wyprawić przyjęcie? Przyjęcie na setki ludzi, z których połowa nie miała nic wspólnego z drugą połową?

Ludzie ze Scruples II, których zaprosiła Sasza, nigdy w życiu nie widzieli nikogo z listy całego Hollywood, jaką sporządził Vito. Nic dziwnego, że Sasza nie spotkała się wcześniej z jej ojcem, a jedynym ich wspólnym gościem będzie Zach. No i Josie Spielberg i Burgo, poprawiła się Gigi. Mogła liczyć na Josie i Burgo, zawołanych rozmówców, że pomogą w budowie mostów nad wielką przepaścią między tymi obiema grupami, ale na pewno nie na Zacha, który, jak miała nadzieję, będzie na tyle taktowny, żeby pojawić się na krótko i szybko się wynieść.

Zach powiedział jej kiedyś, że jedyną rzeczą, jaką należy się przejmować organizując przyjęcie, jest dobre samopoczucie gości, że zadowolenie gospodarzy jest nieważne, ponieważ są jedynie producentami wieczoru.

Wtedy te słowa brzmiały rozsądnie, lecz Gigi wydawała teraz własne ogromne przyjęcie, będące w dodatku rodzinnym

420

weselem, i nie potrafiła przywołać poczucia filozoficznego dystansu wyczarowanego wtedy przez Zacha. Z drugiej strony ten dom, o wiele za duży dla niej, jest o wiele za mały dla wszystkich gości i może sama fizyczna bliskość nada przyjęciu koniecznej *joie de vivre*. Elsa Maxwell, słynna na cały świat gospodyni przyjęć w okresie międzywojennym, zawsze stawiała na tłok jako klucz do udanej zabawy. Trzęsąc się ze zdenerwowania, Gigi gorąco się modliła, żeby duch Elsy Maxwell ją pobłogosławił. Miała atak „klungu”. To pożyteczne słowo, którego nauczyła ją Sasza, mimo że nie można go było znaleźć w żadnym słowniku, oznaczało nagły przyptyw gówna do serca.

Potwierdzając wynajęcie dwunastu parkingowych z firmy Chuck's Parking, ośmiu skrzypków mających grać romantyczne melodie z największego z jej balkonów oraz orkiestry tanecznej mającej się z nimi zmieniać na dziedzińcu, Gigi błogosławiła dzień, w którym Sasza wynegocjowała kontrakt z biednym panem Jimmym o reprodukowanie przez niego jej starej bielizny. Po jego śmierci kontrakt przejął Scruples II, a jej skrzętnie przechowywane honoraria zmieniły się teraz w sumę, o jakiej nigdy nie marzyła. Nie można już było o niej myśleć jako o podkładzie w gnieździe, chyba że gniazdo należało do szczególnie dużego i płodnego dinozaura, składa jącego w dużych ilościach ogromne jaja. Nawet jeśli to przyjęcie stanie się zgodnie z jej oczekiwaniami kosztowną klęską, to może sobie na to pozwolić bez zmrżenia oka.

*

Gigi ubierała się na przyjęcie zimnymi rękoma, drżącymi przy każdym guziku. O mały włos nie zepsuła zamka błyskawicznego. Znalazła u Nehruna-Marcusa szyfonową sukienkę w kolorze, jak go nazywała, zieleni rusałki. Była to jasna zieleń przywodząca jej na myśl syreny figlujące na

wiosnę ze stadem krzepkich wodników przy brzegu rzeki. Sukienka miała dopasowany stanik, wąskie rękawy kończące się przy nadgarstkach mankietami i głęboko wycięty dekolt, któremu jakoś udawało się zacząć dokładnie w miejscu, gdzie jej różowe sutki gwałtownie przerywały błękitno żyłkowaną biel jej piersi. Stanik opinał jej tors aż do szczupłej talii przepasanej

prostym, szyfonowym paskiem. Spódnica, uszyta z trzech warstw szyfonu skrojonego ze skosu, falowała przy każdym ruchu Gigi, odsłaniając wszystkie krzywizny jej ciała, chociaż lekkie rozkloszowanie materiału dawało jej swobodę ruchów. Spódnica kończyła się o włos nad połową kolana, która to długość wyraźnie określała, że jest koniec roku 1984, ani dzień wcześniej, ani dzień później.

Kiedy twój ojciec żeni się z kobietą tylko o trzy lata starszą od ciebie, powiedziała sobie Gigi kupując najśmielszą i najbardziej prowokacyjną sukienkę w życiu, to masz obowiązek dać twojej macosze poczucie, że nie zostanie obarczona pasierbicą zbyt niewinną, żeby nie mogła się zatroszczyć sama o siebie. Albo zbyt skromną. Ta suknia byłaby skromna tylko dla kobiety uważającej, że jej główną strefą erogenną są jej ręce.

A w ogóle kto słyszał o niewinnej rusałce, zastanawiała się Gigi nakładając na rzęsy więcej tuszu niż zwykle i stając przed odbijającym całą jej postać lustrem. Chciałaby się czuć tak spokojna, na jaką wyglądała. Być może to oczywiste, że zielonooka dziewczyna ubrała się na zielono, ale to jest przecież Hollywood, gdzie subtelny efekt może się zmarnować.

Z wyjątkiem materiału ta sukienka nie miała nic wspólnego z lawendowym cudem, tą suknią druhny z baletu, jaką miała na ślubie Saszy z Joshem Hillmanem. Ona też już nie jest tą samą osobą, którą była przed dwoma i pół roku, pomyślała Gigi na chwilę zapominając o przyjęciu. Tyle się wydarzyło w jej życiu: wyfrnęła z gniazda Scruples II, podjęła trudną, prawie nie do pomyślenia decyzję o braku przyszłości z Zachem, odkryła w Victorii Frost swego pierwszego wroga, odkryła granice tego, co potrafi zrobić dla odniesienia sukcesu, miała dwóch kochanków i w gwałtowny sposób zapoznała się z niebezpiecznymi wirami męskiej zazdrości i zaborczości, zaczęła rozwijać talent w kierunku wynajdywania nowych perspektyw dla istniejących interesów i nawet zdobyła się na kupno dorosłej sukienki zamiast jak zwykle zmontować coś z różnych kawałków. Gigi zdała sobie sprawę, że niezależnie od tego, co to oznacza, zmieniła się, a jeśli jedna z tych zmian była niczym odpilowanie sobie kończyny, to nie dało się jej uniknąć. Zapytała siebie samą, jakby lustro mogło dać jej

422

odповідź, czy kiedy już spostrzegło się konieczność zmiany, to można przed nią uciec.

Odsuwając na bok bezowocne rozważania, Gigi odwróciła się od swych pytających oczu i stanęła bokiem, przyglądając się sobie krytycznie. W przyływie zadowolenia zdała sobie sprawę, że wygląda bezwstydnie gibko i tak zmysłowo, jak tylko to możliwe u zasadniczo szczupłej dziewczyny. Nigdy jeszcze od przyjazdu do Kalifornii nie miała tak długich włosów. Teraz sięgały jej prawie do ramion i przy każdym ruchu głowy falowały niczym skrzydła jaskrawo ubarwionego, jesiennego ptaka. Odkładając biżuterię Gigi zdecydowała, że oprócz złocistych sandałów nie ma potrzeby niczego dodawać. Ta sukienka ma przesłanie i zaciemniłaby je nawet bransoletka. A jakie dokładnie jest to przesłanie? Oczywiście... doskonała gospodyni: opanowana, spokojna, nieporuszona, serdeczna, pewna siebie i dorosła. Właśnie - dorosła.

W godzinę później, kiedy przyjęcie toczyło się na pełnych obrotach i nie podano jeszcze kolacji, Gigi mogła odetchnąć i poruszać się po zatłoczonych pokojach z tym szczególnie uderzającym do głowy zadowoleniem, jakie zna tylko triumfująca gospodyni, z poczuciem zwycięstwa nad wszystkimi skłębionymi obawami i wątpliwościami wywoływanymi przez wydawanie przyjęcia na wielką skalę, nad komplikacjami logistyki i list gości, nad tym, czy przyjęcie może się odbyć zgodnie z planem, czy też będzie mu czegoś brakowało pod względem atmosfery czy wykonania. Przyjęcie było rewelacyjne od chwili, w której przyszli pierwsi goście. Ludzie ze Scruples II, którzy jak wszyscy w Los Angeles uważali, że pracują w dwóch interesach, swoim własnym i w rozrywce, byli zachwyceni ze spotkania z ludźmi z Hollywood, którzy byli równie zadowoleni ze

znalezienia nowej i chętnej publiczności dla swego poczucia własnej ważności. Wszyscy goście ubrali się w najlepsze stroje, co w tym niedbałym mieście było rzadkością, lecz coś w pojęciu przyjęcia weselnego przemówiło do ich zwykle ułomnego w kwestii strojów smaku.

415

W powietrzu wisiało niemal wrażenie czegoś uroczystego, równie rzeczywiste jak lampiony i księżyc w pełni. Nastrój Gigi tańczył walca, wirował w rytm muzyki, a sama Gigi fruwała między gośćmi w swych złocistych sandałkach. Czuli się tak, jakby wypity przez nią szampan unosił ją o kilka centymetrów nad ziemią. Powinna wyprawiać więcej przyjęć! Tak... to mógłby być jej Pierwszy Doroczny Bal Jesienny... w okresie świątecznym, kiedy ludzie czują posylwestrowe przygnębienie, wyda przyjęcie Trzech Króli... na Prima Aprilis wyprawi bal maskowy, na który wszyscy będą musieli ubrać się na czerwono... zatrzymała się na chwilę przy drzwiach wejściowych między dwiema grupkami gości.

Jej poczucie oszłamiającej lekkości nagle wyparowało, bo pojawił się Zach, nieomal wypełniając drzwi swymi ramionami. Otaczający Gigi ludzie zniknęli, a ona sama doznała wstrząsu spowodowanego wspomnieniami. Była chwila, w której oboje się sobie przyglądali. Mimo że byli przygotowani na to spotkanie, nie spodziewali się zniknięcia minionego czasu. Znaleźli się w samym środku niekwestionowanej zażyłości, jakby rok ich separacji nigdy nie istniał.

- Zieleń ruszałki - wybąkał w zaskoczeniu Zach, wytracony z narzuconego sobie spokoju. - Nigdy nie śmiałaś nosić jej publicznie.

Gigi zatkała. Zapomniała koloru kostiumu, jaki ufarbowała dla Ariela w przedstawieniu „Burzy”, cudownego zlepką kawałków i pasków tak wyzywającego, że nie ośmieliła się wypożyczyć go na bal maskowy. Nie była jednak na tyle nieśmiała, żeby nie wkładać go dla Zacha.

- To nie przez kolor, tylko k-krój - usprawiedliwiła się lekko się jąkając.

- Urosły ci włosy - powiedział na wpół z podziwem, na wpół ze smutkiem.

- Tobie też.

- Mój producent nie chce dać mi czasu, żebym poszedł do fryzjera.

- No to poskarż się swemu agentowi.

Gigi przypomniała sobie czasy, kiedy wykręcając się od jego pocałunków krążyła wokół niego w łazience, obcinając

424

mu swymi nożyczkami do manicure'u włosy, które, jak to włosy, zrobiły się przez noc za długie.

- No tak - powiedział Zach i zamilkł.

Bez producenta, bez podpowiedzi, jego umysł wypełniła pustka. Gigi była niezdolnie śliczna, ale jeśli nie może powiedzieć jej nawet tego, to co może bezpiecznie powiedzieć? Gdyby zajrzał jej w oczy, kosztowałoby go to życie, byłoby to niczym wzięcie do rąk nieizolowanego przewodu elektrycznego.

- No tak - powtórzyła za nim Gigi lekko się do niego nachylając i gorączkowo zastanawiając, czy potrafi powiedzieć coś, co nie wywoła wspomnień ich wspólnego życia. Automatycznie wyciągnęła w jego kierunku swój kieliszek do szampana.

- Co mam z tym zrobić? - zapytał Zach.

- Wypij.

- Kieliszek jest chyba pusty.

- O, przepraszam. Oddaj mi go. Idź się przywitać z państwem młodymi i znajdź sobie coś do picia.

- Państwo młodzi? - spojrzał na nią zdezorientowany. W chwili, w której przestąpił próg tego domu, zapomniał, po co tu przyszedł, zalała go bowiem nieograniczona słodycz, patrzenia*na Gigi.

- Sasza i Vito - z trudem sobie przypomniała, myśląc jednocześnie, że nigdy przedtem nie widziała Zacha zdezorientowanego, Zacha, który z przyzwyczajenia górował nad każdą sytuacją swoim gromkim śmiechem, sylwetką robotnika portowego i płonąca, skoncentrowaną wolą.

- Ach... oni. Tak. Powinienem się przywitać. Po to przecież przyszedłem, prawda? Gdzie oni są?

- W salonie u szczytu schodów.

Gigi zarumieniła się tak mocno, że zobaczyła, jak fala czerwieni sięga jej piersi. U szczytu schodów po raz ostatni widziała Zacha, tam kazała mu się wynosić.

- Znajdę ich - powiedział Zach. - Są już następni goście. Znajdujące się za nim drzwi frontowe otworzyły się i do

hallu wszedł Ben Winthrop. Nie zwracając najmniejszej uwagi na Zacha podszedł prosto do Gigi.

- Witaj, kochanie - powiedział całując ją przelotnie w usta. - Przepraszam za spóźnienie - nie mogłem skończyć zebrania

417

ani o minutę wcześniej. Wyglądasz czarująco, ale ta sukienka aż się prosi o szmaragdy. Dlaczego mi nie powiedziałaś, w co się ubierzesz? Przyniósłbym ci je.

- Ben, to jest Zach Nevsky. Zach, Ben Winthrop.

- Nevsky? Pewnie jesteś bratem panny młodej - powiedział uprzejmie Ben podając mu rękę. - Tyle słyszałem o Saszy od Gigi, że trudno mi uwierzyć, że jeszcze jej nie poznałem. Podobnie jak ojca Gigi - dodał ze swym powoli się budzącym, pewnym siebie uśmiechem. - Podejrzewam, że chowa mnie przed rodziną. Chodź, kochanie, zaprowadź mnie do gości honorowych, żebym mógł im wreszcie złożyć gratulacje.

Gigi odwróciła się i wbiegła na schody, pozwalając obu mężczyznom iść za sobą. Jej jedynym pragnieniem było rozplątać się, zniknąć, ukryć pod łóżkiem. Jaki diabeł natchnął ją do zaproszenia Bena? Właściwie to sam się wprosił. Wtedy poznanie go z Vito i Saszą w taki niezobowiązujący sposób, bez żadnej ostentacji, wydawało się czymś naturalnym, ale nie wyobraziła sobie go przy Zachu. Rzeczywiście, okazała się niezwykle dorosłą gospodynią! Pomyślała w panice, zapominając o dumie gospodyni, że może zniosą się nawzajem, że z natury są tak dominujący, że nawet się nie zauważają. Dlaczego nie zna żadnych potulnych mężczyzn? Kogoś miłego, łagodnego i spokojnego? Jak Davy Melville...

*

A więc to jest ów „Ósmy Cud”, pomyślała Sasza z zadowoleniem witając się Benem. Tak, musiała przyznać, seksowny jak diabeł i po mistrzowsku opanowany. Rozmawiali swobodnie, a jej bystry umysł szybko go szacował. Chociaż Ben był nieco wyższy od Vito, miał w sobie coś szczególnego, co natychmiast przypominało jej kilku zdecydowanie niskich mężczyzn, jakich знаła w Nowym Jorku, a którzy zawsze wyróżniali się spośród innych dzięki swym niewidocznym pieniądzom. Nawet jeśli się nie wiedziało o bogactwie Bena, pomyślała Sasza, to dawało się je wyczuć w jego postawie, w jego atrakcyjnej rezerwie, w celowym braku jakichkolwiek wysiłków czarowania innych. Ten inteligentny facet o wyglądzie mola książkowego wiedział, że i tak jest czarujący,

426

i był bardzo pewien swego przyjęcia. Właściwie jak się nad tym zastanowić, to czy takie opanowanie przy poznaniu rodziny swej ukochanej nie jest prawie nieprzyzwoite? Pewnie wspaniale się pieprzy. Gigi o tym nie wspomniała - cała ona. Bardzo niechętnie dzieliła się erotycznymi ploteczkami, nad którą to samolubną cechą przyjaciółki Sasza bardzo bolała. Doszła jednak do wniosku, że pomijając te sprawy, przydałoby się ze strony Bena Winthropa w tej delikatnej sytuacji nieco zażenowania, odrobina prawdziwego zdenerwowania, a nawet skrzepowania, choćby jako wyraz uznania dla Gigi.

Mój Boże, pomyślała Sasza, kiedy podszedł do niej Zach i objął ją w niedźwiedzim uścisku, Ben Winthrop nie zasługuje na to, żeby zastąpić jej brata w życiu Gigi. Nigdy nie będzie jej kochał tak beznadziejnie, tak z całego serca jak Zach, bo nie ma tyle serca. A Sasza Nevsky Orsini wie coś niecoś o sercach, a także o wspaniałych fiutach, powiedziała sobie w duchu panna młoda konwersując z Benem. Właśnie udało się jej zręcznie napomknąć o przejażdżce jego odrzutowcem.

- Ależ oczywiście, będę zachwycony, kiedy tylko zechcesz, ale mam lepszy pomysł - powiedział Ben. - Może polecicie z Vito na fetę w Wenecji razem z Gigi i ze mną jako moi goście⁷

- Och, Vito, jak myślisz? Moglibyśmy polecieć? - zwróciła się do niego podekscytowana Sasza.

- No... to zależy - powiedział powoli Vito zaskoczony niespodziewanym zaproszeniem.

- Od czego? - zapytała błagalnym tonem Sasza. Nawet jeśli to tylko reklamowa feta, to odbędzie się w Wenecji!

- Właśnie skończyliśmy film... teraz montażysta układa materiał, co mu zajmie jakiś tydzień, potem Zach ma kilka miesięcy na montaż reżyserski...

- A więc za dziesięć dni będziesz zupełnie wolny - zauważył Ben.

- Teoretycznie tak - odparł z wahaniem Vito. Nie znosił, kiedy go zachęcano do zrobienia czegoś, czego sam nie wymyślił. Ale jak może czegokolwiek odmówić Saszy?

- Wspaniale! Liczę na to. - Zwrócił się do Gigi. - Załatwisz wszystko, dobrze, kochanie? Sądzę, że najlepszy byłby apartament w hotelu Gritti. Wtedy Sasza i Vito będą mogli do ciebie machać przez kanał.

419

O, tak, rzeczywiście, pomyślał Vito Z głęboką, dobrze ukrytą irytacją. Prędkiej da dupy pedałowi, niż wychyli się z hotelowego okna, żeby pomachać córce mieszkającej u tego faceta. Był nowoczesnym ojcem i przyjął do wiadomości fakt, że jego córka... z wszelkim prawdopodobieństwem... to całkiem niewykłuczone... niezupełnie jest dziewczicą... ale nie podobało mu się demonstracyjne obnoszenie się Bena ze szczegółami jej prywatnego życia. Niektórych rzeczy nie powinno się wyciągać na światło dzienne, a szczególnie publicznie. W poza tym układnym Benie Winthropie jest coś... nietaktownego. Wystarczy popatrzeć, w jaki sposób obejmuje Gigi ramieniem, nie zwracając uwagi na jej sztywną ze skrępowania postawę. Winthrop ma szybkość, odwagę i swobodną elegancję stepisty, dlaczego więc nie ma odrobiny szacunku dla mowy ciała?

Zach oparł się o kanapę po drugiej stronie pokoju, gdzie szybko otoczyła go grupka znajomych z poprzednich filmów. Co chwila rzucał okiem na Vito i Saszę, którzy nadal stali u szczytu schodów, witając spóźnialskich. Gigi i Ben Winthrop zniknęli mu z pola widzenia w labiryncie innych pokoi. Planował szybko wyjść, ale teraz stał się Otellem. Czy może wyjść, skoro jest tutaj Winthrop? Czy Otello może powiedzieć Jagonowi, żeby się zmył? A więc ta zieleń prosi się o szmaragdy, tak? Jeśli jakikolwiek kolor klócił się ze szmaragdami, to była to zieleń rusalki. Cóż to za nadęty dupek, jaki nieznośny, zadowolony z siebie, uśmiechnięty, cholerny łajdak! W końcu Gigi i Ben, pilnie obserwowani przez Zacha, wrócili do nowożeńców, ustawiając się do niego plecami.

- Już prawie pora na kolację - powiedziała Gigi.

Poczuła, jak ręka Bena zsuwa się poniżej jej talii i zatrzymuje się na jej pupie. Odrząciła ją szybkim ruchem, którego, miała nadzieję, nie zauważył jej ojciec.

- Sasza, czy przyszli wszyscy twoi goście? - zapytała Gigi.

- Jeśli nie, to się spóźnili - odparła Sasza z obojętnością co do losów ewentualnych spóźnialskich.

- Moi znajomi są wszyscy - zapewnił Vito.

Ben Winthrop nie dał się zbyć i z powrotem pieszczotliwie położył rękę na pośladku Gigi.

- Przestań - syknęła do niego półgębkiem w gwarze przyjęcia.

428

- Co mam przestać? - zapytał, jeszcze natarczywiej gniotąc ciało pod cienkim szyfonem. - Nie mogę ci się w tej sukience oprzeć. - W swoim rozkosznym, pruderyjnym skrępowaniu rzeczywiście jest porywająca, czy nie rozumie, jakim wyrazem uznania dla niej jest to jego dokuczanie? Dopóki Zach nie odwrócił Bena szarpnięciem za ramię i nie uderzył go mocno w oko, nawet nie wiedział, że trzema wielkimi krokami przemierzył pokój. Ben zachwiał się w tył, natychmiast odzyskał równowagę i rzucił się na Zacha ze skupioną determinacją mistrza bokserkiego, jakim był na uniwersytecie.

Obaj postępujący mężczyźni zasypywali się gradem ciosów przez dłuższą, zastygłą w nierzeczywistości chwilę. Prawie nikt z obecnych w pokoju nigdy nie widział walki na pięści, chyba że na ekranie, i wszyscy byli w tak radosnym nastroju, że ten nagły wybuch wściekłości wydawał się wypływać z ogólnego podekscytowania. Zastygłe ze zdumienia Gigi i Sasza przywarły do siebie, a Vito stał z królewską godnością, osłaniając je ramieniem, i obserwował walkę niczym zawodowy sędzia. Niezależnie od tego, co ją wywołało, stawał się zdecydowanie na Zacha, który górował nad przeciwnikiem rozmiarami i motywacją, chociaż Ben był w lepszej formie.

Z oszołomionego tłumu wyszedł Burgo O'Sullivan, weteran licznych barowych bójek, i z pomocą braci Jones rozdzielił w końcu walczących. Obaj byli mocno pokrwawieni, ale trzymali się na nogach.

- Och, Gigi, ci zazdrośni bandyci zniszczyli twoje wspaniałe przyjęcie - jęknęła Sasza.
- O, nie! - roześmiała się dziwnie uradowana Gigi. - Dzięki nim będzie to niezapomniany wieczór.
Podniosła z podłogi pęczek rzodkiewek, zatknęła go sobie za ucho i dała znak kelnerom, by zaczęli podawać kolację. A więc tak to jest być Heleną trojańską, pomyślała Gigi.

421

19

- To gorsze niż zaaranżowane małżeństwo - mruknął przez zaciśnięte wargi Byron czekając z Archie i Victorią na windę, która miała ich zawieźć do biur Beach Casuals. Stali w ruchliwym westybulu dużego budynku przy Siódmej Alei. - Czuję się, jakbym za chwilę miał podnieść welon z nieznaney twarzy kobiety, z którą mam spędzić resztę życia - kobiety, którą wybrała moja matka ze względu na jej doskonałe zdrowie.

- Bądź mężczyzną, By - odpowiedział mu Archie, po raz dziesiąty w ciągu dwóch minut poprawiając sobie węzeł krawata. - Popatrz na Victorię, jest tak spokojna, jak królowa Elżbieta. Oblędny kostium, Victorio.

- Dziękuję, Archie. Uważałam, że ta okazja wymaga czegoś nowego.

Victoria Frost uśmiechnęła się nieprzekonująco do swoich współników. Była tak samo zdenerwowana jak oni, lecz jej profesjonalna zbroja była bez skazy. Miała na sobie dopasowany kostium z czarnego kaszmiru. Zapinany na trzy guziki żakiet rozjaśniała wystająca z jego kieszonki biała lniana chusteczka, lecz to było wszystko. Ten kostium kosztował dwa tysiące dolarów. Tylko kilka kobiet na świecie domyśliłoby się, ile zapłaciła za ten nieskazitelny strój, lecz nikt, kto na nią spojrzał, choćby najbardziej przelotnie, nie odmówiłby jej niezależności i znaczenia.

Nigdy dotąd nie nosiła głowy z tak królewską godnością. Jej klasycznie piękne rysy były tak spokojne, a oczy tak nieruchome, że sprawiała wrażenie, jakby zamieniła się w posąg. W wyjątkowo ślicznych uszach miała wspaniale proste kolczyki z czarnych pereł. Jedyny ślad życia na jej doskonałej skórze stanowiła starannie nałożona jasnoczerwona szminka.

Victoria pomyślała ze złością, że to idiotyczne być tak spiętą, i spróbowała głęboko odetchnąć. To nie jest prezentacja oferty, tylko pierwsze spotkanie z nowym klientem.

Harris Reeves, który przed przedstawieniem ich reszcie zarządu firmy chciał się z nimi spotkać w luźnej atmosferze,

430

zaprosił ich na kawę do swego gabinetu o dziesiątej trzydzieści rano.

Jutro zaczną intensywne poznawanie personelu Beach Casuals i całej otoczki tej wielkiej firmy, ale tego popołudnia nie mieli żadnych spotkań, więc Victoria umówiła się z Joem Devanem z Oak Hill Foods, ponieważ będąc w Nowym Jorku zawsze składała mu wizytę.

Nigdy nie popełniła podstawowego błędu biorąc jakiegokolwiek zlecenie za pewnik, lecz Archie i Byron od tak dawna robili wspaniałą robotę dla Oak Hill, że odwiedziny u Joego były prawie czystą formalnością, pomyślała Victoria, usiłując odwrócić swą uwagę od spotkania z Harrisem Reevesem myślami o półgodzinnej przyjaznej rozmowie z Joem Deva-nem. O sposobie wywiązywania się agencji FRB z kontraktu wypowiadał się zawsze z zadowoleniem, a wraz ze wzrostem zapotrzebowania rynku jego budżet dla „Zup z odpowiedzią”, „Chleba wyszczuplającego” i „Nietuczających deserów” wzrósł w ciągu dwóch lat z dwudziestu do dwudziestu pięciu milionów dolarów.

- Victorio, winda! - oznajmił nagle Archie, wrywając ją z zamyślenia. Kiedy wciskali się do ekspresowej windy mającej zabrać ich na czterdziestą kondygnację budynku, w którym Beach Casuals zajmowało całe trzy piętra, spojrzała na niego złym wzrokiem. Dlaczego Archie własną nerwowos cią zakłóca jej zdolność wywołania u siebie nastroju zwykłego spotkania w interesach?

*

Harris Reeves kultywował postawę ogromnego samozadowolenia, wzmocnioną jeszcze nieskazitelnym wyglądem. Uśmiechając się do niego nad filiżanką kawy Victoria stwierdziła, że jeśli potrafiłaby wyobrazić sobie mężczyznę spędzającego na ubieraniu się rano więcej czasu niż

jakakolwiek kobieta, to byłby to ten odpicowany kogucik ze starannie ułożoną, wspaniałą grzywą siwych włosów. Jego pierwsze szacujące spojrzenie zamortyzowało jej koszt nowego kostiumu. Harris Reeves miał jasne, bystre, niczego nie przepuszczające - nawet kiedy odgrywał rolę gospodarza - oczy. Jego sekretarki roznosiły srebrne tace z kawą, herbatą i ciastem,

423

które przyjmowali, lecz odkładali na talerzyki. Na tak wczesnym etapie ważnego spotkania skosztowałyby ciasta tylko głupiec albo człowiek o wiele bogatszy od Harrisa Reevesa.

Kilka minut upłynęło na rozmowie o sztuce, wywołanej zainteresowaniem Byrona trzema Modiglianiami i dwoma Picassami zdobiącymi ściany pięknego gabinetu Reevesa.

- Będą państwo musieli przyjechać do mojego domu, żeby obejrzeć resztę kolekcji - powiedział Reeves zadowolony z podziwu Byrona. - Tutaj trzymam zaledwie kilka moich najbardziej ulubionych obrazów. Robienie kostiumów kąpielowych to tylko sposób zarabiania na dzieła sztuki. Ilekroć pojawia się coś interesującego, spędzam z żoną każde sobotnie popołudnie na obchodzie galerii i domów aukcyjnych. Nigdy też nie przepuszczamy żadnej dużej aukcji w Europie. Ale proszę mi powiedzieć, gdzie są inni? Mam nadzieję, że ich taksówka nie ugrzęzła w korku, w tej okolicy niemożliwością jest gdziekolwiek dotrzeć.

- Co? - zapytała Victoria.

- Ich taksówka. To nowojorskie prawo zezwalające taksówkom na zabieranie tylko trzech pasażerów coraz bardziej utrudnia poruszanie się po mieście. Osobiście zawsze używam samochodu z kierowcą, bo w ostatecznym rozrachunku to się opłaca.

- Jacy inni?

- Przecież powiedziałem pani przez telefon, że chcę widzieć w Nowym Jorku wszystkich, co oczywiście oznaczało też Gigi Orsini i Davida Melville'a, wasz zespół twórczy. Z pewnością tak to pani zrozumiała.

- Panie Reeves... David Melville nie pracuje już u nas przynajmniej od pół roku. Po jego odejściu dyrektorem artystycznym przy Indigo Seas jest Lisa Levy, bardzo utalentowana młoda artystka. Kiedy rozmawialiśmy przez telefon, nie zdałam sobie w mojej głupocie sprawy, że będzie panu potrzebna na tak wczesnym etapie naszego instruktażu. Obecni tu moi współpracownicy są dyrektorami twórczymi - Lisa nie jest na ich poziomie. Strasznie mi przykro z powodu tego nieporozumienia - powiedziała szybko Vic(oria) suchymi ustami. - Zadzwoń i w ciągu kilku godzin Lisa znajdzie się w samolocie.

424

Oczywiście jutro będzie już tu z nami. Jeszcze raz przepraszam, czuję się strasznie głupio.

- Nie ma potrzeby - odparł serdecznie Harris Reeves. - Można to uznać za zrozumiałą pomyłkę.

Jak może sobie pani wyobrazić, zwykle nie telefonuję osobiście do nowej agencji, ale tak miałem dosyć naszej starej, że po prostu chwyciłem za słuchawkę. Mój wiceprzewodniczący do spraw reklamy wszystko by pani wyjaśnił. Ta mała pomyłka go uszczęśliwi, udowodni mu, że nie wiem wszystkiego. Jeszcze kawy?

- Nie, dziękuję.

- Nie zostawiła chyba pani też Gigi Orsini? - pytanie Reevesa było ostre i nagłe.

- Właściwie...

- Cholera, teraz jestem zirytowany. Reklamy Indigo Seas polegały całkowicie na tekście, na pomysły. Strona graficzna tylko podkreślała wspaniały produkt. Powinna była pani ją przywieźć, do cholery. To Gigi Orsini stworzyła kampanię, która tak dobrze zrobiła Eleonorze Coltonie i jej chłopcom, chyba zdaje sobie pani sprawę, że o tym wiem? Producenci kostiumów kąpielowych to mała społeczność i pilnie się wzajemnie obserwujemy. Cole, Gottex, wszyscy staramy się na bieżąco wiedzieć, co robią inni. Indigo Seas nie jest w naszej lidze, ale nigdy ich nie ignorujemy, szczególnie teraz, kiedy tak wspaniale się sprzedają. Gigi Orsini powinna tu dzisiaj być! Proszę skorzystać z mojego telefonu.

- Panie Reeves, kiedy dawał pan nam swoje zamówienie, wiedział pan, że mamy Indigo Seas - rzekła Victoria starając się o rozsądek.

- A cóż to ma za znaczenie?
 - Musieliśmy zrezygnować z usług dla Indigo Seas, bo była to klasyczna sprzeczność interesów klientów.
 - A cóż to dla mnie za różnica?
 - Kiedy... Gigi dowiedziała się o tej sprzeczności... hmm... opuściła naszą agencję.
 - Co takiego?!
 - Odeszła z pracy - powiedziała stanowczym tonem Vic-toria czując, jak grunt osuwa się jej spod nóg, lecz zdecydowana zachować jak najspokojniejszą, zawodową minę. - Najwyraźniej nawiązała bliskie stosunki osobiste z Eleonorą
- 433

mmmmmin

Colonną i rodziną Collinsów i na tyle była zdenerwowana koniecznością anulowania zamówienia, że opuściła agencję Frost, Rourke, Bernheim.

- No to ją ściągnijcie z powrotem, do cholery! Gdziekolwiek by pracowała, zapłaćcie jej podwójnie, potrójnie, ile trzeba, ale ściągnijcie ją z powrotem! Chciałbym wiedzieć, dlaczego pokazaliście się tu u mnie bez niej. Powinna być wciągnięta do naszej pracy od samego początku. Mielście aż za dużo czasu na sprowadzenie jej z powrotem. To bardzo zły początek!

- Panie Reeves - odezwał się Archie - nadzorowałem teksty Gigi od momentu, w którym się u nas zatrudniła. To ja ją odkryłem i sprowadziłem do FRB w ściśle określonym celu zdobycia zamówienia Indigo Seas. Mogę pana zapewnić, że jakość tekstów dla Beach Casuals będzie tak samo dobra, o ile nie lepsza, jak to, co Gigi kiedykolwiek stworzyła dla braci Collinsów.

- Nie interesuje mnie nic „tak samo dobrego, o ile nie lepszego” - interesuje mnie jedynie wykorzystanie dla mojej firmy tekstów Gigi Orsini. Nic innego! Jestem kolekcjonerem i kupuję oryginały, a nie kopie! Jak pan myśli, dlaczego, do diabła, zatrudniłem waszą agencję? Dla usług was trojga, skoro nic o was nie wiem? Nie, serdeczne dzięki! Nie obchodzi mnie, czy kierował pan pracą Gigi Orsini przez dwadzieścia cztery godziny na dobę siedem dni w tygodniu, panie Rourke, to nie pan przecież pisał jej teksty, prawda? Tak myślałem. Pisała je kobieta, a nie mężczyzna.

Proszę ją sprowadzić z powrotem. Do tego czasu dalsza rozmowa nie ma sensu.

Odsunął swoją filiżankę gestem wyraźnie oznaczającym koniec audiencji. Archie i Byron wstali i spojrzeli na Victorię. Powie Reevesowi, że Gigi na dobre odeszła z reklamy?

- Jeszcze raz przepraszam, panie Reeves - rzekła wstając z wdziękiem. - Zadzwońmy dopiero wtedy, kiedy Gigi Orsini wróci do FRB. Doskonale rozumiem pańskie stanowisko. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo jest mi przykro, że musieliśmy pana dziś rozczarować. Ten zły początek, jak słusznie pan go określa, otrzyma nowe rozpoczęcie, tym razem wspaniałe, obiecuję panu.

- Do widzenia, panno Frost, panowie - odparł gniewnie Harris Reeves. - Moja sekretarka odprowadzi państwa. Powiem mojemu wice od reklamy, żeby dowiedział się, gdzie jest
434

Gigi Orsini. Macie ją odzyskać do końca tygodnia. Potem ściągnę ją sam.

*

- Jezu, co my, kurwa, zrobimy? - jęknął Byron ściśnięty z pozostałą dwójką z tyłu taksówki, którą wreszcie udało im się złapać. - Chciałbym móc powiedzieć, że wyrzucano mnie już z lepszych gabinetów, ale nie mogę.

- Możemy zrobić tylko jedno, By - powiedział Archie. - Musimy sprowadzić Gigi z powrotem za wszelką cenę, czy to nie oczywiste!

- Archie ma rację - zgodziła się Victoria. - Natychmiast pojedziecie na lotnisko i zaczekacie na następny samolot. Nie traćcie czasu na wymeldowanie się z hotelu, ja to załatwię. Znajdźcie ją i przekonajcie... zaproponujcie jej wszystko. Będziecie mieli większą szansę beze mnie. Ona mnie nie lubi, a ja nie lubię jej, ale może postawić własne warunki. Złóżcie jej wszelkie obietnice, łącznie ze współudziałem w firmie.

- Martwi mnie tylko to - powiedział z ciężkim westchnieniem Archie - że Reeves dojdzie do wniosku, **jeżeli** jeszcze tego nie zrobił, że wcale nas nie potrzebuje. Mógłby sam zatrudnić Gigi, stworzyć wokół niej własną agencję, płacić jej niebotyczną pensję i jeszcze zaoszczędzić na honorarium za usługę.

- A jest to facet akurat do tego zdolny - dodał Byron z głębi swego przygnębienia. - Każdy kolekcjoner sztuki jest na tyle mądry, żeby kupować bezpośrednio od artysty w atelier, a nie od

handlarza sztuki - cena jest lepsza, a kolekcjonerzy uwielbiają kontakty osobiste, czują się wtedy jak mecenasi, a nie klienci.

- Jego wiceprzewodniczący do spraw reklamy odwiedzie go od tego - rzekła Victoria. - Gdyby tak się stało, facet z łatwością mógłby stracić pracę. Nie będę się martwiła taką możliwością, dopóki nie porozmawiamy z Gigi. Do tego czasu już pewnie ochłonęła. Dziesięć do jednego, że posłucha głosu rozsądku.

- A może wrócisz dzisiaj z nami? - zapytał Archie tylko w połowie ukrywając panikę. - Nawet jeśli nie będziesz rozmawiała z Gigi, będziesz potrzebna w Los Angeles.

427

- Muszę dziś po południu **zobaczyć** się /, Joem Devanem - odparła spokojnie.
- Czy to nie może poczekać? warknął Archie.
- Nie, Joe nie znosi **przekładać** spotkań, nawet o pół godziny. Nie zapominajmy, że Oak Hills daje nam dwadzieścia pięć milionów, nie zaniedbujemy naszego pierwszego zamówienia, chłopcy, kierownictwo nigdy nie może sobie pozwolić na fuszerkę. To tylko ćwiczenia przeciwpożarowe, Archie, a nie prawdziwy pożar.

Victoria pomyślała, że w hotelu nie było wiadomości od Angusa. Nie wyjedzie z Nowego Jorku nie porozmawiawszy z nim i nie dowiedziawszy się, co się stało z jej matką. Nic temu nie przeszkodzi, ani dziewięćdziesięciomilionowe zamówienie, które zdobędą tak czy owak, ani Harris Reeves ze swoim natapirowanym czubem i drugorzędnymi Picassami.

*

Victoria czekała w recepcji Oak Hill Foods mniej niż minutę. Recepcja była równie staromodna, co gabinet Joego, lecz staromodność ta sprawiała na wszystkich duże wrażenie właśnie przez brak chęci wywarcia wrażenia. Victoria wyparła z myśli poranne wydarzenie ze swą zwykłą umiejętnością szufladkowania problemów. Teraz jej głównym celem było szybkie wypełnienie zobowiązań względem Joego, a potem wyjaśnienie spraw z Angusem, nawet jeśli oznaczałoby to stawienie mu czoła w jego biurze.

- Pan Devane pyta, czy nie zechciałaby pani poczekać w jego gabinecie - powiedziała sekretarka Joego podchodząc do Victorii.
 - Nie ma go tu, Glorio? Jak się masz? - zapytała Victoria kobietę, którą znała od lat.
 - Dziękuję, dobrze, panno Frost. Pana Devane'a nie ma, ale za chwilę przyjdzie. Tam będzie pani wygodniej - powiedziała Gloria wpuszczając ją do gabinetu i zamykając za nią drzwi.
- Za biurkiem Joego Devane'a siedziała Millicent Frost Caldwell.
- Świetnie, jesteś punktualna - powiedziała obojętnie, zerkając na wysadzany klejnotami zegarek. - Usiądź, Yictorio.

436

- Uśmiechnęła się przyjemnie i wskazała stojące obok biurka krzesło.
- Co... dlaczego... dlaczego tu jesteś? - Victoria zatrzymała się w drzwiach. Była zbyt wstrząśnięta, żeby się ruszyć.
- Joe uprzejmie zgodził się wypożyczyć nam swój gabinet, Victorio. Wie, że próbujemy doprowadzić do rodzinnej zgody i zdaje sobie sprawę, że coś takiego trudno byłoby przeprowadzić na osobności w biurach Caldwell & Caldwell.
- Rodzinnej zgody? Akurat!
- Ależ to właśnie chcemy osiągnąć - odezwał się Angus Caldwell wychodząc z cienia głębokiego wykusza okiennego, w którym Victoria go nie dostrzegła.
- Angus! Dlaczego nie zostawiłeś mi wiadomości w hotelu?
- Nie zostawił ci wiadomości, bo chcieliśmy porozmawiać z tobą razem, Victorio - odpowiedziała jej matka. - Proszę cię, usiądź.

Victoria poczuła na ramieniu prowadzącą ją do krzesła dłoń Angusa i z jej ciepłego dotyku zaczerpnęła siłę. Wszystko będzie dobrze. Jeśli jest tu jej matka, to może to jedynie oznaczać, iż zgodziła się na rozwód i chce spróbować przeprowadzić go w jak najmniej upokarzający ją sposób. Czy zostawienie męża zamiast być przez niego zostawioną nie byłoby najlepszym wyjściem, czy nie chciałaby takiego wyjścia wybrać każda rozsądna kobieta? Przeglądając się uważnie matce i wcale nie ukrywając swego zimnego spojrzenia, Victoria poczuła, że się uspokaja i znów nabiera pewności siebie. Ta kobieta nadal przesadza ze strojem, pomyślała z chwilowym dreszczem fizycznej pogardy. Ta kobieta nadal uważa, że może

zrekompensować swoje pięćdziesiąt trzy lata twarzą bladą różową bluzką z wysokim kołnierzykiem. Nadal łudzi się, że może odciągnąć krytyczne spojrzenie o wiele młodszego męża wulgarnie za dużym ptakiem z rubinów i brylantów, którego przypięła do klapy swego ciemnofioletowego kostiumu i zbyt ciężkimi bransoletami z rubinów i brylantów, które włożyła na kruche nadgarstki oznaczone dużymi żyłami. Pewnie spędza codziennie całe godziny na upartym ćwiczeniu swych starzejących się mięśni, nie zdając sobie sprawy, jak wydaje się wysuszona mimo swej absurdalnie dziewczęcej sylwetki.

Zauważając nowe zmarszczki pod oczami matki Victoria dostrzegła z pogardą, że kazała sobie nawet ułożyć włosy na to spotkanie.

Victoria spojrzała na Angusa, który usiadł na nieco odstawionym krześle, tak że znalazła się między nim a matką. Poszukała wzrokiem jego oczu, myśląc o tym, jak często celowo ubierała się dla niego w surową czerń, którą miała na sobie i dziś, żeby mógł się na nią rzucić, gdy była jeszcze całkowicie ubrana, udając gwałt i posiadając ją na stojąco, tuż za drzwiami. Och, jak przebiegle nauczyła się go odpychać, wszystko opóźniając, tak że zaczynał naprawdę wierzyć w jej niechęć, co tylko potęgowało zniewalającą rozkosz ostatecznego poddania się. Gdyby tylko podniósł na nią wzrok, to wiedziałaby dokładnie, co myśli, lecz on skierował spojrzenie za nią, na punkt nad głową jej matki, jakby nie mógł sobie pozwolić na spojrzenie na uwielbianą piękność, dopóki wszystko nie zostanie ustalone.

- Victorio - odezwał się odchrząknąwszy Angus - twoja matka wie, że od pięciu lat mamy romans.

- Victoria ledwo poznała jego głos. Był tak twardy i szorstki, że było słychać, iż nie zniesie żadnego przerywania.

- Millicent wie, jak mnie do tego doprowadziłaś - ciągnął Angus mechanicznym głosem. - Wie, jak straciłem rozsądek i pozwoliłem sobie na kochanie się z tobą i wie, że ten romans trwał nieprzerwanie, nawet po tym, jak próbowałem się ciebie pozbyć wysyłając cię do Kalifornii. Wie, jak raz po raz ulegałem mojej seksualnej obsesji tobą, mojemu obłędowi. Wie dokładnie, jak szaleńczo się zachowywałem, jak karygodnie i głupio postępowałem nie potrafiąc ci się oprzeć, kiedy to wszystko się zaczęło. Powiedziałem jej wszystko po twoim telefonie do Southampton.

- Ale my się kochamy! - Victoria trzymała się tej pewności podświadomie odrzucając jego słowa.

- Ty chcesz się ze mną ożenić! Czy to też jej powiedziałeś?

Nieludzki głos Angusa brzmiał dalej. Słowa maszerowały jedne za drugimi ze stanowczością wykluczającą wszelką dyskusję.

- Przez te pierwsze kilka lat myślałem, że cię kocham - zaczerpnął głęboko powietrza i skierował wzrok na żonę.

- Tak, Millicent, kochałem ją, kochałem ją do szaleństwa i tak głęboko, że nie potrafiłem trzeźwo myśleć. Lecz od czasu, kiedy zaczęła mnie przynaglać do rozwodu z tobą, zacząłem się jej bać, a miłość i strach do siebie nie pasują.

- Czy powiedział ci, że kiedy mnie przeleciał, to byłem dziewicą? - wrzasnęła Victoria do matki.

- Zawsze uważałam, że jest w tobie coś nienaturalnego, Victorio - powiedziała spokojnie Millicent Caldwell swym czarującym głosem. - Nie, nie znałam tego wzruszającego szczegółu, ale co to za różnica, jaką formę przybrała twoja neuroza? Rozkładanie twych uroczych, długich nóg dla każdego poznanego mężczyzny zrobiłoby ci o wiele lepiej, niż zachowywanie cnoty dla swego ojczyma, nie sądzisz?

Kędzierzawa blond główka Millicent Caldwell siedziała wysoko na jej krótkiej szyi, a ona sama przemawiała z jasnością i niezachwianą precyzją wszystkich swych lat niezagrożonej władzy.

Przeładowanie jej stroju ozdobami wydało się nagle symbolem jej władzy, a nie oznaką słabości.

- Ojczyma? Nie próbuj mi wmówić takiego gówna! - wy-dyszała Victoria. - Doskonale wiesz, że nigdy nie byłam pasierbicą Angusa, że nic się nie wydarzyło, dopóki **nie** miałam dwudziestu siedmiu lat - co, do diabła, to nieszczęsne małżeństwo z tobą w tamtym czasie ma wspólnego z romansiem dwojga dorosłych ludzi?

- Och, Angus - powiedziała cicho Millicent Caldwell ze smutkiem w głosie. - Nie dawałam ci wiary, kiedy powiedziałeś, że nie rozumie... że kompletnie nie rozumie...

- Czego nie rozumiem? - wrzasnęła Victoria kręcąc głową od jednego do drugiego, z twarzą zastygłą w straszliwym grymasie niedowierzania. - Fikcyjnego pokrewieństwa? Nawet nie

pokrewieństwa - wiesz, nie waż mi się powiedzieć, że nie - że „ojczym” to czysta fikcja, wygodne słowo, którym próbujesz się posłużyć bez najmniejszej legalnej czy moralnej podstawy. Na litość boską, kiedy zobaczyłam Angusa, miałam szesnaście lat!

- Biedna Victoria - rzekła jej matka. - Czy wyobrażasz sobie, że ktokolwiek poza tobą i Angusem - no i mną

- uwierzy, że przez całe jedenaście lat nic między wami nie było? Byłaś taką dojrzałą dziewczyną, a on takim jurnym

431

439

mężczyzną... Kto uwierzy, że cały **Cen** czas nie wymykaliście się za moimi plecami, żeby się ze sobą przespać? Jedynym pytaniem byłoby to, kiedy i gdzie się to zaczęło... w Nowym Jorku, w Southampton, na Jamajce czy na południu Francji? „Jak długo czekali?” Tylko o to ludzie będą pytać. Mielicie mnóstwo możliwości... a ja byłam znacznie starsza od Angusa, prawda? W gruncie rzeczy - powiedziała uśmiechając się łagodnie do siebie - nadal tak jest.

Millicent Caldwell przyglądała się przez chwilę swoim bransoletkom.

- Tak właśnie będą mówić bez względu na moje zapewnienia, że nie ma w tym ani słowa prawdy. Pomyślałam, że usiłowałam osłaniać was oboje, ale nigdy nie pozwolą mi odgrywać świętej, nawet gdybym chciała. Będą raczej woleli uwierzyć w najgorsze, czy ty tego jeszcze nie rozumiesz? Soczysty międzynarodowy skandal seksualny! Skandal kazirodczy! Doprawdy, Victorio, gdzie twój rozsądek? Kłopot z tobą polega na tym, że postrzegasz wszystko wyłącznie ze swojego punktu widzenia. Nie znam ani jednej osoby, która nie przypomniaby sobie, że między tobą i Angusem coś się działo. Telefony będą zablokowane przez plotkujących między sobą moich najlepszych przyjaciół. Nie ma nikogo na tyle dobrodusznego czy szlachetnego, żeby dać się pozbawić takiej satysfakcji.

- No to niech gadają! I co z tego? Angus, czy obchodzi cię, co mówią ludzie, jeśli kompletnie nie mają racji? No, odpowiedz, na Boga! - W jej niezachwianej bojowej postawie dało się wyczuć pierwszą nutę przerażenia. Słuchając tak bezlitośnie logicznych i naładowanych światowym doświadczeniem słów matki, Victoria wreszcie zdała sobie sprawę ze zmiany atmosfery w pokoju, jakby całe oceany stężyły w lód, a góry stopniały.

- Czy ty zupełnie zwariowałaś? Oczywiście, że mnie obchodzi. Co złego w zabieganiu o dobrą opinię u wszystkich, których się zna? - powiedział Angus z dzikim posłuszeństwem względem instynktu samozachowawczego.

- Jak może to być ważniejsze od spędzenia życia z nią? - zawołała piskliwie Victoria pokazując matkę palcem. - Dobra opinia nie może ci dać szczęścia, od dobrej opinii nie stanie ci fiut, dobra opinia nie doprowadzi cię do orgazmu, ty

!!!

pieprzony draniu. Czy jesteś tak wysuszony jak ona? Kiedy obcięła ci jaja?

- Obelgami nic nie zyskasz, Victorio - rzekła Millicent Caldwell dystyngowanie pociągając nosem. - To do ciebie nie pasuje, kłóci się z twoim stylem.

- Czy uważasz, że kiedykolwiek obchodziło mnie, co ty myślisz? Albo twoi tak zwani przyjaciele?

- Ale, widzisz, Victorio, Angusa obchodzi. Właśnie ci to powiedział. Nie wyjaśnił, oczywiście, wszystkiego. Nie powiedział ci, że nie wyobraża sobie życia do śmierci jak wygnaniec

- okryty hańbą wygnaniec - w Kalifornii, mimo że jest taka słoneczna. Nie powiedział ci, że w Nowym Jorku czeka go zbyt wiele sukcesów, żeby miał je poświęcić dla tej małej agen-cyjki, którą tak znakomicie prowadzisz, w co nigdy nie wątpiłam.

- Czy to prawda? - Victoria spojrzała na Angusa i zdała sobie sprawę, że nie ma zamiaru odpowiadać na jej pytanie. Odpowiedź była wyraźnie widoczna na jego twarzy, na tej zwodniczo chłopięcej twarzy. Nie widziała jego oczu, bo wciąż na nią nie patrzył, utkwivszy wzrok w jej matce z rozpaczliwą wiernością.

- Ty tu umrzesz, Angus, umrzesz z tęsknoty za mną, wiesz o tym, prawda? Prawda, ty żaloszny głupcze? To twój **koniec** jako mężczyzny, czy ty tego nie rozumiesz?

- Och, wątpię, Victorio - odpowiedziała jej matka z perlistym śmiechem. - Od czasu, kiedy zaczęłaś kręcić z Angusem, nie odbywaliśmy stosunków. Wiedziłam, że musi się z kimś widywać i od pewnego czasu się z tym pogodziłam. Po prostu nigdy nie przyszło mi do głowy, że tą kobietą jesteś ty. Jeśli o mnie chodzi, Angus może zaspokajać swe potrzeby seksualne z

kimkolwiek, byleby nie była to pracownica agencji czy ktoś, z kim jestem w dobrych stosunkach. Albo ty. Nie, nigdy więcej.

Zastukała delikatną dłonią w biurko Joego Devane'a.

- Angus będzie dyskretny, a ja... ja o tym zapomnę. Zapewniam cię, że są gorsze sposoby na wspólne życie. Kiedyś byłam zazdrosna, robiłam głupie sceny, ale to była strata czasu. Natomiast do końca życia zamierzam mieć i utrzymać męża

- oddanego męża i doskonałego współnika w interesach.

441

■■■■■

- Oddanego? Myślisz, że on jest tobie oddany? - Victoria z pogardą odrzuciła twierdzenie matki. - Czy masz choćby najmniejsze pojęcie, jak on nienawidzi życia, jakie jest zmuszony z tobą prowadzić? Najmniejsze pojęcie, jak planował i spiskował, żeby się od ciebie uwolnić?

- Myślę, że dowodem na to, że po prostu się mylisz - popraw mnie, Angusie, jeśli nie mam racji - jest to, iż mój mąż zamierza nadal żyć w sposób, jakiego według ciebie nienawidzi. Nie zdajesz sobie sprawy, ile takie życie daje zadowolenia, szczególnie w starszym wieku. Jest więcej niż jeden sposób trwania w małżeństwie, ale w wieku trzydziestu dwóch lat jeszcze tego nie rozumiesz. Nazwałaś Angusa kłamcą i miałaś rację. Kłamał nam obu, żeby zachować wszystko. Ciebie w łóżku, mnie w domu. Lecz w końcu, kiedy musiał wybrać, wybrał mnie, a nie ciebie, Victorio. I dokonał tego wyboru w mgnieniu oka. Mam rację, Angusie?

Skinął głową.

- Myślę, że Victoria chciałaby to usłyszeć z twoich własnych ust - rzekła Millicent Caldwell z lekkim naciskiem.

- Twoja matka ma rację - przyznał natychmiast Angus monotonnym i cichym głosem. Millicent darowała mu tak łatwo, że nie mógł się spodziewać, iż w jakiś sposób go nie upokorzy. Była zbyt inteligentna, żeby mu to wypominać - za kilka tygodni będzie tak, jakby nic się nie wydarzyło.

- Powtórz - zażądała Victoria. - Spróbuj na mnie spojrzeć i powiedz, że kłamałeś, spróbuj powiedzieć, że pragniesz jej, a nie mnie.

Tym razem jego głos brzmiał niczym uderzenia młota, a on sam patrzył na nią z gwałtownym skupieniem.

- Kłamałem ci. Kłamałem Millicent. Nie chcę ciebie. Chcę jej. Chcę zachować swoje życie. Nigdy więcej nie znajdę się z tobą sam na sam.

Victoria jeszcze bardziej się wyprostowała. Angus patrzył na nią z nienawiścią. Z obrzydzeniem. Ze wstrętem. Została zniszczona jego duma i ją za to winił. Teraz była przyczyną jego wstydu. Zmusi się do jak najszybszego zapomnienia o niej. Bardziej niebezpieczną rzeczą jest zniszczyć dumę słabego mężczyzny niż silnego, bo bez niej jest niczym. Yictoria dowiedziała się o tym dopiero w tej chwili.

442

- A teraz, moja droga, skoro mamy już za sobą tę żalospną chwilę, czy możemy kontynuować? - zapytała Millicent Caldwell.

- Nie mam ci nic do powiedzenia. Podziękuj Joemu za wypożyczenie gabinetu.

- Ależ nie, nie śpiesz się tak, Victorio. Mamy do omówienia pewną kwestię, prawda, Angusie?

Dopiero wczoraj zdałam sobie sprawę, w jaki sposób agencja Caldwell & Caldwell straciła te trzy zamówienia Oak Hill Foods. Czegoś takiego nigdy nie wybaczę, nawet za milion lat. Nikomu nie wolno mi robić czegoś takiego. Ani tobie, ani komukolwiek innemu. To nic osobistego, Victorio, to kwestia dumy zawodowej. Zaproponowaliśmy Joemu, że będziemy obsługiwać te zamówienia gratisowo przez trzy lata wykorzystując naszych najlepszych ludzi. Oczywiście Joe był zachwycony. A zatem straciłaś je, Victorio.

- Jakie to małostkowe, jaka to straszliwie tania zagrywka! Nie potrzebujesz tych zamówień, dla ciebie to kropla w morzu, na litość boską!

- Wcale nie - powiedziała Millicent z szerokim uśmiechem. - Zrobiłam to dla twego dobra, Victorio.

- Dosyć - powiedziała wstając z krzesła.

- Kiedy wrócisz do naszej agencji, sprowadzisz ze sobą zamówienia Oak Hill Foods. Światek reklamowy będzie się tego spodziewał. Pomoże ci to zachować twarz, moja droga, a w twojej sytuacji będziesz musiała ratować, co tylko się da.

- Zwariowałaś! Dlaczego miałabym wrócić? To ostatnia rzecz, jaką zrobię!

- Bo jeśli nie, to cię zrujnujemy. Wiesz, że możemy to zrobić. Wystarczy tylko kilka słów szepniętych we właściwe uszy o naszej nieszczęsnej, otumanionej, znerwicowanej cór-ce-szantażystce, a twoja agencja będzie skończona, a ty sama nigdy nie dostaniesz żadnej pracy.

- Jesteś potworem!

- Daj spokój, Victorio. - Millicent potrząsnęła w kierunku córki szczupłym palcem. - Chyba jesteś lepszym sędzią tekstów reklamowych? Chcę cię mieć tam, gdzie będę mogła cię pilnować, chcę wiedzieć, gdzie jesteś, dopóki nie uda ci się wyjść za mąż, a nawet wtedy będę miała na ciebie oko.

Do

435

końca mego życia. Kiedy ma się tyle pieniędzy, co ja, Victorio, to coś takiego można załatwić bez kłopotu.

- Ale dlaczego? - zawołała Victoria w udręce. - Dlaczego? Dostałaś to, czego chciałaś. Dlaczego nie możesz zostawić mnie w spokoju?

- Jestem za ciebie odpowiedzialna, Victorio. Jesteś moim jedynym dzieckiem i od lat jesteś bez opieki. Ale istnieje jeszcze dla ciebie nadzieja. Potrzeba ci czegoś, co cię uspokoi, czegoś trudnego i wyzywającego. Zlekceważyłabym swoje obowiązki, gdybym nie spróbowała ci pomóc. Może wyobrazasz sobie, że zaniedbywałam cię w dzieciństwie? Bóg jeden wie, że starałam się, jak mogłam, ale cokolwiek by się robiło przy dzieciach, to zawsze będzie źle. Wszyscy się z tym zgadzają. Tak czy owak za to, co zrobiłaś ze swoim życiem, częściowo winię siebie samą.

- Postanowiliśmy wysłać cię do biura w Tokio jako jego kierowniczkę. - Angus ogłosił jej wyrok cichym głosem. Jego oczy powędrowały ku niej na krótką chwilę, lecz Victoria nic w nich nie zobaczyła. Nic oprócz pragnienia szybkiego zakończenia tej rozmowy.

Victoria nie pamiętała, jak wybiegła z pokoju zataczając się niczym ranne zwierzę, ale nigdy nie zapomniała rozbrzmiewającego za nią bezwzględного, pedantycznego głosu, jakim jej matka spokojnie skomentowała jej los.

- Chyba mamy już za sobą ten drobny rodzinny problem, prawda, Angusie? Joe będzie zadowolony.

20

- Non stop? - powiedział Ben odpowiadając na pytanie Saszy. - Do Waszyngtonu, Anchorage czy Brazylii, Moskwy, Pekinu, Melbourne czy Guam...

- To dlaczego nie możesz polecieć z Los Angeles do Wenecji bez tankowania? - zapytała Sasza. Znajduje się w tym samolocie niecałą godzinę, a już znalazła jakąś usterkę, pomyślała Gigi.

444

- Nie możemy zabrać ze sobą aż tyle paliwa - powiedział z zaskoczeniem Ben. - Jest to największy prywatny odrzutowiec i może przelecieć trzy tysiące sześćset mil morskich z ośmioma pasażerami i bagażem, ale Wenecja leży dalej niż pięć tysięcy mil morskich od Los Angeles.

- Ale jest nas tylko pięcioro - westchnęła Sasza z cieniem krytyki w głosie. - Czy nie powinniśmy dolecieć dalej?

- Nawet gdyby samolot był pusty, to w razie konieczności można by zyskać zaledwie dwieście dodatkowych mil. Wiesz co, Sasza, jeśli nie będziesz jeszcze spała, kiedy wylądujemy we Frobisher Bay, żeby zatankować, to będziesz mogła wyjść i rozprostować nogi.

Ben pomyślał, że jeśli Sasza pozostanie na lotnisku Iqaluit we wschodniej Arktyce całe pół godziny potrzebne do zatankowania, to zamrznie na śmierć, co mogłoby się okazać wcale pożądanym wypadkiem. Nawet drobne odmrożenie byłoby miłe. Czubek jej wyniosłego nosa mógłby wiele zyskać na zmianie koloru na szarobiały.

Ben Winthrop przyzwyczaił się do tego, że jego gości zatykało z wrażenia na widok luksusu i wielkości samolotu mającego dwunastometrową kabinę. Kazał ją specjalnie zaprojektować tak, żeby w przedniej jej części w miękko wyściełanych obrotowych fotelach mogło siedzieć sześć osób, a dwie mogły jednocześnie spać na rozkładanych kanapach w oddzielonej zasłoną tylnej części kabiny, lecz jak dotąd Saszę najbardziej zachwyciło odkrycie zgniatacza śmieci i kuchenki.

- Przypuszczam, że załoga ma własną łazienkę - rzekła Sasza krystalicznie królewskim tonem, z którego byłaby dumna jej matka.

- Właściwie nie, korzystają z naszej.

- No owszem, jest ładna i obszerna - szybko odpowiedziała Sasza z tak delikatną nutą przelotnego poczucia zaskoczenia, że absolutnie nikt nie mógł być pewny, czy rzeczywiście było ono w jej głosie obecne.

Mam nadzieję, że nigdy nie wścieknie się na mnie, pomyślał Vito powstrzymując uśmiech podziwu. Owszem, Zach zadał pierwszy cios, ale nikt, kto uderzył brata Saszy, nawet w samoobronie, nie mógł się spodziewać przebaczenia.

437

Jednak ta walka sprzed dziesięciu dni nie wywołała najmniejszej zmiany w planach Saszy **udania** się do Wenecji w charakterze gościa Bena. **Wyjaśniła** Vito, że jedno nie ma nic wspólnego z drugim. Ponieważ Gigi stwierdziła, że nie ma pojęcia, o co im poszło, a Zach nie chciał powiedzieć, dlaczego zaczął, nikt nie mógł się po niej spodziewać, że zrezygnuje z czegoś takiego z rodzinnej lojalności. Vito pomyślał, że nie umrze bez niepotrzebnej wycieczki do Wenecji, nawet jeśli lot miał trwać tylko czternaście godzin łącznie z przystankiem na tankowanie, ale nigdy nie rozczarowałyby Saszy, która miała do tej wyprawy stosunek dziecka. Kiedy tylko „Długi weekend” znajdzie się w kasecie, zabierze Saszę w prawdziwą podróż, na niezapomniany miesiąc miodowy.

W każdym razie pozwalało mu to lepiej poznać Bena Winthropa. Facet wyraźnie przecież zamierza porwać i poślubić jego córkę, lecz przy całym swym doświadczeniu z ludźmi Vito nie potrafił rozszyfrować Bena. Ma atrakcyjny wygląd, co do tego nie ma dwóch zdań, a poza zbytnim zadowoleniem z siebie wydaje się nie mieć żadnych zauważalnych wad, a jest wielkoduszny i szaleńczo zakochany w Gigi. Co więcej, w przeciwieństwie do Curta Arveya, który też miał Gulfstreama III, nie nakierowywał rozmowy na fakt, że samolot kosztował go piętnaście milionów plus majątek na utrzymanie i pensje obsługi.

A jednak wokół Bena Winthropa unosiła się aura, wewnątrz której żył, myślał i czuł, aura przypominająca trochę ścianę, a trochę gęstą mgłę, której wyczulony na takie sprawy Vito nie potrafił przebić. Ben Winthrop był kurewsko tajemniczy. Było w nim coś głębokiego i bardzo ważnego, czego nie odsłaniał - Vito podejrzewał, że nigdy nie odsłoni - i w tym Ben przypominał Vito kilku dawnych szefów hollywoodzkich wytwórni, których bezwzględność była tak naturalna, tak głęboko zakorzeniona, że człowiek zdawał sobie z niej sprawę dopiero wtedy, kiedy go zniszczyła. Jeśli chodzi o niego, pomyślał Vito, to ława przysięgłych mająca osądzić Winthropa nie tylko wyszła, ale w tej chwili znalazła się w beznadziejnym impasie. Co prawda i tak nic na to nie może poradzić. Gigi zdecyduje się we właściwym czasie i Vito wątpił, żeby chciała się go poradzić.

438

- Mam nadzieję, że spakowałam odpowiednie rzeczy -mruknęła Sasza.

- Oficjalny sezon turystyczny skończył się przed trzema tygodniami, w połowie października - rzekła Gigi - a miejscowi mają sobie za punkt honoru ubierać się z najbardziej wyrafinowaną europejską elegancją, więc bez względu na to, co na siebie włożysz, będziesz się wyróżniać jak spuchnięty kciuk.

- Zawsze potrafiłaś mnie pocieszyć, Gigi - odparła Sasza z uśmiechem, który niebezpiecznie się zakrzywił w kącikach jej ust. - W czym wystąpisz na przeciąganie pod kilem, czy jak to tam się nazywa?

- Powiedziałam, żebyś zabrała dzinsy i swetry, prawda? Włóż je do Porta Margera. W stoczni wszyscy dostaną w prezencie ciepłe kurtki, bo podczas uroczystości może zrobić się chłodno. Początek listopada może spłatać w Wenecji figła. Potem wszyscy wrócimy do hoteli i przebierzemy się na przyjęcie.

- Dlaczego czuję, że będę wyglądać jak jakiś popychel? - zapytała podejrzliwie Sasza. - Czy Ben włoży kurtkę? A Vito? A redaktor z „Vogue'a”?

- Tylko jeżeli będą chcieli, Sasza - powiedziała Gigi. - To nie jest obowiązkowe, nie rekrutujemy cię do wojska.

- Pewnie są zielone jak te okropne, błyszczące ciuchy z satyny, które noszą kibice Celtics.

- Przypuszczasz na wpół trafnie. Są białe z zielonymi literami - odparła kwaśno Gigi. - I rzeczywiście układają się one na plecach w napis „Smaragd Winthropa”. Dla dziewczyny, która

śpi w bawełnianej koszulce z napisem „Kennedy przed New Hampshire”, nie powinno to być zbyt trudne do zrozumienia.

- Spała, Gigi, spała. Teraz śpię w koszulce z napisem „«Zwierciadła» to najlepszy film”, do czego się z dumą przyznaję. I chciałabym dodać, że koszulka z Kennedym nie była moja, ktoś mi ją dał. Pierwszy głos oddałam na kandydata z partii libertariańskiej, ktokolwiek to wtedy był. Mama tego chciała.

- Czy to, na kogo się głosuje, nie powinno zależeć od głosującego? - zapytał Ben.

447

- Nie, kiedy się ma taką mamę jak ja.

- Dlaczego nie mogłaś **powiedzieć**, że głosowałaś na jej kandydata, a w kabinie do głosowania /robić tak, jak chciałaś?

- Dowiedziałyby się o tym odparła ponuro Sasza. Tym lepiej dla mamy, pomyślał Ben z zadowoleniem, że

istnieje ktoś, kto potrafi przestraszyć tę doprowadzającą do wściekłości przyjaciółkę Gigi. Nawet gorzej niż przyjaciółkę - żonę jej ojca. Pogratulował sobie, że Gigi wspaniale zrobi oddalenie od Saszy o trzy tysiące mil. Kiedy poznał Vito i Saszę, nie wiedział, czego się spodziewać, ale przynajmniej z fotografii w czasopismach i gazetach zrobionych podczas długich lat kariery Vito jako producenta wiedział, jak wygląda ojciec Gigi, który jak dotąd wydawał się dość sympatyczny.

Jakoś niejasno wyobrażał sobie, że Sasza, choć jest Żydówką, będzie raczej trochę starszą i o wiele mniej rozkoszną wersją Gigi niż groźnie układną królową Saby o zapierającym dech w piersiach profilu i, jeśli tak się jej podobało, manierach obrażonej brytyjskiej księżnej. Ben Winthrop wiedział z autopsji, że nieuprzejma księżna może być najbardziej nieuprzejmą kobietą, jaka pojawiła się w wyniku ewolucji od czasu, kiedy pierwszy mężczyzna zrobił pierwszy nóż. A może to była kobieta?

Ten jej przegrany braciszek nie będzie w przyszłości stanowił żadnego problemu. To po prostu chuligan i gbur, dostał więc to, na co zasługują gbury. Tylko co będzie, jeśli Sasza zechce się wprosić do nich, kiedy urządzią się z Gigi w Nowym Jorku? Gdy kalifornijka ma przyjaciółkę z dużym mieszkaniem w Nowym Jorku, to ciągle wynajduje preteksty, aby spędzać na Manhattanie przynajmniej kilka tygodni na wiosnę i w jesieni robiąc zakupy i każąc się zabierać na nowe przedstawienia i wystawy. To będzie problem, któremu będzie musiał położyć kres, co zamierzał zrobić szybko i skutecznie.

Miał zupełnie inne plany co do czasu Gigi po ich ślubie. Z pewnością nie będzie go spędzała z Saszą. Widział już oczyma duszy dokładnie taki miejski dom na którejś z sześćdziesiątych wschodnich ulic, jaki kupią i urządzią sobie w Nowym Jorku, wyobrażał sobie uprawianie miłości i liczbę dzieci, jakie będą mieli - ale nie wcześniej niż za co najmniej siedem czy osiem lat - a także starannie dobrane komitety dobroczyn

440

ne, którym Gigi będzie ofiarowywała oszałamiające sumy pieniędzy i poświęcała swój czas, małe i ekskluzywne przyjęcia, jakie będą wydawali, przyjęcia, na które będą chodzili, oraz przyjęcia, na które postanowią nie chodzić, co będzie równie ważną, a może nawet ważniejszą decyzją.

Oczywiście będzie też naprawdę zwariowany, duży, stary letni dom, może pod Edgartown, chociaż będą jak najczęściej jeździli do Wenecji. Ben powiedział sobie, że będzie elastyczny, tak elastyczny, jak będzie mogła tego sobie życzyć. Jeśli Gigi zechce zapuścić korzonki w jakimś innym miejscu w Europie - jeśli na przykład spodoba się jej dwór w stylu królowej Anny z ziemią, koźmi i ogrodami niezbyt daleko od Londynu - to czemu nie? Albo *chateau* nad Loarą czy *villa* w Toskanii? Albo wszystko to naraz - może mieć cokolwiek. O ile tylko będzie zdawała sobie sprawę, że on jest najważniejszy, że w każdym z tych domów będzie musiał na stałe mieszkać całkowicie odpowiedzialny majordom i o ile nie będzie marnowała jego, Bena, czasu na szczegóły związane z ich utrzymaniem, to będzie mógł być najbardziej elastycznym człowiekiem na ziemi. Miała go uzupełniać tak, jak żona ma uzupełniać męża w staromodnym znaczeniu tego słowa, w którym dopełni jego życie i uczyni je doskonałym. Osiągnął wiek, w którym żona jest koniecznym spełnieniem, w którym żona nadaje mężczyźnie ostateczny szlif, którego nigdy bez niej nie mógłby uzyskać.

Ben zdał sobie sprawę, że dotąd po prostu nie odczuwał potrzeby posiadania żony. Był zbyt zajęty podróżami po kraju, kupowaniem ziemi i budową pasaży handlowych, aby odczuć brak domu innego niż jego kawalerskie mieszkanie w Nowym Jorku, domku w Klosters i tego pałacyku nad Canale Grandę, który zaspokajał jego poczucie piękna. Lecz coś w weekendzie spędzonym z Gigi i kolegami z uczelni oraz ich dziećmi w Winnicy Marthy uświadomiło mu upływ czasu.

Być niczym nieskrępowanym obiektem ich podziwu to jedno, ale stać się „biednym, starym Benem, jaka szkoda, że się nie ożenił” to coś zupełnie innego. Wiedział, że w głębi duszy wszyscy straszliwie mu zazdroszczą - jak mogli uniknąć zazdrości, skoro jego osobiste bogactwo co roku jest ogłaszane

na niewypowiedzianie wulgarnej liście „Forbesa”, skoro jego osiemset milionów dolarów powiększyło się w tym roku o kolejną setkę, a mimo to w jego zachowaniu względem nich nic się nie zmieniło, skoro nadal jest tym samym Benem Winthropem, jakiego, jak im się zdawało, zawsze znali? Nie mogli nawet go oskarżyć o niesmaczną demonstrację oznak nuworyszostwa. Już od samego tego musiało im się robić tak niedobrze, jak od zbitego przez niego majątku. To jasne, że jego znajomi rzuciliby się na każdy pretekst pozwalający im uznać się za szczęśliwszych od niego, ponieważ na którymś etapie życia trochę się zapóźnił. Widział coś takiego wiele razy, widział, jak taka emocjonalna wyższość pojawia się prawie z dnia na dzień. Co prawda mężczyzna mógł trwać w bezennym stanie długie lata, prawie w nieskończoność, o ile tylko nie robił się odludkiem, niezamężna kobieta jednak bez względu na swoje bogactwo szybko stawała się obiektem litości.

Nie mógłby poślubić żadnej z bostońskich dziewczyn, wśród których dorastał. Znał je tak dobrze, że były dla niego jak siostry - radosne, zagrzebane w książkach, apodyktyczne, nieerotyczne. Nie interesowały go tłumy dziewcząt poznanych w Nowym Jorku - ogólnie rzecz biorąc były za bardzo uformowane, zbyt wyrafinowane, często zbyt neurotyczne. Zostały zepsute przez swoich rodziców i zyskały zbyt silny polor za wcześnie w życiu.

Gigi była dla niego stworzona.

Jej pochodzenie było nieodpowiednie, to się rozumiało samo przez się. Matka - irlandzka tancerka rewiowa i ojciec włoskiego pochodzenia pracujący w rozrywce! Na szczęście jego pochodzenie wystarczy dla nich obojga. Małżeństwo to będzie ciosem dla zawsze krytycznie nastawionego Bostonu, ciosem dla jego ojca, który z uporem potępiał jego styl życia, ciosem dla wszystkich zadowolonych z siebie krewnych ze strony Winthropów, chociaż fakt, że Gigi mogła pochwalić się Billy Winthrop Elliott jako „macochą”, a przynajmniej była prawną opiekunką, przydawał jej pewnej oglądy, która złagodzi prawdziwą dezaprobatę, z jaką mogłaby się spotkać. Wybór niekonwencjonalnej żony przypieczętuje wszystkie jego inne triumfy, tak jak nie mógłby tego zrobić żaden kolejny sukces finansowy.

442

Sama Gigi była tak ujmująca, tak oryginalna i czarująca, że na pewno ich sobie zjedna. Wszyscy, którzy znali go w młodości, będą zmuszeni jeszcze raz przyznać, że w przeciwieństwie do nich nie jest wyblakłą kopią ich przodków. Gigi jest wybitną osobą i jej urok w dużej mierze polega na tym, że nie zdaje sobie z tego sprawy. Jej wyobrażenia zaprzęgnięta do pracy w świecie filantropii szybko zwróci na nią uwagę wewnętrznego kręgu matron rządzących Nowym Jorkiem i pewnego dnia Gigi zostanie ważną figurą w ich szeregach - najważniejszą figurą. Tak, Gigi jest doskonałą - nie „kompromisową” - nigdy nie poszedłby w małżeństwie na kompromis, ale doskonałą... no cóż... z braku lepszego słowa... doskonałą kandydatką.

I, oczywiście, on jest w niej zakochany. „Szaleńczo” zakochany? Nie, dzięki Bogu nie ma chęci kiedykolwiek zatracić się w żadnym zasadniczo irracjonalnym uczuciu. Ale jest

o wiele bardziej zakochany, niż kiedykolwiek się spodziewał. Głęboko zakochany. Nie może już od życia nic więcej wymagać.

*

Nikt jeszcze nie powiadomił Adriatyku czy lagun i kanałów Wenecji, że zakończył się oficjalny sezon turystyczny. Pod świątecznym słońcem miasta, o którym nawet Dickens powiedział, że boi się go opisywać, falująca woda lśniła srebrem. Koronka mgieł nie przesłoniła jeszcze przyćmionej ochry mniejszych kanałów, cudownych różowości Pałacu Dożów czy złocistych, beżowych, śliwkowych i fiołkoworóżowych szarości marmurowych pałaców stojących nad Canale Grande.

Wydawało się, że oprócz bicia dzwonów i chlupania wody wszystkie dźwięki są zawieszane wysoko w błękitnym powietrzu. Nie kwitła już wistaria zwieszająca się od okna do okna, a sporadyczne oleandry zwisające znad wysokich murów

I wysyłające zwodnicze wieści z maleńkich, ukrytych ogrodów były już pozbawione swych różowych i białych kwiatów, lecz ich brak z nawiązką wynagradzało poczucie wolności i przestrzeni powstałe po wyjeździe większości z pięciu milionów turystów corocznie odwiedzających Wenecję.

W dniu ich przyjazdu Wenecja była dojrzała jesienną dojrzałością kamiennego miasta nie znajdującego żniw. Myśli

451

O *acque alte* czy wysokiej listopadowej fali, która często zalewała czerwone i białe **marmury** Piazza San Marco, wydawały się niemożliwe. Kołysząca się, leniwa woda nuciła w gotowości powitania prasy, która miała jutro przylecieć z Nowego Jorku. Na dwustu zaproszonych gości prawie nikt nie odmówił. Jutro były spodziewane wszystkie najważniejsze osoby piszące w amerykańskich mediach o kwitającym interesie handlowych nieruchomości i podróży oraz grupa kanadyjskich i brytyjskich dziennikarzy. Pracownicy Bena odkryli, że jeśli Francuzi wyjeżdżają na wakacje, to niezależnie od stopnia zamożności wolą zostać we Francji, a Włosi odbywają morskie wycieczki na statkach mających włoskich właścicieli.

Biuro podróży, z którym współpracowała Gigi, wykonało wiele skomplikowanych czynności, by dostawić dziennikarzy do Wenecji w jak najwygodniejszych warunkach. Na czas całej wizyty została wycarterowana flota czterdziestu smukłych *motoscafi* o lśniących pokładach udekorowanych biało-zielonymi flagami. Na dziennikarzy czekały pełne kwiatów, owoców i obłożonego lodem szampana pokoje z otwartymi i bogato zaopatrzonymi barkami w hotelach Gritti, Danieli i Cipriani. Na każdej szafce nocnej leżał pięknie wypisany osobście dla danej osoby list od Bena Winthropa wraz z programem imprezy, przewodnikami i planami Wenecji. W ciągu pierwszego dnia dziennikarze mogli bez ograniczeń używać motorówek do zwiedzania Wenecji, Murano, Lido

1 Torcello, mając możliwość swobodnego korzystania z wystawnych, czynnych w osobnych jadalniach we wszystkich trzech hotelach dwadzieścia cztery godziny na dobę przez cały czas trwania imprezy bufetów. Drugiego dnia po obiedzie dziennikarze mieli zostać przewiezieni specjalnie udekorowanymi *vaporetti* z hoteli na stację kolejową znajdującą się na drugim końcu Canale Grande, gdzie czekającymi już tam autobusami mieli przejechać przez most na ląd stały, do Porta Margera. W stoczni inne autobusy miały ich przewieźć do trzech rzędów trybun ustawionych wzdłuż suchego doku, skąd mieli wysłuchać krótkiej mowy Bena objaśniającej wymianę monet i popatrzeć, jak Gigi dokonuje owej wymiany, po czym płytka miała być ponownie wstawiana w kadłub „Smaragdu Winthropa”.

452

Vaporetti oświetlone sznurami żarówek i obsadzone muzykami oraz kelnerami roznoszącymi na tacach drinki miały wrócić do hoteli na tyle wcześnie, żeby dziennikarze mogli się przebrać na bal i kolację w specjalnie udekorowanym kasynie miejskim, Palazzo Grimini, gdzie tańce i gry hazardowe miały trwać do wyjścia ostatniego gościa. Podczas następnych dwóch dni goście mogli do woli korzystać z rozrywek, podobnie jak pierwszego dnia. Loty powrotne były przewidziane na rano dnia piątego.

- Trzy i trzy czwarte dnia wszelakich przyjemności w Wenecji, najszybszy i najdroższy transport, jedzenie, picie i tylko jedna krótka impreza plus przyjęcie - to ich chyba musi uszczęśliwić - powiedział Ben, kiedy Gigi pokazała mu swoje plany.

- Oni mają fioła na punkcie dobrego traktowania - zmartwiła się Gigi. - Ciągle uważam, że powinieneś mieć na każde zawołanie przez całą dobę pięćdziesiąt gondol z zielono-białymi flagami, żeby wiedzieli, które są nasze.

Ben potrząsnął odmownie głową.

- To oznaczałoby kilkudniowe negocjacje ze związkiem gondolierów - żeby zostać gondolierem, trzeba mieć **gon** dolierskie pochodzenie w linii prostej na kilka **pokoleń wstecz** - a oni są sto razy gorsi od innych. Jeśli jacyś dziennikarze będą chcieli wynająć gondolę, to niech sami za to zapłacą, kochanie - przecież wszystko inne jest za darmo.

- Wiem, ale dlaczego rezygnujemy z gondolii? One reprezentują Wenecję, są z nią identyfikowane jak nic innego.

- Jeśli o mnie chodzi, to jest to rozbój na równej drodze i nie będę z nimi prowadził interesów - powiedział z uporem.

Gigi westchnęła i zostawiła sprawę. Ben potrafił być absolutnie bezkompromisowy, co pozwalało mu pokonywać całe lata świetlne w różnych ekstrawaganckich kierunkach i ani na cal nie ustępować w innych. Miało być tak, jak on chce, albo wcale.

Gigi już nie uważała, że ta jego cecha jest przykładem dziwacznej, czasami nawet zabawnej oszczędności ludzi bardzo zamożnych. Billy od razu by dostrzegła, że dobrze zaplanowana wizyta w Wenecji bez darmowych gondoli po prostu... mija się z celem. Nie zepsuje to imprezy, lecz

położy

445

się na nią lekkim cieniem niedopracowania. Cena zażądana przez związek gondolierów, choćby najbardziej wygórowana, nie byłaby nawet zauważona w olbrzymiej sumie wydanej przez Winthrop Development na całe to przedsięwzięcie.

Ben regulował swoje życie według jakiegoś własnego nie dopuszczającego wyjątków systemu zasad, który ciągle był dla Gigi zagadką. Co by się stało, gdyby podczas ich pierwszej bytności w Wenecji chciała złamać jego Zasadę Jednej Rzeczy. Gdyby tak była w nastroju do spędzenia całego popołudnia na oglądaniu obrazów - czy wywłókłby ją siłą z Akademii, podczas gdy ona żałośnie błagałaby go o jeszcze jednego małego Giorgione?

Po bójce z Zachem na jej przyjęciu obojgu z Benem udało się taktownie usunąć to wydarzenie w niepamięć. Drażnił się z nią, że ubrała się jak kusicielka, a zachowywała jak skrom-nisia, na co Gigi odpowiadała, że jest ekshibicjonistą, któremu dostało się to, na co zasłużył, i udawała, że o wszystkim zapomniała. Wiedziała jednak, że słusznie nie podoba jej się publiczne obmacywanie i w skrytości ducha tak samo cieszyła się, że Zach tak przesadził w jej obronie, jak złościła się na zachowanie Bena.

Gigi pomyślała zmarszczywszy brwi, że oprócz gondoli jej kłopoty z Benem dotyczą stosunkowo drobnych spraw: jego fiksacji - to było jedyne właściwe słowo - na punkcie jej pupy, tej krepującej nocy w Winnicy Marthy, jego uporów w kupieniu jej niechcianych kolczyków, a nawet ich pierwszego pocałunku. Potrafił wykorzystywać swą pozycję do przejmowania kontroli.

Całkowitej kontroli.

Nie był to egoizm w potocznym znaczeniu tego słowa. Gigi wydawało się, że nikt nie potrafi być tak hojny, tak dziko ekstrawagancki jak Ben, kiedy znalazł się w odpowiednim nastroju. Było to coś innego, coś leżącego bardzo głęboko, coś, czego nie potrafiła nazwać, choć od początku ich romansu bardzo się o to starała.

Owszem, był dziko romantyczny, ale jak się nad tym zastanowić, to czy każda kobieta byłaby zachwycona porwaniem do Wenecji? Pewnie tak. Jestem po prostu przesadnie wybredna, skarciła się Gigi. Poglądy mężczyzny i kobiety na romantyczność z łatwością mogą się różnić. Większość kobiet

454

za wszelką cenę chciałyby zdobyć mężczyznę, który obsypywał je szmaragdami, porywał do magicznych miejsc i okazywał swą kochającą zaborczość bez względu na to, gdzie, kiedy i kto na to patrzył.

Tyle że ona nie jest jego własnością. Jeszcze nie.

*

- Mam problem - powiedział Archie do Byrona o drugiej po południu w barze. - Nie potrafię się zdecydować, czy tak się czuje ktoś, kto właśnie się topi, ktoś, komu wbijają pod paznokcie drzazgi z bambusa czy ktoś palony na stosie.

- Spróbuj pomyśleć o byciu zdradzonym, wykastrowanym, poddanym sodomii i jednocześnie obrabowanym ze wszystkiego przy użyciu broni... tak, to chyba takie uczucie - odparł Byron dążąc do zwięzłości.

- Czy tracimy właściwą perspektywę? Może nasza reakcja jest przesadna, By? Przecież zachowaliśmy zdrowie, włosy, garnitury i talent. Straciliśmy jedynie owoc najcięższych lat pracy w kwiecie sił oraz reputację.

- Wiedzieliśmy, że podejmujemy ryzyko, Arch.

- Chcesz powiedzieć, że zasłużyliśmy na to?

- Nie, tylko że takie rzeczy się zdarzają.

- Byron, jeśli zaczniesz mnie częstować filozofią, jeśli powiesz choć jedno pieprzone miękkie, tchórzliwe słowo, to własnymi rękoma połamię ci wszystkie kości - wycharczał Archie z brakiem przekonania kogoś, kto wie, że ma tylko tyle siły, by podnieść szklanę do ust.
- Gigi w Wenecji na Bóg wie jak długo, panna Vicky na zawsze w Tokio... ile zamówień straciliśmy, Archie? Już się w tym wszystkim pogubiłem.
- Wszystkie trzy nasze własne niskokaloryczne maleństwa z Oak Hill Foods, Indigo Seas, Beach Casuals i po telefonie Spidera Elliotta z Paryża Scruples U.
- Nie możesz liczyć Indigo Seas - rzekł ze wzburzeniem Byron. - Sami z nich zrezygnowaliśmy. Wtedy właśnie zaczęły się kłopoty.
- Nie, kłopoty zaczęły się, kiedy odeszliśmy z agencji Caldwell & Caldwell z tą dwulicową zimną królową, suką i boginią, Yictorią Frost - wyraził zgryźliwie swe zdanie Archie.

- Czy mogliśmy przewidzieć, że popędzi z powrotem do mamusi i tatusia gdy tylko ją o to ładnie poproszą, nie uprzedzając nas o tym ani słowem? Czy to był nasz wielki błąd? - zastanawiał się Byron.

- Nie wiem, ale sama czuła się na tyle niezręcznie, że przysłała teleks dopiero z Japonii. Nie miała nawet odwagi zadzwonić do nas przed wyjazdem, kiedy my próbowaliśmy znaleźć Gigi. Przynajmniej Gigi miała jakiś powód - co prawda nieprofesjonalny - do odejścia i nie zabrała ze sobą żadnych zamówień. Nie można winić Elliotta, że się wycofał, skoro spodziewał się usług Gigi... nie można nawet winić tego seksownego dziadka, Harrisa Reevesa... czy to się nazywa zbrodnią w białych rękawiczkach'?

- Chyba raczej „codziennymi interesami” - odparł Byron.

- A także rzeczywistością.

- W takim razie mam pomysł - powiedział Archie przeciągając dłońmi po swych czarnych kędziorach i wyprostowując się na krześle. - Ciągłe mamy kilka dość przyzwoitych zamówień plus, przynajmniej w tej chwili, Zaczarowany Strych i Linie Winthropa. Może poszlibyśmy do chłopaków z Russo i zaproponowali im fuzję? Billy Elliott dała im jeszcze jedną szansę przy Scruples II, a my wnieśliśmy nową krew

- jeśli połączylibyśmy się z nimi, stworzylibyśmy przyzwoitą agencję. To dobrzy, stabilni faceci, tyle że nie tak wzięci jak my - byliśmy - ale ilu takich jest? A może było?

- Hmm. Russo, Russo, Rourke i Bernheim... nie, jakoś mi się to nie podoba - powiedział kapryśnie Byron.

- Może wolałbyś Russo, Rourke, Russo i Bernheim, co?

- Chyba mógłbym zacząć się zastanawiać nad Russo, Bernheim, Russo i Rourke. Mógłbym chyba na tyle schować dumę do kieszeni - odparł Byron. - Przynajmniej nie musimy już pracować z panną Vicky.

- Rzućmy monetę, kto ma zadzwonić - zaproponował Archie.

- Ja jestem tylko wielkim grafikiem, Arch, to ty podobno radzisz sobie ze słowami. Ty zadzwoń. I obudź mnie, kiedy wszystko będzie załatwione - powiedział Byron, gestem przywołując kelnera. - Jak szaleć, to szaleć, poproszę jeszcze jedną butelkę evian.

456

Wspaniała pogoda wytrzymała na przyjazd prasy. Pierwszego dnia dziennikarze zniknęli wśród zakątków Wenecji, niezmiennie ciągnąc ku Piazza San Marco przed obiadem, po obiedzie i po południu.

Gigi zestawiła u Floriana kilka złotych, wiklinowych stolików i otoczyła je krzesłami. Podczas gdy Ben cały dzień pracował z Renzo Montegardinim, planując przyśpieszenie przebudowy „Smaragda”, ona siedziała u Floriana w towarzystwie całego działu reklamy firmy Winthrop Development. Prędzej czy później ich goście przychodzili, żeby się przysiąść, przywitać, zamówić herbatę, kawę, wodę mineralną i wszelkiego rodzaju ciastka. Niektórzy z nich chcieli posiedzieć dłużej i z czasem ich nieformalne przyjęcie rozprzestrzeniło się na stojące nawet na ulicy stoliki tej dużej kawiarni.

Jeden reporter, mający wkrótce odejść na emeryturę autor artykułów branżowych dla „Boston Globe”, znany jako Branch T, szczególnie sobie upodobał Gigi, którą wziął za pracownicę niższego szczebla w dziale reklamy. Drobnny, prawie pozbawiony ciała i o głęboko pomarszczonyj twarzy reporter miał na sobie mimo ciepłego dnia cienką wełnianą koszulę, gruby sweter i wysłużony tweedowy kapelusz.

- Nigdy za wiele ostrożności - powiedział do Gigi cichym, konfidencjonalnym i schrypniętym głosem. - Dobrze znam to miejsce, uwielbiam je, ale za nic w świecie nie wyszedłbym na dwór bez

swetra. Pewnego pięknego czerwcowego dnia strasznie się tu przeziębilem czekając na *vaporetto* — bryza znad morza, zimny podmuch z kanału, trzy minuty czekania, wystarczyło tylko tyle, trzymało się mnie całymi tygodniami. Miazmaty, moja droga, miazmaty. Śmierć w Wenecji, to nie żart, przytrafia się turystom bez przerwy. Te kanały są pełne rzeczy, o których nie chce się nawet myśleć. Nocą na ciemnym moście nie oglądaj się za siebie, idź szybkim krokiem, to moja rada. Mała tu przestępczość, w większości kieszonkowcy, ale mnóstwo duchów, aż nadto zastępuje kryminalistów. Prawdziwy weneccjanin - wymierająca rasa, zostało ich tylko osiemdziesiąt tysięcy - powie ci, że jeśli nie jest się tu urodzonym, to pobyt dłuższy niż dwa tygodnie oznacza igranie

ze śmiercią. I nigdy nie choruj w Wenecji, to moja rada. Tutejsi lekarze wywodzą się ze szkoły stosującej bańki i pijawki. Kiedyś mnie tu użądliła pszczoła, miałem reakcję alergiczną, noga spuchła mi jak bania, lekarz powiedział, że to niemożliwe, bo w Wenecji nie ma ogrodów, więc skąd się tu mają wziąć pszczoły? W tym cholernym mieście są tysiące przy-okiennych ogródków, a co z targiem kwiatów przy Rialto, he?

- W którym hotelu pan mieszka, panie Branch?

- Branchie, mów mi Branchie. W Gritti. Nie myśl, że pojedę na tę wycieczkę, żeby obejrzeć tę uroczystość z kilem, nie chciałbym stracić mowy młodego Winthrop, piszę książkę o Winthropach, wiesz, ale po co mam ryzykować powrót nocą? O wiele za zimno, o wiele za długa wyprawa jak na mój gust, powinniście to zrobić w jakimś bardziej cywilizowanym miejscu, to moja rada. Mestre, rzeczywiście. Centrum zarazy, Mestre.

- Ale statku nie można ruszyć z suchego doku. Ojej, nie chcę, żeby cię tam nie było - zawołała Gigi czując, że traci artykuł w „Boston Globe”. - Jeśli przyjdę po ciebie do hotelu, to popłyniesz *vaporetto* ze mną? O tej porze dnia będzie bardzo ciepło. Na powrót załatwię *motoscafo* ze stacji kolejowej specjalnie dla ciebie. Będiesz mógł siedzieć w kabinie i zamknąć drzwi. Będzie tam bardzo przytulnie i wrócisz przed wszystkimi innymi.

- To ładnie z twojej strony. Trzymam cię za słowo, tak, dziękuję.

- Co to za książka o Winthropach? - zapytała ciekawie Gigi.

- Studium historyczne, nie twoja para kaloszy, moja miła. Pracuję nad nią od lat. To takie moje hobby. Młody Winthrop jest interesujący, dlatego tu przyjechałem, normalnie wysłałbym asystenta, ale młody Winthrop pędzi jak kometa, fascynująca historia firmy, mógłby być weneccjaninem, księciem kupców starej szkoły.

- Myślę, że chciałby nim być - rzekła Gigi uśmiechając się na tę myśl. - Czy książka jest gotowa?

- Jeszcze kilka lat - odparł Branchie machając drobną dłońią. - Plany na emeryturę, odmładza mnie, żadnych złudzeń co do wydania. Za dużo książek na rynku, to moja rada dla

458

samego siebie, ale słucham, co w trawie piszczy, wiem, co się dzieje. Z całą pewnością.

Zachowuję dla siebie, mój własny materiał, jestem z niego dumny.

- Będę jutro w Grittim, Branchie - obiecała mu Gigi

- i gwarantuję ci, że nie złapiesz w Mestre zarazy. Później, kiedy Gigi i Ben zaprosili Saszę i Vito na kolację do

La Madonna, autentycznie przepełnionej restauracji rybnej nie dla turystów, Gigi opowiedziała mu o swoich specjalnych ustaleniach z Branchiem.

- Jestem zachwycony, że go do tego namówiłaś - powiedział Ben. - Ten facet zna wszystkich i liczy się w swojej gazecie, ma więcej wpływów, niż można by sądzić. Uwielbia robić z siebie ekscentryka, ale pisał szczegółowo o wszystkim, co zrobiłem, poczynając od mojego pierwszego pasażu handlowego. Czasami mam wrażenie, że więcej wie o moich interesach niż ja sam. Branch Branchie, mój ulubiony biograf i hipochondryk - czy opowiedział ci, jak omal nie umarł z przeziębienia?

- Tak, i o użądleniu pszczoły.

- Przez całe lata winił za to Wenecję. Może nie uwierzysz, ale prowadził osobistą kampanię w druku przeciwko temu miastu, jakby kogokolwiek to obchodziło, ale w końcu nie mógł się oprzeć tej fecie. Jutro prawdopodobnie włoży płaszcz i kilka szalików, więc się nie roześmiej, kiedy go zobaczysz. Właściwie to dobrze, że go przywieziesz, bo ja na kilka godzin przed przyjazdem prasy będę sprawdzać w stoczni trybuny i nagłośnienie.

- Nie masz od tego ludzi z działu reklamy? - zapytał Vito.

- Dziesiątki. Ale lubię się sam upewnić. Nie znoszę niespodzianek.
- Doskonale wiem, co czujesz. Niespodzianki, nawet przyjemne, unieszczęśliwiają producentów, chyba że oni sami są ich przyczyną.
- Czy to jakby próba generalna przed chrztem statku w przyszłym roku? - zapytała Sasza.
- W dużym stopniu tak - potwierdził Ben uśmiechając się z namysłem do wyraźnego obrazu tego dnia w przyszłości.
- Tylko że za rok będzie przynajmniej pięć razy tyle ludzi: wszyscy miejscowi dygnitarze, społeczność dyplomatyczna.

zaproszone sławy, załoga, rodziny wszystkich robotników, wszystko oprócz orkiestry marszowej, a właściwie nie ma powodu, dla którego nie mielibyśmy załatwić i czegoś takiego z liceum w Mestre. Wtedy prace nad przebudową następnych dwóch statków powinny już być poważnie zaawansowane.

- Jak je nazwiesz? - zastanowiła się Sasza. - „Brylant”, „Szafir”?

- Być może nie posłużę się już nazwami klejnotów - odparł Ben - chociaż dają się łatwo zapamiętać. Może „Gigi Winthrop” albo po prostu „Graziella Giovanna”? Chciałabyś, kochanie? Gigi potrząsnęła niemrawo głową, unikając odpowiedzi.

- Branchie sądzi, że mógłbyś być weneccjaninem.

- Naprawdę? Wziąwszy wszystko pod uwagę i wiedząc, co ten facet czuje do Wenecji, trudno powiedzieć, czy to obraza, czy komplement. A z Branchiem nigdy nic nie wiadomo. Wie więcej, niż uważa za stosowne mówić.

*

Nazajutrz Gigi włożyła adidasy, czarne dzinsy, czarny golf i czarny aksamitny żakiet. Nie był to jej ideał odpowiednio swobodnego stroju do suchego doku, ale Ben poprosił, żeby podczas uroczystości przypięła na szczęście szmaragdowe kolczyki, a Gigi nie potrafiła wymyślić niczego innego, przy czym ogromne kołyszające się szmaragdy otoczone brylantami nie wyglądałyby po prostu głupio. Kolczyki i srebrny dolar spoczywały bezpiecznie w wewnętrznej kieszonce jej torebki, bo Ben nie chciał mieć ich przy sobie podczas obchodu suchego doku.

- Rozsądna dziewczyna, włożyła ciepły sweter, ciepłą kurtkę, posłuchała mojej rady - zauważył z zadowoleniem Branchie witając się z nią.

Mieszkający w Grittim dziennikarze stłoczyli się wokół stolików na znajdującej się przed wejściem do Gritti Pałace Hotel dużej pływającej platformie chronionej rzeźbionymi barierkami i ozdobionej doniczkami z różowymi pelargoniami. W tej wyjątkowej restauracji osłoniętej pasiastymi markizami i leżącej tuż nad Canale Grandę usłudni kelnerzy serwują najdroższe obiady w Wenecji. Przez środek platformy przebiega przejście prowadzące od hotelowego wejścia do wąskiego

460

mostku schodzącego na mniejszą platformę służącą do cumowania wszelkiego rodzaju łodzi. Rozrywka *alfresco* polega na obserwowaniu z bliska ruchu na wodzie. Można także dodatkowo zobaczyć, jak zmęczeni podróżą goście hotelowi poprzedzający obładowanych ich walizkami portierów torują sobie drogę przez elegancką restaurację albo rozglądając się z zaskoczeniem na widok niespodziewanego tłumu, albo okazując znajomość realiów kroczą z taką obojętnością, jakby nikt im się nie przyglądał.

Specjalne *vaporetto* przybiło do pomostu przy Grittim do wtóru udawanych wiwatów. Prawie wszyscy dziennikarze woleliby spędzić to popołudnie w Wenecji, ale znali zasady takich fet i z cyniczną rezygnacją zgodnie z oczekiwaniami stawili się na uroczystość. Wszyscy rzucili się do najlepszych miejsc na dziobie *vaporetto*, skąd roztaczał się nieporównany widok.

Gigi i Branchie bez zniecierpliwienia obserwowali, jak zapełnia się zewnętrzny pokład promu, ponieważ Branchie oznajmił, że zamierza siedzieć w kabinie, gdzie będzie mnóstwo miejsca i żadnych przeciągów. Gigi zobaczyła ojca i Saszę ściśniętych bez uśmiechu w tłumie i machających gwałtownie do niej rękami. Nie mogła jednak odejść od Branchiego i razem z nim dała się ponieść tłumowi w kierunku promu.

W końcu ścisk zelżał i Branchie ruszył przodem po krótkim mostku na pływający pomost. W chwili kiedy miał chwycić za rękę załoganta stojącego przy otwartym relingu *vaporetto*, nagły

ruch wód kanału zakłócał platformą i sporym promem, co utworzyło między nimi metrową przerwę.

Ktoś o dłuższych nogach i lepszym refleksie, ktoś nie mający obsesji na temat rzeczy znajdujących się w wodach Canale Grandę prawdopodobnie zdołałby bezpiecznie przeskoczyć na pokład promu.

Branchiemu się nie udało. Nie sięgnął ręki załoganta i wpadł do kanału. Woda zamknęła się mu nad głową, a szaliki unosiły się na powierzchni.

Portierzy z Grittięgo wyciągnęli dziennikarza z Canale Grandę w ciągu kilku sekund, kiedy to załoganci utrzymywali

453

vaporetto w bezpiecznej odległości od pomostu za pomocą długich bosaków przeznaczonych właśnie na takie okazje.

- Zapalenie wątroby! - wybełkotał **po** dotarciu do hotelu, osuszając sobie twarz najbliższym obrusem i pośpiesznie wycierając włosy. - Minimum zapalenie wątroby, zapalenie opłucnej, zapalenie płuc, podwójne zapalenie płuc, zapalenie nerek, niech szlag trafi to miejsce, podwójne piekło, podwójne zapalenie wątroby, A i B, będę miał szczęście, jeśli żywy wrócę do domu... Kate Hepburn wpadła do kanału podczas kręcenia filmu, potem nie była już sobą... wytoczę proces miastu, wytoczę proces Benowi Winthropowi, głupi pomysł... wyjeżdżam z tego siedliska zarazy, jak tylko wyschnę...

- Branchie, Branchie, wypij trochę winiaku - poprosiła Gigi tańcząc wokół niego ze zdenerwowania, a tymczasem *vaporetto* powoli odbijało od pomostu z Vito, Saszą i pełnym ładunkiem dziennikarzy na pokładzie.

- Wypij! Chcesz mnie zabić? Kiedy wpadłem, zacisnąłem mocno usta, z włosów ściekają mi na twarz brudne świńskie pomyje, martwe koty, martwe szczury, ścieki, muszę wejść pod prysznic, środek dezynfekujący, to pierwsza rzecz! Pomóż mi dojść do pokoju. Sprowadź kierownika, zdobądź antybiotyki! - machając rączkami Branchie dotarł do swego pokoju, a za nim szła Gigi i cały tłum portierów.

Już po pół godziny Branchie znalazł się w łóżku. Trzykrotnie wyszorował się od stóp do głów i z powrotem, wysuszył, naszpikował mieszanką antybiotyków i zażył kilka dawek czystej szkockiej whisky.

- Och, Branchie, nigdy tego sobie nie wybaczę - zawołała Gigi przepelniona wyrzutami sumienia.

- To wszystko moja wina.

- A guzik, to wina młodego Winthropa, ta uroczystość w suchym doku, od początku mówiłem, że to głupi pomysł, pełen pychy, ot, co. Próżność. Srebrny dolar, rzeczywiście. Należ mi jeszcze trochę whisky. Bez lodu, na litość boską, lód zabija, robią go z miejscowej wody. Podobno alkohol zabija bakterie, jeśli dotrze do nich wystarczająco szybko, wątpię, warto spróbować.

Gigi napełniła mu alkoholem pół szklanki i z niepokojem patrzyła, jak Branchie przełyka prawie wszystko.

462

- Czujesz się trochę lepiej? - zapytała.

- Okaze się, jeśli obudzę się jutro rano. Jestem jeszcze jedną ofiarą Winthropa - powiedział ze złością Branchie. - Jak Mullerowie. Nie powinienem przyjeżdżać, nie posłuchałem własnej rady. Gigi pomyślała, że Branchie najwyraźniej nie upija się na wesoło. Obliczyła w duchu szanse dostania się motorówką do stacji kolejowej przed *vaporetto*. Miała jeszcze dużo czasu, bo przejażdżka po Canale Grande miała być powolna i uroczysta. Poprawiając mu poduszki, zastanawiała się, co rozumiał przez słowo „ofiarą”.

- Wiesz o Mullerach? - zaatakował ją bełkotliwie Branchie. - Zakład, że nie, myślisz, że wiesz, ale zakład, że nie. Nikt nie wie oprócz Mullerów i mnie. - Podciągnął koce pod brodę i spojrział wojowniczo na Gigi.

Oddała mu spojrzenie.

- Właściciele Raju Dzieciaka? Oczywiście, że wiem. Pracuję z ich przedstawicielem, Jackiem Taylorem.

- On ci to powiedział? - zaatakował Branchie unosząc się z poduszek.

- Kto? Jack? Co miał mi powiedzieć?

- Że reprezentuje Mullerów? Zakład, że powiedział ci, że nadal są właścicielami części interesu, co? I ty mu uwierzyłaś? Ha! Jesteś jeszcze jedną ofiarą Winthropa. Kupiłaś to jak cała reszta, co? Zakład o cokolwiek, że nigdy nie spotkałaś się z żadnym Mullerem, moja droga. Co? Mam rację?

- No to co? Wyjechali do Sarasoty. Jaka to różnica? Jack ich reprezentuje, a ja powinnam o tym wiedzieć, skoro Zaczarowany Strych to był mój pomysł. Pracuję z Jackiem od tamtego czasu.

- Niezły pomysł. Sprytna dziewczyna, dobra reklama. Winthrop przejął wszystkie sklepy i je zamknął, Mullerowie mieli pecha. Stracili wszystko. Bankructwo. Mieszkają w Sarasocie, bo mieli tam wolny od długu hipotecznego domek letni. Nie z wyboru, wierz mi. To sęp, ten młody Winthrop, oskubał ich do czysta, chyba kichnę.

Gigi rzuciła mu pośpiesznie pudełko chusteczek do nosa.

- Ben zamknął sklepy? Bzdura! On uratował ich firmę. Branchie uśmiechnął się do niej złośliwie.

455

- Nie wierzysz mi, moja droga, no bo dlaczego? Jack Taylor przyjmuje rozkazy od Bena Winthropa, dostaje od niego pieniądze, człowiek firmy, sto procent. Normalne, nie wiń Taylora, robi dobrą robotę. Ale Mullerowie zbudowali swój interes od podstaw, pierwsi dzierżawcy Winthropa, płacili mu dobry czynsz przez piętnaście lat, mógł im zostawić mały kawałek placu, to moje zdanie. Dostyc dla wszystkich, ale Winthrop się nie dzieli, nie jego styl, zmusił ich do bankructwa, ich problem, nie jego. Czysty interes, typowy styl Bena Winthropa. Mullerowie byli ofiarami, nie możesz powiedzieć, że nie, co?

Gigi poczuła zagęszczenie atmosfery w pokoju, jakby w nim pociemniało, jakby powietrze za chwilę miało wybuchnąć od jednej iskry niczym gaz.

- Ofiarami? - zmusiła się do powtórzenia z bijącym sercem. - Twoja książka padła ci na mózg, Branchie. Nigdy nie słyszałam, żeby ktokolwiek miał coś do zarzucenia etyce Bena.

- Zaciera ślady. Nie można mówić o tym, o czym nawet się nie słyszało. „Udana zbrodnia nazywa się cnotą”, napisał to Seneka, nic się nie zmieniło. Dzisiaj gorzej. Młody Winthrop to moje szczególne hobby, jestem w tej dziedzinie światowym ekspertem. I jedynym. Ha! Słucham, co w trawie piszczy, obserwuję wszystko, co robi. Idę po śladzie, zadaję pytania, zdobywam materiały. On jest sępem, a ja jastrzębiem. Nikt tak nie rozumie Winthropa jak ja. Zaczekaj, aż wydam moją książkę, wtedy zobaczysz. Zawarł dziesiątki pokrętnych umów o sprzedaż ziemi, przekupywał urzędników okręgowych... Cleveland, Des Moines, Fort Worth, korupcja, jakiej sobie nie wyobrażasz, moja droga, szybko, gładko, prawie nie do wykrycia, chyba że się wie, gdzie szukać, z kim rozmawiać. Jest sprytny, utrzymuje idealny porządek, aleja od początku go wyczułem. Znam brudną prawdę, a kiedy napiszę moją książkę, poznają ją wszyscy inni. Robił to przedtem, będzie to robił w przyszłości. Wiele razy. Kiedy moja książka go obnaży, wszyscy będą wiedzieli. Na razie pilnuję jego sekretów, to mój materiał, nikt inny go nie ma, Ben Winthrop jest mój. Nie powinienem z tobą rozmawiać. Weź na przykład Severinich - podaj mi tę szklanekę, moja droga, to chyba działa.

- Co z Severinimi?

464

- Ta sama historia. Stracili swoją firmę przez tę nową linię pasażerską. Czy inni obecni tu dziennikarze o tym wiedzą? Oczywiście, że nie. Mała rodzinna firma, Severini, nikogo nie obchodzi poza miejscowymi, moja droga. I inna i obry przykład stylu Winthropa. I tak mieli kłopoty. Dostał le silniki za to, co ich kosztowały, minus wielki rabat za gotówkę. Ostatnia kropla dla Severinich. Wspaniała okazja dla niego, powinien być weneccjaninem. To byli książęta kupców, nigdy nie stracili grosza. Nie tracili pieniędzy na miłosierdzie.

- Silniki... w Trieście? - wyszeptala Gigi.

- Sporo wiesz jak na dziewczynę z reklamy, co?

- Nie, nie wiem dużo... słyszałam tylko, jak ktoś coś wspominał o silnikach z Triestu - odpowiedziała Gigi słysząc w uszach szum krwi.

- Trzy, zbudowane na zamówienie, Severini nie mogliby ich nawet oddać za darmo, nie bierz się za budowę statków, to moja rada. Podjęli ryzyko, złe wycucie czasu, młody Winthrop kupił je grubo poniżej kosztów, szczęście, że Szwajcarzy w ogóle coś dostali. Ha! Nawet Szwajcarzy stracili. Ale pięćdziesiąt procent czegoś jest lepsze niż sto procent niczego. Severini musieli zamknąć firmę. Skończeni. Oskubani jak Mullerowie. Stara firma, działała od setek lat, zatrudniała mnóstwo ludzi. Nie dał im szansy. Gdyby Winthrop zapłacił uczciwą cenę, Severini mogliby utrzymać się na powierzchni, niełatwe w Wenecji. Ha! Spójrz na mnie, na wpół utopiony, zapalenie wątroby typu B. Moja ostatnia wizyta tutaj, moja droga, złożyłem przysięgę. Jeśli dożyję.

- Ale... ale... dlaczego Ben nie chciał zapłacić pełnej ceny? - wyszeptwała gorączkowo Gigi.

- Mówiłem ci już. Nie w jego stylu. To sęp. Nie jest zadowolony, dopóki nie wykończy drugiej strony. Tak robi interesy. Nie zna litości. Sęp jest sępem. To jego natura, jego styl, dla niego to normalne. Nigdy niczym się nie dzieli, nawet strzępem strzępu. W jaki sposób zaczyna się z pożyczonymi pieniędzmi i zostaje się prawie miliarderem w piętnaście, szesnaście lat? Dlatego jest taki interesujący... nie taki, jak dzisiejsi dobrzy, szarzy Winthropowie. Raczej jak dawny weneccjanin, może nawet Borgia. Dobrze dla mojej książki. Zaciągnij zasłony, moja droga, będę spał. Nie martw się,

napiszę sprawozdanie, pochwałę, **nie twoja** wina, nie powinienem przyjeżdżać do Wenecji. **Pamiętaj...**, „udana zbrodnia... cnotą”... Nie jesteś za młoda na naukę... pożyteczny fakt... Zanim *motoscafo* Gigi przywiozło ją na stację kolejową, wszystkie autobusy prasowe już odjechały. Złapała taksówkę, przekupiła kierowcę, żeby łamał wszystkie przepisy i weszła na teren stoczni tuż za ostatnimi dziennikarzami. Wskoczyła do ostatniego autobusu jadącego do suchego doku i stanęła na krawędzi trybun wzniesionych nad rozległym wykopem wielkości trzech boisk do piłki nożnej. Znajdował się on o trzydzieści metrów poniżej poziomu stoczni po to, żeby po podniesieniu wrót dzielących dok od morza statek mógł się powoli unieść na wodzie. Leżały tam wszystkie trzy frachtowce, a jeden z nich był całkowicie pokryty rusztowaniami. Gigi zaakceptowała prawdę o Benie Winthropie od chwili, w której wybiegła z pokoju Branchiego. W końcu zidentyfikowała to, co od tak dawna ją zastanawiało, a czego widziała tylko przelotne błyski, ślady, zarysy krawędzi, cienie na wodzie, tak delikatne i niepokojące, jak pierwsze smużki gęstej mgły.

Z łatwością mogłaby przerwać Branchiemu, gdy tylko wymienił Mullerów, mogła potrząsnąć głową nad jego pijacką gadatliwością, ogłuchnąć na jego rewelacje i pozwolić mu leczyć się z wyimaginowanego zapalenia wątroby szkocką i kocami. Nie była jednak fizycznie zdolna do wyjścia z pokoju. Czuła wszechogarniającą potrzebę dowiedzenia się wszystkiego, co odkrył. Mimo rosnącej odrazy zachęcała go do wyjawiania szczegółów. Nawet gdyby sam Ben nie potwierdził tożsamości Branchiego, i tak wiedziałyby, że fakty, jakimi w nią rzucał, są równie prawdziwe, co pogrążające. Zbyt dobrze pasowały do wszystkiego, co ją niepokoiło u Bena Winthropa.

Gdyby naprawdę kochała Bena, nie zachęcałaby Branchiego do mówienia, nie zostałaby w jego pokoju zbierając informacje dopóki nie zasnął, lecz zlekceważyłaby go, od razu celowo ogłuchłaby na krytykę ukochanego, co robi tak wiele kobiet, i zapomniałaby już o Branchiem, dorywczym historyku, który prawdopodobnie nigdy nie zobaczy swego nie nadającego się do druku dzieła na półkach księgarskich, co zresztą sam

458

przyznał. Pijak, nawiedzony, zgorzkniały człowiek, który za zdrości Benowi i którego powinno się całkowicie **zlekceważyć**,

Gigi rozejrzała się za Vito. Musiała z nim porozmawiać jak nigdy dotąd, chociaż powinna się teraz, znajdować na **dnie** suchego doku, na podwyższeniu zbudowanym dla spawacza, który teraz pracował pod czujnym okiem grupy oficjeli: Bena, przewodniczącego zespołu kierowniczego Brika Hansena, architekta morskiego Renzo Montegardiniego, kierownika hotelu Eustace'a Jonesa, głównego inżyniera Arnsina Olsena, kapitana Pera Dahla i jeszcze jednego człowieka, którym według słów Bena miał być burmistrz Mestre. Otaczała ich duża grupa fotoreporterów z agencji prasowych i czasopism.

Nieważne, gdzie miała się teraz znajdować. Jeśli śpieszy im się ze wspawaniem amerykańskiej monety do płytki, to niech ktoś coś znajdzie w kieszeni.

Gigi przyjrzała się tłumowi i zobaczyła, że w jej kierunku biegną Vito i Sasza.

- Jezu, gdzie byłaś? - wydyszała Sasza.

- To skomplikowane, chodzi o Bena, posłuchajcie...

- Nie mogłem uwierzyć, że nie wsiadłaś na prom - powiedział szybko Vito chwytając Saszę tak mocno za ramiona, że aż ją zabolalo. - Gigi, nie wiem, jak daleko posunęły się sprawy między tobą i Winthropem, ale muszę ci coś powiedzieć - wiem, że się śpieszysz, ale powinnaś wiedzieć - tuż przed naszym wyjściem z hotelu zadzwonił Zach...

- Co on zrobił Zachowi? - zawołała Gigi.

- W jakiś czas po bójce u ciebie Winthrop zjadł obiad z urzędnikiem udzielającym pożyczek w naszym banku, poinformował go, że Zach ma poważne problemy z kokainą, powiedział, że kiedy bez najmniejszej prowokacji go zaatakował, to był naćpany i że zażywał narkotyki przez cały okres zdjęć „Długiego weekendu”. Oczywiście bank zadzwonił do wytwórni, zrobiło się piekło, wytwórnia zadzwoniła do agenta Zacha, a agent do Zacha. Zach pewnie dowiedział się o tym ostatni poza mną.

- Zabiję go! - wrzasnęła z wściekłością Sasza. - Zabiję go!

- Nie będziesz musiała - powiedziała Gigi odwracając się na pięcie i kierując się do windy, która została zainstalowana w ścianie suchego doku.

467

Podchodząc do stojącego obok siał ku podwyższenia widziała na twarzy Bena pełną wściekłości niecierpliwość. Gigi dotarła do platformy i weszła na schodki.

- Co tak długo, do cholery? - zapytał szorstko Ben cichym głosem, żeby nie usłyszał go nikt inny.

- Nie mogę już dłużej czekać. Prasa zaczyna się niecierpliwić. Cholera, już myślałem, że będę musiał zaczynać bez ciebie.

- Proszę, wygłoś swoją mowę.

- Masz srebrnego dolara? Kolczyki?

- Tak.

- Włóż je.

- Zaczynaj mowę.

- Najpierw je włóż.

- No to nie mów. Decyzja zależy od ciebie.

- Kurwa! To nie pora na fochy! Nie widzisz, że wszyscy czekają?

- Mów, jeśli chcesz to zrobić.

Ben odwrócił się od jej nieprzejednanej twarzy, podniósł mikrofon i wygłosił trzyminutową mowę, którą przepisywał dziesięć razy, aż stała się idealnie wygładzona, wdzięczna i pełna międzynarodowych komplementów. Wyjaśniał w niej powód zastąpienia włoskiej monety amerykańskim srebrnym dolarem i oznajmiał, że przebudowa „Smaragdu Winthrope’a”, pierwszego statku Linii Winthrope’a, zacznie się oficjalnie natychmiast po wymianie monet. Spawacz podniósł maskę, wziął płytkę, którą właśnie wydobył z kila i uśmiechając się wyciągnął ją szarmanckim gestem w kierunku Gigi.

Wyjęła z niej włoską monetę i podała ją Benowi. Następnie sięgnęła do kieszeni zakietu po srebrnego dolara.

- Oto amerykański srebrny dolar - powiedziała Gigi wprost do mikrofonu, który wzięła od Bena. Podniosła monetę w dwóch palcach, żeby wszyscy fotografowie mogli zrobić dobre zdjęcie. - Jak długo będzie spoczywał w kilu tego statku, statkowi nic nie grozi. - Podała monetę Benowi, który starannie włożył ją do metalowego pojemnika wmontowanego w płytkę.

Gigi ponownie sięgnęła do kieszeni, skąd wyjęła kolczyk ze szmaragdem. Uniosła go wysoko obracając się powoli i lekko

468

nim potrząsając, żeby wszyscy zobaczyli jego czysty, głęboki blask, skrawek nadzwyczajnego koloru w szarej scenerii suchego doku.

- Oto szmaragd. Jak długo będzie spoczywał w kilu tego statku, statkowi nic nie grozi. To szmaragd za Mullerów. - Na oczach osłupiałego z zaskoczenia Bena umieściła kolczyk w pojemniku, szybko znów sięgnęła do kieszeni i uniosła drugi ogromny, lśniący klejnot, obracając go w blasku fleszy. - Oto drugi szmaragd. Jak długo będzie spoczywał w kilu tego statku, statkowi nic nie grozi. To szmaragd za Severinich.

- Kiedy umieszczała go w pojemniku, wokół niej trzaskały flesze, a wśród prasy powstał pytający, pełen ciekawości pomruk. Setki dziennikarzy pytały się nawzajem, kim są Mullerowie, kim są Severini?

- Proszę wspawać płytkę w kil - poleciła Gigi spawaczowi nadal mówiąc do mikrofonu.

Otoczający ją mężczyźni stali nie mogąc się poruszyć, przemówić czy zareagować, zdając sobie sprawę z utkwionych w nich setek par oczu, oczu reporterów i fotografów. Wszyscy patrzyli z niedowierzaniem na krótką operację spawania. Płytką zawierającą srebrnego dolara i szmaragdy została połączona z kilem.

- A to - powiedziała Gigi do mikrofonu znów unosząc rękę w zapadłej ciszy, bo wszyscy chcieli ją usłyszeć - to jest to, co otrzymuje kłamca i złodziej, kiedy rzuca oszczerstwa. To jest za Zacha Nevsky'ego. - Odwróciła się do Bena Winthropa i z całej siły uderzyła go w twarz.

Przez krótką chwilę, podczas której panowała kompletna cisza, Gigi patrzyła Benowi prosto w oczy. Dopiero kiedy spuścił wzrok uciekając przed wichrem jej pogardy, zesła z podwyższenia, przecięła suchy dok i wsiadła do windy, która zawiozła ją na górę.

- Coś mi mówi, że czas na nas - powiedziała Gigi do Vito i Saszy, która objęła ją, gdy tylko Gigi wyszła z windy.

- Nawet jeśli zabawa dopiero się zaczyna.

461

W środku wczesnolistopadowego popołudnia Zach siedział zupełnie sam w pierwszym rzędzie sali projekcyjnej czekając na wyświetlenie pierwszego montażu „Długiego weekendu”. Po raz pierwszy miał zobaczyć swoje dzieło w jednym kawałku, co prawda bardzo prowizorycznym, złożonym z wybranych przez niego ujęć, bez efektów dźwiękowych czy muzyki. Bez względu na surowość montażu znajdował się tu podstawowy materiał, który stanie się skończonym filmem. W dwie minuty po zgaśnięciu światła otworzyły się bezszelestnie drzwi z tyłu sali i do środka zajrzał Vito Orsini. Skinął głową jedynej innej osobie obecnej na sali, montażysty siedzącemu w ostatnim rzędzie, skąd mógł się porozumiewać z kinooperatorem. Montażysta kiwnął głową Vito zgodnie z etykietą sali projekcyjnej wymagającą całkowitej ciszy i z powrotem skierował uwagę na ekran. Po kilku minutach zauważył, że Vito wyszedł, lecz po drugiej stronie sali w ostatnim fotelu ostatniego rzędu siedzi drobna kobieta. Bez cienia ciekawości stwierdził, że jeżeli producent ją wpuścił, to ma prawo zostać i natychmiast zapomniał o jej istnieniu. Projekcja skończyła się po ponad dwóch godzinach i zapłonęły światła. Zach wstał usiłując przeciąganiem się pozbyć się napięcia i zawołał do montażysty:

- Dzięki, Ed. No, mamy sporo roboty. Co poza tym nowego? Zobaczymy się jutro z samego rana. Montażysta wyszedł szybko, a Zach przez kilka minut krążył przed pustym ekranem, głęboko pogrążony w rozmyślaniach, co zrobi w montażowni, w jaki sposób zmieni tempo scen, sekunda po sekundzie i klatka po klatce, aż film nabierze pożądanej płynności. Montaż jest najważniejszy, to czysta, delikatna i oryginalna praca kształtowania ostatecznej wersji, do której dążył przez cały czas kręcenia zdjęć. W końcu, nadal pogrążony w myślach, ruszył po schodach prowadzących do wyjścia z sali. Podchodząc do drzwi podskoczył na dźwięk stłumionego szlochu.

- Co, u diabła? - Rozejrzał się i zobaczył próbującą ukryć

470

się za zmiętą chusteczką Gigi wciąż siedzącą na tym samym, nie rzucającym się w oczy miejscu.

- To ty? Cześć, bokserko, to było naprawdę takie złe?

- Och - odezwała się przez łzy drżącym głosem Gigi.

- To... takie głupie... ale zawsze płacę... przy szczęśliwych zakończeniach.

- A czy coś wywołało twój uśmiech?

- To było najtrudniejsze, nie śmiać się głośno, żebyś nie wiedział, że tu jestem. Och, Zach, ci wszyscy prawdziwi ludzie z szalejącym ego, którzy zupełnie się nawzajem nie rozumieją, popełniają błędy i wszystko robią źle, a dopiero potem to naprawiają - byli śmieszni, smutni, podli, wielkoduszni, cyniczni i niewinni - byli tak żałośnie, cudownie ludzcy - a jednak film jest romantyczny, tak nieoczekiwanie romantyczny... jak ci się to udało?

- Naprawdę mi się udało?

- Przecież wiesz.

- No... powiedzmy, że żywię maciupęki okruszek nadziei, że po spędzeniu kilku miesięcy na formowaniu tego wszystkiego być może film okaże się ociupinkę lepszy niż się spodziewałem. - Mówiąc to Zach cały czas stukał w drewniane oparcie jednego z foteli.

- Jak widzę, nadal zabobonny - zauważyła drwiąco Gigi delikatnie stukając w oparcie fotela. Tak na wszelki wypadek.

- Ile chusteczek zużyłaś? Gigi poszukała na podłodze.

- Osiem, nie... dziewięć, licząc ostatnią. Ale były trzy oddzielne szczęśliwe zakończenia - powiedziała z wyrzutem

- więc wychodzi po trzy. Nie jestem fontanną.

- Och, zauważyłaś wszystkie trzy, tak? A ja myślałem, że udało mi się przemyścić przynajmniej jedno. Dziewięć, co? Prawdopodobnie mogę podwoić tę liczbę podczas montażu. Może... może... okaże się to film na randki.

- To znaczy kiedy dziewczyna decyduje, na co pójdą?

- Tak. Oczywiście ty nie jesteś przeciętnym widzem. Może po prostu łatwo płaczesz.

- Nie pamiętasz? - Jej delikatnie pytający ton był magicznie skomplikowany. Można było wiele w nim wyczytać: nostalgię, wyrzut, smutek, drażniącą obojętność.

463

- No dobrze, nie płaczesz. **tatWO** powiedział pośpiesznie Zach, bojąc się interpretować cokolwiek, co powiedziała. - Albo raczej nie płakałaś. **Mogła!** się **zmienić** od czasu, kiedy zaczęłaś zadawać ciosy facetom, **CO było** widać na pierwszych stronach wszystkich gazet.
- To było raz,-nie przesadzaj powiedziała sztywno Gigi, nadal podekscytowana wspomnieniem **fizycznej** siły, z posiadania której nie zdawała sobie sprawy.
- Masz szczęście, że ten pan ci nie oddał. Oczywiście, jeśli to możliwe, toby tylko pogorszyło jego sytuację, w jakiej się znalazł dzięki tym fotografom i reporterom. Uratowałaś moją reputację, Gigi, a ja ci jeszcze właściwie nie podziękowałem.
- Dostałam twój list.
- Pewnego rodzaju wdzięczności nic może przekazać nawet najlepiej napisany list. Dziękuję ci, Gigi. Byłaś... cudowna.
- Bardzo proszę. Drobiazg. Powiedz mi, Zach, co byś zrobił, gdybym cię uderzyła? - Chowając kłęb chusteczek do torebki Gigi nie mogła się oprzeć chęci zadania tego pytania.
- Przytrzymałbym cię i polaskotał w uszy.
- Za dużo wiesz - mruknęła Gigi, czerwieniąc się. Tylko Zach wiedział, w jakich okolicznościach susia w majtki.
- Ja uważam, że to urocze. Nie martw się, nikomu nie powiem. Co byś powiedziała na pizzę? Czy prawdopodobny film na randki nie wymaga prawdziwej pizzy?
- Mogłabym zjeść nawet dwie. Po złym filmie muszę wypić czekoladową wodę sodową, a po dobrym marzę o pizzy, nie wiem dlaczego, ale to nigdy nie zawodzi. To pewnie ma coś wspólnego z reakcjami chemicznymi mojego organizmu. Może powinnam zostać zawodowym krytykiem filmowym?
- Przytyłabyś tonę. Chodźmy stąd.

*

Zach automatycznie zamówił pizzę z dodatkową kielbasą pepperoni, dodatkowym serem, dodatkowym sosem, potrójnymi sardelami, bez papryki, z czarnymi oliwkami z boku i dwa piwa. Gigi słuchała uważnie myśląc, że pewnych rzeczy się nie zapomina, a szczególnie przybrania pizzy.

Kiedy ją przyniesiono, Zach starannie rozdzielił nożem niedokładnie przekrojone kawałki i podał Gigi jeden trójkąt

472

zewnątrzną krawędzią do przodu. Gigi złożyła razem jego boki, odgryzła dwa średnie kęsy z ostrego końca i zwróciła Zachowi resztę, który ją zjadł, podając jej najpierw następny trójkąt. Byli tacy głodni, że jedynie postękiwali z zadowolenia. Zamówili jeszcze jedną pizzę. Kiedy doszli do jej połowy, Gigi przerwała jedzenie.

- Nie mogę już więcej. Usta chcą jeszcze jeść, ale żołądek nie może.
 - Daj spokój, jak możesz już kończyć? Czubki, co to są czubki? Krawędzie napełniają, są sycące, ale czubki... nic w nich nie ma.
- Jest taka mała, zaniepokoił się, wygląda tak chudo, trzeba ją podtuczyć. Podczas płaczu zniknął jej cały tusz do rzęs i Gigi wygląda teraz tak młodo - to zbrodnia wyglądać na mniej niż szesnaście lat i być tak uroczą, że żaden mężczyzna nie może na nią patrzeć nie mając nieprzyzwoitych myśli. Powinien się z nią na ten temat poważnie rozmówić, ale nie śmiał. Źle przyjmowała krytykę, wiedział to aż nazbyt dobrze.
- Czubki są najbardziej soczyste, tam się zbiera **wszystko**, co najlepsze - wyjaśniła cierpliwie Gigi.
 - Nigdy nie doceniałaś krawędzi - powiedział Zach potrząsając z dezaprobatą głową.
 - A ty nigdy nie doceniałaś czubków - odparowała Gigi.

- Nigdy nawet nie próbowałaś polubić krawędzi - upierał się Zach.
- Nie będę sprzeczać się z tobą o coś, co zadowala nas oboje.
- Dobrze, ale nie masz racji - powiedział z uporem Zach.
- Dobrze.
- Dobrze? Zgadzasz się, że nie masz racji? - zapytał z niedowierzaniem.
- Nie, nie zgadzam się, tylko uważam, że nie warto kontynuować tej dyskusji. - Oczy Gigi płonęły tą szczególną figlarnością, na której widok drżeli wszyscy, którzy ją znali. Zach jeszcze jadł i jej nie zauważył.
- To stawia nas przed dużym problemem - powiedział z niechęcią, kończąc pizzę i zdając sobie sprawę, że Gigi nie wypowiedziała po ostatnim swoim zdaniu ani słowa. - O czym będziemy rozmawiać?

- Miałam nadzieję, że to ty /adei ydujesz. Gigi odchyliła się na krzesło i skrzyżowała ramiona. Kąciki jej ust zagięły się ku górze w leciutkim uśmiechu zapowiadającym raczej niebezpieczeństwo niż wesołość. Miała zarumienione policzki, lecz powieki opuściła skromnie na zieleń swych oczu.

- Bardzo sprytnie - powiedział. I ama sztuczka, zrezygnowałaś z odwiecznej debaty na temat czubków i krawędzi. A ja się na to dałem nabrać.

- No i? - Gigi nie ustępowała.

- Nie wiem - wyznał Zach zdając sobie sprawę, że jest to jedna z nielicznych okazji w jego życiu, kiedy nie ma gotowego punktu widzenia, natychmiastowej postawy, w pełni uformowanego osądu na temat tego, co powinno za chwilę nastąpić.

- Zgadzasz się, że powinniśmy porozmawiać? - zapytała cichym głosem, który jednocześnie był szyderczy i słodki cierpką słodyczą, którą chciał jeszcze usłyszeć po to, żeby móc stwierdzić, dlaczego jest tak dziwnie słodka, dlaczego jednocześnie łamie mu i skleja serce.

- Oczywiście, że powinniśmy porozmawiać. Właściwie jak dostałaś się na projekcję?

- Dzięki ojcu. To o tym będziemy mówić?

- Dlaczego przyszłaś?

- Ze zwykłej ciekawości?

- Nikt nie wysiedzi ponad dwóch godzin na surowym pierwszym montażu ze zwykłej ciekawości. Nikt normalny.

- Masz rację - przyznała Gigi bez fałszywego wahania.

- A więc?

- Mogłam zabijać czas. Mogłam chcieć siedzieć w ciemności i śmiać się i płakać bez wydawania dźwięku, od czego omal się nie uduśliłam. Mogłam chcieć znów cię zobaczyć... - Zamilkła zastanawiając się nad nieskończonością możliwości, które mogły ją sprowadzić do sali projekcyjnej.

- Zabijałaś czas? - zapytał Zach zanim znalazła jakieś inne powody.

- Nie.

- Siedziałaś w ciemności? - zmusił się do zapytania modląc się, żeby nie okazało się, że rozwinęła nową namiętność do płakania po ciemku.

466

Gigi dokładnie zastanowiła się nad jego pytaniem. W końcu powiedziała niezdecydowanie, prawie z zastanowieniem:

- Nie, chyba nie, a w każdym razie nie tylko.

- To ostatnie... to ostatnie, co powiedziałaś?

- Chyba... to... mogłoby być to...

- Chciałaś mnie zobaczyć. - Pozbawił swój głos wszelkiej intonacji.

- Logika wskazywałaby na to, tak.

- Jak to się stało? - zapytał Zach z największą niedbałością, na jaką go było stać.

- A ty nie chciałeś zobaczyć mnie?

- Cholernie dobrze wiesz, że tak!

- Dlaczego? - Znów zapytała Gigi z płonąca ciekawością.

- Bo cię uwielbiam - wybuchnął. - Bo czczę ziemię, po której stąpasz, bo dla ciebie rzuciłbym się w ogień, wspiałbym się na pokryte lodem góry, przepłynąłbym oceany - bo kocham cię szalenie, ale ty przecież o tym wiesz! Rany, ale jesteś twarda!

- Naprawdę? Chyba tak, jeśli się mnie sprowokuje, ale ty tego ostatnio nie robiłeś, prawda?

- Nie było to tak dawno temu - powiedział szorstko Zach.

- Być może - rzekła powoli, jakby od nowa wynajdywała każde wypowiedziane słowo. - Być może
- chociaż prawie nie można zrozumieć, jak do tego doszło, skoro różnimy się w tylu sprawach -
może miałam jakieś głupie wrażenie, że moglibyśmy...
- Gigi, kochanie... - spróbował błyskawicznie wyplątać się ze swego siedzenia w niszy, usiąść przy
niej, tam, gdzie delikatnie dzieliła mu mózg na kawałki, i pocałunkami zmusić ją do rozsądku.
- Zostań na swoim miejscu, Zach! Trzymaj się po drugiej stronie stolika - powiedziała Gigi
głosem, który osadził go w miejscu. - Musimy ustalić pewne zasady, bo inaczej ciągle będzie to
samo, a ja nie potrafiłabym przejść przez coś takiego jeszcze raz.
- Gigi, ja się zmieniłem! Przez ostatni rok przeszedłem niewyobrażalne piekło - nie ma mowy,
żebym był tą samą osobą, co kiedyś. Ciągle myślałem o tym, co źle zrobiłem, o tym jak
próbowałem nad tobą dominować, o tych okropnych

rzeczach, które powiedziałem – musisz uwierzyć, że potrafię się zmienić!

- Potrafisz... ale zasadniczo zawsze będziesz zakochany w swojej pracy, zawsze będzie istniał konflikt między nią i mną, prawda?

Zach wydał głęboki dźwięk **pośredni** między jękiem a westchnieniem. Zrobiłby wszystko w **granicach** rozsądku i poza nimi, żeby tylko być za zawsze z (iigi, ale nie będzie kłamał.

- Jeśli to jest kość niezgody, to nie możemy jej obejść - przyznał z bólem w głosie. - Nic potrafię sobie wyobrazić, kim byłbym bez mojej pracy. Moja praca to ja. To połowa radości i znaczenia mojego życia. Lecz ty, Gigi, jesteś drugą połową, jesteś całą drugą połową.

Cała istota Gigi, cały jej umysł i serce były skoncentrowane na Zachu, na jego całkowitym poświęceniu się sztuce reżyserowania. Oto mężczyzna, pomyślała, w dużym stopniu określony przez swój talent, mężczyzna urodzony po to, by spisane na papierze słowa zamieniać w rzeczywistość poruszającą widownię, oto mężczyzna bezgranicznie wierzący w swoją moc ożywiania wizji dramaturgów i scenarzystów, mężczyzna, który potwierdził swe umiejętności, mężczyzna, który zawsze będzie musiał wykorzystywać swe talenty. Pogodziła się z identyfikowaniem się Zacha z jego pracą.

- Nigdy nie mógłby mnie zainteresować mężczyzna, który nie pasjonuje się tym, co robi - powiedziała powoli Gigi starannie dobierając słowa. - Nie możesz być jednak tak skoncentrowany na swoich potrzebach, żebyś mi zdawał sprawę, że to, co robię, jest dla mnie ważne w takim samym stopniu, jak to, co ty robisz, jest ważne dla ciebie, Zach.

- Ależ zdaje...

- Zaczekaj. Nie odpowiadaj za szybko. Wiem, że gdybym zarabiała mnóstwo pieniędzy, gdybym w oczach świata odniosła sukces, zrobiłbyś heroiczny wysiłek, żeby docenić moją pracę. Ale gdybym tak postanowiła pójść na studia - wiesz, że nigdy nie studiowałam - albo uczyć się włoskiego, albo... och, robić marynaty, grać na pianinie czy szczepić róże? Gdybym właśnie tak chciała spędzać czas? Jak bardzo cenilibyś wtedy to, co robię?

•176

- Miałem cały niekończący się rok na zadawanie sobie takich właśnie pytań. Miałas rację nazywając mnie kłamcą i hipokrytą, kiedy obiecałem, że będę traktował twoją **pracę** poważnie - mogłem składać tylko czcze deklaracje. Do strzegałem jedynie to, że reklama odciąga cię ode mnie i usiłowałem zrobić z niej coś, z czym żadna inteligentna osoba nie chciałaby mieć nic wspólnego. To było godne pogardy.

- To prawda.

Spojrzał na nią ze stoickim spokojem.

- Cokolwiek postanowisz zrobić ze swoim życiem, będzie to dla mnie równie ważne jak reżyserowanie filmu. Obiecuję ci to całym moim sercem.

- A zatem jeden problem mamy z głowy. Jeden z kilku. - Gigi zastanowiła się, co ma powiedzieć dalej.

- Gigi, mógłbym się zastrzelić za rzucenie się na ciebie, a potem za... powiedzenie, że prosiłaś się o gwałt, że chciałaś tylko zwrócić na siebie moją uwagę.

- To było rzeczywiście obrzydliwe. Nawet Ben Winthrop nie upadłby tak nisko.

- Nie mogę powiedzieć, że wtedy tak nie myślałem - stwierdził Zach chcąc być całkowicie uczciwy - tylko że nie myślałem tak w stu procentach.

- A w ilu dokładnie? - zapytała z rozbrajająco złośliwym zainteresowaniem.

- W zbyt wielu. Nawet jedna dziesiąta jednego procenta to było za dużo. Jak mogę cię przeprosić?

- Daj sobie spokój, nie dasz rady. Tylko się nie zastrzel.

- Gigi, wiem, że jestem władczy, apodyktyczny, lubię manipulować i bezlitośnie dążę do założonych rezultatów.
- Wiesz to wszystko? Nie żartujesz? Jednak... nie jesteś taki zupełnie zły.
- Naprawdę?
- Znasz samego siebie o wiele lepiej niż przedtem - rzekła poważnie Gigi.
- Rok tęsknoty za tobą prawie dwadzieścia cztery godziny na dobę to dużo czasu na rozmyślanie.
- Dlaczego „prawie”?
- Czasami zasypiałem - po obejrzeniu „Tacy byliśmy”.

- „Tacy byliśmy”? Dobry Boże, nie widziałam tego filmu od lat - rzekła ze zdumieniem Gigi. - Zach, jak myślisz, czy przestaniesz kiedykolwiek być apodyktyczny i w ogóle? - zapytała cicho. - Zasadniczo... nie. Taki jestem, taki mam charakter. Gdybym nie był pewny swego punktu widzenia i gdybym nie musiał go przeforsować, to zamiast reżyserowania filmów robiłbym co innego. Może oboje robilibyśmy marynaty, może razem stworzylibyśmy wielkie marynatowe imperium.

- Małe szanse.

- Tak, chyba przeholowałem. Ale jedno ci obiecuję. Kiedy będę z tobą, nie będę się zachowywał jak reżyser.

- Czy ty naprawdę wierzysz, że na planie możesz być rządcą wszechświata, a po przyjsciu do domu o tym zapomnieć?

- Właśnie to chcę powiedzieć - odparł trzeźwo. - Wiem, że mogę. Ty nie jesteś aktorką. Nigdy więcej nie będę próbował cię namówić do życia tak, jak ja tego chcę. Twoje życie jest twoją własnością. Jest tak samo ważne dla ciebie, jak moje jest ważne dla mnie. Więcej nie popełnię tego błędu.

Gigi skinęła na jego słowa poważnie głową. Widziała, jak głęboko czuje to, co mówi.

- A co z tymi wyjazdami na plan, które odrywają cię ode mnie na pół roku?

- Ograniczę je. Teraz mogę przebierać w ofertach, więc po prostu będę się trzymał blisko domu.

- Albo... od czasu do czasu mogłabym wyjeżdżać z tobą. Moglibyśmy... o, Boże... moglibyśmy pójść na kompromis

- westchnęła Gigi. Nie znosiła tego słowa, ale rozumiała, że tak jest uczciwie.

- Kompromis? - zapytał zaskoczony Zach. - Naprawdę chciałabyś pójść na kompromis?

- Nie za każdym razem - dodała pośpiesznie Gigi - nie ma mowy, ale nie chciałabym, żebyś odrzucił naprawdę wspaniały scenariusz, o realizacji którego marzyłeś, tylko dlatego, że oznaczałoby to kilkumiesięczny wyjazd. To znaczy od czasu do czasu.

- A jak ty mogłabyś wyjeżdżać na tak długo?

- Postanowiłam być wolnym strzelcem - przyznała Gigi.

- Choć brzmi to nieskromnie, zdaje się, że jest na moje usługi

470

ogromny popyt. Już nie wrócę do stałej pracy. Nie potrafię działać w zespole ani być kobietą interesu. Będę pracowała nad własnymi rzeczami - i, och, Zach - to może być wszystko, co tylko zechcę!

- To znaczy - odważył się Zach, widząc w jej oczach wyraźną obecność licznych możliwości - że mogłabyś pracować gdziekolwiek?

- Nie daj się ponieść - natychmiast go przystopowała. - Chcę mieć prawdziwy dom, nie zamierzam być żeńskim odpowiednikiem Żyda Wiecznego Tułacza czy Latającego Holendra. I - słuchaj teraz uważnie, Zach - musisz się jeszcze zgodzić na dwie rzeczy. Po pierwsze nie możesz być co wieczór dostępny dla potrzebujących aktorów. Nie jestem przygotowana do codziennego dzielenia się tobą z grupką twoich wielbicieli. Problem leży w tym, że to ty sam pragniesz mówić ludziom, co mają robić. Musisz się ograniczyć, poświęcać im najwyżej trzy wieczory w tygodniu i wyrzucać ich przed dziesiątą. Chciałabym dać ci tylko dwa wieczory tygodniowo, ale znam cię zbyt dobrze, więc to jest następny kompromis i chcę za niego pełnej i stałej wdzięczności. Stałej... nigdy nie traktuj go jak coś oczywistego. I po drugie, jeśli będziesz zapraszał kogoś na kolację, to chcę o tym wiedzieć na długo przedtem, a jeśli goście nie będą wiedzieli, jak mam na imię, to ich wyrzucę. Żanim dostaną jedzenie.

- Zgadzam się na wszystko - wybuchnął. - Podpiszę każdy dokument, i to krwią.

- To nie będzie konieczne - odparła Gigi próbując odwrócić wzrok od jego wymagających, beztroskich ust i zaplatając palce, żeby nie włożyć rąk w jego dłonie. - Wierzę ci na słowo.
- Jak... jak... chcesz się przedstawiać naszym gościom?
- Gigi - odpowiedziała pozwalając mu zajrzeć sobie w oczy i zobaczyć w nich swoje przeznaczenie.
- Gigi Nevsky? - Błaganie w jego głosie było tak silne jak namiętność.
- Wydaje się to dość... nieuniknione... - wyszeptwała Gigi patrząc na niego bezradnie. Jak mogła istnieć bez niego przez cały rok? Upojenie nieskomplikowaną miłością chwiało jej systemem obronnym.
- Czy mogę teraz usiąść obok ciebie? Proszę!

- O, tak! - Gigi dała mu pozwolenie z dziką radością, nareszcie wyzwolona z trudnych kwestii, które musiała rozwiązać raz na zawsze, zanim mogła pozwolić temu trudnemu, wspaniałemu, zaborczemu mężczyźnie jeszcze raz zawładnąć jej sercem, co zrobił już wiele lat temu. Była to jej pierwsza i jedyna miłość.

- Kochanie, natychmiast zabieram cię do domu - powiedział radośnie Zach od razu zapanowując nad sytuacją, skoro wiedział, że Gigi nie będzie miała nic przeciwko temu.

- Kocham cię tak bardzo, że nie mogę... cholera, zostawiłaś samochód w wytwórni.

- Nie. Podwiózł mnie tam ojciec.

- To znaczy... wyszłaś tak sobie, bez transportu do domu?

- zapytał z niedowierzaniem Zach. Nikt, absolutnie nikt mieszkający w Los Angeles nie zrobiłby czegoś tak dziko impulsywnego i lekkomyślnego.

- A co w tym takiego dziwnego? - roześmiała się Gigi. Zastanawiała się, ile potrwa, zanim Zach w końcu zrozumie,

że napotkał kogoś równego sobie? Będzie musiała dać mu jeszcze kilka tygodni, żeby to raz na zawsze zrozumiał. Gigi pomyślała, że dostrzeżenie pewnych rzeczy zajmuje mężczyznom więcej czasu niż kobietom. Była tak odmieniona miłością, że mogła sobie pozwolić na zdumiewającą wielkoduszość.

Zach porwał ją w ramiona i pokrył jej usta pocałunkami na oczach wszystkich klientów zatłoczonej pizzerii, wywołując tym burzę wiwatów, pohukiwań i gwizdów. Gigi w końcu je usłyszała i zaczęła się bez przekonania szamotać. Zach odzyskał w końcu zmysły i zaniósł ją do swego samochodu. Leżąc w bezpiecznym ciepłe jego silnego ramienia czuła się tak niezrozumiale szczęśliwa, że nie potrafiła sobie z tym dać rady. Skierowała myśli na szczegóły i zaczęła planować ślub, naprawdę mały ślub, tylko Billy, Spider, ojciec, Sasza, wszystkie dzieci, Josie, Burgo i... o, nie! mama! Gigi powiedziała sobie stanowczo, że poradzi sobie z mamą. Teraz Sasza będzie jednocześnie jej szwagierką i macochą. Sasza Nevsky Orsini i Gigi Orsini Nevsky? Jak do tego doszło? Gigi odrzuciła te komplikacje z beztróską radością. Było tyle innych, lepszych rzeczy do przemyślenia.